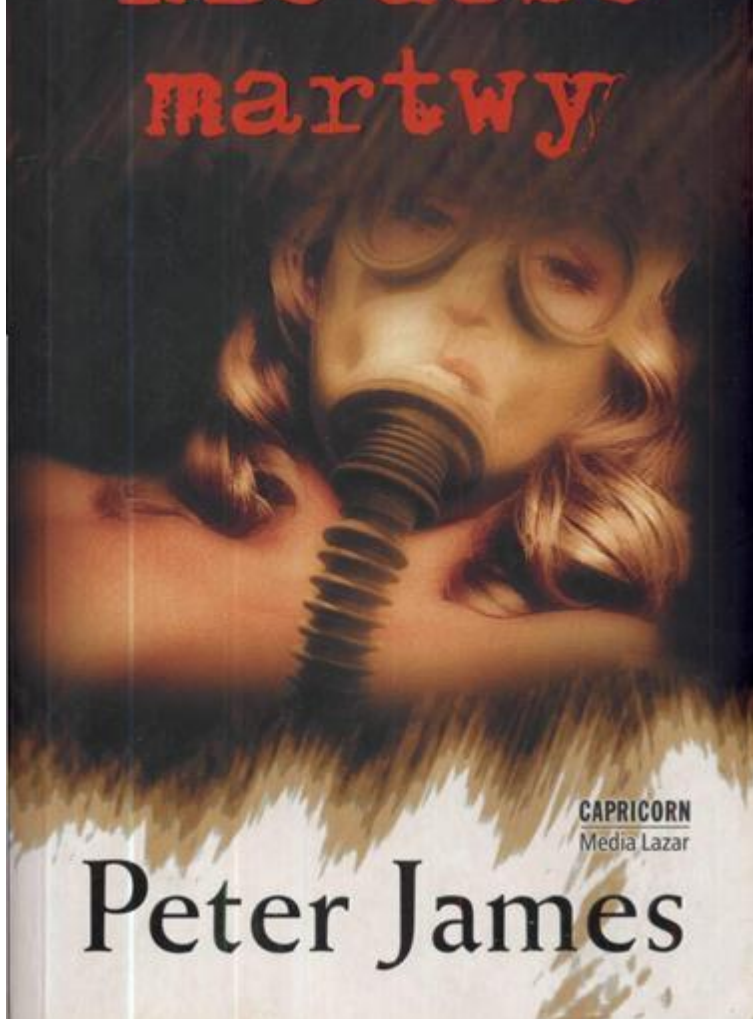


Głośny światowy bestseller.

# Nie dość martwy



CAPRICORN  
Media Lazar

# Peter James

**Peter James**

# **Nie dość martwy**

przełożyła  
Anna Cichowicz

**CAPRICORN**  
Media Lazar

Tytuł oryginału

**NOT DEAD ENOUGH**

Projekt okładki  
*Andrzej Brzezicki*

Redakcja i korekta  
*Katarzyna Kaźmierska*

Copyright © Really Scary Books / Peter James 2007

Copyright © for the Polish edition by Media Lazar  
The right of Peter James to be identified as the author of this work  
has been asserted by him in accordance with the Copyright,  
Designs and Patents Act 1988.

Media Lazar  
Capricorn  
Warszawa 2008  
ul. Rosoła 12, 02-796 Warszawa  
tel. 022 6494249

[www.medialazar.pl](http://www.medialazar.pl)  
e-mail: [medialazar@medialazar.pl](mailto:medialazar@medialazar.pl)

Skład i łamanie

AVANTI  
ul. Jarocińska 13/3, 04-171 Warszawa  
Druk i oprawa  
ABEDIK S.A.

ul. Ługańska 1, 61-311 Poznań

ISBN 978-83-925755-5-9

*Bertie, Sooty i Phoebe - to dla was*

# Rozdział 1

Długo trwało, nim nastąpiła ciemność, ale warto było poczekać. Zresztą upływ czasu nie stanowił dla niego problemu. Czas - jak sobie uświadomił - to jedna z tych rzeczy, których ma się w życiu dużo, kiedy niewiele ma się czego innego. On miał mnóstwo czasu. Pod tym względem był niemal miliardem.

Krótko przed północą kobieta, za którą jechał, skręciła z dwupasmowej drogi szybkiego ruchu i zajęła na samotnie świecącej w ciemności stację benzynową BP. Zatrzymał kradzioną furgonetkę na nieoświetlonej drodze dojazdowej, nie spuszczać z oczu świateł stopu jej samochodu. Zdawały się rozjarzać jaśniej, kiedy się w nie wpatrywał. Jaskrawa czerwień oznacza niebezpieczeństwo, czerwień oznacza fart, czerwień oznacza seks!

*71% ofiar zabójstw znało mordercę.* Statystyka przetoczyła mu się przez głowę jak kula bilardowa szukająca luzu. Zbierał statystyki, chomikował je starannie, aby krzepić się nimi w tym długim okresie hibernacji umysłu, o którym wiedział, że kiedyś go czeka.

Pytanie brzmi: *Ile z tych 71% wiedziało, że zaraz zostanie zamordowane?*

*Czy pani wie?*

Migały reflektory przejeżdżających samochodów. Strumień powietrza wytworzony przez wielką ciężarówkę tak zakołysał niebieskim renault, że aż zagrzechotała jego rura wydechowa. Przy dystrybutorach stały dwa inne samochody - toyota bus, która właśnie miała odjechać, i ogromny jaguar.

Jego właściciel, mężczyzna przy tuszy, w źle leżącym smokingu, wracał od okienka kasowego, upychając portfel w wewnętrznej kieszeni. Opodal zaparkowana była cysterna BP. Kierowca w kombinezonie rozwijał długi wąż, szykując się do napełnienia zbiorników stacji.

Do tej pory zdążył się już uważnie rozejrzeć i upewnić, że teren stacji monitoruje tylko jedna kamera. Problem, ale nie aż taki, żeby nie umiał sobie z nim poradzić.

Naprawdę nie mogła lepiej wybrać miejsca na zatrzymanie się!

Posłał jej całusa.

## Rozdział 2

W ciepłym powietrzu letniej nocy Katie Bishop strząsnęła z twarzy rozwichrzone, ogniście rude włosy i ziewnęła. Czuła się zmęczona. Właściwie bardziej niż zmęczona - wyczerpana, ale za to bardzo, bardzo przyjemnie wyczerpana. Przyjrzała się badawczo dystrybutorowi, jakby był jakimś pozaziemskim stworem przysłanym na ten świat w celu stwarzania dla niej zagrożenia, bo tak się właśnie czuła wobec większości dystrybutorów na stacjach benzynowych. Jej mąż zawsze miał problemy z rozgryzieniem instrukcji zmywarki czy pralki i twierdził, że pisane są w jakimś obcym języku „dla kobiet”. Jeśli o nią chodzi, to dystrybutory benzyny przemawiały w równie obcym języku - umieszczone na nich instrukcje pisane były w języku „dla facetów”.

Chwilę walczyła, jak zawsze, z korkiem wlewu paliwa w swoim bmw, po czym wgapiała się w słowa *Premium* i *Super*, usiłując przypomnieć sobie, którą powinna wlać, chociaż miała wrażenie, że nigdy nie jest w stanie trafić we właściwą. Jeżeli zatankowała premium, Brian miał do niej pretensję, że wlała benzynę niskiej jakości; jeżeli wzięła super, wkurzał się na nią, że wyrzuca pieniądze. W tej chwili jednak nic ją to nie obchodziło. Trzymając pistolet dystrybutora jedną ręką i mocno naciskając spust, drugą zamachała do zaspanego nocnego pracownika stacji, starając się zwrócić na siebie jego uwagę.

Brian irytował ją coraz bardziej. Męczył ją sposób, w jaki awanturował się o rozmaite głupie drobiazgi - położenie tubki pasty do zębów na półeczce

w łazience, rozmieszczenie krzeseł przy kuchennym stole w równych odstępach. W calach, nie w stopach. No i robił się coraz bardziej perwersyjny. Znosił do domu torby z sex shopów, pełne dziwacznych przedmiotów i upierał się, żeby je wypróbowali. A z tym naprawdę miała kłopot.

Tak była pogrążona w myślach, że nie zauważyła, jak spust odskoczył z gwałtownym szczękiem i pompa przestała tłoczyć paliwo. Wdychając zapach benzyny, który zawsze lubiła, odwiesiła pistolet, zamknęła pilotem samochód - Brian ostrzegał ją, że na stacjach benzynowych często zdarzają się kradzieże samochodów - i poszła do budynku zapłacić.

Po wyjściu starannie złożyła potwierdzenie transakcji kartą kredytową i wsunęła je do portmonetki. Otworzyła samochód, wsiadła, zamknęła się od środka, zapięła pas i uruchomiła silnik. Znów rozległo się „Il Divo” z płyty. Przez chwilę zastanawiała się, czy by nie opuścić dachu bmw, ale zdecydowała, że jednak nie. Było po północy i niepotrzebnie narażałaby się, jadąc do Brighton o tej porze z opuszczonym dachem. Lepiej zostać w bezpiecznym wnętrzu.

Dopiero kiedy wyjechała z terenu stacji i ujechała dobre sto jardów ciemną drogą dojazdową, wyczuła, że w samochodzie jakoś inaczej pachnie. Dobrze знаła ten zapach. *Comme des Garçons*. Wtedy też dostrzegła w lusterku jakiś ruch.

Zorientowała się, że ktoś jest w samochodzie.

Strach chwycił ją za gardło, jej dłonie zamarły na kierownicy.

Wciskając z całej siły pedał hamulca, gwałtownie zatrzymała samochód z piskiem opon i szamocząc się z dźwignią zmiany biegów, próbowała znaleźć wsteczny, żeby cofnąć się na bezpieczną stację. Wtem poczuła, że zimny, ostry metal wbija się jej w kark.

- Jedź dalej, Katie - usłyszała. - Nie byłaś bardzo grzeczną dziewczynką, prawda?

Wyężając wzrok, żeby zobaczyć obcego we wstecznym lusterku, dostrzegła srebrzysty błysk ostrza noża, który mignął jak iskra.

I we wstecznym lusterku ujrzała przerażenie w swoich oczach.



## Rozdział 3

Marlon robił to, co zawsze, to znaczy pływał w kółko w swojej szklanej kuli, opływając swój świat dookoła z niestrudzoną determinacją odkrywcy zmierzającego ku nieznanym łądom. Otwierał i zamykał pyszczek, głównie nabierając wody i tylko od czasu do czasu chwycił jeden z mikroskopijnych płatków, które, jak wnioskował Roy Grace z ich astronomicznej ceny, musiały być dla złotej rybki odpowiednikiem kolacji u Gordona Ramsaya.

Grace na wpół leżał w fotelu z rozkładanym oparciem, w salonie swojego domu, urządzonego przez jego od dawna nieobecną żonę Sandy w czerni i bieli, w stylu minimalizmu zen, do niedawna pełnym pamiątek po niej. Teraz zostało tu zaledwie kilka stylowych przedmiotów z lat 50., które razem kupili - w tym duma tego domu, odrestaurowana przez nich szafa grająca - i tylko jedno jej zdjęcie w srebrnej ramce, zrobione dwanaście lat temu podczas wakacji na Capri, na którym jej śliczna, opalona twarz uśmiecha się dziewczęco. Stała na tle piętrzących się skał, z długimi blond włosami rozwianymi przez wiatr, skąpana w słońcu jak bogini, którą dla niego była.

Przełknął łyk glenfiddicha z lodem, ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora, na którym oglądał stary film z DVD. Był to jeden z dziesięciu tysięcy nigdy przez niego niewidzianych filmów, co jego kumpłowi Glennowi Bransonowi absolutnie nie mieściło się w głowie.

Tym razem to nie wywyższanie się Bransona zmobilizowało jego skłonność do rywalizacji naturę. Grace wypełniał zadanie uczenia się, kształcenia, zapełnienia kulturalnej czarnej dziury w swojej głowie. W ciągu ostatnich miesięcy powoli zdał sobie sprawę, że jego mózg przechowuje setki stron z podręczników policyjnych, fakty dotyczące rugby, piłki nożnej, wyścigów samochodowych i krykieta, ale niewiele więcej. To się musiało zmienić. I to szybko.

Ponieważ wreszcie znowu z kimś się spotykał - chodził z kimś - pragnął - był całkowicie zauroczony - może nawet zakochany. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Tyle tylko, że ona była o wiele lepiej wykształcona. Czasami wydawało się, jakby przeczytała każdą książkę, jaką kiedykolwiek napisano, widziała każdy film, była na każdej operze i zapoznała się intelektualnie z dziełem każdego wartego uwagi artysty, żyjącego lub nie. I jak by tego było mało, była w połowie kursu filozofii na Otwartym Uniwersytecie.

To wyjaśniało obecność sterty książek filozoficznych na stoliku do kawy obok jego fotela. Większość z nich kupił ostatnio w City Books przy Western Road, resztę wygrzebał, myszkując po prawie wszystkich pozostałych księgarniach w całym Brighton i Hove.

Dwie przypuszczalnie najbardziej przystępne pozycje - „Pociechy z filozofii” oraz „Zenon i żółw” - leżały na samym wierzchu. Książki dla laika, które był w stanie mniej więcej zrozumieć.

No, w każdym razie ich fragmenty. Przynajmniej dawały mu podstawy do blefowania w dyskusjach z Cleo o interesujących ją sprawach. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że zaciekawilo go to naprawdę. Taki na przykład Sokrates szczególnie przypadł mu do gustu. Samotnik, ostatecznie skazany na śmierć za swoje poglądy i nauki, który powiedział: „Nie warto żyć życiem przez nas niepoznanym”.

W zeszłym tygodniu zabrała go do Glyndebourne na przedstawienie „Wesela Figara” Mozarta. Niektóre fragmenty opery dłużyły mu się, ale były też chwile tak przejmującego piękna, zarówno pod względem muzyki,

jak i widowiska, że wzruszył się niemal do łez.

Teraz wciągnął go ten czarno-biały film, którego akcja rozgrywała się w Wiedniu zaraz po wojnie. We właśnie oglądanej scenie Orson Welles, grający spekulanta Harry'ego Lime'a, odbywa przejazdówkę na diabelskim młynie w wesołym miasteczku razem z Josephem Cottenem. Cotten gani starego przyjaciela Harry'ego za zepsucie, jakiemu uległ. Welles odgryza się, mówiąc: „We Włoszech przez trzydzieści lat pod rządami Borgiów mieli wojnę, terror, morderstwa, rozlew krwi - ale stworzyli Michała Anioła, Leonarda da Vinci i renesans. W Szwajcarii mieli miłość braterską, mieli pięćset lat demokracji i pokoju, i co stworzyli? Zegar z kukułką”.

Grace pociągnął kolejny spory łyk whisky. Welles grał sympatyczną postać, ale jakoś nie czuł do niego sympatii. Ten człowiek był przestępcą, a w ciągu dwudziestu lat pracy Grace nigdy nie spotkał przestępcy, który nie próbowałby usprawiedliwić swoich uczynków. W ich spaczonych umysłach to świat jest zły, nie oni.

Ziewnął, po czym zagrzechał kostkami lodu w pustej szklance, myśląc o jutrze - piątku i kolacji z Cleo. Nie widział się z nią od tygodnia. Wyjechała na weekend do Surrey, na wielki zjazd rodzinny. Była to 35. rocznica ślubu jej rodziców i poczuł nieprzyjemne ukłucie, bo nie zaprosiła go, żeby jej towarzyszył - tak jakby chciała zachować dystans, dając mu do zrozumienia, że chociaż spotykają się i śpiją z sobą, to właściwie nie są parą. Potem w poniedziałek pojechała na szkolenie. Mimo że rozmawiali codziennie, SMS-owali i e-mailowali ze sobą, tęsknił za nią jak wariat.

Jutro rano miał się też spotkać ze swoją nieprzewidywalną szefową, na przemian słodką i kwaśną Alison Vosper, zastępcą naczelnika policji hrabstwa Sussex. Zmęczony nagle jak pies usiłował podjąć decyzję, czy nalać sobie kolejną whisky i obejrzeć film do końca, czy zachować to na następny wieczór spędzany samotnie w domu, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi.

Kogo diabli niosą o północy?

Dźwięk dzwonka rozległ się ponownie. Po nim energiczne stukanie. I jeszcze raz stukanie.

Zdziwiony i czujny zatrzymał DVD, wstał nieco chwiejnie i poszedł do przedpokoju. Kolejne uparte stukanie. I znów dzwonek.

Grace mieszkał w spokojnej, prawie podmiejskiej dzielnicy Hove. Ulica dwurodzinnych domów prowadziła nad morze. Dla ćpunów i ogółu nocnych szumowin Brighton i Hove było to zadupie, niemniej jednak miał się na baczności.

Przez lata pracy zawodowej wchodził w drogę i wkurzał wielu łajdaków w tym mieście. W większości były to zwykłe męty, ale zdarzali się też poważni gracze. Dowolna liczba ludzi mogła mieć powód, żeby chcieć wyrównać z nim rachunki. Mimo to nigdy nie zawracał sobie głowy instalowaniem wizjera czy łańcucha w drzwiach.

Tak więc polegając na swojej przytomności umysłu, co prawda lekko przyćmionej nadmiarem whisky, otworzył drzwi na oścież. Naprzeciw niego stał człowiek, którego kochał najbardziej na świecie, detektyw sierżant Glenn Branson - sześć stóp i dwa cale wzrostu, czarny i lisy jak meteoryt. Tylko że zamiast jak zwykle wyszczerzyć się w radosnym uśmiechu, stał cały pomięty i płakał.

## Rozdział 4

Ostrze nacisnęło mocniej na jej kark. Przecięło skórę. Ból nasilał się z każdą nierównością nawierzchni.

- Nawet nie myśl o tym, co tam sobie myślisz, żeby zrobić - powiedział spokojnym głosem zdradzającym dobry humor.

Krew pociekła jej po karku, a może to był pot, może jedno i drugie. Nie wiedziała. Starła się, rozpaczliwie się starała mimo przerażenia myśleć jasno. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, patrząc na światła mijanych samochodów, ściskając kierownicę bmw w śliskich dłoniach, ale ostrze wbijało się coraz głębiej.

Wjeżdżali na szczyt wzgórza, po lewej miała światła Brighton i Hove.

- Zjedź na lewy pas. Drugi zjazd z ronda.

Katie posłusznie skręciła w szeroką, dwupasmową Dyke Road Avenue. Pomarańczowy blask latarni ulicznych. Wielkie domy po obu stronach. Wiedziała, dokąd jada, i wiedziała, że musi coś zrobić, zanim tam dojadą. Nagle serce zatrzepotało jej z radości. Po drugiej stronie ulicy rozbłysły niebieskie migające światła. Samochód policyjny! Akurat zatrzymał się przed innym samochodem.

Przesunęła lewą rękę z kierownicy na włącznik kierunkowskazów. Pociągnęła mocno do siebie. Wycieraczki zazgrzytały o suchą szybę.

Cholera.

- Po co włączyłaś wycieraczki, Katie? Nie pada - usłyszała jego głos z tylnego siedzenia.

Cholera, cholera, cholera. Nie ten pieprzony włącznik!

Już minęli samochód policyjny. Widziała, jak oaza jego świateł znika w jej lusterku. Dostrzegła zarys brodatej twarzy zacienionej czapką bejsbolową i dodatkowo przesłoniętej ciemnymi okularami, mimo że była noc. Twarz obcego, ale zarazem i twarz, i głos były niepokojąco znajome.

- Będziemy skręcać w lewo, Katie. Powinnaś zwolnić. Wiesz, gdzie jesteśmy, mam nadzieję.

Czujnik na desce rozdzielczej automatycznie uruchomi mechanizm bramy. Za kilka sekund zacznie się otwierać. Za kilka sekund skręci i wjedzie, a brama zamknie się za nią. Znajdzie się w ciemności, na prywatnym terenie, niewidziana przez nikogo poza mężczyzną siedzącym z tyłu.

Nie. Musi temu zapobiec.

Mogłaby gwałtownie skręcić i uderzyć w latarnię. Albo zderzyć się z samochodem, którego światła właśnie zbliżają się z przeciwka. Spięła się jeszcze bardziej. Spojrzała na prędkościomierz, próbując to sobie poukładać w głowie. Gdyby nagle zahamowała albo w coś uderzyła, poleciałaby do przodu. Nóż poleciałby do przodu. To byłoby sprytne. Nie tylko sprytne. To było jedyne wyjście.

O Jezu, pomóż mi.

Coś zimniejszego niż lód podeszło jej do gardła. W ustach czuła suchość. Wtem, ni z tego, ni z owego, jej komórka leżąca na siedzeniu obok zaczęła dzwonić. Głupia melodyjka, którą zaprogramowała jej pasierbica Carly, zaledwie trzynastoletnia, a ona nie umiała jej zmienić. Cholerna piosenka o kurczakach wprawiająca ją w zakłopotanie za każdym razem, kiedy tylko dzwonił telefon.

- Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy odebrać, Katie - powiedział.

Nie odebrała. Zamiast tego potulnie skręciła w lewo i przez bramę z

kutego żelaza, która usłużnie otworzyła się przed nią, wjechała na krótki asfaltowy podjazd obsadzony nienagannie utrzymanymi krzakami rododendronów kupionymi przez Briana za idiotyczną cenę w centrum architektury ogrodowej. Dla prywatności, powiedział.

Aha. Słusznie. Prywatność.

W światłach reflektorów ukazał się front domu. Kiedy wyjeżdżała stąd przed kilkoma godzinami, to był jej dom. Teraz, w tej właśnie chwili, wydawał się czymś zupełnie innym. Sprawiał wrażenie obcej, wrogiej budowli i zdawał się krzyczeć na nią, że ma się wynosić.

Ale brama już się zamykała.

## Rozdział 5

Roy Grace gapił się na Glenna Bransona przez chwilę w szoku.

Zazwyczaj doskonale ubrany detektyw sierżant, tego wieczoru miał na sobie niebieską, wełnianą czapkę, szarą bluzę z kapturem założoną na podkoszulkę, workowate spodnie i adidas. Jego twarz pokrywała kilkudniowa szczecina. Zamiast roztaczać typowy dla siebie zapach najnowszej wody kolońskiej miesiaca dla macho, śmierdział starym potem. Wyglądał bardziej na bandziora niż na glinę.

Zanim Grace zdążył cokolwiek powiedzieć, Branson otoczył go ramionami, ścisnął mocno i przycisnął mokry policzek do twarzy przyjaciela.

- Roy, wyrzuciła mnie! O Boże, stary, wyrzuciła mnie!

Grace zdołał jakoś wprowadzić go do domu, do salonu i posadzić na kanapie. Siadając obok niego i obejmując ramieniem jego potężne bary, spytał ostrożnie:

- Ari?

- Wyrzuciła mnie.

- Wyrzuciła cię? Co chcesz przez to powiedzieć?

Glenn Branson pochylił się do przodu, oparł łokcie na stoliku do kawy i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie mogę tego znieść. Roy, musisz mi pomóc. Ja się nie zgadzam.

- Może ci coś przyniosę. Co chcesz? Whisky? Kieliszek wina? Kawę?



- Ja chcę Ari. Chcę Sammy'ego. Chcę Remiego. - I rozszlochał się na dobre.

Przez chwilę Grace przyglądał się złotej rybce. Patrzył, jak Marlon dryfuje, z rzadka robiąc przerwę w swojej podróży dookoła świata, jak obojętnie otwiera i zamyka pyszczek. Złapał się na tym, że jego usta też otwierają się i zamykają. Wstał, wyszedł z pokoju i otworzył butelkę courvoisiera od lat pokrywaną się kurzem w szafce pod schodami. Nalał trochę do szklanki, którą wcisnął w wielkie łapska Glenna.

- Napij się trochę - powiedział.

Branson obejmował szklankę dłońmi, przez chwilę wpatrując się w nią w milczeniu, jakby szukał jakiejś wiadomości, którą spodziewał się znaleźć wypisaną na powierzchni trunku. W końcu wziął mały łyk, natychmiast po nim wielki haust, a następnie odstawił szklankę, nie przestając się w nią wpatrywać ponurym wzrokiem.

- Rozmawiaj ze mną - powiedział Grace, spoglądając na nieruchomy, czarno-biały obraz z Orsonem Wellesem i Josephem Cottenem na ekranie telewizora. - Powiedz mi. Powiedz, co się stało?

Branson podniósł wzrok i również zapatrzył się w ekran.

- Tu chodzi o lojalność, co? Przyjaźń. Miłość. Zdrada - wymamrotał.

- O czym mówisz?

- Ten film. - Glenn zaczął mówić urywanymi zdaniem: - „Trzeci człowiek”. Reżyseria Carol Reed. Ta muzyka. Cytra. Za każdym razem mnie bierze. Orson Welles wcześniej osiągnął szczyt, ale później nie potrafił już powtórzyć sukcesu. To było jego tragedią. Biedny sukinsyn. Zrobił kilka największych filmów wszechczasów. A jak większość ludzi go pamięta? Jako grubasa z reklamówek sherry.

- Nie całkiem chwytam, o czym mówisz.

- Domecq. Myślę, że to to. Domecq sherry. Możliwe. Ale kogo to obchodzi? - Glenn podniósł szklankę i opróżnił ją do dna. - Jadę. Pieprzę to.

Grace czekał cierpliwie. Nie było mowy, żeby pozwolił Glennowi dokądkolwiek jechać. Jeszcze nigdy nie widział przyjaciela w takim stanie.

Glenn bezwiednie podniósł szklankę.

- Chcesz jeszcze?

Spuszczając wzrok i wbijając go w stolik, odpowiedział:

- Cokolwiek.

Grace nalał mu na cztery palce. Ponad dwa miesiące temu Glenn został postrzelony podczas pościgu, który organizował Grace - i od tego czasu stale czuł się winny jak diabli. Kula kalibru .38, która trafiła Bransona, jakimś cudem wyrządziła stosunkowo niewielkie szkody. Pół cala w prawo i byłaby to zupełnie inna historia. Zaokrąglony pocisk o małej prędkości wszedł w jamę brzuszną sporo poniżej żeber i zdołał ominąć kręgosłup, tętnicę główną, żyłę główną dolną i moczowód. Uszkodził natomiast część pętli jelit, które trzeba było poddać resekcji, oraz tkankę miękką, głównie tłuszczową i mięśniową, co również wymagało operacji. Wypuszczono go ze szpitala po dziesięciu dniach na dalszą, długotrwałą rekonwalescencję w domu.

W ciągu następnych dwóch miesięcy nie było dnia ani nocy, żeby Grace nie odtwarzał w pamięci zdarzeń podczas tamtego pościgu. Ciągłe od nowa, bez końca. Mimo całego planowania i podjętych środków ostrożności, wszystko poszło fatalnie. Żaden ze zwierzchników nie miał do niego pretensji, ale w głębi duszy Grace czuł się winny, ponieważ człowiek pod jego komendą został postrzelony. Fakt, że Branson był jego najlepszym przyjacielem, dodatkowo pogarszał sprawę.

Na domiar złego wcześniej, podczas tej samej akcji, inny z jego funkcjonariuszy, niebywale bystra, młoda detektyw EmmaJane Boutwood została ciężko ranna przy próbie zatrzymania furgonetki i wciąż przebywała w szpitalu.

Cytat z filozofa, którego ostatnio czytał, dawał pewne pocieszenie i utkwiał mu w pamięci. „Życie można zrozumieć, tylko patrząc nań wstecz. Życie jednak trzeba naprzód” - brzmiał ten cytat z Sorena Kierkegaarda.

- Ari - powiedział nagle Glenn. - Jezu, nie rozumiem tego.

Grace wiedział, że przyjaciel ma problemy małżeńskie. To było do przewidzenia. Funkcjonariusze policji pracują w szalonych, nieregulowanych porach. Jeśli nie zawierają małżeństwa z kimś, kto również jest w służbie i potrafi to zrozumieć, problemy są prawie pewne. Przechodził przez to dosłownie każdy glina. Może Sandy też miała z tym problem, tylko nigdy o tym nie mówiła. Może to dlatego znikła. Może po prostu któregoś dnia miała dość, zwinęła się i sobie poszła? Była to tylko jedna z wielu możliwości tego, co się z nią stało w tamtą lipcową noc. W jego trzydzieste urodziny.

Dziewięć lat temu, a jakby wczoraj.

Branson popił jeszcze trochę brandy i rozkaszał się gwałtownie. Kiedy skończył, spojrzął na Grace'a wielkimi, pełnymi żalu oczami.

- Co ja mam zrobić?
- Powiesz mi, co się stało?
- Ari miała dość. To się stało.
- Dość czego?
- Mnie. Naszego życia. Sam nie wiem. Po prostu nie wiem - powiedział, patrząc przed siebie. - Chodziła na te całe kursy samodoskonalenia. Mówiłem ci, że kupuje mi te wszystkie książki „Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus”, tak? „Dlaczego kobiety nie umieją czytać map, a mężczyźni nie umieją znaleźć jedzenia w lodówce?” i tego rodzaju gówna, tak? No więc była coraz bardziej wściekła, że wciąż wracam do domu późno i jej przepadają te kursy, bo musi tkwić w domu z dziećmi. Rozumiesz?

Grace podniósł się, żeby nalać sobie następną whisky. Nagle odczuł przemożną chęć zapalenia papierosa.

- Ale zdawało mi się, że to przede wszystkim ona zachęcała cię, żebyś wstąpił do policji?

- No. I teraz jedną z rzeczy, które wkurzają ją najbardziej, są godziny. Bądź tu mądry, jak taka kobieta myśli.

- Jesteś bystry, ambitny, robisz duże postępy. Czy ona to rozumie? Wie, jaką masz dobrą opinię u przełożonych?

- Wydaje mi się, że gówno ją to obchodzi.
- Nie opowiadaj, stary! Glenn, za dnia pracowałeś jako ochroniarz, a po nocach stałeś na bramce. Do czego, u diabła, mogłeś dojść? Sam mi mówiłeś, że kiedy urodził się twój syn, doznałeś objawienia. Nie chciałeś, żeby musiał opowiadać kolegom w szkole, że jego tata jest bramkarzem w nocnym klubie. Chciałeś robić coś, z czego mógłby być dumny, prawda?

Branson bez przekonania wpatrywał się w szklankę, która jakimś trafem znów była pusta.

- No.
- Nie rozumiem...
- Nie ty jeden.

Widząc, że alkohol przynajmniej uspokaja Glenna, Grace wziął jego szklankę, dolał mu jeszcze na dwa palce i podał. Myślał o swoim doświadczeniu dzielnicowego, kiedy musiał odrabiać przypadającą na niego działkę interwencji domowych. Wszyscy policjanci nienawidzą wezwań do domowych awantur. Oznacza to najczęściej wejście do domu, w którym między parą idzie na noże, zazwyczaj jedno lub oboje są pijani i wiadomo, że można zaliczyć cios w szczękę albo dostać krzesłem za fatygę. Jednak to doświadczenie dało Grace'owi pewną podstawową wiedzę w zakresie prawa domowego.

- Czy kiedykolwiek użyłeś przemocy wobec Ari?
- Chyba żartujesz. Nigdy. Przenigdy. Nie ma takiej możliwości - zaprzeczył Glenn z naciskiem.

Grace wierzył mu. Jego zdaniem przemoc wobec bliskich byłaby sprzeczna z naturą Bransona. To wielkie ciało należało do najmilszego, najlepszego, najdelikatniejszego człowieka.

- Macie hipotekę?
- Tak, ja i Ari na spółkę.

Branson odstawił szklankę i znów się rozplakał. Po kilku minutach łamiącym się głosem wyznał:

- Jezu, żałuję, że ta kula wszystko ominęła. Chciałbym, żeby mi wyrwała pieprzone serce.

- Nie mów tak.

- Kiedy to prawda. Tak się czuję. Wszystko, kurwa, nie tak. Była na mnie wściekła, kiedy pracowałem dwadzieścia cztery na siedem, bo nigdy nie było mnie w domu, teraz chodzi wkurzona, bo jestem w domu od siedmiu tygodni. Mówi, że się jej plącze pod nogami.

Grace zastanawiał się przez chwilę.

- To twój dom. Tak samo twój, jak Ari. Może być na ciebie wściekła, ale nie może cię ot, tak wyrzucić. Masz swoje prawa.

- Jasne. Wiesz, jaka jest Ari.

Grace wiedział. Była bardzo atrakcyjną, dwudziestokilkuletnią damą o silnej woli, która zawsze nie pozostawiała cienia wątpliwości co do tego, kto rządzi w domu Bransonów. Glenn mógł sobie nosić spodnie, ale wyglądał w nich przez rozporek.

Była już prawie piąta rano, kiedy Grace wyciągnął ze schowka kilka prześcieradeł i koc, żeby przygotować posłanie dla przyjaciela. Butelki whisky i brandy były prawie puste, w popielniczce leżało kilkanaście niedopałków. Już prawie zupełnie rzucił palenie - po tym, jak ostatnio pokazano mu w prosektorium szerniałe płuca nałogowego palacza - ale wielogodzinne posiedzenia przy alkoholu nadweręzały jego siłę woli.

Zdawało się, że minęło zaledwie parę minut, kiedy zaczęła dzwonić jego komórka. Zerknął na zegar cyfrowy koło łóżka, z którego dowiedział się ku swemu zdumieniu, że jest 9.10.

Wiedział prawie na pewno, że to telefon z pracy, więc odczekał kilka dzwonek, usiłując dobudzić się na tyle, żeby nie mówić jak zawiany. W głowie czuł, jakby krajarka do sera przerzynała mu mózg. Był dyżurnym oficerem dochodzeniowym w tym tygodniu i powinien być w biurze od 8.30, przygotowany na każdy możliwy wypadek. W końcu odebrał.

- Roy Grace.

Poważnie brzmiący głos młodego cywilnego dyspozytora Jima Waltersa, z którym Grace rozmawiał kilka razy, ale go nie znał.

- Panie nadkomisarzu, jest do pana prośba od detektywa sierżanta z Brighton Central, żeby pan zajął się sprawą podejrzanego zgonu w domu przy Dyke Road Avenue w Hove.

- Jakie szczegóły możecie mi podać? - spytał Grace, teraz już w pełni czujny, sięgając po swojego BlackBerry.

Po rozłączeniu się czym prędzej wciągnął na siebie szlafrok, nalał wody do kubka od mycia zębów, z szafki w łazience wyjął paracetamol, przełknął dwie tabletki, następnie wydobyl z opakowania jeszcze dwie i poczłapał do pokoju gościnnego, cuchnącego alkoholem i niemytym ciałem. Potrząsnął Glenna Bransona za ramię.

- Pobudka, tu twój terapeuta z piekła rodem!

Branson na wpół otworzył jedno oko, jak ślimak ostrożnie wyglądający ze swojej bezpiecznej skorupy.

- Co jest, kurwa, stary? - wybełkotał, łapiąc się za głowę. - Jasna cholera, ile ja wczoraj wypilem? Łeb mam jak...

Grace podał mu kubek i tabletki.

- Przyniosłem ci śniadanie do łóżka. Masz dwie minuty, żeby wziąć prysznic, ubrać się, połknąć to i coś przegryźć w kuchni.

Idziemy do roboty.

- Nie ma mowy. Jestem na chorobowym. Jeszcze cały tydzień.

- Już nie. Zalecenie twojego terapeuty. Koniec z chorobą! Musisz natychmiast wracać do pracy. Dzisiaj, w tej chwili. Jedziemy na oględziny zwłok.

Powoli, jakby obolały, Branson spuścił nogi z łóżka. Grace dostrzegł okrągły, pozbawiony koloru ślad kilka cali nad jego pępkiem, w miejscu, gdzie weszła kula. Wydawał się taki mały. Przerazająco mały.

Glenn wziął tabletki, popił wodą, po czym wstał i przez chwilę zdezorientowany dreptał w kółko w samych bokserkach, drapiąc się po jajach.

- Cholera, chłopie, nic tu nie mam, tylko te śmierdzące łachy. Nie mogę w tym oglądać zwłok.

- Zwłokom będzie wszystko jedno - zapewnił go Grace.

## Rozdział 6

Telefon Skunksa dzwonił i wibrował. Świecąc, wił się jak wielki, oszalały, ranny żuk na obudowie zlewu, gdzie go zostawił.

Po trzydziestu sekundach udało mu się go obudzić. Usiadł gwałtownie, jak co rano waląc głową w niski sufit swojego zdezelowanego kampera.

- Jasny szlag.

Telefon spadł z krawędzi zlewu i teraz podskakiwał na wąskim pasku wykładziny, nie przestając kurewsko hałasować. Zabrał go zeszłej nocy z samochodu, który ukradł. Właściciel nie był uprzejmy zostawić instrukcji obsługi ani pinu. Skunks był zbyt zakręcony, żeby domyślić się, jak wyciszyć dzwonek, a nie chciał ryzykować wyłączenia, bo mógłby potrzebować pinu, żeby włączyć komórkę z powrotem. Miał do wykonania kilka telefonów, zanim właściciel zorientuje się, że komórka przepadła, i odłączy ją. Między innymi dzwonił do swojego brata Micka, mieszkającego w Sydney, w Australii, z żoną i dziećmi. Mick jednak nie był zachwycony, że go słyszy, powiedział, że jest czwarta rano, i rozłączył się.

Po kolejnej serii pisków i bzyków telefon zamilkł z rozładowaną baterią. Był w porządku, w błyszczącej obudowie ze stali nierdzewnej, najnowsza generacja Motoroli. Cena detaliczna w sklepie, bez żadnej specjalnej oferty, wynosiłaby jakieś trzysta funtów. Jeśli mu się pofarci, to prawdopodobnie wytarguje za niego tego ranka dwadzieścia pięć.

Zdał sobie sprawę, że się trzęsie. I ta czarna, nieokreślona niemoc rozchodząca się żyłami po całym ciele, kiedy tak leżał na prześcieradłach w podkoszulce bez rękawów i majtkach, na przemian pocąc się i drżąc. Co rano budził się z poczuciem, że świat jest nieprzyjazną jamą, która zawali się nad nim i pogrzebie go. Na zawsze.

Skorpion przeszedł mu po oczach.

- Ożeż kurwa, spierdalaj!

Usiadł, waląc się znów w głowę, i krzyknął z bólu. To nie był skorpion. To nic nie było. To tylko jego umysł się z nim szarpał. W ten sposób mówił mu, że robaki żrą jego ciało. Tysiące robaków pełzało po nim, tak ciasno jeden przy drugim, że były jak druga skóra.

- Spierdalać! - wrzasnął, strzepując je z siebie, zaklął jeszcze głośniejsze, po czym uświadomił sobie, że nie ma tam żadnych robaków, tak samo jak nie było skorpiona.

To tylko jego umysł. Coś mu mówi. Tak samo jak codziennie. Mówi mu, że potrzebuje trochę brązowej substancji. Albo białej. Jezu, czegokolwiek.

Mówi mu, że musi wyjść z tego zaduchu śmierdzących stóp, cuchnących łachów i skwaśniałego mleka. Musi wstać, iść do swojego biura. Bethany podobało się, kiedy nazywał to biurem. Uważała to za zabawne. Miała dziwny śmiech, który wykręcał jej drobne usta tak, że na chwilę zniknął kolczyk w górnej wardze. Nigdy nie wiedział, czy śmieje się z nim, czy z niego.

Ale troszczyła się o niego. Tyle umiał wyczuć. Przedtem nie znał tego uczucia. Widział w telewizji postacie z oper mydlanych, które mówiły o troszczeniu się o siebie nawzajem, ale nie wiedział, co to znaczy, dopóki jej nie spotkał - nie poderwał - w Escape-2 w piątkowy wieczór kilka tygodni, a może kilka miesięcy temu.

Troszczyła się o niego w tym sensie, że zaglądała tu od czasu do czasu. Przynosiła jedzenie, sprzątała, prała jego ubrania, opatrywała wrzody, jakich czasem dostawał, i uprawiała z nim niezręczny seks, a potem



odchodziła w pośpiechu w dzień albo w nocy.

Pomacał na półce za swoją dwukrotnie uderzoną głową, wyciągając chudą rękę z wytatuowaną linią oplatającą ją na całej długości. Znalazł paczkę papierosów, plastikową zapalniczkę i popielniczkę z folii aluminiowej, leżące obok jego noża sprężynowego, który zawsze trzymał otwarty, na wszelki wypadek.

Ze strąconej na podłogę popielniczki wysypało się kilka petów i smuga popiołu. Wytrząsał z paczki camela, zapalił i z papierosem w ustach położył się znów na zbitej w grudy poduszce. Zaciągnął się głęboko, po czym powoli wypuścił dym przez nozdrza. Słodko. Jaki niewiarygodnie słodki smak! Na chwilę opuściła go niemoc. Poczul, że serce zabiło mu mocniej. Przyływ energii. Wracal do życia.

Słyhać było, że na zewnątrz, w jego biurze panuje ruch. Rozległ się dźwięk syreny i oddalił. Przejechał autobus, psując powietrze naokoło. Ktoś trąbił niecierpliwie. Terkotał motorower. Sięgnął po pilota. Dźgał go kilka razy, zanim znalazł właściwy guzik, żeby włączyć telewizor. Ta czarna dziewczyna, Trisha, którą dość lubił, przeprowadzała wywiad z łkającą kobietą, której mąż właśnie wyznał, że jest gejem. Światelko pod ekranem pokazywało 10.36.

Wcześniej. Nikogo jeszcze nie będzie. Żadnego z jego współpracowników jeszcze nie będzie w biurze.

Przejechał następny samochód na sygnale. Rozkaszał się od papierosa. Zwlókszy się z łóżka, przestąpił ostrożnie przez śpiącego palanta z Liverpoolu - jego imienia nie potrafił zapamiętać - który wrócił ze swoim kumplem w środku nocy. Wypalili trochę towaru i wypili butelkę wódki zwiniętą przez jednego z nich w monopolowym. Na szczęście tamten odpieprzył się, kiedy się obudził, i stwierdził, że nie ma nic do żarcia ani nie zostało towaru i wódy.

Wyjął z lodówki jedyną znajdującą się w niej rzecz - do połowy pełną butelkę cieplej coca-coli. Lodówka nie działała, odkąd miał tego kampera.

Przy odkręcaniu zakrętki rozległ się słaby syk. Płyn smakował dobrze. Magicznie.

Przechylił się przez kuchenny zlew pełen talerzy wymagających zmywania i kartonów do wyrzucenia - kiedy znów przyjdzie Bethany - i rozsunał pomarańczowe, cętkowane zasłonki. Jaskrawe światło słoneczne uderzyło go w twarz jak wrogi promień lasera. Poczul, jak parzy mu siatkówki. Wypala je.

Światło obudziło Ala, jego chomika. Mimo że jedną łapkę miał w łubkach, wskoczył do swojego kołowrotka i zaczął biegać. Skunks zajrzał przez pręty klatki, żeby sprawdzić, czy stworzonko ma dość wody i karmy. Wyglądało, że jest w porządku. Potem wyrzucił z klatki odchody. To było jedyne zajęcie domowe, jakie kiedykolwiek wykonywał.

Szarpnięciem zaciągnął zasłonki z powrotem. Upił jeszcze trochę coli, podniósł z podłogi popielniczkę i po raz ostatni zaciągnął się papierosem, do samego filtra, zanim zdusił niedopałek. Znów chwycił go przeciągły, bolesny kaszel, który męczył go od kilku dni. Może nawet tygodni. Nagle oszołomiony, trzymając się ostrożnie zlewu i oparcia szerokiego siedziska, wrócił na swoją koję. Położył się. Odgłosy dnia wirowały wokół niego. To były jego dźwięki, jego rytmy, puls i głosy jego miasta. Tu się urodził i tu, bez wątplenia, kiedyś umrze.

To było miasto, któremu nie był potrzebny. Miasto ze sklepami pełnymi rzeczy, na które nigdy nie będzie go stać, z całą sztuką i kulturą poza jego zasięgiem, z jachtami, z golfem, agentami od nieruchomości, prawnikami, biurami podróży, turystami, uczestnikami konferencji, policją. Na wszystko patrzył jak na potencjalne łupy zapewniające mu przetrwanie. Nie obchodziło go, kim są ci ludzie. Nigdy go to nie obchodziło. Oni i ja.

Oni mieli rzeczy. Rzeczy oznaczały forszę.

A forsa oznaczała przetrwanie kolejnej doby.

Dwadzieścia funtów z telefonu pójdzie na działkę heroiny albo cracku, czegokolwiek, co będzie do dostania. Pozostałą piątkę, jeśli ją uzyska, wyda na coś do jedzenia, picia i na fajki. Uzupelni to tym, co jeszcze uda mu się dziś ukraść.

## Rozdział 7

Zapowiadała się wielka rzadkość - piękny dzień angielskiego lata. Nawet wysoko na Downs nie było czuć najłżejszego powiewu.

Do 10.45 słońce już wypaliło większość rosy z wykwintnych greenów i fairwayów Klubu Golfowego w Północnym Brighton, a w powietrzu unosił się oszłamiający zapach świeżo skoszonej trawy i pieniędzy. Upał był tak gęsty, że niemal można go było zdrapywać ze skóry.

Na parkingu połyskiwał kosztowny metal. Jedynymi dźwiękami, poza przerywanym *parp-parp-parp* natarczywego alarmu samochodowego, było bzyczenie owadów, uderzenia tytanu o wytłaczany polimer, warkot elektrycznych wózków, gwałtownie wyciszane dzwonki komórek i sporadyczne stłumione przekleństwo gracza po wyjątkowo spartaczonym uderzeniu.

Widok z tego miejsca sprawiał, że można się było poczuć jak na szczycie świata. W kierunku południowym rozciągała się panorama miasta Brighton i Hove, z dachami domów, skupiskiem wysokościorców na nadbrzeżu od strony Brighton i pojedynczym kominem elektrowni Shoreham. Dalej, zazwyczaj szare wody kanału La Manche były dziś błękitne jak Morze Śródziemne.

Na południowym zachodzie, w oddali, można było dostrzec sylwetkę eleganckiego nadmorskiego miasteczka Worthing niknącą, jak wielu jego starszych mieszkańców, za mgiełką. Na północ rozciągał się nieprzerwanie, jeśli nie liczyć kilku silosów, widok zielonych łąk Downland i pól

pszenicy. Na niektórych, świeżo zżętych, klockowate lub cylindryczne bele porozkładane były jak pionki na rozległej planszy do gry, na innych pracowały kombajny, które z tej odległości wyglądały jak dziecięce zabawki.

Jednak większość członków klubu znajdujących się na polu golfowym widywała te obrazy tak często, że ledwo je zauważała. Gracze stanowili mieszkankę elity Brighton i Hove, składającej się z przedstawicieli wolnych zawodów i biznesmenów (oraz tych, którzy lubili sobie wyobrażać, że należą do elity), całej galerii pań, dla których golf stał się osią ich świata, oraz dużej liczby emerytów, w większości mężczyzn sprawiających wrażenie nieco zagubionych, jakby nie całkiem tu pasowali.

Bishop przy dziewiątym, pocąc się jak wszyscy, skoncentrował się na połyskliwej bieli titleist, którą właśnie ustawił na tee. Usztywnił kolana, wysunął biodra i wzmocnił uchwyt kija, szykując się do próbnego zamachu. Zawsze pozwalał sobie na jeden próbny. To była dyscyplina, a on wierzył w przestrzeganie dyscypliny. Ignorując brzęczenie trzmiela, spojrział gniewnie na biedronkę, która nagle wylądowała na trawie tuż przed nim. Jakby zamierzając zostać na dłużej, schowała skrzydła pod pancerzykiem.

Próbował przypomnieć sobie, co kiedyś matka powiedziała mu o biedronkach. Jakiś przesąd, że jakoby przynoszą szczęście i pieniądze. Nie był szczególnie przesądny, w każdym razie nie bardziej niż inni. Świadom, że jego trzej partnerzy czekają na swoją kolej i że gracze za nimi są już na greenie, przyklęknął, dłońią w rękawiczce delikatnie podniósł pomarańczowo-czarne stworzenie i strząsnął je w bezpieczne miejsce. Potem znów przyjął postawę, skoncentrował się i nie zwracając uwagi na własny cień padający na wprost, nie zwracając uwagi na trzmiela, który wciąż krążył w pobliżu, wykonał próbny zamach. Jest! - wykrzyknął w duchu.

Mimo że tego ranka przyjechał do klubu zmordowany, grał jak w transie. Trzy poniżej para na pierwszych ośmiu dołkach. Żaden z jego partnerów ani dwóch przeciwników nie wierzył własnym oczom. Owszem,

był graczem klubowym dość wysokiej klasy, z handicapem utrzymującym się konsekwentnie od wielu lat na poziomie osiemnastu, ale dziś sprawiał wrażenie, jakby połknął jakąś pigułkę szczęścia, która odmieniła zarówno jego poważny zazwyczaj nastrój, jak i jego grę. Zamiast chodzić z nimi markotny i milczący, pogrążony we własnym wewnętrznym świecie, sypał dowcipami, a nawet klepał ich po plecach. Tak jakby jakiś osobisty demon, którego zazwyczaj nosił w duszy, został przegnany. Przynajmniej chwilowo.

Teraz musiał tylko uniknąć kłopotów z tym dołkiem, żeby zakończyć pierwsze dziewięć w wielkim stylu. Po prawej miał kępę drzew z gęstym podszytem, w którym piłka mogła przepaść bez śladu. Po lewej mnóstwo otwartego terenu. Zawsze najbezpieczniej było mierzyć trochę w lewo od tego dołka. Dziś jednak czuł się tak pewny siebie, że zamierzał postać piłkę prosto w green. Podszedł do piłki, uderzył swoją Grubą Bertą i znów mu się udało. Z najsłodszy dla uszu dźwiękiem piłka wystrzeliła prosto przed siebie, zakreśliła łuk na tle bezchmurnego, kobaltowego nieba, po czym potoczyła się i stanęła kilka jardów przed greenem.

Jego bliski przyjaciel Glenn Mishon, któremu grzywa brązowych włosów nadawała raczej wygląd podstarzałej gwiazdy rocka, a nie najlepiej w Brighton prosperującego agenta od nieruchomości, z uśmiechem pokręcił głową.

- Cokolwiek to jest, co wzięłeś, chłopie, ja też chcę trochę! - powiedział.

Brian odsunął się, wsunął kij do torby i przyglądał się, jak partner składa się do uderzenia. Jeden z jego przeciwników, drobny Irlandczyk, dentysta w okularach +4 i berecie w szkocką kratę z pomponem pociągał z oprawionej w skórę piersiówki, raz za razem proponując wszystkim kolejkę, mimo że była dopiero 10.50. Drugi, Ian Steel, dobry gracz, którego znał od kilku lat, miał na sobie wyglądające na drogie bermudy i koszulkę polo z emblematem Hilton Head Island.

Żadne z ich uderzeń nie umywało się do jego.

Chwyciwszy wózek, ruszył przed siebie, trzymając się z dala od

pozostałych, zdecydowany utrzymać koncentrację i nie rozpraszać się na pogawędki. Gdyby udało mu się zakończyć pierwsze dziewięć efektywnym, pojedynczym strzałem do dołka, miałby cztery poniżej para - niesłychana historia. Mógłby to zrobić! Tak cholernie blisko greenu!

Czterdziestojednoletni Bishop miał nieco ponad sześć stóp wzrostu, szczupłą sylwetkę, pociągłą, przystojną twarz emanującą chłodem i brązowe włosy starannie zaczesane do tyłu. Ludzie często zwracali uwagę na jego podobieństwo do aktora Clive'a Owena, o co nie miał pretensji. Nawet mu się to podobało, sycąc jego nie najskromniejszych rozmiarów ego. Zawsze odpowiednio - choć pretensjonalnie - ubrany na każdą okazję, tego ranka miał na sobie niebieską, otwartą pod szyją koszulkę polo od Armaniego, spodnie w kratę, nienagannie wyglansowane, dwukolorowe buty do golfa i okulary przeciwsłoneczne bez podziału Dolce&Gabbana.

Normalnie w tygodniu nie miałby czasu na grę w golfa, ale odkąd ostatnio został wybrany do zarządu tego prestiżowego klubu - z ambicją zostania kapitanem - zaczęło być ważne, aby widywano go uczestniczącego we wszystkich klubowych imprezach. Samo bycie kapitanem nie znaczyło dla niego tyle, co widoczne oznaki prestiżu związane z tym tytułem. Klub był dobrym miejscem do nawiązywania kontaktów i należało do niego kilku inwestorów z jego branży. Tak samo ważne, jeśli nie ważniejsze, było uszczęśliwienie Kathy przez pomoc w realizacji jej towarzyskich ambicji, do czego niestrudzenie dążyła.

Kathy sprawiała wrażenie, jakby miała w głowie zaczerpniętą z podręcznika dla pnących się po szczeblach drabiny społecznej listę, na której należy odfajkować kolejne pozycje. *Wstąpić do klubu golfowego* - odfajkowane; *wejść do zarządu* - odfajkowane; *wstąpić do Rotary* - odfajkowane; *zostać prezesem oddziału Rotary* - odfajkowane; *wejść do zarządu Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci* - odfajkowane; *Rocking Horse Appeal\** - odfajkowane. Ostatnio zaczęła nową listę, planując na dobre dziesięć lat z góry. Powiedziała mu, że muszą utrzymywać stosunki z ludźmi, którzy pewnego dnia wybiorą go na Naczelnego Szeryfa lub Lorda Gubernatora

Wschodniego albo Zachodniego Sussex.

\* Organizacja zajmująca się zbieraniem funduszy na specjalistyczny sprzęt medyczny dla szpitali dziecięcych – przyp. tłum.

Przystanąwszy w nakazanej uprzejmością odległości za pierwszą z czterech piłek na fairwayu, zauważył z pewną dozą pyszałkowatości, jak daleko przed innymi znajduje się jego własna piłka. Teraz, z bliska, mógł w pełni ocenić, jak dobre było jego uderzenie. Do greenu brakowało niecałe dziesięć stóp.

- Wspaniały strzał - powiedział Irlandczyk, wyciągając do niego piersiówkę, na co on wykonał gest odmowny.

- Dzięki Matt. Za wcześniej jak dla mnie.

- Wiesz, co powiedział Frank Sinatra? - zagadnął Irlandczyk.

Uwagę Bishopa zwrócił nagle widok sekretarza klubu, wytwornego byłego oficera, który stojąc przed budynkiem klubowym, wskazywał ich jakimś dwóm mężczyznom.

- Nie. Co? - spytał.

- Powiedział: „Żał mi ludzi, którzy nie piją, bo kiedy budzą się rano, nic lepszego ich tego dnia nie czeka”.

- Nigdy nie byłem fanem Sinatry - skomentował Bishop, patrząc chmurnie na trzech mężczyzn, którzy zdecydowanym krokiem zmierzali w ich stronę. - Niepoważny goguś.

- Nie trzeba być fanem Sinatry, żeby lubić się napić.

Ignorując piersiówkę, którą Irlandczyk podsunął mu po raz drugi, skupił się na decyzji wielkiej wagi, dotyczącej wyboru kija. Elegancko byłoby wziąć pitching wedge i, jak miał nadzieję, jednym krótkim uderzeniem wbić piłkę do dołka. Jednak lata ciężkich doświadczeń w tej grze nauczyły go, że kiedy ma się przewagę, należy to wykorzystać. W dodatku był sierpień i na tym suchym podłożu dobrze wyważony putt, nawet jeśli spoza greenu, byłby o wiele bezpieczniejszy. Dziewiczy green wyglądał jak ogolony przez fryzjera brzytwą zdolną poderżnąć gardło, a nie skoszony. Przypominał filc na stole bilardowym. Tego ranka wszystkie greeny dawały śmiertelną prędkość.

Patrzył, jak sekretarz klubu, w niebieskim blezerze i spodniach z szarej flaneli, zatrzymuje się po drugiej stronie greenu i wskazuje na niego. Stojący po jego bokach dwaj mężczyźni - jeden wysoki, łysy i czarny, w eleganckim brązowym garniturze, drugi równie wysoki, bardzo szczupły, biały, w niebieskim garniturze, który źle na nim leżał - skinęli głowami. Stali nieruchomo i przyglądali się. Był ciekaw, kim są.

Irlandczyk posłał piłkę do bunkra i zaklął głośno, Ian Steel jako następny uderzył doskonale dobranym żelazem numer dziewięć. Jego piłka potoczyła się i stanęła kilka cali od flagi oznaczającej położenie dołka. Partner Bishopa Glenn Mishon uderzył piłkę za wysoko. Spadła dobre dwadzieścia stóp przed greenem.

Bishop przez chwilę obracał w rękach swój putter, jednak postanowiwszy popisać się przed sekretarzem czymś bardziej klasycznym, włożył go z powrotem do torby i zamiast niego wybrał pitching wedge.

Kiedy przyjął postawę, jego długi, chudy cień padł na piłkę. Wykonał próbny zamach, następnie wyszedł do przodu i uderzył. Główna kija za wcześnie zetknęła się z ziemią, wyrrywając wielki kawał darni. Patrzył skonsternowany, jak piłka wybita pod niemal idealnym kątem prostym wpada do bunkra.

Niech to szlag!

Wraz z fontanną piasku wydobył piłkę z bunkra, ale wylądowała dobre trzydzieści stóp od flagi. Wielkim puttem udało mu się skierować ją na odległość niecałych trzech stóp od dołka, do którego wbił ją, kończąc z jednym nad parem.

Podliczyli swoje wyniki. Na dotychczasowych dziewięciu dołkach wciąż miał godne uznania dwa poniżej para, ale w duchu kłął. Gdyby wybrał bezpieczniejszą opcję, mógłby skończyć z drużogącymi czterema poniżej para.

Kiedy ruszył, ciągnąc swój wózek po krawędzi greenu, zastąpił mu drogę wysoki, czarny mężczyzna.

- Pan Bishop? - głos był silny, głęboki i pewny siebie.

Zatrzymał się zirytowany.



- Tak?

Następną rzeczą, jaką zobaczył, była legitymacja policyjna.

- Detektyw sierżant Branson z Wydziału Kryminalnego Policji Sussex. A to mój kolega, detektyw Nicholl. Czy można zamienić z panem słowo?

Jakby nagle wielki cień przesłonił niebo.

- Na jaki temat? - spytał.

- Przykro mi, proszę pana - odparł policjant, przybierając przepraszający wyraz twarzy, co wyglądało na autentyczne. - Wolałbym nie mówić o tym tutaj.

Bishop zerknął na pozostałych trzech graczy. Zbliżył się do Bransona i ścisząc głos w nadziei, że nikt go nie usłyszy, powiedział:

- To naprawdę nie jest dobry moment. Jestem w połowie turnieju golfa. Czy nie można z tym zaczekać, aż skończę?

- Przykro mi, ale to bardzo ważne - nalegał Branson.

Sekretarz klubu rzucił mu krótkie spojrzenie, z którego trudno było cokolwiek wyczytać, po czym udał niezmiernie zainteresowanego czymś w zmierzwionej trawie pod swoimi nogami.

- O co chodzi? - spytał Bishop.

- Musimy porozmawiać o pańskiej żonie. Obawiam się, że nie mamy dla pana dobrych wiadomości. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan przejść z nami na chwilę do budynku.

- O mojej żonie?

Branson wskazał w kierunku budynku klubu.

- Naprawdę musimy pomówić na osobności, proszę pana.

## Rozdział 8

Sophie Harrington szybko podliczyła trupy. Na tej stronie było ich siedem. Przekartkowała do tyłu. Jedenaście cztery strony wcześniej. Dodała do tego cztery z zamachu bombowego z użyciem samochodu pułapki ze strony pierwszej, trzy zastrzelone z uzi z dziewiątej, sześć w prywatnym odrzutowcu z dziewiętnastej, pięćdziesiąt dwa w ostrzelanej melinie narkotykowej w Willesden ze strony dwudziestej ósmej. I teraz tych siedmiu handlarzy narkotyków na porwanym jachcie na Karaibach. Póki co osiemdziesiąt trzy trupy, a była dopiero na czterdziestej pierwszej stronie 136-stronicowego scenariusza.

Co za kupa gówna!

Tymczasem według e-maila od producenta, który dostała dwa dni temu, Anthony Hopkins, Matt Damon i Laura Linney już się zgodzili, Keira Knightley była w trakcie czytania, a reżyser Simon West, twórca „Lary Croft”, która jej zdaniem mogła ująć, i „Con Air - Lotu skazańców”, który naprawdę się jej podobał, jakoby przebierał nogami, żeby to robić.

Tak, tak, pewnie.

Metro wjeżdżało na stację. Naprzeciwko niej naćpany rastafarianin ze słuchawkami w uszach nie przestawał uderzać jednym pokrytym łachmanami kolanem o drugie, jednocześnie w tym samym rytmie miotając głową. Siedzący obok niego, starszy mężczyzna o rzadkich włosach spał z otwartymi ustami. Dalej, młoda, śliczna Azjatka w ogromnym skupieniu czytała czasopismo.

Na końcu wagonu, pod kołyszącymi się uchwytami i reklamą agencji zatrudnienia siedział strasznie wyglądający typ w bluzie od dresu z kapturem naciągniętym na głowę i w ciemnych okularach, długowłosa i brodaty. Twarz wsadził w jedną z darmowych gazet, które są rozdawane w godzinach szczytu przy wejściach do metra. Chwilami ssał sobie grzbiet prawej dłoni.

Od pewnego czasu Sophie weszło w nawyk przyglądanie się wszystkim pasażerom pod kątem kryteriów, jakie jej zdaniem mógłby spełniać zamachowiec samobójca. Stało się to jej kolejnym sposobem na zachowanie zapewniającej przetrwanie równowagi sił, takim samym jak rozglądanie się na obie strony przed przejściem przez jezdnię - automatycznie powtarzaną rutyną jej życia. W tej chwili jednak jej rutyna była nieco rozchwiana.

Była spóźniona, ponieważ przed przyjazdem do miasta musiała pozafatwiać różne sprawy. Była 10.30 i normalnie już od godziny siedziałyby w biurze. Zobaczyła przesuwany się napis Green Park, reklamy na ścianie stały się wyraźne i czytelne. Drzwi otworzyły się z sykiem. Wróciła do scenariusza, drugiego z dwóch, które zamierzała przeczytać do końca poprzedniego wieczoru, zanim jej nie przeszkodzono - i to jak! Boże, na samą myśl o tym robiła się niebezpiecznie napalona!

Przerzuciła stronę, starając się skupić w gorącym, dusznym wagonie jeszcze przez kilka minut, zanim będzie musiała wysiąść na następnej stacji Piccadilly, będącej celem jej podróży. W biurze czekało ją napisanie streszczenia scenariusza.

Historia, jak na razie... Obrzydliwie bogaty tatuś, zrozpaczony, bo jego piękna, dwudziestoletnia córka, jego jedyne dziecko, zmarła po przedawkowaniu heroiny, wynajmuje byłego najemnika, a obecnie płatnego zabójcę. Płatny zabójca otrzymuje nieograniczony budżet, żeby wytropić i zabić każdego w łańcuchu dostaw, od hodowcy maku do dilera, który sprzedał dziewczynie fatalną działkę.

Jednozdaniove streszczenie: „Życzenie śmierci” skrzyżowane z „Traffic”.

Pociąg już wjeżdżał na Piccadilly. Sophy wepchnęła scenariusz w eleganckiej, jaskrawo czerwonej okładce do plecaka, razem z laptopem, egzemplarzem do połowy przeczytanej książki z gatunku literatury kobiecej „Alfabetyczne weekendy” i sierpniowym wydaniem „Harpers & Queen”. Nie był to magazyn takiego rodzaju, jaki odpowiadał jej najbardziej, ale jej ukochany - jej facet, jak ostrożnie mówiła o nim wyłącznie swoim dwóm najlepszym przyjaciółkom - był od niej trochę starszy i o wiele bardziej wyrafinowany, więc starała się nadać za tym, co akurat na topie w modzie, w kulinariach, we wszystkim, żeby stać się tą elegancką, odlotową, obytą w mieście dziewczyną pasującą do jego wielkiego jak świat ego.

Kilka minut później szła w lepkim upale zacienioną stroną Wardour Street. Kiedyś słyszała od kogoś, że jest to jedyna na świecie ulica, która ma obie strony ciemne - była to aluzja do mieszczących się tu firm branży zarówno muzycznej, jak i filmowej. Zawsze miała poczucie, że jest w tym coś z prawdy.

Dwudziestosiedmiolatka z długimi, brązowymi włosami kołyszącymi się przy szyi i atrakcyjną twarzą z zadartym nosem nie była piękną w żadnym klasycznym sensie, tak jak rozumieją to spece od reklamy, ale miała w sobie coś bardzo seksownego. Ubrana w lekką marynarkę khaki narzuconą na kremową podkoszulkę, workowate, mające wyglądać na niechlujne dzinsy i adidasy, jak zawsze wychodziła na spotkanie nowego dnia w biurze. Dziś jednak czuła ukłucie tęsknoty za swoim facetem, nie mając pewności, kiedy znów go zobaczy, i jeszcze dotkliwsze ukłucie zazdrości, bo on ten wieczór spędzi w domu i pójdzie do łóżka ze swoją żoną.

Wiedziała, że ten związek do niczego nie prowadzi. Nie wyobrażała sobie, że rzuci dla niej wszystko, co ma, nawet jeśli jego poprzednie małżeństwo - to, z którego miał dwoje dzieci - skończyło się rozwodem. Nie było to w stanie powstrzymać jej przed uwielbieniem dla niego. Nic na to nie mogła poradzić.

Wielbiła go totalnie, w każdym calu. Wszystko, co go dotyczyło. Nawet

sekretną naturę ich związku. Uwielbiała jego baczne rozglądanie się, kiedy wchodzili do restauracji, kilka miesięcy przedtem, zanim zaczęli ze sobą sypiać, żeby sprawdzić, czy nie zobaczy go ktoś znajomy. Jego SMS-y. E-maile. Jego zapach. Jego poczucie humoru. To, że ostatnio zaczął odwiedzać ją niespodziewanie w środku nocy. Tak jak ostatnio. Zawsze przyjeżdżał do jej małego mieszkania w Brighton, co wydawało się jej trochę dziwne, jako że miał mieszkanie w Londynie, w którym w tygodniu mieszkał sam.

Niech to szlag, pomyślała, dochodząc do drzwi biura. Niech to jasny szlag.

Przystanąła, żeby wyklepać SMS-a:

*Tęsknię! Uwielbiam Cię totalnie. Czuję się niebezpiecznie napalona!*  
XXXX

Otworzyła drzwi kluczem i kiedy była w połowie wąskich schodów, usłyszała dwa ostre dzwonki swojego telefonu. Zatrzymała się i przeczytała odebraną wiadomość.

Ku jej rozczarowaniu SMS pochodził od jej najlepszej przyjaciółki Holly:

*Chcesz iść na imprezę dziś wieczorem?*

Nie, pomyślała. Nie chcę iść na imprezę dziś wieczorem. Ani dziś wieczorem, ani wcale. Chcę tylko...

Czego, u diabła, ja chcę?

Przed sobą miała drzwi z umieszczonym na nich logo: błyskawicą z celuloidowej taśmy. Pod spodem napis cieniowanymi literami: Blinding Light Production.

Weszła do niewielkiego, odjazdowo urządzonego apartamentu zajmowanego przez biuro. Całe w meblach Perspex - krzesła i stoły z przezroczystego plastiku, dywany w kolorze akwamaryny, na ścianach plakaty filmów, z którymi wspólnicy firmy w różnych okresach mieli coś wspólnego. „Kupiec wenecki”, z twarzami Ala Pacino i Jeremy'ego Ironsa. Wczesny film Charlize Theron, który poszedł od razu na wideo. Film o wampirach, z Dougrayem Scottem i Saffron Burrows.

Przez małą recepcję z biurkiem Sophie i pomarańczową sofą przechodziło się do otwartej przestrzeni biurowej, gdzie siedział Adam, szef firmy i dyrektor ds. prawnych - ogolony na łyso, piegowaty, garbił się przed komputerem, ubrany w najkoszmarniejszą koszulę, jaką kiedykolwiek widziała (przynajmniej jeszcze koszmarniejszą od tej, jaką miał na sobie wczoraj) - oraz Christian, dyrektor finansowy, który intensywnie wpatrywał się w kolorowy wykres na ekranie. Ubrany był w jedną ze swoich niezliczonych jedwabnych koszul wyglądających na bajecznie drogie - tym razem kremową - miał też dość wyrafinowane, zamszowe mokasyny. Obok niego stała czarna rama jego składanego roweru.

- Cześć chłopaki! - przywitała się Sophie.

W odpowiedzi każdy zamachał ręką.

Sophie pełniła w firmie funkcję dyrektora ds. rozwoju. Była też sekretarką, parzyła herbatę, a odkąd polska sprzątaczką przestała przychodzić z powodu urodzenia dziecka, do jej obowiązków należało również sprzątanie biura. Była i recepcjonistką, i wszystkim innym też.

- Właśnie przeczytałam główniany scenariusz - oznajmiła. - „Ręka śmierci”. Straszna tandeta.

Żaden nie zareagował.

- Ktoś chce kawy? Herbaty?

To z kolei wywołało natychmiastową reakcję. Typową dla obydwu. Przeszła do kuchenki, napełniła wodą czajnik elektryczny i po włączeniu go zajrzała do puszek z herbatnikami - było w niej jedynie trochę okruchów, jak zwykle. Niezależnie od tego, ile razy dziennie napełniała puszkę, te głodomory zawsze ją opróżniały. Rozdzierając opakowanie czekoladowych digestivo, spojrzała na telefon. Brak odpowiedzi.

Wybrała numer jego komórki.

Po chwili odebrał, a jej serce wykonało salto w tył. Jak cudownie usłyszeć jego głos!

- Cześć, to ja - powiedziała.

- Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię - usłyszała lodowaty głos.

Telefon zamilkł.

Tak jak by rozmawiała z kimś zupełnie obcym. Nie z mężczyzną, z którym zaledwie kilka godzin temu dzieliła łóżko i wiele, wiele więcej. Wstrząśnięta wpatrywała się w telefon, ogarnięta do głębi poczuciem jakiegoś nieokreślonego przerażenia.

Naprzeciwko biura Sophie, po drugiej stronie ulicy znajdował się Starbucks. Typ w bluzie od dresu, kapturze i ciemnych okularach, który poprzednio siedział na końcu wagonu metra, teraz stał przy ladzie, z darmową gazetą zwiniętą pod pachą, i zamawiał chudą latte. Dużą. Nie spieszył się. Przyłożył grzbiet prawej dłoni do ust i ssał, próbując uśmierzyć umiarkowany, piekący ból jak po oparzeniu pokrzywą.

Jak na zawołanie rozległa się piosenka Louisa Armstronga. Może rozbrzmiewała tylko w jego głowie, może we wnętrzu kawiarni. Nie był pewien. Nie miało to zresztą znaczenia, słyszał ją, a Louis grał tylko dla niego. Jego prywatną, ulubioną melodię.

Jego mantrę. „We Have All the Time in the World”.

Mrucząc melodię, odebrał swoją latte, wybrał dwa biszkopty, zapłacił gotówką i przeniósł się z tym wszystkim pod okno. *We have all the time in the world*, zanucił pod nosem. Faktycznie miał. Cholera, człowiek, który, jeśli chodzi o czas do dyspozycji, był niemal miliarderm, miał do zabicia cały dzień, chwała Bogu!

Z tego miejsca miał doskonały widok na wejście do jej biura.

Ulicą przejechało czarne ferrari. Najnowszy model, F430 Spider. Patrzył bez emocji, jak samochód zatrzymał się przed nim, przyblokowany przez taksówkę, z której wysiadał pasażer. Nowoczesne samochody nigdy go nie kręciły. Nie tak, jak innych ludzi. Nie w sposób „muszę go mieć”. Niemniej jednak, orientował się w nich całkiem nieźle. Znał wszystkie modele prawie każdej marki na świecie, głowę miał nabitą ich danymi technicznymi i cenami. Kolejna korzyść z posiadania mnóstwa czasu.

Patrząc przez szprychy kół, zauważył, że ten egzemplarz ma udoskonalone hamulce Brembo z 380-milimetrowymi tarczami ceramicznymi, z

ośmiotłoczkowymi zaciskami na przednich kołach i czterotłoczkowymi na tylnych. Dawało to oszczędność wagi 20,5 kg w porównaniu ze stalą.

Ferrari zniknęło z jego pola widzenia. Sophie była na piętrze, ale nie miał pewności, które to jej okno. Nie szkodzi - i tak mogła wejść i wyjść tylko przez drzwi, które obserwował.

Wciąż słyszał piosenkę.

Zanucił ją zadowolony.



## Rozdział 9

Gabinet sekretarza klubu golfowego w Północnym Brighton miał w sobie coś z wojskowej atmosfery odzwierciedlającej drogę życiową emerytowanego majora, któremu udało się przeżyć czynną służbę na Falklandach i w Bośni i wyjść z tego z nietkniętymi częściami ciała, a co najważniejsze, z nietkniętym handicapem w golfie.

Na lśnącym, mahoniowym biurku obok kilku równo ułożonych stosów papierów znajdowały się dwie małe flagi - Union Jack oraz druga, z zielono-niebiesko-białym emblematem klubu.

Ściany zdobiły liczne, oprawione w ramki fotografie - niektóre w sepii, przedstawiające golfistów i dołki - oraz kolekcja zabytkowych kijów, skrzyżowanych jak szpady pojedynkowe.

Bishop usiadł sam na wielkiej, skórzanej sofie. Przyglądał się detektywowi sierżantowi Glennowi Bransonowi i detektywowi Nickowi Nichollowi, którzy zajęli miejsca naprzeciwko, na krzesłach. Bishop, nadal w swoim stroju do golfa i butach z kolcami, pocił się obficie, zarówno na skutek upału, jak i tego, co słyszał.

- Panie Bishop - zaczął wysoki, czarny detektyw sierżant - przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale pańska sprzątaczką - przerzucił kilka stron notatnika - pani Atala, przybyła do pańskiego domu przy Dyke Road Avenue w Hove o 8.30 dziś rano, odkryła, że pańska żona, pani Katherine Bishop... - przerwał, jakby czekając na potwierdzenie, że tak się właśnie nazywała. Bishop patrzył pustym wzrokiem. - Hm. Pani Bishop zdawała się

nie oddychać. Ratownicy medyczni z karetki przybyłej o 8.52 zgłosili brak reakcji na próby wykrycia oznak życia. Przykro mi to mówić, ale lekarz policyjny, który dotarł na miejsce o 9.30 poświadczył, że pańska żona nie żyje.

Bishop otworzył usta. Twarz mu drgała, przez chwilę toczył wokół niewidzącym wzrokiem. Z jego gardła wydobył się słaby, ochryply dźwięk:

- Nie. Proszę powiedzieć, że to nieprawda. Proszę. - Pochylił się do przodu i ukrył twarz w dłoniach. - Nie. Nie. Nie wierzę! Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda!

Nastąpiła długa cisza przerywana tylko jego łkaniem.

- Proszę! - powtórzył. - To nieprawda, tak? Nie Katie? Nie moje kochanie, moja najdroższa Katie...

Dwaj policjanci siedzieli nieruchomo, czując się bardzo niezręcznie. Glenn Branson, któremu głowa pękała od potężnego kaca, klął w duchu, że dał się zmusić Royowi Grace'owi do wcześniejszego powrotu do pracy i został wrobiony w tę sytuację.

Normą było, że to funkcjonariusze do spraw kontaktów z rodziną, wyszkoleni w pomocy psychologicznej osieroconym, przekazywali takie wiadomości, ale jego zwierzchnik zawsze postępował inaczej. W przypadkach podejrzanego zgonu, takiego jak ten, Grace chciał zrobić to osobiście albo wysłał z wiadomością któregoś z członków swojego zespołu w celu zaobserwowania pierwszej reakcji. Ci od kontaktów z rodziną będą jeszcze mieć dość czasu, żeby wykonać swoją robotę później.

Od chwili, kiedy Glenn obudził się rano w domu Roya, ten dzień był dla niego jednym wielkim koszmarem. Najpierw musiał obejrzeć miejsce śmierci. Trzydziestokilkuletnia, atrakcyjna, rudowłosa kobieta naga na łóżku, z rękami przywiązanymi krawatami. Obok niej maska przeciwgazowa z okresu II wojny światowej. Cienka, sina linia wokół jej szyi mogła być śladem ligatury. Prawdopodobną przyczyną śmierci było uduszenie, ale wcześniej było, żeby to stwierdzić. Nieudana zabawa erotyczna czy morderstwo? Tylko patolog z Wydziału Spraw Wewnętrznych, który o tej porze powinien już dotrzeć na miejsce, będzie w stanie określić z całą

pewnością, co było przyczyną śmierci.

Ten cholerny sukinsyn Grace, którego absolutnie ubóstwiał - chociaż czasami nie był pewien dlaczego - kazał mu pojechać do domu, przebrać się, a następnie przekazać wiadomość mężowi. Mógł odmówić, przecież wciąż był na chorobowym, i prawdopodobnie odmówiłby każdemu innemu oficerowi. Ale nie Grace'owi. I nawet jakoś chwilami był mu wdzięczny za możliwość odwrócenia uwagi od własnych trosk.

Pojechał do domu w towarzystwie detektywa Nicka Nicholla, który nie przestawał pleść o swoim nowo narodzonym dziecku i radościach ojcostwa. Z ulgą zauważył, że Ari wyszła. Teraz więc, odziany i obuty, znajdował się w budynku klubu golfowego dla wyższych sfer i przekazał wiadomość, czyhał jak jastrząb na reakcję Bishopa, starając się oddzielić emocje od zadania, jakie miał tu do wykonania. Polegało ono na ocenie tego człowieka.

Faktem jest, że około 70% ofiar zabójstw w Wielkiej Brytanii znało mordercę. W tym przypadku mąż był pierwszą osobą, którą należało wziąć pod uwagę.

- Czy mogę pojechać do domu, żeby ją zobaczyć? Moją najdroższą. Moją...

- Obawiam się, proszę pana, że wejście do domu nie będzie możliwe, dopóki ekipa kryminalistyczna nie zakończy pracy. Prawdopodobnie już niedługo pańska żona zostanie przewieziona do prosektorium. Tam będzie pan mógł ją zobaczyć. Będzie pan też musiał zidentyfikować zwłoki, obawiam się.

Branson i Nicholl przyglądali się w milczeniu, jak Bishop z twarzą w dłoniach kiwa się w przód i w tył, siedząc na sofie.

- Dlaczego nie mogę pójść do domu? Do mojego domu? Naszego domu! - wybuchł nagle.

Branson spojrzał na Nicholla, który na wszelki wypadek gapił się przez szerokie okno na czterech graczy przy dziewiątym dołku. Do cholery, jak to taktownie powiedzieć? Przyglądając się uważnie Bishopowi, jego twarzy, a zwłaszcza oczom, powiedział:

- Nie możemy podać szczegółów, ale traktujemy pański dom jako miejsce zbrodni.

- Miejsce zbrodni? - Bishop wydawał się zdezorientowany.

- Obawiam się, że tak, proszę pana - potwierdził Branson.

- Co... jaka zbrodnia, o co chodzi?

Branson zastanawiał się chwilę, wyteżając umysł. Nie dało się tego powiedzieć łagodnie.

- Istnieją pewne podejrzone okoliczności dotyczące śmierci pańskiej żony.

- Podejrzone? Co pan chce przez to powiedzieć? Co? Jak?

- Obawiam się, że tego nie mogę powiedzieć. Będziemy musieli poczekać na raport patologa.

- Patologa? - Bishop powoli kręcił głową. - To moja żona, Katie. Moja żona. Nie możecie mi powiedzieć, jak umarła? Ja... ja jestem jej mężem. - Znów zakrył twarz dłońmi. - Została zamordowana? To chcecie mi powiedzieć?

- Nie możemy podać szczegółów, proszę pana. Nie w tej chwili.

- Owszem, możecie. Możecie podać szczegóły. Jestem jej mężem. Mam prawo wiedzieć.

Branson patrzył na niego spokojnie.

- Dowie się pan, kiedy tylko będziemy coś wiedzieć. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan udać się do naszej siedziby, żebyśmy mogli porozmawiać o tym, co się stało.

Bishop podniósł rękę.

- Ja... rozgrywam turniej golfa. Ja...

Tym razem Branson i jego kolega wymienili spojrzenia. Każdy zauważył uniesioną brew drugiego. Osobliwy priorytet. Wiadomo jednak, że w szoku ludzie często mówią dziwne rzeczy.

Niekoniecznie trzeba się w tym czegoś doszukiwać. Poza tym, w tej chwili Branson przede wszystkim usiłował przypomnieć sobie, ile czasu minęło od połknięcia ostatnich paracetamoli. Zastanawiał się, czy nie zaszkodzi sobie, biorąc następne. Uznawszy, że może, dyskretnie wyłuskał

w kieszeni dwie tabletki z foliowego opakowania i włożył je do ust. Przy próbie przełknięcia ich z samą śliną miał wrażenie, jakby utkwiły mu w połowie przełyku.

- Wyjaśniłem sytuację pańskim przyjaciółom. Kontynuują grę.  
Jeszcze raz spróbował przełknąć.

Bishop pokręcił głową.

- Zmarnowałem ich szansę. Zostaną zdyskwalifikowani.
- Przykro mi z tego powodu, proszę pana.

Miał ochotę dodać: „tkwi pan w gównie”, ale taktownie zrezygnował.

## Rozdział 10

Blinding Light była w fazie przedprodukcyjnej horroru, który mieli kręcić w Malibu i Los Angeles. Opowiadał o grupie bogatych dzieciaków, które podczas party w domu w Malibu zostały zeżarte przez wrogie mikroorganizmy z kosmosu. W swoim oryginalnym streszczeniu scenariusza Sophie Harrington napisała: „Obcy” skrzyżowany z „Życiem na fali”.

Odkąd jako dziecko widziała „Czarodzieja z krainy Oz”, zawsze chciała w jakiś sposób, pełniąc choćby najskromniejszą funkcję, uczestniczyć w robieniu filmów. Teraz miała swoją wymarzoną pracę. Pracowała z bandą facetów, którzy w sumie zrobili dziesiątki filmów. Część z nich widziała, czy to w kinie, czy na wideo albo DVD, a niektóre w produkcji i co do tych była pewna, że zapowiadają się jeśli nie na Oscara, to przynajmniej na jakiś sukces komercyjny.

Podawała kubek kawy z dużą ilością mleka i dwiema kostkami cukru Adamowi, a kubek jaśminowej herbaty bez niczego Cristianowi, po czym zasiadła za swoim biurkiem z własnym kubkiem mocnej, czarnej herbaty (mleko, dwie kostki cukru). Zalogowała się i zabrała się do przeglądania miliona e-maili, które zaatakowały jej skrzynkę.

Wszystkie wymagały załatwienia, ale - cholera - był tylko jeden priorytet. W swojej komórce znów wybrała jego numer.

Od razu włączyła się poczta głosowa.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała. - Jak tylko będziesz mógł.

Naprawdę się martwię.

Po godzinie spróbowała jeszcze raz. Znów poczta głosowa.

Teraz e-maili było jeszcze więcej. Jej herbata stała na biurku w recepcji, nietknięta. Ze scenariuszem, który czytała w metrze, nie posunęła się ani o stronę. Jak na razie, tego ranka nie dokonała niczego. Nie udało się jej załatwić rezerwacji na lunch w Caprice na jutro dla następnego szefa Luke'a Martina i zapomniała powiedzieć Adamowi, że jego popołudniowe spotkanie z księgowym filmu Harrym Hicksem jest odwołane. Krótko mówiąc, cały dzień był totalną porażką.

Wtem zadzwonił jej telefon i nagle zrobiło się o wiele gorzej.

# Rozdział 11

Kobieta nie zaczęła jeszcze cuchnąć, co wskazywało, że była martwa od niedawna. Klimatyzacja w sypialni Bishopów też robiła swoje, nie dopuszczając tu sierpniowego upału przyspieszającego proces rozkładu.

Nie pojawiły się też jeszcze muchy mięsne - zwane również robacznicami, żeby nie było wątpliwości - które potrafią wyczuć śmierć z odległości pięciu mil. Mniej więcej z tej samej odległości, co gazetowi reporterzy. Jeden przedstawiciel tego gatunku już był przed bramą i wypytywał posterunkowego pilnującego wejścia. Z mowy ciała reportera można się było zorientować, że niewiele wskórał.

Roy Grace w sterylnym, białym, papierowym kombinezonie z kapturem, gumowych rękawiczkach i ochraniaczach na buty przyglądał mu się przez chwilę z frontowego okna. Kevin Spinella, mężczyzna o ostrych rysach twarzy, niewiele ponad dwudziestoletni, w szarym garniturze, ze źle zawiązanym krawatem i z notesem, żującą gumę. Grace już go spotykał. Pracował w lokalnej gazecie „Argus” i sprawiał wrażenie, jakby rozwinął w sobie zdumiewającą zdolność docierania na miejsce zbrodni na wiele godzin przed wydaniem przez policję jakiegokolwiek oficjalnego komunikatu. Z szybkości - i dokładności - z jaką ostatnio wiadomości o najpoważniejszych przestępstwach pojawiały się w mediach o zasięgu ogólnokrajowym, Grace wnioskował, że ktoś w policji - albo w centrum kontroli - musi być dla niego źródłem przecieku informacji. To jednak był najmniejszy z jego problemów.



Przechadzał się po pokoju, trzymając się taśmy naklejonej na wykładzinie przez ekipę kryminalistyczną, i co chwila dzwonił ze swojej komórki. Organizował biuro w pomieszczeniach sekcji zabójstw dla zespołu detektywów, operatorów komputerowych i indekserów, który kompletował, a także umawiał się na spotkanie z oficerem wywiadowczym, aby ustalić strategię tego dochodzenia. Teraz, w tej „złotej godzinie” każda minuta była cenna. To, co się zrobi w pierwszej godzinie po przybyciu na miejsce niewyjaśnionej śmierci, może zaważyć na prawdopodobieństwie schwytania mordercy.

W tym chłodnym pokoju przesiąkniętym zapachem wykwintnych perfum, między jedną a drugą rozmową telefoniczną, nawiedzała go myśl: Czy ta śmierć to był wypadek? Tragiczny finał nocy perwersyjnego seksu?

Czy morderstwo?

W prawie każdym przypadku morderstwa sprawca był prawdopodobnie bardziej rozchwiany psychicznie niż ten, kto próbuje go ująć. Przez lata Roy Grace spotkał już dość zabójców, żeby wiedzieć, że niewielu jest w stanie zachować spokój i opanowanie, a w żadnym razie nie bezpośrednio po dokonaniu czynu. Większość znajduje się w stanie określanym jako czerwona mgła. Ich adrenalina jest poza kontrolą, brak im jasności myślenia, a ich działania - czy ewentualne plany - podlegają reakcji łańcuchowej substancji chemicznych w mózgu, której po prostu nie przewidzieli.

Ostatnio oglądał w telewizji film dokumentalny o tym, że ewolucja biologiczna człowieka zostaje w tyle za ewolucją społeczną. Wobec inspektora podatkowego ludzie powinni zachować spokój i opanowanie. Zamiast tego zaczyna działać instynktowny, pierwotny mechanizm walki lub ucieczki - takie same reakcje jak przy spotkaniu na sawannie z tygrysem szablatozębym. Potężny przypływ adrenaliny sprawia, że człowiek trzęsie się i poci.

Z czasem ten przypływ w końcu opada. Stąd największe szanse na schwytanie przestępcy istnieją wtedy, kiedy znajduje się on jeszcze w fazie podwyższonego poziomu.

Sypialnia przechodziła przez całą szerokość domu - domu, o jakim wiedział, bez śladu zazdrości, że nigdy nie będzie go stać na taki. Nawet gdyby było go stać, co mogłoby się zdarzyć jedynie w przypadku wygranej na loterii - niemożliwe, skoro na ogół co tydzień zapominał kupić los - nie kupiłby tego konkretnego domu. Może którąś z tych okrytych patyną lat, gregoriańskich rezydencji z jeziorem i kilkuset akrami terenu. Coś stylowego, coś z klasą. No. Wielmożny pan Grace. Mógł to sobie wyobrazić. Gdzieś w najdalszym zakątku umysłu.

Ale nie to wulgarnie gmaszysko udające styl Tudorów, do którego dostępu broni bielony mur z elektrycznie otwieraną bramą z kutego żelaza, przy Dyke Road Avenue, najbardziej pretensjonalnej ulicy Brighton i Hove. Nie ma mowy. Jediną dobrą rzeczą, jaką tu zobaczył do tej pory, był starannie odrestaurowany, biały Jaguar Mk2 3,8 litra przykryty pokrowcem w garażu, świadczący o tym, że Bishop ma jednak odrobinę gustu.

Pozostałe dwa samochody Bishopów na podjeździe nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia. Granatowy kabriolet BMW 3. Serii i czarny smart. Za nimi, na wysypanym żwirze kręgu przed domem stały ciasno obok siebie: masywny pojazd będący ruchomym stanowiskiem roboczym sekcji zabójstw, oznakowany samochód policyjny i kilka innych samochodów ludzi z kryminalistyki. Wkrótce miał do nich dołączyć żółty saab ze składanym dachem, należący do jednego z patologów Wydziału Spraw Wewnętrznych, Nadiuski De Sanchy, będącej właśnie w drodze.

Po przeciwnej stronie pokoju, po obu stronach łóżka okna wychodziły na widoczne ponad dachami domów, odległe o jakąś milę morze. W dole widać było ogród z tarasowato ułożonym trawnikiem, pośrodku którego, na bardziej honorowym miejscu niż położony dalej basen, umieszczono bogato zdobioną fontannę, zwieńczoną kopią Mannekeen Pis. Kamienny chłopczyk o urodzie cherubinka sikał sobie, wieczorem bez wątpienia podświetlony jakimś światłem w krzykliwych kolorach, pomyślał Grace, wybierając następny numer.

Tym razem dzwonił do starego detektywa, który zęby zjadł na tej robocie,

Normana Pottinga. Nie była to najbardziej lubiana postać w zespole, ale z poprzedniego, zakończonego sukcesem śledztwa Grace wiedział, że może ufać temu staremu wiarusowi. Wprowadziwszy Pottinga w sprawę, polecił mu koordynowanie zbierania materiału ze wszystkich kamer monitorujących okolice w promieniu dwóch mil od miejsca zbrodni oraz tych znajdujących się przy drogach do i z Brighton. Następnie zorganizował zespół umundurowanych wywiadowców, którzy mieli przepytać mieszkańców domów w najbliższym sąsiedztwie.

Teraz znów skupił uwagę na ponurym widoku na wielkim łożu z draperią rozpiętą na dwóch słupach nad wezłowiem. Nieruchoma kobieta z rozpostartymi, przywiązanymi do słupów męskimi krawatami ramionami, ukazującymi świeżo wygolone pachy. Jeśli nie liczyć cienkiego, złotego naszyjnika z maleńką pomarańczową biedronką, złotej obrączki ślubnej i pierścionka zaręczynowego ze sporym brylantem, była naga. Jej ładną twarz otaczały splecione, długie, rude włosy. Przyczyną czarnych obwódok wokół oczu była prawdopodobnie leżąca teraz obok maska gazowa z okresu II wojny światowej, domyślił się, powtarzając w myślach słowa, które z biegiem lat stały się jego mantrą w trakcie śledztwa w sprawie morderstwa.

Co mówi ci ciało na miejscu zbrodni?

Palce jej stóp były krótkie i grubawe, z poodpryskiwanym różowym lakierem. Jej ubrania leżały rozrzucone na podłodze, jakby rozbierała się w pośpiechu. Wśród nich poniewierał się stary, pluszowy miś. Poza alabastrowo białą linią bikini w okolicy łonowej, była równo opalona - albo upalne angielskie lato, albo wakacje za granicą, albo jedno i drugie. Tuż nad naszyjnikiem biegła wokół szyi purpurowa linia, prawie pewny ślad ligatury wskazujący prawdopodobną przyczynę śmierci, jednak Grace dawno już nauczył się, że nigdy nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Patrząc tak na martwą kobietę, starał się nie myśleć o swojej zaginionej żonie.

Czy Sandy mogło się coś takiego przydarzyć?

Przynajmniej udało się pozbyć z domu rozhisteryzowanej sprzątaczkii. Bóg jeden wie, ile zdążyła napsuć na miejscu zbrodni, zdejmując denatce maskę gazową i biegnąc naokoło jak kura bez głowy.

Kiedy wreszcie zdołał ją uspokoić, uzyskał od niej trochę informacji. Wiedziała, że mąż martwej kobiety Brian Bishop większość dni tygodnia spędzał w Londynie. Tego ranka rozgrywał turniej golfa w swoim klubie w Północnym Brighton - w klubie zbyt drogim, aby mogła sobie na niego pozwolić większość oficerów policji, ale Grace i tak nie był golfista.

Ekipa kryminalistyczna przybyła przed chwilą i zabrała się do pracy. Jeden z funkcjonariuszy, na czworaka, szukał włókien na wykładzinie. Drugi omiatał proszkiem ściany i wszystkie inne powierzchnie w poszukiwaniu odcisków palców. Ich szef Joe Tindall systematycznie przeszukiwał pomieszczenia.

Tindall, który ostatnio awansował na szefa zespołu badań kryminalistycznych, co w razie potrzeby nakładało na niego obowiązek kierowania pracami na kilku miejscach zbrodni jednocześnie, wyszedł z sąsiadującej z sypialnią łazienki. Niedawno zostawił żonę dla o wiele młodszej dziewczyny i całkowicie odnowił swój wizerunek. Grace nie przestawał się zdumiewać przemianą tego człowieka.

Jeszcze kilka miesięcy temu Tindall przypominał szalonego naukowca z brzuszkiem, rozwichrzonymi włosami i w okularach ze szklami jak dna butelek. Teraz golił głowę, miał płaski brzuch, pionowy pasek zarostu szerokości ćwierć cala biegł od środka dolnej wargi do środka brody, a okulary nosił modne, prostokątne, z zabarwionymi na niebiesko szklami. Grace, który po raz pierwszy od wielu lat znów spotykał się z kobietą, próbował ostatnio popracować nad swoim wyglądem, ale nie bez pewnej zazdrości uświadomił sobie, że daleko mu do odlotowej stylizacji Tindalla.

Co chwila martwą kobietę oświetlał nagle na ułamek sekundy jaskrawy błysk flesza aparatu fotograficznego. Fotograf - niepoprawny w swej wesołości, siwowłosy mężczyzna dobrze po czterdziestce o nazwisku Derek Gavin - miał w Hove studio fotografii portretowej do czasu, aż

domowa fotografia cyfrowa nie uszczupliła jego zysków na tyle, że musiał zwinąć interes. Żartował ponuro, że woli pracę fotografa policyjnego, ponieważ nie musi się martwić, jak skłonić trupa, żeby się nie ruszał albo uśmiechnął.

Póki co najlepszą wiadomością dnia było dla Grace'a przydzielenie do tej sprawy jego ulubionego patologa Wydziału Spraw Wewnętrznych. Nadiuska De Sancha pochodziła z Hiszpanii, jej przodkami byli rosyjscy arystokraci, a ona sama była zabawna, czasami okazywała lekceważenie, ale w pracy była doskonała.

Ostrożnie obszedł ciało denatki. Chwilami czuł ślad ligatury na własnej szyi, potem w trzewiach. Wszystko w nim stężało. Co za przeklęty sadysta to zrobił? Jego wzrok padł na maleńką plamkę na białym prześcieradle, poniżej jej pochwy. Czyżby sperma wyciekła?

Chryste.

Sandy.

Zawsze z trudem przyjmował śmierć młodej kobiety. Rozpaczliwie żałował, że to nie kto inny miał tego dnia dyżur.

Na jednym ze stolików przy łóżku, złożonych kopii w stylu Ludwika XIV, stał telefon. Grace o mało co nie podniósł słuchawki - stare nawyki trudno wykorzenić. W ostatniej instrukcji dotyczącej dobrej praktyki dochodzeniowej przypomniano, że najlepszym sposobem zabezpieczenia ewentualnych dowodów z telefonów jest poddanie ich ekspertyzie kryminalistycznej, zamiast starej metody wybrania numeru 1471. Zawołał do funkcjonariusza w sąsiednim pokoju, żeby dopilnował zabrania wszystkich aparatów.

Potem zrobił to, co zawsze lubił robić na potencjalnym miejscu zbrodni, to znaczy obejść je całe, rozmyślając. Jego wzrok przykuł na chwilę zadziwiający, nowoczesny obraz na ścianie.

Wpatrywał się w sygnaturę malarki - Helen Steele - zastanawiając się, czy jest sławna. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak mało wie o sztuce. Przeszedł do rozległej, sąsiadującej z sypialnią łazienki i otworzył szklane

drzwi kabiny prysznicowej, wystarczająco dużej, żeby można było w niej zamieszkać. Zauważył mydło, żele wiszące na haczykach, szampony. Lustrzane drzwiczki szafki były otwarte. Obejrzał lekarstwa. Cały czas chodziły mu po głowie słowa sprzątaczkki.

*Pana Bishopa tu nie ma w tygodniu. Wczoraj wieczorem nie był. Wiem, że nie był wczoraj, bo musiałam robić kolację pani Bishop. Ona tylko sałatę. Jak pan Bishop jest, to on lubi mięso albo rybę. Robię duże jedzenie.*

Jeżeli więc Briana Bishopa nie było tu poprzedniego wieczoru i nie uprawiał perwersyjnego seksu z żoną, to kto to był?

I jeżeli ją zabił, to dlaczego?

Wypadek?

Ślad ligatury wyraźnie krzyczał: „Nie!”.

Tak samo jak jego instynkt.

## Rozdział 12

Jak wiele wytworów wczesnopowojennego boomu budowlanego, Sussex House - gładki, prostokątny, dwupiętrowy budynek - nie starzał się szczególnie pięknie. Architekt najwyraźniej był pod wpływem stylu art déco i stworzona przez niego budowla wyglądała pod pewnymi kątami jak nadbudówka małego, wysłużonego statku wycieczkowego.

Zbudowany na początku lat 50. XX wieku, pierwotnie jako szpital chorób zakaźnych, górował wówczas w odosobnieniu na wzgórzu na obrzeżu Brighton, tuż za przedmieściem Hollingbury i architekt niewątpliwie widział swoje dzieło w pełni jego samotnej chwały. Lata, które nadeszły, nie były już tak przychylne. Miasto rozrosło się i obszar wokół budynku przeznaczono pod zabudowę przemysłową. Z powodów, których dziś już nikt nie pamięta, szpital zamknięto, a budynek nabyła firma produkująca kasy sklepowe. Po kilku latach odsprzedała go firmie chłodniczej, od której z kolei kupił go American Express i wreszcie w połowie lat 90, nabywcą budynku została policja hrabstwa Sussex.

Odnowiony i unowocześniony został hucznie otwarty jako flagowa, dysponująca najnowszą technologią kwatera główna Wydziału Kryminalnego, dzięki której policja hrabstwa stała się najnowocześniejszą strukturą policji brytyjskiej. W ostatnich czasach podjęto decyzję o umieszczeniu tu również centralnego aresztu, więc na jego potrzeby przeznaczono nadbudowaną część i przybudówki. Obecnie, mimo że Sussex House pękał w szwach, przenoszono tu jeszcze dodatkowo niektóre oddziały mundurowe. Przy zaledwie 90 miejscach parkingowych dla

pracowników, których liczba zwiększyła się tymczasem do 430, nie każdy uważał, że nowa kwatery sprostała oczekiwaniom, jakie obiecywała spełnić.

Pokoje przesłuchań świadków to dość szumna nazwa, jak na dwa małe, oddzielone przepierzeniem pomieszczenia, pomyślał Glenn Branson. Mniejsze, w którym nie było nic poza monitorem i dwoma krzesłami, wykorzystywane było do prowadzenia obserwacji. Większe, w którym siedział teraz z detektywem Nickiem Nichollem i bardzo zdenerwowanym Brianem Bishopem, urządzone było w sposób, który miał dawać świadkom i potencjalnym podejrzanym poczucie swobody - mimo dwóch kamer zamontowanych na ścianie i wycelowanych prosto w nich.

Pokój był jasno oświetlony, ze sztywną, szarą wykładziną, kremowymi ścianami i dużym, wychodzącym na południe oknem, przez które widać było ponad płaskim dachem supermarketu ASDA część panoramy Brighton i Hove. Wyposażenie stanowiły trzy krzesła w kształcie kubłów, obite wiśniową tkaniną i dość nijaki stolik do kawy, który wyglądał na ostatnią rzecz, jaka mogłaby pójść na wyprzedaży w sklepie Conrana.

Wnętrze pachniało nowością, jakby wykładzinę położono przed chwilą, a farba na ścianach nie zdążyła jeszcze wyschnąć, chociaż ten zapach panował tu, odkąd Branson sięgał pamięcią. Przebywał tu zaledwie od kilku minut, a już się pocił, tak samo jak detektyw Nicholl i Brian Bishop. Problem z budynkiem polegał na tym, że klimatyzacja była do niczego, a połowa okien się nie otwierała.

Włącznikiem na ścianie Branson uruchomił aparaturę rejestrującą, po czym podał datę i godzinę. Wyjaśnił Bishopowi, że jest to standardowa procedura, na co ten przyzwalając skinął głową.

Facet wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Ubrany w wyglądającą na drogą, żółtobrązową marynarkę ze srebrnymi guzikami, naciągniętą byle jak na niebieską, otwartą pod szyją koszulkę polo od Armaniego, z okularami przeciwsłonecznymi wystającymi z górnej kieszeni, siedział zgarbiony, załamany. Poza polem golfowym jego spodnie w szkocką kratę i dwukolorowe buty do golfa wyglądały dość śmiesznie. Branson nie mógł



nic poradzić na to, że było mu go żal. I chociaż bardzo się starał, nie potrafił nie wyobrazić sobie Clive'a Owena w filmie „Krupier”. W innych okolicznościach spytałby pewno Bishopa, czy nie są spokrewnieni. Chociaż nie miało to wpływu na zadanie, jakie miał tu wykonać, nie mógł też przestać się dziwić, dlaczego klub golfowy, którego kod ubioru wydawał mu się zawsze absurdalnie oficjalny i nie na czasie, tak jak obowiązek noszenia krawata w budynku klubowym, pozwala swoim członkom wychodzić na pole w przebraniu jak z pantomimy.

- Czy mogę spytać, kiedy ostatni raz widział pan swoją żonę, panie Bishop?

Zauważył chwilę wahania poprzedzającą odpowiedź.

- W niedzielę wieczorem, o koło 8.00.

Głos Bishopa brzmiał uprzejmie, ale pozbawiony był wyrazu, jak również zupełnie nie zdradzał pochodzenia, jakby jego właściciel specjalnie pracował nad zatarciem wszelkich śladów akcentu, jaki kiedyś mógł mieć. Nie sposób było określić, czy pochodzi z warstwy uprzywilejowanej, czy do wszystkiego dochodził sam. Jego ciemnoczerwony bentley zaparkowany przed klubem golfowym był tego rodzaju szpanerską maszyną, jaka Bransonowi kojarzyła się raczej z piłkarzami, a nie z wyższymi sferami.

Otworzyły się drzwi i Eleanor Hodgson z personelu pomocniczego Roya Grace'a, dzielna kobieta po pięćdziesiątce, wniosła okrągłą tacę z trzema kubkami kawy i kubkiem wody. Bishop wypił wodę, zanim zdążyła wyjść z pokoju.

- Nie widział pan żony od niedzieli? - spytał Branson z nutą zdziwienia w głosie.

- Nie. W tygodniu przebywam w Londynie, zatrzymuję się w moim mieszkaniu. Jeżdżę do miasta w niedzielę wieczorem i normalnie wracam w piątek wieczorem.

Bishop zapatrzył się w swoją kawę, po czym zamieszał ją starannie z wystudiowaną precyzją plastikowym mieszadłem zapewnionym przez Eleanor Hodgson.

- Zatem widywali się państwo tylko w weekendy?  
- Zależy, czy mieliśmy coś w Londynie. Katie przyjeżdżała czasami na kolację, na zakupy. Cokolwiek.

- Cokolwiek?

- Teatr. Przyjaciele. Klienci. Ona... lubiła przyjeżdżać... ale...

Długa cisza.

Czekając na dalszy ciąg, Branson zerknął na Nicholla, jednak młodszy detektyw nic tu nie wniósł.

- Ale? - przynaglił sam.

- Swoje życie towarzyski miała tutaj. Brydż, golf, działalność charytatywna.

- Jaka?

- Działa... działała w kilku organizacjach. Głównie w Krajowym Stowarzyszeniu na rzecz Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci. Jeszcze w ze dwóch innych. Pomoc maltretowanym kobietom tu, na miejscu. Katie udzielała się. Była dobrym człowiekiem. - Brian Bishop zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. - Cholera. Chryste, co się stało? Proszę, możecie mi powiedzieć?

- Czy państwo mają dzieci? - spytał nagle Nick Nicholl.

- Wspólnych nie. Ja mam dwoje z pierwszego małżeństwa. Mój syn Max ma piętnaści lat. Moja córka Carly - trzynaście. Max jest z przyjaciółmi na południu Francji. Carly u kuzynów w Kanadzie.

- Czy kogoś powinniśmy zawiadomić w pana imieniu? - kontynuował Nicholl.

Bishop, jakby nie rozumiejąc, pokręcił głową.

- Przydzielimy panu funkcjonariusza do spraw kontaktów z rodziną, żeby panu pomógł we wszystkim. Obawiam się, że przez kilka dni nie będzie pan mógł wrócić do domu. Czy jest ktoś, u kogo mógłby się pa zatrzymać?

- Mam mieszkanie w Londynie.

- Będziemy musieli znów z panem porozmawiać. Wygodniej byłoby, gdyby przez najbliższe dni nie opuszczał pan Brighton i Hove. Może zatrzymałby się pan u przyjaciół albo w hotelu?

- Co z moimi ubraniami? Potrzebuję moich... moich rzeczy... przyborów toaletowych...

- Jeżeli powie pan funkcjonariuszowi do spraw kontaktów z rodziną, czego pan potrzebuje, zostanie to dostarczone.

- Proszę, możecie mi powiedzieć, co się stało?

- Jak długo byliście małżeństwem, panie Bishop?

- Pięć lat... w kwietniu mieliśmy rocznicę.

- Czy określiliby pan swoje małżeństwo jako szczęśliwe?

Bishop odchylił się do tyłu, kręcąc głową.

- Co to jest, do cholery? Dlaczego mnie przesłuchujecie?

- Nie przesłuchujemy pana. Po prostu zadajemy kilka podstawowych pytań o tło. Staramy się dowiedzieć czegoś więcej o panu i pańskiej rodzinie. To często może bardzo pomóc w śledztwie. Taka jest standardowa procedura, proszę pana.

- Myślę, że już dość powiedziałem. Chcę zobaczyć moją... moją najdroższą. Chcę zobaczyć Katie. Proszę.

Otworzyły się drzwi i Bishop ujrzał wchodzącego mężczyznę ubranego w pognieciony, niebieski garnitur i białą koszulę z krawatem w niebiesko-białe paski. Miał około pięciu stóp i dziesięciu cali wzrostu, wyglądał sympatycznie z uważnymi, niebieskimi oczami, krótko ostrzyżonymi, jasnymi włosami tylko trochę dłuższymi niż meszek, źle ogolonymi policzkami i nosem, który świadczył, że nie jest tego dnia w najlepszej formie.

Wyciągnął do Bishopa silną, szorstką dłoń z zadbanymi paznokciami.

- Detektyw nadkomisarz Grace - przedstawił się. - Jestem starszym oficerem śledczym w tej... sytuacji. Niezmiernie mi przykro, panie Bishop.

Bishop odwzajemnił uścisk dłoni lepkimi, długimi, kościstymi palcami, z których jeden ozdobiony był sygnetem herbowym.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało.

Roy Grace zerknął na Bransona, potem na Nicholla. Od kilku minut przyglądał się z sąsiedniego pomieszczenia, ale nie miał zamiaru tego wyjawiać.

- Czy dziś rano grał pan w golfa?

Oczy Bishopa na moment zwróciły się w lewo.

- Tak. Owszem, grałem.
- Czy mogę spytać, kiedy poprzednio pan grał?

Bishop wydawał się zaskoczony tym pytaniem. Grace, czujny jak jastrząb, dostrzegł nieznaczny ruch jego gałek ocznych w prawo, potem w lewo i wreszcie zdecydowanie w lewo.

- W zeszłą niedzielę.

Teraz Grace był już w stanie zorientować się, czy Bishop kłamie, czy mówi prawdę. Obserwowanie ruchów gałek ocznych było skuteczną techniką, którą poznał dzięki zainteresowaniu neurolingwistycznym programowaniem. Wszyscy ludzie mają dwie strony mózgu, jedną przechowującą wspomnienia i drugą - stronę kreatywną - gdzie działa wyobraźnia i powstają kłamstwa. Tu odbywa się konstruowanie. Ludzie różnią się między sobą pod względem lokalizacji tych funkcji. Aby ją ustalić, zadaje się pytanie kontrolne, na które dana osoba nie może odpowiedzieć kłamstwem, takie jak z pozoru niewinne pytanie zadane Bishopowi. Od tej pory Grace wiedział, że kiedy zada temu człowiekowi pytanie, a jego oczy zwrócą się w lewo, będzie mówił prawdę, ale jeżeli powędrują w prawo, na stronę konstruowania, będzie to wskazówką, że kłamie.

- Gdzie spędził pan ostatnią noc, panie Bishop?

Patrząc zdecydowanie przed siebie, celowo lub mimowolnie nic nie zdradzając, Bishop odpowiedział:

- W moim mieszkaniu w Londynie.
- Czy ktoś może to potwierdzić?

Bishop wydawał się poruszony, jego oczy uciekły w lewo. W stronę pamięci.

- Przypuszczam, że dozorca, Oliver.
- Kiedy pan się z nim widział?
- Wczoraj wieczorem, koło 19.00... po powrocie z biura.

I jeszcze raz dziś rano.

- O której był pan w klubie dziś rano?

- Tuż po 9.00.
- I przyjechał pan z Londynu?
- Tak.
- O której pan wyjechał?
- Około 6.30. Oliver pomógł mi załadować rzeczy do samochodu...

moje kije golfowe.

Grace zastanawiał się przez chwilę.

- Czy ktoś może zaświadczyć, gdzie pan był między 19.00 a 6.30 dziś rano?

Oczy Bishopa zwróciły się w lewo, w stronę pamięci, co wskazywało, że mówi prawdę.

- Jadłem kolację z moim doradcą finansowym w restauracji przy Piccadilly.

- I dozorca widział, jak pan wychodził i wracał?
- Nie. Zazwyczaj po 19.00 już go nie ma, do rana.
- O której wyszedł pan z restauracji?
- Około 22.30. Co to jest, polowanie na czarownice?

- Nie, proszę pana. Przepraszam, jeżeli wydaję się zbyt pedantyczny, ale jeżeli będziemy mogli pana wyeliminować, pomoże to nam ukierunkować śledztwo. Czy mógłby pan powiedzieć, co pan robił po kolacji?

- Poszedłem do domu spać.

Grace skinął głową.

Bishop, patrząc gniewnie na niego, potem na Bransona i w końcu na Nicholla, zmarszczył brwi.

- Co? Myślicie, że pojechałem do Brighton o północy?

- To się wydaje mało prawdopodobne, proszę pana - zapewnił go Grace. - Czy mógłby pan podać nam numery telefonów pańskiego dozorczy i doradcy finansowego? I nazwę restauracji?

Bishop zrobił to, o co go prosił. Branson zanotował.

- Czy mógłbym też dostać numer pańskiego telefonu komórkowego? Potrzebne nam są także jakieś aktualne zdjęcia pańskiej żony - poprosił Grace.

- Tak, oczywiście.

Wtedy Grace powiedział:

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby odpowiedzieć na bardzo osobiste pytanie, panie Bishop? Nie musi pan, ale to by nam pomogło.

Mężczyzna bezradnie wzruszył ramionami.

- Czy pan i pańska zona uprawialiście jakieś nietypowe praktyki seksualne?

Bishop zerwał się z miejsca.

- Co to jest, do cholery? Moja żona została zamordowana! Chcę wiedzieć, co się stało, detektywie nad... nad... jak tam się pan nazywa.

- Detektyw nadkomisarz Grace.

- Dlaczego nie może pan odpowiedzieć na proste pytanie, detektywie nadkomisarzu Grace? Czy odpowiedź na proste pytanie przekracza czyjekolwiek możliwości? - coraz bardziej rozhisteryzowany Bishop mówił dalej podniesionym głosem. - Tak? Mówicie mi, że moja żona nie żyje... teraz mówicie mi, że to ja ją zabiłem? To próbujecie mi powiedzieć?

Jego rozbiegany wzrok błędził po całym pokoju. Grace musiał go jakoś uspokoić. Popatrzył na niego. Popatrzył na jego śmieszne spodnie i buty, które przypominały mu obuwie noszone w latach 30, przez gangsterów. Żałoba na każdego działa inaczej. Miał w tym dość doświadczenia, zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym.

Fakt, że facet mieszkał w domu w złym guście i jeździł szpanerskim samochodem, nie czynił z niego mordercy. Nawet nie przeszkadzało mu to być szanowanym obywatelem. Grace musiał wyzbyć się uprzedzeń. Jest całkiem możliwe, że facet mieszka w domu wartym dwa miliony z górką, a nadal jest zupełnie przyzwoitym, przestrzegającym prawa człowiekiem. Nawet jeśli w szafce przy łóżku trzyma pełno zabawek erotycznych i książkę o fetyszach seksualnych w biurze, nie musi to koniecznie znaczyć, że wsadził żonie maskę gazową na twarz, po czym ją udusił.

Ale też nie musi to znaczyć, że tego nie zrobił.

- Obawiam się, że te pytania są konieczne, proszę pana. Nie zadawalibyśmy ich, gdyby nie były. Zdaję sobie sprawę, jakie to dla pana trudne i że chce się pan dowiedzieć, co się stało. Zapewniam, że wszystko wyjaśnimy w stosownym czasie. Proszę tylko, żeby nas pan tolerował przez jakiś czas. Naprawdę rozumiem, jak musi się pan czuć.

- Tak? Naprawdę, panie nadkomisarzu? Ma pan pojęcie, jak to jest dowiedzieć się o śmierci żony?

Grace miał ochotę powiedzieć: „Tak. Rzeczywiście coś o tym wiem”, ale zachował spokój. Jego umysł zarejestrował, że Bishop nie domagał się kontaktu z adwokatem, co często było dobrym wskaźnikiem winy. A jednak coś tu nie pasowało. Tylko że nie potrafił powiedzieć co.

Wyszedł z pokoju, wrócił do swojego biura i zadzwonił do Lindy Buckley, jednej z dwóch funkcjonariuszek do spraw kontaktów z rodziną przydzielonych do zajmowania się Bishopem.

Była to niezmiernie kompetentna policjantka, z którą już kilkakrotnie zdarzało mu się współpracować.

- Chcę, żebyś miała Bishopa cały czas na oku. Donoś mi o każdym dziwnym zachowaniu. Jeśli będzie trzeba, zarządzę inwigilację - poinstruował ją.

## Rozdział 13

Clyde Weevels, wysoki, chudy i giętki, ze sterczącymi, czarnymi włosami i językiem, który rzadko przestawał oblizywać wargi, stał za ladą, ogarniając wzrokiem swoje - puste w tej chwili - królestwo. Jego sklepik przy Broadwick Street, tuż za rogiem Wardour Street w Soho opatrzony był takim samym anonimowym szyldem, jak dziesiątki innych tego typu, rozrzuconych po bocznych - i nie tak znów bocznych - ulicach Soho: Private Shop.

W słabo oświetlonym wnętrzu stały regały pełne dildo, nawilżających olejków i żeli, smakowych kondomów, przyborów do wiązania, dmuchanych lalek, thongów, g-stringów, pejczy, kajdanek oraz stojaki z czasopismami porno, DVD soft i hard, a na zapleczu trzymał jeszcze ostrzejszy towar dla klientów, których dobrze znał. Było tu wszystko, czego potrzeba dla hetero, homo, bi i dla prostych sado samotników, do których się zaliczał, choć nie miał zamiaru się do tego przyznać ani przed sobą, ani przed nikim innym, co to, to nie. Jak by się kto pytał, to czekał na ten właściwy związek.

Tyle tylko, że ten związek nie mógł mu się trafić w tym miejscu.

Ona gdzieś tam była, w jednej z tych rubryk dla samotnych serc, na jednej z tych stron w Internecie. Czekala na niego.

Chciała go. Chciała wysokiego, chudego gościa, świetnego tancerza i kiepskiego kick boksera. Właśnie nad tym pracował. Za ladą, za rzędem monitorów CCTV\* będących oknem na sklep i na świat zewnętrzny, ćwiczył. *Kop frontalny. Kop boczny. Kop okrężny.*

\* CCTV (*closed-circuit television*) to telewizja w obwodzie zamkniętym, tzw. telewizja przemysłowa - przyp. tłum.



*Jego dziesięciocalowy kutas był potężny.*

I mógł załatwić ci wszystko, czego chcesz. Tylko to nazwij - poważnie, nazwij to tylko. Jakie porno? Zabawki? Prochy? No.

Najbardziej lubił obserwować obraz z kamery 4. Pokazywała ulicę przed wejściem. Lubiał patrzeć, w jaki sposób wchodzi do sklepu, zwłaszcza ci w garniturach. Niby nonszalancko mijali wejście, udając, że idą zupełnie gdzie indziej, po czym robili w tył zwrot i rzucali się w drzwi, jakby przyciągani niewidzialnym magnesem, który raptem zaczął działać.

Tak jak ten wchodzący właśnie palant w tenisowym garniturku i różowym krawacie. Wszyscy rzucali mu spojrzenie mówiące „tak naprawdę, to nie jestem ja” i z chorym półśmieszkiem, jaki widuje się u dotkniętych porażeniem, zaczęli obmacywać dildo albo koronkowe majtki, albo kajdanki, tak jakby seks nie został jeszcze wynaleziony.

Akurat wchodził następny mężczyzna. Pora lunchu. No tak.

Ten był trochę inny. Typ w bluzie od dresu, kapturze i ciemnych okularach. Clyde oderwał wzrok od monitora i spojrzał na wchodzącego. Typ klasycznego złodzieja sklepowego, w kapturze osłaniającym jego twarz przed kamerami. Ten w dodatku zachowywał się naprawdę dziwnie. Zatrzymał się w pół drogi i przez chwilę gapił się przez przyciemnione szyby w drzwiach, ssąc sobie dłoń.

Potem podszedł do lady i nie nawiązując kontaktu wzrokowego, spytał:

- Macie maski przeciwgazowe?
- Gumowe i skórzane - odpowiedział Clyde, wskazując palcem w głąb sklepu.

Wisiało tam do wyboru masek i kapturów obok bogatego asortymentu mundurków doktora, pielęgniarki, króliczka Playboya, a także wymyślony przez jakiegoś żartownisia futerał na fiuta jak u ogiera.

Jednak zamiast tam podejść, facet wrócił do drzwi i znów się zagapił.

Po przeciwnej stronie ulicy młoda kobieta o nazwisku Sophie Harrington, za którą szedł od jej biura, stała przy ladzie we włoskich delikatesach, z

czasopismem pod pachą i czekając, aż jej ciabatta zostanie wyjęta z mikrofalówki, rozmawiała z ożywieniem przez komórkę.

Nie mógł się doczekać, kiedy wypróbuje na niej maskę przeciwgazową.

## Rozdział 14

- Za każdym razem bierze mnie to miejsce - powiedział Glenn Branson, przerywając ciszę swoich ponurych myśli i spoglądając na jeszcze bardziej ponury widok przed sobą. Roy Grace wrzucił lewy kierunkowskaz w swoim podstarzałym sedanie alfa romeo kasztanowej barwy, przyhamował, skręcił na światłach przy Lewes Road i minął tablicę ze złotym napisem na czarnym tle, oznajmiającą „Kostnica miejska Brighton i Hove”. - Powinieneś podarować im swoją kolekcję tandeciarskiej muzyki.

- Bardzo śmieszne.

Jakby z szacunku dla tego miejsca Branson pochylił się i przyciszył płytę Katie Melua.

- W każdym razie - powiedział Grace obronnym tonem - ja lubię Katie Melua.

Branson wzruszył ramionami. Potem zrobił to jeszcze raz.

- Co jest? - chciał wiedzieć Grace.

- Mógłbyś się zgodzić, żebym ci kupił trochę muzyki.

- Mnie się podoba moja muzyka.

- Podobały ci się twoje ubrania, dopóki ci nie pokazałem, że wyglądasz w nich jak stary smutas. Twój sposób strzyżenia też ci się podobał. Odkąd zacząłeś mnie słuchać, wyglądasz dziesięć lat młodziej... i masz kobietę, prawda? I to jaką!

Przed nimi, za bramą z kutego żelaza osadzoną na ceglanych słupach widoczny był długi, parterowy, przypominający bungalow budynek o

szarych ścianach, pokrytych dekoracyjnym, gruboziarnistym betonem płukany, które nawet w spiekocie letniego dnia zdawały się wysysać całe ciepło z otoczenia. Z jednej strony budynku znajdowała się zadaszona rampa, na tyle szeroka, aby pomieścić ambulans lub, częściej, ciemnozieloną furgonetkę koronera. Z drugiej, wzdłuż ściany zaparkowane było kilka samochodów, w tym żółty saab z opuszczonym dachem należący do Nadiuski De Sanchy oraz, co dla Roya Grace'a miało o wiele większe znaczenie, małe, niebieskie sportowe mg - znak, że tego dnia dyżur pełni Cleo Morey.

Mimo czekającego go horroru, poczuł przyjemne podniecenie. Zupełnie nie na miejscu, zdawał sobie z tego sprawę, ale to było silniejsze od niego.

Przez lata nie znosił tu przyjeżdżać. Uczestnictwo w sekcji zwłok było jednym z rytuałów przejścia na początku szkolenia oficerów policji. Teraz jednak prosektorium nabrało dla niego całkowicie innego znaczenia. Odwracając się do Bransona, rzucił z uśmiechem:

- To, co gaśienica nazywa końcem świata, mistrz nazwie motylem.
- Co? - spytał Branson bez większego zainteresowania.
- Czuang Tsy - poinformował go wesoło, starając się zarazić kolegę swoją radością, podnieść biedaka na duchu.

- Kto?

- Chiński filozof. Umarł w 298 roku przed Chrystusem.

Nie wyjawiał, od kogo się tego dowiedział.

- I jest w prosektorium?

- Ciemniak z ciebie, co?

Grace wjechał na puste miejsce parkingowe i zgasił silnik.

- Czyżby? - Branson ożywił się trochę. - Odkąd to znasz się na filozofii, starszku?

Aluzja do wieku jak zawsze zakłuła Grace'a. Dopiero co świętował - jeżeli można tak powiedzieć - trzydzieste dziewiąte urodziny i nie był zachwycony myślą, że w przyszłym roku dobiegnie czterdziestki.

- Bardzo śmieszne.
- Widziałeś kiedyś „Ostatniego cesarza”?
- Nie pamiętam.

- Jasne, co tu pamiętać - ironizował Glenn. - Zdobył tylko dziewięć Oscarów. Fantastyczny. Powinieneś go mieć na DVD, tylko że ty prawdopodobnie jesteś zbyt zajęty, bo chcesz być na bieżąco z ostatnimi odcinkami „Gotowych na wszystko”. Poza tym - dodał, wskazując głową budynek prosektorium - wciąż jesteś... no, wiesz... ciągle ci daje wycisk?

- Nie twój interes!

A jednak był to interes Bransona, tak samo jak wszystkich innych, jako że w tej chwili Grace koncentrował się zupełnie nie na tym, na czym powinien. Tłumiąc odruch, żeby wysiąść z samochodu, pobiec do prosektorium i zobaczyć Cleo, zmienił nagle temat i wrócił do sprawy.

- No i jak myślisz? - spytał. - Zabił ją?
- Nie prosił o adwokata - odparł Branson.
- Uczysz się - zauważył Grace z autentycznym zadowoleniem.

Wiadomo, że większość zbrodniarzy w chwili aresztowania zachowuje milczenie. Ci, którzy głośno protestują, często okazują się niewinni - przynajmniej jeśli chodzi o tę konkretną zbrodnię.

- Ale czy zabił żonę? Nie mam pojęcia. Nie umiem powiedzieć - przyznał Branson.

- Ja też nie.
- Co ci powiedziały jego oczy?

- Musiałbym go zobaczyć na spokojnie. Jak zareagował na wiadomość?

- Był zdruzgotany. Wyglądało to całkiem wiarygodnie.
- Jest biznesmenem, powodzi mu się w interesach, tak?

Znajdowali się w cieniu, pod ciemnoszarym murem, obok wysokiego krzewu laurowego. Przez otwarty szyberdach i okna wpadało świeże powietrze. Mały pająk spuścił się nagle na nici z wewnętrznego lusterka.

- No. Oprogramowanie czy coś takiego - powiedział Branson.

- Wiesz, jaka jest najlepsza cecha osobowości, żeby być biznesmenem odnoszącym sukcesy?

- Jaka by nie była, ja jej nie posiadam.

- Trzeba być socjopatą. Nie mieć sumienia w potocznym rozumieniu tego słowa.

Branson nacisnął guzik, żeby opuścić niżej szybę po swojej stronie.

- Socjopatą to to samo co psychopata, tak?

Zgarnął pajęczka na swoją wielką dłoń i delikatnie wyrzucił go za okno.

- Te same cechy z jedną istotną różnicą: socjopaci potrafią nad sobą panować, psychopaci nie.

- Czyli Bishop jest biznesmenem odnoszącym sukcesy, co za tym idzie, musi być socjopatą, z czego wniosek, że zabił swoją żonę. Bingo! Sprawa zamknięta. Idziemy go aresztować?

Grace uśmiechnął się.

- Niektórzy dilerzy narkotyków są wysocy, czarni i mają ogolone głowy. Ty jesteś wysoki, czarny i masz ogoloną głowę, a co za tym idzie, musisz być dilerem.

Branson zmarszczył brwi, po czym skinął głową.

- Jasne. Załatwię ci, co tylko chcesz.

Grace nadstawił dłoń.

- Dobrze. Daj mi ze dwa z tych prochów, które ci dałem dziś rano, jeśli w ogóle coś ci zostało.

Branson dał mu dwa paracetamole. Grace wyłuskał je z folii i popił haustem wody mineralnej z butelki wyjętej ze schowka na rękawiczki. Potem wysiadł z samochodu, szybkim, zdecydowanym krokiem podszedł do małych, niebieskich drzwi frontowych z mlecznymi szybami i nacisnął dzwonek.

Branson stał obok, napierał na niego, a on marzył, żeby Glenn zmył się na chwilę, dając mu trochę prywatności. Po prawie tygodniu niewidzenia się z Cleo pragnął być z nią przez parę minut sam na sam. Upewnić się, że czuje do niego to samo, co w zeszłym tygodniu.

Po chwili otworzyła drzwi i z Gracem stało się dokładnie to samo, co działo się z nim zawsze na jej widok. Roztopił się w środku w przypiływie radości.

W nowomowie wymyślonej ostatnio w jakimś politbiurze od politycznej poprawności, której Grace nie znosił, oficjalny tytuł Cleo Morey brzmiał: starszy technik anatomopatologu. W dawnym języku, używanym przez zwykłych ludzi i zrozumiałym dla nich, była głównym technikiem sekcyjnym.

Nikt, kto jej nie znał, a widział ją idącą ulicą, nie domyśliłby się tego nigdy w życiu.

Pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, pod trzydziestkę, z długimi włosami blond, emanująca pewnością siebie, była według wszelkich standardów - choć prawdopodobnie nie tych, jakie obowiązywały w jej miejscu pracy - zabójczo wspaniała. Stojąc w ciasnym holu prosektorium, z włosami zebranymi gumką, w zielonym fartuchu chirurgicznym z nałożonym na wierzch fartuchem gumowym i w białych kaloszach, wyglądała raczej na olśniewającą aktorkę grającą swoją rolę, a nie na prawdziwą osobę.

Mimo że dociekliwy, podejrzliwy Glenn Branson stał tuż obok, Grace nie mógł nic na to poradzić, że ich spojrzenia spotkały się na dłużej niż przelotnie. Te wspaniałe, zdumiewające, wielkie, niebieskie jak niebo oczy zajrzały mu w duszę, znalazły jego serce i objęły je pieśczośliwie wzrokiem.

Marzył, żeby Glenn Branson wyparował. Jednak zamiast to zrobić, sukinsyn wciąż stał obok niego, spoglądając to na jedno, to na drugie i szczerząc się jak imbecyl.

- Cześć - powiedział Grace trochę nieśmiało.
- Detektyw nadkomisarz, detektyw sierżant Branson, jak miło was widzieć!

Grace niczego tak nie pragnął, jak objąć ją i pocałować. Tymczasem wziął się w garść i przełączając się z powrotem na tryb profesjonalny, tylko odwzajemnił uśmiech. Potem, prawie nie zauważając mdlącego, słodkawego zapachu środka dezynfekcyjnego, którym przesycone było

wnętrze, wszedł za nią do dobrze znanego, niewielkiego gabinetu służącego także jako rejestracja. Pokój był całkowicie bezosobowy, ale lubił go, ponieważ należał do niej.

Był tam stojący na podłodze, pomrukujący wentylator, ściany pomalowane różową farbą fakturową, różowa wykładzina, ustawione w kształcie L krzesła dla gości i małe metalowe biurko, na którym leżała sterta małych, brązowych kopert z nadrukiem „Rzeczy osobiste” i duża, zielono-czerwona księga opatrzona napisem „Rejestr kostnicy” wytłoczonym złotymi, drukowanymi literami.

Do ściany przymocowana była świetlówka, a obok wisiał rząd oprawionych w ramki dyplomów Instytutu Zdrowia Publicznego i Higieny oraz większy, wydany przez Brytyjski Instytut Balsamistów, z nazwiskiem Cleo Morey. Na drugiej ścianie umieszczony był monitor CCTV, przekazujący sekwencję zmieniających się skokowo obrazów frontu, tyłu i boków budynku oraz zbliżeń wejścia.

- Filizankę herbaty, panowie, czy może wolicie od razu przystąpić do rzeczy?

- Czy Nadiuska jest gotowa?

Przejrzyste, jasne oczy Cleo spojrzały w jego oczy na chwilę o ułamek sekundy dłuższą niż tego wymagało pytanie. Śmiejące się oczy. Niewiarygodnie wprost ciepłe.

- Właśnie wyskoczyła po kanapkę. Będziemy zaczynać za jakieś dziesięć minut.

Grace poczuł w żołądku tępy ból przypominający, że przez cały ranek nic nie jedli. Była 14.20.

- Z przyjemnością napiję się herbaty. Masz jakieś herbatniki?

Sięgnęła pod biurko po puszkę i podważyła wieczko.

- Digestivo. Kit-Katy. Pianki? Leibnize z gorzką albo mleczną czekoladą? Może rogaliki figowe? - Podsunęła puszkę jemu i Bransonowi, który pokręcił głową. - Jaką herbatę? English Breakfast, Earl Grey, Darjeeling, chińska, rumiankowa, miętowa, zielona?

Uśmiechnął się.



- Zawsze zapominam, że prowadzisz tu prawdziwy mały Starbucks.

Nie wywołało to ani cienia uśmiechu Glenna Bransona, który siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, znów nagle pogrążony w depresji. Cleo posłała Grace'owi całusa. Wziął Kit-Kata i rozerwał opakowanie.

Wreszcie z ulgą usłyszał, jak Branson mówi nagle:

- Pójdę się przygotować.

Wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych. Cleo zamknęła drzwi, objęła Roya Grace'a i zaczęła go całować. Mocno i długo.

Kiedy ich wargi się rozdzieliły, nie wypuszczając go z ramion, spytała:

- No i jak się masz?

- Tęskniłem za tobą.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jak bardzo?

Rozłożył ręce na odległość dwóch stóp.

- Tylko tyle? - spytała, udając oburzenie.

- A ty za mną tęskniłaś?

- Bardzo za tobą tęskniłam. Bardzo, bardzo.

- Świetnie! Jak było na szkoleniu?

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Sprawdzasz mnie? - Znów ją pocałował.

- Powiem ci wieczorem, przy kolacji.

Uwielbiał to. Uwielbiał, w jaki sposób przejmowała inicjatywę. Uwielbiał to poczucie, jakie mu dawała, poczucie, że jest jej potrzebny.

Nigdy jeszcze nie doświadczał tego z żadną kobietą. Przenigdy. Był żonaty z Sandy wiele lat i bardzo się kochali, ale nigdy nie miał poczucia, że jest jej potrzebny. Nie w ten sposób.

Był tylko jeden problem. Na ten wieczór planował, że przygotowuje kolację w domu. No dobra, że kupi coś gotowego w delikatesach - jako kucharz był do niczego. Jednak Glenn Branson pokrzyżował te plany. Jak niby miałyby wyglądać romantyczny wieczór w domu z Glennem płaczącym się pod nogami i co chwila tryskającym łzami. Z drugiej strony,

nie mógł przecież powiedzieć przyjacielowi, żeby się zmył na noc. To nie wchodziło w grę.

- Dokąd chciałybyś pójść?
- Do łóżka. Z chińszczyzną na wynos. Może być?
- Bardzo dobry pomysł, ale trzeba go będzie zrealizować u ciebie.
- No i? Masz z tym jakiś problem?
- Nie. Mam tylko problem z moim mieszkaniem. Później ci opowiem.

Jeszcze raz go pocałowała.

- Zostań tu.

Wyszła z pokoju i po chwili wróciła z zielonym fartuchem, niebieskimi ochraniaczami na buty i białymi, lateksowymi rękawiczkami. Wręczyła mu to.

- Proszę. Ostatni krzyk mody.
  - Myślałem, że ubieranie się zachowamy na później - powiedział.
  - Nie. Później się rozbierzemy. A może po tygodniu już zapomniałeś?
- Znów go pocałowała. - Co jest z twoim przyjacielem Glennem? Wygląda jak zбитy pies.

- Bo jest. Sprawy domowe.
- To podnieś go na duchu.
- Próbuję.

Zadzwoił jego telefon. Zirytowany, że mu się przeszkadza, odebrał.

- Roy Grace.

To była funkcjonariuszka do spraw kontaktów z rodziną Linda Buckley.

- Roy - usłyszał - jestem w Hotel du Vin, gdzie godzinę temu zainstalowałam Bishopa w pokoju. Zniknął.

## Rozdział 15

Matka Sophie była Włoszką. Zawsze uczyła córkę, że jedzenie jest najlepszym lekarstwem na szok. A w tej chwili, stojąc przy ladzie we włoskich delikatesach, nieświadoma, że mężczyzna w kapturze i ciemnych okularach przygląda się jej zza przyciemnionej szyby sex shopu po drugiej stronie ulicy, Sophie przyciskała do ucha swój telefon w głębokim szoku.

Kierowała się nawykami, ale jej nawyki zmieniały się wraz z nastrojem. Przez kilka miesięcy, dzień po dniu przynosiła sobie na lunch sushi z baru do czasu, kiedy przeczytała artykuł o ludziach, którzy dostali robaków od surowej ryby. Wtedy przeszła na ciabatte z mozzarella, pomidorem i szynką parmeńską z tych delikatesów. O wiele mniej zdrowe niż sushi, ale pyszne. Jadała to na lunch prawie codziennie od miesiąca, a może jeszcze dłużej. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebowała otuchy, jaką dają rzeczy dobrze znane.

- Powiedz mi - poprosiła. - Mój kochany, co się stało? Proszę, powiesz mi?

Wybełkotał nieskładnie:

- Golf... Nie żyje... Nie wpuścili mnie do domu... Policja. Nie żyje. Jezu Chryste, nie żyje.

Wtem niski, łysy Włoch zza lady wyciągnął w jej kierunku parującą kanapkę zawiniętą w papier. Wzięła ją i wciąż przyciskając telefon do ucha, wyszła na ulicę.

- Oni myślą, że ja to zrobiłem. To znaczy... O Boże. Boże.

- Kochanie, czy mogę coś zrobić? Chcesz, żebym przyjechała?

Długa cisza.

- Wypytywali mnie. Maglowali mnie - wyrzucił z siebie Bishop. - Oni myślą, że ja to zrobiłem. Oni myślą, że ja ją zabiłem. Wypytywali mnie, gdzie byłem zeszłej nocy.

- To akurat proste - powiedziała. - Byłeś u mnie.

- Nie. Dziękuję ci, ale to by nie było mądre. Nie musimy kłamać.

- Kłamać? - powtórzyła zdumiona.

- Chryste - jęknął. - Mam taki zamęt w głowie.

- Co to znaczy, że nie musimy kłamać? Kochanie?

Ulicą nadjechał samochód policyjny. On coś powiedział, ale jego słowa wtopiły się w ryk silnika i wycie syren. Kiedy samochód przejechał, powiedziała:

- Przepraszam, nie słyszałam. Co mówiłeś?

- Powiedziałem im prawdę. Byłem na kolacji z Philem Taylorem, moim doradcą finansowym, a potem poszedłem spać.

Znów zapadła cisza, w której słychać było tylko jego łkanie.

- Kochanie, wydaje mi się, że coś pominąłeś. Co zrobiłeś po kolacji z tym twoim doradcą finansowym?

- Nic - powiedział z nutą zdziwienia w głosie.

- Halo! Wiem, że jesteś w szoku, ale przecież przyjechałeś do mnie. Zaraz po północy. Spędziłeś ze mną noc i poleciałeś koło 5.00, bo musiałeś zabrać od siebie sprzęt do golfa.

- To miło z twojej strony - powiedział. - Ale nie chcę cię zmuszać do kłamstwa.

Zamarła w pół kroku. Ulicą przemknęła ciężarówka, za nią taksówka.

- Do kłamstwa? O co ci chodzi? To prawda.

- Kochanie, nie muszę sobie stwarzać alibi. Lepiej mówić prawdę.

- Przepraszam - powiedziała, nagle zdezorientowana. - Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi. Przyjechałeś, spaliśmy ze sobą, a potem wyszedłeś. Na pewno najlepiej jest mówić prawdę?

- Tak. Oczywiście, że tak.

- Więc?
- Więc? - powtórzył jak echo.
- Więc przyjechałeś do mnie trochę po północy, kochaliśmy się - dość szalenie - i wyszedłeś zaraz po 5.00.
- Tyle tylko, że tego nie zrobiłem - stwierdził.
- Nie zrobiłeś czego?
- Nie przyjechałem do ciebie.

Na chwilę odsunęła od siebie telefon, popatrzyła na niego, po czym znów przycisnęła go do ucha, zastanawiając się przez moment, czy to ona zwariowała, czy on.

- Ja... czegoś nie rozumiem?
- Muszę iść - powiedział.

## Rozdział 16

Na małym kartoniku z odważnym zdjęciem atrakcyjnie wyglądającej dziewczyny w typie orientalnym nadrukowany był napis „Pre-op transsexual”<sup>\*</sup> i numer telefonu. Zdjęcie na innym kartoniku przedstawiało kobietę z bujnymi włosami, w skórach, wymachującą pejczem. Smród moczu unosił się z mokrej plamy na podłodze, w którą Bishop starał się nie wejść. Po raz pierwszy od lat korzystał z budki telefonicznej, a ta nie skłaniała go do nostalgii. Poza tym że śmierdziało, było w niej jak w saunie.

<sup>\*</sup> Osoba transseksualna przed operacją zmiany płci - przyp. tłum.

Brakowało kawałka słuchawki, szyby były potraskane, na łańcuchu zwisały strzępy papieru, prawdopodobnie resztki książki telefonicznej. Na zewnątrz zatrzymała się ciężarówka. Odgłos pracy silnika przywodził na myśl tysiąc chłopów walących młotami wewnątrz blaszanego baraku. Spojrzał na zegarek. 14.31, a on już miał wrażenie, jakby to był najdłuższy dzień jego życia.

Co do cholery ma powiedzieć dzieciom? Maksowi i Carly. Czy się w ogóle przejmą tym, że stracili macochę? Że została zamordowana? Byli tak nastawieni przeciwko niemu i Katie przez jego byłą żonę, że pewno nie bardzo ich to wzruszy. I jak logistycznie rozegrać przekazanie im wiadomości? Lecieć do Francji, żeby powiedzieć Maksowi, i do Kanady, zawiadomić Carly?

Musieliby wcześniej wrócić... pogrzeb... o Jezu. Ale czy wrócą? Czy

muszą? Czy będą chcieli? Nagle zdał sobie sprawę, jak słabo ich zna.

Chryste, jest tyle spraw do przemyślenia.

Co się stało? O mój Boże, co się stało?

Moja najdroższa Katie, co ci się przydarzyło?

Kto ci to zrobił? Kto? Dlaczego?

Dlaczego ta cholerna policja nic mu nie mówi? Ten zarozumiały, wysoki, czarny glina. I ten detektyw inspektor czy nadkomisarz, czy czym tam on jest, Grace, patrzący na niego tak, jakby on był jedynym podejrzanym i jakby tamten wiedział, że to on ją zabił.

W głowie mu się kręciło. Wyszedł na prażoną słońcem Prince Albert Street naprzeciwko ratusza, całkowicie zdezorientowany rozmową, jaką właśnie przeprowadził, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Czytał w książce, że telefon komórkowy może zdradzić, gdzie jesteś, do kogo dzwoniłeś, a także, jeśli kogoś to interesuje, co powiedziałaś. Dlatego kiedy wymknął się kuchennymi drzwiami z Hotel du Vin, wyłączył komórkę i poszukał budki telefonicznej.

Ale reakcja Sophie była zupełnie niepojęta.

*Przecież to jakieś szaleństwo, byłeś ze mną... Przyjechałeś do mnie, spaliśmy ze sobą...*

Tyle tylko, że to nieprawda. Rozstał się z Philem Taylorem przed restauracją, portier przywołał dla niego taksówkę, którą wrócił do siebie, na Notting Hill, gdzie padł zmęczony na łóżko, chcąc się porządnie wyspać przed grą w golfa. Nigdzie nie wychodził, tego był pewien.

Czy pamięć płata mu figle? Szok?

Czy to to?

Wtem, jak potężna, niewidzialna fala wezbrał w nim żal, unosząc go ze sobą w ciemną pustkę, jakby nastąpiło nagle, natychmiastowe, całkowite zaćmienie słońca i umilkły wszystkie odgłosy miasta.

## Rozdział 17

Sala sekcyjna nie przypominała żadnego innego miejsca na świecie, jakie Roy Grace mógłby sobie wyobrazić. Była tygłem, w którym istoty ludzkie rozkładane były niemal zupełnie, jak się czasami zdawało, na czynniki pierwsze. Bez względu na to, jak czysto by tu nie było, zapach śmierci wisiał w powietrzu, przywierał do skóry i ubrań, powracał wszędzie, gdziekolwiek się było w wiele godzin po wyjściu z tego miejsca.

Wszystko tu wydawało się szare, jakby śmierć wylugowała wszelki kolor z otoczenia i z samych ciał. Szare, matowe szyby w oknach chroniły wnętrze przed wzrokiem ciekawskich, szare były kafle na ścianach i zbryzgana szarością posadzka z rowkami odpływowymi. Czasami, kiedy był tu sam i miał czas na chwilę refleksji, odnosił wrażenie, że nawet światło jest eterycznie szare, w odcieniu nadawanym mu z roku na rok przez dusze setek ofiar nagłej lub niewyjaśnionej śmierci, cierpiących ostateczne upokorzenie w tych murach.

W pomieszczeniu dominowały dwa stalowe stoły sekcyjne, jeden przytwierdzony do podłogi i drugi, na którym leżała Katie Bishop - o twarzy jeszcze bledszej niż wtedy, kiedy widział ją po raz pierwszy - na kółkach. Był tu też niebieski podnośnik hydrauliczny i rząd lodówek ze stalowymi drzwiczkami od podłogi do sufitu. Pod jedną ścianą znajdowały się zlewy i leżał zwinięty żółty wąż. Pod drugą, szeroki blat do pracy, metalowa deska do krojenia i makabryczna kolekcja „trofeów” - przeszklona szafa pełna przerażających przedmiotów, głównie rozruszników i protez



stawów biodrowych, wyjętych z ciał. Obok wisiała tablica z wyszczególnieniem nazwiska każdego denata i rubrykami na wagę mózgu, płuc, serca, wątroby, nerek i śledziony. Póki co, wpisane tam było tylko „Katherine Bishop”. Tak, jakby była szczęśliwą zwyciężczynią konkursu, pomyślał Grace ponuro.

Podobnie jak w sali operacyjnej, nie było tu nic, co służyłoby dekoracji, nic zbędnego, nic frywolnego, nic, co złagodziłoby smutek wykonywanej tu pracy. Jednak w sali operacyjnej przynajmniej ludźmi kieruje nadzieja. W tym pomieszczeniu nie było żadnej nadziei, a tylko kliniczna ciekawość. Praca, która musi zostać wykonana. Bezдушna machina prawa w działaniu.

W chwili śmierci przestajesz należeć do swojego współmałżonka, do partnera, do rodziców, do rodzeństwa. Tracisz wszystkie prawa i stajesz się przedmiotem zatrzymanym przez miejscowego koronera do czasu, aż on czy ona nie stwierdzi ponad wszelką wątpliwość, że to naprawdę ty nie żyjesz, i nie będzie mieć jasności co do tego, co cię zabiło. Nieważne, że ktoś ci bliski nie chciał, żeby patroszono twoje ciało. Nieważne, że twoja rodzina musi czekać tygodniami, niekiedy miesiącami, aż będzie mogła cię pochować czy skremować. Ty to już nie jesteś ty. Jesteś okazem biologicznym. Masą powodujących rozkład płynów, białek, komórek, włókien i tkanek, których każdy mikroskopijny fragment może mieć albo nie mieć do opowiedzenia historię twojej śmierci.

Mimo odrazy, Grace był zafascynowany. Zawsze przyglądał się niewyczerpanemu, jak się zdawało, profesjonalizmowi patologów Wydziału Spraw Wewnętrznych i był pełen podziwu dla ich żmudnej, dokładnej pracy. Na tym stole nie chodziło jedynie o ustalenie przyczyny śmierci. Martwe ciało mogło udzielić niezliczonych wskazówek, takich jak przybliżony czas śmierci, zawartość żołądka, ślady walki, napaści o podłożu seksualnym, gwałtu. A przy odrobinie szczęścia, może w skrawku tkanki albo w spermie, odnaleźć można święty Graal naszych czasów - DNA mordercy. Dziś często stół sekcyjny jest tym miejscem, gdzie dochodzi do rozwiązywania zagadki zbrodni.

Dlatego właśnie Grace jako starszy oficer śledczy musiał być obecny, wraz z drugim oficerem, Glennem Bransonem, który miał go zastąpić, gdyby z jakiegoś powodu zmuszony był wyjść. Był tam też Derek Gavin z ekipy kryminalistycznej, rejestrujący aparatem fotograficznym każdy etap sekcji oraz przedstawicielka koronera, czterdziestoparolatnia, siwowłosa była policjantka, tak cicha i nienarzucająca się, że prawie wtapiała się w tło. Obecni byli również Cleo Morey i jej kolega Darren, młodszy technik anatomopatologu, bystry, przystojny dwudziestolatek o nastroszonych, czarnych włosach, który zdaniem Grace'a zaczął swoją karierę jak najbardziej stosownie, mianowicie jako uczeń rzeźnika.

Nadiuska De Sancha, patolog i dwoje techników miało na sobie zielone, gumowe fartuchy nałożone na zielone, dwuczęściowe ubrania, gumowe rękawiczki i białe, gumowe buty. Pozostali mieli zielone fartuchy ochronne i ochraniacze na buty. Ciało Katie Bishop owinięte było w białą, plastikową płachtę, na dłonie i stopy nałożone miała plastikowe torebki przytrzymywane gumkami dla zabezpieczenia dowodów, jakie mogły zostać pod paznokciami. W tym momencie patolog Nadiuska rozwinąwszy płachtę, przyglądała się jej uważnie, szukając włosów, włókien, komórek naskórka lub fragmentów jakiegokolwiek innej materii, dowolnie małych, które, jak mogłoby się okazać, należały do napastnika, a które ewentualnie przeoczyła, badając ciało Katie w jej sypialni.

Następnie odwróciła się i wnioski z oględzin nagrała na dyktafon. Starsza o jakieś dwadzieścia lat od Cleo, była na swój sposób równie olśniewającą kobietą. Przystojna i dystygowana, miała wysokie kości policzkowe, przejrzyste, zielone oczy, które potrafiły w jednej chwili patrzeć śmiertelnie poważnie, a za moment iskrzyć się humorem i ogniście rude włosy, w tej chwili starannie upięte. Jej wielkopański sposób bycia pasował do kogoś, kto ponoć był córką rosyjskiego księcia. Nosiała małe okulary w ciężkiej oprawie, z rodzaju tych, jakie upodobali sobie intelektualiści pokazujący się w mediach. Odłożyła dyktafon koło zlewu i wróciwszy do denatki, zaczęła powoli zdejmować osłonę z jej prawej dłoni.

Kiedy ciało Katie było już całkiem nagie, a to, co zostało wyjęte spod jej paznokci, zabezpieczone, Nadiuska skupiła się na śladach na szyi. Po kilku minutach badania ich przez szkło powiększające przyjrzała się oczom i zwróciła się do Grace'a:

- Roy, tu jest powierzchowna rana od noża i nałożony na nią ślad ligatury. Przyjrzyj się dobrze twardówce, białkom oczu. Zobaczysz wylewy - powiedziała głosem z lekka zabarwionym gardłową, środkowoeuropejską modulacją.

Detektyw nadkomisarz w szeleszczącym, zielonym fartuchu i niezgrabnych ochraniaczach na buty podszedł do Katie Bishop i zajrzał przez szkło powiększające najpierw w jej prawe oko, potem w lewe. Nadiuska miała rację. Na białkach obu oczu dostrzegł wyraźnie po kilka krwawych plamek wielkości nakłuć szpilką. Kiedy już przyjrzał się wystarczająco, cofnął się o parę kroków.

Z kolei Derek Gavin podszedł bliżej i sfotografował każde oko przez makroobiektyw.

- Na skutek nacisku doszło do zamknięcia przepływu w żyłach szyjnych, ale nie w tętnicach - wyjaśniła Nadiuska głośniejszym głosem, na użytek zarówno Roya, jak i pozostałych obecnych. - Wylew to dobry wskaźnik duszenia albo niedoboru tlenu. Dziwne jest to, że nie ma śladów na ciele. Gdyby stawiała napastnikowi opór, byłyby zadrapania czy siniaki, prawda? To by było normalne.

Miała rację. Grace był tego samego zdania.

- A więc mógł to być ktoś, kogo znała? Nieudana zabawa erotyczna? - spytał.

- Z raną od noża? - wtrącił Glenn Branson powątpiewająco.

- Właśnie - powiedziała Nadiuska. - To faktycznie nie pasuje.

- Słuszna uwaga - zgodził się Grace zdumiony, jak mógł przeoczyć coś tak oczywistego, i odnotował to w swoim zmęczonym umyśle.

Wreszcie patolog przystąpiła do właściwej sekcji. Trzymając skalpel w odkrytej rękawiczką dłoni, uniosła splecione włosy Katie i wykonała nacięcie

skóry z tyłu głowy, wzdłuż ich linii, po czym wciąż trzymając za włosy, pociągnięciem do przodu zdjęła skórę z czaszki i położyła ją wewnętrzną stroną do góry na twarzy denatki jak obrzydliwą, pozbawioną rysów maskę.

Teraz do akcji wkroczył Darren, młodszy technik, z piłą taśmową.

Grace wziął się w garść. Uchwycił spojrzenie Glenna Bransona. To był jeden z momentów, które najmniej lubił - ten i otwieranie żołądka, przy czym nieuchronnie rozchodził się smród wywołujący odruch wymiotny. Darren nacisnął włącznik i maszyna zawyła, jej ostre zęby zaczęły się obracać. Chrząszczący dźwięk szarpnął jego trzewiami i każdym nerwem ciała, kiedy zęby piły wgrzyzły się w kość pokrywy czaszki Katie.

W tym momencie Grace poczuł się tak źle, tak fatalnie z przewracającym się żołądkiem i pulsującym w głowie kacem, że miał ochotę uciec w kąt i zatkać sobie uszy. Rzecz jasna, nie mógł tego zrobić. Musiał wytrzymać do końca. Tymczasem młodszy technik sekcyjny kontynuował pracę, opiłki kości sypały się wokół jak trociny, aż wreszcie skończył i zdjął równo odciętą pokrywę czaszki jak wieczko imbryka od herbaty. Pod spodem ukazał się połyskujący mózg.

Ludzie nazywają to zawsze istotą szarą, jednak dla Grace'a, który dość się na nią napatrzył, nigdy nie była szara, a raczej kremowo-brązowa. Szarzeje później. Podeszła Nadiuska i patrzył, jak przez chwilę uważnie przygląda się mózgowi. Darren podał jej nóż z cienkim ostrzem, sabatiera do trybowania mięsa, jaki można znaleźć w szufladzie kuchennej. Zagłębiła go w jamie czaszki, przecięła więzadła i nerwy wzrokowe i wyjąwszy sam mózg, podała go Cleo.

Cleo położyła mózg na wadze, następnie wpisała odczyt kredą na tablicy na ścianie: 1,6 kg.

Nadiuska zerknęła na liczbę.

- W normie dla wzrostu, wagi i wieku - orzekła.

Nad kostkami nóg Katie Darren ustawił metalową tackę na nóżkach. Patolog wzięła nóż rzeźniczy z długim ostrzem. Pomacała mózg palcami w

kilku miejscach, przyglądając mu się uważnie, po czym odcięła z jednego końca cienki plasterek, tak jakby kroїła niedzielną pieczeń.

W tym momencie zadzwonił telefon Grace'a.

Odszedł na bok i odebrał.

- Roy Grace.

Znów dzwoniła Linda Buckley.

- Cześć, Roy. Brian Bishop właśnie wrócił. Zadzwoniłam i odwołałam alarm.

- I gdzie on, do cholery, był?

- Powiedział, że poszedł zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Jasne, już to widzę - rzucił Grace, wychodząc na korytarz. - Skontaktuj się z ochroną, sprawdź, co zarejestrowały kamery koło hotelu w ciągu ostatnich kilku godzin.

- Zaraz to zrobię. Kiedy będziesz gotów, żebym ci go mogła przywieźć na rozmowę?

- To jeszcze trochę potrwa. Dobre trzy, cztery godziny. Zadzwonię do ciebie.

Kiedy tylko się rozłączył, telefon zadzwonił znowu. Nie rozpoznał numeru - długi ciąg cyfr zaczynający się od 49, co wskazywało, że ktoś dzwoni z zagranicy. Odebrał.

- Roy! - usłyszał głos, który poznał natychmiast. Stary przyjaciel i kolega z pracy Dick Pope. Kiedyś Dick i jego żona Lesley byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Jednak odkąd Dick został przeniesiony do Hastings i przeprowadzili się tam, Grace nie widywał ich zbyt często.

- Dick! Miło cię słyszeć. Gdzie jesteś?

W głosie przyjaciela wyczuwalny był moment zawahania.

- Jesteśmy w Monachium, Roy. Uprawiamy turystykę samochodową. Próbuje bawarskiego piwa!

- Brzmi nieźle, jak dla mnie! - powiedział Grace, zaniepokojony wahaniem, które brzmiało tak, jakby przyjaciel powstrzymywał się przed powiedzeniem czegoś.

- Roy, posłuchaj, to może nic nie być. Nie chcę, nie chcę ci sprawiać żadnego... no wiesz, żebyś się denerwował ani nic takiego, ale Lesley i mnie wydaje się, że być może właśnie widzieliśmy Sandy.

## Rozdział 18

Telefon Skunksa znów dzwonił. Obudził się w tym samym momencie, trzęsąc się i pocąc. Jezu, ale tu gorąco. Jego ubranie - poszarpany T-shirt i majtki, w których spał - a także poślanie były przemoczone. Woda lała się z niego.

*Brip-brip-brip.*

Gdzieś z głębi kampera, z cuchnącego mroku dobiegł wrzask tego z Liverpoolu:

- Kurwa, wyłącz tę jebaną komórkę, zanim ci ją wypierdolę przez okno!

To nie był telefon, który ukraść poprzedniego wieczoru, zorientował się nagle. To był jego telefon na kartę. Jego „służbowy” telefon! Gdzie on jest, do cholery?

Zrywając się czym prędzej, odkrzyknął:

- Jak ci się nie podoba, to spierdalaj!

Rozejrzał się po podłodze za swoimi spodniami od dresu. Znalazł je, wsadził ręce w kieszenie i wydobył mały, zielony telefon.

- No? - zgłosił się.

Po chwili macał naokoło w poszukiwaniu długopisu i kawałka papieru. Jedno i drugie miał w bluzie, która była diabli wiedzą gdzie. Na szczęście przypomniał sobie, że na niej spał, używając jej jako poduszki. Wyciągnął cienki, tandetny, popękany długopis i strzępek wilgotnej kartki w linię, który rozłożył na blacie. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że ledwo mógł

pisać, zdołał jednak jakoś zanotować informację spiczastymi bazgrołami i rozłączył się.

Nieźle. Forsa. Szmal! Od metra!

Z kiszkami też było dziś w porządku. Żadnych bolesnych skurczów, po których następowała biegunka dręcząca go od kilku dni - przynajmniej jak na razie. Usta miał wyschnięte na wiór, natychmiast musiał napić się wody. Oszołomiony i skołowany przemieścił się w stronę zlewu. Opierając się na blacie dla zachowania równowagi, sięgnął do kranu. Ale kran już był odkręcony, cała woda ze zbiornika wyciekła. Cholera.

- Kto zostawił pierdolony kran na całą noc? Co? Kto? - rozdarł się.
- Wyluzuj, koleś! - usłyszał w odpowiedzi.
- Ja cię, kurwa, wyluzuję!

Rozsunął zasłonki, mrużąc oczy przed nagłym zalewem oślepiającego blasku wczesno popołudniowego słońca. Na zewnątrz, w parku dostrzegł kobietę trzymającą za rękę berbecia na trójkołowym rowerku. Wyleniały pies węszył w zrytej ziemi w miejscu, gdzie jeszcze dwa dni temu stał namiot cyrkowy. Rozejrzał się po wnętrzu kampera. Trzecie ciało, którego nie zauważył wcześniej, zalegające na podłodze, poruszyło się. I tak nic by z nimi nie zrobił w tej chwili. Mógł mieć tylko nadzieję, że wyniosą się, zanim wróci. Zwykle tak było.

Wtem do jego uszu dobiegło rytmiczne skrzypienie. To Al, jego chomik ze zwichniętą łapką wziętą przez weterynarza w łubki, obracał swój błyszczący, chromowany kołowrotek, poruszając wąsikami.

- Stary, czy ty nigdy się nie męczysz? - spytał, zbliżając twarz do prętów klatki, ale nie za blisko, ponieważ Al raz go ugryzł. Dokładnie, to ugryzł go dwa razy.

Znalazł stworzonko porzucone w klatce przez jakiegoś gruboskórnego skurwysyna w przydrożnym śmietniku. Zobaczył, że ma zwichniętą łapkę, i próbował go wyjąć, a w nagrodę został ugryziony. Drugi raz Al ugryzł go, kiedy starał się go pogłaskać przez pręty. Bywały jednak dni, kiedy mógł otworzyć klatkę, a chomik wychodził mu na dłoń i siedział na niej



zadowolony przez godzinę albo dłużej, od czasu do czasu tylko produkując bobki.

Wciągnął na siebie szary dres Adidas ukradziony z supermarketu ASDA w Marinie. Na nogi włożył nowiutkie niebiesko-białe buty sportowe Asics, które przymierzał i w których uciekł ze sklepu w Kemp Town. Chwył reklamówkę Waitrose ze swoimi narzędziami i wrzucił do niej telefon z samochodu, który ukradł wczoraj.

- Ma was tu, kurwa, nie być, jak wrócę! - krzyknął, otwierając drzwi kampera i wychodząc pod bezchmurne niebo, na rozpaloną patelnię The Level, długiego, wąskiego pasa miejsc parkingowych w centrum Brighton i Hove. To miasto żartobliwie - ale nie do końca żartobliwie - nazywał swoim „biurem”.

Na wilgotnym kawałku papieru, złożonym i bezpiecznie schowanym w zamykanej na suwak kieszeni na piersi, spisane miał zamówienie, adres dostawy i uzgodnioną sumę zapłaty. Zero problemu. Nagle, mimo dreszczy, poczuł, że życie przed nim.

Dziś mógł zarobić dość, żeby przeżyć cały tydzień.

Mógł nawet pozwolić sobie na twardą grę, negocjując cenę telefonu.

## Rozdział 19

*Mój ojciec dziś płacze. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby płakał. Widziałem go pijanego i złego, bo taki jest na ogół, pijany i zły policzkuje matkę albo mnie, albo wali pięścią w twarz któreś z nas, czasem jedno i drugie, to zależy od jego humoru. Czasami kopie psa, bo to mój pies, a on nie lubi psów. Jedyną osobą, której ani nie wali pięścią, ani nie policzkuje, ani nie kopie, jest Annie, moja siostra. Ma dziesięć lat. Jej robi zamiast tego co innego. Słyszymy, jak krzyczy, kiedy on jest w jej pokoju. I płacze czasami, kiedy on już wyjdzie z jej pokoju.*

*Ale dziś to on płacze. Mój ojciec. Wszystkie dwadzieścia dwa jego gołębie nie żyją. Włącznie z dwoma, które miał od piętnastu lat. I jego cztery Birmingham rollery, które umiały fruwać w górę i w dół i robić inne akrobacje w powietrzu.*

*Każdemu wstrzyknąłem po dużej dawce insuliny z jego apteczki cukrzyka. Te gołębie były całym jego życiem. To dziwne, że umiał kochać te halaśliwe, śmierdzące ptaki, chociaż nienawidził nas wszystkich. Nigdy nie zrozumiałem, jak mogli oddać nas, dzieci, jemu i mojej matce. Czasami jest nas tu aż ośmioro. Inne przychodzą i odchodzą. Tylko moja siostra i ja jesteśmy na stałe. Cierpimy razem z naszą matką.*

*Ale dziś, choć raz, to on cierpi. Naprawdę bardzo go to boli.*

## Rozdział 20

Ciabatta Sophie stygła na jej biurku, papier, w który była zawinięta, zdążył przesiąknąć. Nie miała apetytu. Egzemplarz „Harpers & Queen” leżał obok nieotwarty.

Lubiła oglądać bajeczne ubrania na szaleńczo pięknych modelkach, zdjęcia zachwycających kurortów, do których, jak czasami marzyła, mógłby ją porwać Brian, i uwielbiała przeglądać zdjęcia sławnych i bogatych, wyławiając tych, których rozpoznawała z premier filmowych, na które wysyłała ją firma, lub widziała z daleka, idąc po Croisette albo wślizgując się bez zaproszenia na przyjęcia na Festiwalu Filmowym w Cannes. Jakże odległy był ten styl życia od jej skromnego, wiejskiego wychowania.

Nie szukała szczególnie blasku sławy, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Londynu na kurs dla sekretarek - i oczywiście go nie znalazła w swoim pierwszym miejscu zatrudnienia, w firmie komorniczej, gdzie praca polegała na zabieraniu przedmiotów z domów ludzi, którzy popadli w długi. Uznała, że firma jest okrutna, a jej działania bezduszne, więc postanowiła odejść. Kiedy zaczęła przeglądać ogłoszenia w „Evening Standard”, nie wyobrażała sobie wcale, że wyląduje w tak całkowicie innym świecie, w jakim znajdowała się teraz.

W tej chwili jednak jej świat nagle zaczął się chwiać. Usiłowała poukładać sobie w głowie dziwną rozmowę, którą zaledwie przed chwilą przeprowadziła przez komórkę z Brianem, stojąc przed kawiarnią,

kiedy to powiedział jej o śmierci swojej żony i zaprzeczył, że przyjechał do niej zeszłej nocy - czy raczej nad ranem - i kochał się z nią.

Zadzwoił telefon służbowy.

- Blinding Light Productions - powiedziała głosem pozbawionym zwykłego entuzjazmu, mając kruchą nadzieję, że może to Brian.

Ktoś chciał rozmawiać z szefem firmy i dyrektorem ds. prawnych Adamem Daviesem. Przełączyła rozmowę, po czym wróciła do swoich myśli.

No dobrze, Brian był dziwny. Poznała go pół roku temu, kiedy siedzieli obok siebie na konferencji poświęconej zachętom podatkowym dla inwestorów w branży filmowej, na którą poszła na prośbę szefów, a wciąż miała poczucie, że zna go tylko fragmentarycznie. Był bardzo skryty i trudno jej było nakłonić go do mówienia o sobie. Nie bardzo wiedziała, czym się właściwie zajmuje, a co ważniejsze, czego chce od życia - i od niej.

Był miły i hojny, umiał być świetnym kompanem. Dopiero ostatnio odkryła, że jest też rewelacyjnym kochankiem! A jednak było w nim coś, co trzymał w zamknięciu i do czego nie miała dostępu.

Jakaś jego część potrafiła zaprzeczyć, absolutnie, że przyjechał do niej nad ranem.

Gorąco pragnęła dowiedzieć się, co się stało z jego żoną. Biedny, kochany, musiał być zrozpaczony. Oszalały z żalu. *Zaprzeczenie*. Czy odpowiedź była aż tak prosta?

Chciała go przytulić, pocieszyć, wysłuchać. W jej głowie zaczynał kiełkować plan. Dość mglisty co prawda - zbyt była roztrzęsiona, żeby obmyślić wszystko jak należy - ale lepsze to niż siedzieć tu bezradnie, nic nie wiedząc.

Obaj właściciele firmy, Tony Watts i James Samson, byli na urlopiach. W biurze był spokój, nikomu nie będzie przeszkadzać, jeżeli wyjdzie wcześniej. O 15.00 powiedziała Cristianowi i Adamowi, że kiepsko się czuje, więc zaproponowali, żeby poszła do domu.

Podziękowała im, wyszła z budynku, pojechała metrem na dworzec Victoria, a tam skierowała się prosto na peron, z którego odjeżdżał pociąg do Brighton.

Wsiadając do pociągu i sadowiąc się w dusznym, gorącym przedziale, nie zdawała sobie sprawy, że mężczyzna w dresie, w kapturze i ciemnych okularach wsiadł do następnego wagonu. W rękę trzymał czerwoną, plastikową torbę z zakupami z sex shopu i bezgłośnie powtarzał słowa starej piosenki Louisa Armstronga „We Have All the Time in the World”, sączącej mu się do uszu z iPod'a.

## Rozdział 21

Roy Grace rozłączył się i w oszołomieniu wrócił do sali sekcyjnej. Cleo spojrzała mu w oczy, jakby wyczuła, że dzieje się coś złego. Dał jej słaby znak, że wszystko w porządku.

Miał wrażenie, że w żołądku obraca mu się mokry beton. Ledwo mógł skupić wzrok na tym, co miał przed oczami. Nadiuska De Sancha przecinała skalpelem kolejne warstwy tkanki szyi Katie Bishop, szukając śladów obrażeń wewnętrznych.

Nie chciał tu być w tej chwili. Chciał być sam, posiedzieć w spokoju gdzieś, gdzie mógłby pomyśleć.

O Sandy.

Monachium.

Czy to możliwe?

Sandy, jego żona, zniknęła z powierzchni ziemi ponad dziewięć lat temu, w dniu jego trzydziestych urodzin. Pamiętał to tak żywo, jakby to było wczoraj.

Urodziny zawsze były szczególną okazją dla nich obojga. Obudziła go z tacą, na której znajdował się torcik z pojedynczą świeczką, kieliszek szampana i dość sprośna kartka urodzinowa. Rozpakował prezenty, jakie od niej dostał, potem się kochali.

Wyszedł z domu później niż zwykle, o 9.15, obiecując, że wróci wcześniej, żeby mogli pójść na odświętny obiad z Dickiem i Lesley Pope. Jednak kiedy wrócił do domu dwie godziny później, niż planował, z

powodu komplikacji w sprawie morderstwa, którą prowadził, nigdzie nie było ani śladu Sandy.

Z początku myślał, że zezłościła się na niego o spóźnienie i w ten sposób protestuje. W domu panował porządek, nie było jej samochodu ani torebki, nic nie wskazywało, że stoczono tam walkę.

Przez lata szukał wszędzie. Wykorzystał każdą możliwą drogę, przez Interpol rozesłał jej zdjęcie po całym świecie. Kontaktował się z mediami, zresztą robił to nadal za każdym razem, kiedy jakaś wiadomość brzmiała wiarygodnie. I nic. Żadna nie miała z nią nic wspólnego. Tak jakby została teleportowana z Ziemi. Żadnego śladu, nigdzie nie była widziana.

Aż do tego telefonu.

Od Dicka Pope'a, który powiedział, że on i Lesley byli nad jeziorem, w ogródku piwnym w Monachium. W Seehaus w Englischer Garten. Pływali łodzią wiosłową po jeziorze i oboje mogliby przysiąc, że widzieli Sandy. Siedziała w tłumie przy stole, śpiewając do wtóru bawarskiej kapeli.

Dick powiedział, że natychmiast zaczął wiosłować prosto do brzegu, wołając ją. Wskoczył z łodzi i pobiegł w jej kierunku, ale ona zniknęła. Wmieszała się w tłum. Powiedział, że oczywiście nie ma stuprocentowej pewności. Ani on, ani Lesley nie są całkowicie pewni.

W końcu minęło dziewięć lat od czasu, kiedy widzieli Sandy. Poza tym w Monachium, latem, jak wszędzie indziej, pełno jest atrakcyjnych blondynek z długimi włosami. Jednak Dick zapewniał go, że dla niego i Lesley podobieństwo było niesamowite. W dodatku kobieta spojrzała na nich w sposób wskazujący, że ich poznaje. Więc dlaczego uciekła od stołu?

Zostawiając trzy czwarte dużej szklanki piwa.

Ludzie siedzący obok powiedzieli, że nie widzieli jej nigdy przedtem.

Sandy lubiła szklankę piwa w upalny dzień. Jedną z miliona, miliarda, biliona rzeczy, które Roy Grace w niej uwielbiał, był jej apetyt na życie. Na jedzenie, wino, piwo. I seks. Była inna niż wiele kobiet, z którymi spotykał się wcześniej. Szła na wszystko. Zawsze tłumaczył to sobie tym, że nie była stuprocentową Brytyjką. Jej matka, wspomniała osoba, którą spotkał wiele

razy, zanim umarła, i naprawdę ją lubił, była Niemką. Żydówką zbiegłą z Niemiec w 1938 roku. Jej dom rodzinny znajdował się we wsi pod Monachium.

Jezu. Ta myśl uderzyła go jak obuchem.

Czy Sandy mogła wrócić do korzeni?

Często mówiła, że chciałaby tam pojechać. Próbowwała nawet namówić babcię, żeby jej towarzyszyła i pokazała, gdzie mieszkali, ale dla starszej pani wspomnienia były zbyt bolesne. Kiedyś Grace obiecał Sandy, że wybiorą się tam razem.

Ostry trzask i plaśnięcie sprowadziły go z powrotem do teraźniejszości.

Ciało Katie Bishop zostało otwarte. Spod odsuniętych na boki płatów skóry z pierściami wyłaniały się żebra, mięśnie i narządy wewnętrzne. Widać było lśniące serce, płuca, nerki i wątrobę. Serce nie pompowało już krwi i tylko jej strużka ściekała powoli na wklęsły, metalowy stół, na którym leżało ciało.

Narzędziem przypominającym ogrodniczy sekator Nadiuska zaczęła przecinać żebra denatki. Każdy ponury trzask kości zmuszał Grace'a i wszystkich pozostałych obserwatorów do jakiegoś dziwnego, skupionego milczenia. Nie ma znaczenia, w ilu sekcjach zwłok uczestniczyłeś, nic nie jest w stanie przygotować cię na ten dźwięk, na tę straszną rzeczywistość. Ktoś, kto kiedyś był żywą, oddychającą, kochającą istotą ludzką, zostaje zrównany z pościem mięsa na rzeźnickim haku.

Po raz pierwszy w karierze Grace'a było to ponad jego wytrzymałość. Z całym zamętem w głowie, z kłębiącymi się myślami o Sandy odsunął się od stołu sekcyjnego najdalej jak tylko się dało bez wychodzenia z sali.

Starał się skupić. Ta kobieta została zabita przez kogoś, prawie na pewno zamordowana. Zasługiwała na coś więcej niż nieuważny glina zajęty wyłącznie myślą o tym, że być może ktoś widział jego dawno zaginioną żonę. Przynajmniej na jakiś czas musiał spróbować zepchnąć myśl o telefonie od Dicka Pope'a na dalszy plan i skupić się na tym, co dzieje się tutaj.



Pomyślał o jej mężu, Brianie. O jego zachowaniu w pokoju przesłuchań świadków. Coś tu nie grało. Wtem uświadomił sobie, że w zmęczeniu i kacowym otępieniu zupełnie zapomniał coś zrobić.

Coś, czego nauczył się ostatnio i co pozwoli mu przekonać się, czy Brian Bishop mówił prawdę, czy nie.

## Rozdział 22

Sophie wysiadła z pociągu w Brighton i poszła wzdłuż peronu. Używając na bramce swojego biletu kwartalnego, weszła na wypolerowaną posadzkę hali dworcowej. W górze samotny gołąb przefrunął pod rozległym, szklanym dachem. Zapowiedź płynąca z głośników rozniosła się echem po hali - zmęczony, męski głos odczytywał listę stacji, na których miał się zatrzymać jakiś pociąg.

Pociła się straszliwie w lepkim, nieruchomym upale i zaschło jej w gardle. Zatrzymała się przy kiosku z prasą, żeby kupić puszkę coli, którą natychmiast otworzyła i opróżniła dwoma haustami. Rozpaczliwie, ale to rozpaczliwie chciała zobaczyć Briana.

Wtem, tuż przed nosem, na billboardzie „Argusa” zobaczyła czarno na białym: MARTWA KOBIETA ZNALEZIONA W DOMU MILIONERA.

Wrzuciła pustą puszkę do kosza na śmieci i chwyciła gazetę ze stosu.

Poniżej tytułu umieszczone było kolorowe zdjęcie imponującego domu udającego styl Tudorów. Podjazd i ulica na zewnątrz otoczone były taśmą oznaczającą miejsce zbrodni i zatłoczone pojazdami, wśród których były dwa oznakowane samochody policyjne, kilka furgonetek i wielka, kwadratowa bryła pojazdu sekcji zabójstw. Z boku i o wiele mniejsze znajdowało się czarno-białe zdjęcie ukazujące Briana Bishopa w muszce i atrakcyjną kobietę z eleganckim puklem włosów.

Notatka poniżej głosiła:

Ciało kobiety znaleziono dziś rano przy Dyke Road Avenue, w rezydencji bogatego biznesmena Briana Bishopa (41) i jego żony, Katie (35). Wezwano na miejsce patologa Wydziału Spraw Wewnętrznych, a następnie przewieziono ciało z posiadłości.

Policja hrabstwa Sussex wszczęła śledztwo, którym kieruje detektyw nadkomisarz Roy Grace z Wydziału Kryminalnego.

Urodzony w Brighton Bishop, jest dyrektorem generalnym International Rostering Solutions PLC, jednej ze 100 najszybciej rozwijających się firm brytyjskich z listy „Sunday Timesa”. Nie udało się z nim skontaktować i uzyskać komentarza. Jego żona należy do komitetu organizacji dobroczynnej na rzecz dzieci Roking Horse Appeal z siedzibą w Brighton, jak również zbiera fundusze na lokalne cele charytatywne.

Sekcja zwłok odbędzie się dziś w godzinach popołudniowych.

Sophie wpatrując się w gazetę, czuła ciężar w żołądku. Nigdy dotychczas nie widziała zdjęcia Katie Bishop i nie miała pojęcia, jak wygląda. Boże, ta kobieta była piękna. O wiele bardziej atrakcyjna od niej - ona nigdy nie będzie taka. Wydawała się taka elegancka, taka szczęśliwa, taka...

Odłożyła gazetę na stos, mając jeszcze większy zamęt w głowie. Zawsze trudno było wydobyć z Briana coś na temat żony. I chociaż jedną część Sophie paliła ciekawość wszystkiego, co jej dotyczyło, jednocześnie druga jej część usiłowała zaprzeczyć jej istnieniu. Nigdy przedtem nie miała romansu z żonatym mężczyzną i nigdy nie chciała mieć - zawsze starała się kierować w życiu prostym kodeksem moralnym. Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe.

Wszystko to przestało być ważne, kiedy poznała Briana. On zwyczajnie zwałił ją z nóg. Miał na nią hipnotyczny wpływ. A zaczęło się od niewinnej przyjaźni. Teraz po raz pierwszy patrzyła na swoją rywalkę. I Katie nie była kobietą, jakiej się spodziewała. Nie, żeby wiedziała, czego ma się

spodziewać. Brian nigdy za wiele o niej nie mówił. Wyobrażała sobie babsko z kwaśną miną, uczesane w kok. Jakąs upiorną ropuchę, która wciągnęła Briana w małżeństwo bez miłości. Nie tę olśniewającą, pewną siebie i wyglądającą na szczęśliwą pięknosc.

Nagle poczuła się całkowicie zagubiona. Zastanawiała się, co u diabła sobie myślała, przyjeżdżając. Bez przekonania wyjęła komórkę z torebki - taniej, cytrynowej, płóciennej torby, którą kupiła na początku lata, ponieważ była modna, a teraz wyglądała żenująco niechlujnie. Tak samo jak ona cała, w tym syfiastym ubraniu do pracy - zauważyła, ogarniając wzrokiem swoje odbicie w lustrze kabiny z automatem fotograficznym.

Będzie musiała pójść do domu, przebrać się i odświeżyć. Brian lubił, żeby dobrze wyglądała. Pamiętała, z jaką dezaprobatą spojrział na nią, kiedy pewnego razu została do późna w biurze i pojawiła się na spotkaniu z nim w eleganckiej restauracji, nie przebierając się przedtem.

Po chwili wahania wybrała jego numer, cała skoncentrowana i wciąż nieświadoma obecności mężczyzny w kapturze, który stojąc zaledwie kilka stóp od niej, pozornie zajęty był przeglądaniem książek w miękkich okładkach na obrotowym stojaku.

Kiedy kolejna zapowiedź z głośników odbiła się echem wokół niej, zerknęła na potężny zegar z tarczami z czterech stron i rzymskimi cyframi.

16.51.

- Cześć - odezwał się Brian, co ją zaskoczyło, ponieważ odebrał, zanim usłyszała sygnał.

- Biedaku - powiedziała. - Tak mi przykro.

- Tak. - Jego głos był bezbarwny, chropawy. Zdawał się wchłaniać jej własny jak bibuła.

Zapadła długa, niezręczna cisza. W końcu ją przerwała:

- Gdzie jesteś?

- W hotelu. Cholerna policja nie chce mnie wypuścić do mojego domu.

Nie chcą mnie wypuścić do własnego domu. Nie chcą mi powiedzieć, co się stało, masz pojęcie? Mówią, że to miejsce zbrodni i nie wolno mi wchodzić. Ja... O Jezu, Sophie, co ja mam zrobić? - Rozpłakał się.

- Jestem w Brighton - powiedziała spokojnie. - Wysłałam wcześniej z pracy.

- Po co?

- Ja... myślałam... pomyślałam, że może... sama nie wiem... przepraszam. Pomyślałam, że może mogłabym coś zrobić. Rozumiesz. Pomóc. - Jej głos zanikł. Gapiła się na ozdobny zegar. Na gołębia, który nagle sfrunął na jego wierzchołek.

- Nie mogę się z tobą zobaczyć - powiedział. - To niemożliwe.

Czuła się jak idiotka, że mogłaby coś takiego zasugerować. Co jej, u diabła, chodziło po głowie?

- Nie - powiedziała czym prędzej. Nagła ostrość jego tonu zabolą ją.

- Rozumiem. Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli jest coś, co mogłabym zrobić...

- Nie ma nic takiego. To miło, że dzwonisz. Muszę jechać zidentyfikować jej ciało. Nawet jeszcze nie powiedziałem dzieciom. Ja...

Zamilkł. Czekala cierpliwie, starając się zrozumieć, jakie emocje musi przeżywać, i uświadamiając sobie, jak mało o nim wie i jak bardzo na uboczu jego życia się znajduje.

Wreszcie łamiącym się głosem powiedział:

- Zadzwoń do ciebie później, dobrze?

- O każdej porze. Absolutnie o każdej, tak? - zapewniła go.

- Dzięki - powiedział. - Przepraszam... przykro mi.

Po tej rozmowie Sophie zadzwoniła do Holly. Rozpaczliwie musiała z kimś porozmawiać, ale nie uzyskała nic poza najnowszym powitaniem poczty głosowej Holly, które było jeszcze bardziej irytująco radosne od poprzedniego. Zostawiła wiadomość.

Potem przez kilka minut snuła się bez celu po hali dworcowej, aż wreszcie wyszła na słońce. Nie chciało jej się iść do domu, właściwie sama nie wiedziała, co chce robić. Strumień opalonych ludzi nieprzerwanie płynął ulicą w kierunku dworca, wielu wyglądających na przyjezdnych, w T-shirtach, koszulkach bez rękawów albo krzykliwych koszulkach i szortach. Taszczyli torby plażowe i pewno teraz wracali do domu po dniu

spędzonym nad morzem. Chudy mężczyzna w dżinsach przyciętych na wysokości kolan machał potężnym radiem, z którego płynął rap. Jego twarz i ramiona miały barwę gotowanego homara. W mieście czuło się nastrój wakacji, tak odległy od jej nastroju jak Jowisz.

Nagle zadzwonił jej telefon. Natychmiast się ożywiła, mając nadzieję, że to Brian, jednak na wyświetlaczu zobaczyła imię Holly. Weisnęła klawisz z zieloną słuchawką.

- Cześć.

Głos Holly tonął w upiornym wyciu. Siedziała u fryzjera, jak poinformowała przyjaciółkę, pod suszarką. Po dwóch minutach, w ciągu których starała się wytłumaczyć, co się stało, Sophie zrezygnowała i zasugerowała, że może porozmawiają później. Holly obiecała oddzwonić, jak tylko wyjdzie z salonu.

Mężczyzna w kapturze szedł za nią w bezpiecznej odległości, niosąc swoją czerwoną, plastikową torbę i ssąc wierzch drugiej dłoni. Przyjemnie było znaleźć się znów nad morzem, z dala od brudnego powietrza Londynu. Miał nadzieję, że Sophie pójdzie na plażę. Miło byłoby usiąść tam sobie, może zjeść loda. Byłby to dobry sposób na spędzenie czasu, na przepuszczenie przez palce kilku z tych milionów godzin, jakie miał zdeponowane w swoim banku.

Idąc, myślał o zakupach, które zrobił dziś w porze lunchu i teraz potrzebował nimi w torbie. W zamykanych na suwaki kieszeniach bluzy, oprócz portfela i komórki, miał rolkę taśmy izolacyjnej, nóż, chloroform i fiolkę zgłuszacza, tak zwane pigułki gwałtu - Rohypnol. Miał też kilka innych drobiazgów - nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać...

Dziś będzie bardzo dobra noc. Znowu.

## Rozdział 23

Cleo mogła pokazać, co naprawdę potrafi, kiedy zaraz po 17.00 Nadiuska De Sancha zakończyła wreszcie sekcję zwłok Katie Bishop.

Za pomocą łyżki wazowej Cleo usunęła krew, która naciekła do jamy brzusznej, łyżka po łyżce wylewając ją do odpływu. Prowadził on do umieszczonego pod budynkiem zbiornika, w którym chemikalia powoli rozkładały krew, zanim trafiła ona do systemu kanalizacji miejskiej.

Tymczasem Nadiuska pochylona nad blatem nagrywała na dyktafon sprawozdanie, a następnie zajęła się wypełnianiem protokołu sekcji, protokołu histologicznego i protokołu przyczyny zgonu. Darren podał Cleo białą, plastikową torbę zawierającą wszystkie narządy wyjęte z ciała i zważone. Grace przyglądał się z tą samą niezdrową fascynacją, jak Cleo wkłada torbę do jamy brzusznej Katie, jakby nadziewała kurczaka podrobami.

Patrzył, ale widok zaciemniał mu wiszący nad nim gęsty cień rozmowy o Sandy. Zastanawiał się. Będzie musiał zadzwonić do Dicka Pope'a, wypytać go szczegółowo, kiedy dokładnie widział Sandy, przy którym stole siedziała, czy rozmawiał z obsługą, czy była sama, czy z kimś.

Monachium. Nazwa tego miasta nie była dla niego pustym dźwiękiem, częściowo ze względu na powiązania rodzinne Sandy, ale i dlatego, że bez przerwy, z takich czy innych powodów, było obecne w świadomości świata. Oktoberfest, stadion piłkarski, na którym odbywały się mecze mistrzostw świata, siedziba koncernu BMW, a poza tym, o ile dobrze

pamiętał, to tu zaczynał swoją polityczną karierę Adolf Hitler, zanim przeniósł się do Berlina. W tej chwili jedyne, o czym marzył, to wskoczyć do samolotu i lecieć tam. Jednocześnie umiał sobie wyobrazić, jak by to pasowało jego szefowej Alison Vosper, która tylko czekała na jakąkolwiek okazję, choćby niewielką, żeby przekręcić już wbity w niego nóż i pozbyć się go.

Darren wyszedł z sali i po chwili wrócił z czarnym workiem na śmieci zawierającym przepuszczoną przez niszczarkę korespondencję podatkową Rady Miejskiej Brighton i Hove. Zaczerpnął garść i zaczął wypełniać ścinkami papieru pustą czaszkę denatki. Cleo natomiast w skupieniu, posługując się igłą do szycia żagli, zszywała rozciętą powłokę skórą, równym, jakby maszynowym ścięciem.

Kiedy skończyła, opłukała ciało Katie wodą z węża, aby zmyć krwawe zacieki, i przystąpiła do najdelikatniejszej części procedury. Z ogromną dbałością wykonała makijaż, nałożyła trochę różu na policzki, przyglądała włosy, nadała Katie wygląd osoby, która zdrzemnęła się na chwilę.

W tym czasie Darren zabrał się do sprzątnięcia sali sekcyjnej wokół wózka z Katie Bishop. Spryskał posadzkę środkiem dezynfekującym o zapachu cytrynowym, wyszorował, następnie użył wybielacza, potem kolejnego środka dezynfekującego Trigene, a wreszcie włożył narzędzia do autoklawu.

Pół godziny później, okrytą fioletowym całunem, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i bukietem drobnych, różowych i białych różyczek w dłoni, Darren wtoczył Katie Bishop na wózku do sali widzeń, małego, wąskiego pomieszczenia z szerokim oknem, w którym miejsca wystarczało na tyle, żeby najbliżsi mogli stanąć wokół ciała. Salka z niebieskimi zasłonami przypominała kaplicę, z tą różnicą, że zamiast ołtarza ustawiono tu wazon z plastikowymi kwiatami.

\*



Grace i Branson stali na zewnątrz, obserwując przez szybę wejście Briana Bishopa prowadzonego przez funkcjonariuszkę Lindę Buckley, uważną, sympatycznie wyglądającą kobietę po trzydziestce z krótkimi, jasnymi włosami, ubraną w poważny, granatowy kostium i białą bluzkę.

Obserwowali, jak Bishop wpatruje się w twarz martwej kobiety, potem sięga pod całun, chwyta jej dłoń, całuje i ściska. Po jego twarzy płynęły łzy. Wtem osunął się na kolana, całkowicie przytłoczony żalobą.

W chwilach takich jak ta, których Grace w swojej długiej karierze doświadczył aż nadto, marzył, żeby być kimkolwiek, tylko nie oficerem policji. Jeden z jego szkolnych kolegów pracował w bankowości, obecnie był kierownikiem oddziału w Worthing, cieszył się dobrą pensją i spokojnym życiem. Inny organizował rejsy dla wędkarzy w Marinie w Brighton i niczym się nie przejmował.

Grace patrzył, nie umiając odciąć się od własnych emocji, nie mogąc przestać odczuwać rozpacz tego człowieka każdą komórką ciała. Jedyne co mógł zrobić, to powstrzymać się od płaczu.

- Cholera, on naprawdę cierpi - powiedział cicho Glenn.

Grace wzruszył ramionami. Nad głosem serca górę wziął glina.

- Być może.
  - Jezu, ale z ciebie twardy sukinsyn.
  - Nie byłem taki, zanim nie zacząłeś mnie wozić. Trzeba być twardym sukinsynem, żeby to przeżyć.
  - Bardzo śmieszne.
  - Zdałeś w końcu ten test z zaawansowanej jazdy?
  - Oblałem, dobra?
  - Naprawdę?
  - No. Za jeżdżenie za wolno. Możesz w to uwierzyć?
  - Czy ja mogę w to uwierzyć?
  - Jezu, wkurzasz mnie. Zawsze to samo. Na każde moje pytanie ty odpowiadasz pytaniem. Nigdy nie możesz przestać być cholernym detektywem?
- Grace uśmiechnął się.

- I co w tym śmiesznego? Zadałem ci proste pytanie, czy możesz uwierzyć, że oblałem, bo jeździłem za wolno?

- No nie.

I rzeczywiście nie mógł! Pamiętał, jak Glenn przewiózł go ostatnim razem, ćwicząc do testu jazdę z dużą prędkością. Kiedy po wszystkim Grace wysiadł z samochodu, mając wszystkie kończyny całe - co miało więcej wspólnego z farterem niż z umiejętnościami kierowcy - uznał, że wolałby dać sobie usunąć woreczek żółciowy bez znieczulenia niż znów mieć Glenna Bransona za kierownicę.

- Naprawdę, stary - potwierdził Branson.

- Dobrze wiedzieć, że są jeszcze na świecie ludzie zdrowi na umyśle.

- Wiesz, jaki jest twój problem, detektywie nadkomisarzu Royu Grace?

- Który konkretnie problem?

- Ten z moim jeżdzeniem?

- Powiedz mi.

- Brak wiary.

- W ciebie czy w Boga?

- Bóg pokierował kulą, żeby nie zrobiła mi większej krzywdy.

- Ty naprawdę w to wierzysz, co?

- A masz lepszą teorię?

Grace umilkł, zamyślony. Zawsze łatwiej mu było trzymać kwestie dotyczące Boga na bezpieczny dystans i myśleć o nich tylko wtedy, kiedy mu to pasowało. Nie był ateistą ani nawet prawdziwym agnostykiem. Wierzył w coś - albo przynajmniej chciał w coś wierzyć - tylko że nie potrafił określić, w co właściwie. Zawsze brakowało mu umiejętności otwartego przyjęcia idei Boga. Potem natychmiast miał poczucie winy. Jednak odkąd Sandy zniknęła, a wszystkie jego modlitwy pozostały bez odpowiedzi, jego wiara uległa erozji.

Tak bywa.

Jako policjant miał obowiązek dochodzić prawdy. Ustalać fakty. Przekonania jego i innych funkcjonariuszy były ich własną sprawą.

Obserwował Briana Bishopa po drugiej stronie szyby. Ten człowiek był całkowicie pogrążony w żałobie.

Albo świetnie grał swoją rolę.

Już niedługo Grace miał dowiedzieć się, czy jedno, czy drugie.

Tyle tylko, że chociaż nie powinno tak być, bo była to sprawa osobista, na pierwszym planie w jego myślach znajdowała się Sandy.

## Rozdział 24

Skunksa kusilo, żeby zadzwonić do dilerza z kradzionej komórki, ponieważ w jego własnej skończyła się karta, ale uznał, że nie warto ryzykować. Tamten mógłby się wściec. Albo co gorsza, zrezygnować z jego usług, chociaż skąpy był z niego sukinsyn. Tak czy inaczej, nie byłby zachwycony, że jego numer znalazł się na liście wybieranych w kradzionej komórce, zwłaszcza takiej, którą sam miał opchnąć dalej.

Wszedł więc do budki telefonicznej przed brudną szeregówką z okresu regencji przy The Level i pozwolił, żeby drzwi same zamknęły się za nim, izolując go od łośkotu ruchu ulicznego, wzmożonego w piątkowe popołudnie. Miał wrażenie, jakby zamknęły się za nim drzwi pieca, gorąco było nie do zniesienia. Wybrał numer, przytrzymując na wpół otwarte drzwi nogą. Po dwóch dzwonekach odebrano telefon. Usłyszał krótkie:

- Tak?

- Wayne Rooney - powiedział Skunks. Było to hasło uzgodnione ostatnim razem. Zmieniało się przy każdym spotkaniu.

Mężczyzna mówił z akcentem ze wschodniego Londynu.

- A, w porządku. To co zwykle? Chcesz browna? Za dychę czy za dwie?

- Za dwie.

- Co masz? Forsę?

- Motorola Razor. Komóra.

- Mam ich od metra. Mogę ci dać dychę.
- Wal się, człowieku. Chcę trzy.
- Nie mogę ci pomóc, stary. Przykro mi. Cześć.

W nagiej panice Skunks wykrzyknął:

- Ej, nie, czekaj.

Po chwili ciszy tamten powiedział:

- Jestem zajęty. Nie mam czasu na zmarnowanie. Ceny na ulicy idą w górę i brakuje towaru. Przez dwa tygodnie będzie słabo.

Skunks zarejestrował tę informację.

- Mogę wziąć za dwie dychy.
- Dycha to wszystko, co mogę zrobić.

Byli inni dilerzy, ale ostatni, z którego korzystał, wpadł i poszedł siedzieć. Inny wpakował mu jakiś gówniany towar. Był tego pewien. Było paru paserów, od których mógłby dostać lepszą cenę za telefon, ale coraz silniej odczuwał zjazd i potrzebował czegoś natychmiast, żeby się pozbierać. Miał dziś robotę, na której zarobi dużo więcej. Później będzie sobie mógł dokupić.

- No dobra. Gdzie się spotkamy?

Diler, znany mu jako Joe, poinstruował go.

Skunks wyszedł na zewnątrz. Czując, jak słońce praży mu czaszkę, przemknął między samochodami na zakorkowanej Marlborough Place, naprzeciwko pubu, w którym czasami w nocy kupował w męskiej toalecie ecstasy. Może nawet będzie miał forszę, żeby sobie kupić tego wieczoru, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Skrecił w prawo, w North Road, długą, ruchliwą, jednokierunkową ulicę biegnącą stromo pod górę. Dolny koniec był syfiasty, ale w połowie, za Starbucks, zaczynała się najmodniejsza część Brighton.

Dzielnica North Laine była płataniną wąskich uliczek pokrywającą większą część wzgórza schodzącego w dół na wschód od dworca. Za każdym rogiem można się było natknąć na wystawiony na chodniku rząd zabytkowych, marmurowych kominków albo wieszaki z modnymi ciuchami,

albo wiktoriańskie domki szeregowe zbudowane w XIX wieku dla robotników kolejowych, albo wypiaszkowaną fasadę starej fabryki przerobionej teraz na eleganckie, miejskie apartamenty.

Przejsście krótkiego odcinka pod górę było dla Skunksa ciężkim ćwiczeniem. Był czas, kiedy biegał szybko jak wiatr, potrafił zwinąć torbę czy towar ze sklepu pewny, że nikt go nie dogoni, ale teraz wysiłek fizyczny szybko prowadził do wyczerpania, z wyjątkiem tych kilku godzin po wzięciu albo kiedy był na dopalaczu. Nikt go nie zauważał poza dwoma policjantami po cywilnemu siedzącymi przy stoliku w pełnym ludzi Starbucks. Przez okno mieli doskonały widok na wszystko, co się dzieje na ulicy.

Obaj ubrani bez staranności, mogliby uchodzić za studentów wysiadających nad jedną kawą najdłużej jak się da. Jeden, niższy i przysadzisty, z ogoloną głową i kozią bródką, miał na sobie czarny T-shirt i wytarte dzinsy; drugi, wyższy, z włosami w strąkach, ubrany był w workowatą koszulę wypuszczoną na wojskowe spodnie polowe. Znali z widzenia większość podejrzanych typów z Brighton, a policyjne zdjęcie Skunksa wisiało na ścianie w Brighton Central obok około czterdziestu innych notorycznych przestępców od tak dawna, jak długo służyli w policji.

Dla większości mieszkańców Brighton i Hove Skunks był niewidzialny. Ubrany tak samo, jak zawsze odkąd wszedł w wiek dorastania, w bluzę z kapturem z gnieczonego nylonu, postrzępiony, pomarańczowy T-shirt, spodnie od dresu i adidasy, z rękami w kieszeniach, przygarbiony, wtapiał się w miejskie tło jak kameleon. To był mundur jego gangu WBC - Well Big Crew - rywalizującego z istniejącym o wiele dłużej gangiem TMC - Team Massive Crew. Nie byli tak dzicy jak TMC, których rytuały inicjacyjne obejmowały podobno pobicie gliniarza, gwałt albo zadżganie niewinnego przechodnia, ale WBC lubili sprawiać groźne wrażenie. Snuli się po dzielnicach handlowych, w kapturach na głowach, kradnąc wszystko, co było pod ręką, napadając każdego, kto był na tyle głupi, żeby

zostać sam, a pieniądze wydawali głównie na alkohol i narkotyki. Skunks był już za stary na gang nastolatków, ale wciąż tak się ubierał, bo lubił mieć poczucie, że gdzieś przynależy.

Miał ogoloną głowę - przez Bethany, która robiła to za każdym razem, kiedy przychodziła - i wąski pasek zarostu biegnący od środka dolnej wargi do końca brody. Bethany podobało się to, mówiła, że wygląda tajemniczo, zwłaszcza w fioletowych okularach przeciwsłonecznych.

Nie patrzył zbyt często w lustro. Jako chłopiec wpatrywał się w nie godzinami, starając się nie być brzydki, starając się przekonać siebie samego, że nie jest aż tak brzydki, jak wmawiali mu matka i brat. Teraz było mu już wszystko jedno. Dobrze sobie radził z dziewczynami. Czasami własna twarz przerażała go, tak była sucha, pokryta pęcherzami, wychudzona. Wyglądała jak naciągnięta na kości czaszki.

Jego ciało gnilo - nie trzeba być Einsteinem, żeby dojść do tego wniosku. Nie od narkotyków. To zanieczyszczenia domieszane przez oszukańczych dilerów rozwalają organizm. Najczęściej czuł się tak, jakby miał gripę, jakby żył, nieustannie przechodząc z gorących oparów w lodowatą mgłę. Pamięć miał do niczego, nie był w stanie skupić się na tyle długo, żeby obejrzeć w całości film albo program w telewizji. Wrzody na jego ciele pękały. Żołądek nie był w stanie utrzymać pożywienia. Stracił poczucie czasu. Bywały dni, kiedy nie mógł sobie przypomnieć, ile ma lat.

Dwadzieścia cztery, pomyślał, albo coś koło tego. Miał spytać brata, kiedy zadzwonił do niego do Australii zeszłej nocy, ale nie wyszło.

To jego brat, o trzy lata starszy i o stopę wyższy, pierwszy nazwał go Skunksem, a jemu się to nawet spodobało. Skunksy to złośliwe, dzikie stworzenia. Wymykają się, potrafią się bronić. Skunksowi nie wchodzi się w drogę.

Jako nastolatek wyspecjalizował się w samochodach. Odkrył, nie za bardzo się nad tym zastanawiając, że kradzież samochodu przychodzi mu z łatwością. I kiedy rozeszło się, że potrafi zwinąć każdą brykę, jakiej kto sobie zażyczy, nagle okazało się, że ma przyjaciół. Aresztowany był

dwukrotnie: za pierwszym razem dostał nadzór i zakaz prowadzenia samochodu, chociaż był jeszcze za młody, żeby mieć prawo jazdy; za drugim, gdzie doszła jeszcze napaść, poszedł na rok do poprawczaka.

Teraz, tego popołudnia, na wilgotnym kawałku papieru zwiniętym w kieszeni miał zamówienie na kolejny samochód: nowy model Audi A4 z automatycznie składanym dachem, automatyczną skrzynią biegów, małym przebiegiem, niebieski metalik, srebrny albo czarny.

Przystanął zaczerpnąć tchu i wtem ogarnął go ciemny, nieokreślony strach, który wessał całe ciepło dnia, pozostawiając go w poczuciu, jakby wszedł do chłodni. Pod skórą znów poczuł mrowienie, takie samo jak wcześniej, jakby roiło się tam milion termitów.

Dostrzegł budkę telefoniczną. Potrzebował tej budki. Potrzebował działki, żeby się skupić, wrócić do równowagi. Wszedł i zaciągnął za sobą ciężkie drzwi z tak wielkim wysiłkiem, że aż się zdyszał. Cholera. Oparł się o ścianę w pozbawionym powietrza, nagrzanym wnętrzu. W głowie mu się kręciło, nogi ugiwały się pod nim. Chwycił słuchawkę, podpierając się jedną ręką, wygrzebał z kieszeni monetę, wrzucił ją i wybrał numer Joego.

- Tu Wayne Rooney - powiedział cicho, jakby się bał, że ktoś mógłby podsłuchać. - Jestem na miejscu.

- Podaj mi swój numer. Oddzwonię.

Skunks czekał, coraz bardziej zdenerwowany. Wreszcie telefon zadzwonił. Nowy zestaw instrukcji. Niech to szlag, ten Joe z każdym dniem popadał w coraz większą paranoję. Albo oglądał za dużo filmów o Bondzie.

Po wyjściu z budki przeszedł około pięćdziesięciu jardów ulicą, po czym zatrzymał się, zgodnie z instrukcją, przed wystawą warsztatu usługowego, w którym przycinano na zamówienie gumę piankową.

Dwaj policjanci sączyli zimną kawę. Niższy i bardziej przysadzisty, Paul Packer, trzymał filiżankę, przełożywszy przez uszko środkowy palec. Osiem lat temu ostatni paliczek palca wskazującego jego prawej dłoni został odgryziony podczas bójki. Zrobił to Skunks.



To był już trzeci dzień, jakiego byli świadkami w ciągu ostatniej godziny. Wiedzieli, że to samo dzieje się co chwila w pół tuzinie innych punktów węzłowych w Brighton. O każdej porze dnia i nocy. Usiłowanie powstrzymania handlu narkotykami w mieście takim jak to, jest jak usiłowanie zatrzymania lodowca przez rzucanie w niego kamieniami.

Dla zaspokojenia nałogu dziesięciofuntowej działki dziennie narkoman popełnia miesięcznie przestępstwa zaboru mienia na sumę trzech do pięciu tysięcy funtów. A tych, którym wystarcza dziesięciofuntowa działka, jest niewielu - większość potrzebuje działki za dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto i więcej. Po drodze swoje musi zgarnąć wielu pośredników. Można się nieźle obłowić w tym łańcuchu. Łapie się bandę ludzi, zdejmuje się ich z ulic, a po kilku dniach pojawiają się nowe twarze ze świeżym towarem. Z Liverpoolu. Z Bułgarii. Z Rosji. Wszystkich ich łączy jedno - wszyscy świetnie żyją z takich nieszczęsnych, małych sukkinsynów jak Skunks.

Ale Paul Packer i jego kolega Trevor Sallis nie wydali pięćdziesięciu funtów z budżetu policyjnego na informatora po to, żeby pomógł im znaleźć Skunksa, którego mieliby wsadzić za narkotyki. Skunks to płotka, którą nie warto zawracać sobie głowy. Chodziło o zupełnie innego gracza, na innym polu, i mieli nadzieję, że ich do niego doprowadzi.

Po chwili niski, gruby dzieciak, około dwunastoletni, z okrągłą, piegowatą twarzą i włosami jak szczotka, w brudnym T-shircie z nadrukiem *South Park*, szortach i rozsznurowanych butach koszykarskich, zlany potem, podkradł się do Skunksa.

- Wayne Rooney? - wyseplenił piskliwym głosem.
- No.

Dzieciak wyjął z ust mały, owinięty w celofan pakiecik i podał go Skunksowi, który z kolei włożył go do ust i wręczył dzieciakowi motorolę. Po sekundzie dzieciak pędził już pod górę. Skunks ruszył w stronę swojego kampera.

Paul Packer i Trevor Sallis opuścili Starbucks i poszli za nim w dół wzgórza.

## Rozdział 25

Sekcja Zabójstw w Sussex House zajmowała większą część pierwszego piętra budynku. Przez drzwi otwierane kartą magnetyczną wchodziło się do dużej, w większości otwartej przestrzeni, w której mieli swoje stanowiska starsi oficerowie Wydziału Kryminalnego i personel pomocniczy.

Roy Grace zawsze miał poczucie, że w tej części kwatery głównej Wydziału Kryminalnego panuje zupełnie inna atmosfera niż gdzie indziej w budynku - prawdę mówiąc, zupełnie też inna niż w pozostałych budynkach policyjnych w Brighton i Hove i okolicach. Korytarze oraz biura większości znanych mu posterunków sprawiały urzędowe wrażenie, ale tu wszystko wyglądało na nowe.

Zbyt nowe, zbyt nowoczesne, zbyt czyste, zbyt uporządkowane. Zbyt... bezduszne. Mogły to być biura jakiejś firmy prowadzącej usługi księgowe, pomieszczenia administracyjne banku albo firmy ubezpieczeniowej.

Schematy na białych arkuszach, również wyglądające na zupełnie nowe, przyklejone były w równych odstępach do dużych, pokrytych czerwonym filcem tablic. Zawierały informacje dotyczące procedur, które każdy detektyw powinien znać na pamięć, często jednak na początku śledztwa Grace potrzebował chwili, żeby się z nimi zapoznać od nowa.

Zawsze miał świadomość, jak łatwo jest popaść w samozadowolenie i o czymś zapomnieć. Ostatnio czytał artykuł potwierdzający to przekonanie. Pisano tam, że przyczyną większości najtragiczniejszych katastrof lotniczych

w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat był błąd pilota. W wielu przypadkach nie popełnił go młody pilot bez doświadczenia, a właśnie starszy i doświadczony. W artykule posunięto się nawet do sugestii, że jeżeli siedząc w samolocie, usłyszysz się, że będzie on pilotowany przez starszego kapitana lotnictwa cywilnego, należy natychmiast wysiąść!

Samozadowolenie. To samo dotyczy medycyny. Nie tak dawno temu główny chirurg ortopeda w Sussex amputował pacjentowi nie tę nogę. Prosty błąd. Wynikający prawie na pewno z samozadowolenia.

Dlatego też kilka minut przed 18.00 Grace zatrzymał się w gorącym, dusznym korytarzu przed wejściem do sekcji zabójstw. Koszula lepiała mu się do piersi w niemiłosiernym, popołudniowym upale, domniemane zauważenie Sandy w Monachium nie chciało mu wyjść z głowy. Skinął na Bransona i wskazał mu pierwszy schemat wiszący przy drzwiach do biura zarządzających systemem komputerowym HOLMES, zatytułowany „Najczęstsze możliwe motywy”.

- Co to właściwie znaczy: *utrzymanie aktywnego stylu życia?* - spytał Branson, wczytując się w schemat.

W owalu pośrodku umieszczone było pojedyncze słowo: MOTYW. Od niego odchodziły linie, na końcach których widniały słowa: ZAZDROŚĆ, RASIZM, GNIEW/STRACH, RABUNEK, WŁADZA/KONTROLA, ZYSK, ZAPŁATA, HOMOFOBIA, NIENAWIŚĆ, ZEMSTA, PSYCHOZA, SEKS, I UTRZYMANIE AKTYWNEGO STYLU ŻYCIA.

- Zabić, żeby odziedziczyć czyjeś pieniądze - odpowiedział Grace.

Branson ziewnął.

- Jednego brakuje. - Zmarszczył brwi. - Właściwie dwóch - powiedział ponuro.

- Powiesz mi?

- FRAJDA. I PRESTIŻ.

- Frajda?

- No. Te dzieciaki, które podpaliły bezdomną na przystanku w zeszłym roku. Oblały ją benzyną, kiedy spała. Przecież nie z nienawiści.

One po prostu chciały coś zrobić, no nie? Dla frajdy.

Grace skinął głową. Jego umysł naprawdę pracował na zwolnionych obrotach. Wciąż myślał o Sandy. Monachium. Chryste, jak on sobie z tym poradzi? W tej chwili chciał tylko wsiąść do samolotu do Monachium.

- I prestiż, tak? - ciągnął Glenn. - Wstępujesz do gangu i w ten sposób zdobywasz szacunek na ulicy, prawda?

Grace przeszedł do następnej tablicy. Nosiła tytuł „Opracowanie etapów dochodzenia”. Spojrzał na listę. W tym momencie był to dla niego zlepek słów bez znaczenia. *Ocena potencjalnych informacji, wywiad, świadkowie. Ponowna ocena. Opracowanie i wdrożenie strategii dochodzenia.* Wtem kątem oka dostrzegł smukłego, energicznego mężczyznę po czterdziestce, w eleganckich, płowych spodniach od garnituru, beżowej koszuli i brązowym krawacie, zmierzającego w ich stronę. Tony Case, starszy oficer pomocniczy.

- Cześć, Roy — powiedział radośnie. - Umieściłem cię w MIR-1, taśmy są gotowe, możesz zaczynać. - Następnie zwrócił się do Bransona i żywiłowo potrząsnął jego ręką. - Glenn, witaj z powrotem! Myślałem, że nie będziesz chciał jeszcze wracać do pracy.

- Bo nie chciałem.

- Musisz teraz uważać z piciem, co? Żeby ci nie wyciekło przez dziury w brzuchu?

- Coś w tym rodzaju - odparł Glenn, nie zauważając żartu albo celowo, albo dlatego, że myśłami był gdzie indziej, Grace nie wiedział, które z dwojga.

- Przez chwilę będę w pobliżu - powiedział dziarsko Case. - Będziecie czegoś potrzebować, dajcie znać. - Poklepał kieszeń na piersi, gdzie miał wetknięty telefon.

- Woda do picia? Przydałaby się w tym upale - zasugerował Grace.

- Już załatwione.

- Porządny chłop.

Spojrzał na zegarek. Ponad dwadzieścia minut do wstępnej odprawy, którą zwołał na 18.30. Powinno wystarczyć czasu. Poprowadził Glenna

Bransona koło pokojów kryminalistyki i zespołu dochodzeniowego, potem skręcił w prawo, w kierunku pokojów przesłuchań świadków, gdzie już byli wcześniej tego popołudnia.

Weszli do małego, wąskiego pomieszczenia obserwacyjnego, sąsiadującego z głównym pokojem przesłuchań. Dwa różne krzesła przysunięte były do biegnącego przez całą szerokość pokoju blatu, na którym znajdowała się aparatura wideo i kolorowy monitor pokazujący stale ten sam, nieruchomy, kolorowy obraz stolika do kawy i trzech czerwonych krzeseł w pustym pokoju przesłuchań po drugiej stronie ściany.

Grace zmarszczył nos. Pachniało tak, jakby ktoś jadł tu curry, prawdopodobnie ze stoiska z delikatesami w supermarkecie ASDA po drugiej stronie ulicy. Zajrzał do kosza na papiery i znalazł dowód - stertę pudełek. Zawsze potrzebował trochę czasu po sekcji zwłok, żeby móc zacząć spokojnie myśleć o jedzeniu, a w dodatku teraz, kiedy dopiero co widział pozostałości czegoś, co okazało się być krewetkami rogan josh w treści żołądkowej Katie Bishop, mdlący zapach curry zdecydowanie mu nie służył.

Zanurkował pod blat, podniósł kosz i wystawił go za drzwi. Zapach pozostał, ale Grace przynajmniej poczuł się odrobinę lepiej. Usiadł przed monitorem, przypomniał sobie, jak obsługiwać wideo, i nacisnął klawisz start.

Nie przestawał myśleć. Cały czas myślał. Sandy lubiła curry. Kurczak korma. Jej ulubiony.

Urządzenie zaczęło odtwarzać przesłuchanie Briana Bishopa. Grace szybko przewinął do przodu, przyglądając się na ekranie ciemnowłosemu mężczyźnie w markowej, brązowej marynarce z rzucającymi się w oczy, srebrnymi guzikami i w dwukolorowych, brązowo-białych butach do golfa.

- Co za buty - zauważył Branson, siadając obok. - Wiesz, takie jak getry z filmów o gangsterach z lat 30. Widziałeś kiedyś „Pół żartem, pół serio”? - mówił głosem matowym, pozbawionym zwykłej energii, ale

zdawał się dokonywać nadludzkich wysiłków, żeby zachować pogodę ducha.

Grace zdał sobie sprawę z tego, jak trudna musi być dla niego ta pora dnia. Wczesny wieczór. Normalnie, gdyby był w domu, pomagałby szykować dzieci do spania.

- To ten z Marilyn Monroe?

- No, i z Tonym Curtisem, Jackiem Lemonem, Georgem Raftem. Świetny. Ta scena z tortem na kółkach, z którego wychodzi facet z karabinem maszynowym i kosi wszystkich naokoło, a George Raft mówi: „W tym torcie było coś, co im zaszkodziło!”.

- Nowoczesna wersja konia trojańskiego - powiedział Grace.

- Myślisz, że to był remake? - spytał zdziwiony Branson. - „Koń trojański”? Nie pamiętam tego.

Grace pokręcił głową.

- To nie film, Glenn. Chodzi o to, co Grecy zrobili w Troi!

- A co zrobili?

Grace spojrzał surowo na przyjaciela.

- Czy cała twoja pieprzona edukacja bierze się z filmów? Nigdy nie uczyłeś się ani trochę historii?

Branson obronnie wzruszył ramionami.

- Wystarczająco.

Grace zwolnił taśmę. Glenn Branson na ekranie powiedział:

- *Czy mogę spytać, kiedy ostatni raz widział pan swoją żonę, panie Bishop?*

Grace zatrzymał taśmę.

- Chciałbym, żebyś się teraz skupił na oczach Bishopa. Chcę, żebyś policzył mrugnięcia. Chcę mieć liczbę mrugnięć na minutę. Czy ta twoja wieża kontrolna NASA, co ją nosisz na ręce, ma sekundnik?

Branson popatrzył na swój zegarek, jakby zaskoczony pytaniem. Był to modny, wielki casio z tyłoma tarczami i przyciskami, że Grace zastanawiał się, czy przyjaciel ma pojęcie, do czego służy połowa z nich.

- Gdzieś tu ma.

- Dobra, to zacznij odmierzać czas.

Glenn pomylił się parę razy. W tej chwili na ekranie do pokoju wszedł Roy Grace i zaczął przepytывать Bishopa.

- *Gdzie spędził pan ostatnią noc, panie Bishop?*
- *W moim mieszkaniu w Londynie.*
- *Czy ktoś może to potwierdzić?*

- Dwadzieścia cztery! - zakomunikował Glenn Branson, przeskakując wzrokiem z zegarka na ekran i z powrotem.

- Na pewno?
- Tak.
- Dobrze. Zrób to jeszcze raz.

Na ekranie Grace pytał Bishopa:

- *O której był pan w klubie dziś rano?*
- *Tuż po 9.00.*
- *I przyjechał pan z Londynu?*
- *Tak.*
- *O której pan wyjechał?*
- *Okolo 6.30.*
- *Znów dwadzieścia cztery!*

Grace zatrzymał taśmę.

- Ciekawe - powiedział.
- Co właściwie? - chciał wiedzieć Branson.

- To eksperyment. Wypróbuję coś, o czym czytałem w biuletynie psychologicznym, który zaprenumerowałem. Według autora, ustalili w laboratorium uniwersyteckim, chyba to było w Edynburgu, że ludzie mrugają częściej, kiedy mówią prawdę, niż kiedy kłamią.

- Naprawdę?

- Mrugają 23,6 raza na minutę, kiedy mówią prawdę, i 18,5 raza na minutę, kiedy kłamią. Faktem jest, że kłamcy siedzą nieruchomo. Muszą bardziej myśleć niż ci, co mówią prawdę, a kiedy bardziej myślimy, jesteśmy bardziej nieruchomi.



Znów puścił taśmę. Brian Bishop wydawał się coraz bardziej pobudzony, w końcu zerwał się, gestykując.

- Stale dwadzieścia cztery - oznajmił Branson.
- I jego mowa ciała - zauważył Grace. - Wygląda na człowieka, który mówi prawdę.

Jednak sam wiedział, aż za dobrze, że to tylko wskaźnik. Kiedyś już mylnie zinterpretował czyjąś mowę ciała i ciężko się zdziwił.

## Rozdział 26

Prasa nazwała sierpień sezonem ogórkowym. W Parlamencie letnia przerwa, połowa świata na wakacjach - miesiąc spokojnych wiadomości. Gazety często robiły wielką sprawę z błahostek, które kiedy indziej mogłyby w ogóle nie trafić na ich lamy. Nic nie cieszyło ich tak, jak poważna zbrodnia, im bardziej mroczna i przerażająca, tym lepiej. Jedynymi, którzy zdawali się nie wyjeżdżać na wakacje, tak samo jak nie trzymali się ustalonych godzin urzędowania, byli przestępcy.

No i on sam - dumiał Roy Grace.

Ostatni prawdziwy urlop miał ponad dziewięć lat temu, kiedy polecili z Sandy do Hiszpanii i zatrzymali się w wynajętym mieszkaniu w pobliżu Malagi. Mieszkanie było ciasne, a zamiast obiecanego w ogłoszeniu widoku na morze, mieli widok na wielopoziomowy parking. W dodatku prawie cały tydzień lalo.

Nie tak, jak teraz, kiedy sierpniowa fala upałów tu, w Brighton, przyniosła do miasta jeszcze więcej niż zwykle urlopowiczów i jednodniowych przyjezdnych. Plaże były zatłoczone, tak samo jak wszystkie bary i kafejki. W Brighton i Hove są setki tysięcy miejsc, gdzie można się napić na stojąco, i Grace przypuszczał, że w tej chwili prawdopodobnie każde było wypełnione. Raj dla ulicznych przestępców. Dla nich to szczyt sezonu, a nie sezon ogórkowy.

Grace doskonale zdawał sobie sprawę, że przy braku innych wiadomości, śledztwo w sprawie morderstwa, takie jak to, które właśnie

prowadził, będzie przedmiotem jeszcze większej niż normalnie docieklivosti prasy. Bogata kobieta znaleziona martwa, okazały dom, prawdopodobnie związek z perwersyjnym seksem, lubiący się pokazać, przystojny mąż. Pewniak dla każdego redaktora starającego się zapelnąć kolumnę.

Od początku musiał nadzwyczaj starannie zaplanować politykę kontaktów z prasą i innymi mediami i postarać się, jak zawsze, żeby rozgłos działał na korzyść śledztwa, a nie przeciwko.

Jutro rano miał poprowadzić pierwszą z zapowiadających się na długi ciąg konferencji prasowych. Przedtem musiał odbyć dwie odprawy ze swoim zespołem, żeby się przygotować.

Poza tym, mimo wszystkiego, co się działo, musiał jakoś znaleźć czas, żeby polecieć do Monachium. Musiał.

Absolutnie musiał.

W głowie kłębiły mu się myśli o Sandy. *Siedziała w ogródku piwnym*. Z kochankiem? Straciła pamięć? A może po prostu kogoś innego wzięto za nią? Gdyby powiedział mu to ktokolwiek inny, prawdopodobnie zlekceważyłby wiadomość. Ale Dick Pope był dobrym detektywem, sumiennym, z pamięcią do twarzy.

Kilka minut przed 18.30, w towarzystwie Glenna Bransona, Grace wyszedł z pomieszczenia obserwacyjnego przy pokoju przesłuchań i chwytając po drodze kawę dla siebie i dla niego z automatu stojącego w małej kuchence, przeszedł korytarzem do pomieszczenia zwanego MIR-1, które na potrzeby jego śledztwa przeznaczył Tony Case. Minął dużą, pokrytą czerwonym filcem tablicę z napisem „Operacja Lizbona”, pod którym przychepione było zdjęcie mężczyzny z rzadką brodą, wyglądającego na Chińczyka, otoczone kilkoma różnymi zdjęciami skał u podnóża wysokiego klifu, miejscowej atrakcji turystycznej Beachy Head. Na każdym zakreślone było czerwone kółko.

Beachy Head, dramatyczny i piękny, biały, kredowy przylądek cieszył się złą sławą najpopularniejszego w Anglii miejsca samobójstw. Oferował skaczącym pionowy, ponuro kuszący, 570-stopowy spadek prowadzący na brzeg kanału La Manche.

Lista tych, którzy zrobili krok, zanurkowali, stoczyli się lub zjechali samochodem z jego trawiastej krawędzi i przeżyli, była krótka.

Ten nieszczęsny, niezidentyfikowany mężczyzna został znaleziony martwy w maju. Z początku zakładano, że był to kolejny samobójca, dopóki sekcja zwłok nie wykazała, że prawdopodobnie ktoś mu pomógł, jako że zanim poleciał w dół, już od jakiegoś czasu nie żył. Śledztwo było w toku, ale szanse malały za każdym razem, kiedy kolejny trop kończył się w ślepych zaułku.

Każde przestępstwo główne otrzymywało kryptonim przydzielany losowo przez komputer. Jeżeli jakaś nazwa miała cokolwiek wspólnego ze sprawą, której dotyczyła, to był to czysty przypadek. Rzadko miała.

W odróżnieniu od innych stanowisk pracy w pozostałej części Sussex House - i wszystkich innych posterunków policji w hrabstwie - na biurkach w MIR-1 nie było niczego osobistego. Żadnych zdjęć rodziny czy piłkarzy, żadnych kalendarzy, żadnych dowcipów rysunkowych. Wszystko w tym pokoju, oprócz mebli i sprzętu komputerowego, miało związek ze śledztwem. Nikomu nie było tu do żartów, tu trzeba było się skoncentrować.

Ćwierkanie telefonów, klikanie klawiatur, szelest papieru wypluwanego przez drukarki laserowe. Cisza i skupienie.

Idąc przez pokój, Grace dokonał przeglądu wstępnego składu swojego zespołu z mieszanymi uczuciami. Było kilka znajomych twarzy, które widział z przyjemnością. Detektyw sierżant Bella Moy, atrakcyjna kobieta w wieku trzydziestu pięciu lat, z brązowymi włosami barwionymi henną, jak zawsze miała przed sobą otwarte pudełko drażetek Maltesers, od których była uzależniona. Nick Nicholl, krótkowłosey, wysoki i chudy jak tyczka od fasoli, w rozpiętej pod szyją koszuli z krótkimi rękawami, miał ziemistą, zmiętą twarz ojca sześciotygodniowego dziecka.

Indekserka Susan Gradley, młoda, pulchna dziewczyna z długimi brązowymi włosami, bardzo pracowita i sprawna. I weteran, Norman Potting, na którego będzie musiał mieć oko.

Detektyw sierżant Potting miał pięćdziesiąt trzy lata. Poniżej rzednącej

zaczęski włosów widoczna była wąska twarz jak z gumy, poprzecinana popękanyimi naczynkami, o wydatnych wargach i pożółkłych od nikotyny zębach. Ubrany był w wygnieciony lniany garnitur płowego koloru i wystrzępioną, żółtą koszulę z krótkimi rękawami, na której, jak można było odnieść wrażenie, wylądowała większość jego lunchu. Zazwyczaj bywał mocno opalony, co, jak musiał przyznać Grace, znacznie poprawiało jego aparycję. Ponieważ był absolutnie niepoprawny politycznie, większość kobiet w policji uważała, że jest napastliwy. Z tego powodu przenoszono go z miejsca na miejsce po całym hrabstwie, zapędniając nim dziury, kiedy w jakiejś jednostce dawał się we znaki brak ludzi.

Ze wszystkich członków zespołu najmniej cieszyła Grace'a obecność detektywa Alfonso Zafferone. Naburmuszony, arogancki mężczyzna pod trzydziestkę, o wyglądzie Latynosa, z nastroszonymi na żel włosami, był stylowo ubrany w czarny garnitur i czarną koszulę z kremowym krawatem. Kiedy ostatnio zdarzyło im się razem pracować, Zafferone okazał się bystry, ale miał poważne problemy ze stosunkiem do pracy. Wzięcie go do zespołu wynikało częściowo z braku wyboru, ponieważ był sezon urlopowy, ale w równym stopniu Gracem kierowała chęć nauczenia smarkacza manier.

Witając się z każdym po kolei, Grace myślał o Katie Bishop na łóżku w jej domu przy Dyke Road Avenue, takiej, jaką widział rano. Myślał o niej na stole prosekcyjnym, takiej, jaką widział po południu. Miał poczucie, jakby jej ducha nosił w sercu. Ciężar odpowiedzialności. Na zebranych w tym pokoju i na innych, którzy mieli dołączyć do zespołu w sali konferencyjnej, ciążyła ogromna odpowiedzialność.

Dlatego też wszelkie myśli o Sandy musiał wepchnąć do osobnej przegródki umysłu i zamknąć je tam na jakiś czas. Jakimś cudem.

W ciągu następnych godzin i dni miał się dowiedzieć o Katie Bishop więcej, niż wiedział ktokolwiek inny na świecie. Więcej niż wiedział jej mąż, jej rodzice, jej rodzeństwo, jej najlepsi przyjaciele. Im wszystkim mogło się wydawać, że ją znają, ale wiedzieli tylko to, co pozwoliła im wiedzieć. Z całą pewnością coś zatrzymała dla siebie. Każdy tak robi.

I z całą pewnością dla Grace'a stanie się to sprawą osobistą.  
Zawsze tak było.

W tej chwili jednak nie mógł wiedzieć, jak bardzo osobista stanie się dla niego ta sprawa.

## Rozdział 27

Skunks czuł się o wiele silniejszy. Świat nagle stał się przyjazny. Heroina robiła swoje - czuł ciepło i oszołomienie, wszystko było dobrze, przez jego ciało przepływały endorfiny. Tak powinno się odczuwać życie, tak chciał się czuć już zawsze.

Przyszła Bethany z kurczakiem, sałatką ziemniaczaną i tubką kremu karmelowego, które zabrała z lodówki swojej matki, i wszystkie ćpyny wyniosły się z jego kampera, i wziął ją od tyłu, tak jak lubiła - i on też lubił, kiedy jej wielki tyłek napierał na jego brzuch.

Teraz wiozła go nabrzeżem, w małym peugeocie swojej matki, a on rozparty na miejscu pasażera z odchylnym do tyłu oparciem patrzył przez fioletowe okulary na swoje „biuro”. Przyglądał się po kolei wszystkim zaparkowanym samochodom.

Wszystkim, jakie tylko można sobie wyobrazić. Wszystkim zakurczonym i spieczonym w słońcu. Ich właściciele byli na plaży.

Szukał takiego, który marką i modelem pasowałby do opisu na wilgotnym, pogniecionym kawałku liniowanego papieru leżącego na jego kolanach, do jego „zamówienia”, na które musiał spoglądać raz po raz, bo pamięć miał do niczego.

- Zaraz muszę wracać do domu. Mama potrzebuje samochodu. Wieczorem ma jechać na brydża - powiedziała Bethany.

Wszystkie pieprzone samochody świata stały tego wieczoru zaparkowane wzdłuż nabrzeża. Wszystkie pieprzone samochody z wyjątkiem tego, którego szukał. Nowy model Audi A4 z automatycznie

składanym dachem, automatyczną skrzynią biegów, małym przebiegiem, niebieski metalik, srebrny albo czarny.

- Dojedź do Shirley Drive - polecił.

Zegar na desce pokazywał 18.15.

- Naprawdę muszę być w domu przed 19.00. Ona potrzebuje samochodu. Zabije mnie, jeśli się spóźnię - tłumaczyła Bethany.

Skunks obrzucił ją spojrzeniem wyrażającym uznanie. Miała krótkie, czarne włosy i grube ramiona. Jej piersi wylewały się z dekoltu rozciągniętego T-shirtu, pulchne, brązowe uda były skąpo okryte niebieską, dzinsową minispódniczką. Jedną rękę trzymał pod gumką jej majtek, w gęstwinie miękkich, wilgotnych włosów, dwa palce wsunął do środka.

- Skręć w prawo - poinstruował ją.

- Przez ciebie znów jestem napalona!

Wepchnął palce jeszcze głębiej. Westchnęła.

- Skunks, przestań!

On też czuł się znów napalony. Skręciła w prawo na światłach, za pomnikiem królowej Wiktorii, kiedy nagle krzyknął:

- Stój!

- Co?

- Tam! Tam! Tam!

Chwytał kierownicę, zmuszając ją do wjechania na krawężnik, nie zważając na pisk hamulców i jazgot klaksonu samochodu jadącego za nimi.

Zatrzymała samochód, a on wycofał swoje palce, potem całą rękę.

- Super, kurwa! Jest!

Otworzył drzwi samochodu, wygramolił się i zmył, nie spoglądając nawet za siebie.

Tam, po drugiej stronie jezdni, stał na światłach Audi A4 z automatycznie składanym dachem, w kolorze granatowy metalik. Wyciągniętym z kieszeni długopisem zapisał na swoim kawałku papieru numery rejestracyjne, po czym znalazł w kieszeni spodni komórkę i wybrał numer.



- GU 06 LGJ - odczytał. - Możesz je mieć dla mnie za godzinę?

Był tak zadowolony, że nawet nie zauważył, kiedy mały peugeot odjechał z Bethany machającą ręką, i nie usłyszał, jak zatrąbiła na pożegnanie.

Super! - pomyślał. No!

Nie zauważył też małego, szarego forda stojącego dwoma kołami na krawężniku, jakieś dwieście jardów za nim. Był to jeden z pięciu samochodów zespołu wywiadowców, który śledził go od pół godziny, odkąd opuścił kampera.

## Rozdział 28

Brian Bishop siedział na brzegu dużego łóżka, z brodą podpartą dłonią, gapiąc się w telewizor w pokoju hotelowym. Filiżanka herbaty na tacy stojącej obok dawno już wystygła, dwa herbatniki w celofanowych opakowaniach pozostawały nietknięte. Przykręcił klimatyzację, ponieważ zrobiło się za zimno, i teraz, nadal w ubraniu do golfa i marynarce, oczekiwał potem.

Z zewnątrz, pomimo podwójnych szyb, dobiegało wycie syren, słaba skarga silnika ciężarówki, przerywane buczenie alarmu samochodowego. Odgłosy świata zewnętrznego, z którym nie czuł żadnego związku, patrząc na swój dom - swoje miejsce do życia - na cholernym Sky News. To był czysty surrealizm. Tak jakby nagle stał się obcym we własnym życiu. Nie tylko obcym. Pariasem.

Przeżywał już coś podobnego w okresie separacji, a potem rozvodu z Zoë, kiedy jego dzieci, Carly i Max, wzięły jej stronę, skutecznie nastawione przez nią przeciwko niemu, i nie odzywały się do niego przez prawie dwa lata.

Ulubieniec kamer, prezenter o idealnych włosach i wspaniałych zębach, stał na tle domu, przed niebiesko-białą taśmą z napisem POLICJA - MIEJSCE PRZESTĘPSTWA - NIE WCHODZIĆ, wywijając mikrofonem.

- Sekcję zwłok przeprowadzono dziś po południu. Wrócimy do tej historii w naszych wiadomościach o 19.00. David Wiltshire, Sky News.

Brian czuł się zupełnie i całkowicie ogłupiały.

Jego telefon komórkowy zaczął dzwonić. Nie rozpoznając numeru, pozwolił mu dzwonić dalej. Przez całe popołudnie wydzwaniali do niego prawie wyłącznie z prasy i innych mediów. Przypuszczał, że numer jego komórki wzięli ze strony internetowej firmy. Co ciekawe, poza Sophie, zadzwoniło do niego tylko dwóch przyjaciół, jego kumple Glenn Mishon i Ian Steel, oraz jego wspólnik Simon Walton. W głosie Simona słychać było autentyczną troskę. Pytał, czy mógłby coś dla niego zrobić, mówił, żeby się nie martwił o firmę, że on zajmie się wszystkim tak długo, jak długo będzie Brianowi potrzebne.

Kilka razy rozmawiał z rodzicami Katie, którzy byli w Alicante, w Hiszpanii, gdzie jej ojciec rozpoczął kolejne ze swoich - niemal na pewno skazanych na niepowodzenie - przedsięwzięć biznesowych. Mieli przylecieć następnego dnia rano.

Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do swojego prawnika, tylko po co? Nie było nic, o co można by go oskarżyć. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc tak siedział, bez ruchu, jak zahipnotyzowany wpatrując się w ekran. Z trudem docierał do niego obraz samochodów policyjnych stłoczonych na jego podjeździe i zaparkowanych na ulicy, którą płynął nieprzerwany strumień samochodów, a ich kierowcy i pasażerowie, co do jednego, z zaciekawieniem odwracali głowy. Miał mnóstwo roboty. Telefony, e-maile, na które trzeba odpowiedzieć. Cholernie dużo roboty, ale w tej chwili nie był zdolny do działania.

Niespokojny wstał i przez chwilę krążył po pokoju, po czym wszedł do lśniącej, czystej łazienki. Zlustrował ręczniki, podniósł deskę sedesową, chcąc się wysikać. Nic z tego. Opuścił klapę. Spojrzał na swoją twarz w lustrze nad umywalką. Potem przeniósł wzrok na rząd kosmetyków. Małe, imitujące marmur buteleczki szamponu, odżywki, żelu pod prysznic i mleczka do ciała. Zaczął je przesuwając, dopóki nie ustawił ich w równych odstępach, ale wciąż niezadowolony z ich miejsca na półce, przesunął je o kilka cali w prawo, starannie zachowując równe odstępy.

Dzięki temu poczuł się odrobinę lepiej.

Rano o 10.00 czuł się wspaniale, był zadowolony, cieszył się niebywałą, letnią pogodą. Rozgrywał jeden z najlepszych turniej golfa w życiu, w jeden z najpiękniejszych dni w roku. Teraz, zaledwie osiem i pół godziny później, jego życie leżało w gruzach.

Katie nie żyła.

Jego najdroższa, ukochana Katie.

A policja najwyraźniej uważała, że miał z tym coś wspólnego.

Jezu.

Większość popołudnia spędził z dwiema policjantkami, które przedstawiły się jako funkcjonariuszki do spraw kontaktów z rodziną. Miłe panie, bardzo pomocne, ale dość już miał ich nagabywania i potrzebował chwili oddechu.

Do tego słodka Sophie. O co tu chodziło? Co, u diabła, miała na myśli, mówiąc, że spędzili tę noc razem? Nie spędzili. Nie ma mowy. Absolutnie wykluczone.

Jasne, że mu się podobała. Ale romans? Nie ma mowy. Jego była żona Zoë miała romans. Odkrył, że oszukiwała go przez trzy lata, i ból, kiedy się o tym dowiedział, był nie do zniesienia. Nigdy nie mógłby nikomu zrobić czegoś takiego. W dodatku ostatnio miał poczucie, że między nim a Katie nie dzieje się najlepiej i wiele wysiłku wkładał w ich związek, albo tak mu się przynajmniej zdawało.

Lubił flirtować z Sophie. Lubił jej towarzystwo. Do diabła, pochlebia facetowi, kiedy dwudziestokilkuletnia dziewczyna za nim szaleje. Ale to wszystko. Chociaż, jak sobie zdał sprawę, może za bardzo ją ośmielał. Dlaczego właściwie zaprosił ją na lunch - po tym, jak siedzieli koło siebie na konferencji na temat ulg podatkowych dla inwestorów w branży filmowej, na którą go zaproszono - nie wiedział. Zapalały się wszystkie czerwone światła sygnalizujące niebezpieczeństwo, ale parł do przodu. Widywali się, kilka razy. Wymieniali e-maile, czasami po dwa albo trzy dziennie... ostatnio jej stawały się coraz bardziej sugestywne. I szczerze mówiąc, myślał o niej parę razy, kiedy - w tym okresie coraz rzadziej - kochał się z Katie.

Ale przecież nigdy z nią nie spał. Do cholery, nigdy jej nawet nie pocałował w usta.

A może?

Czy robił coś i nie pamiętał tego? Są ludzie, którzy robią coś nieświadomie. Stres może wywoływać u ludzi problemy psychiczne, pod wpływem stresu mózg zaczyna funkcjonować dziwnie, a on miał ostatnio dużo stresów, martwiąc się i o firmę, i o Katie.

Jego firma International Rostering Solutions, którą założył dziewięć lat temu, miała się dobrze. Prawie aż za dobrze. Musiał przychodzić do biura codziennie rano, coraz wcześniej, żeby załatwić korespondencję e-mailową z poprzedniego dnia - do dwustu wiadomości - ale wciąż napływały nowe. Otwierali coraz więcej biur na całym świecie - ostatnio w Nowym Jorku, Los Angeles, Tokio, Sydney, Dubaju i Kuala Lumpur - więc komunikacja odbywała się 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Oczywiście zatrudnił więcej personelu, ale nigdy właściwie nie potrafił zlecać zadań. W efekcie coraz częściej pracował w biurze do wieczora, po powrocie do domu znów siadał do pracy po kolacji, a także, ku niezadowoleniu Katie, w weekendy.

W dodatku wyczuwał, że coś się psuje w ich małżeństwie. Mimo zaangażowania w działalność charytatywną i Rotary, Katie miała pretensje, że coraz dłużej zostawia ją samą. Próbował jej tłumaczyć, że nie będzie pracował w tym tempie w nieskończoność, że za jakieś dwa lata przekształcą firmę w spółkę akcyjną albo sprzedadzą i będą mieć dość pieniędzy, żeby nie musieć pracować. Wtedy przypominała mu, że to samo mówił dwa lata temu. I jeszcze dwa lata wcześniej.

Całkiem niedawno powiedziała mu ze złością, że zawsze będzie pracoholikiem, bo nie ma właściwie żadnych zainteresowań, poza swoją firmą. Użył wtedy, bez większego przekonania, argumentu, że jego „maleństwo”, jego Jaguar z 1962 roku, którego troskliwie odrestaurował, jest jego hobby. Na to ona odpowiedziała zjadliwie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz wyprowadził go z garażu. Zmuszony był przyznać sam przed sobą, że on też nie pamięta.

Kiedy waliło się jego małżeństwo z Zoë i ledwo sobie z tym radził, lekarz zasugerował mu spędzenie paru tygodni w klinice psychiatrycznej. Odrzucił tę propozycję i w końcu jakoś uporał się ze wszystkim. Teraz jednak miał to samo uczucie przygnębienia, a czasem zamętu w głowie, jakiego doświadczał wtedy.

I odbierał od Katie takie same wibracje, jakie odbierał od Zoë, zanim odkrył jej romans. Może to tylko jego umysł.

Może jego umysł po prostu nie był akurat w najlepszej formie.

## Rozdział 29

Kamera jechała powoli i trochę chwiejnie po sypialni Bishopów pod numerem 97 przy Dyke Road Avenue. Zatrzymała się na chwilę, obejmując nagie ciało Katie Bishop leżące rozpostarte, z nadgarstkami przywiązanymi do fantazyjnych, drewnianych słupów, ślad ligatury na szyi, maskę przeciwigazową leżącą obok.

- Kiedy ją znaleziono, miała maskę na twarzy - poinformował Roy Grace swój zespół, który powiększył się do dwudziestu osób zgromadzonych w sali konferencyjnej Sekcji Zabójstw i oglądających wideo nakręcone przez ekipę kryminalistyczną na miejscu zbrodni.

W sali mogło się zmieścić, na wcisk, dwadzieścia pięć osób siedzących na twardych, czerwonych krzesłach wokół prostokątnego stołu, a w razie potrzeby jeszcze trzydzieści na stojąco. Wykorzystywana była na odprawy i konferencje prasowe i z tego powodu na drugim końcu, naprzeciwko ekranu wideo stała wygięta w półkole tablica w dwóch odcieniach błękitu, wysoka na sześć stóp i na dziesięć długa, na której dużymi literami wypisany był adres internetowy policji Sussex oraz nazwiska i funkcje osób odpowiedzialnych, wraz z numerami telefonów. Wszystkie oświadczenia dla prasy i mediów oficerowie składali na tym tle.

- Kto ją zdjął, Roy? - spytała detektyw inspektor Kim Murphy przyjaźnie, ale konkretnie.

Grace pracował już z Kim w sprawie, która zakończyła się postawieniem przed sądem właściciela gruntów w Brighton pod zarzutem zlecenia morderstwa i wydanym ostatnio wyrokiem skazującym. Cenił sobie to doświadczenie. Teraz poprosił ją o udział w śledztwie w charakterze swojego zastępcy. Miała około trzydziestu pięciu lat, była energicznym, piekielnie inteligentnym detektywem i bardzo ją lubił. Była też bardzo atrakcyjna z ładnymi, jasnymi włosami do ramion, dodatkowo rozjaśnionymi pasemkami, szeroką, szczerą twarzą i prawie nigdy nieschodzącym z ust, czarującym uśmiechem, który maskował bardzo skutecznie - ku zaskoczeniu wielu przestępców i na ich nieszczęście - zdumiewająco twardy, cwany charakter. Lepiej było jej nie wchodzić w drogę. Mimo wysokiego stopnia, miała w sobie coś z chłopczycy. Tego wieczoru podkreślał to sportowy żakiet w męskim stylu z beżowego lnu, z epoletami, założony na biały T-shirt i spodnie. Na ogół przyjeżdżała do pracy na harleyu, o którego sama dbała.

- Sprzątaczką - odpowiedział na pytanie Grace. - I Bóg jeden wie, jakie jeszcze ślady zatarła.

Walczył sam z sobą tego wieczoru. Naprawdę walczył. Miał być starszym oficerem śledczym w sprawie morderstwa, ze wszystkimi obowiązkami, jakie z tego wynikały. Jednak, mimo że usilnie starał się skoncentrować, jakaś jego część była w innym miejscu, w innym mieście, zajęta zupełnie innym śledztwem.

Sandy. W dodatku właśnie sobie uświadomił, że zupełnie zapomniał zadzwonić do Cleo, żeby jej powiedzieć, o której mniej więcej będzie wolny. Spróbuje wysłać jej SMS-a w trakcie odprawy.

Nagle poczuł się zmieszany z powodu swojego związku z Cleo. A co, jeśli Sandy rzeczywiście jest w Monachium? Co by się stało, gdyby ją spotkał?

Zbyt wiele niewiadomych. Tu i teraz, w świecie rzeczywistym był w pracy, siedział w MIR-1, mając przed sobą pełne oczekiwania twarze. Czy mu się zdawało, czy wszyscy patrzyli na niego dziwnie?



Weź się w garść!

- Jest 18.30, piątek, 4 sierpnia - odczytał z notatek. Zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli, ponieważ w dalszym ciągu było upalnie. - Zaczynamy pierwszą odprawę Operacji Kameleon - mówił dalej. - Pierwszy dzień śledztwa w sprawie zabójstwa trzydziestopięcioletniej kobiety zidentyfikowanej jako pani Katherine Margaret Bishop, znanej jako Katie, zamieszkałej przy Dyke Road Avenue 97 w Hove, we Wschodnim Essex. Ciało znaleziono o 8.30, dziś rano. Podsumuję teraz, co nam wiadomo w sprawie.

Przez kilka minut Grace omawiał zdarzenia prowadzące do odkrycia ciała Katie. Kiedy doszedł do maski przeciwgazowej, Norman Potting przerwał mu w sobie właściwym stylu:

- Może on miał chroniczne gazy, Roy. Dał jej maskę z uprzejmości.

Powiedziawszy to, Potting wyszczerzył się i rozejrzał się po sali, ale nikt się nie uśmiechnął. Grace jęknął w duchu.

- Dziękuję, Norman - powiedział. - Mamy dużo spraw do omówienia. Obejdzie się bez żartów.

Potting nie przestawał się rozglądać, szczerząc się do publiczności, niezrażony brakiem reakcji.

- Obejdzie się też bez przecieku o masce - dodał Grace. - Chcę, żeby na ten temat była absolutna cisza. Czy wszyscy zrozumieli?

Powszechną praktyką było niepodawanie do publicznej wiadomości kluczowej informacji z miejsca zbrodni. Dzięki temu, jeśli ktoś zadzwoniłby i wspomniał o masce, policja mogła mieć pewność, że ma on faktycznie związek ze sprawą.

Grace rozpoczął przegląd zadań przydzielonych każdej z osób. Trzeba było ustalić powiązania rodzinne Katie Bishop, nazwiska wszystkich osób, z którymi miała kontakt, zebrać o nich informacje. Zajmował się tym zespół do spraw kontaktów z rodziną, a nadzór nad ich pracą Grace powierzył już wcześniej Belli Moy.

Bella czytała z leżących przed nią wydruków.

- Na razie nie mam za wiele - powiedziała. - Katie Bishop, właściwie Katherine Margaret z domu Denton, jedynaczka, rodzice mieszkający w Brighton. Za Briana Bishopa wyszła pięć lat temu - jej trzecie małżeństwo, jego drugie. Nie mieli dzieci.

- Jakies wyjaśnienie, dlaczego? - spytał Grace.

- Nie - Bella wyglądała na zaskoczoną pytaniem. - Bishop ma dwoje z pierwszego małżeństwa.

Grace zanotował.

- W porządku, mów dalej.

- Ona cały tydzień spędza głównie w Brighton. Zwykle raz w tygodniu jedzie do Londynu i zostaje na noc. Brian Bishop ma mieszkanie w Londynie, gdzie przebywa od poniedziałku do piątku.

- W burdelu? - zaryzykował Norman Potting.

Grace nie odpowiedział, ale Potting mógł mieć rację. Brak dzieci po pięciu latach małżeństwa i życie osobno przez większość czasu - to nie wskazywało na szczególnie bliski związek. Tylko że on i Sandy byli małżeństwem przez dziewięć lat i nie mieli dzieci. Jednak w ich przypadku były powody. Medyczne. Znow zapisal w notesie.

Alfonso Zafferone, żujący gumę ze swoim zwykłym, bezczelnym wyrazem twarzy, miał razem z analitykiem systemu HOLMES opracować sekwencję zdarzeń i listę podejrzanych - w tym przypadku ograniczającą się jak na razie do jednego, czyli jej męża. Konieczne było dokładne rozliczenie czasu Briana Bishopa, aby ustalić, czy mógł być na miejscu wtedy, kiedy zamordowano Katie. Należało sprawdzić, czy jakieś podobne morderstwa zdarzyły się ostatnio w tym albo w innych hrabstwach. Czy coś miało związek z maską przeciwigazową? Zafferone odchylił się z krzesłem do tyłu. Ramiona miał tak potężne, że musiał nad nimi pracować, pomyślał Grace. Jak wszyscy mężczyźni w sali, zdjął marynarkę. Szpanerskie spinki do mankietów z kryształem górskim i złote opaski połyskiwały na rękawach jego świetnie skrojonej, czarnej koszuli.

Kolejne zadanie, do którego Grace wyznaczył Normana Pottinga, polegało na uzyskaniu planów domu Bishopów, zdjęć lotniczych posiadłości i jej okolic oraz dopilnowaniu, aby wszystkie drogi, którymi można się dostać do domu, zostały dokładnie przeszukane. Grace chciał też od Pottinga, a potem niezależnie od kierownika ekipy kryminalistycznej, szczegółowej oceny miejsca zbrodni, uwzględniającej raport z wywiadu w okolicznych domach, który rozpoczęto po południu.

Potting poinformował Grace'a, że dwa komputery z domu zostały zabezpieczone przez ekspertów z zespołu technicznego w celu poddania ich analizie, a z British Telecom wydobyto bilingi telefonu stacjonarnego z ostatnich dwunastu miesięcy. Udostępnione też zostały bilingi komórek obojga Bishopów.

- Komórkę znaną w jej samochodzie dałem do sprawdzenia ekipie od telekomunikacji, Roy - powiedział Potting. - Była jedna wiadomość z 11.10 wczoraj rano. Męski głos. - Zajrzał do notatek. - Powiedział „Do zobaczenia”.

- To wszystko? - spytał Grace.  
- Próbowali tam zadzwonić, ale numer był zastrzeżony.  
- Musimy się dowiedzieć, kto to był.  
- Rozmawiałem z firmą telekomunikacyjną - ciągnął Potting - ale nie będę w stanie nic od nich uzyskać do poniedziałku rano.

Piątki, soboty i niedziele to najgorsze dni na rozpoczynanie śledztwa w sprawie morderstwa, pomyślał Grace. Laboratoria są zamknięte, nie pracuje administracja. Akurat wtedy, kiedy informacje potrzebne są na zaraz, traci się dwa albo trzy kluczowe dni na czekanie.

- Daj mi to nagranie. Spytamy Briana Bishopa, czy poznaje ten głos. Może to jego.

- Nie, już to sprawdziłem - pochwalił się Potting. - Pojawił się ogrodnik, więc mu odtworzyłem.

- Jest na twojej liście podejrzanych?  
- Ma koło osiemdziesiątki i jest dość słabowity. Umieściłem go na końcu listy.

To wywołało uśmiech u wszystkich.

- Według moich obliczeń stawia go to na drugim miejscu listy składającej się z dwóch podejrzanych - uściślił Grace.

Przerwał, żeby łyknąć kawy, którą popił wodą.

- No dobrze. Wsparcie. W tej chwili we wszystkich jednostkach panuje względny spokój. Chcę, żeby każdy z was zastanowił się, jaką pomoc trzeba ściągnąć dla uzupełnienia naszych własnych ludzi. Z braku innych ważnych wiadomości prawdopodobnie cała uwaga prasy zwróci się na nas, więc chcę, żebyśmy dobrze wypadli i szybko osiągnęli wyniki. To ma być pokazówka.

Grace miał świadomość, że nie chodziło tu bynajmniej o zadowolenie opinii publicznej, ale tego już nie powiedział. Po raz kolejny chodziło o wykazanie własnej wiarygodności wobec zgryźliwej szefowej, zastępcy komendanta policji Alison Vosper, która tylko czekała na jego następne potknięcie.

Już niebawem facet, którego ściągnęła ze Scotland Yardu i awansowała do tego samego stopnia, co jego, glizdowaty detektyw nadkomisarz Cassian Pewe - jej nowy „złoty chłopak” - zakończy rekonwalescencję po wypadku samochodowym i obejmie biuro tu, w Sussex House. Z ukrytym celem zajęcia miejsca Roya Grace'a i odesłania go na boczny tor.

Przy omawianiu danych kryminalistycznych wyczuł u wszystkich wzmożoną koncentrację. Pominąwszy strony raportu Nadiuski De Sanchy pełne szczegółów technicznych, od razu przeszedł do sedna.

- Zgon Katie Bishop nastąpił na skutek uduszenia. Na szyję założono ligaturę bądź z cienkiej linki, bądź z drutu. Tkanekę pobraną z szyi wysłano do laboratorium do dalszej analizy, która może ujawnić narzędzie zbrodni - oznajmił, po czym znów pociągnął duży łyk kawy. - Istotna ilość spermy znaleziona w jej pochwie wskazuje, że w czasie zbliżonym do chwili śmierci miał miejsce stosunek seksualny.

- Musiała się nieźle bzykać - mruknął Norman Potting.

Bella Moy odwróciła się przodem do Pottinga.

- Jesteś obrzydliwy!

Gotując się z gniewu, Grace powiedział:

- Norman, ani słowa więcej. Porozmawiam sobie z tobą po odprawie.

Nikt z nas nie jest w nastroju na twoje niesmaczne żarty. Zrozumiano?

Potting spuścił wzrok jak skarcony uczeń.

- Nie chciałem nikogo urazić, Roy.

Piorunując go wzrokiem, Grace podjął wątek:

- Spermę wysłano do laboratorium do szybkiej analizy.
- Kiedy spodziewasz się wyników? - spytał Nick Nicholl.
- Najwcześniej w poniedziałek.
- Będziemy potrzebować wymazu od Briana Bishopa - zauważył Zafferone.

- Już pobraliśmy po południu - odparł Grace, zadowolony, że wyprzedził sugestię detektywa.

Spojrzał na Glenna Bransona, szukając potwierdzenia. Ten ponuro skinął głową, a Grace'a nagle ścisnęło za serce. Biedny Glenn wydawał się bliski łez. Może to był błąd, że wyciągnął go z powrotem do pracy, może za wcześnie. To nie było najlepsze miejsce, żeby przeżywać rozpad małżeństwa, w dodatku z potężnym kacem, który wciąż nie miał zamiaru ustąpić. Trudno, stało się.

Potting podniósł rękę.

- Hm, Roy... obecność spermy... czy możemy założyć, że śmierć ofiary miała podłoże seksualne... że została zgwałcona?

- Norman - powiedział ostro Grace - założenia to matka i ojciec wszystkich spieprzonych spraw, tak? - Napił się wody i ciągnął dalej: - Wyznaczone zostały dwie funkcjonariuszki do kontaktów z rodziną. Linda Buckley i Maggie Campbell...

Przeszkodził mu głośny dzwonek komórki Nicka Nicholla. Rzucając Grace'owi przepaszające spojrzenie, młody detektyw wstał, zgiął się w pół, jakby zmniejszenie wzrostu miało jakimś cudem spowodować przyciszenie dzwonka telefonu, i odszedł na kilka kroków od swojego miejsca.

- Detektyw Nicholl - powiedział.

Korzystając z przerwy, Zafferone przyjrzał się twarzy Pottinga.

- Wyjeżdżałeś, Norman, prawda?

- Do Tajlandii - potwierdził Potting. Uśmiechnął się do pań, jakby wyobrażał sobie, że zaimponuje im jako podróżnik do tak egzotycznego kraju.

- Przywiozłeś sobie ładną opaleniznę, co?

- Przywiozłem sobie dużo więcej - oznajmił Potting, nagle rozpromieniony.

Uniósł w górę dłoń i zaprezentował środkowy palec z prostą, złotą obrączką ślubną.

- O cholera - wykrzyknął Zafferone. - Żonę?

Bella wsadziła sobie do ust na wpół roztopioną drażetkę. Odezwała się głosem, który bardzo podobał się Grace'owi. Był łagodny, ale zawsze bardzo konkretny. Mimo że ze swoimi bujnymi włosami wyglądała trochę jak nie z tego świata, była naprawdę bystra. Nic nie mogło ująć jej uwadze.

- To już będzie czwarta, tak?

- Słusznie - powiedział Potting, wciąż rozpromieniony, jakby to osiągnięcie było powodem do dumy.

- Myślałem, że nie miałeś zamiaru znów się żenić, Norman - wtrącił się Grace.

- No cóż, Roy, wiesz, jak to mówią. Przywilejem kobiety jest zmieniać decyzje mężczyzny.

Bella uśmiechnęła się do niego, bardziej ze współczuciem niż z humorem, jakby był jakimś ciekawym, ale trochę groteskowym okazem w zoo.

- To gdzie ją poznałeś? - chciał wiedzieć Zafferone. - W barze? W klubie? W salonie masażu?

Tracąc nagle pewność siebie, Potting odpowiedział:

- Właściwie, to przez agencję.

W tym momencie Grace dostrzegł, jak przez twarz mężczyzny przemknął ślad upokorzenia. Ciężki smutek. Samotności.

- Dobra - powiedział Nick Nicholl, siadając z powrotem na swoim miejscu i wkładając telefon do kieszeni. - Mamy coś interesującego.

Położył przed sobą notatnik. Wszyscy spojrzeli na niego w napięciu.

- Alarm bezpieczeństwa na lotnisku Gatwick. Przy wjazdach na M23 po obu stronach zostały zainstalowane kamery ANPR\*.

\* ANPR [*automatic number plate recognition*] to system automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych coraz częściej używany przez policję i ochronę do monitorowania samochodów wjeżdżających na określony obszar - przyp. tłum.

Jedna z nich o 23.47 zeszłej nocy złapała bentleya continentala zarejestrowanego na Briana Bishopa. Jechał na południe, w stronę Brighton. Były problemy techniczne z kamerą przy pasie w kierunku północnym, więc nie ma zapisu z jego powrotu do Londynu... jeżeli wracał.

Glenn Branson spojrział na Grace'a.

- Wygląda na to, że nie zdał twojego testu mrugania, Roy. Wcisnął nam kit. Powiedział, że o tej porze leżał w łóżku w Londynie.

Grace jednak wcale się tym nie zmartwił. Jeżeli będą w stanie wydusić z Briana Bishopa przyznanie się, może jeszcze tego wieczoru, to przy odrobinie szczęścia śledztwo zakończy się, zanim się na dobre zaczęło. Wtedy będzie mógł lecieć do Monachium... może już jutro rano. Inną możliwością było zostawienie przesłuchania Kim Murphy, ale to nie było w jego stylu. Lubił wszystkim kierować sam, odpowiadać za wszystko, dopilnować każdego szczegółu. Kiedy współpracuje się z kimś, kto jest prawie na tym samym poziomie, zdarzają się pomyłki. Coś ważnego może umknąć.

- Porozmawiajmy z funkcjonariuszkami od kontaktów z rodziną - powiedział. - Sprawdźmy, czy nie dowiemy się czegoś więcej o jego samochodzie. Zobaczmy, czy możemy odświeżyć Bishopowi pamięć.

## Rozdział 30

Kwadrans po 19.00 słońce w końcu zaczęło wycofywać się z wybrzeża Sussex. Miliarder Czasu siedział przy stoliku w zatłoczonym kawiarnianym ogródku, sącząc już trzecią colę zero. Od czasu do czasu ze stojącego przed nim pucharka wyskrobywał resztki lodów pekanowych, tak dla zabicia czasu. Wydawał swoje dolary czasu, funty czasu, euro czasu. Były do wydania, nie mógł ich zabrać ze sobą.

Podniósł dłoń do ust i ssał przez chwilę. Piekący ból nie ustępował. Nie był pewien, czy tylko tak mu się wydaje, czy rząd drobnych, czerwonych śladów otoczonych blednącym siniakiem w kolorze plamy od nikotyny rzeczywiście robił się coraz wyraźniejszy.

Niedaleko grał zespół blaszanych bębnow. „Słoneczna wyspa”.

Kiedyś wybierał się na słoneczną wyspę. Wszystko już było przygotowane i wtedy zdarzyła się ta rzecz. Świat olał go z dużej wysokości. Właściwie to nie świat, nie, nie.

Ścisłe mówiąc, jeden z jego mieszkańców.

Powietrze miało słony smak. Pachniało linami, rdzą, lakierem do łodzi, co kilka minut czuć było także nagły, słaby, ale dający się wyraźnie odróżnić powiew smrodu moczu. Wiadomo, że wieczorem, w jakiś czas po zachodzie słońca, wszędzie księżyc. To też miał gdzieś.

Rachunek, już zapłacony, leżał przytrzymany popielniczką, trzepocząc w lekkiej morskiej bryzie jak umierający motyl. Zawsze był przygotowany, zawsze gotów do następnego ruchu. Nigdy nie można przewidzieć, jaki on będzie. Nie tak, jak ze słońcem.



Zastanawiał się, dokąd kieruje się teraz dysk barwy ochry złożony z głupich, płonących gazów. Starał się odliczyć kilka stref czasowych. Akurat w tej chwili, trzynaście i pół tysiąca mil stąd będzie to purpurowa kula z wolna pełną w kierunku horyzontu w Sydney. Będzie wciąż oślepiająco jasna wysoko, na popołudniowym niebie w Rio de Janeiro. Nieważne, gdzie była, nie miała pojęcia o własnej mocy. O mocy, jaką dała ludziom.

Nie tak jak on, który czuł tę moc w sobie.

Moc życia i śmierci.

Punkt widzenia. Wszystko zależy od punktu widzenia. Ciemność dla jednego jest dla drugiego światłem dnia. Jak to możliwe, że tylu ludzi tego nie zauważyło?

Czy ma tego świadomość ta głupia dziewczyna siedząca na plaży o kilka jardów od niego, wpatrująca się ponad leżącymi na plaży ciałami w gładką powierzchnię przesuwających się mas oceanu? Patrząca na zwisające bez ruchu żagle łódek i desek windsurfingowych? Na odległą, szarą smugę tankowców i kontenerowców stojących bez ruchu na linii horyzontu jak zabawki na półce? Na idiotów zażywających późnej kąpieli, taplających się w brudnej kloace, którą biorą za czystą, przejrzystą, morską wodę?

Czy Sophie Harrington wiedziała, że po raz ostatni widzi to wszystko?

Że po raz ostatni czuje zapach smołowanych lin, farby okrętowej albo moczu obcych?

Cała cholerna plaża była ściekiem pełnym nagich ciał. Ciał skapo odkrytych. Białych, czerwonych, brązowych, czarnych. Wystawionych na pokaz. Niektóre kobiety topless, dziwki. Przyglądał się jednej, brodzącej w wodzie, z potarganymi, żółtymi włosami zwisającymi do ramion, z cyckami zwisającymi do brzucha, z brzuchem zwisającym do łona. Pociągała z butelki piwo albo lagera - za daleko, żeby można było stwierdzić - jej tłusty tyłek nie mieścił się w zrolowanym, wściekle szafirowym nylonie, skóra na udach była nierówna od cellulitisu. Zastanawiał się, jak by wyglądała w jego masce przeciwgazowej, ze

splątanymi, żółtymi włosami łonowymi wetkniętymi mu w twarz. Ciekaw był, jak by tam pachniało. Ostrygami?

Teraz znów skupił uwagę na tej głupiej dziewczynie, która siedziała na plaży od dwóch godzin. Właśnie podniosła się i przechodziła po kamieniach, z butami w rękę, krzywiąc się przy każdym kroku. Dziwił się, dlaczego po prostu nie włoży butów? Czy naprawdę była aż tak tępa?

Mógłby spytać ją o to później, kiedy będzie sam z nią w jej sypialni, a ona będzie mieć na twarzy maskę przeciwgazową, która stłumi jej bełkotliwy głos.

Z tym że odpowiedź była mu obojętna.

Jedyne, co nie było mu obojętne, to notatki, jakie zapisał na czystych kartkach przeznaczonych na notatki, na końcu niebieskiego kalendarza szkolnego firmy Letts, kiedy miał dwanaście lat. Ten kalendarz był jedną z kilku rzeczy, jakie zachował z dzieciństwa. Trzymał go w małym, metalowym pudełku, w którym przechowywał to, co miało dla niego wartość sentymentalną. Pudełko znajdowało się całkiem niedaleko, w zamkniętym garażu, który wynajmował za comiesięczną opłatą. Jako małe dziecko nauczył się, jak ważne jest znalezienie przestrzeni na świecie, chociażby małej, która byłaby własna. Gdzie można trzymać swoje rzeczy. Posiedzieć sam ze swoimi myślami.

Właśnie w takiej prywatnej przestrzeni, którą sobie znalazł, kiedy miał dwanaście lat, po raz pierwszy przyszły mu do głowy słowa zapisane w kalendarzu.

*Jeżeli naprawdę chcesz sprawić komuś ból, nie zabijaj go, to krótko boli. Dużo lepiej jest zabić coś, co kocha, ponieważ to będzie go bolało zawsze.*

Powtarzał sobie te słowa jak mantrę, idąc za Sophie Harrington, jak zawsze w bezpiecznej odległości. Przystanęła, żeby włożyć buty, po czym szła dalej nadbrzeżną promenadą, mijając sklepy pod arkadami z czerwonej cegły, galerię z pracami miejscowych artystów, restaurację serwującą owoce morza, zespół grający na blaszanych bębnach, minę z II wojny światowej wyrzuconą przez morze i umieszczoną na cokole oraz sklep z

kapeluszami plażowymi, wiaderkami, łopatkami i wiatraczkami na patykach.

Szedł za nią w beztroskim, opalonym tłumie, po rampie prowadzącej na ruchliwą Kings Road, gdzie skręciła w lewo, na zachód, i szła dalej wzdłuż fasad hoteli Royal Albion, Old Ship, kina Odeon Kingswest, hoteli Thistle, Grand i Metropol.

Z każdą chwilą był coraz bardziej podniecony.

Wiatr targał jego kapturem, w pewnej chwili groziło, że zerwie mu go z głowy. Naciągnął go mocniej na czoło i wy dobył z kieszeni telefon. Musiał pilnie zadzwonić w interesach.

Przeczekał, aż ucichnie wycie syreny samochodu policyjnego, po czym wybrał numer, wciąż idąc o pięćdziesiąt jardów za nią. Ciekaw był, czy będzie tak szła całą drogę do domu, czy może wsiądzie do autobusu albo taksówki. Było mu wszystko jedno. Wiedział, gdzie mieszka. Miał własny klucz.

I miał cały czas świata.

Wtem w nagłym przypiływie paniki zorientował się, że plastikową torbę z maską przeciwgazową zostawił w kawiarni.

## Rozdział 31

Linda Buckley inteligentnie wybrała sobie miejsce w skórzanym fotelu, w przestronnym, eleganckim i wygodnym holu Hotel du Vin, pomyślała Grace, wchodząc do budynku razem z Glennem Bransonem. Była wystarczająco blisko recepcji, żeby usłyszeć, gdyby ktoś pytał o Briana Bishopa, i miała dobry widok na wchodzących i wychodzących z hotelu.

Funkcjonariuszka do kontaktów z rodziną niechętnie odłożyła czytaną książkę - „Sensację Plimsolla”, historię znaku Plimsolla autorstwa Nicolette Jones, której słuchała w odcinkach w radiu - i wstała.

- Cześć, Linda - powiedział na powitanie Grace. - Dobra książka?
- Fascynująca. Stephen, mój mąż, pływał w Marynarce Handlowej, więc co nieco wiem o statkach.
- Czy nasz gość jest w swoim pokoju?
- Tak. Rozmawiałam z nim około pół godziny temu, chciałam sprawdzić, jak się ma. Maggie poszła podzwonić. Dajemy mu trochę oddechu, to było dla niego bardzo męczące popołudnie, zwłaszcza w kostnicy, kiedy zidentyfikował żonę.

Grace rozejrzał się po pełnym ludzi holu. Wszystkie stołki przy barze ze stali nierdzewnej, w drugim końcu pomieszczenia były zajęte, podobnie jak kanapy i fotele. Grupa mężczyzn w smokingach i kobiet w sukniach wieczorowych sprawiała wrażenie, jakby zbierała się do wyjścia na bal. Nie wypatrzył żadnych dziennikarzy.

- Nie ma jeszcze prasy?

- Póki co, na szczęście nie - uspokoiła go. - Zameldowałam go pod fałszywym nazwiskiem - pan Steven Brown.

Grace uśmiechnął się.

- Mądra dziewczyna!

- Może zyskamy na tym dzień, ale niedługo się tu zjawią.

Jeśli szczęście im dopisze, do tego czasu Brian Bishop będzie już w areszcie, pomyślał.

Ruszył w kierunku schodów, ale przystanął. Branson gapił się w rozmarzeniu na cztery bardzo atrakcyjne nastolatki, które popijały koktajle, siedząc na skórzanej kanapie. Grace zamachał ręką, aby wyrwać kolegę z zamyślenia. Glenn niespiesznie podszedł do niego.

- Właśnie myślałem... - zaczął.

- O długich nogach?

- Długich nogach?

Po jego zdziwionym spojrzeniu Grace zorientował się, że przyjaciel wcale nie patrzył na dziewczyny, nawet ich nie zauważył. Po prostu gapił się w przestrzeń. Po ojcowsku objął Bransona ramieniem w pasie. Miał wrażenie, jakby przez marynarkę obejmował silne, młode drzewo, tak szczupły i twardy jak skała był dzięki treningowi.

- Wszystko będzie dobrze, stary - powiedział.

- Czuję się, jakbym się znalazł w cudzym życiu... wiesz, co mam na myśli? - odezwał się Branson, kiedy weszli na podest schodów. - Jakbym wyszedł z własnego życia i przez pomyłkę wszedł w cudze.

Pokój Bishopa znajdował się na drugim piętrze. Grace zapukał do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, głośniejsze. Potem, zostawiając Bransona na straży w korytarzu, zszedł na dół i wrócił z kierownikiem zmiany, elegancko ubranym mężczyzną po trzydziestce, który otworzył drzwi kodem.

Pokój był pusty. Duszny, nagrany i pusty. Z Bransonem trzymającym się tuż za nim, Grace przeszedł przez pokój i otworzył drzwi łazienki. Była nieskazitelna, wyglądała na nieużywaną, poza tym że deska sedesowa była podniesiona.

- To na pewno ten pokój? - spytał Grace.
- Pokój pana Stevena Browna, na pewno, proszę pana - odparł kierownik zmiany.

Jedyną wskazówką czyjejś obecności w ciągu ostatnich kilku godzin było głębokie wgniecenie w nogach przykrytego purpurową kapą łóżka oraz srebrna taca z filiżanką zimnej herbaty, imbrykiem, dzbanuszką mleka i dwoma nieodpakowanymi herbatnikami stojąca pośrodku.

## Rozdział 32

Idąc tętniącym życiem, szerokim deptakiem Kings Road, Sophie próbowała sobie przypomnieć, co ma w lodówce albo w zamrażarce, z czego mogłaby zrobić jakąś kolację. Albo jakie puszki stoją w spizarni. Nie miała właściwie apetytu, ale wiedziała, że musi coś zjeść. Minął ją pedałużący ścieżką rowerzysta w kasku i lycrze. Dwóch chłopaków przejechało na hurkocących deskach.

W powieści czytanej jakiś czas temu było zdanie, które utkwilo jej w głowie: „Złe rzeczy zdarzają się w piękne dni”.

11 września był pięknym dniem. Było to coś, co uderzyło ją najbardziej w tych wszystkich obrazach, że może uderzenie samolotów w wieże nie miałyby tak silnego oddziaływania emocjonalnego, gdyby niebo było szare i mżyło. Człowiek spodziewa się, że wpadnie w gówno w szare dni.

Dzisiejszy dzień był podwójnie, a może nawet potrójnie gówniany. Najpierw wiadomość o śmierci żony Briana, potem jego chłód, kiedy zadzwoniła, próbując go pocieszyć. A teraz jeszcze uświadomiła sobie, że całe jej plany na weekend diabli wzięli.

Zatrzymała się, przycisnęła się przez lukę w rzędzie leżaków i oparła się łokciami o turkusową barierkę powyżej plaży. Na dole kilkoro dzieci rzucało jaskrawymi piłkami na żwirowym placu zabaw, który kiedyś był stawem służącym do przejazdów łódką. Rodzice rozmawiali o kilka jardów dalej, nie spuszczać ich z oczu. Też chciała być rodzicem, chciała patrzeć, jak jej dzieci bawią się z kolegami. Zawsze uważała, że byłaby dobrą matką. Jej rodzice byli dla niej dobrzy.

Byli miłymi, przyzwoitymi ludźmi, wciąż zakochanymi w sobie po trzydziestu latach małżeństwa. Wciąż trzymali się za ręce, kiedy dokądś szli razem. Zajmowali się importem z Francji i Chin ręcznie robionych, koronkowych serwetek i obrusów, które sprzedawali na targach rękodzieła. Prowadzili swój interes w domku, w małym gospodarstwie w pobliżu Orford w Suffolk, używając stodoły jako magazynu. Mogłaby jutro wsiąść do pociągu i zobaczyć się z nimi. Zawsze cieszyli się, kiedy przyjeżdżała na weekend, ale ona nie była pewna, czy chce takiego weekendu.

W tej chwili w ogóle nie była pewna, czego chce. Ku swemu zaskoczeniu wiedziała tylko, po raz pierwszy odkąd go spotkała, że nie jest to Brian. Miał rację, że nie chciał dziś się z nią widzieć. I nie ma mowy, żeby ona czekała z boku jak sęp, aż minie pogrzeb i stosowny okres żałoby. Owszem, lubiła go. Bardzo go lubiła. Właściwie, to go uwielbiała. Podniecał ją - no dobra, częściowo chodziło o to, że pochlebiał jej, kiedy ten starszy, niewyobrażalnie atrakcyjny i bogaty mężczyzna szalał za nią - ale był też niebywałym kochankiem, choć trochę perwersyjnym. Absolutnie najlepszym w jej całym, trzeba przyznać, dość ograniczonym doświadczeniu.

Jednego tylko nie mogła pojąć. Jego zapierania się, że nie spali ze sobą ostatniej nocy. Czy bał się, że ma telefon na podsłuchu? Czy było to zaprzeczenie spowodowane żałobą? Chyba już zdążyła się nauczyć, kiedy dorosła, że mężczyźni to czasami bardzo dziwne stworzenia. Może zawsze.

Sophie spojrzała poza plac zabaw, na plażę. Wydawała się pełna par. Kochankowie całowali się, tulili, szli pod rękę, trzymali się za ręce, roześmiani, zrelaksowani, czekający na weekend. Na wodzie wciąż było dużo łodzi. 19.20, jeszcze przez jakiś czas będzie widno. Jeszcze kilka tygodni jasnych wieczorów, zanim nie nadciągną zimowe ciemności.

Nagle, bez powodu, zadrżała.

Poszła dalej, koło pozostałości Zachodniego Mola. Przez długi czas uważała je za szkaradzieństwo, ale teraz zaczynała je nawet lubić. Nie wyglądało już jak zawałona budowla. Szczerniały od ognia szkielec



przypominał jej zebra potwora z głębin. Pewnego dnia ludzie wstrzymają oddech w szoku na widok morza u wybrzeży Brighton rojącego się od tych stworzeń, pomyślała.

Dziwaczne myśli przychodziły jej czasem do głowy. Może naczytała się za dużo scenariuszy horrorów. Może to jej sumienie karało ją za złe postępowanie. Sypiała z żonatym mężczyzną. Tak, to było absolutnie, totalnie i zupełnie złe.

Kiedy wyznała to swojej najlepszej przyjaciółce Holly, jej pierwszą reakcją był entuzjazm. Radość wspólnego sekretu. Najlepszego sekretu na świecie. Potem jednak, jak to zawsze z Holly - osobą praktyczną, która lubi wszystko przemyśleć - pojawiły się wszystkie minusy tej sytuacji.

Gdzieś między kupieniem dojrzałego awokado, kilku ekologicznych pomidorów i pojemniczka gotowego koktajlu z atlantyckich krewetek a dojściem do drzwi frontowych, podjęła decyzję, ostateczną, że zakończy swój związek z Brianem Bishopem.

Musiała tylko poczekać na moment, w którym będzie to taktowne. Tymczasem przypomniała sobie SMS-a od Holly, którego dostała rano, z propozycją pójścia na imprezę. To by było rozsądne. Pójść na imprezę i pobyć z ludźmi w swoim wieku.

Jej mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze dawno nieodnawianego, wiktoriańskiego domu szeregowego, na północ od ruchliwej ulicy handlowej Church Road. Zamek w drzwiach frontowych tak się obluzował w przegniłej framudze, że każdy mógł go otworzyć mocnym szarpnięciem, wrywającym śruby z drewna. Właściciel, przyjaźnie nastawiony, małutki Irańczyk zawsze obiecywał go naprawić, tak samo jak zawsze obiecywał naprawić cieknący rezerwuar w jej toalecie i nigdy nie naprawił.

Po otwarciu drzwi przywitał ją smrodek wilgotnej wykładziny, słaby aromat chińszczyzny na wynos i silny zapach haszu. Zza drzwi mieszkania na parterze dobiegało gorączkowe, rytmiczne dudnienie basów. Poczta leżała na wytartej wykładzinie w holu, tak jak została wrzucona rano.

Przykłęła, żeby ją sprawdzić. Jak zwykle warte dziesiątkowanych lasów tropikalnych menu pizzerii, oferty letnich wyprzedaży, ulotki dotyczące koncertów, ubezpieczeń domów i cała tona innych śmieci poprzetykanych kilkoma listami i rachunkami.

Porządna z natury Sophie zebrała to wszystko, posortowała na dwie kupki - śmieci na jedną, prawdziwą korespondencję na drugą - i odłożyła na półeczkę. Potem, przycisnąwszy się obok dwóch rowerów tarasujących przejście, weszła na pokryte łysiejącym chodnikiem schody. Na podeście pierwszego piętra usłyszała telewizor pani Harsent. Rechocący śmiech w studiu. Pani Harsent była uroczą staruszką w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, która mając piętro niżej hałaśliwych studentów, na swoje szczęście była głucha jak pień.

Sophie uwielbiała swoje mieszkanko na najwyższym piętrze, które chociaż małe, było jasne i przestronne. Ładnie odnowione przez właściciela miało beżowe wykładziny, kremowobiałe ściany, eleganckie, kremowe, lniane zasłony i żaluzje. Ozdobiła je oprawionymi w ramki plakatami kilku filmów Blinding Light Productions i dużymi, nastrojowymi, czarno-białymi portretami swoich ulubionych gwiazd. Był tam Johnny Deep, George Clooney, Brad Pitt i najbardziej ulubiony ze wszystkich Heath Ledger, którego portret wisiał na honorowym miejscu, na ścianie na wprost jej łóżka.

Włączyła telewizor i przeskakując z kanału na kanał, znalazła „Amerykańskiego Idola”, show, który naprawdę lubiła. Zrobiła głośniejsze, częściowo żeby zagłuszyć telewizor pani Harsent, a częściowo, żeby słyszeć w swojej małej kuchni, wyjęła z lodówki butelkę nowozelandzkiego sauvignon, otworzyła i nalała sobie kieliszek. Następnie rozkroiła awokado, pestkę wyrzuciła do kosza na śmieci, po czym wycisnęła na awokado trochę soku z cytryny.

Pół godziny później, po odświeżającej kąpieli, siedziała oparta na łóżku, w samym tylko rozciągniętym, białym T-shircie.

Trzymając na kolanach tacę z sałatką z awokado i krewetek i trzecim

kieliszkiem wina, patrzyła, jak facet o wyglądzie kujona, w wielkich okularach, gra o sześćdziesiąt cztery tysiące funtów w „Milionerach”, których nagrała sobie któregoś dnia w tym tygodniu. I wreszcie, kiedy niebo stopniowo ciemniało za oknem, poczuła, że jej dzień zmienia się na lepsze.

    Nie słyszała klucza obracającego się w zamku drzwi frontowych.

## Rozdział 33

Stojąc w pustym pokoju hotelowym, Roy Grace wybrał numer telefonu komórkowego Briana Bishopa. Od razu odezwała się poczta głosowa.

- Panie Bishop - powiedział - mówi detektyw nadkomisarz Grace. Proszę zadzwonić, kiedy tylko odbierze pan tę wiadomość. - Podał swój numer.

Teraz zadzwonił do Lindy Buckley w holu na dole.

- Czy nasz przyjaciel miał jakiś bagaż?

- Tak, Roy. Małą torbę podróżną i teczkę... torbę z laptopem.

Grace i Branson sprawdzili wszystkie szuflady i szafki. Nic w nich nie było. Cokolwiek przyniósł tu Bishop, zabrał to ze sobą. Grace zwrócił się do kierownika zmiany:

- Gdzie jest najbliższe wyjście ewakuacyjne?

Mężczyzna z tabliczką „Roland Wright - kierownik zmiany” zaprowadził ich korytarzem do wyjścia ewakuacyjnego. Grace otworzył drzwi i spojrzał w dół, na metalowe schody prowadzące na podwórko zastawione pojemnikami na śmieci, na kółkach. Czuć było mocne zapachy kuchenne. Zamknął drzwi, zastanawiając się usilnie. Dlaczego, u diabła, Bishop znów wyszedł?

I dokąd poszedł?

- Panie Wright - powiedział - muszę sprawdzić, czy nasz gość pan Steven Brown dzwonił lub odbierał jakieś telefony, kiedy tu był.

- Nie ma problemu. Zejdźmy do mojego biura.

Dziesięć minut później Grace i Branson siedzieli na dole, w holu hotelowym z Lindą Buckley.

- No dobrze - powiedział Grace. - Brian Bishop odebrał telefon o 17.20. - Zerknął na swój zegarek. - Około dwie i pół godziny temu. Nie mamy informacji, od kogo. Sam nie dzwonił z hotelowego telefonu. Być może posługiwał się komórką, ale tego nie będziemy wiedzieli, dopóki nie dostaniemy bilingu, co stanie się najwcześniej w poniedziałek, jak uczy doświadczenie z firmami telekomunikacyjnymi. Wymknął się z bagażem, prawdopodobnie po schodach przeciwpożarowych, celowo unikając ciebie. Dlaczego?

- Nie jest to zachowanie człowieka niewinnego - zauważył Glenn Branson.

Grace, głęboko zamyślony, podziękował za ten dość oczywisty komentarz nieznacznym skinieniem głowy.

- Miał ze sobą dwie torby, więc poszedł dokądś, czy wziął taksówkę?
- To zależy, dokąd się wybierał - powiedział Branson.

Grace rzucił koledze spojrzenie, jakie normalnie rezerwował dla imbecyli.

- Więc dokąd się wybierał, Glenn?
- Do domu? - Linda Buckley starała się być pomocna.
- Lindo, chcę, żebyś skontaktowała się z firmami taksówkowymi.

Obdzwon je wszystkie. Sprawdź, czy ktoś odbierał mężczyznę pasującego do rysopisu Bishopa w pobliżu tego hotelu dziś po południu około 17.20 - 17.30. Sprawdź, czy ktoś wzywał tu taksówkę. Glenn, pogadaj z obsługą. Spytaj, czy ktoś widział, jak Bishop wsiadał do taksówki.

Wybrał numer Nicka Nicholla.

- Co robisz?

Głos młodego detektywa nie brzmiał służbowo:

- Ja... hm... zmieniam mojemu synowi pieluszkę.

I co w tym takiego cholernie wspaniałego? - pomyślał Grace, ale ugryzł się w język.

- Nie chciałbym odrywać cię od twojego domowego szczęścia - powiedział.

- To byłaby ulga, Roy, wierz mi.

- Nie mów tego przy żonie. Musisz iść na dworzec w Brighton. Brian Bishop znów nam zniknął. Chcę, żebyś sprawdził zapisy z kamer. Zobacz, czy się pojawił w hali albo na którymś peronie.

- Już się robi! - Nick Nicholl nie mógłby wydać z siebie radośniejszego okrzyku, gdyby wygrał na loterii.

Dziesięć minut później Roy Grace śmiertelnie przerażony siedział przypięty pasem na miejscu pasażera w nieoznakowanym policyjnym fordzie mondeo.

Po oblanym ostatnio egzaminie z zaawansowanej jazdy - jego zdanie umożliwiłoby mu branie udziału w pościgach z dużą prędkością - Glenn przygotowywał się do drugiego podejścia. I chociaż głowę miał nabitą mądrymi słowami instruktora, Grace wątpił, czy któreś z nich przeniknęły do jego mózgu. Kiedy strzałka szybkościomierza doszła do stu mil na godzinę przed łagodnym zakrętem w lewo, na drodze z Brighton do klubu golfowego w Północnym Brighton, Grace zaczął wyrzucać sobie: Co ja najlepszego robię, pozwalając temu maniakowi znów się wozić? Temu zmęczonemu, skacowanemu maniakowi w głębokiej depresji, który nie ma życia i przejawia skłonności samobójcze?

Muchy roztrzaskiwały się o przednią szybę jak krwawe płatki śniegu. Nadjeżdżające z przeciwka samochody - za każdym razem był pewien, że zostanie po nich sterta blach i krwawa masa - jakoś ich mijały. Wstęgi żywopłotów rozwijały się po obu stronach z prędkością światła. Najdalszym zakątkiem siatkówki oka odnotował niewyraźny obraz ludzi machających kijami golfowymi.

Wreszcie, wbrew prawom fizyki, które Grace znał i rozumiał, zajęchali cało na parking klubu.

Wśród innych samochodów wciąż stał tu ciemnoczerwony bentley Briana Bishopa. Grace wysiadł z mondeo śmierzącego spalonym olejem i

pobrzękującego jak źle nastrojone pianino.

Natychmiast zadzwonił na telefon komórkowy detektywa inspektora Williama Warnera z lotniska Gatwick.

Bill Warner odebrał po drugim dzwonku. Wyszedł już do domu, ale zapewnił Grace'a, że zaraz zarządzi alarm i każe wypatrywać Briana Bishopa na lotnisku.

Następnie Grace zadzwonił na posterunek policji w Eastbourne odpowiedzialny za patrolowanie Beachy Head i odtąd Brian Bishop mógł być uważany za potencjalnego samobójcę. Do Cleo Morey zadzwonił, żeby przeprosić ją za to, że nici z ich randki, na którą czekał cały tydzień. Zrozumiała i zaprosiła go na późnego drinka, kiedy skończy, jeżeli tylko nie będzie zbyt wyczerpany.

Wreszcie skontaktował się z jednym z pracowników pomocniczych biura, każąc mu obdzwonić wszystkich członków zespołu i przekazać im, że z powodu zniknięcia Briana Bishopa potrzebuje ich w sali konferencyjnej o 23.00. Po wydaniu tego polecenia wybrał CG99, kod inspektora dyżurnego odpowiedzialnego za oddział, żeby poinformować go o sytuacji i poprosić o dodatkowe wsparcie. Poradził, żeby trzymający straż na miejscu zbrodni, w domu przy Dyke Road Avenue zachowali czujność na wypadek, gdyby Brian Bishop próbował się włamać.

Wsiadając z powrotem do mondeo, pomyślał, że następnym krokiem powinno być obdzwonienie przyjaciół Briana Bishopa, z którymi tego ranka grał w golfa, i sprawdzenie, czy nie kontaktował się z którymś z nich. W chwili, gdy nad tym myślał, zadzwonił jego telefon.

Dzwoniła dyspozytorka z którejś z lokalnych firm taksówkowych. Powiedziała, że jeden z ich kierowców zabrał Briana Bishopa z ulicy w pobliżu Hotel du Vin półtorej godziny temu.

## Rozdział 34

Chris Tarrant oparł brodę na dłoni. Widownia ucichła. Ostre światło reflektorów w studiu telewizyjnym błysnęło w niemodnych, wielkich okularach skupionego mężczyzny o wyglądzie kujona, siedzącego w fotelu. Stawka gwałtownie wzrosła. Mężczyzna chciał przeznaczyć wygraną - jeżeli wygra - na parterowy dom dla swojej niepełnosprawnej żony. Na jego wysokim czole perlił się pot.

Chris Tarrant powtórzył pytanie.

- John, masz sześćdziesiąt cztery tysiące funtów - tu przerwał, podniósł wysoko czek, żeby każdy mógł go zobaczyć, i znów opuścił. - Pytanie za sto dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Gdzie leży kurort Monastyr? a) w Tunezji, b) w Kenii, c) w Egipcie czy d) w Maroku?

Kamera pokazała żonę zawodnika siedzącą na wózku inwalidzkim wśród publiczności. Wyglądała tak, jakby ktoś za chwilę miał ją zdzielić kijem do krykieta.

- Hm - zaczął mężczyzna. - Nie wydaje mi się, żeby to było w Kenii.

Sophie patrząc z łóżka w telewizor, łyknęła sauvignon.

- To nie jest w Maroku - powiedziała głośno.

Jej znajomość geografii nie była imponująca, ale kiedyś przez tydzień była na wakacjach w Marakeszu i przed wyjazdem dowiedziała się sporo o tym kraju. Nazwa Monastyr nic jej nie mówiła.

Jej okno było szeroko otwarte. Wieczne powietrze wciąż było gorące i lepkie, ale przynajmniej wyczuwało się lekki powiew od morza. Zostawiła



otwarte drzwi sypialni i okna w saloniku i kuchni, żeby wytworzyć przeciąg. Słabe, irytujące dudnienie muzyki tanecznej zakłócało ciszę wieczoru ha zewnątrz.

Może to jej sąsiedzi z dołu, może jacyś inni.

- Masz jeszcze dwa koła ratunkowe - odpowiedział Chris Tarrant.
- Myślę, że zadzwonię do przyjaciela.

Czy to jej wyobraźnia, czy rzeczywiście widziała cień, który mignął w drzwiach sypialni? Oczekwała chwilę, teraz tylko jednym uchem słuchając telewizora i wpatrując się we framugę drzwi. Po plecach przeszły jej ciarki. Mężczyzna zdecydował się na telefon do przyjaciela o imieniu Ron. Usłyszała sygnał w telefonie.

Nic tam nie ma. To tylko jej wyobraźnia. Odstawiła kieliszek, wzięła widelec, nadziała krewetkę i kawałek awokado, włożyła do ust.

- Cześć, Ron! Tu Chris Tarrant!
- Cześć, Chris. Jak się masz?

Przetykając, znowu dostrzegła cień. Tym razem na pewno nie był to wytwór wyobraźni. Postać zbliżała się do drzwi. Słyszała szelest ubrania czy plastiku. Z zewnątrz dobiegł terkot motocykla przejeżdżającego ulicą.

- Kto tu jest?! - zawołała pełnym napięciem, piskliwym głosem.

Cisza.

- Ron, jest tu ze mną twój kumpel John. Wygrał już sześćdziesiąt cztery tysiące funtów i teraz gra o sto dwadzieścia pięć tysięcy. Jak tam u ciebie z geografią?

- No, raczej w porządku.
- Świetnie, Ron. Od tej chwili masz trzydzieści sekund. Pytanie za sto dwadzieścia pięć tysięcy: gdzie leży kurort Monastyr? a)...

Strach ścisnął Sophie za gardło. Chwyciła pilota i wyłączyła dźwięk. Znow omiotła wzrokiem drzwi, potem torebkę z telefonem leżącą daleko poza zasięgiem ręki, na toaletce.

Cień się poruszał. Chwiał się. Ktoś tam stał, bez ruchu, ale odrobinę się kołysał.

Złapała tacę. Wraz z małym widelcem była jej jedyną bronią.

- Kto tam jest? - powtórzyła. - Kto tam?

Wtedy wszedł do pokoju i cały jej strach ulotnił się.

- To ty! - zawołała. - Jezu Chryste, ale mnie wystraszyłeś!

- Nie byłem pewien, czy będziesz chciała mnie widzieć.

- Oczywiście, że chcę. Ja... naprawdę się cieszę - zapewniła. - Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać, zobaczyć cię. Jak się czujesz? Ja... nie sądziłam...

- Przyniosłem ci prezent.

## Rozdział 35

Kiedy był dzieckiem i kiedy dorastał tutaj, Brighton i Hove były dwoma oddzielnymi miastami, każde z nich podupadłe na swój własny, zupełnie różny sposób. Zrosnięte były wzdłuż sztucznej granicy, tak pokrętej i nielogicznej, że mogła ją wyznaczyć pijana koza. Albo, co zdaniem Grace'a bardziej prawdopodobne, komisja trzeźwych planistów, którzy wszyscy razem wzięci mieli mniej rozsądku niż koza.

Teraz jedność obu miast uświęcona została na zawsze wspólnym mianem miasta Brighton i Hove. Spędziwszy większość ostatniego półwiecza na psuciu systemu ruchu ulicznego i rujnowaniu słynącego z elegancji w stylu regencji nadbrzeża w Brighton, zidiociali planiści skierowali całą swoją nieudolność na Hove. Za każdym razem, jadąc nadbrzeżem i mijając paskudne budynki Thistle Hotel, Kingswest z upiornym, krytym złotą folią dachem czy Brighton Centre charakteryzujący się architektonicznym wdziękiem więzienia o zaostrowym rygorze, musiał się powstrzymać, żeby nie pojechać prosto do ratusza, nie złapać paru urzędników od planowania i nie wytrząść z nich flaków.

Roy Grace nie był bynajmniej przeciwnikiem nowoczesnej architektury. Podziwiał wiele nowoczesnych budowli, do których ostatnio dołączył tak zwany „Ogórek” w londyńskim City. Nie mógł tylko patrzeć, jak jego ukochane, rodzinne miasto jest systematycznie niszczone przez miernoty z departamentu planowania.

Dla przypadkowego gościa Brighton przechodziło w Hove na jedynym odcinku granicy, który był rzeczywiście oznaczony przez stojącą na

promenadzie, dość ładną statuetę skrzydlatego anioła z kulą ziemską w jednej ręce i gałązką oliwną w drugiej - Statuetę Pokoju. Grace z miejsca pasażera w fordzie mondeo widział za oknem po lewej jej sylwetkę na tle ciemniejącego nieba.

Po drugiej stronie ulicy samochody płynęły dwoma pasami w kierunku Brighton. Mając opuszczone szyby, słyszał każdy z nich. Parkotanie podrasowanego tłumika, dudnienie woferów, poskrzypywanie trójkołowych taksówek. Do diabła, przecież to piątkowa noc w centrum Brighton. W ciągu najbliższych godzin miasto będzie eksplodować życiem, wszystkie siły policyjne znajdą się na ulicach, głównie na West Street - odpowiedź Brighton na Strip w Las Vegas - robiąc, co w ich mocy, jak w każdą piątkową noc, aby zapobiec przekształceniu się tego miejsca w napędzaną narkotykami strefę wojenną.

Pamiętając, jak sam patrolował ten obszar jako rewirowy, nie zazdrościł mundurowym czekającej ich dziś służby.

Światło zmieniło się na zielone. Branson wrzucił bieg i ruszył do przodu w wolno sunącym ciągu samochodów. Po prawej przesunął się Regency Square. Grace popatrzył nad ramieniem Bransona na ładny skwer otoczony pomalowanymi na kremowy kolor osiemnastowiecznymi fasadami, z ogrodem pośrodku, zeszpecony oznakowaniem podziemnego parkingu i tablicami rozmaitych agencji wynajmu. Dalej Norfolk Square, dzielnica tanich mieszkań do wynajęcia. Studenci. Chwilowi mieszkańcy. Dziwki. I zubożali starzy ludzie. Po lewej Grace miał teraz tę część miasta, którą lubił najbardziej, Hove Lawns, duży obszar starannie strzyżonego trawnika rozciągający się za nadbrzeżną promenadą, z zielonymi budkami i kabinami plażowymi nieco dalej.

W ciągu dnia widać tu było całą armię staruszków. Mężczyźni w granatowych blezerach, zamiszowych półbutach i fularach, zażywający spaceru dla zdrowia, niektórzy podpierający się laskami, inni balkonikami. Arystokratyczne wdowy z włosami potraktowanymi niebieską płukanką, o kredowych twarzach i rubinowych wargach, wyprowadzające swoje pekińczyki na smyczach trzymanyh w dłoniach okrytych białymi

rękawiczkami. Pochylone postacie w białych flanelach, niespiesznie grające w kręgle. A niedaleko, nie zwracając na nich wszystkich uwagi, jakby dawno już poumierali, grupki uzbrojonych w iPody dzieciaków, do których teraz należała promenada po drugiej stronie balustrady, ze swoimi rolkami, deskami, meczami siatkówki i ze swoją zwykłą, bezczelną młodością.

Zastanawiał się czasem, czy dożyje starości. I jak by to było. Na emeryturze, kuśtykający, nierozumiejący przeszłości, otumaniony terażniejszością i w zasadzie obojętny na przyszłość. Albo pchany na wózku inwalidzkim, z pledem na kolanach - taki obraz też chodził mu po głowie.

Czasami żartowali sobie z tego z Sandy. *Obiecujesz, że nigdy nie będziesz się ślinił, Grace, bez względu na to, jak będziesz zramolały?* - mawiała. Ale to były niewinne żarty, przekomarzanie się dwojga bliskich sobie ludzi, cieszących się perspektywą wspólnego starzenia się, jeśli tylko dane im będzie przejść tę drogę razem. Kolejny powód, dla którego nie był w stanie pojąć jej zniknięcia.

#### *Monachium.*

Musiał tam pojechać. Musiał tam jakoś pojechać i to szybko. Rozpaczliwie pragnął wsiąść do samolotu jutro, ale nie mógł. Był odpowiedzialny za sprawę, a pierwsza doba była krytyczna. W dodatku czuł oddech Alison Vosper na karku... Może, jeżeli jutro wszystko pójdzie dobrze, mógłby polecieć w niedzielę. Tam i z powrotem w ciągu jednego dnia. To mogłoby mu ująć na sucho.

Jednak był jeszcze jeden problem: co miałby powiedzieć Cleo?

Glenn Branson trzymał telefon przy uchu, mimo że prowadził. Nagle z ponurą miną wyłączył go i schował do górnej kieszeni.

- Ari nie odbiera - oznajmił, przekrzykując muzykę płynącą ze stereofonicznych głośników w samochodzie. - Chciałem tylko powiedzieć dobranoc dzieciakom. Jak myślisz, co powinienem zrobić?

Wybrał lokalną stację popową Surf w samochodowym radiu Grace'a, ignorując jego zbiór płyt. Koszmarny rap w wykonaniu jakiejś grupy, o

której Grace nigdy nie słyszał, atakował uszy o wiele głośniejszą, niż był w stanie spokojnie znieść.

- Mógłbyś ściszyć tę cholerną muzykę na początek!

Branson ściszył.

- Myślisz, że mógłbym tam podjechać, to znaczy, jak skończymy?

- Jezu - westchnął Grace. - Jestem ostatnią osobą na świecie, do której można by się zwrócić o poradę małżeńską. Patrz, jaki mam bajzel w życiu.

- Ale to co innego. Chodzi mi o to, czy mógłbym pójść do domu, co?

- To twoje święte prawo.

- Nie chcę scen przy dzieciakach.

- Myślę, że powinieneś dać jej trochę czasu. Poczekaj ze dwa dni, zobacz, czy zadzwoni.

- Jesteś pewien, że pasuje ci, żebym u ciebie siedział? Nie zaburzam ci twojego trybu życia? Nie masz nic przeciwko?

- Absolutnie - powiedział Grace przez zaciśnięte zęby.

Branson wyczuwając brak entuzjazmu w jego głosie, powiedział:

- Mógłbym iść do hotelu czy coś, jeśli tak byś wołał?

- Jesteś moim kumplem - powiedział Grace. - Kumple troszczą się o siebie nawzajem.

Branson skręcił w prawo, w szeroką, elegancką ulicę, przy której po obu stronach stały niegdyś wspaniałe domy szeregowy z okresu regencji. Zwolnił, po czym zatrzymał się przed potrójnym frontonem Lansdowne Place Hotel i zgasił silnik - miłosiernie, pomyślał Grace, ścisząc muzykę. Wyłączył światła.

Nie tak dawno była to odrapana, dwugwiazdkowa nora, zamieszkała przez geriatrycznych rezydentów i smętnych uczestników tanich wycieczek zorganizowanych. Ostatnio przekształcono ją w jeden z najszybkich hoteli w mieście.

Wysiedli z samochodu i weszli do środka, w orgię purpurowego weluru, chromu i złożonego kiczu, pośród której podeszli do recepcji. Wysoka, posągowa recepcjonistka w czarnej tunice, z czarną grzywką na Betty Page

powitała ich zawodowym uśmiechem. Przypięta do sukienki złota tabliczka informowała, że jest to „Greta”.

Grace pokazał jej swoją legitymację policyjną.

- Detektyw nadkomisarz Grace z Wydziału Kryminalnego Policji Sussex. Mój kolega i ja chcielibyśmy zamienić słowo z gościem, który zameldował się przed chwilą, z panem Brianem Bishopem.

Jej uśmiech oklapł jak balon, z którego uszło powietrze, kiedy patrząc na ekran komputera, stuknęła w klawiaturę.

- Pan Brian Bishop?

- Tak.

- Chwileczkę, panowie. - Podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła parę klawiszy. Po około pół minuty odłożyła słuchawkę. - Przykro mi, wygląda na to, że nie odbiera.

- Niepokojmy się o tę osobę. Czy moglibyśmy wejść do jego pokoju?

Wyglądając na całkowicie zaskoczoną, powiedziała:

- Muszę powiedzieć kierownikowi.

- Proszę bardzo - odparł Grace.

Pięć minut później, po raz drugi w ciągu godziny, okazało się, że wchodzi do pustego pokoju hotelowego.

## Rozdział 36

Skunks był zawsze w swoim biurze w piątkowe noce, kiedy można się najlepiej obłowić. Ludzie, którzy wychodzą, żeby się zabawić, są beztroscy - i nieostrożni. Do 20.00 parkingi w centrum miasta zajęte były niemal do granic pojemności. Miejscowi i przyjezdni przelewali się starymi, wąskimi ulicami Brighton, zapelniając puby, bary i restauracje. Później młodszy, na haju i pijani, zaczęli wystawać w kolejkach przed klubami.

Z dużą reklamówką Teseo na ramieniu przemieszczał się powoli przez rozedrgany tłum, przeciskając się chwilami między wystawionymi na chodnik stolikami. Ciepłe powietrze śródmieścia przesiąknięte było tysiącem woni. Wody kolońskie, perfumy, dym papierosowy, spaliny, oliwa i przyprawy skwierzące na patelniach i wszechobecny posmak soli w powietrzu. Będąc myślami gdzie indziej, był głuchy na rozmowy, śmiechy, stukot wysokich obcasów po płytach chodnika, muzykę walącą z otwartych drzwi i okien. Dziś tylko z grubsza rejestrował rolexy na opalonych nadgarstkach, brylantowe broszki, naszyjniki i pierścionki, wymowne wybrzuszenia męskich marynarek kryjące wypchane portfele do wzięcia.

Dziś polował na grubszą zwierzyńkę.

Idąc East Street, miał wrażenie, jakby szedł pod prąd przyprływu. Na rozwidleniu skręcił w prawo, minął restaurację Latin in the Lane, za Thistle Hotel znów skręcił w prawo i wyminawszy nastolatkę klóącą się wrzaskliwie i ze łzami z chłopakiem o nastroszonych włosach, poszedł



wzdłuż nadbrzeża, obok Old Ship, Brighton Centre, eleganckich hoteli Grand i Metropol, w których nigdy nie był. Wreszcie, lepiąc się od potu, dotarł do Regency Square.

Omijając strzeżony wjazd/wyjazd, doszedł do końca skweru i po betonowych schodach śmierdzących moczem zszedł na drugi poziom parkingu. Za forszę, którą dostanie za tę robotę, mógłby sobie kupić następną działkę browna i co tam jeszcze się nawinie pod rękę później, w którymś z klubów. Najpierw musiał tylko znaleźć samochód pasujący do zamówienia schowanego w kieszeni spodni.

W reklamówce miał tablice rejestracyjne, kopię tych, jakie widział na takim modelu wcześniej. Kiedy znajdzie odpowiedni samochód, nowy model Audi A4 z automatycznie składanym dachem, automatyczną skrzynią biegów, małym przebiegiem, niebieski metalik, srebrny albo czarny, po prostu zamieni mu tablice. W ten sposób, jeżeli właściciel zgłosi kradzież, policja będzie szukać samochodu z innym numerem rejestracyjnym.

Było prawie pewne, że znajdzie tu coś odpowiedniego. Jeśli nie, spróbuje na innym parkingu. W najgorszym razie znajdzie go na ulicy. To bryka dla bogatej dziwki, a w tym mieście nie brakowało bogatych, tlenionych, poprzerabianych przez chirurgów plastycznych dziwek. Sam nie miałby nic przeciwko kabrioletowi audi. Widział już siebie w jakimś świetle równoległym, jak wiezie Bethany nadbrzeżem w ciepłą, piątkową noc, z głośną muzyką, z ciepłym nadmuchem na stopy, wdychając zapach nowej, skórzanej tapicerki.

Kiedyś.

Kiedyś wszystko będzie inaczej.

Samochód znalazł w ciągu kilku minut, w głębi trzeciego poziomu. W ciemnym odcieniu opalizującego błękitu lub zieleni - trudno powiedzieć w tym marnym oświetleniu - z czarnym dachem i kremowymi, skórzanymi siedzeniami. Z tablicy rejestracyjnej wynikało, że samochód nie ma jeszcze pół roku, ale kiedy podszedł bliżej i wyczuł unoszący się z niego zapach świeżo spalonego oleju, z radością stwierdził, że jest zupełnie nowy. Nie było na nim żadnego śladu!

W dodatku właściciel zaparkował go bardzo dogodnie, przodem do środka, przy filarze.

Rozejrzawszy się uważnie, czy nikogo nie ma w pobliżu, podszedł z boku i przyłożył rękę, do maski. Była rozgrzana. Świetnie. To znaczyło, że dopiero co tu wjechał, więc przy odrobinie szczęścia właściciel wróci dopiero za kilka godzin. Mimo to na wszelki wypadek wyjął tablice rejestracyjne z reklamówki i przykleił je taśmą dwustronną na oryginalnych.

Potem wydobyl z torby coś, co dla każdego policjanta, który by go zatrzymał, wyglądałoby jak pilot od telewizora. Przez okno kierowcy wycelował urządzenie w deskę rozdzielczą, wbił kod, który mu podano, i wcisnął zielony guzik.

Nic się nie wydarzyło.

Spróbował jeszcze raz. Na pilocie zapaliło się czerwone światelko, ale to wszystko.

Cholera. Znów się rozejrzał, tym razem bardziej nerwowo, po czym zaszedł samochód od przodu i ukląkł przy prawym reflektorze. Osłonięty samochodem i filarem rozluźnił się trochę. Łatwizna. Już to robił, co najmniej przy tuzinie audi. Pięć minut roboty maks.

Wyjętym z reklamówki śrubokrętem zaczął odkręcać obudowę reflektora. Kiedy skończył, wyjął cały moduł lampy i pozwolił mu zwisnąć na przewodzie. Wsadził rękę z kombinerkami do pustego oczodołu reflektora i wymacawszy przewód klaksonu, przeciął go. Szukając dalej po omacku, zaklął nagle, bo przypadkiem dotknął gorącego bloku silnika i sparzył sobie kłykcie. Wreszcie znalazł mechanizm zamykający samochód. Rozbroił go, przecinając przewody.

Zamontował z powrotem reflektor i otworzył drzwi kierowcy, co spowodowało miganie reflektorów - wszystko, co zostało z uzbrojenia unieszkodliwionego alarmu. Chwilę później wyłuskał bezpiecznik z obwodu przerywacza i wrzucił go do torby. Na koniec otworzył maskę, żeby spiąć cewkę z rozrusznikiem. Natychmiast silnik ożył ze słodkim rykiem.

Wsunął się na miejsce kierowcy i mocno skręcił kierownicę, odblokowując ją. Ucieszył się, widząc, że zarobi małą premię. Właściciel był łaskaw zostawić bilet parkingowy na miejscu pasażera. Barry Spiker, skąpy sukinsyn, który zlecał mu takie roboty, dał mu dwadzieścia siedem funtów na zapłacenie całodziennej opłaty karnej, żeby mógł wyjechać z parkingu. Nic prostszego!

Dwie minuty później, po zapłaceniu zaledwie dwóch funtów parkingowemu, radośnie wjeżdżał rampą pod górę, z dwudziestoma pięcioma funtami zysku. Był w takim dobrym nastroju, że zatrzymał się na szczycie rampy, włączył głośno muzykę i opuścił dach.

Nie było to sprytne.

## Rozdział 37

- Jak się czujesz? - spytała Sophie błagalnym tonem. - Co się stało? Jak...?

- Przymierz to - rzucił ostro, kładąc paczkę na tacy i ignorując jej pytania.

Na zewnątrz, w zapadającym zmroku wyła syrena, chwilowo zagłuszając słabe, rytmiczne dudnienie muzyki tanecznej, które stawało się coraz bardziej męczące.

Sophie zdumiona - i zaniepokojona jego zachowaniem - posłusznie rozwiązała kokardę i zajrzała do pudełka z prezentem.

Na razie nie zobaczyła nic poza bibułą.

Kątem oka widziała, jak na ekranie telewizora usta Chrisa Tarranta wypowiadają pytanie:

- Ostateczna odpowiedź?

Facet o wygładzie kujona w wielkich okularach skinął głową.

Żółta, migająca obwódka świetlna otoczyła *Maroko*.

Po chwili taka sama obwódka w kolorze zielonym pojawiła się wokół *Tunezji*.

Brwi Chrisa Tarranta podjechały o kilka cali w górę.

Kobieta na wózku inwalidzkim, która przedtem wyglądała jakby za chwilę miała zostać zdzielona kijem do krykieta, teraz wyglądała, jakby spadł na nią młot pneumatyczny. Tymczasem jej mąż skurczył się na swoim miejscu.

Sophie odczytała z ruchu warg Tarranta:

- John, miałeś sześćdziesiąt cztery tysiące funtów...

- Będziesz oglądać telewizję, czy rozpakujesz prezent, który ci kupiłem? - spytał.

Odstawiając tacę z jedzeniem na stolik przy łóżku, powiedziała:

- Prezent, oczywiście! Ale chcę wiedzieć, jak się czujesz. Chcę się dowiedzieć o...

- Nie chcę o tym mówić. Rozpakuj to! - nakazał tonem nagle tak agresywnym, że ją przestraszył.

- Już dobrze - powiedziała.

- Po co oglądasz to gównno?

Jej wzrok wciąż uciekał w kierunku ekranu.

- Lubię to - powiedziała, starając się go uspokoić. - Biedny facet. Ma żonę na wózku. Właśnie zawałił pytanie za sto dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

- Ten cały show to przekręt - powiedział.

- Nieprawda!

- Życie to przekręt. Jeszcze się nie zorientowałaś?

- Przekręt?

Teraz on z kolei wskazał ekran.

- Nie wiem, kim on jest, i reszta świata też nie wie. Parę minut temu siedział tam i nie miał nic. Teraz wyjdzie stamtąd z trzydziestoma dwoma tysiącami funtów i jest niezadowolony, a powinien skakać z radości. Chcesz mi powiedzieć, że to nie jest przekręt?

- To kwestia punktu widzenia. To znaczy, z jego perspektywy...

- Wyłącz to pieprzone gównno!

Sophie była wciąż zaszokowana agresją w jego głosie, ale jednocześnie odezwała się w niej buntownicza natura, która kazała jej powiedzieć:

- Nie. Mi się to podoba.

- Chcesz, żebym poszedł, żebyś mogła sobie oglądać swój pieprzony, smutny program?

Już żałowała tego, co powiedziała. Mimo wcześniejszego postanowienia, że skończy z Brianem, widząc go, uświadomiła sobie, że milion razy woli, żeby tu był, z nią, tej nocy, niż oglądać ten program - czy jakkolwiek

program. I Boże, przez co ten biedak musiał przechodzić... Nacisnęła guzik pilota i wyłączyła telewizor.

- Przepraszam - powiedziała.

Patrzył na nią tak, jak nie patrzył nigdy dotąd. Tak, jakby za jego oczami opadły żaluzje.

- Naprawdę przepraszam, dobrze? Po prostu jestem zaskoczona, że tu jesteś.

- Więc nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Usiadła, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta. Oddech miał nieświeży, czuć było od niego pot, ale było jej wszystko jedno. To były męskie zapachy, jego zapachy. Wdychała je, jakby były najbardziej oszałamiającymi zapachami na świecie.

- Cieszę się to mało powiedziane. Ja po prostu... - Spojrzała w te orzechowe oczy, które tak uwielbiała. - Jestem po prostu zaskoczona, wiesz... po tym, co powiedziałaś, kiedy rozmawialiśmy wcześniej. Powiedz mi. Proszę, powiedz mi, co się stało. Proszę, powiedz mi wszystko.

- Otwórz to! - prawie krzyknął.

Odgarnęła trochę bibułki, ale jak w chińskim pudełku, pod spodem była następna warstwa i jeszcze następna. Starając się odwrócić jego uwagę od tego, co go złościło, czymkolwiek to było, powiedziała:

- Próbuję zgadnąć, co to jest. I domyślam się, że to jest...

Nagle jego twarz znalazła się tuż przed jej twarzą, tak blisko, że prawie stykali się nosami.

- Otwórz to! - zaskrzeczał. - Otwórz to, ty pieprzona dziwko!

## Rozdział 38

Jadąc w zapadającym zmroku zabarwionym fioletem, Skunks znów zauważył w lusterku jasne światła reflektorów. Pojawiły się znikąd chwilę po tym, jak wyjechał z parkingu na Regency Square. Teraz przyspieszyły, wyprzedziły rząd samochodów i wcisnęły się za bmw z przyciemnionymi szybami, jadące bezpośrednio za nim.

To niekoniecznie musi być coś, czym trzeba by się martwić, pomyślał. Jednak kiedy dołączył do samochodów stojących na dwóch pasach przed rondem naprzeciwko mola, w lusterku mignęła mu twarz mężczyzny na siedzeniu pasażera oświetlona neonowym blaskiem ulicznej latarni i wpadł w panikę.

Nie był całkiem pewien, ale facet był za bardzo podobny do młodego tajniaka, Paula Packera, któremu odgryzł palec po ucieczce skradzionym samochodem. Wpakowali go wtedy do poprawczaka.

W radiu rozkręconym na cały regulator Lindsay Lohan śpiewała „Confessions of a Broken Heart”, ale ledwo słyszał słowa. Patrzył na ruch samochodów wjeżdżających i zjeżdżających z ronda, zastanawiając się, który zjazd wybrać. Samochód za nim zatrąbił. Skunks pokazał mu środkowy palec. Miał cztery zjazdy do wyboru. Pierwszy doprowadziłby go do zakorkowanego centrum miasta. Zbyt ryzykowne, mógłby tam utknąć bez możliwości ruchu. Drugą możliwością była Marine Parade, szeroka ulica z dużą liczbą mniejszych przecznic i szybką, pustą drogą dalej.

Trzecia ulica odchodząca z ronda prowadziła wzdłuż nadbrzeża, ale z niej można było zjechać tylko na jednym albo drugim końcu, więc tu też istniało niebezpieczeństwo, że łatwo może się przyblokować. Czwarty zjazd prowadził z powrotem w kierunku, z którego przyjechał. Tu z kolei prowadzone były roboty drogowe i panował duży ruch.

Podjąwszy decyzję, wcisnął pedał gazu do dechy. Audi wyrwało do przodu tuż przed maską białej furgonetki. Skoncentrowany w najwyższym stopniu Skunks z coraz większą prędkością pędził Marine Parade, mijając sklepy, potem szpanerski apartamentowiec van Alena. Spojrzał w lusterko. Ani śladu vectry. Dobrze. Musiała utknąć na rondzie.

Przed sobą miał czerwone światło. Zahamował i zaklął. W lusterkach znów zobaczył vectrę. Kierowca wyprzedzał po niewłaściwej stronie, wypychał się między samochody, prowadził jak maniak. W końcu zatrzymał się za nim. Tuż za nim. O cal od jego tylnego zderzaka. Cały lśniący czystością. Z anteną radiową na dachu. Dwóch mężczyzn na przednich siedzeniach. Teraz, w blasku swoich świateł stopu, zobaczył, że się nie mylił co do jednego z nich.

Cholera.

W lusterku widział oczy Packera. Takie same, jakie pamiętał. Duże, spokojne oczy, o spojrzeniu przenikającym człowieka jak laser. Pamiętał, że nawet kiedy odgryzł sukinsynowi palec, tamten nie przestał wpatrywać się w niego, w jego oczach nie było zaskoczenia ani bólu. Niesamowite, śmiejące się oczy, jakby facet kpił sobie z niego. I teraz tak samo - siedzieli i żaden glina nie zrobił ruchu, żeby wysiąść z samochodu.

Czemu mnie, kurwa, nie aresztujecie?

Szarpało mu nerwami, jakby w jego żołądku jakieś oszalałe zwierzę skakało na trampolinie. Kiwał głową w rytm muzyki, ale był roztrzęsiony. Potrzebował czegoś. Potrzebował następnej działki. Ta nędzna ilość, jaką wziął, szybko przestawała działać. Próbował obmyślić najlepszą trasę.

Próbował zastanowić się, dlaczego gliny nie wysiadają z samochodu.



Światło zmieniło się na zielone. Wdepnął pedał, przyspieszając do połowy skrzyżowania, gdzie szarpnął kierownicę w lewo i skręcił w Lower Rock Gardens, o włos mijając się z nadjeżdżającą z przeciwnika taksówką. W lusterku zobaczył z ulgą, że vectra śmignęła przez skrzyżowanie.

Przyspieszył wzdłuż ulicy wiktoriańskich domów szeregowych, w których mieściły się tanie pensjonaty i kwatery do wynajęcia. Stając na czerwonym świetle, dostrzegł szybko zbliżającą się vectrę. Teraz już nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że jest śledzony.

Rozglądając się na obie strony, zobaczył, że z lewej najeżdżają dwa autobusy, jeden za drugim, zderzak w zderzak. Wyczekał do ostatniego momentu i przeskoczył przed pierwszym autobusem z prędkością huraganu. Pognał Egremont Place, wziął ostry zakręt z ograniczoną widocznością, wyprzedzając po złej stronie wlokącego się nissana, ale szczęście mu sprzyjało i nic nie jechało z przeciwnika.

Na skrzyżowaniu z ruchliwą Elm Grove czekał niecierpliwie na przerwę w ruchu, w którą mógłby się wpasować. Nagle ciemność daleko za nim przebiły światła reflektorów. Zapominając o przerwie w ruchu, skręcił w prawo, nic sobie nie robiąc z pisku hamulców, jazgotu klaksonów i migania światłami, i zostawiając ślad opon na asfalcie. Minął teren wyścigów konnych, po czym przemknął przez podmiejską dzielnicę Woodeingdean.

Rozważał, czy by nie zatrzymać się i nie zmienić tablic rejestracyjnych na oryginalne, jako że prawie na pewno nie zgłoszono jeszcze kradzieży, ale nie chciał ryzykować, że vectra znów go dogoni. Wcisnął więc gaz, kwitując błysk fotoradaru kpiącym uśmiechem.

Dziesięć minut później, na wiejskiej drodze, dwie mile w głąb łądu od portu Newhaven nad Kanałem, z czernią i pustką w lusterkach i przednią szybą zbryzganą martwymi owadami, zwolnił i skręcił w prawo przy drogowskazie na *Meades Farm*.

Przez szczelinę w wysokim, nierównym żywopłocie wjechał na pełną drogę o nawierzchni z tłucznia, szeroką na jeden samochód. Pół mili jechał

wśród pól kukurydzy, która już powinna być zżęta. Co chwila jakiś króliczy kamikaze przeskakiwał mu przez drogę. Po prawej minął duże, opuszczone szopy, w których kiedyś mieściły się kurniki do chowu klatkowego, i wiatę, pod którą ciemniały sylwetki dawno nieużywanych, rdzewiejących maszyn rolniczych. Wreszcie światło reflektorów wydobyło z ciemności ścianę wielkiej, obitej blachą, zamkniętej ze wszystkich stron stodoły.

Zatrzymał samochód. Z budynku nie wydobywało się żadne światło i żadne samochody nie stały zaparkowane na zewnątrz.

Nic nie wskazywało, że w środku toczy się akurat ożywiona działalność.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer, który znał na pamięć.

- Jestem - powiedział, kiedy odebrano.

Sterowane elektronicznie wrota rozsunęły się na tyle, żeby mógł wjechać, ukazując jasno oświetlone, przestronne wnętrze, po czym zamknęły się za nim z powrotem. Zobaczył około dwudziestu samochodów, w większości najnowszych modeli, luksusowych maszyn z górnej półki. Zauważył dwa Ferrari, Astona Martina DB9, Bentleya Continentala, dwa Range Rovera, Cayenne, jak również kilka mniej egzotycznych samochodów, w tym Golfa GTI, Mazdę MX5, klasycznego, żółtego Triumpha Staga i wyglądające na nowe MG TF. Jedne sprawiały wrażenie nietkniętych, podczas gdy inne znajdowały się w różnych stadiach rozmontowania. Mimo późnej pory, czterech mechaników w kombinezonach pracowało przy samochodach - dwóch grzebało pod otwartymi maskami, trzeci leżał na plecach pod podniesionym sportowym Lexusem, czwarty dopasowywał część karoserii Range Rovera Sport.

Skunks zgasił silnik, jednocześnie umilkła muzyka w samochodzie. Zamiast niej dała się słyszeć cikliwa, stara piosenka Gene'a Pitneya dobiegająca z trzeszczącego, taniego radia gdzieś w budynku. Zajęczała wiertarka.

Barry Spiker wyszedł ze swojego przeszklonego kantorka na końcu hali i zbliżał się, rozmawiając przez telefon. Niski, żyłasty, były bokser, mistrz

okrągowy wagi muszej, krótko ostrzyżony, miał tak ostre rysy twarzy, że można by nią było kroić lód. Ubrany był w niebieski kombinezon założony na siatkową podkoszulkę, na nogach miał japonki. Roztaczał zapach jakiegoś mdląco słodkiego płynu po goleniu. Na jego szyi wisiał medalion na złotym łańcuchu. Nie witając się ze Skunksem, obszedł samochód naokoło, wciąż rozmawiając przez telefon. Klócił się z kimś i najwyraźniej był w podłym humorze.

Kiedy Skunks wysiadł z samochodu, Spiker skończył rozmowę i wymachując telefonem jak sztyletem, podszedł do niego.

- Co to, kurwa, ma być to gówno? Chciałem 3.2 V6, a to jest dwulitrowy nocnik. Nic z tym nie zrobię. Chyba nie spodziewasz się, że ci zapłacę?

Skunks przeraził się.

- Ty... ty nie...

Wyrzubał z kieszeni pognieciony kawałek papieru, na którym rano spisał instrukcje, i pokazał Spikerowi. Napisane tam było drżącym pismem: *Nowy model Audi A4 z automatycznie składanym dachem, automatyczną skrzynią biegów, małym przebiegiem, niebieski metalik, srebrny albo czarny.*

- Nic nie mówiłeś o pojemności - powiedział Skunks.

- Z jakiego pieprzonego drzewa ty spadłeś? Ludzie, którzy kupują ładne bryki, chcą ładne silniki do kompletu.

- Ale to zupełna nówka i szpan - bronił się Skunks.

Spiker wzruszył ramionami, w zamyśleniu przyglądając się samochodowi.

- Nie dla mnie. - Jego telefon zaczął dzwonić. - Kolor też nie bardzo mi pasuje. - Spojrzał na wyświetlacz, przyłożył telefon do ucha i powiedział szybko: - Jestem zajęty. Oddzwonię. - Rozłączył się. - Sześćdziesiąt funtów.

- Co? - Skunks spodziewał się dwustu.

- Bierzesz, czy nie?

Skunks popatrzył na niego spode łba. Sukinsyn zawsze znajdował jakiś sposób, żeby go orżnąć. Albo jakąś rysę na lakierze, albo zajeżdżone opony, albo tłumik do wymiany. Zawsze coś. Ale przynajmniej miał swój tajny zysk na opłacie parkingowej i w ten drobny, acz satysfakcjonujący sposób rewanzował się mu.

- Skąd go zwinąłeś?
- Regency Square.

Spiker skinął głową. Starannie oglądał wnętrze i Skunks wiedział, po co. Szukał jakiejś skazy czy zadrapania, dzięki czemu mógłby obniżyć cenę. Wtem oczy Spikera zabłyszczały chciwie na widok czegoś na podłodze, przed fotelem pasażera. Otworzył drzwi, zanurkował do środka i podniósł się, trzymając jak trofeum mały kawałek papieru, który uważnie przestudiował.

- Super! - stwierdził. - Ładna rzecz!
- Co?
- Kwit parkingowy z Regency Square. Dwadzieścia minut temu. Tylko dwa funty! Mistrzostwo świata, Skunks! Jesteś mi winien dwadzieścia pięć funtów z tej forsy, co ci dałem.

Skunks przeklął własną głupotę.

## Rozdział 39

Jego słowa wstrząsnęły nią. Przeraziły ją. Oczy miał szklane, nabiegłe krwią. Pił? Brał jakiś narkotyk?

- Otwórz to! - powtórzył. - Otwórz to, dziwko!

Miała ochotę powiedzieć mu, żeby szedł do diabła i jak on w ogóle śmie mówić do niej w ten sposób? Wiedząc jednak, w jakim musi być stresie, próbowała go podnieść na duchu, uspokoić, sprowadzić z powrotem z tego, nie wiadomo jakiego, miejsca czy przestrzeni, gdzie przebywał. Zdjęła kolejną warstwę bibułki. To jakaś pokręcona zabawa. Najpierw krzyczymy na ciebie i cię wyzywamy, a potem dajemy ci prezent, tak?

Następną bibułkę zgniotła w kulkę i rzuciła na łóżko koło siebie, ale on nie złagodniał. Było wręcz coraz gorzej, trzął się ze złości.

- Dalej, dziwko! Czemu tak się grzebiesz?

Przepelźł po niej dreszcz lęku. Nagle nie chciała już tu być, uwięziona w tym pokoju sam na sam z nim. Nie miała pojęcia, co znajdzie w tym pudełku. Nigdy jeszcze nie kupił jej prezentu, ostatnio tylko ze dwa razy przyszedł do niej z kwiatami. Co by to nie było, nic nie było takie, jak powinno, tak jakby świat przekrzywił się nagle na swojej osi.

I z każdą warstwą bibułki zaczynała mieć coraz gorsze przeczucie co do zawartości pudełka.

Wreszcie dotarła do ostatniej warstwy bibułki. Wyczuła coś, co było częściowo twarde, a częściowo miękkie i uginało się pod naciskiem, jakby zrobione było ze skóry. Zorientowała się, co to może być. Odprężyła się.

Uśmiechnęła się do niego. Drań drażnił się z nią, to wszystko był żart!

- Torebka! - pisnęła. - To jest torebka, tak? Kochany! Skąd wiedziałeś, że rozpaczliwie potrzebuję nowej torebki? Mówiłam ci?

Ale on nie odwzajemnił uśmiechu.

- Po prostu rozpakuj - powtórzył zimno.

Krótką chwilą dobrego samopoczucia minęła i jej świat znów się przekrzywił. Nie było cienia ciepła w jego wyrazie twarzy ani w słowach. Jej lęk pogłębił się. Czy to nie dziwne, że dawał jej prezent w dniu, kiedy jego żona została znaleziona martwa? Zdjęła ostatnią warstwę bibułki.

Patrzyła w szoku na przedmiot, który się ukazał.

To wcale nie była torebka, a coś dziwnego i groźnego. Jakiś kask, szary, ze szklami wyglądającymi jak wylupiaсте oczy, z paskiem i wiszącą, karbowaną rurą zakończoną jakimś filtrem. Maską przeciwigazowa, rozpoznała skonsternowana. Taka, jaką widywała na twarzach żołnierzy w reportażach z Iraku, choć może ta była starsza. Miała stęchły zapach gumy.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Jesteśmy gdzieś zaproszeni, czy co?

- Załóż.

- Chcesz, żebym to miała na sobie?

- Załóż to.

Podniosła maskę do twarzy i natychmiast opuściła, marszcząc nos.

- Naprawdę chcesz, żebym to miała na sobie? Chcesz się ze mną kochać, kiedy będę to miała na sobie? - uśmiechnęła się, lekko oszołomiona. Strach ustąpił. - To ma cię podniecić, czy coś w tym rodzaju?

Zamiast odpowiedzi wyrwał jej maskę z rąk, nasadził na twarz, po czym zaciągnął pasek z tyłu głowy, boleśnie ciągnąc za wplątane włosy. Pasek był tak ciasny, że wrzynał się w skórę.

Przez chwilę była zupełnie zdezorientowana. Okulary były brudne, zamazane i mocno przydymione. Mogła widzieć jego i pokój tylko fragmentarycznie, w zielonej mgle. Kiedy poruszyła głowę, on zniknął na chwilę i musiała obrócić głowę, żeby go znów widzieć. Słyszała własny

oddech, który brzmiał jej w uszach jak głuchy ryk morza.

- Nie mogę oddychać - powiedziała w panice, ogarnięta klaustrofobią, jej głos był stłumiony.

- Oczywiście, że możesz, kurwa, oddychać - jego głos był bełkotliwy, zniekształcony.

Spanikowana próbowała ściągnąć maskę. Jednak on złapał ją za rękę, siłą odsunął je od paska, ściskając tak mocno, że ją zabolalo.

- Przestań być głupią dziwką - nakazał.

- Brian, nie podoba mi się ta zabawa - zaskomliła.

Niemal natychmiast poczuła, że pchnął ją, i upadła na plecy na łóżko. Ściany, a potem sufit mignęły jej przed oczami. Była w coraz większej panice.

- Nie!

Wierzgnęła nogami i poczuła, że prawa stopa trafiła w coś twardego. Usłyszała, jak ryknął z bólu. Wyrwała się z jego rąk, przetoczyła się szybko i nagle spadła. Boleśnie uderzyła o pokrytą wykładziną podłogę.

- Pierdolona dziwka!

Usiłując podźwignąć się na kolana, sięgnęła do maski, pociągnęła za pasek, gdy wtem poczuła potwornie bolesny, miazdzący cios w żołądek, który wypchnął z niej całe powietrze. Zwinęła się z bólu zaszokowana uświadomieniem sobie, co się stało.

On ją uderzył.

I nagle wyczuła, że stawka jest już zupełnie inna. On oszalał.

Wciągnął ją na łóżko, przy czym boleśnie uderzyła tyłem nóg o krawędź. Wrzasnęła na niego, ale jej głos uwiązł w masce.

Muszę od niego uciec, uświadomiła sobie. Muszę się stąd wydostać.

Poczuła, jak rozdziera jej T-shirt. Na moment przestała się opierać, myśląc, starając się ułożyć plan. Dudnienie własnego oddechu było ogłuszające. Muszę się pozbyć tej cholernej maski.

Serce waliło jej do bólu. Muszę się dostać do drzwi i na dół, do tych facetów na dole. Oni mi pomogą.

Rzuciła głową w prawo, potem w lewo, sprawdzając, co ma na stoliku przy łóżku, czego mogłaby użyć jako broni.

- Brian, proszę, Brian...

Poczuła nagle szarpnięcie w szyi, kiedy jego ręka, twarda jak młotek, uderzyła ją z boku maski.

Na stoliku była książka, gruby, w twardej oprawie tom Billa Brysona o nauce, który dostała na gwiazdkę i do którego zaglądała od czasu do czasu. Przetoczyła się na bok, złapała książkę i walnęła go nią w głowę na płask. Usłyszała, że jęknął z bólu i zaskoczenia i zwałił się koło łóżka.

Natychmiast była na nogach, wybiegła z sypialni, przez krótki przedpokój, cały czas w masce, nie chcąc tracić cennego czasu. Dopadła drzwi, chwyciła pokrętło zamka Yale, przekreśliła i pociągnęła.

Drzwi otworzyły się na kilka cali i zatrzymały się gwałtownie z ostrym, metalicznym szczękiem.

Brian założył łańcuch.

Lodowaty strach eksplodował w niej jak woda pod ciśnieniem. Złapała za łańcuch, przymknęła drzwi i starała się go otworzyć, ale się zaciął. Cholerny łańcuch się zaciął! Jak on mógł się zaciąć? Trzęsąc się, wrzeszczała wciąż to samo, a jej głos tłumiała maska:

- Pomocy! Pomocy! Och, proszę, pomocy!

Wtem za plecami usłyszała chrzęszczący, metaliczny jazgot.

Odwróciła głowę. Zobaczyła, co on trzyma w rękach.

Jej usta otwarły się, tym razem bezgłośnie, strach zmroził jej gardło. Stała, skamłąc z przerażenia. Miała poczucie, że jej całe ciało zapada się do wewnątrz. Nie będąc w stanie się powstrzymać, zaczęła siusiać.



## Rozdział 40

*Czytałem, że straszne wiadomości mają dziwny wpływ na ludzki mózg. Zatrzymuje on czas i miejsce, nierozzerwalnie związane, na zawsze.*

*Być może jest to część tego, co my, ludzie mamy wbudowane, żeby odbierać sygnał ostrzegawczy oznaczający niebezpieczne miejsce w naszym życiu albo w świecie.*

*Jeszcze się wtedy nie urodziłem, więc nie mogę tego poświadczyć, ale ludzie mówią, że pamiętają dokładnie, gdzie byli i co robili, kiedy usłyszeli wiadomość, 22 listopada 1963 roku, że prezydent John F. Kennedy został zastrzelony w Dallas.*

*Ja pamiętam, gdzie byłem i co robiłem, kiedy usłyszałem wiadomość, 8 grudnia 1980 roku, że John Lennon został zastrzelony.*

*Pamiętam też, bardzo wyraźnie, że siedziałem przy biurku w mojej melinie, szukając w Internecie wiązki przewodów do Jaguara Mark II 3.8 sedan z 1962 roku, rano, w niedzielę 31 sierpnia 1997 roku, kiedy usłyszałem, że Diana, księżna Walii, zginęła w wypadku samochodowym w tunelu, w Paryżu.*

*Przede wszystkim pamiętam, gdzie byłem i co dokładnie robiłem w ten lipcowy poranek, jednaście miesięcy później, kiedy dostałem ten list, który zrujnował mi życie.*

## Rozdział 41

Roy Grace siedział przy swoim biurku w małym, dusznym gabinecie w Sussex House, czekając na jakieś wieści o Brianie Bishopie i zabijając czas przed odprawą o 23.00. Wpatrywał się ponuro w równie ponury pysk troci wędrowniej - siedem funtów i sześć uncji - wypchanej i zamontowanej w szklanej skrzynce na ścianie gabinetu. Umieszczona była tuż pod okrągłym, drewnianym zegarem, rekwizytem z fikcyjnego posterunku policji w serialu „The Bill”. Sandy kupiła mu go w weselszych czasach na aukcji.

Rybę kupił dla kaprysu kilka lat temu na stoisku w Portobello. Powoływał się na nią czasami, kiedy instruując młodych, świeżych detektywów, powtarzał coraz bardziej wyświechtany dowcip o cierpliwości i dużej rybie.

Na biurku przed nim leżała sterta dokumentów wymagających uważnego przejrzenia. Część z nich dotyczyła przygotowań do mającego się rozpocząć za kilka miesięcy procesu mężczyzny o nazwisku Carl Venner, jednego z najobrzydliwszych zwyrodnialców, jakich spotkał w swojej karierze. Była nadzieja, że jeśli nie spieprzył przygotowań, Venner na próżno będzie wyglądał końca kilku konkurencyjnych wyroków dożywocia. Ale nigdy nie można być pewnym przy głupich sędziach, jacy się zdarzają.

Jego wieczorny posiłek, skomponowany kilka minut temu w supermarkecie ASDA, też leżał na biurku. Kanapka z tuńczykiem, wciąż w przezroczystym, plastikowym pudełku z żółtą naklejką „Promocja!”, jabłko,

czekoladowy batonik Twix i puszka dietetycznej coli.

Przez jakiś czas przeglądał zalew e-maili, odpowiadając na nieliczne, resztę kasując. Zdawało się, bez względu na to, jak szybko je załatwiał, napływały nowe i liczba pozostawionych bez odpowiedzi w jego skrzynce sięgała dwustu. Na szczęście Eleanor może załatwić większość z nich sama. Już posprzątała mu w kalendarzu - odbywało się to automatycznie, kiedy tylko rozpoczynał śledztwo w sprawie zabójstwa.

Zostawiła jedynie zaplanowany na niedzielę lunch z siostrą Jodie, z którą nie widział się od ponad miesiąca, i przypomnienie, że ma kupić kartkę urodzinową i prezent dla swojej córki chrzestnej Jaye Somers, która w przyszłym tygodniu kończy dziewięć lat. Zastanawiał się, co jej kupić, i doszedł do wniosku, że Jodie, matka trojga dzieci w wieku około dziewięciu lat, będzie wiedziała. Pomyślał też, że będzie musiał odwołać lunch, jeśli wybierze się do Monachium.

Ponad piętnaście e-maili dotyczyło policyjnej drużyny rugby, której prezesem wybrano go na nadchodzący sezon jesienny. Przypomniały mu one z całą ostrością, że chociaż dzisiaj jest wspaniały ciepły dzień, za niecałe cztery tygodnie będzie wrzesień. Lato zbliżało się do końca. Dni już były zauważalnie krótsze.

Postukał w klawiaturę, żeby wejść w program Vantage dający dostęp do wewnętrznego systemu komputerowego policji i sprawdzić streszczenia raportów z tego, co zdarzyło się w ciągu ostatnich paru godzin. Przewijając pomarańczowe nagłówki, nie znalazł nic, co zwróciłoby jego uwagę. Było jeszcze za wcześnie - później bójek, napadów i kradzieży będzie aż nadto. Wypadek na London Road w kierunku Brighton. Kradzież torebki. Złodziej sklepowy w Tesco przy Boundary Road. Skradziony samochód porzucony na stacji benzynowej. Uciekający koń widziany na A27.

Zadzwoił jego telefon. Detektyw sierżant Guy Batchelor, świeżo dokooptowany do jego zespołu dochodzeniowego, którego wysłał, żeby porozmawiał z partnerami od golfa Bishopa.

Grace lubił Batchelora. Zawsze uważał, że gdyby poprosić agencję castingową o dostarczenie oficera policji w średnim wieku do sceny w

filmie, przysłałoby kogoś wyglądającego jak Batchelor. Był wysoki i krzepki, z łysiejącą głową w kształcie piłki do rugby, miły, choć zasadniczy w obejściu. Nie był ogromny, ale miał w sobie coś z łagodnego olbrzyma - bardziej w charakterze niż w masie fizycznej.

- Roy, widziałem się ze wszystkimi trzema ludźmi, z którymi Bishop grał dziś w golfa. Jest coś, co jak mi się wydaje, może być interesujące. Wszyscy powiedzieli, że był w wyjątkowo dobrym humorze i grał znakomicie. Żaden z nich nigdy jeszcze nie widział, żeby grał tak dobrze.

- Wyjaśnił im to jakoś?

- Nie, powiedzieli, że jest samotnikiem, nie tak jak jego żona, która jest bardzo towarzyska. Nie ma żadnych naprawdę bliskich przyjaciół i zazwyczaj niewiele mówi. Dzisiaj za to rzucał dowcipami. Jeden z tych facetów, Mishon, który, jak się wydaje, zna go dość dobrze, powiedział, że sprawiał wrażenie, jakby wziął pigułkę szczęścia.

Grace myślał usilnie. Żona nie żyje, problem z głową?

- To nie jest reakcja człowieka, który właśnie zabił swoją żonę, co, Roy?

- Zależy, jak dobrym jest aktorem.

Kiedy Batchelor skończył zdawać sprawozdanie, nie dodając już wiele więcej, Grace podziękował mu i przypomniał o odprawie o 23.00. Potem zastanawiając się nad tym, co usłyszał, oderwał folię, którą zapieczętowana była kanapka, wydobyl ją z pudełka i ugryzł. Natychmiast skrzywił nos na jej smak.

Zrobiona była z jakiegoś nowego, egzotycznego rodzaju pieczywa, którego jeszcze nie próbował - i pożałował, że spróbował teraz. Miała silny zapach kminku, którego nie lubił. O wiele bardziej byłby zadowolony z kanapki typu śniadanie na cały dzień, z jajkiem i bekonem, ale Cleo starała się skłonić go do zdrowszej diety, każąc mu jeść więcej ryb - mimo że zabawiał ją dokładnym streszczeniem artykułu, który czytał jakiś czas temu w „Daily Mail”, o niebezpiecznie wysokim poziomie rtęci w rybach.

Zamknął Vantage i wszedł z kolei na stronę [expedia.com](http://expedia.com) w poszukiwaniu lotów do Monachium w niedzielę, ciekaw, czy można się

tam dostać i wrócić w ciągu jednego dnia. Musiał jechać, niezależnie od tego, jak skąpe były informacje od Dicka Pope'a. Musiał jechać i przekonać się sam.

To wszystko, co mógł zrobić, żeby powstrzymać się przed wskoczeniem do pierwszego możliwego samolotu. Zamiast tego, spojrzął na zegarek. 21.50.22.50 w Niemczech. Do diabła, przecież Dick Pope będzie jeszcze na nogach, w końcu jest na wakacjach. Siedzi w jakiejś kafejce czy barze w Bawarii, z piwem w ręku. Wybrał numer komórki Pope'a, ale od razu odezwała się poczta głosowa.

- Dick - powiedział. - Tu znowu Roy. Przepraszam, że jestem namolny, ale chciałem tylko spytać cię o parę szczegółów na temat tego ogródka piwnego, gdzie być może widzieliście Sandy. Zadzwoń, kiedy będziesz mógł.

Rozłączył się i przez chwilę wpatrywał się w swoją cenną kolekcję trzech tuzinów zabytkowych zapalniczek stłoczonych na gzymsie między biurkiem a oknem wychodzącym na parking i blok aresztancki. Odzwierciedlała ona zamiłowanie Sandy do przeczesywania targów staroci, sklepów z bibelotami i różnych wyprzedaży rzeczy używanych. Wciąż sam to robił, kiedy miał czas, ale to już nie było to samo. Częścią zabawy było przyglądanie się reakcji Sandy, kiedy udało mu się coś wyłowić. Jeśli przedmiot jej także się spodobał, zaczynali się targować o cenę, jeśli nie, jej jedno wyrażające dezaprobatę skrzywienie wystarczało, żeby go odrzucić.

Większość przestrzeni zajmowały telewizor i wideo, okrągły stół z czterema krzesłami i stertami luźnych papierów, jego skórzana torba ze wszystkim, co mogłoby mu się przydać na miejscu zbrodni i stale rosnące wieże akt. Czasami zastanawiał się, czy rozmnażają się w nocy, same z siebie, kiedy nie ma go w biurze.

Każda sarta akt na podłodze oznaczała nierozwiązaną sprawę morderstwa. Akt takich spraw nigdy się nie zamyka, zanim nie dojdzie do skazania. W każdym śledztwie w sprawie morderstwa może nastąpić moment, kiedy wyczerpane zostały wszelkie tropy. Nie znaczy to jednak, że policja się poddaje. Wiele lat po zamknięciu centrum operacyjnego dla

danej sprawy i rozwiązaniu zespołu dochodzeniowego, sprawa pozostaje otwarta, dowody zmagazynowane w pudłach, dopóki istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś z zamieszanych w nią ludzi jeszcze żyje.

Łyknął coli. Czytał w Internecie, że wszystkie napoje o niskiej zawartości węglowodanów są pełne wszelkiego rodzaju związków chemicznych nieprzyjaznych ludzkiemu organizmowi, ale w tej chwili było mu obojętne. Wyglądało na to, że wszystko, co jesz lub pijesz, z większym prawdopodobieństwem zabije cię, niż dostarczy ci wartości odżywczych. Być może, dumął, następnym hitem żywieniowym będzie żywność wstępnie przetrawiona. Można ją będzie kupić i spuścić prosto do kanału, bez potrzeby jedzenia.

Postukał w klawiaturę. Był lot British Airways z Heathrow o 7.00 rano w niedzielę. W Monachium byłby o 9.50. Postanowił zadzwonić do oficera policji, którego tam znał, komisarza Marcela Kullena, żeby sprawdzić, czy będzie wolny.

Kilka lat temu Marcel został oddelegowany do Sussex w ramach sześciomiesięcznej wymiany i zaprzyjaźnili się wtedy. Niemiecki policjant zapraszał Grace'a, żeby przyjechał, kiedy chce, i zatrzymał się u niego i jego rodziny. Zerknął na zegarek. 21.55.

W Monachium o godzinę do przodu, więc naprawdę późno na telefon, ale przynajmniej miał szansę zastać go w domu.

Sięgnął po telefon, a ten w tej samej chwili zadzwonił.

- Roy Grace - zgłosił się.

Dzwonił Brian Bishop.

## Rozdział 42

Grace zauważył, że Bishop się przebrał. Nie miał już na sobie ubrania do golfa. Teraz ubrany był w wyglądający na drogi czarny blezer, białą koszulę, niebieskie spodnie i rude mokasyny na bose stopy. Wyglądał raczej na playboya, który wyszedł się zabawić wieczorem, niż na człowieka w żałobie, pomyślał Grace.

Jakby czytając w jego myślach, Bishop przysiadłszy niespokojnie w czerwonym fotelu w ciasnym pokoju przesłuchań, powiedział:

- To, co mam na sobie, wybrała z mojej szafy wasza funkcjonariuszka do kontaktów z rodziną Linda Buckley. Niezbyt stosownie, zważywszy na okoliczności. Czy może mi pan powiedzieć, kiedy będzie mi wolno wrócić do domu?

- Tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, panie Bishop. Za jakieś dwa dni, mam nadzieję - odparł Grace.

Bishop wyprostował się, wściekły.

- Co? To śmieszne!

Grace spojrzał na dość wyraźne otarcie na jego prawej dłoni. Branson wszedł z trzema kubkami wody, postawił je na stole, zamknął drzwi, ale nie usiadł.

Grace powiedział łagodnie:

- To jest miejsce zbrodni, panie Bishop. Dzisiejsza praktyka policyjna każe zabezpieczać tego rodzaju miejsce zbrodni najlepiej, jak tylko się da. Proszę zrozumieć, że leży to w interesie nas wszystkich, ponieważ może nam pomóc schwytać sprawcę.

- Macie podejrzanego? - spytał Bishop.
- Zanim do tego przejdziemy, czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebym nagrywał tę rozmowę? Będzie szybciej, niż gdybyśmy musieli notować.

Bishop uśmiechnął się lekko i zimno.

- Czy to znaczy, że jestem podejrzanym?
- Ależ nie - zapewnił go Grace.

Bishop ruchem dłoni wyraził zgodę.

Glenn Branson włączył nagrywanie dźwięku i obrazu, po czym usiadł i zapowiedział wyraźnie:

- 22.20, piątek, 4 sierpnia. Przesłuchanie pana Briana Bishopa prowadzone przez detektywa nadkomisarza Roya Grace'a i detektywa sierżanta Glenna Bransona.

- Czy... czy macie podejrzanego? - spytał po raz drugi Bishop.
- Jeszcze nie - powiedział Grace. - Czy jest ktoś, kto pańskim zdaniem mógł to zrobić?

Bishop zaśmiał się, jakby pytanie było zbyt absurdalne. Jego oczy zwróciły się na moment w lewo.

- Nie, skąd.

Grace przyglądał się jego oczom, pamiętając, co ustalił wcześniej. W lewo, czyli prawda. Bishop odpowiedział odrobinę za szybko i trochę za wesoło jak na osieroczonego męża. Grace widział już takie zachowanie - chłodne, gładkie, wyćwiczone odpowiedzi na pytania, brak emocji. Bishop prezentował klasyczne oznaki człowieka, który popełnił morderstwo. Ale nie znaczyło to, że je popełnił. Śmiech równie dobrze mógł wynikać ze zdenerwowania.

Jego wzrok padł na prawą dłoń Bishopa. Na otarcie na jej grzbiecie, na prawo od kciuka. Wyglądało na świeże.

- Zranił się pan w dłoń - powiedział.

Bishop zerknął na swoją dłoń i lekceważąco wzruszył ramionami.

- Ja... hm... uderzyłem się przy wsiadaniu do taksówki.
- Czy to była ta taksówka, którą pan jechał z Hotel du Vin do Lansdowne Place?



- Tak... wkładałem torbę do bagażnika.  
- Paskudnie to wygląda - zauważył Grace, odnotowując w pamięci, żeby skontaktować się z taksówkarzem, który mógłby to potwierdzić. Zauważył też, że oczy Bishopa mignęły w prawo.

Tryb konstrukcji. A to znaczyło, że kłamie.

- Naprawdę brzydkie otarcie. Co powiedział kierowca?

Grace zerknął na Bransona, który skinął głową.

- Udzielił panu pierwszej pomocy czy coś takiego? - spytał Branson.

Bishop spojrział na jednego, potem na drugiego.

- Co z wami? To jakaś cholerna inkwizycja. Chcę wam pomóc. Co, u diabła, moje otarcie ma z tym wspólnego?

- Panie Bishop, w naszej pracy zadajemy strasznie dużo pytań. Obawiam się, że tak właśnie jest. Taką już mamy naturę. Mam za sobą długi dzień, detektyw sierżant Branson również i jestem pewien, że pan musi być wyczerpany. Proszę, żeby okazał nam pan wyrozumiałość i odpowiadał na nasze pytania, a wtedy szybciej będziemy mogli stąd wyjść. Im bardziej nam pan pomoże, tym prędzej będziemy w stanie schwytać zabójcę pańskiej żony. - Grace przerwał, żeby łyknąć wody, po czym powiedział łagodnie: - Ciekawi nas trochę, dlaczego opuścił pan Hotel du Vin i przeniósł się do Lansdowne Place. Czy mógłby pan wyjaśnić nam, jaki był tego powód?

Gałki oczne Bishopa poruszały się tak, jakby śledził wzrokiem drogę jakiegoś owada na wykładzinie. Grace popatrzył w ślad za jego spojrzeniem, ale nic nie zobaczył.

- Dlaczego? - Bishop nagle podniósł wzrok i spojrział na niego uważnie. - O co panu chodzi? Powiedziano mi, że bym się przeniósł.

Teraz Grace z kolei zmarszczył brwi.

- Kto panu powiedział?

- No, policja. Wy, jak przypuszczam.

- Nie rozumiem.

Bishop rozłożył szeroko ręce. Udało mu się sprawiać wrażenie autentycznie zaskoczonego.

- Zadzwoniono do mnie, kiedy byłem w pokoju. Oficer powiedział, że Hotel du Vin jest oblegany przez prasę i że mnie przenosicie.

- Jak się nazywał ten oficer?

- Ja... nie pamiętam. Hm... może Canning? Detektyw sierżant Canning?

Grace spojrzął na Bransona.

- Wiesz coś o tym?

- Nic - powiedział Branson.

- Ten oficer był mężczyzną czy kobietą? - pytał dalej Grace.

- Mężczyzną.

- Detektyw sierżant Canning, tak? Jest pan pewien?

- Tak. Canning. Detektyw sierżant Canning. Wydaje mi się, że detektyw sierżant. Canning na pewno.

- Co dokładnie powiedział panu ten mężczyzna? - Grace w skupieniu obserwował oczy Bishopa. Skierowały się znów w lewo.

- Że zarezerwowaliście mi pokój w Lansdowne Place. Że taksówka będzie czekać przed tylnym wejściem, przed drzwiami dla personelu na tyłach kuchni. Że mam tam zejść schodami przeciwpożarowymi.

Grace zapisał w notatniku DS Canning.

- Czy ten oficer dzwonił na pański telefon komórkowy, czy na hotelowy?

- Na telefon w pokoju - powiedział Bishop po chwili zastanowienia.

Grace zaklął w duchu. To utrudniało sprawdzenie śladu. Hotelowa automatyczna centrala telefoniczna rejestruje czas rozmów przychodzących, ale nie numery, które łączy.

- O której to było?

- Około 17.30.

- Zameldował się pan w Lansdowne Place i wyszedł. Dokąd pan poszedł?

- Poszedłem przejść się nadbrzeżem. - Bishop wyjął chustkę i otarł oczy. - Bardzo lubiliśmy z Katie tam być. Ona uwielbiała chodzić na plażę. Była świetną pływaczką - przerwał i napił się wody. - Musiałem zadzwonić

do moich dzieciaków... oboje są za granicą na wakacjach. Ja... - zamilkł.

Roy Grace również. Nie było oficera o nazwisku Canning w jego zespole.

Detektyw nadkomisarz przeprosił, wymknął się z pokoju i skierował się korytarzem do Mir-1. Wystarczyło mu kilka uderzeń w klawiaturę, żeby ustalić, że oficera o tym nazwisku nie ma w całej policji hrabstwa Sussex.

## Rozdział 43

Niedługo przed północą Cleo otworzyła swoje drzwi frontowe ubrana w niezawiązany, czarny, jedwabny peniuar. Okrywał górne dwa cale jej jasnych, smukłych ud i niewiele więcej. W wyciągniętej ręce trzymała szklanę glenfiddicha z lodem, pełną po brzegi. Poza tym miała na sobie tylko prowokujące, ciężkie perfumy z nutą piżma i najbardziej lubieżny uśmiech, jaki Roy Grace widział kiedykolwiek na twarzy kobiety.

- No, no! Coś takiego nazywam... - zaczął, kiedy kopniakiem zamknęła za nim drzwi, a peniuar rozchylił się jeszcze bardziej, ukazując duże, jędrne piersi. I na tym na razie skończył, bo wciąż trzymając szklanę, zarzuciła mu obie ręce na szyję i przycisnęła swoje wilgotne wargi do jego warg. Po chwili kostka lodu o smaku whisky znalazła się w jego ustach.

Tuż przed sobą miał rozmyty, chybotliwy obraz jej roześmianych oczu.

Odchylając głowę do tyłu, nie na tyle jednak, żeby mógł zobaczyć ją wyraźnie, powiedziała:

- Masz na sobie dużo za dużo ubrań!

Włożyła mu szklanę do ręki i zaczęła łapczywie rozpinać mu koszulę, całować jego sutki, jego tors, po czym następną kostkę lodu przycisnęła ustami do jego pępka. Spojrzała na niego wzrokiem, który zdawał się spalać go radością, oczami koloru blasku słońca na lodzie.

- Jesteś taki wspaniały, Roy. Boże, jaki ty jesteś wspaniały.

Łapiąc powietrze i miażdżąc zębami resztki kostki lodu, powiedział:

- Ty też jesteś niczego sobie.

- Niczego sobie? - powtórzyła, tak pochłonięta odpinaniem jego sprzączki u paska, jakby zależeć miało od tego dalsze istnienie świata. Wreszcie szarpnięciem ściągnęła mu spodnie i bokserki w dół.

- W znaczeniu najpiękniejszej, najbardziej niesamowitej, najwspanialszej kobiety na tej planecie.

- Więc są piękniejsze ode mnie kobiety na innych planetach?

Jednym zręcznym ruchem Cleo zagłębiła palce w szklance, włożyła sobie kostkę lodu do ust, a potem wygarnęła więcej lodu ze szklanki i przycisnęła go do jego jąder.

W odpowiedzi z jego gardła wydobył się strumień powietrza. Rozkosz płonąca w dole brzucha była tak wielka, że aż bolało. Zsunął jedwabne okrycie z jej ramion i wtulił wargi w jej delikatny kark, kiedy ona wzięła go do ust, głęboko, na całą długość, kryjąc twarz w gąszczu jego włosów łonowych.

Grace stał oszołomiony gorącą nocą, zapachem jej perfum, dotykiem jej skóry, marząc, gdzieś w najdalszym zakątku umysłu, żeby móc zatrzymać tę chwilę, tę niewiarygodną chwilę czystej, zupełnej radości, błogości, zatrzymać ją na zawsze, stać tu, kiedy ona obejmuje go lodowatymi wargami, z tym uśmiechem w oczach, z tą absolutną radością tańczącą mu w duszy.

Gdzieś, zaledwie o kilka cali od niego, zawisł cień. *Monachium*. Odepchnął go. To nic więcej, jak upiór. Tylko upiór.

Tak bardzo chciał tej kobiety, Cleo. Nie tylko teraz, w tej chwili - chciał jej w swoim życiu. Wielił ją całą. W tej chwili czuł się tak bardzo zakochany, jak jeszcze nigdy nie był zakochany żaden mężczyzna na świecie. Bardziej zakochany niż śmiałyby kiedykolwiek pomyśleć, że mu się to jeszcze raz przydarzy po tych dziewięciu długich latach osamotnienia.

Wplatając palce w jej długie, jedwabiste włosy, bez tchu wyrzucał z siebie słowa:

- Boże, Cleo, jesteś taka... niesamowita... taka cudowna... taka...

Potem, wciąż w marynarce, ze spodniami i bokserkami wokół kostek, pół na pół w koszuli, leżał na niej na puszystym, białym dywanie, na wyfroterowanej, dębowej podłodze, głęboko, tak niewiarygodnie głęboko w niej, trzymając ją w ramionach, całując to dzikie, narowiste stworzenie złożone z tak wielu kontrastów.

Ujawszy ją za głowę, przyciągnął jej usta do swoich. Czując jej delikatną skórę na całym swoim ciele. Czując jej szaleńczo piękne, zwinne ciało. Czasami była jak zachwycający, czystej krwi koń wyścigowy. Czasami - teraz - kiedy nagle oderwała swoje usta od jego ust i wpatrywała się w niego z pełnym napięcia skupieniem, widział w niej bezbronną dziewczynkę.

- Nigdy mnie nie skrzywdzisz, prawda, Roy? - spytała błagalnie.
- Nigdy.
- Jesteś niesamowity, wiesz?
- Ty jesteś bardziej niesamowita.

Znów ją pocałował.

Chwyliła go za tył głowy, przyciskając palce aż do bólu.

- Chcę, żebyś doszedł, patrząc mi w oczy - wyszeptła żarliwie.

Po jakimś czasie obudził się z piekielnym bólem w prawej ręce. Mrugał, zdezorientowany, nie mogąc przez chwilę uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje. Słyszał było muzykę. Rozpoznał piosenkę Dido. Gapił się na sześcienne akwarium. Samotna złota rybka pływała wśród czegoś, co wyglądało jak ruiny zatopionej, miniaturowej greckiej świątyni.

Marlon?

Tylko że to nie było jego akwarium. Spróbował poruszyć ręką, ale była bezwładna, jak wielka masa galarety. Potrząsnął nią. Zakołysała się. Wtem na linii jego wzroku pojawiły się puszyste, jasne włosy łonowe. Ten widok zastąpiła szklanka whisky.

- Coś na pokrzepienie? - spytała Cleo, stojąc nad nim naga.

Wziął szklankę sprawną ręką i pociągnął łyk. Boże, jakie dobre. Odstawił szklankę i pocałował ją w gołą kostkę nogi. Cleo położyła się

obok, wtulając się w niego.

- W porządku, śpiochu?

Życie zaczęło wracać w jego rękę. Wystarczająco, żeby mógł ją objąć. Pocałowali się.

- Co za godzina? - wymamrotał.

- 2.15.

- Przepraszam. Ja... ja nie... nie chciałem zasnąć na tobie.

Pocałowała go w jedno, potem w drugie oko, bardzo powoli.

- Nie zasnąłeś.

Widział miękki zarys jej pięknej twarzy, jej blond włosów. Wdychał słodkie wonie potu i seksu. Widział złotą rybkę pływającą w kółko, nieświadomą ich, bawiącą się świetnie na swój, złotej rybki sposób. Widział palące się świece. Rośliny. Odjazdowe, abstrakcyjne obrazy na ścianach. Półki od podłogi do sufitu wypełnione książkami.

- Chcesz pójść na górę, do łóżka?

- Dobry pomysł - powiedział.

Próbując wstać, zorientował się, że wciąż jest na wpół ubrany.

Zrzucił wszystko i trzymając Cleo za rękę, ze szklanką w drugiej ręce, wspiał się ociężale najpierw na półpiętro, potem na piętro, po stromych, wąskich, drewnianych schodach. Rzucił się na solidne łóżko z najmniejszymi prześcieradłami, jakich kiedykolwiek dotykał, wciąż słysząc w tle muzykę Dido.

Cleo oplótła go sobą. Jej ręka przesunęła się w dół jego brzucha i objęła genitalia.

- Duży chłopiec jest śpiący?

- Odrobinę.

Przytknęła mu szklankę z whisky do warg. Pił jak niemowlę.

- No to jak ci minął dzień? A może wolałbyś pospać?

Spróbował pozbierać myśli. To było dobre pytanie. Jak, u diabła, minął mu dzień?

Jaki dzień?

Wszystko zaczęło wracać. Fragment po fragmencie. Kryzysowa odprawa o 23.00. Nikt nie miał nic istotnego do zameldowania poza nim samym. Przeniesienie się Briana Bishopa z Hotel du Vin do Landsdowne Place - i dziwne wyjaśnienie, jakie podał.

- Skomplikowany - mruknął, znów wtulając twarz w jej prawą pierś. Wziął do ust sutek, potem go pocałował. - Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. Czy ktoś ci to kiedyś mówił?

- Ty. - Uśmiechnęła się. - Tylko ty.

- No widzisz. Żaden inny facet na świecie nie ma za grosz gustu.

Pocałowała go w czoło.

- Może cię to zaskoczy u takiej puszczałskiej jak ja, ale nie wypróbowałam ich wszystkich.

Uśmiechnął się do niej.

- Teraz już nie musisz.

Posłała mu zagadkowe spojrzenie, po czym przekreśliła się na bok i podparła brodę dłonią.

- Nie?

- Tęskniłem za tobą cały tydzień.

- Ja też za tobą tęskniłam.

- Jak bardzo?

- Nie mam zamiaru ci powiedzieć, żeby ci woda sodowa nie uderzyła do głowy!

- Suka!

Uniosła w powietrze lewą rękę i zagięła palec wskazujący, jako prowokacyjne wyobrażenie zwisłego kutasa.

- Nie na długo - powiedział.

- To dobrze.

- Ale z ciebie łajdaczka.

- To przy tobie czuję się łajdaczką.

Pocałowała go, po czym odsunęła się o kilka cali, badawczo przyglądając się jego twarzy.

- Podobają mi się twoje włosy.



- Naprawdę?
  - Aha. Pasują do ciebie. Tak, naprawdę mi się podobają.
- Zaczerwienił się lekko, słysząc komplement.
- Cieszę się. Dziękuję.

Glenn Branson czepiał się jego fryzury, odkąd pamiętał. Powtarzał, że trzeba coś z tym zrobić, i w końcu zarezerwował mu termin u rozchwytywanego gościa o nazwisku Ian Habbin w salonie, w najmodniejszej dzielnicy Brighton. Grace latami strzygł się na krótko u smętnego, starszego Włocha w staroświeckim zakładzie fryzjerskim. To było dla niego zupełnie nowe doświadczenie, kiedy głowę myła mu rozgadana dziewczyna w miejscu obwieszonym obrazami i tętniącym muzyką rockową.

Wtem Cleo spytała:

- Więc niedzielny lunch z twoją siostrą... Jodie, tak? Możesz mi o niej opowiedzieć? Czy jest opiekuńcza w stosunku do ciebie? Czy czeka mnie przesłuchanie trzeciego stopnia? Coś w rodzaju: *Czy ta stara raszpla nadaje się dla mojego brata?* - Cleo uśmiechnęła się zagadkowo.

Grace pociągnął duży łyk whisky, próbując zyskać na czasie, żeby ułożyć myśli i swoją odpowiedź. Jeszcze raz łyknął. Wreszcie powiedział:

- Mam problem.
- Mów.
- W niedzielę muszę pojechać do Monachium.
- Do Monachium? Zawsze chciałam tam pojechać. Moja przyjaciółka Anna-Lisa, która jest stewardesą, mówi, że nie ma na świecie lepszego miejsca na kupowanie ubrań. Hej, mogłabym pojechać z tobą! Wyszukać jakieś tanie bilety na easyJet czy coś takiego?

Ważył szklankę w dłoni. Wziął następny łyk, zastanawiając się, czy skłamać w dobrej wierze, czy powiedzieć jej prawdę. Nie chciał jej okłamywać, ale w tej chwili wydawało się to mniej bolesne niż prawda.

- To oficjalna wizyta policyjna... Jadę z kolegą.
- Ach tak... z kim? - Patrzyła na niego surowo.
- To taki detektyw inspektor z innego oddziału. Mamy się spotkać, żeby omówić sześciomiesięczną wymianę oficerów. Inicjatywa unijna - powiedział.

Cleo pokręciła głową.

- Myślałam, że umówiliśmy się, że nigdy nie będziemy sobie nawzajem kłamać, Roy.

Przez chwilę wytrzymał jej wzrok, potem jednak spuścił oczy, czując rumieniec na twarzy.

- Umiem cię przejrzeć, Roy. Wiem, jak cię przejrzeć. Umiem czytać z twoich oczu. Sam mnie tego nauczyłeś, pamiętasz? O tej prawej i lewej stronie. Pamięć i konstruowanie.

Grace poczuł ogromny ciężar w sercu. Po chwilowym wahaniu opowiedział jej o telefonie od Dicka Pope'a i domniemanym zauważeniu Sandy.

Reakcją Cleo było gwałtowne odsunięcie się od niego. I nagle poczuł, że między nimi zrobiła się przepaść, tak wielka jak z ziemi do księżyca.

- W porządku - powiedziała. Zabrzmiało to tak, jakby właśnie ugryzła cytrynę.

- Cleo, ja muszę tam jechać.

- Oczywiście, że musisz.

- Nie o to chodzi.

- Nie?

- Cleo, proszę. Ja...

- Co będzie, jeżeli ją znajdziesz?

Bezradnie rozłożył ręce.

- Wątpię.

- Ale jeżeli tak? - upierała się.

- Nie wiem. Przynajmniej dowiem się, co się z nią dzieło.

- A jeżeli ona będzie cię chciała z powrotem? To dlatego mnie okłamałeś?

- Po dziewięciu latach?

Przetoczyła się na drugi bok i leżała twarzą do ściany.

- Nawet jeśli to ona, w co wątpię.

Cleo milczała.

Pogładził ją po plecach, ale ona skurczyła się, żeby być dalej od niego.

- Cleo, proszę!
- Czym ja jestem... czymś, co ma cię zająć, dopóki nie znajdziesz swojej zaginionej żony?
- Nie ma mowy.
- Jesteś pewien?
- Zupełnie i całkowicie.
- Nie wierzę ci.

## Rozdział 44

Komputer Miliardera Czasu wyposażony był w program, który on sam napisał. Pokazywał analogowe tarcze zegarowe dla miast w każdej strefie czasowej. Patrzył na nie teraz.

- Inwentaryzacja - powiedział nagle głośno, uśmiechając się zadowolony ze swego dowcipu.

Za oknem widział niebo o świcie, rozjaśniające się powoli nad miastem Brighton i Hove. Tu, w Anglii dochodziła 5.00. 6.00 w Paryżu. 8.00 w Sankt Petersburgu. 11.00 w Bangladeszu. 13.00 w Kuala Lumpur. 15.00 w Sydney.

Tutaj ludzie niedługo zaczną wstawać. I kłaść się do łóżka w Peru. Każdy na świecie był podporządkowany słońcu. Każdy, z wyjątkiem jego. On był wyzwolony. Nie sprawiało mu już różnicy, czy jest dzień, czy noc, czy na świecie otwierają się, czy zamykają giełdy, banki czy cokolwiek.

Był pewien człowiek, któremu musiał za to podziękować.

Jednak już nie był rozgoryczony. To wszystko było spakowane w innym pudełku, które było jego przeszłością. Trzeba być pozytywnie nastawionym do życia, mieć cele. Znalazł w Internecie stronę, całą o tym, jak żyć dłużej. Ludzie, którzy mają cele, żyją dłużej. Takie to proste. A ci, którzy osiągnęli swoje cele - o, ich oczekiwana długość życia sięgała niebotycznych wyżyn! On osiągnął już dwa cele! Zyskał jeszcze więcej czasu, żeby go trwonić, na co tylko mu się spodoba.

Para unosiła się ze stojącego obok kubka herbaty. English Breakfast z odrobiną mleka. Wziął łyżeczkę i zamieszał herbatę siedem razy. Zamieszanie herbaty dokładnie siedem razy zawsze było dla niego bardzo ważne.

Znów skupił się na komputerze i wklepał komendę, żeby wywołać inny program, który sam stworzył. Nigdy nie był zadowolony z żadnej z wyszukiwarek internetowych - żadna z nich nie była dla niego wystarczająco precyzyjna. Wszystkie dostarczały informacji w kolejności, w jakiej chciały. Jego własna, która łączyła się i przeszukiwała główne wyszukiwarki, szybko uzyskiwała wszystko, czego on chciał.

W tej chwili chciał oryginalnego podręcznika serwisowego do Volkswagena Karmann Ghia z 1966 roku.

Zaczął ssać grzbiet prawej dłoni. Ból był coraz gorszy, odczucie pieczenia nasilało się. To właśnie go obudziło i nie pozwoliło znów zasnąć. Zresztą i tak nie zależało mu na spaniu. Dostrzegł lekką opuchliznę, która zdawała się przeszkadzać w poruszaniu kciukiem, ale może tak mu się tylko zdawało.

Wciąż piekła go też pierś.

- Dziwka - powiedział głośno.

Przeszedł do łazienki, zapalił światło, rozpiął koszulę i rozchylił ją. Oderwał plaster. Świeże zadrapanie, ponad cal długie, pokryte krzepnącą krwią, zostało wyżłobione w jego piersi kilka godzin temu długim paznokciem palca stopy.

## Rozdział 45

Tuż po 5.00 Roy Grace wyszedł z domu Cleo w modnym, ogrodzonym osiedlu w centrum Brighton, zamykając za sobą drzwi najciszej, jak potrafił, i czując się okropnie. Niebo o świcie, ciemne, szaromarmurkowe, przekreślone smugami purpurowych żył, miało kolor zamrożonego ludzkiego trupa. Nieliczne ptaki rozpoczynały wstępne śpiewy, wydając pojedyncze trele przesywające poranną ciszę. Sygnały dla innych ptaków, jak sygnały radiowe wysyłane w przestrzeń.

Przeszedł go dreszcz, kiedy wcisnąwszy czerwony guzik przy bramie z kutego żelaza, wyszedł z dziedzińca na ulicę. Coraz cieplejsze powietrze było zapowiedzią kolejnego upalnego, letniego dnia. Jednak w jego duszy padał deszcz.

Do rana nie zmrużył oka.

Podczas dwóch miesięcy trwania ich związku nigdy nie doszło między nim a Cleo do kłótni. Właściwie tej nocy też nie, ale kręcąc się i przewracając z boku na bok przez ostatnie godziny, miał poczucie, że coś się między nimi zmieniło.

Uliczne latarnie wciąż świeciły pomarańczowym blaskiem, bezużytecznym w świetle szybko nastającego dnia. Pręgowany kot czmychnął na drugą stronę ulicy. Idąc wzdłuż rzędu samochodów, Grace zauważył puszkę po coli leżącą w rynsztoku, kałużę wymiocin, pudełko po chińszczyźnie na wynos. Minął niebieskie mg Cleo, pokryte rosą i doszedł do swojej alfy, na której rosy było mniej. Stała tam, gdzie parkował

zazwyczaj, na pojedynczej żółtej linii, naprzeciw sklepu z antykami specjalizującego się w dwudziestowiecznych meblach retro.

Wsiadł, przekreślił kluczyk, dodał gazu. Przez chwilę silnik krztusił się, pracował ociężale i nierówno, dopóki wilgoć nie wyparowała z układu elektrycznego. Wycieraczki zgarnęły rosę z przedniej szyby. Radio zaczęło trzeszczeć, więc wcisnął przycisk, żeby zmienić stację. Ktoś coś mówił, ale on nie słuchał. Odwrócony do tyłu wpatrywał się w zamkniętą bramę, zastanawiając się, czy może powinien wrócić i coś powiedzieć.

Tylko co?

Cleo widziała w Sandy zagrożenie, z którym nie umiała sobie poradzić. Wiedział, że musi to zrozumieć, postawić się w jej sytuacji. Co by było, gdyby to ona miała męża, który zaginął, i gdyby to ona wybierała się w niedzielę do Monachium, żeby go odnaleźć? Jak on czułby się wtedy?

Nie miał pojęcia, taka była szczerza prawda. Po części dlatego, że był zbyt zmordowany, żeby myśleć jasno, a po części dlatego, że sam nie wiedział, jakie uczucia budzi w nim perspektywa - jakkolwiek nikła - że zobaczy Sandy.

Dziesięć minut później minął czerwoną, walcowaną skrzynkę pocztową na New Church Road, która od dwunastu lat była jego punktem orientacyjnym, i skręcił w lewo. Poza ciężarówką z mlekiem, która zatrzymała się w odległości kilku stóp od chodnika, jego ulica była opustoszała. Była to spokojna, przyjemna aleja, po której obu stronach stały domy mieszkalne - dwurodzinne, w fałszywym stylu Tudorów. W większości miały po trzy sypialnie i garaż pod domem. Kilka zeszpeconych było przeróbkami poddaszy, a w niektórych - nie w jego - wymieniono okna na ohydne, plastikowe.

Kupili z Sandy ten dom ponad dwa lata przed jej zniknięciem i czasami zastanawiał się, czy może przeprowadzka miała z tym coś wspólnego, może nie była tu szczęśliwa. Tak dobrze im było w małym mieszkanku w Hangleton, które było ich gniazdkiem przez pierwsze lata małżeństwa, ale oboje zakochali się w tym domu, i to Sandy nawet bardziej niż on,

ponieważ na tyłach znajdował się spory ogród, a ona zawsze marzyła o własnym ogrodzie.

Kupno i urządzenie domu było dla nich ogromnym wysiłkiem finansowym. Grace, wówczas detektyw sierżant, stale zgłaszał się na nadgodziny i pracował, ile się dało. Sandy była sekretarką w firmie rachunkowej i też pracowała w zwiększonym wymiarze godzin.

Wydawała się szczęśliwa, kierując remontem i modernizacją wnętrza. Poprzedni właściciele mieszkali tu ponad czterdzieści lat i kiedy sprzedawali dom, był on smutny i ciemny. Sandy zrobiła z niego jasne, nowoczesne przestrzenie z akcentami zen tu i tam i wydawała się taka dumna ze swoich dokonań. Ogród stał się jej dumą i radością - choć teraz był w stanie żenującego zaniedbania, pomyślał Grace z poczuciem winy. Co weekend obiecywał sobie, że poświęci mu trochę czasu i uporządkuje.

W końcu jednak zawsze wychodziło na to, że brakowało mu czasu... albo chęci. Jedyne trawnik utrzymywał pod jako taką kontrolą i przekonywał siebie, że i tak większość chwastów to kwiaty.

Z radia samochodowego, na które nie zwracał uwagi przez ostatnie kilka minut, dobiegał teraz poważny, męski głos wyjaśniający unijną politykę rolną. Skręciwszy w swój podjazd, Grace zaparkował przed garażem na jeden samochód i zgasił silnik, wyłączając tym samym radio.

Po wejściu do domu jego poważny nastrój ustąpił nagle przed porywem gniewu. Wszystkie światła na dole były włączone i świeciły jasno. Włączona była też jego oryginalna szafa grająca.

Zobaczył, jak jedna z jego rzadkich płyt winylowych, „Apacze” Shadowsów, kręci się na talerzu, a spod tkwiącej w rysie igły dobiega co chwila trzask. Wieży stereo także nikt nie wyłączył, część jego kolekcji CD rozrzucona była po podłodze wraz z kilkoma cennymi longplayami Pink Floydów, wywleczonymi z kopert, otwartą puszką lagera Grolsch, paroma broszurami Harleja Davidsona oraz hantlami i różnymi innymi akcesoriami do pakowania mięśni.



Pognał na górę, gotów skłąć Glenna Bransona na czym świat stoi, ale na piętrze opamiętał się. Biedny sukinsyn był zrozpaczony. Wczoraj wieczorem, po odprawie, musiał pojechać do domu, gdzie dostał rozkaz wymarszu - stąd sprzęt do ćwiczeń. Niech śpi.

Zerknął na zegarek. 5.20. Chociaż czuł się zmęczony, był za bardzo nakręcony, żeby spać. Postanowił, że pójdzie pobiegać, spróbuje uporządkować myśli i nabrać energii na czekający go ciężki dzień, zaczynający się od odprawy zespołu o 8.30, po której, o 11.00, ma się odbyć konferencja prasowa. Potem miał w planie kolejną sesję z Brianem Bishopem. Ten facet od początku do końca brzydko mu pachniał.

Wszedł do łazienki i natychmiast zauważył odkręconą tubkę pasty do zębów. Była mocno wgnieciona pośrodku, trochę pasty wyciekło na półeczkę. Z jakiegoś powodu, którego nie umiał zrozumieć od razu, zirytowało go to jeszcze bardziej niż bałagan na dole.

Od chwili wejścia do domu kilka minut temu narastało w nim poczucie, że przez osłonę rzeczywistości przedostał się do starego serialu komediowego „Niegrzeczni faceci”, z Martinem Clunesem i Neilem Morrisseyem grającymi flejtuchowatych kawalerów we wspólnym mieszkaniu. Wtem uświadomił sobie, o co chodziło z pastą do zębów: jedną z niewielu rzeczy, jakie irytowały go u Sandy, było to, że też tak robiła. Zawsze gniotła cholerną tubkę pośrodku, zamiast od końca i zostawiała odkręconą, tak że część zawartości wyciekała.

To i stan, w jakim permanentnie utrzymywała wnętrze swojego samochodu, traktując fotel pasażera jak kosz na śmieci, który nigdy nie wymaga opróżniania. Rdzewiejący, poobijany, czarny VW Golf był tak zaśmiecony paragonami ze sklepów, opakowaniami po słodyczach, pustymi reklamówkami, losami na loterię i całą masą innych odpadów, że dla Grace'a wyglądał na coś, w czym można trzymać kurczaki, a nie jeździć.

Nadal stał w garażu. Dawno temu uprzątnął z niego śmieci, studiując uważnie każdy strzępek w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, ale nic nie znalazł.

- Wcześniej wstałeś.

Obejrzał się i zobaczył stojącego za nim Bransona w białych majtkach, z cienkim, złotym łańcuszkiem na szyi i potężnym zegarkiem dla nurka na ręce. Jego ciało, chociaż przygarbione, było w doskonałej kondycji fizycznej, mięśnie odznaczały się pod błyszczącą skórą. Jego twarz natomiast przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz.

- Musiałem, żeby po tobie posprzątać - zripostował Grace.

Nie rejestrując tego albo celowo ignorując, Branson poinformował go:

- Ona chce konia.

Grace pokręcił głową, nie mając pewności, czy dobrze usłyszał.

- Co?

- Ari. - Branson wzruszył ramionami. - Chce konia. Wyobrażasz sobie, na co ja zarabiam?

- Bardziej ekologiczny od samochodu - zauważył Grace. - Prawdopodobnie też tańszy w eksploatacji.

- Bardzo dowcipne.

- Co to właściwie ma znaczyć, z tym koniem?

- Kiedyś jeździła konno... jako dzieciak pracowała w stajniach. Teraz chce znowu. Powiedziała, że jeżeli zgodzę się na konia, mogę wrócić.

- Gdzie mogę kupić konia? - rzucił Grace.

- Ja mówię poważnie.

- Ja też.

## Rozdział 46

Roy Grace miał rację. Przy letniej przerwie w Parlamencie i najistotniejszej wiadomości ze świata w ciągu ostatniej doby w postaci katastrofy kolejowej w Pakistanie, jedynymi historiami rywalizującymi ze sobą na pierwszych stronach, zwłaszcza tabloidów, były szokujące rewelacje o piłkarzu Premiership przyłapanym w gejowskim trójkacie, o panterze jakoby terroryzującej wiejską okolicę Dorset i o księciu Harrym baraszującym na plaży z godną pozazdrosczenia, śliczną dziewczyną. Wszyscy redaktorzy wiadomości w kraju łaknęli wielkiej historii, a cóż jest lepszego niż zabójstwo bogatej, pięknej kobiety?

Sala konferencyjna podczas zwołanej przez Grace'a porannej konferencji prasowej była tak nabita, że niektórzy reporterzy zostali na korytarzu. Poprowadził konferencję krótko i zwięźle, ponieważ na tym etapie nie miał im wiele do powiedzenia. Przez noc nie pojawiły się żadne nowe informacje, a wcześniejsza odprawa zespołu poświęcona była bardziej przydziałowi zadań na ten dzień niż ocenie postępów.

Wiadomość, którą przekazał wyraźnie około czterdziestu reporterom i fotografom z prasy i innych mediów, mówiła, że policja chce prześledzić ostatnie poczynania pani Bishop, dlatego też prosi o kontakt tych, którzy mogli ją widzieć w ciągu kilku ostatnich dni. Tej informacji prasowej miały towarzyszyć zdjęcia wybrane przez Grace'a w domu Bishopów, przedstawiające ją w różnych sytuacjach. Na jednym pokazana była w bikini na motorówce, na innym za kierownicą kabrioletu bmw, na kolejnym ubrana w długą suknię i w kapeluszu, w eleganckim towarzystwie na

wyścigach konnych - w Ascot albo Epsom, jak się domyślał Grace.

Dobrał te zdjęcia bardzo starannie, wiedząc, że mają być atrakcyjne dla redaktorów wiadomości. Czytelnicy lubią paść oczy tego rodzaju obrazkami - piękna kobieta, szybki, olśniewający styl życia. Grace wiedział, że przy aktech kolumn do zapełnienia zostaną użyte. A kampania medialna o szerokim zasięgu może poruszyć pamięć jakiegoś kluczowego świadka, gdzieś, w jakimś odległym miejscu.

Po zakończeniu konferencji wymknął się szybko, chcąc jak najprędzej zadzwonić do Cleo, zanim przejdzie do następnego punktu dnia, jakim było przesłuchanie Briana Bishopa zaplanowane na 12.00. Rozdanie zdjęć zostawił Dennisowi Pondsowi, starszemu oficerowi public relations. Zaledwie kilka jardów dzieliło go od otwieranych kartą magnetyczną drzwi prowadzących do azylu jego gabinetu, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Obejrzał się, żeby z irytacją stwierdzić, że goni go młody reporter działu kryminalnego „Argusa”, Kevin Spinella.

- Co pan tu robi? - spytał Grace.

Spinella oparł się o ścianę obok tablicy, do której przypięty był schemat blokowy zatytułowany MODEL W SPRAWIE ŚLEDZTWA. Z bezczelnym wyrazem twarzy o ostrych rysach, żując gumę, trzymał w ręce otwarty czarny notes i długopis. Dziś miał na sobie tani, ciemny garnitur, w którym wyglądał, jakby jeszcze do niego nie całkiem dorósł, białą koszulę, też za dużą, i fioletowy krawat z wielkim, niezdarnym węzłem. Jego krótkie włosy były zmierzwione w ten modny sposób, który nadawał mu wygląd, jakby dopiero co wstał z łóżka.

- Chciałem spytać pana o coś prywatnie, panie nadkomisarzu.

Grace podniósł swoją kartę do czytnika. Zamek szczęknął, więc pociągnął za klamkę, otwierając drzwi.

- Wszystko, co miałem do powiedzenia prasie, powiedziałem na konferencji. Na tym etapie nie mam nic do dodania. \- Myślę, że pan ma - powiedział Spinella, a jego zadowolona z siebie mina rozdrażniła Grace'a jeszcze bardziej. - Coś pan pominął.

- To proszę rozmawiać z Dennisem Pondsem.

- Mogłem poruszyć tę sprawę na konferencji - odparł Spinella. - Ale nie byłby pan mi za to wdzięczny. To dotyczy maski przeciwgazowej.

Grace odwrócił się całym ciałem i zrobił krok w kierunku reportera, puszczając drzwi, które znów szczyknęły, zamykając się.

- Co pan powiedział?

- Słyszałem, że na miejscu zbrodni znaleziono maskę przeciwgazową i że być może użył jej morderca. Jakiś perwersyjny rytuał czy co?

Mózg Grace'a pracował na najwyższych obrotach. Gotował się z gniewu, ale danie mu upustu nic by tu nie pomogło. Parę miesięcy wcześniej, przy innej sprawie istotna informacja o czymś znalezionym na miejscu zbrodni zatajona przed mediami - wtedy był to żuk - przeciekła do „Argusa”. Teraz wyglądało na to, że zdarzyło się to znowu. Kto był za to odpowiedzialny? Problem w tym, że mógł to być każdy. Chociaż informacji nie ujawniono na konferencji prasowej, znała ją już połowa policji Sussex.

Zamiast krzyczeć na Spinelle, Grace wpatrywał się w niego, oceniając go. Był bystrym chłopakiem i z pewnością sprawy kryminalne były jego żywiołem. Całkiem prawdopodobne, że za rok czy dwa przeniesie się z tej lokalnej gazety do większej, może o zasięgu ogólnokrajowym. Nic by nie zyskał, robiąc sobie z niego wroga.

- No dobrze, doceniam, że nie poruszył pan tej sprawy na konferencji.

- Więc to prawda?

- Rozmawiamy oficjalnie czy nie?

Spinella demonstracyjnie zamknął notes.

- Nie.

Grace zawahał się, nie mając pewności, jak dalece może zaufać temu człowiekowi.

- Na miejscu zbrodni znaleziono maskę przeciwgazową z okresu II wojny światowej, ale nie wiemy, czy ma to związek ze sprawą.

- I trzymacie to w tajemnicy, bo tylko morderca będzie wiedział, że tam była?

- Tak, więc byłoby bardzo wskazane, żeby nie publikował pan nic na ten temat... póki co.

- A co ja będę z tego miał? - natychmiast chciał wiedzieć Spinella.

Grace złapał się na tym, że się uśmiecha rozbawiony tupetem młodego człowieka.

- Chcesz ubić interes?

- Przysługa za przysługę. Będzie mi pan to winien kiedyś, w przyszłości. Liczę na to. Umowa stoi?

Grace z uśmiechem uściskał mu rękę.

- Ty tupeciarzu!

- Cieszę się, że się rozumiemy.

Grace odwrócił się do drzwi.

- Jeszcze tylko szybkie pytanie - zawołał za nim Spinella. - Czy to prawda, że pan i zastępca komendanta Alison Vosper nie jesteście w zgodzie?

- Czy wciąż rozmawiamy nieoficjalnie?

Spinella skinął głową, pokazując zamknięty notes.

- Bez komentarza! - Grace uśmiechnął się najbardziej jadowicie, jak potrafił, i tym razem przeszedł przez drzwi, zamykając je za sobą dokładnie.

Dziesięć minut później Grace i Branson siedzieli na czerwonych krzesłach w kształcie wiader w pokoju przesłuchań świadków, naprzeciwko wyglądającego na nieszczęśliwego Briana Bishopa. Został przywieziony z hotelu przez funkcjonariuszkę Maggie Campbell, która czekała na zewnątrz.

Grace, bez marynarki, w koszuli z krótkimi rękawami, położył notes na stoliku do kawy i otarł pot z czoła chustką do nosa. Branson, w świeżym, białym T-shircie opinającym go jak skóra, w cienkich niebieskich džinsach i adidasach, sprawiał wrażenie, że dziś jest w mniej rozpaczliwym nastroju.

- Czy znów możemy nagrywać, żeby oszczędzić czas? - spytał Grace Bishopa.

- Jak chcecie.

Branson włączył aparaturę.

- 12.03, sobota, 5 sierpnia. Przesłuchanie pana Briana Bishopa prowadzone przez detektywa nadkomisarza Grace'a i detektywa sierżanta Bransona.

Grace napił się wody. Zauważył, że Bishop ma na sobie to samo, co wczoraj, z wyjątkiem góry - dziś miał żółtozieloną koszulkę polo. Wyglądał na dużo bardziej dotkniętego żalobą niż wczoraj, jakby dotarła do niego realność straty. Być może wczoraj jechał na adrenalinie wyzwolonej przez szok, co się czasem zdarza. Każdy przeżywa żalobę inaczej, ale istnieją dające się wyróżnić stadia, przez które przechodzi większość ludzi po stracie kogoś bliskiego. Szok. Zaprzeczenie. Gniew. Smutek. Poczucie winy. Poczucie osamotnienia. Rozpacz. Stopniowe pogodzenie się. Grace był świadom, że niektórzy z najbardziej zimnokrwistych zabójców, z jakimi miał do czynienia, odgrywali to wszystko z wiarygodnością zasługującą na nominację do Oscara.

Przyglądał się, jak Bishop pochylony do przodu starannie miesza przyniesioną przez Bransona kawę plastikowym mieszadłem, i zmarszczył brwi, zauważając nagłe skupienie na jego twarzy. Czy facet liczył, ile razy zamieszał?

- Jak tam dziś z pańską ręką? - spytał Grace.

Bishop uniósł prawą dłoń, żeby była dobrze widoczna. Grace dostrzegł strup na otarciu.

- W porządku - powiedział Bishop. - Lepiej. Dziękuję.

- Czy należy pan do osób często ulegających wypadkom, panie Bishop? - kontynuował Grace.

- Nie sędzę.

Grace skinął głową i zamilkł. Branson rzucił mu pytające spojrzenie, które zignorował.

Jeżeli Bishop zabił żonę, mógł się przy tym zranić w dłoń. Albo mógł się zranić przez niezręczność. Bishop nie wyglądał na człowieka, który w

normalnych okolicznościach jest niezręczny. Było całkowicie wyobraźne, że oszołomiony żalobą coś źle ocenił, ale było też inne możliwe wytłumaczenie pochodzenia urazu. Większość zbrodniarzy jest kłębkim nerwów przez wiele godzin po dokonaniu czynu.

Czy jest pan w czerwonej mgle, panie Bishop?

- Jakie zrobiliście postępy? - spytał nagle Brian Bishop schrypniętym głosem, patrząc to na jednego, to na drugiego. - Macie jakieś pojęcie, kto mógł to zrobić?

Owszem, ja mam i coś mi się wydaje, że właśnie na niego patrzę, pomyślał Grace, ale zadbał, żeby nie dać tego po sobie poznać.

- Obawiam się, że nie posunęliśmy się do przodu od zeszłej nocy, proszę pana. Może pan ma jakieś nowe przemyślenia? Czy pan i pani Bishop sprawialiście komuś kłopoty? Zdawaliście sobie sprawę, że macie jakichś wrogów?

- Nie... skąd... absolutnie nie. Niektórzy ludzie nam zazdrościli, tak myślę.

- Tak pan myśli.

- No cóż, Katie i ja... jesteśmy... byliśmy... wie pan... jedną ze złotych par w tym mieście. Nie mówię tego w sensie wulgarnym ani żeby się przechwalać. To fakt. Nasz styl życia.

- Został państwu narzucony? - Grace nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć, i dostrzegł uśmiezek Bransona.

Bishop uśmiechnął się niewesoło.

- Nie, to był rzeczywiście nasz wybór. No tak... bardziej Katie... lubiła być w świetle reflektorów. Zawsze miała duże ambicje towarzyskie.

Mucha krążyła po pokoju bezładnym lotem. Grace śledził ją wzrokiem przez parę sekund, zanim powiedział:

- Ten dość wyróżniający się bentley, którym pan jeździ... czy to był pański wybór, czy wybrała go żona?

Bishop wzruszył ramionami.

- Ja wybrałem samochód, ale wydaje mi się, że Katie miała coś do powiedzenia w sprawie koloru, naprawdę jej się podobał.



Grace uśmiechnął się, starając się go rozbroić.

- Bardzo to dyplomatycznie z pańskiej strony, jestem pewien. Kobiety potrafią być nastawione dość negatywnie do męskich zabawek, jeżeli nie mają w tym swojego udziału. - Zerknął spod oka. - I na odwrót czasami.

Branson skrzywił się na tę uwagę.

Bishop podrapał się w tył głowy.

- Słuchajcie, panowie... ja muszę... potrzebuję waszej pomocy... w... muszę przygotować pogrzeb... co mam zrobić?

Grace współczująco pokiwał głową.

- Obawiam się, że to zależy od koronera, kiedy zwolni ciało. Tymczasem dobrze byłoby umówić się z zakładem pogrzebowym. Linda Buckley będzie mogła panu w tym pomóc.

Bishop patrzył w swoją kawę. Nagle sprawiał wrażenie małego, zagubionego chłopca, tak jakby rozmowa o zakładzie pogrzebowym sprawiła, że wszystko stało się dla niego tak realne, że aż nie do zniesienia.

- Chciałbym teraz jeszcze raz omówić z panem następstwo zdarzeń, żeby upewnić się, że dobrze zrozumiałem - powiedział Grace.

- Tak? - Bishop spojrzał na niego niemal błagalnie.

Grace pochylił się nad stolikiem i przerzucił wstecz kilka kartek w swoim notesie.

- Czwartkową noc spędził pan w Londynie, a następnie pojechał pan do Brighton zagrać w golfa, wcześniej rano, w piątek. - Grace odwrócił kolejną kartkę i przez chwilę czytał uważnie. - Powiedział nam pan, że wczoraj rano o 6.30 pański dozorca Oliver Dowler pomógł panu zapakować do samochodu kije golfowe i bagaż. Zgadza się?

- Tak.

- I spędził pan noc w Londynie, a przedtem jadł pan kolację ze swoim doradcą finansowym, panem Philem Taylorem?

- Tak. On może to potwierdzić.

- Już to zrobił, panie Bishop.

- To dobrze.

- Pański dozorca także potwierdził, że pomagał panu pakować rzeczy do samochodu około 6.30.

- Ja myślę, powinien.

- Rzeczywiście - przyznał Grace i znów zagłębił się w notatkach. - Jest pan pewien, że nigdzie pan nie wychodził między kolacją z panem Taylorem a wyjazdem z rana?

Brian Bishop zawahał się, myśląc o wczorajszej, dziwacznej rozmowie z Sophie, kiedy to upierała się, że spał z nią po kolacji z Philem Taylorem. To nie miało sensu. Nie ma takiej możliwości, żeby półtorej godziny jechał do jej mieszkania w Brighton, a potem z powrotem do Londynu i nie pamiętał tego.

A może jest?

Patrząc na każdego z policjantów po kolei, powiedział:

- Nie wychodziłem. Absolutnie nie.

Grace obserwował wahanie Bishopa. Nie był to jeszcze moment, żeby ujawnić informację, jaką posiadał, mianowicie, że Bentley Bishopa został zarejestrowany przez kamerę na drodze do Brighton o 23.47 w czwartkową noc.

W policji hrabstwa Sussex Grace miał do dyspozycji wielu detektywów specjalnie szkolonych w technikach przesłuchania, którzy wydusiliby z Bishopa prawdę. Postanowił zachować tę cenną informację, żeby mogli zaskoczyć go nią w odpowiednim momencie.

Procedura przesłuchań ruszyłaby, gdyby Grace podjął decyzję o oficjalnym uznaniu Bishopa za podejrzanego. Był coraz bliższy podjęcia tej decyzji.

## Rozdział 47

W wiadomościach o 14.00 w Southern Countis Radio zabójstwo Katie Bishop nadal było informacją dnia, tak samo jak we wszystkich innych dziennikach, które złapał w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Za każdym razem, kiedy słyszał tę historię, wydawała się trochę mocniej przyprawiona starannie dobranymi słowami, które dodawały jej coraz więcej blasku. Zaczynało to brzmieć jak kawałek z opery mydlanej, pomyślał.

*Znana na salonach Brighton Katie Bishop.*

*Mąż Brian, bogaty biznesmen.*

*Ulica milionerów, Dyke Road Avenue.*

Głos spikera Dicka Dixona brzmiał młodo, chociaż na zdjęciu na stronie BBC wyglądał on starzej, był bardziej pobrużdżony, zupełnie inny niż jego głos. Jego zdjęcie miał teraz na ekranie. Wyglądał dość paskudnie, jak aktor Steve Buscemi we „Wściekłych psach”. Jak ktoś, z kim nie chciałoby się mieć do czynienia, chociaż nikt nie domyśliłby się tego, sądząc po jego przyjaźnie brzmiącym głosie.

Przy wsparciu zespołu redakcyjnego Dick Dixon robił, co mógł, żeby serwis informacyjny, w którym nie było świeżych doniesień o postępach śledztwa w sprawie zabójstwa, sprawiał wrażenie, że przełom jest bliski. Stworzeniu tego wrażenia służyła wstawka z nagranej na porannej konferencji prasowej wypowiedzi detektywa nadkomisarza Roya Grace'a:

„To szczególnie ohydna zbrodnia - mówił detektyw nadkomisarz. - Pogwałcono świętość prywatnego domu chronionego przez skomplikowany

system alarmowy, a ludzkie życie zostało tragicznie i brutalnie przerwane. Pani Bishop była niestrudzoną działaczką lokalnych organizacji charytatywnych i jedną z najpopularniejszych obywaterek miasta. Wyrażamy nasze najgłębsze współczucie jej mężowi oraz całej rodzinie i będziemy pracować nieprzerwanie, aby doprowadzić bestię, która dopuściła się tego czynu, przed oblicze sprawiedliwości”.

*Bestia.*

Słuchając policjanta, ssał dłoń. Ból się nasilał.

*Bestia.*

Opuchlizna była zauważalna, widział ją teraz wyraźnie, przykładając jedną dłoń do drugiej. Było coś jeszcze, co mu się nie podobało: cienkie, czerwone linie zdawały się odchodzić od rany i biec przez nadgarstek w górę. Ssał dalej, mocno, starając się wyciągnąć całą truciznę, jaka mogła tam być.

Kubek świeżo zaparzonej herbaty stał na biurku. Zamieszał, licząc uważnie.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

Teraz znów mówił Dick Dixon. Opowiadał o narastającym ruchu protestu wobec propozycji budowy trzeciego terminalu lotniska Gatwick. Rozległ się głos miejscowego członka parlamentu, który przypuścił dziki atak.

*Bestia.*

Wstał wściekły i przeszedł od swojego stanowiska pracy, klucząc pomiędzy zalegającymi podłogę sutereny stertami części komputerowych, pism motoryzacyjnych i podręczników serwisowych, do brudnego okna wykuszowego przesłoniętego firanką. Nikt nie mógł zajrzeć do środka, ale on mógł wyjrzeć na zewnątrz. Wyglądając ze swojej nory, jak lubił nazywać suterene, zobaczył parę zgrabnych nóg idących chodnikiem wzdłuż balustrady, na linii jego wzroku. Długie, gołe, brązowe nogi, jędrne i muskularne, w minispódniczce ledwo zakrywającej te rzeczy.

Poczuł przypływ pożądania, ale zaraz też poczuł się z tym źle.

Okropnie.

*Bestia.*

Uklęknął tam, gdzie stał, na cienkiej, przetartej wykładzinie pachnącej kurzem i z twarzą ukrytą w dłoniach odmówił „Ojcze nasz”. Kiedy doszedł do końca, modlił się dalej własnymi słowami:

- Dobry Boże, proszę, wybac mi lubieżne myśli. Proszę, nie pozwól im stać mi na drodze. Proszę, nie pozwól mi trwonić czasu, którym tak łaskawie mnie obdarzyłeś, na te myśli.

Modlił się przez kilka minut, aż wreszcie podniósł się pokrzepiony, naładowany energią, szczęśliwy, że Bóg jest teraz z nim, w tym pokoju. Wrócił do swojego stanowiska i napił się herbaty. W radiu ktoś objaśniał, jak puszczać latawiec. Nigdy w życiu nie puszczał latawca i nigdy przedtem nie pomyślał, że mógłby spróbować. A może powinien. Może dzięki temu przestałby myśleć o tym. Może byłby to dobry sposób na wykorzystanie części czasu, który gromadził się na jego koncie.

Tak, latawiec.

Dobrze.

Gdzie się kupuje latawce? W sklepie sportowym? W sklepie z zabawkami? Albo w Internecie, oczywiście!

Nie za duży latawiec, bo w mieszkaniu ciasno. Podobało mu się w tym mieszkaniu. Było idealne dla niego, ponieważ miało trzy wejścia - albo, co ważniejsze, trzy *wyjścia*.

Idealne dla *bestii*.

Mieszkanie znajdowało się przy ruchliwej, przelotowej Sackville Road, blisko skrzyżowania z Portland Road, i samochody przejeżdżały koło niego bez przerwy, w dzień i w nocy. Z tego końca była to podupadła dzielnica. Ćwierć mili na południe, bliżej morza, gwałtownie robiła się coraz bardziej elegancka. Jednak tu, w pobliżu obszaru zabudowy przemysłowej, z wiaduktem kolejowym idącym górą i niewidoma sklepami o dawno nieodnawianych frontach, stanowiła miszmasz zaniedbanych, skromnej wielkości wiktoriańskich i edwardiańskich domów szeregowych, wszystkie podzielone na pokoje do wynajęcia, kwatery z miejscami noclegowymi, tanie mieszkania lub biura.

Zawsze kręcili się tu ludzie. W większości studenci, jak również ludzie, którzy zatrzymali się tu przejazdem, kloszardzi i od czasu do czasu jakiś diler czy dwóch. Tylko czasami, za dnia, widywało się tu trochę tych starszych dam z Hove, uszlachetnionych niebieską płukanką do włosów, czekających na przystanku autobusowym albo drepczących do sklepu. Tu można było pojawiać się i zniknąć dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, nie zwracając na siebie uwagi.

Idealne miejsce dla jego celów. Tyle tylko, że wilgotne, z niewystarczającymi grzejnikami magazynowymi i ciekącym rezerwuarem, który sam naprawiał raz za razem. Wszystko tu robił sam. Nie chciał wpuszczać żadnego fachowca. To nie byłby dobry pomysł.

Absolutnie nie byłby to dobry pomysł.

Jedno wyjście prowadziło na schody od frontu. Drugie z tyłu, na ogród należący do mieszkania na parterze położonego nad jego suteroną. Właściciel, wyglądający na wiecznie nawalonego faceta o rozwichrzonych włosach, z powodzeniem hodował tam rdzę i chwasty. Trzecie wyjście czekało na dzień Sądu Ostatecznego, który w końcu nadejdzie. Ukryte było za fałszywą ścianą ze sklejki, starannie i bez śladu pokrytą taką samą, brązową, kwiecistą tapetą jak reszta pokoju. Na niej, jak wszędzie na prawie całej powierzchni ścian, przyczepił wycinki z gazet, zdjęcia i fragmenty drzew genealogicznych.

Jedno zdjęcie było zupełnie nowe - dodał je zaledwie kwadrans temu. Miało duże ziarno i przedstawiało głowę i ramiona detektywa nadkomisarza Roya Grace'a. Wziął je z dzisiejszego „Argusa”, zeskanował, powiększył i wydrukował.

Teraz patrzył na policjanta. Patrzył w jego bystre oczy, na jego twarz wyrażającą determinację. *Zaczynasz być dla mnie problemem, detektywie nadkomisarzu Grace. Wkurzasz mnie. Będziemy musieli coś z tobą zrobić. Dać ci nauczkę. Nikt nie będzie mnie nazywał bestią.*

Nagle zaczął krzyczeć głośno:

- Nikt nie będzie mnie nazywał BESTIĄ, detektywie nadkomisarzu

Royu Grace z Wydziału Kryminalnego Policji Sussex. Rozumiesz? Jeszcze pożałujesz, że nazwałeś mnie bestią. Wiem, kogo kochasz.

Stał, dysząc ciężko, zaciskając w pięść i otwierając lewą dłoń.

Potem parę razy przeszedł się po pokoju, klucząc ostrożnie między czasopismami, podręcznikami i bebechami komputerów, które składał na podłodze, świadom, że okoliczności się zmieniły. Przyszło wezwanie z jego banku czasu. Nie mógł już pławić się w luksusie jako miliarder. Środki były na wyczerpaniu.

## Rozdział 48

Tuż przed 16.00 Holly Richardson stała przy kasie w najbardziej odjazdowym, nowym butik w Brighton, płacąc za wściekle drogą, za to bardzo skąpą, czarną sukienkę obszytą brylancikami, co do której zdecydowała, że w żadnym wypadku nie może iść dziś wieczorem na imprezę bez niej. Kupowała ją dzięki wsparciu finansowemu karty kredytowej Virgin, która dogodnie znalazła się pod jej drzwiami kilka dni temu. Następnie do kompletu otrzymała pin. Limit na jej karcie Barclay był wyczerpany i według jej obliczeń, przy obecnym poziomie wydatków, zarobki recepcjonistki pozwolą spłacić ją do końca gdzieś około dziewięćdziesiątych piątych urodzin.

Poślubienie kogoś bogatego to nie była ewentualność, to była konieczność.

I może dziś wieczorem *Pan Poważnie i Wspaniale Bardzo Bogaty, Lubiący Dziewczyny o Ciemnych, Kręconych Włosach, z Odrobinę Przydużymi Nosami* mógłby po prostu być na imprezie, na którą wybierała się z Sophie. Gość, który puszczał to party, był producentem muzycznym i dobrze mu się wiodło. Oszalającym dom w stylu mauretańskim stał przy samej plaży, o dwa domy dalej znajdował się ten, który Paul McCartney kupił dla swojej byłej ukochanej Heather.

I, o cholera! Właśnie przypomniała sobie, że wczoraj obiecała Sophie oddzwonić, kiedy wyjdzie od fryzjera, i zupełnie wyleciało jej to z głowy.

Trzymając za sznurkowe uszy wytworną torbę firmową sklepu ze swoim koszmarnie kosztownym zakupem, wyszła na ruchliwą East Street,



wygrzebała z torebki swoją maleńką nokię, najnowszy model, i wybrała numer Sophie. Od razu odezwała się poczta głosowa. Nagrała się z przeprosinami i propozycją, żeby spotkały się na drinka koło 19.00, a potem razem pojechały taksówką na imprezę. Kiedy skończyła, zadzwoniła na telefon stacjonarny w mieszkaniu Sophie. Tam też zgłosiła się automatyczna sekretarka.

*Zostawiła drugą wiadomość.*

## Rozdział 49

Roy Grace nie zostawił wiadomości. Nagrał się już wcześniej, dzwoniąc na domowy telefon Cleo, na jej telefon komórkowy, zostawił też wiadomość na automatycznej sekretarce w kostnicy. Teraz słuchał wesołego powitania poczty głosowej jej komórki po raz trzeci tego dnia. Rozłączył się. Najwyraźniej unikała go, wciąż obrażona o Sandy.

*Cholera, niech to szlag.*

Był wściekły na siebie za to, że tak niezręcznie rozegrał tę sprawę. Za okłamanie Cleo i nadużycie jej zaufania. Dobra, to było kłamstwo w dobrej wierze i tak dalej, ale na pytanie, które mu zadała, na to proste pytanie nie potrafił odpowiedzieć ani jej, ani sobie. Najtrudniejsze pytanie.

*Co będzie, jeżeli ją znajdziesz?*

Faktem było, że naprawdę nie wiedział. Tyle w tym było niewiadomych. Tyle różnych powodów, dla których ludzie znikają, a on znał większość z nich. Przerabiał to wiele razy z ludźmi z telefonu zaufania dla osób zaginionych i ich rodzin, a także z terapeutą, z którym spotykał się z przerwami przez wiele lat. W sercu trzymał się wątpliej nadziei, że Sandy żyje i cierpi na amnezję. To była całkiem realna możliwość w tych pierwszych dniach i tygodniach po jej zaginięciu, jednak teraz, po tylu latach, była to słomka zbyt cienka, żeby się jej uchwycić.

Różowa tarcza swatcha z białymi cyframi zawisła na białym pasku przed jego twarzą.

- Dałem taki mojej dziewięciolatce. Była w siódmym niebie, taka zachwycona, że aż piszczała, wie pan, co mam na myśli? - odpowiedział sprzedawca pochodzenia afrokaraibskiego, o jasnej skórze, po trzydziestce, elegancko ubrany i przyjazny, z włosami, które wyglądały jak pęczek połamanych sprężyn od zegarków.

Grace skupił się z powrotem na swoim zadaniu. Siostra zasugerowała mu, żeby na jutrzejsze urodziny kupił dla swojej córki chrzestnej zegarek. Zadzwoił do matki dziewczynki i upewnił się, że będzie to jedyny, jaki dostanie. Na szklanej ladzie leżało ich dziesięć. Jego problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, co dziewięcioletnia dziewczynka uzna za w porządku, a co za obrzydliwe. Naszły go wspomnienia własnego rozczarowania przy rozpakowywaniu drętwych prezentów wciskanych mu przez pełnych dobrych chęci rodziców chrzestnych. Skarpetki, szlafrok, sweter, drewniany model furgonetki dostawczej Harrodsa z lat 20. XX wieku, w którym nawet kółka się nie obracały.

Każdy zegarek był inny. Różowy z białą tarczą był najładniejszy, najdelikatniejszy.

- Nie wiem, co jest modne, a co nie w zegarkach. Czy dziewięcioletnia dziewczynka uzna, że ten jest w porządku?

- Człowieku, ten rządzi. Absolutnie. One wszystkie takie noszą. Widział pan kiedyś ten program w niedzielę rano na Channel Four?

Grace pokręcił głową.

- W zeszłym tygodniu był tam dzieciak z takim. Moja córka oszalała!

- Ile to kosztuje?

- Trzydzieści funtów. Do tego ładne pudełko.

Grace skinął głową i wyciągnął portfel. Przynajmniej jeden problem rozwiązany. Chociaż najmniejszy z tych, które się ostatnio nabierały.

Nieco większe problemy czekały go w sali konferencyjnej Sussex House, na odprawie o 18.30. Gorąco i duchota w sali były ostatnimi z nich. Obecnych było dwadzieścia dwoje członków zespołu, wszyscy bez marynarek i żakietów, większość mężczyzn, w tym Grace, w koszulach z

krótkimi rękawami. Drzwi zostawili otwarte, stwarzając złudzenie, że z korytarza napływa chłodniejsze powietrze, a dwa elektryczne wiatraki obracały się hałaśliwie i na próżno. Każdy się pocił. Kiedy tylko ostatnia osoba zajęła miejsce, przez ciemniejące niebo przetoczył się grzmot.

- No i proszę - powiedział Norman Potting, na którego kremowej koszuli widoczne były wielkie, mokre plamy. - Macie tu tradycyjne, angielskie lato. Dwa ładne dni, a potem burza z piorunami.

Kilka osób uśmiechnęło się, ale Grace prawie go nie słyszał, pogrążony w rozmaitych myślach. Cleo wciąż jeszcze nie oddzwaniała. Zrobił rezerwację na lot do Monachium o 7.00, jutro. Powrót o 21.15. Przynajmniej tam na miejscu miał zapewnioną pomoc. Mimo że nie rozmawiał z Marcelem Kullenem od ponad czterech lat, niemiecki detektyw oddzwonił do niego w ciągu godziny i - na ile Grace mógł się zorientować z jego niepewnej, łamanej angielszczyzny - nalegał, żeby osobiście odebrać go z lotniska. Pamiętał też, żeby odwołać niedzielny lunch u siostry - była zawiedziona, a Cleo zagniewana i milcząca.

- Jest 18.30, sobota, 5 sierpnia - poinformował oficjalnie zgromadzonych, czytając z notatek przygotowanych przez Eleanor Hodgson. - Czwarta odprawa Operacji Kameleon, drugi dzień śledztwa w sprawie śmierci pani Katherine Margaret Bishop, znanej jako Katie. Ciało znaleziono o 8.30, wczoraj rano. Podsumuję zdarzenia, jakie nastąpiły po incydencie.

Podsumowanie było krótkie, z pominięciem niektórych szczegółów. Zakończył je gniewnym stwierdzeniem, że ktoś przekazał kluczową informację o masce przeciwigazowej reporterowi „Argusa” Kevinowi Spinelli. Piorunując sałę wzrokiem, spytał:

- Czy ktoś wie, w jaki sposób dotarła do niego ta informacja?

Odpowiedzią były głupie miny.

Rozdrażniony z powodu gorąca, Cleo i w ogóle wszystkiego, wałnął pięścią w stół.

- To już drugi przeciek, jaki się zdarza w ciągu ostatnich miesięcy. - Rzucił okiem na swoją zastępczynię, inspektor Kim Murphy, która skinęła

głową, jakby dla potwierdzenia. - Nie mówię, że źródłem przecieku jest ktoś w tej sali - dodał. - Ale choćby się waliło i paliło, dowiem się, kto jest za to odpowiedzialny, i chcę, żebyście wszyscy mieli oczy otwarte, dobrze?

Wszyscy zgodnie przytaknęli. Krótki moment ciężkiej ciszy przerwała błyskawica i nagle mrugnięcie wszystkich świateł w sali. Po chwili znów zagrzmiało.

- Co do spraw organizacyjnych, to nie będę obecny na jutrzejszych odprawach. Poprowadzi je detektyw inspektor Murphy.

Kim Murphy jeszcze raz skinęła głową.

- Przez kilka godzin nie będzie mnie w kraju - ciągnął Grace. - Będę miał przy sobie telefon komórkowy i BlackBerry, więc cały czas można się będzie ze mną kontaktować telefonicznie i e-mailowo. Przejdźmy teraz do waszych indywidualnych raportów. - Zajrzał do notatek, żeby sprawdzić, jakie zadania zostały przydzielone, chociaż właściwie pamiętał większość, jeśli nie wszystkie z nich. - Norman?

Głos Pottinga był głębokim, chwilami mrukliwym charkotem, któremu chropowatości dodawało wiejskie, gardłowe „r”.

- Mam coś, co może być istotne, Roy - powiedział.

Grace dał mu znak, żeby kontynuował.

Potting, maniak jeśli chodzi o szczegóły, przekazywał informacje, posługując się dość oficjalnym i niezgrabnym słownictwem, jakiego mógłby używać, zeznając z miejsca dla świadków na sali sądowej.

- Prosięś, żebym sprawdził wszystkie kamery CCTV w rejonie. Przeglądałem w Vantage doniesienia o wszystkich incydentach odnotowanych w czwartkową noc i zauważyłem, że furgonetka hydraulika, której kradzież zgłoszono w Lewes we wtorek w godzinach popołudniowych, została odnaleziona jako porzucona na drodze dojazdowej do stacji benzynowej BP przyjezdni w kierunku zachodnim, na A27, dwie mile na wschód od Lewes, we wczesnych godzinach rannych w dniu wczorajszym.

Przerwał, żeby przerzucić parę stron swojego notatnika w linię.

- Podjąłem decyzję o zbadaniu sprawy, ponieważ odniosłem wrażenie, że jest to dziwne...

- Dlaczego? - natarła na niego detektyw sierżant Bella Moy.

Grace wiedział, że nie znosi Pottinga i wykorzysta każdą okazję, żeby go upokorzyć.

- No cóż, Bello, odniosłem wrażenie, że furgonetka pełna narzędzi hydraulicznych raczej nie jest pojazdem pierwszego wyboru dla większości tych, którzy chcieliby się przejechać - odparł Potting, wywołując szmer wesołości. Nawet Grace pozwolił sobie na nieznacznym uśmiech.

Bella z kamienną twarzą zripostowała:

- Ale mogłaby być dla nieuczciwego hydraulika.

- Nie przy sumach, jakie hydraulicy biorą za robotę. Oni wszyscy jeżdżą rollsami.

Tym razem śmiech był jeszcze głośniejszy. Grace podniósł rękę, aby go uciszyć.

- Czy możemy trzymać się tematu? Mamy do czynienia z bardzo poważną sprawą.

Potting ciągnął dalej:

- Po prostu czułem, że coś tu jest nie tak. Furgonetka hydraulika porzucona. Mniej więcej w tym samym czasie pani Bishop została zabita. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego jakoś to skojarzyłem. Nazwijmy to po prostu policyjnym nosem.

Spojrzał na Grace'a, który odpowiedział skinieniem głowy. Wiedział, o czym Potting mówi. Najlepsi policjanci mają instynkt. Intuicję. Potrafią powiedzieć - wywęszyć - czy coś jest w porządku, czy nie, z powodów, których nie są w stanie logicznie wytłumaczyć.

Bella po dziecinnemu patrzyła groźnie na Normana Pottinga, jakby chciała go wypłoszyć. Grace odnotował w pamięci, żeby potem porozmawiać z nią na temat jej postawy.

- Dziś rano udałem się na stację benzynową BP i poprosiłem o zezwolenie na zbadanie zapisów z kamery CCTV pokazującej teren stacji, z poprzedniej nocy. Obsługa nie miała obiekcji, częściowo dlatego, że

dwóch ludzi odjechało im bez płacenia. - Nagle Potting z satysfakcją spojrzął prosto na Belle. - Kamera zdejmuje jeden kadr co trzydzieści sekund. W badanym materiale natrafiłem na kabriolet bmw, który zajeżdżał na stację tuż przed północą i który, jak następnie sprawdziłem, należał do pani Bishop. Miałem też możliwość zidentyfikować kobietę idącą do sklepu na stacji jako panią Bishop.

- To może być istotne - powiedział Grace.

- Będzie jeszcze lepiej. - Teraz policyjny weteran wyglądał na jeszcze bardziej zadowolonego z siebie. - Następnie udałem się do rezydencji Bishopów przy Dyke Road Avenue i dokonałem oględzin wnętrza samochodu. W ich wyniku znalazłem bilet parkingowy wydany o 17.11 w czwartek przez parkomat na Southover Road w Lewes. Furgonetka została skradziona z parkingu za Cliffe High Street, około pięciu minut piechotą od tego miejsca.

Potting nie powiedział nic więcej. Grace przynaglił go: -I?

- Na tym etapie nie mogę dodać nic więcej, Roy. Mam jednak przeczucie, że zachodzi tu związek.

Grace zmierzył go poważnym wzrokiem. Potting, przy całej katastrofie, jaką było jego życie osobiste i niepoprawności politycznej wystarczającej, żeby rozjuszyć połowę Narodów Zjednoczonych, osiągał już wcześniej imponujące wyniki.

- Zajmuj się tym dalej - polecił i zwrócił się do detektywa Zafferone.

Alfonso Zafferone otrzymał ważne, ale żmudne zadanie opracowywania następstwa zdarzeń w czasie, w okresie przed odkryciem ciała Katie Bishop i po nim. Bezczelnie żując gumę, złożył sprawozdanie z efektów swojej współpracy z zespołem operatorów systemu HOLMES.

Młody detektyw ustalił, że Katie Bishop zaczęła dzień poprzedzający jej śmierć od godzinnej sesji ze swoim osobistym trenerem w domu. Grace odnotował, że należy go przesłuchać.

Następnie wstąpiła do salonu piękności w Brighton, gdzie zrobiono jej manicure. Grace zapisał, że trzeba przesłuchać personel. Potem był lunch w restauracji Havana, z damą o nazwisku Caroline Ash, organizatorką akcji

na rzecz stowarzyszenia charytatywnego niosącego pomoc dzieciom Rocking Horse Appeal.

Panie omawiały plany imprezy połączonej ze zbieraniem funduszy, która miała się odbyć w domu Bishopów przy Dyke Road Avenue we wrześniu. Grace zrobił notatkę o konieczności przesłuchania pani Ash.

Kolejnym punktem wyczerpującego dnia pani Bishop - jak powiedział Zafferone z wyraźnym sarkazmem - była wizyta u fryzjera o 15.00. Potem ślad się urywał. Informacja dostarczona przez Normana Pottinga stanowiła istotne uzupełnienie tej luki.

Kolejny raport składała ostatnio dokooptowana do zespołu Grace'a, dobiegająca czterdziestki, ostra i spostrzegawcza detektyw Pamela Buckley. Wiele osób stale myliło ją z funkcjonariuszką do spraw kontaktów z rodziną Lindą Buckley. Nie dość, że nosiły to samo nazwisko, to w dodatku były tak podobne, że mogłyby być siostrami. Obie miały blond włosy, Linda Buckley ostrzyżone krótko, po chłopięcemu, Pamela dłuższe, ale też mocno przycięte.

- Dotarłam do taksówkarza, który wiozł Briana Bishopa z Hotel du Vin do Lansdowne Place - powiedziała Pamela i zerknęła do notatnika. - Nazywa się Mark Tuckwell i jeździ w korporacji Hove Streamline. Nie pamięta, żeby Bishop zranił się w rękę.

- Czy Bishop mógł się zranić bez wiedzy kierowcy?

- To możliwe, ale mało prawdopodobne, panie nadkomisarzu. Powiedział, że Bishop milczał przez całą drogę. Jego zdaniem, gdyby się zranił, powiedziałby coś.

Grace skinął głową, notując, bez przekonania, że dokądś ich to zaprowadzi.

Bella Moy dokonała szczegółowej charakterystyki Katie i Briana Bishopów. Katie Bishop nie wypadła tu szczególnie dobrze. Przedtem była dwukrotnie zamężna. Po raz pierwszy wyszła za kiepskiego wokalistę rockowego, kiedy miała osiemnaście lat. Rozwiodła się z nim w wieku dwudziestu dwóch lat, po czym poślubiła bogatego dewelopera z Brighton, z którym rozwiodła się po sześciu latach, mając dwadzieścia osiem lat.



Bella skontaktowała się z obydwojma mężczyznami, którzy określili ją niepocholebnie, jako mającą obsesję na punkcie pieniędzy. Dwa lata później wyszła za Briana Bishopa.

- Dlaczego nie miała żadnych dzieci? - spytał Grace.
- Miała dwie aborcje ze swoim rockmenem. Deweloper miał już czwórkę dzieci i nie chciał więcej.
- Czy z tego powodu rozwiodła się z nim?
- Tak mi powiedział - potwierdziła Pamela.
- Jak na tym wyszła finansowo?
- Powiedział, że dostała około dwóch milionów.

Grace znów zanotował, po czym powiedział:

- Ona i Brian Bishop byli małżeństwem przez pięć lat. Nie wiemy, co było powodem, że nie mieli dzieci. Musimy go spytać. Mógł tu być jakiś problem między nimi.

Następny na liście Grace'a był detektyw sierżant Guy Batchelor. Jedną ze zleconych mu czynności było dokładne przeszukanie domu Bishopów w Brighton, kiedy tylko ekipa kryminalistyczna skończy, a do tego czasu koordynacja działań.

- Mam coś, co może mieć znaczenie - powiedział Batchelor. Podniósł w górę czerwony segregator z wystającą zakładką. Otworzył go i wyjął plik spiętych razem kartek formatu A4 z logo banku HSBC. - Ekipa kryminalistyczna znalazła to w szafie na dokumenty, w gabinecie Bishopa. To polisa ubezpieczenia na życie, sporządzona sześć miesięcy temu, na nazwisko pani Bishop. Suma ubezpieczenia: trzy miliony funtów.

## Rozdział 50

*Większość z nas wpada na jakiś WIELKI POMYSŁ w którymś momencie życia. W momencie ośnienia. Nachodzi nas ono w różny sposób, często przez przypadek lub szczęśliwy zbieg okoliczności.*

*Alexander Fleming doznał go, kiedy zostawił jakieś bakterie na noc w laboratorium i w efekcie wynalazł penicylinę. Steve Jobs doznał ośnienia, kiedy któregoś dnia spojrzął na zegarek Swatch i doszedł do wniosku, że komputery w różnych kolorach są przyszłością firmy Apple. Bill Gates też musiał doświadczyć takiego momentu.*

*Czasami te pomysły przychodzą nam do głowy, kiedy najmniej się tego spodziewamy: kiedy leżymy w wannie, dumając o tym czy owym, kiedy budzimy się zupełnie przytomni w środku nocy albo po prostu, kiedy siedzimy przy biurku w pracy. Pomysł, na który nikt przed nami jeszcze nie wpadł. Pomysł, który przyniesie nam bogactwo i zakończy codzienną harówkę, całe to gówno, z którym musimy się zmagać. Pomysł, który zmieni nasze życie i wyzwoli nas!*

*Ja miałem swój w sobotę 25 maja 1996 roku o 23.25. Nienawidziłem mojej pracy programisty w firmie w Coventry zajmującej się projektowaniem skrzyń biegów do samochodów wyścigowych.*

*Zastanawiałem się, jak pozbierać do kupy swoje życie, mając świadomość, że niedługo skończę trzydzieści dwa lata, a nie zanoszę się, żeby ułożyło mi się lepiej. Wracałem lotem czarterowym z byle jakiego, tygodniowego urlopu w Hiszpanii, kiedy nagle na lotnisku w Maladze zaczął się strajk i żaden samolot nie mógł wystartować.*

*Personel naziemny usiłował umieścić nas na noc w hotelach, ale sprawa była beznadziejna. Dziewczyna ze stanowiska firmy obsługującej loty czarterowe starała się znaleźć pokoje dla 280 osób.*

*Pracownicy wszystkich linii lotniczych robili to samo dla swoich uziemionych pasażerów. Jakieś trzy czy cztery tysiące ludzi zostało na lodzie i nie było możliwości, żeby udało się ich wszystkich gdzieś poupychać.*

*Leżałem na ławce w poczekalni hali odlotów. I wtedy miałem swój moment! Jeden program komputerowy zainstalowany we wszystkich lokalnych hotelach i wszystkich liniach lotniczych mógłby rozwiązać ich problemy. Natychmiastowy wzrost zysków dla hoteli, natychmiastowe zakończenie koszmaru dla linii lotniczych. Potem zacząłem myśleć o innych zastosowaniach, nie tylko na wypadek odwołanych lotów. Każda organizacja, która musi rozlokować dużą liczbę ludzi, i każda organizacja, która ma miejsca do sprzedania. Biura podróży, więzienia, szpitale, agencje rządowe odpowiedzialne za pomoc w razie katastrofy, siły zbrojne - wszystko to byli potencjalni klienci.*

*Znalazłem moją żylę złota.*

## Rozdział 51

Przyływ zbliżał się do wybrzeża Brighton i Hove, ale wciąż szeroka połączona odsłoniętej błotnej równiny dzieliła kamienistą plażę od spienionej fali przybojowej. Mimo że dochodziła 20.30 i słońce szybko zapadało za horyzont, na plaży nadal było dużo ludzi.

Słodki dym z grilla mieszał się z zapachem soli, wodorostów i smoły. Dźwięki blaszanych bębnów ujaranej trawą grupy grającej na promenadzie niosły się w ciepłym, nieruchomym powietrzu. Dwoje małych, gołych dzieci grzebało plastikowymi łopatkami w błocie, wspomaganych przez pulchnego, spieczonego na słońcu mężczyznę w krzykliwych szortach i czapce bejsbolowej, który dodawał kolejną warstwę do już nieźle wyglądającego zamku z piasku.

Dwoje młodych kochanków, w szortach i T-shirtach, szło bosą po chłodnym, mokrym błocie. Stąpali po zwiniętych, martwych piaskówkach, odwróconych muszelkach, pasmach wodorostów, ostrożnie omijając leżącą gdzieś zardzewiałą puszkę, wyrzuconą butelkę lub puste, plastikowe pudełko. Mieli mocno splecione dłonie i co kilka kroków przystawali, żeby się całować. W wolnej ręce każde niosło japonki.

Beztroscy, uśmiechnięci, minęli starszego mężczyznę w wygniecionym, białym kapeluszu naciągniętym mocno na uszy, zataczającego przed sobą łuki wykrywaczem metali trzymanym kilka cali nad powierzchnią błota. Następnie przeszli koło chłopaka w wysokich kaloszach, spodniach khaki i wypuszczonej na wierzch, rozpiętej koszuli. Obok niego, na ziemi stała torba wędkarska. Wykopywał robaki na przynętę ogrodowym szpadlem,

z którego strząsał je do gumowego wiadra.

W niewielkiej odległości przed nimi szerniały dźwigary zburzonego Zachodniego Mola wznosiły się z płycizny w blednym świetle jak niesamowita rzeźba. Woda zdawała się teraz przybierać coraz szybciej, w coraz większym pośpiechu, fala przyboju stawała się coraz większa, coraz głośniejsza.

Dziewczyna z piskiem próbowała odciągnąć chłopaka w kierunku brzegu, kiedy woda nagle podeszła bliżej niż przedtem, zakrywając jej bosc stopy.

- Będę mokra, Ben!

- Tamara, nie bądź tchórz! - odpowiedział, trzymając się mocno na nogach, kiedy kolejna fala, sięgająca jeszcze bliżej, załala ich po kostki, a trzecia po kolana. Wskazał w kierunku horyzontu, na purpurową kulę słońca. - Patrz na zachód słońca. Będzie zielony błysk, kiedy dojdzie do horyzontu. Widziałaś to kiedyś?

Ale ona nie patrzyła na słońce. Patrzyła na kłodę drewna, która przetaczała się w falach. Na kłodę z długimi pasmami wodorostów uczepionymi jej końca, unoszącymi się na wodzie. Wielka, rycząca fala wessała kłodę z powrotem. I przez mgnienie oka, kiedy kłoda obracała się w wodzie, widziała twarz. Ręce i nogi. Uświadomiła sobie, że to na końcu, to nie były wodorosty. To były ludzkie włosy.

Wrzasnęła.

Ben puścił jej rękę i wbiegł w wodę. Fala rozbiła się o jego kolana, spryskując mu tułów i twarz, krople wody na szklach okularów przeciwsłonecznych utrudniały mu widzenie. Ciało przetoczyło się znowu - naga kobieta z częściowo wyżartą twarzą, o skórze barwy wosku. Cofająca się fala już odciągała ją od Bena, jakby ocean zabierał ją sobie z powrotem, jakby przedstawił ją jedynie do krótkich oględzin.

Chłopak rzucił się do przodu - woda sięgała mu do ud, kolejna fala rozprysła się wokół niego, mocząc go kompletnie - chwycił rękę w nadgarstku i mocno pociągnął do siebie. Skóra była w dotyku zimna i oślizgła, gładka. Wzdrygnął się, ale nie puścił. Wyglądała na drobną,

jednak musząc przeciwstawić się sile oceanu, która ciągnęła ją z powrotem, miał wrażenie, że jest ciężka jak ołów. Pociągnął do siebie, podejmując tę ponurą próbę sił.

- Tam! - krzyknął. - Wezwij kogoś na pomoc! Zadzwoń na 999!

Nagle, wciąż mocno trzymając za nadgarstek, przewrócił się.

Upadł na plecy w błoto, a fala z ogłuszającym rykiem, mlaskaniem i bulgotem przetoczyła się przez niego, zalewając mu twarz. Teraz do jego uszu dotarł inny dźwięk, stłumiony, przerywany skowyt, coraz głośniejszy, wyczerpany, przeszywający.

To była Tamara. Stała zeszywniała, z przerażonymi oczami wychodzącymi z orbit, z otwartymi ustami, przez które z samej jej głębi wydobywał się wrzask.

Ben nie zorientował się jeszcze, że ręka, którą trzymał, oderwała się zupełnie od reszty ciała.

## Rozdział 52

Telefon Cleo dzwonił. Jej domowy telefon stacjonarny. Wyciągnęła się na sofie, żeby zobaczyć na wyświetlaczu, kto dzwoni. To był numer telefonu komórkowego Grace'a.

Pozwoliła, żeby sobie dzwonił. Czekala. Cztery sygnały. Pięć. Sześć. Potem włączyła się poczta głosowa i dzwonięcie ustało. To musiał być czwarty, może nawet piąty dziś telefon od niego na ten numer. Plus wszystkie na komórkę.

Zachowywała się dziecinnie, nie odbierając, wiedziała o tym i wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała się odezwać, ale wciąż nie była pewna, co chce mu powiedzieć.

Z ciężkim sercem wzięła do ręki kieliszek od wina i zobaczyła, ku swemu zaskoczeniu, że jest pusty. Znowu. Uniosła butelkę chilijskiego sauvignon blanc i zobaczyła, ku jeszcze większemu swojemu zaskoczeniu, że zostało w niej nie więcej, jak na dwa cale.

- Cholera - powiedziała, nalewając. Wino ledwo zakryło dno jej dużego kieliszka.

Miała dyżur w ten weekend, co znaczyło, że nie powinna pić za dużo, jeśli w ogóle, ponieważ mogła zostać wezwana o każdej porze dnia i nocy. Dziś jednak bardzo potrzebowała alkoholu. To był gówniany dzień. *Naprawdę* gówniany dzień. Po kłótni z Royem i całkowicie bezsennej reszcie nocy wezwano ją o 10.00 do kostnicy, gdzie musiała przyjąć ciało sześcioletniej dziewczynki śmiertelnie potrąconej przez samochód.

W ciągu ośmiu lat pracy w tym zawodzie uodporniła się na większość rzeczy, ale nie na widok ciał dzieci. To ją ruszało za każdym razem. Tego rodzaju żałoba, jaką ludzie przeżywają po stracie dziecka, wydawała się inna, jakoś głębsza niż po stracie najbardziej ukochanej osoby dorosłej, tak jakby to, że dziecko może zostać wydarte z czyjegoś życia było zupełnie nie do pojęcia. Nie znosiła patrzeć, jak przedsiębiorca pogrzebowy wnosi małą trumienkę, i nie znosiła tych sekcji. Sekcja tej dziewczynki wyznaczona była na poniedziałek, czyli czekał ją wspałały poniedziałkowy ranek.

Potem, po południu, musiała jechać do smutnego mieszkania w jednym z podupadłych domów szeregowych w pobliżu stacji kolejowej w Hove i zabrać zwłoki starszej pani, które leżały tam co najmniej od miesiąca, jak orzekł jej kolega Walter Horden, sądząc po ich stanie i stopniu, w jakim zaatakowane były przez muchy i larwy.

Walter pojechał z nią furgonetką koronera, którą prowadził.

Wymuskany, szarmancki mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, zawsze w eleganckim garniturze, wyglądał na kogoś, kto pracuje w City. Oficjalnie pełnił funkcję szefa cmentarzy w Brighton i Hove, ale do jego obowiązków zaliczała się też pomoc w odbieraniu zwłok z miejsca śmierci i załatwianie mnóstwa dokumentów towarzyszących za każdym razem tej procedurze.

Walter i Darren ostatnio rywalizowali ze sobą o to, który z większą dokładnością oszacuje czas śmierci. Nie jest to wiedza ścisła, należy uwzględnić pogodę i szereg innych czynników, a zadanie jest tym trudniejsze, im więcej czasu minęło. Liczenie stadiów cyklu życiowego pewnych owadów jest jedną ze wskazówek, nieprzyjemną i bardzo zgrubsza. Walter Horden uczył się tego ze strony internetowej poświęconej medycynie sądowej.

Wreszcie, zaledwie dwie godziny temu, odebrała rozpaczliwy telefon od swojej siostry Charlie, którą uwielbiała. Facet, z którym była przez ponad pół roku, właśnie ją rzucił. Dwudziestosiedmioletnia Charlie była od niej o



dwa lata młodsza. Śliczna i pełna temperamentu, zawsze miała skłonność do niewłaściwych mężczyzn.

Tak samo jak ona, zauważyła bardziej ze smutkiem niż z goryczą. W październiku stuknie jej trzydziestka. Jej najlepsza przyjaciółka Millie - *Szalona Millie*, jak ją nazywano, kiedy jeszcze były zbuntowanymi nastolatkami w Roedean School - teraz ustatkowała się, wyszła za byłego oficera marynarki, który zbił majątek na organizowaniu konferencji, i właśnie spodziewała się drugiego dziecka. Cleo była matką chrzestną pierwszego, Jessiki, jak również dwojga innych dzieci starych, szkolnych przyjaciółek. Zaczynała mieć poczucie, że to jest jej w życiu pisane. Matka chrzestna wykonująca dziwną pracę, która nie jest w stanie zrobić nic *normalnego*, nawet utrzymać *normalnego* związku.

Tak jak z Richardem, adwokatem, z którym zakochali się w sobie szaleńczo, kiedy przyszedł do kostnicy zobaczyć zwłoki mające związek ze sprawą, w której był obrońcą. Dopiero kiedy byli już zaręczeni, dwa lata później, zrobił jej *wielką niespodziankę*. Odnalazł Boga. I to stało się problemem.

Z początku zdawało się jej, że sobie z tym poradzi. Jednak po wzięciu udziału w szeregu charyzmatycznych nabożeństw kościelnych, podczas których ludzie rzucali się na ziemię, nawiedzeni przez Ducha Świętego, zaczęła zdawać sobie sprawę, że nigdy nie będzie w stanie w to wejść. Zbyt wiele widziała niesprawiedliwych śmierci. Zbyt wiele dzieci. Zbyt wiele ciał młodych, pięknych ludzi zmiażdżonych lub, co gorsza, spalonych w wypadkach samochodowych. Albo zmarłych z przedawkowania narkotyków, celowego lub przypadkowego. Albo przyzwoitych mężczyzn i kobiet, w średnim wieku, którzy zginęli w swoich kuchniach, spadając z krzeseł czy podłączając urządzenia elektryczne. Albo łagodnych starsuszków rozjechanych przez autobus przy przechodzeniu przez ulicę lub zmarłych na zawał serca czy udar.

Pilnie śledziła wiadomości. Widziała doniesienia o młodych dziewczynach w krajach afrykańskich, które były zbiorowo gwałcone, po

czym miały wetknięty w pochwę nóż albo rewolwer, którego spust ktoś następnie naciskał.

Tak więc przykro jej, jak musiała powiedzieć Richardowi, ale po prostu nie umie zaakceptować miłosiernego Boga, który pozwala, żeby działy się takie rzeczy.

W odpowiedzi Richard wziął ją za rękę i nakazał jej modlić się do Boga, żeby pomógł jej zrozumieć *Jego wolę*.

Kiedy to nie poskutkowało, zaczął nachodzić ją gorliwie i niestrudzenie, bombardując ją na zmianę miłością i nienawiścią.

Potem Roy Grace, którego od dawna uważała za naprawdę przyzwoitego człowieka, jak również za niezmiernie atrakcyjnego mężczyznę, nagle, tego lata, stał się częścią jej życia. Zaczęła nawet wierzyć, być może naiwnie, że rzeczywiście są bratnimi duszami. Aż do tego ranka, kiedy uświadomiła sobie, że nie jest niczym więcej, jak tylko chwilowym substytutem upiora. To wszystko, czym kiedykolwiek mogłaby być w tym związku.

Wszystkie części dzisiejszego „Timesa” i „Guardiana” leżały rozłożone obok niej na sofie, w większości nieprzeczytane. Wciąż próbowała usiąść do roboty nad swoimi studiami na Otwartym Uniwersytecie, ale nie była w stanie się skupić. Ani na tym, ani na swojej nowej książce, powieści Margaret Atwood „Opowieść podręcznej”, którą od lat chciała przeczytać i wreszcie kupiła tego popołudnia w swojej ulubionej księgarni City Books w Hove. Cztery razy zaczynała czytać pierwszą stronę, ale słowa do niej nie docierały.

Z ociąganiem, ponieważ nie znosiła marnotrawstwa czasu - a telewizja na ogół była dla niej właśnie tym - sięgnęła po pilota i zaczęła przerzucać kanały satelitarne. Sprawdziła Discovery, mając nadzieję, że trafi na dokumentalny film przyrodniczy, ale jakiś wyglądający jak skamienielina profesor wypowiadał się autorytatywnie na temat warstw skorupy ziemskiej. Interesujące, ale *nie dzisiaj*, *Josephine*.

Znów zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz, jednak numer był zastrzeżony. Prawie na pewno z pracy. Odebrała.

Dzwonił dyspozytor z policyjnej centrali w Brighton. Morze wyrzuciło zwłoki na plażę, koło Zachodniego Mola. Była proszona do kostnicy, do towarzystwa im.

Rozłączyła się i szybko dokonała obliczeń. Kiedy otworzyła butelkę wina? Około 18.00. Cztery i pół godziny temu. Dwie jednostki alkoholu to dla kobiety granica, powyżej której nie wolno jej prowadzić samochodu. Butelka wina zawiera sześć standardowych jednostek. Organizm spala jedną na godzinę. Może jechać, mniej więcej.

Pięć minut później wyszła z domu, przeszła ulicą do swojego sportowego mg i otworzyła drzwi.

Kiedy wsiadała i gmerała przy pasie, jakaś postać wyłoniła się z cienia w obramowaniu wejścia do sklepu kawalek dalej i kilkoma krótkimi krokami przeszła do swojego samochodu. Cleo uruchomiła silnik, zwiększyła obroty i ruszyła. Mała czarna toyota prius na napędzie elektrycznym cicho pomknęła za nią w ciemność.

## Rozdział 53

Dotąd, nikt nie powiedział słowa na temat jej sukienki. Ani Suzanne-Marie, ani Mandy, ani Cat, żadna z przyjaciółek, na które wpadła tego wieczoru na imprezie. Wszystkie zdawały się jej nie zauważać. Było to bardzo niezwykle. Czteryście pięćdziesiąt funtów i żadnego komentarza. Może po prostu z zazdrości.

A może wyglądała w niej fatalnie?

*Pieprzyć je. Suki!* Przechodząc do innego pokoju, w którym pulsowały kolorowe światła, było pełno ludzi, dudniła muzyka, a powietrze było ciężkie od ostrego, gumowego zapachu haszyszu, Holly wysączyła resztki swojego trzeciego brzoskwiniowego martini i zorientowała się, że zaczyna się czuć zdecydowanie nawalona.

Przynajmniej faceci ją zauważali.

Czarna, obszyta diamencikami sukienka wydawała się jeszcze bardziej skąpa niż w sklepie. Była tak wycięta z przodu, że nie sposób było założyć pod nią stanika, ale przecież, do cholery, ma świetne cycki, więc czemu nie miałyby ich pokazać? Tak samo sukienka, a raczej jej brak, umożliwiała jej pokazanie nóg, niemal każdego ich cala. Prawie do pępka? Czują się w niej świetnie, łajdacko świetnie!

- Wporzo kiecka. Skąd jesteś?

Facet cedzący słowa przez ostre, drobne zęby, które przypominały jej zęby piranii, zastąpił jej drogę. Dym z jego papierosa wionął jej w oko. Ubrany był w czarne, skórzane spodnie i obcisły, czarny T-shirt. Miał

pasek z kryształami górskimi i duży, złoty kolczyk. Miał też jedną z najgłupszych fryzur, jakie widziała w życiu.

- Z Marsa - powiedziała, wymijając go i rozglądając się, bo coraz bardziej niepokoiła się o Sophie.

- Z północy czy z południa? - wycedził, ale ledwo go słyszała.

Sophie nie odpowiedziała na jej dwie wiadomości z propozycją spotkania na drinka przed imprezą i wspólnego przyjazdu taksówką. Była 22.30. Chyba powinna już tu dotrzeć do tej pory?

Przeciskając się przez tłum i rozglądając się za przyjaciółką, dobrnęła do otwartych, przeszklonych drzwi i wyszła na stosunkowo spokojny taras. Jakaś para siedziała na ławce, poważnie zajęta wzajemną wymianą migdałków. Potężny facet z długimi, jasnymi włosami gapił się na plażę, raz za razem pociągając nosem. Holly wygrzebała telefon z torebki i sprawdziła, czy nie przeoczyła SMS-a, ale żadnego nie było. Wybrała numer komórki Sophie.

Znów tylko poczta głosowa.

Spróbowała na domowy. To samo.

- A, tu jesteś! Straciłem cię z oczu! - Jego ostre siekacze połyskiwały demonicznie w błyskach stroboskopu. - Wyszłaś na powietrze?

- A teraz wracam do środka - powiedziała, wchodząc z powrotem w ścisk.

Martwiła się, bo Sophie była słowna. To było do niej niepodobne.

Ale nie martwiła się aż tak bardzo, żeby miało jej to przeszkodzić w dobrej zabawie.

## Rozdział 54

Z powodu problemu z klapą luku bagażowego samolot wystartował z półgodzinnym opóźnieniem. Roy Grace przez całą podróż siedział wyprostowany w fotelu, bo nawet nie przyszło mu do głowy, żeby opuścić oparcie, i gapił się przez okno na nity na szarym metalu wypukłości obudowy prawego silnika.

Przez dwie wlokące się w nieskończoność godziny w powietrzu nie był w stanie skupić się na dłużej dla zabicia czasu na niczym, poza uczeniem się na pamięć planu centrum Monachium.

Kartonowe pudełko zawierające plastikową folię i puste opakowanie po niesmacznym rogaliku z serem, który zjadł wyłącznie z głodu, oraz resztki drugiej, gorzkiej kawy, którą wypił, chwiała się na stoliku, kiedy samolot zaczął przebijać się przez chmury, schodząc wreszcie do lądowania.

Był sfrustrowany stratą tych cennych trzydziestu minut, które uszczupliły i tak krótki czas, jaki miał do dyspozycji. Wpatrując się w ukazujący się w dole krajobraz, prawie nie zauważył dłoni stewardesy, które sięgnęły mu przed nosem, żeby uprzątnąć śmieci po śniadaniu

W jego bezkres.

Poczuł trzepotanie w żołądku, kiedy po raz pierwszy w życiu ujrzał niemiecką ziemię. Patchwork brązowych, żółtych i zielonych prostokątów płaskich pól rozciągał się na bezkresnej, jak się zdawało, równinie bez horyzontu. Widział małe skupiska białych domów z czerwonymi i brązowymi dachami, zagajniki, szmaragdową zieleń drzew, tak soczystą, że

wyglądały jakby namalowane sprayem. Potem miasteczko. Więcej skupisk domów mieszkalnych i budynków.

Zaczęła go ogarniać wielka, niemożliwa do opanowania panika. Czy w ogóle rozpozna Sandy, jeżeli ją zobaczy? Bywały dni, kiedy nie mógł już przypomnieć sobie jej twarzy bez spojrzenia na fotografię, tak jakby czas powoli wymazywał ją z jego pamięci.

A jeżeli była tam, na dole, gdzieś w tym rozległym krajobrazie, to gdzie? W mieście, które mu się jeszcze nie ukazało? W którejś z odległych wiosek przesuwających się powoli pod samolotem? Czy Sandy żyła własnym życiem w tym szerokim, otwartym krajobrazie, nad którym przelatywał? Anonimowa, niemiecka hausfrau, której pochodzenia nikt nigdy nie kwestionował?

Znów pojawiły się przed nim dłonie stewardesy, składające szary stolik i przekraczające przytrzymujący go kołeczek. Ziemia była coraz bliżej, budynki coraz większe. Mógł już dostrzec samochody na drogach. Usłyszał z głośników głos kapitana nakazujący personelowi pokładowemu zajęcie miejsc na czas lądowania.

Następnie kapitan podziękował pasażerom, że wybrali British Airways, i życzył im miłego pobytu w Monachium. Dla Grace'a jeszcze kilka dni temu Monachium było jedynie nazwą na mapie. Nazwą z tytułów gazetowych w najgłębszych zakamarkach pamięci. Nazwą z telewizyjnych filmów dokumentalnych. Nazwą z lekcji historii w szkole. Miejscem, gdzie dalecy krewni Sandy z przeszłości, od której była odcięta, i których on nigdy nie spotkał, wciąż mieszkali.

To w Monachium osiedlił się Adolf Hitler i tu jako młody człowiek został aresztowany za próbę przewrotu. To w Monachium w 1958 roku połowa drużyny piłkarskiej Manchesteru United zginęła, kiedy samolot rozbił się na pokrytym śniegiem pasie startowym. To w Monachium Igrzyska Olimpijskie w 1972 roku ponuro zapisały się w historii masakrą jedenastu sportowców izraelskich dokonaną przez arabskich terrorystów.

Samolot ciężko dotknął ziemi i po chwili Grace poczuł, jak pas wrzyna mu się w brzuch przy hamowaniu. Silniki zaryczały na ciąg wstecznym, samolot wytracił prędkość do łagodnej prędkości kołowania. Minęli rękaw pokazujący kierunek wiatru i kadłub starego, rdzewiejącego samolotu z zapadniętym podwoziem. Z głośników dobiegły informacje dla pasażerów przesiadających się na inne loty. Roy Grace miał poczucie, jakby trzepotanie w żołądku podeszło mu do gardła.

Mężczyzna siedzący obok, którego prawie nie zauważył, włączył swój telefon komórkowy. Grace wygrzebał swój z kieszeni kremowej, Inianej marynarki i też włączył. Spojrzał na wyświetlacz z nadzieją na SMS-a od Cleo. Wokół słyszał pikanie przychodzących SMS-ów. Nagle i jego telefon zapikał. Serce podskoczyło mu, a potem opadło. To była tylko wiadomość od niemieckiego operatora sieci komórkowej.

Podczas niespokojnej nocy budził się kilka razy i leżał, rozważając nerwowo, w co się ubrać. Wiedział, że to śmieszne, bo w głębi duszy czuł, że nie zobaczy dziś Sandy, nawet jeżeli rzeczywiście gdzieś tu była. Mimo to chciał wyglądać jak najlepiej, tak na wszelki wypadek... Chciał wyglądać - i pachnieć - tak, jak mogłaby go pamiętać. Kupowała mu wodę kolońską Bulgari i wciąż miał butelkę. Tego ranka spryskał się nią cały. Włożył biały T-shirt, na to kremową marynarkę. Cienkie džinsy, ponieważ sprawdził temperaturę w Monachium - miało być dwadzieścia osiem stopni. Wygodne buty sportowe, ponieważ przewidywał, że będzie musiał dużo chodzić.

Nawet tak przygotowany, był zaskoczony duszącym, lepkiem, pachnącym naftą upałem, który otoczył go, kiedy schodził po schodkach z samolotu i szedł po asfalcie do czekającego autobusu. Kilka minut później, bez bagażu, tuż po 10.15 lokalnego czasu wyszedł ze spokojnej i cichej sali odpraw celnych do hali przylotów i natychmiast dostrzegł wysokiego, uśmiechniętego Marcela Kullena.

Niemiecki detektyw miał przycięte, falujące, czarne włosy z kilkoma dłuższymi pasmami opadającymi na czoło i szeroki uśmiech na



prostodusznej twarzy. Ubrany był swobodnie, w lekką, brązową kurtkę do pasa, żółtą koszulkę polo, workowate džinsy i brązowe, skórzane mokasyny. Mocno ściskając wyciągniętą rękę Grace'a obiema dłońmi, powiedział ze swoją gardłową wymową:

- Roy, prawie cię nie poznałem. Tak młodo wyglądasz!
- Ty też!

Grace był wzruszony ciepłym powitaniem ze strony człowieka, którego wcale aż tak dobrze nie znał. Właściwie, to tak był owładnięty emocjami wynikającymi z sytuacji, w jakiej się znalazł, że nagle, zupełnie nietypowo dla siebie, był bliski łez.

Wymieniali grzeczności, idąc przez prawie pusty budynek, po czarno-białej szachownicy posadzki. Angielszczyzna Kullena była dobra, ale trochę czasu zajęło Grace'owi przyzwyczajenie się do jego akcentu. Minęli jedną osobę ciągnącą małą walizkę na kółkach i pasiastą markizę, pod którą mieścił się sklep z upominkami, po czym wyszli na zewnątrz, w duszący upał i przeszli wzdłuż rzędu kremowych taksówek, głównie mercedesów. Podczas krótkiego przejścia do parkingu Grace porównywał niemal podmiejski spokój tego lotniska ze zgiełkiem i zamieszaniem na Heathrow czy Gatwick. To tutaj sprawiało wrażenie miasta widma.

Niemcowi właśnie urodziło się trzecie dziecko, chłopiec, i jeżeli starczy czasu, miał nadzieję przywieźć Grace'a do domu, żeby poznał jego rodzinę, jak go poinformował z szerokim uśmiechem. Grace, siedząc na pokrytym popękana skórą fotelu pasażera w jego starożytnym, ale lśniącym BMW serii 5, odpowiedział, że ma na to wielką ochotę. Jednak w duchu wcale się do tego nie palił. Nie przyjechał tu w celach towarzyskich. Chciał wykorzystać każdą cenną chwilę na szukanie śladu Sandy.

Pożądany powiew chłodnego powietrza dmuchał mu w twarz z astmatycznej klimatyzacji, kiedy wyjechawszy z lotniska, jechali przez wiejski krajobraz, który oglądał z samolotu. Wyglądał przez okna, czując się przytłoczony daremnością tego wszystkiego. Zdał sobie sprawę, że nie przemyślał tego jak należy. Co on, u diabła, miał nadzieję osiągnąć w ciągu jednego dnia?

Migały tablice drogowe, niebieskie z białymi napisami. Jedna wskazywała drogę na lotnisko Franza Josepha Straussa, które właśnie opuścili, na innej odczytał słowo *München*. Kullen nie przestawał gadać, wspominając nazwiska oficerów, z którymi pracował w Sussex. Grace opowiadał mu o każdym z nich najlepiej, jak potrafił, rozdarty między myślą o zabójstwie Katie Bishop, troską o swój związek z Cleo i próbą skupienia się na czekającym go dziś zadaniu. Przez chwilę śledził wzrokiem srebrno-czerwony pociąg S-bahnu jadący równoległe z nimi.

Nagle w głosie Kullena zabrzmiało ożywienie. Grace dosłyszał słowo *futbol*. Po prawej zobaczył potężny, nowy, biały stadion w kształcie opony, z umieszczonym na nim wielkim, niebieskim napisem *Allianz Arena*. Za nim, na kopcu wyglądającym na sztuczny, wznosił się pojedynczy, biały wiatrak elektrowni wiatrowej.

- Pokażę ci trochę okolicę, żebyś się wczuł w Monachium, potem pojedziemy do biura i do Englischer Garten? - zaproponował Kullen.

- Dobry plan.
- Zrobiłeś listę?
- Tak.

Porucznik Kullen sugerował, żeby przed przyjazdem Grace sporządził listę zainteresowań Sandy. Mogliby wtedy odwiedzić miejsca, w których mogła bywać. Grace zajrzał do notesu. To była długa lista. Książki. Jazz. Simply Red. Rod Stewart. Taniec.

Jedzenie. Starocie. Ogrodnictwo. Filmy, zwłaszcza wszystko z Bradem Pittem, Bruceem Willisem, Jackiem Nicholsonem, Woodym Allenem i Piercem...

Wtem zadzwonił jego telefon. Wyciągnął go z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz, mając nadzieję, że zobaczy któryś z numerów Cleo.

Ale numer był zastrzeżony.

## Rozdział 55

W niedzielę rano o 10.15 David Curtis, młody policjant na praktyce, był w połowie zmiany swojego drugiego dnia w Brighton. Wysoki, poważny dziewiętnastolatek o brązowych włosach, krótkich i uładzonych, aczkolwiek z pewnym ukłonem w kierunku mody, siedział na fotelu pasażera w policyjnym patrolowym vauxhallu, w którego wnętrzu pozostał zapach frytek z minionej nocy, prowadzonym przez największego nudziarza na posterunku przy John Street.

Sierżant Bill Norris, kędzierzawy, z twarzy przypominający mopsa, po pięćdziesiątce, wszędzie był, wszystko widział i wszystko robił, ale nigdy nie dość dobrze, żeby awansować powyżej stopnia sierżanta. Teraz, na kilka miesięcy przed emeryturą, z satysfakcją wprowadzał młodziaka w obowiązki zawodowe. A może słuszniej byłoby powiedzieć, że czerpał przyjemność z faktu, że trafił mu się podległy słuchacz wszystkich opowieści z pola bitwy, których nikt już nie chciał słuchać po raz kolejny.

Jechali powoli zaśmieconą West Street. Wszystkie kluby były o tej porze zamknięte, na chodnikach pełno było potłuczonego szkła, opakowań po burgerach i kebabach i wszelkich odpadów pozostałych po sobotniej nocy. Dwie zamiatarki mozolnie sunęły wzdłuż krawężników.

- Pewno, że kiedyś było inaczej - mówił Bill Norris. - Mogliśmy korzystać z własnych informacji, rozumiesz? Raz, jak byłem w brygadzie narkotykowej, obstawialiśmy te delikatesy przy Waterloo Street przez dwa miesiące dzięki moim informacjom. Wiedziałem, że mój człowiek ma

rację. - Poklepał się po nosie. - Mam nosa. Albo go masz, albo nie. Już niedługo się przekonasz, synu.

Słońce świeciło im w oczy, jego ukośne promienie docierały zza kanału, na którym kończyła się ulica. David Curtis osłonił oczy dłonią, obserwując chodniki i mijane samochody. *Nos gliny*.

Był pewien, że go ma.

- Do tego mocny żołądek. Też musisz mieć - mówił dalej Norris.

- Mam jak z żelaza.

- No więc siedzieliśmy w tym opuszczonym domu naprzeciwno. Wchodziliśmy i wychodziliśmy od tyłu. Zimno było jak cholera. Dwa miesiące! Dupy nam przymarzały! Znalazłem taki stary płaszcz strażnika Kolei Brytyjskich, co go zostawił jakiś włóczęga, i w tym siedziałem. Dwa miesiące siedzieliśmy dzień i noc i obserwowaliśmy, w dzień przez lornetkę, po ciemku przez noktowizor. Nic do roboty, tylko machać latarnią - tak to nazywaliśmy, wiesz? Opowiadać historie - *machać latarnią*. No, w każdym razie jednego wieczoru zajechał ten sedan, duży jag...

Wezwanie z centrali wybawiło chwilowo praktykanta od historii, którą słyszał już dwa razy.

- Sierra Oscar do Charlie Charlie 109.

Posługując się osobistym radiem umieszczonym w plastikowej osłonie przypiętej do kamizelki chroniącej przed ciosami noża, David Curtis odpowiedział:

- 109, zgłaszam się.

- Mamy w kolejce przypadek drugiego stopnia do sprawdzenia. Jesteś wolny?

- Tak, tak. Podaj szczegóły, odbiór.

- Adres Newman Villas 17, mieszkania 4. Lokatorka nazywa się Sophie Harrington. Wczoraj nie przyszła na spotkanie z przyjaciółką, nie odbiera telefonu ani nie otwiera drzwi od wczoraj po południu, co jest dla niej nietypowe. Możesz sprawdzić pod tym adresem, żebyśmy mogli zdjąć go z kolejki?

- Potwierdź Newman Villas 17, mieszkania 4, Sophie Harrington? -  
powiedział Curtis.

- Tak, tak.

- Przyjąłem. Jadę.

Z ulgą, że wreszcie jest coś do roboty tego ranka, Norris zawrócił tak ostro i szybko, że aż zapiszczały opony. Potem skręcił w lewo, w Western Road, z prędkością dużo większą niż to było potrzebne.

## Rozdział 56

Przeprosiwszy Marcela Kullena, przyłożył telefon do ucha i wcisnął zielony przycisk.

- Roy Grace - zgłosił się.

Słyszając po drugiej stronie cierpki głos, natychmiast pożałował, że nie zostawił cholernego telefonu, żeby sobie dzwonił.

- Gdzie jesteś, Roy? Brzmi, jakbyś był za granicą - Jego szefowa, zastępca komendanta policji Alison Vosper, wydawała się nieco zaskoczona. - To nie był brytyjski sygnał - stwierdziła.

Tego telefonu zwyczajnie nie spodziewał się dziś i nie przygotował sobie odpowiedzi. Kiedy dzwonił do Marcela do Niemiec, zauważył, że sygnał jest inny, długi i jednotonowy, zamiast dwutonowego, jaki jest w Anglii. Nie było sensu kłamać i wiedział o tym.

Biorąc głęboki wdech, powiedział:

- W Monachium.

Ze słuchawki dobiegł dźwięk taki, jakby mały ładunek nuklearny zdetonowano w baraku z blachy falistej pełnym łożysk kulkowych. Po nim nastąpił moment ciszy, którą przerwał ostry głos Vosper:

- Właśnie rozlałam kawę. Będę musiała zadzwonić do ciebie za chwilę.

Po zakończeniu rozmowy przeklął siebie, że nie przemyślał tego lepiej. Oczywiście w normalnym świecie miałby święte prawo wziąć dzień wolny i powierzyć obowiązki starszego oficera śledczego swojej zastępczyni.

Jednak świat, w którym czyhała Alison Vosper, nie był normalny. Nie darzyła go sympatią z powodów, których nie potrafił się domyślić - niewątpliwie po części przyczyniła się do tego jego kiepska ostatnio prasa - i tylko czekała na okazję, żeby go zdegradować, zamknąć przed nim drogę awansu albo przenieść go w drugi koniec kraju. Wzięcie wolnego dnia w trzecim dniu ważnego śledztwa w sprawie morderstwa nie poprawi jej opinii o nim.

- Wszystko w porządku? - spytał Kullen.

- Lepiej być nie może.

Jego telefon zadzwonił znowu.

- Co właściwie robisz w Niemczech? - chciała wiedzieć Alison Vosper.

Roy nie znośił kłamać - jak wiedział z niedawnego doświadczenia, kłamstwo osłabia - ale miał też świadomość, że prawda nie zostałaby przyjęta ze zrozumieniem, więc zastosował wykręt:

- Sprawdzam ślad.

- W Niemczech?

- Tak.

- I kiedy dokładnie możemy się znów spodziewać twojego kierownictwa w Anglii?

- Dziś wieczorem - powiedział. - Detektyw inspektor Murphy kieruje sprawą pod moją nieobecność.

- Doskonale - usłyszał. - Zatem będziesz mógł spotkać się ze mną zaraz po odprawie, jutro rano?

- Tak. Mogę być u ciebie około 9.30.

- Masz coś do zameldowania w sprawie?

- Robimy postępy. Jestem bliski aresztowania. Czekam tylko, aż dostanę wyniki testu DNA z Huntingdon, których spodziewam się jutro.

- Dobrze - powiedziała Vosper, a po chwili dodała, nie łagodząc tonu:

- Mówiono mi, że w Niemczech mają świetne piwo.

- Tego się nie dowiem.

- Mój miesiąc miodowy spędzałam w Hamburgu. Wierz mi, mają.

Powinieneś spróbować. 9.30, jutro rano.

Rozłączyła się.

Cholera, pomyślał zły na siebie, że był tak nieprzygotowany. Cholera, niech to szlag! Jutro rano na pewno spyta go o ślad, który doprowadził go tutaj. Musi wymyślić coś naprawdę dobrego.

Mijali akurat wysoki blok mieszkalny ze znakiem firmowym BMW wyeksponowanym na szczycie. Potem hotel Marriott.

Szybko sprawdził wiadomości na swoim BlackBerry. Tuzin e-maili czekających na przeczytanie, które nadeszły, odkąd wysiadł z samolotu, a większość z nich dotyczyła Operacji Kameleon.

- Stary stadion olimpijski! - oznajmił Kullen.

Grace spojrział w lewo i zobaczył budowlę w kształcie na wpół zawalonego, dużego namiotu. Przejechali z jego prawej strony tunelem, potem skręcili w lewo przez tory tramwajowe. Rozłożył sobie na kolanach plan miasta, próbując się zorientować.

Kullen spojrział na zegarek i powiedział:

- Wiesz, myślałem, że najpierw pojedziemy do biura i wrzucimy informacje o Sandy do systemu, ale wydaje mi się, że lepiej będzie pojechać od razu do Seehausgarten. Teraz tam będzie ruch, dużo ludzi. Może będziesz miał szansę ją zobaczyć. Do biura pojedziemy potem, co ty na to?

- To ty jesteś przewodnikiem, decyduj! - odparł Grace, patrząc na niebieski tramwaj z reklamą wody Adelholzener na dachu.

Kullen chyba nie całkiem właściwie go zrozumiał, bo zaczął wymieniać nazwy galerii, które mijali, jadąc szeroką aleją.

- Muzeum Sztuki Nowoczesnej - powiedział. Za chwilę: - To jest Haus der Kunst, galeria sztuki zbudowana w czasach hitlerowskiego reżimu.

Dziesięć minut później jechali długą, prostą drogą, mając po prawej obsadzony drzewami brzeg Izery, a po lewej ciąg wysokich, starych, eleganckich domów mieszkalnych. Miasto było piękne, ale wielkie. Cholernie wielkie. Niech to szlag. Jak, u diabła, ma szukać Sandy tutaj, tak



daleko od domu? A jeżeli nie chciała, żeby ją znaleźć, to z całą pewnością wybrała dobre miejsce.

Marcel nadal sumiennie wymieniał nazwy mijanych miejsc i dzielnic miasta, przez które przejeżdżali. Grace słuchał, patrząc na rozłożony na kolanach plan i zastanawiając się. Jeżeli Sandy tu jest, to w której części miasta mogłaby mieszkać? W centrum? Na przedmieściu? W jakiejś wiosce pod miastem?

Za każdym razem, kiedy podnosił wzrok, przyglądał się wszystkim ludziom na chodniku i w samochodach, licząc na przypadek, choć mało prawdopodobny, że zauważy Sandy. Przez chwilę obserwował chudego mężczyznę w szortach i rozciągniętym T-shircie, który wyglądał na zamysłonego, niespiesznie idąc ulicą i żując precla trzymanego przez niebieską, papierową serwetkę. Czy w twoim życiu jest nowy mężczyzna? Czy wygląda tak jak ten? - zastanawiał się.

- Jedziemy do Osterwald Garten. Tam też jest ogródek piwny, niedaleko Englischer Garten. Łatwiej zaparkować i ładny spacer do Seehaus - zapowiedział Kullen.

Kilka minut później skręcili w dzielnicę mieszkalną i jechali wąską ulicą z małymi, ładnymi domami po obu stronach. Następnie minęli obrośnięty bluszczem, różowo-biały budynek z kolumnadą.

- Tu dają śluby, to urząd stanu cywilnego. Możesz tu wziąć ślub - wyjaśnił Kullen.

Grace poczuł nagle wewnętrzny chłód. *Ślub*. Czy to możliwe, że Sandy po raz drugi wyszła za mąż, przybrawszy jakąś nową tożsamość?

Zieloną uliczką, z żywopłotem po prawej i drzewami po lewej, dojechali do małego placu brukowanego kamieniami, otoczonego następnymi domami obrośniętymi bluszczem i Grace pomyślał, że gdyby nie ruch prawostronny i niemieckie napisy na znakach parkingowych, mogłoby to być gdzieś w Anglii.

Komisarz wstawił samochód na miejsce parkingowe i wyłączył silnik.

- OK, tu zaczynamy?

Grace skinął głową, czując się trochę bezradny. Nie był pewien, w którym miejscu na planie się znajduje, i kiedy Niemiec przyszedł mu z pomocą, wskazując palcem, zorientował się, że szukał zupełnie gdzie indziej. Wyjął z kieszeni mapkę, którą Dick Pope wydrukował z Internetu i przefaksował mu, z zaznaczonym kółkiem miejscem, gdzie on i jego żona, będąc w tym mieście, widzieli osobę, którą uznali za Sandy. Podał mapkę Marcelowi Kullenowi, a on studiował ją przez chwilę.

- *Ja, OK, super!* - powiedział, otwierając drzwi samochodu.

Kiedy szli pokrytą pyłem ulicą, w palącym porannym upale, zachmurzyło się. Grace zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię, rozglądając się za jakimś barem czy kafejką. Mimo adrenaliny krążącej w żyłach, czuł się zmęczony i chciało mu się pić, przydałaby się mu woda i kop kofeiny, ale uświadomił sobie, że nie chce tracić cennego czasu, że jak najprędzej chce dotrzeć do tego miejsca, do tego czarnego kółka na niewyraźnej mapie.

Do miejsca, gdzie po raz pierwszy od dziewięciu lat widziana była kobieta, którą tak bardzo kochał.

Z każdym krokiem szedł coraz spieszniej, zbliżając się razem z Kullenem do dużego jeziora. Kullen poprowadził go przez mostek, potem ścieżką w lewo. Po prawej mieli jezioro z zadrzewioną wyspą, po lewej gęste zarośla. Grace wdychał słodkie zapachy trawy i liści, rozkoszując się nagłym chłodem cienia i łagodną bryzą od wody.

Minęło ich dwóch rowerzystów, potem chłopak i dziewczyna na rolnkach, rozmawiający z ożywieniem. Po chwili przemknął obok nich duży pudel, a za nim pędził wściekły właściciel, z przedziałkiem pośrodku głowy i w szylkretowych okularach, wrzeszcząc:

- Adini! Adini! Adini!

Za nim podążała zawzięta piechurka uprawiająca nordic walking, sześćdziesięcioletnia, ubrana w jaskrawo czerwoną lycrę, z zaciśniętymi zębami, postukując kijkami narciarskimi o asfalt. Dalej, za zakrętem, otworzył się przed nimi widok.

Grace ujrzał wielki park pełen ludzi. Za wyspą jezioro było o wiele większe niż mu się zdawało na pierwszy rzut oka - miało dobre pół mili długości i kilkaset jardów szerokości. Na wodzie widać było dziesiątki łodzi - niektóre eleganckie, łodzie wiosłowe z drewnianym poszyciem na zakładkę, poza tym niebiesko-białe rowery wodne z włókna szklanego - i flotyllę kaczek.

Ludzie obsiedli ławki na brzegu, smażące się na słońcu ciała zalegały wszędzie, na każdym skrawku trawy. Niektórzy mieli iPody podłączone do uszu, inni radia. Słuchali muzyki albo, jak pomyślał Grace, próbowali zagłuszyć nieustanny wrzask dzieci.

I wszędzie były blondynki. Dziesiątki. Setki. Przesuwał wzrokiem po twarzach, przyglądając się im uważnie i odrzucając jedną po drugiej. Ścieżką przebiegły dwie dziewczynki, jedna z lodami w waflowym rożku, druga wrzeszcząca wniebogłosy. Mastiff przysiadł na ziemi, dysząc ciężko i śliniąc się. Kullen przystanął przy ławce, na której siedział mężczyzna w rozpiętej koszuli i czytał książkę, trzymając ją niewygodnie w wyciągniętej na całą długość ręce, jakby zapomniał okularów. Wskazał na drugą stronę jeziora.

Grace zobaczył spory, niebrzydki - choć nieco cukierkowaty - pawilon w stylu, który mógł być wariacją na temat angielskiej chaty krytej strzechą. Tłum ludzi siedział na zewnątrz, przy stołach w ogródku piwnym, po lewej znajdował się hangar na łodzie i drewniany pomost, do którego przycumowane były zaledwie dwie łodzie. Wyciągnięty na brzeg rower wodny leżał na boku.

Grace poczuł nagły przypływ adrenaliny, kiedy uświadomił sobie, na co patrzy. To było to miejsce! To tu Dick Pope i jego żona Lesley widzieli, jak przypuszczali, Sandy. Byli na wodzie, w jednej z tych drewnianych łodzi wiosłowych. I zauważyli ją w ogródku piwnym.

Zmuszając Niemca do szybszego kroku, Grace ruszył przodem, asfaltową ścieżką opasującą jezioro. Mijał ławkę za ławką, patrząc na drugą stronę wody, przyglądając się każdej opalającej się, każdej twarzy każdej osoby na każdej ławce, na rowerze, na wrotkach, idącej czy biegnącej. Parę razy

dostrzegł długie, jasne włosy, takie jak u Sandy, i reagował na nie jak pies Pawłowa, ale tracił zainteresowanie, kiedy spojrzał po raz drugi.

Mogła obciąć włosy. Mogła je przefarbować.

Minęli elegancki, kamienny pomnik na wzgórkach. Zauważył wyryte imiona: von Werneck... Ludwig I... Kiedy doszli do pawilonu, Kullen zatrzymał się przed kartą dań przypiętą do tablicy w kształcie tarczy, z napisem „Seehaus im Englisher Garten”.

- Chcesz, żebyśmy coś zjedli? Może wejdziemy do środka, tam jest chłodniej, albo możemy zostać na zewnątrz?

Grace obrzucił wzrokiem rzędy stołów na kozłach, przy których ciasno siedzieli ludzie. Jedne stały w cieniu drzew, inne pod dużą, zieloną markizą, ale większość na otwartej przestrzeni.

- Wolę na zewnątrz, żeby się rozglądać.

- Tak, oczywiście. Najpierw się napijmy. Na co masz ochotę?

- Najlepsze będzie niemieckie piwo - powiedział Grace z uśmiechem.

- I kawa.

- *Weissbier* czy *Helles*? A może wolisz *Radiem*, z lemoniadą, albo *Russn*?

- Chcę duże, zimne piwo.

- *Mass*?

- *Mass*?

Kullen wskazał dwóch mężczyzn przy stole, pijących ze szklanek wysokości kominów fabrycznych.

- Coś trochę mniejszego?

- Pół *Massa*?

- Świetnie. A ty co chcesz? Przyniosę.

- Nie, kiedy ty jesteś w Niemczech, ja stawiam! - powiedział z naganą Kullen.

Wszystko tu było bardzo atrakcyjnie urządzone, pomyślał Grace. Eleganckie latarnie wzdłuż brzegu; budynki mieszczące bar i restaurację, niedawno malowane ciemnozieloną i białą farbą; zabawna rzeźba z brązu przedstawiająca nagiego, łysiego mężczyznę z założonymi rękami i małym

penisem, na marmurowym cokole; porządnie ustawione jedna na drugiej, plastikowe skrzynki; zielone kosze na śmieci; szklanki do piwa; tablice z uprzejmymi napisami po niemiecku i angielsku.

Do kasy pod drewnianą wiatą stała długa kolejka. Kelnerzy i kelnerki w czerwonych spodniach i żółtych koszulach sprzątali ze stołów, przy których zwalniało się miejsce. Zostawiwszy niemieckiego policjanta w kolejce do baru, Grace odszedł kawałek i studiując mapkę, starał się wywnioskować z niej, przy którym z setki, czy coś koło tego, ośmioosobowych stołów na kozłach mogła siedzieć Sandy.

Oszacował, że przy stołach musi siedzieć kilka setek ludzi, dobre pięćset albo i więcej, i prawie każdy bez wyjątku ma przed sobą wysoką szklankę piwa. Czuł w powietrzu zapach piwa zmieszany z dymem papierosów i cygar oraz kuszącymi aromatami frytek i mięsa z rusztu.

Sandy od czasu do czasu pijała latem zimne piwo, żartując przy tym, że to z powodu jej niemieckiego dziedzictwa. Teraz zaczynał to rozumieć. Zaczynał też czuć się bardzo dziwnie. Zastanawiał się, czy to zmęczenie, czy pragnienie, czy po prostu dziwaczność bycia tutaj. Miał śmieszne poczucie, że wdarł się na terytorium Sandy, że nie jest tu mile widziany.

I nagle ujrzał naprzeciw siebie surową, władcą twarz, która zdawała się zgadzać z nim, napominać go. Było to szare, kamienne popiersie brodatego mężczyzny, które przypominało mu wizerunki starożytnych filozofów, jakie często widuje się w sklepach ze starociami albo na pchlich targach. Wciąż był nowicjuszem w tych sprawach, ale ten zdecydowanie wyglądał na jednego z nich.

Dostrzegł imię Paulaner wyryte dużymi literami na podstawie. W tej samej chwili podszedł do niego Kullen, niosąc tacę z dwoma piwami i dwiema kawami.

- OK, zdecydowałeś już, gdzie chcesz usiąść?
- Ten gość, Paulaner, był niemieckim filozofem?

Kullen uśmiechnął się:

- Filozofem? Nie sądzę. Paulaner to nazwa największego browaru w Monachium.

- Aha - powiedział Grace, czując się jak kompletny głupek. - Słusznie.

Kullen wskazywał stół na brzegu wody, przy którym zwalniała miejsce grupa chłopaków. Już wstali i zakładali plecaki.

- Chcesz usiąść tam?

- Doskonale.

Idąc w tamtą stronę, Grace przyglądał się twarzom ludzi przy kolejnych mijanych stołach. Tłoczyli się przy nich mężczyźni i kobiety w każdym wieku, od nastolatków do starców, wszyscy swobodnie ubrani, na ogół w T-shirty, luźne koszule albo bez koszul, w szorty albo džinsy i prawie wszyscy w okularach przeciwsłonecznych, w czapkach bejsbolowych, w miękkich albo słomkowych kapeluszach. Pili piwo ze szklanek Mass albo półMass, jedli kielbaski z frytkami, żeberka, bryłki sera wielkości piłek tenisowych albo coś, co wyglądało jak klops z kiszoną kapustą.

Czy to tutaj była Sandy w tym tygodniu? Czy to tutaj przychodziła regularnie, przechodząc obok golasa z brązu na cokole i fontanny z brodatą głową reklamującą Paulanera, żeby posiedzieć, napić się piwa i popatrzeć na jezioro?

I z kim?

Z nowym mężczyzną? Z nowymi przyjaciółmi?

A jeżeli żyła, to co działo się w jej głowie? Co myślała o przeszłości, o nim, o ich wspólnym życiu, o wszystkich ich marzeniach i obietnicach, o tym, co razem przeżyli?

Wziął mapę Dicka Pope'a i spojrział znów na rozmyte kółko, żeby się zorientować.

- Napijmy się!

Kullen, teraz w lotniczych okularach przeciwsłonecznych, podniósł szklankę. Grace podniósł swoją.

- *Skol!*

Przyjaźnie kręcąc głową, Niemiec powiedział:

- Nie, my mówimy *Prost!*

- *Prost!* - powtórzył Grace i stuknęli się szklankami.

- Za sukces - dodał Kullen. - A może to nie jest to, czego chcesz, coś mi się wydaje?

Grace zaśmiał się gorzko, zastanawiając się, czy Niemiec ma pojęcie, jak bardzo jest to prawdą. Wtem, prawie jak na zawołanie, jego telefon piknął dwa razy.

To był SMS od Cleo.

## Rozdział 57

Praktykant David Curtis i sierżant Bill Norris wysiedli z samochodu patrolowego niedaleko adresu, który im podano. Newman Villas była typową dla Hove ulicą podupadłych, wiktoriańskich, szeregowych domów mieszkalnych. Kiedyś zamieszkiwały je pojedyncze rodziny, a na górze znajdowały się pomieszczenia dla służby, ale teraz podzielone były na mniejsze kwatery. Cała ulica obstawiona była tablicami agencji nieruchomości, w większości reklamującymi mieszkania i pokoje do wynajęcia.

Drzwi frontowe pod numerem 17 wyglądały, jakby nie widziały farby od dobrych dwudziestu lat, a nazwiska przy przyciskach domofonu były wypisane ręcznie i wyblakłe. *S. Harrington* wyglądało dość świeżo.

Bill Norris wcisnął guzik dzwonka.

- Wiesz - mówił - zwykle było nas tylko czterech do obserwacji. Dzisiaj potrafi być ze dwudziestu funkcjonariuszy. Raz miałem kłopoty. Jedna dziwka była klientką tych delikatesów, cośmy obstawiali. Napisałem w raporcie: „Niezły tyłek i cycki”. Nie przeszło. Inspektor z posterunku mało mi jaj za to nie urwał, mówię ci!

Znów zadzwonił.

Czekali w milczeniu parę chwil. Nikt się nie zgłaszał, więc Norris wcisnął wszystkie guziki po kolei.

- Pora popsuć komuś niedzielne polegiwanie. - Poklepał swój zegarek.  
- Może jest w kościele? - zachichotał.



- Tak? - zaskrzeczał nagle czyjś schrypnięty głos.
- Mieszkania 4. Zgubiłem klucz. Może mnie pan wpuścić? - poprosił

Norris.

Po chwili rozległ się ostry trzask i szcęk zamka.

Sierżant pchnął drzwi i odwracając się do młodszego kolegi, powiedział ściszym głosem:

- Nie mów im, że przyszli przedstawiciele prawa, bo cię nie wpuszczą.
- Porozumiewawczo dotknął nosa. - Nauczysz się.

Curtis spojrział na niego, zastanawiając się, przez ile jeszcze patroli będzie musiał to znosić. I mając nadzieję, że ktoś odłączy mu zasilanie, jeśli kiedykolwiek zacznie być taki sam jak ten smutny palant.

Przeszli krótkim, śmierdzącym pleśnią korytarzem, obok dwóch rowerów i półki ze stertą poczty, na którą w większości składały się ulotki reklamujące miejscową pizzerię i chińszczyznę na wynos. Na podeście pierwszego piętra usłyszeli strzał, a zaraz potem tubalny głos Jamesa Garnera: „Stać!”. Dobiegały zza drzwi z numerem 2.

Wchodzili wyżej, mijając drzwi z numerem 3 na drugim piętrze. Dalej schody były węższe. Na ich szczycie dotarli do drzwi z numerem 4.

Norris zastukał głośno. Żadnej odpowiedzi. Zastukał drugi raz, jeszcze głośniej. Znowu nic. Zerknął na praktykanta.

- No dobra, synu. Któregoś dnia to będziesz ty. Co byś zrobił?
- Wyłamał drzwi? - zaryzykował Curtis.
- A jeżeli jest zajęta bara-bara?

Curtis wzruszył ramionami. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Norris zastukał znowu.

- Halo! Pani Harrington? Jest tu kto? Policja!

Nic.

Norris odwrócił się bokiem i napał całą swoją sporą masą na drzwi. Zadrzały, ale nie ustąpiły. Spróbował mocniej i tym razem drzwi otworzyły się, z framugi posypały się drzazgi, a on wpadł do wąskiego, pustego przedpokoju, chwytając się ściany dla zachowania równowagi.

- Halo! Policja! - zawołał Norris, posuwając się do przodu, po czym zwrócił się do podwładnego: - Trzymaj się za mną. Niczego nie dotykaj. Nie chcemy przecież zatrzeć żadnych śladów.

Curtis, wstrzymując oddech, niezręcznie stąpał przez przedpokój w ślad za sierżantem. Sierżant pchnął przed sobą jakieś drzwi i zatrzymał się w pół kroku.

- Jasna cholera! - powiedział Norris. - O niech to szlag!

Zrównawszy się z sierżantem, teraz z kolei młodszy policjant zatrzymał się w pół kroku, zaszokowany patrząc z odrazą na to, co zobaczył przed sobą. Poczuł zimno rozpełzające się mu po trzewiach. Rozpaczliwie pragnął odwrócić wzrok, ale nie mógł. Niezdrowa fascynacja, wykraczająca daleko poza obowiązki zawodowy, przykuwała jego wzrok do łóżka.

## Rozdział 58

Roy Grace wpatrywał się w SMS-a od Cleo na wyświetlaczu swojego telefonu:

*Dojdź ze sobą do ładu w Monachium. Zadzwoń, jak wrócisz.*

Bez podpisu. Bez całusów. Goła, podszyta wściekłością wiadomość.

Ale przynajmniej wreszcie się odezwała.

Ułożył w myślach zwięzłą odpowiedź i natychmiast z niej zrezygnował. Potem ułożył drugą i tę też odrzucił. Wystawił ją do wiatru z niedzielnym lunchem, żeby pojechać do Monachium i spróbować znaleźć swoją żonę. Jak niby miała to przyjąć?

Z drugiej strony, mogłaby przecież okazać trochę współczucia, co? Nigdy nie robił tajemnicy ze zniknięcia Sandy - Cleo wiedziała o wszystkim. Czy miał jakiś wybór? Na pewno każdy na jego miejscu zrobiłby to samo, co on robił teraz, prawda?

I nagle poczuł podsycaną zmęczeniem, stresem, niesłabnącym słonecznym żarem lejącym się na głowę złość do Cleo. Do wszystkich diabłów, kobieto, czy to tak cholernie trudno zrozumieć?

Uchwycił spojrzenie Marcela Kullena i wzruszył ramionami.

- Kobiety.
- Wszystko w porządku?

Grace odłożył komórkę i ujął obiema dłońmi ciężką szklankę piwa.

- To piwo jest w porządku - powiedział. - Bardziej niż w porządku. - Pociągnął duży łyk, który popił stygnącą kawą. - Poza tym nic nie jest. Wiesz?

Komisarz uśmiechnął się, jakby nie był pewien, jak zareagować.

Mężczyzna przy sąsiednim stole palił fajkę z drewna różanego. Dym doleciał do nich i jego zapach nagle przypomniał Grace'owi ojca, który też palił fajkę. Pamiętał wszystkie rytuały. Ojciec wtykał do fajki długi, cienki, biały wycior, który natychmiast robił się brązowy na całej długości. Oskrobywał brzeg małym, mosiężnym przyrządem. Mieszał tytoń dużymi palcami, nabijał fajkę, zapalał zapalką Swan Vesta, potem ugniatał i zapalał znowu. Salon od razu napelniał się kuszącym aromatem niebieskoszarego dymu. Jeżeli byli na rybach w małej łódce albo na końcu Mola Pałacowego, albo na główce falochronu Shoreham Harbour i ojciec wyjmował fajkę, Roy zawsze przyglądał się, w którą stronę leci dym, i ustawiał się po zawietrznej, żeby chwycić wonny powiew.

Ciekaw był, co ojciec zrobiłby w tej sytuacji. Jack Grace kochał Sandy. Kiedy leżał w hospicjum umierający - zbyt młodo, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat - na raka jelit, przesiadywała przy nim godzinami, rozmawiała z nim, grała z nim w Scrabble'a, czytała mu „Sporting Life”, on typował zakłady na każdy dzień, ona obstawiała za niego. I zwyczajnie gawędzili. Byli jak najlepsi przyjaciele od dnia, kiedy Grace po raz pierwszy przyprowadził Sandy do domu, żeby przedstawić ją rodzicom.

Jack Grace zawsze był człowiekiem zadowolonym z tego, co ma. Wystarczyło mu, że do emerytury był sierżantem na komisariacie, wolny czas spędzał na majstrowaniu przy samochodach i śledzeniu wyścigów konnych, nigdy nie miał ambicji robić kariery w policji. Był prostolinijnym człowiekiem, przykładął wagę do szczegółów, trzymał się procedur i wiązał koniec z końcem. Zaaprobowałby przyjazd Roya tutaj, oczywiście, że tak. Co do tego nie ma wątpliwości.

Jasna cholera, pomyślał nagle Roy. Monachium jest pełne duchów.

- Powiedz mi, Roy - odezwał się Kullen - jak dobrze inspektor Pope znał Sandy?

Wracając do rzeczywistości, do zadania, jakie miał tu dziś do wykonania, Grace odpowiedział:

- Dobre pytanie. Oni byli naszymi najlepszymi przyjaciółmi... przez lata co roku jeździliśmy razem na wakacje.

- Więc niełatwo byłoby mu się zmylić... no... pomylić?

- Nie. Ani jego żonie.

Młody człowiek, wysoki i sprawiający wrażenie wysportowanego, w żółtej koszuli i czerwonych spodniach, sprzątał szklanki ze zwolnionego miejsca koło nich. Jasne włosy miał modnie ułożone na żel.

- Przepraszam - zwrócił się do niego Grace. - Mówisz trochę po angielsku?

- Aż za dobrze! - Wyszczерzył zęby chłopak.

- Australijczyk?

- Boję się, że tak.

- Wspaniale! Być może mógłbyś mi pomóc. Byłeś tu w czwartek?

- Jestem tu codziennie. Od 10.00 do północy.

Grace wyjął zdjęcie Sandy z kieszeni marynarki i pokazał mu.

- Widziałeś tę osobę? Była tu w czwartek, w porze lunchu.

Chłopak wziął zdjęcie i przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

- W ten czwartek?

- Tak.

- Nie, stary, nie kojarzę. Ale to nie znaczy, że jej tu nie było. Tu są codziennie setki ludzi. - Zawahał się. - Cholera, widuję tyle twarzy, że wszystkie mi się zlewają. Mogę popytać kolegów, jeśli chcesz.

- Proszę. To dla mnie bardzo ważne.

Chłopak odszedł i po paru minutach wrócił z całą grupą młodych sprzątaczy w takich samych jak on mundurkach.

- Przepraszam, stary - powiedział. - To jest banda najgłupszych ludzi na świecie. Ale starałem się, jak mogłem!

- Mógłbyś się odpieprzyć, Ron! - powiedział jeden z młodych ludzi, niski, przysadzisty Australijczyk o nastroszonych włosach, przez co jego głowa wyglądała jak poduszeczka do szpilek. Zwrócił się do Grace'a: - Przepraszam za mojego kumpla, on jest po prostu niedorozwinięty. Ma to

od urodzenia. Staramy się mu nie sprzeciwić.

Grace zdobył się na wymuszony uśmiech i podał mu zdjęcie.

- Szukam tej osoby. Wydaje mi się, że była tu w czwartek, w porze lunchu. Ciekaw jestem, czy któryś z was, chłopaki, rozpoznaje ją?

Przysadzisty Australijczyk wziął zdjęcie, przyglądał mu się przez chwilę, po czym podał dalej. Każdy z nich po kolei przecząco kręcił głową.

Marcel Kullen wsadził rękę do kieszeni i wyjął plik wizytówek, potem wstał i rozdał je chłopakom. Nagle spowaźnieli.

- Wróć tu jutro - zapowiedział policjant. - Przyniosę odbitkę tego zdjęcia dla każdego z was. Jeżeli ona się pojawi, proszę, dzwońcie natychmiast na moją komórkę albo do Landeskriminalamt. To bardzo ważne.

- Nie ma sprawy - powiedział Ron. - Jeżeli ona wróci, zadzwonimy.

- Będę bardzo wdzięczny.

- Ma pan jak w banku.

Grace podziękował im.

Kiedy wrócili do swoich zajęć, Kullen podniósł swoją szklankę i wyciągnął ją przed siebie, patrząc Grace'owi w oczy.

- Jeżeli twoja żona jest w Monachium, znajdę ci ją, Roy. Jak wy to mówicie w Anglii? Żeby nie wiem co?

- Coś w tym rodzaju. - Grace podniósł swoją szklankę i stuknął się z Niemcem. - Dziękuję.

- Też zrobiłem dla ciebie listę. - Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął mały notes. - Załóżmy, że tu jest, a całe życie mieszkała w Anglii. Być może są rzeczy, których jej brakuje, prawda?

- Na przykład?

- Na przykład jakieś jedzenie. Za czym do jedzenia mogłaby tęsknić?

Grace zamyślił się. To było dobre pytanie.

- Marmite! - powiedział po chwili. - Przepadała za tym. Codziennie jadła z tym grzankę na śniadanie.

- Dobrze. Marmite. W stoisku na Viktualienmarkt sprzedają angielskie

produkty dla waszych wygnańców. Pójdę tam. Czy miała jakieś problemy zdrowotne? Może alergię?

Grace zastanawiał się intensywnie.

- Nie miała żadnej alergii, ale miała problem z wysokokalorycznym jedzeniem. To sprawa genetyczna. Dostawała okropnej niestrawności, kiedy zjadła coś wysokokalorycznego. Brała na to lekarstwo.

- Znasz nazwę tego leku?

- Coś jak Chlomotil. Po powrocie mogę sprawdzić u lekarza.

- Mogę popytać w klinikach w Monachium. Dowiemy się, czy ktoś odpowiadający jej rysopisowi jest tak leczony.

- Dobra myśl.

- Jest dużo innych rzeczy, na które powinniśmy zwrócić uwagę. Jaka muzykę lubiła? Czy chodziła do teatru? Czy miała jakieś ulubione filmy albo aktorów?

Grace wyrecytował spis.

- A sport? Czy uprawiała jakiś sport?

Nagle Grace zorientował się, o co Niemcowi chodzi. I to, co jeszcze dwie godziny temu wydawało się zadaniem ponad ludzkie siły, zaczęło się zawęzać do czegoś, co da się zrobić. Dowodziło to, jak otepiały stał się jego własny umysł. Stare powiedzenie o tym, że widzi się drzewa, a nie potrafi się zobaczyć lasu, okazało się bardzo trafne.

- Pływanie! - wykrzyknął, zastanawiając się, dlaczego, u diabła, sam na to nie wpadł. Sandy miała fioła na punkcie utrzymywania się w formie fizycznej. Nie biegała ani nie ćwiczyła na siłowni, ponieważ miała problem z rzepką kolanową. Jej pasją było pływanie. Codziennie chodziła na publiczną pływalnię w Brighton, King Alfred albo Regency, a kiedy było wystarczająco ciepło, kąpała się w morzu.

- Możemy sprawdzić pływalnię w Monachium.

- Świetny plan.

Zajrzawszy znów do swoich notatek, Kullen spytał:

- Ona lubi czytać?

- Czy papież jest katolikiem?

Niemiec spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Papież?

- Nieważne, to takie angielskie wyrażenie. Tak, uwielbiała książki. Zwłaszcza kryminały. Angielskie i amerykańskie. Jej ulubionym autorem był Elmore Leonard.

- Jest taka księgarnia na rogu Schelling Strasse. Nazywa się Munich Readery. Prowadzi ją Amerykanin. Przychodzi tam dużo angielskojęzycznych osób. Mogą wymieniać książki, wiesz? Zamieniać? To jest właściwe słowo?

- Jest dziś otwarta?

Kullen pokręcił głową.

- Jesteś w Niemczech. W niedzielę wszystko jest zamknięte. Nie tak jak w Anglii.

- Powinienem być lepiej wybrać dzień.

- Jutro tam zajrzę. A teraz może być coś zjadł?

Grace skinął głową z wdzięcznością. Nagle nabrał apetytu.

Wtem, kiedy znów rozglądał się po morzu twarzy wokół, dostrzegł kobietę, blondynkę z krótkimi włosami, która zmierzała w ich kierunku w grupie ludzi, ale nagle zawróciła i zaczęła oddalać się szybkim krokiem.

Serce Grace'a eksplodowało. Zerwał się, przecisnął się koło Japończyka robiącego zdjęcie, przebiegł przez środek grupy zdejmującej plecaki, nie spuszczając z niej wzroku, ścigając ją.



## Rozdział 59

Ubrana jedynie w wymięty, biały T-shirt Cleo siedziała w swoim ulubionym miejscu, na dywanie, oparta plecami o kanapę. Naokoło niej rozłożone były niedzielne gazety, a ona obejmowała dłońmi kubek do połowy wypitej kawy, która robiła się coraz bardziej letnia. Nad nią ryba zajęta była eksploracją swojego prostopadłościennego akwarium, jak zawsze. Przez chwilę płynęła powoli, jakby tropiąc jakąś niewidzialną zdobycz, a potem nagle rzuciła się na coś, może na drobinę pożywienia, a może na wyobrazonego wroga lub kochanka.

Mimo że pokój był zacieniony i wszystkie okna otwarte, panował nieprzyjemnie lepki upał. Telewizor nastawiony był na Sky News, ale ściszyła dźwięk i właściwie nie patrzyła, to było tylko tło. Na ekranie wznosił się słup czarnego dymu, ludzie płakali, skaczące obrazy ujmowane kamerą z ręki przedstawiały rozhisteryzowaną kobietę, trupy, surowe budynki, bryłę poskręcanego, płonącego metalu, który kiedyś był samochodem, zakrwawionego człowieka wynoszonego na noszach. Po prostu kolejna niedziela w Iraku.

Tymczasem jej własna niedziela przeciekała jej przez palce.

Była 12.15, wspaniały dzień, a ona nie zrobiła jeszcze nic poza wstaniem z łóżka i siedzeniem w tym mrocznym pokoju, gdzie przerzucała kolejne strony gazet, dopóki jej oczy były jeszcze w stanie czytać. Jej mózg też był zbyt odrętwiały, żeby myśleć.

Mieszkanie wyglądało jak wysypisko śmieci, powinna wziąć się za

porządne sprzątanie, ale nie miała ani chęci, ani siły. Gapiała się w swoją komórkę, oczekując odpowiedzi na SMS-a, którego wysłała do Roya. Cholerny facet, pomyślała, ale właściwie to przeklinała samą siebie.

Wzięła telefon do ręki i zadzwoniła do swojej najbliższej przyjaciółki Millie.

Odebrało dziecko. Niepewny, pięcioletni głosik powiedział, przeciągając słowa:

- Halo, tu Jessica, kto mówi?

- Jest tam gdzie twoja mamusia? - spytała Cleo swoją chrzestną córkę.

- Mamusia jest dość zajęta w tej chwili - odpowiedziała Jessica poważnym tonem.

- Mogłabyś jej powiedzieć, że dzwoni ciocia Kilo?

Millie nazywała ją Kilo, odkąd sięgała pamięcią. Wzięło się to stąd, że Millie była dyslektyczką.

- Ale chodzi o to, rozumiesz, ciociu Kilo, ona jest w kuchni, bo dziś przyjdzie do nas na lunch dużo ludzi.

Po chwili Cleo usłyszała głos Millie:

- Hej, ty! Co jest?

Cleo opowiedziała jej, co się zdarzyło z Gracem.

Zawsze lubiła w Millie to, że niezależnie od tego, jak bolesna mogłaby być prawda, ona nigdy nie owijała w bawełnę.

- Jesteś cholerną idiotką K. A czego się spodziewałaś, co miałby zrobić? Co ty byś zrobiła w takiej sytuacji?

- Okłamał mnie.

- Wszyscy faceci kłamią. Tak działają. Jeżeli chcesz trwałego związku z facetem, musisz zrozumieć, że to będzie związek z kłamcą. Taka już ich natura. To jest genetyczne. To cholerna, ewolucyjnie nabyta cecha umożliwiająca przetrwanie, tak? Mówią ci to, co chcą, żebyś usłyszała.

- Świetnie.

- Kiedy taka jest prawda. Baby też kłamią, tylko inaczej. Ja kłamałam z większością orgazmów, które Robert myśli, że miałam.

- To nie wygląda na podstawę do budowania trwałego związku, te kłamstwa.

- Nie mówię, że wszystko to kłamstwa. Mówię, że jeżeli szukasz ideału, K., skończysz sama. Jedyni faceci, którzy nigdy cię nie okłamią, to ci, co leżą w lodówkach w twojej kostnicy.

- O cholera! - powiedziała nagle Cleo.

- Co?

- Nic, po prostu przypomniałaś mi o czymś, co muszę zrobić.

- Słuchaj, lada moment spodziewam się inwazji. Robert sprowadza bandę klientów na lunch! Mogę zadzwonić do ciebie wieczorem?

- Nie ma sprawy.

Rozłączyła się i spojrzała na zegarek, zdając sobie sprawę, że tak była pochłonięta myślami o Royu, że kompletnie zapomniała pojechać do kostnicy. Wczoraj wieczorem zostawili z Darrenem na wózku ciało kobiety przywiezione z plaży, ponieważ wszystkie lodówki były pełne - jeden rząd był wyłączony z eksploatacji z powodu wymiany. Miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy miał zabrać dwa ciała w południe, a ona miała go wpuścić i przełożyć kobietę do jednej ze zwolnionych lodówek.

Dźwignęła się na nogi. Na sekretarce miała wiadomość od siostry Charlie, która dzwoniła około 10.00. Dokładnie wiedziała, czego się spodziewać. Będzie musiała wysłuchać szczegółowego, cios za ciosem, sprawozdania z porzucenia przez chłopaka. Może udałoby się jej namówić siostrę, żeby spotkały się gdzieś na słońcu, w parku albo na nadbrzeżu, na późny lunch, kiedy już załatwi sprawy w kostnicy? Zadzwoniła i ulżyło jej, ponieważ Charlie zgodziła się chętnie i zaproponowała miejsce, które znała, pod arkadami.

Pół godziny później, precyzyjnie się przez wzmożony ruch uliczny kierujący się w stronę plaży, wjechała przez bramę kostnicy i z ulgą zobaczyła, że wiata nad bocznym wejściem, przez które dyskretnie wnoszono i wnoszono ciała, jest pusta - przedsiębiorca pogrzebowy jeszcze nie przyjechał.

Dach samochodu miała opuszczony, a duch w niej podniósł się nieznacznie na myśl o tym, co Roy Grace powiedział jej kilka tygodni temu, kiedy wiozła go tym właśnie samochodem do pubu za miastem. *Wiesz, w ciepły wieczór, z opuszczonym dachem i z tobą przy mnie, trudno jest myśleć, że coś jest bardzo nie w porządku z tym światem!*

Zaparkowała niebieskie mg na swoim zwykłym miejscu, naprzeciwko frontowych drzwi szarego, obmurowanego gruboziarnistym betonem płukany budynku kostnicy, po czym otworzyła torebkę, żeby wyjąć telefon i uprzedzić siostrę, że się spóźni.

Jednak telefonu tam nie było.

- Niech to szlag! - powiedziała na głos.

Jak, u diabła, mogła go zapomnieć? Nigdy, ale to nigdy, przenigdy nie ruszała się z domu bez niego. Jej nokia była połączona z nią niewidzialną pępowiną.

*Royu Gracie, co ty, do cholery, robisz z moją głową?*

Podniosła dach samochodu, mimo że zamierzała być w środku zaledwie parę minut, i zamknęła go. Potem, stojąc pod zewnętrzną kamerą CCTV, włożyła klucz do zamka wejścia dla personelu i przekręciła.

Jednym z samochodów w nieprzerwanym strumieniu pojazdów przepływającym przez światła przy Lewes Road po drugiej stronie bramy z kutego żelaza, za którą znajdowała się kostnica, była czarna Toyota Prius. W przeciwieństwie do większości samochodów kierujących się w stronę nadbrzeża, skręciła w lewo, w następną ulicę za kostnicą, następnie jechała wolno w górę stromeego zbocza, pomiędzy rzędami małych domów szeregowych, szukając miejsca do parkowania. Miliarder Czasu uśmiechnął się. Przed sobą miał miejsce odpowiedniej wielkości. Czekają na niego.

Znów poszał dłoń. Ból stawał się coraz silniejszy, mącił mu myśli. I nie wyglądało to dobrze. Opuchlizna zwiększyła się przez noc.

- Głupia, mała dziwka! - krzyknął w nagłym przypływie wściekłości.



Chociaż Cleo pracowała w kostnicach od ośmiu lat, nadal nie była uodporniona na zapachy. Smród, który uderzył ją dzisiaj po otwarciu drzwi, niemal dosłownie odrzucił ją do tyłu. Jak wszyscy pracujący w kostnicach, dawno już nauczyła się oddychać ustami, ale woń rozkładającego się mięsa - kwaśna, żrąca, obrzydliwa - wisiała ciężka i dusząca, jak gdyby obciążona dodatkowymi atomami, spowijała ją całą jak niewidzialna mgła, wirowała wokół niej, wsączała się każdym porem skóry.

Najszybciej jak się dało, wstrzymując oddech i zapominając o telefonie do siostry, przebiegła koło swojego biura i wpadła do małej przebieralni. Zdjęła z wieszaka świeże, zielone, dwuczęściowe ubranie, wsadziła stopy w białe kalosze, wyciągnęła z paczki nowe lateksowe rękawiczki i poruszając palcami, wsunęła je na wilgotne dłonie. Potem założyła maskę, co nie zmniejszyło smrodu, ale trochę jednak pomagało.

Skręciła w prawo i krótkim, wyłożonym szarymi kafłami korytarzem przeszła do izby przyjęć, sąsiadującej z główną salą sekcijną. Zapaliła światła. Denatka została zarejestrowana jako nieznaną kobietą, jak wszystkie niezidentyfikowane kobiety, które tu dostarczano. Cleo zawsze miała poczucie, że to bardzo smutne być martwą i niezidentyfikowaną.

Leżała na stole ze stali nierdzewnej, ustawionym obok trzech innych, jej oderwane ramię ułożone było między nogami, między jej zwisające, zupełnie proste włosy wplątało się cienkie pasmo wodorostów. Cleo podeszła zdecydowanym krokiem, energicznym machaniem ręki odganiając muchy robacznicę, które wzbily się w powietrze i krążyły po pomieszczeniu. Przez smród rozkładu wyczuła inny, równie silny zapach. Sól. Posmak morza. I nagle, delikatnie wyplątując wodorosty z włosów kobiety, przestała być pewna, że chce się spotkać z siostrą na plaży.

Wtem odezwał się dzwonek przy tylnych drzwiach. Przybył przedsiębiorca pogrzebowy. Zanim otworzyła drzwi na rampę, sprawdziła na monitorze CCTV, następnie pomogła dwóm swobodnie ubranym,

młodym ludziom załadować ciała w plastikowych torbach do dyskretnej, brązowej furgonetki. Odjechali. Starannie zamknęła drzwi i wróciła do izby przyjęć.

Z szafki w rogu wyjęła biały, plastikowy worek na ciało i podeszła do denatki. Nie znosiła zajmować się topielcami. Ich skóra po kilku tygodniach zanurzenia w wodzie miała upiorny kolor białego tłuszczu, jej konsystencja wydawała się zmieniona tak, że wyglądała jak lekko chropawa wieprzowina. W terminologii naukowej nazywa się to *adipocere*. Pierwszy technik sekcyjny, pod którego kierunkiem pracowała Cleo, lubujący się w makabrze, powiedział jej z błyskiem w oku, że mówi się na to *trupi wosk*.

Kobieta miała wargi, oczy, palce dłoni, częściowo policzki, piersi, waginę i palce stóp wyjedzone przez małe ryby lub kraby. Jej przeżarte piersi leżały pomarszczone, rozrzucone na boki, pozbawione w większości tkanki wewnętrznej. Nieszczęsna istota odarta też była do cna z godności.

Kim jesteś? - zastanawiała się Cleo, unosząc ją, aby podłożyć pod nią otwartą torbę, ostrożnie, na wypadek, gdyby ciało miało się rozedrzeć.

Kiedy badali ją zeszłego wieczoru, w obecności dwóch mundurowych policjantów, detektywa inspektora, policyjnego chirurga i Ronniego Pearsona, przedstawiciela koronera, nie znaleźli jednoznacznych śladów wskazujących, że mogła zostać zamordowana. Na ciele nie było żadnych znaków poza otarciami, jakich można się spodziewać u kogoś, kto był przetaczany przez fale po płyciźnie, chociaż w tak daleko posuniętym stanie rozkładu dowody mogły ulec zniszczeniu. Zawiadomiono koronera, który upoważnił ich do zabrania ciała do kostnicy, aby w poniedziałek poddać je sekcji i dokonać identyfikacji - najprawdopodobniej na podstawie danych stomatologicznych.

Cleo jeszcze raz obejrzała ją dokładnie, sprawdzając, czy nie przeoczono śladu ligatury na szyi albo otworu wlotowego po kuli. Chciała się też przekonać, czego może się o niej dowiedzieć. Zawsze trudno jest określić wiek kogoś, kto przez jakiś czas znajdował się w wodzie. Domyślała się, że denatka mogła mieć od dwudziestu kilku do czterdziestu kilku lat.

Mogła utonąć podczas kąpieli w morzu, mogła wypaść za burtę. Może popełniła samobójstwo. A może nawet, co się czasem zdarza, dokonano pogrzebu na morzu i niewystarczająco obciążone ciało wypłynęło, choć pogrzeby na morzu dotyczą raczej mężczyzn. Mogła też być jedną z tysięcy mężczyzn i kobiet, którzy po prostu znikają co roku. Tak zwaną *osobą zaginioną*.

Ostrożnie przeniosła oddzielone ramię na sąsiedni stół ze stali nierdzewnej. Potem, bardzo delikatnie, zaczęła przetaczać ciało na brzuch, żeby obejrzeć plecy. Podczas tej czynności usłyszała cichy szcęk dochodzący z wnętrza budynku.

Uniosła głowę i przez chwilę nasłuchiwała. Brzmiało to jak otwarcie lub zamknięcie drzwi frontowych.

## Rozdział 60

- Sandy! - zawołał. - SANDY!

Oddalała się od niego. Niech to szlag, biegła szybko!

Ubrana w gładki, biały T-shirt i niebieskie kolarskie szorty, w adidasach na nogach, trzymając w ręku małą torebkę, kobieta gnała ścieżką wzdłuż brzegu jeziora. Grace popędził za nią. Kiedy wybiegł zza pomnika, zobaczył, jak kluczy między bawiącymi się dziećmi. Ominąwszy dwa goniące się sznauclery, wróciła na ścieżkę. Minęła elegancko ubraną kobietę jadącą konno i cały korowód grubasek uprawiających nordic walking w parach.

Roy żałował, że wypił piwo. Pot ściekał mu po twarzy i szczypał w oczy, na wpół oślepiając go. Dwóch rolkarzy nadjeżdżało z naprzeciwka. Skręcił w prawo. Oni skręcili w tę samą stronę.

W lewo. Oni też. W ostatniej chwili desperacko uskoczył w prawo, uderzając boleśnie nogą w małą, wolno stojącą ławkę, która wbiła się w niego, kiedy padł na nią jak długi.

- *Tschuldigen!* - Jeden z rolkarzy, wysoki nastolatek stał nad nim zakłopotany. Drugi przyklęknął i podał mu rękę.

- W porządku - wysapał.
- Jest pan Amerykaninem?
- Anglikiem.
- Bardzo przepraszam.
- Nic mi nie jest, dziękuję. To moja wina. Ja...



Roztrzęsiony, czując się jak idiota, przyjął rękę chłopaka i dał się dźwignąć na nogi. Kiedy tylko stanął o własnych siłach, natychmiast zaczął szukać wzrokiem Sandy.

- Skaleczył się pan w nogę - powiedział drugi z chłopców.

Grace ledwo zerknął. Zobaczył, że z rozdarcia dzinsów na lewej nodze płynie krew, ale nie przejął się tym.

- Dziękuję... *Danke* - powiedział, patrząc przed siebie, w lewo, w prawo. Ogarnęła go panika.

Ona zniknęła.

Ścieżka biegła prosto na długości kilkuset jardów, przez gęste zarośla. W oddali, na jej końcu widoczna była polana. Ale była też odnoga prowadząca w prawo, przez wąski mostek z metalową barierką.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Bezsilnie zacisnął pięści. Myśl!

Którędy poszła? Którą z tych dwóch dróg?

Odwrócił się do rolkarzy.

- Przepraszam, którą najbliżej do ulicy?

Wskazując mostek, jeden z chłopaków powiedział:

- To jest najkrótsza droga do ulicy. Tu jest tylko jedna ulica.

Podziękował im i odszedł, utykając przez kilka jardów i zastanawiając się. Skręcił w prawo i przedarłszy się przez grupę rowerzystów, którzy nadjechali przez mostek, zaczął biec, nie zważając na piekący ból w nodze. Pomyślał, że Sandy będzie się kierować do wyjścia. Tłum. Puścił się kulawym sprintem po trawie wzdłuż zatłoczonej ścieżki, zerkając chwilami pod nogi, aby wymijać ławki, wyskakujące zniemacka psy, opalających się, ale głównie ze wzrokiem utkwionym w dal, wypatrując blond włosów.

To była ona! No dobrze, mignęła mu tylko z profilu, nie miał możliwości przyjrzeć się jej twarzy, ale to wystarczyło. To była Sandy. Musiała być! Przecież po co, u diabła, miałyby uciekać, gdyby to nie była ona?

Pędził przed siebie, rozpacz tłumiła ból. Nie przyjechał tak daleko, tak cholernie daleko, tylko po to, żeby teraz pozwolić jej się wymknąć w taki sposób.

Gdzie jesteś?

Jaskrawy promień słońca zaświecił mu na moment w oczy jak latarka, odbity od autobusu jadącego ulicą nie dalej, jak sto jardów przed nim. Wtem dostrzegł inny błysk. Tym razem nie było to światło słoneczne. To błysnęła flesz aparatu, akurat w chwili, kiedy mijali wesołą grupę ustawioną do zdjęcia. Przebiegł skrajem trawnika i wypadł na pustą ulicę z zaroślami ogrodu po drugiej stronie, na wprost stojącego autobusu. Ani śladu Sandy.

Wtem autobus ruszył i dostrzegł ją znowu, jakieś sto jardów przed sobą. Wciąż biegła.

- SANNDDDYYYY! - ryknął.

Zatrzymała się na moment i spojrzała w jego kierunku, jakby zdziwiona, kogo tak woła.

Nie pozostawiając wątpliwości, gwałtownie machając ręką, popędził w jej stronę.

- Sandy! Sandy! Sandy! - krzyczał.

Ale ona już pobiegła dalej i zniknęła za zakrętem. Naprzeciwko pojawiło się dwóch konnych policjantów. Przez moment zastanawiał się, czy nie poprosić ich o pomoc, ale zamiast tego minął ich pędem, świadom ich podejrzliwych spojrzeń.

W oddali ujrzał żółtą ścianę budynku. Ona przebiegła obok czerwonego światła sygnalizacji ulicznej i kosza na śmieci, przez mostek, obok budynku i kilku autobusów.

Wtem zatrzymała się przy zaparkowanym srebrnym bmw. Wyglądało na to, że szuka czegoś w torebce - kluczyków, domyślił się.

I nagle znalazł się koło niej, z trudem chwytając powietrze.

- Sandy! - powiedział podekscytowany.

Odwróciła głowę, dysząc ciężko i powiedziała do niego coś po niemiecku.

I wtedy, po raz pierwszy widząc ją dokładnie, zdał sobie sprawę, że to nie jest Sandy.

To wcale nie była ona.

Serce opadło w nim jak winda, której odcięto linę. Miała taki sam profil,

łudząco taki sam, ale jej twarz była szersza, bardziej płaska, dużo bardziej pospolita. Nie mógł zobaczyć jej oczu ukrytych za ciemnymi okularami, ale nie musiał. To nie były usta Sandy - te były małe i wąskie. To nie była gładka, jedwabista skóra Sandy - ta była naznaczona śladami po trądziku.

- Ja... przepraszam. Bardzo panią przepraszam.

- Jest pan Anglikiem? - spytała z miłym uśmiechem. - Mogę w czymś pomóc?

Znalazła już kluczyki, więc wciśnięciem przycisku pilota zwolniła zamek w drzwiach. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i zaczęła szukać czegoś w środku. Usłyszała brzęk monet.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Pomyliłem się... Wziąłem panią za kogoś znajomego.

- Zapomniałam o czasie! - Poklepała się w skroń, co miało sugerować głupotę. - Policja bardzo szybko tu daje mandat. Tylko dwie godziny na bilecie!

Z kieszeni w drzwiach wyjęła garść euro.

- Czy mógłbym zadać pani pytanie? Hm... czy była pani tutaj, w Englischer Garten, w czwartek? Mniej więcej o tej porze?

Wzruszyła ramionami.

- Myślę, że tak. W taką pogodę często tu przychodzę. - Zastanowiła się. - W ostatni czwartek?

- Tak.

Skinęła głową.

- Zdecydowanie tak. Na pewno.

Grace podziękował jej i odwrócił się. Ubranie lepiło mu się do spoconej skóry. Strużka krwi ciekła po jego prawym bucie.

Nieopodal dostrzegł nadchodzącego Marcela Kullena. Czuł się zdruzgotany. Kiedy kobieta podeszła do parkomatu, podniósł do ucha telefon. Nie dzwonił nigdzie. Robił zdjęcie.

## Rozdział 61

Cleo wciąż nasłuchiwała. Na pewno słyszała szcęk.

Przerywając w połowie przetaczanie szcuplego, kruchego, szarego trupa, łagodnie opuściła go znów na plecy na stalowy stół.

- Halo? - zawołała głosem stłumionym przez maskę.

Stała nieruchomo, nasłuchując, wpatrując się z niepokojem w widoczne za drzwiami, milczące, szare kafelki korytarza.

- Halo? Kto tam? - zawołała głośniejszym głosem, czując, że ma ściśnięte gardło. Opuściła maskę, która zawisała na tasiemkach. - Halo?

Cisza. Tylko słabe buczenie lodówek.

Prześlizgnął się po niej strach. Czy zostawiła zewnętrzne drzwi otwarte? Na pewno nie, nigdy nie zostawiała ich otwartych. Starła się myśleć jasno. Smród, kiedy otworzyła drzwi - czy mogła zostawić je otwarte, żeby wpuścić świeże powietrze?

Nie ma mowy, nie byłaby taka głupia. Zawsze zamykała drzwi na zatrzask. Oczywiście, że je zamknęła!

W takim razie, dlaczego ten ktoś nie odpowiada?

W głębi trzepoczącego się serca wiedziała już dlaczego. Są świry, w których kostnice budzą fascynację. W przeszłości zdarzały się włamania, ale teraz najnowszy system ochrony, póki co, od ponad półtora roku, działał jako skuteczny straszak.

Nagle przypomniała sobie o monitorze CCTV na ścianie i spojrzała na niego. Pokazywał nieruchomy, czarno-biały obraz asfaltu za drzwiami i

grządki kwiatowej pod ceglanym murem z tyłu. W kadrze mieściły się tylne światła i zderzak jej samochodu.

Usłyszała charakterystyczny szelest ubrania dobiegający z korytarza.

Gęsia skórka wyskoczyła jej na całym ciele. Na moment zamarła, jej mózg pracował na najwyższych obrotach, usiłując sensownie kojarzyć. Telefon stał na półce obok szafy, ale nie miała czasu, żeby do niego dotrzeć. Rozejrzała się gorączkowo za jakąś bronią w zasięgu ręki. Przez moment prowadziła absurdalne rozważania nad oddzielnym ramieniem denatki. Skóra ścierpła jej ze strachu, na głowie zrobiła się ciasna jak jarmułka.

Szelest przybliżył się. Zobaczyła przesuwaną się po kafelkach cień.

Nagle strach przemienił się w gniew. Ktokolwiek, do cholery, tam jest, nie ma do tego prawa. Postanowiła, że nie da się przestraszyć ani zastraszyć jakiemuś świrowi, którego kręci włamanie się do kostnicy. Do jej kostnicy.

Kilkoma szybkimi, zdecydowanymi krokami podeszła do szafy, głośno przesunęła drzwiczki i wyjęła największy nóż sabbatier do krojenia mięsa. Potem trzymając mocno rękojeść noża, podbiegła do otwartych drzwi na korytarz. Z okrzykiem przerażenia wpadła na wysoką postać w pomarańczowym T-shircie i żółtozielonych szortach, która chwyciła ją za ręce i ściągnęła je w dół. Nóż ze szczękiem upadł na posadzkę.

## Rozdział 62

Marcel Kullen zatrzymał samochód przy krawężniku i wskazał na drugą stronę ulicy. Grace zobaczył duży sklep na rogu beżowego budynku. W oknach wystawowych wyłożone były książki, wewnątrz było ciemne. Wiszące lampy świeciły się, ale była to bardziej dekoracja niż oświetlenie. Przypominały Grace'owi robaczki świętojańskie.

Elegancki, szary napis na froncie sklepu głosił „The Munich Readery”. Inny oznajmiał „Second-hand books in English”.

- Chciałem ci tylko pokazać ten sklep. Jutro tu popytam - powiedział niemiecki detektyw.

Grace skinął głową. Po dwóch dużych piwach i bratwurstie z kiszoną kapustą i kartoflami czuł się zdecydowanie mało przytomny. Ścisłe mówiąc, oczy same mu się zamykały.

- Mówiłeś, że Sandy była miłośniczką książek, tak?

*Była.* To słowo podrażniło umysł Grace'a. Nie lubił, kiedy ludzie mówili o Sandy w czasie przeszłym jak o umarłej. Puścił to jednak mimo uszu. Sam wystarczająco często używał czasu przeszłego. Podświadomie. Czując nagły przypływ energii, powiedział:

- Owszem. Bardzo dużo czyta, zawsze tak było. Kryminały, dreszczowce, wszelkiego rodzaju powieści z tajemnicą. Biografie też... szczególnie lubiła czytać o kobietach podróżniczkach.

Kullen wrzucił bieg i ruszył dalej.

- Jak to idzie... macie takie angielskie powiedzenie... uszy do góry?

Grace poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Dobrą masz pamięć!

- No to teraz pojedziemy do kwatery głównej policji. Mają tam dane osób zaginionych. Moja przyjaciółka Sabine Thomas, Polizeirat, kieruje tym wydziałem. Przyjedzie, żeby się z nami spotkać.

- Dziękuję - powiedział Grace. - To miło z jej strony, że zechciała w niedzielę.

Jego wcześniejszy optymizm opuścił go. Poczul się bezsilny, uświadamiając sobie po raz kolejny ogrom tego, z czym przyszło mu się zmierzyć. Przed oczami przesuwaly mu się spokojne ulice, nieczynne sklepy, przechodnie. Mogła być gdziekolwiek. W pokoju za każdą z tych fasad, w każdym z tych samochodów, na każdej z tych ulic. A to tylko jedno miasto. Ile jest milionów miast i miasteczek, w których mogłaby być?

Znalazł przycisk na drzwiach i opuścił szybę. Parne, wilgotne powietrze dmuchnęło mu w twarz. Idiotyczne uczucie, z jakim wrócił do stołu po swoim bezowocnym pościgu, minęło, ale teraz poczul się zagubiony.

Po telefonie Dicka Pope'a miał wrażenie, że wystarczy, jeżeli pojedzie do Englischer Garten, a znajdzie tam Sandy. Że ona będzie tam na niego czekała. Tak jakby pozwalając Dickowi i Lesley Pope, żeby ją zobaczyli, w subtelny sposób przekazywała mu wiadomość.

Czy to nie głupie?

- Jeśli chcesz, w drodze do biura możemy przejść przez Marienplatz. Tylko trochę nadłożymy drogi. Możemy tam wstąpić na Viktualienmarkt, to miejsce, o którym ci mówiłem, gdzie jak myślę, osoba z Anglii może kupować jedzenie.

- Tak, dziękuję.

- Potem pojedziemy do mnie, do domu i poznasz moją rodzinę.

Grace uśmiechnął się do niego, zastanawiając się, czy Niemiec ma pojęcie, jak bardzo zazdrości mu oczywistej normalności życia. Nagle zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz.

*Numer prywatny.*

Przeczekał parę dzwonek, wahając się. Prawdopodobnie z pracy, a nie był w odpowiednim nastroju, żeby akurat teraz rozmawiać z kimś z pracy. Miał jednak świadomość swoich obowiązków. Z ciężkim sercem wcisnął zielony guzik.

- Siemasz!

To był Glenn Branson.

- Co jest?

- Gdzie jesteś?

- W Monachium.

- W Monachium? Ciągłe tam jesteś?

- Dopiero od kilku godzin.

- I co ty tam właściwie, kurwa, robisz?

- Próbuję kupić ci konia.

Długa cisza.

- Kupić co?... A, rozumiem. Bardzo śmieszne. Monachium... cholera, stary. Widziałeś kiedyś film „Nocny pociąg do Monachium”?

- Nie.

- Reżyseria Carol Reed.

- Nigdy tego nie widziałem. To nie jest dobra pora, żeby dyskutować o filmach.

- No, wiesz, któregoś wieczoru oglądałeś „Trzeciego człowieka”. To tego samego reżysera.

- Zadzwoń, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie - już miał coś dodać, kiedy Kullen przechylił się przez Grace'a, pokazując mu dość niepozornie wyglądający budynek.

- Zaczekaj chwileczkę. - Grace zasłonił dłonią mikrofon.

- To jest *Bierkeller*, skąd Adolf Hitler został wyrzucony, bo nie zapłacił rachunku! - powiedział Kullen. - Wiesz, tak mówią.

- Właśnie przejeżdżam koło wodopoju Adolfa Hitlera - poinformował Grace Bransona.



- Tak? To lepiej się tam nie zatrzymuj. Mamy problem.
- Powiesz jaki?
- Duży. Potężny. Może być?
- Zamieniam się w słuch.
- Mówisz, jakbyś był zalany. Piłeś?
- Nie - odparł Grace, stawiając się psychicznie do pionu. - Powiesz

wreszcie?

- Mamy następne morderstwo - powiedział Branson. - Podobieństwa ze sprawą Katie Bishop.

I nagle Roy Grace siedział wyprostowany, w pełnej gotowości.

- Jakie podobieństwa?
- Młoda kobieta, Sophie Harington. Znaleziona martwa, w masce przeciwgazowej na twarzy.

Zimne palce przepelzły Grace'owi wzdłuż kręgosłupa.

- Cholera. Co więcej macie?
- A co ci więcej potrzeba? Mówię ci, stary, bierz dupę w troki i wracaj.
- Macie inspektor Murphy. Ona może się tym zająć.
- Ona jest twoją dublerką - powiedział Branson lekceważąco.
- Możesz ją tak sobie nazywać. Jeżeli o mnie chodzi, to jest zastępującym mnie, starszym oficerem dochodzeniowym.

- Wiesz, co mówili o dublerce Grety Garbo?

Usiłując przypomnieć sobie jakiś film, w którym widział legendę ekranu, Grace spytał z irytacją:

- Nie. A co mówili?
  - Dublerka Grety Garbo może zrobić wszystko, co robi Greta Garbo, z wyjątkiem *tego czegoś*, co Greta Garbo robi.
  - Bardzo pochlebne.
  - Załapałeś?
  - Załapałem.
  - W takim razie pakuj tyłek do pierwszego samolotu, jaki tu leci.
- Alison Vosper myśli, że już ma twój skalp. Nie obchodzi mnie ta cała

polityka, ale ty mnie obchodzisz. Poza tym jesteś nam tu potrzebny.

- Pamiętałeś nakarmić Marlona? - spytał Grace.
- Marlona?
- Żółtą rybkę.
- O cholera.

## Rozdział 60

Cleo próbowała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Walczyła jak oszalała, starając się uwolnić ręce, twarz mężczyzny rozmazywała się przed jej rozbieranymi oczami. Wierzgnęła nogą i kopnęła go w goleń.

Wtedy usłyszała jego głos:

- Cleo!

Spokojny i proszący:

- Cleo! To ja! Spokojnie.

Nastroszone, czarne włosy. Wyraz zaskoczenia na młodej, miłej twarzy. Swobodny ubiór - pomarańczowa koszulka i zielone szorty - i słuchawki w uszach.

- O cholera - przestała się szamotać, otworzyła usta ze zdumienia. - Darren!

Puścił jej ręce bardzo powoli, ostrożnie, jakby jeszcze nie był całkiem pewien, czy może jej zaufać, że go nie zadźga.

- Nic ci nie jest, Cleo?

Chwytając powietrze, miała poczucie, że jej serce próbuje wyskoczyć z piersi. Cofnęła się o krok, patrząc na swojego kolegę, na nóż na podłodze, potem znów w jego brązowe oczy. Odrętwiała. Zbyt odrętwiała, żeby powiedzieć coś więcej.

- Ale mnie przeraziłeś - wyszeptała bez tchu.

Darren podniósł ręce do uszu i wyciągnął słuchawki, które zawisły na białych przewodach. Potem znów podniósł ręce w geście poddania się. Zauważyła, że cały drży.

- Przepraszam - wciąż dysząc ciężko, powiedziała niepewnym głosem, po czym uśmiechnęła się, starając się załagodzić sytuację.

Wciąż nie do końca przekonany zapytał:

- Taki jestem straszny?

- Ja... słyszałam drzwi - powiedziała, zaczynając czuć się jak idiotka. - Wołałam, ale nie odpowiadałeś. Myślałam, że to ktoś obcy. Byłam... - Pokręciła głową.

Opuścił ręce i zgarnął w dłoń słuchawki.

- Słuchałem ostrego kawałka - powiedział. - Nie słyszałem cię.

- Bardzo cię przepraszam.

Schylił się i pomasaował goleń.

- Zrobiłam ci krzywdę?

- Prawdę mówiąc, tak. Ale przeżyję. - Na jego goleni widoczny był paskudny ślad. - Nagle przypomniałem sobie, że zostawiliśmy ciało na zewnątrz. Pomyślałem, że przy tym upale trzeba by je włożyć do lodówki. Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierałaś ani w domu, ani komórki, więc postanowiłem przyjechać i to zrobić.

Czując się już trochę normalniej, Cleo znów przeprosiła.

Wzruszył ramionami.

- Nie przejmuj się. Chociaż nigdy nie myślałem, że praca w kostnicy jest sportem kontaktowym.

Roześmiała się.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam. Po prostu miałam okropne dwadzieścia cztery godziny. Ja...

- W porządku. Nic mi nie jest.

Spojrzała na czerwony wylew na jego nodze.

- Dobrze zrobiłeś, że przyjechałeś. Dziękuję.

- Następnym razem dwa razy pomyślę - powiedział zartobliwie. - Może powinienem był zostać w poprzedniej pracy. Tam jednak było mniej przemocy.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, że w poprzedniej pracy Darren był uczniem rzeźnika.

- To ładnie z twojej strony, że poświęciłeś swój czas w niedzielę - powiedziała.

- Dzięki temu mogłem wyjść z grilla u rodziców mojej dziewczyny. To jest druga strona tej roboty. Odkąd tu pracuję, z trudem znoszę grilla.

- No to jest nas dwoje takich.

Oboje mieli na myśli ofiary pożarów. Zazwyczaj ich skóra była szerniała, popękana jak przypieczona wieprzowina. W zależności od tego, jak długo paliło się ciało, mięso było czasami szare i twarde, czasami surowe i krwiste, jakby niedopieczone. Cleo czytała kiedyś, że plemiona kanibali w Afryce Środkowej nazywały białych *dlugimi świniami*. Dokładnie rozumiała dlaczego. Z tego powodu wielu ludzi pracujących w kostnicach nie czuje się najlepiej przy grillu. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi wieprzowina.

Razem przetoczyli denatkę na brzuch i zbadali jej plecy pod kątem tatuaży, znaków szczególnych i ran od kuli, ale niczego nie znaleźli. Wreszcie z ulgą włożyli ciało do zasuwanego na zamek błyskawiczny worka i wsunęli do lodówki numer 17. Jutro zacznie się procedura identyfikacji. Przy braku tkanki miękkiej palców nie da się pobrać odcisków linii papilarnych. Szczęki były nienaruszone, więc można sprawdzić dane stomatologiczne. Gorzej z DNA - musiałaby już być w bazie danych, żeby było z czym porównać. Jej rysopis z wymiarami i zdjęcia zostaną przekazane do telefonu zaufania dla osób zaginionych i ich rodzin, a policja Sussex skontaktuje się z przyjaciółmi i krewnymi wszystkich osób zgłoszonych jako zaginione, pasujących do rysopisu tej martwej kobiety.

Rano konsultant patolog dr Nigel Churchman przeprowadzi sekcję zwłok, aby ustalić przyczynę śmierci. Jeśli znajdzie coś podejrzanego, natychmiast przerwie pracę, zawiadomiony zostanie koroner, a sekcję poprowadzi dalej patolog Wewnętrznych, Nadiuska albo dr Theobald.

Tymczasem oboje, Cleo i Darren, mieli przed sobą kilka godzin, jakie pozostały do końca wspaniałej, sierpniowej niedzieli.

Darren odjechał pierwszy swoim małym, czerwonym nissanem, z powrotem na grilla, bez którego spokojnie mógłby się obejść. Stojąc w drzwiach, Cleo patrzyła za nim, nie mogąc się powstrzymać, żeby mu nie zazdrościć. Był młody, pełen entuzjazmu, szczęśliwy w związku ze swoją dziewczyną i zadowolony z pracy.

Ona szybko zbliżała się do progu trzydziestki, który miała niedługo przekroczyć. Była zadowolona ze swojej kariery, ale zarazem martwiła się o nią. Chciała mieć dzieci, zanim będzie na to za stara. Za każdym razem, kiedy już myślała, że spotkała tego właściwego mężczyznę, on sprawiał jej niemiłą niespodziankę. Roy był takim uroczym facetem. Jednak kiedy zdawało się jej, że wszystko jest idealne, jego zaginiona żona wyskoczyła jak cholerny diabeł z pudełka.

Włączyła alarm, wyszła na zewnątrz i zamknęła drzwi, cały czas zjedna tylko myślą: jechać do domu i sprawdzić, czy jest jakaś wiadomość od Roya. Wtem, przechodząc przez asfaltowy podjazd do swojego niebieskiego mg stanęła w pół kroku jak wmurowana.

Ktoś rozciął czarne płótno dachu. Na całej długości, od przedniej do tylnej szyby.

## Rozdział 64

Kobieta za drewnianym kontuarem i szklaną szybą wręczyła mu żółtawy, prostokątny formularz.

- Proszę wpisać nazwisko, adres i inne dane - poleciła bezbarwnym głosem.

Wyglądała, jakby siedziała tu zbyt długo, przypominała eksponat w muzealnej gablocie, który ktoś zapomniał odkurzyć. Jej twarz była blada, bladocią charakterystyczną dla osób przebywających w pomieszczeniach zamkniętych, okalały ją niewymodelowane, brązowe włosy, zwieszające się na ramiona jak zasłony, które tu i ówdzie odczepiły się od kółek na karniszu.

Nad kontuarem recepcji pogotowia w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex umieszczony był duży wyświetlacz ciekłokrystaliczny, na którym żółty napis na czarnym tle oznajmiał: „Czas oczekiwania 3 godziny”.

Uważnie przestudiował formularz. Wymagano nazwiska, adresu, daty urodzenia i tym podobnych danych. Było też miejsce na alergie.

- Wszystko w porządku? - spytała kobieta.

Uniósł spuchniętą prawą dłoń.

- Trudno pisać - powiedział.

- Życzy pan sobie, żeby wypełniła?

- Poradzę sobie.

Oparty o kontuar wpatrywał się jakiś czas w formularz. Umysł przyćmiony bólem naprawdę nie funkcjonował jak należy. Usiłował myśleć

szybko, ale potrzebne myśli nie pojawiały się we właściwej kolejności. Nagle zakręciło mu się w głowie.

- Może pan usiąść i wypełnić - zaproponowała.

Tracąc panowanie nad sobą, krzyknął:

- Powiedziałem, że sobie poradzę!

Ludzie siedzący wszędzie naokoło, na twardych, szarych, plastikowych krzesłach spojrzeli zaskoczeni. Nieroztropnie, pomyślał. Nieroztropnie jest zwracać na siebie uwagę. Pospieszenie wypełnił formularz, po czym, jakby wnosząc poprawkę, dopisał przy alergiach - sprytnie, jak sądził - „Ból”.

Jednak zdawało się, że rejestratorka nie zwróciła na to uwagi, biorąc od niego formularz.

- Proszę usiąść, pielęgniarka niedługo przyjdzie do pana.

- Za trzy godziny? - spytał.

- Powiem, że to pilne - powiedziała obojętnym tonem, po czym przyglądała się z niepokojem, jak dziwny mężczyzna z długimi, potarganymi włosami, gęstymi wąsami i brodą, w dużych okularach o przydymionych szklach, ubrany w luźną, białą koszulę założoną na siatkowy podkoszulek, szare spodnie i sandały, podchodzi do wolnego krzesła między mężczyzną z krwawiącą ręką a starszą kobietą z obandażowaną głową i siada.

Dopiero wtedy podniosła słuchawkę telefonu.

Miliarder Czasu wyjął BlackBerry z zapinanej na zatrzask kieszonki przymocowanej do paska, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, padł na niego cień. Stała przed nim sympatycznie wyglądająca, ciemnowłosa kobieta pod pięćdziesiątkę, w fartuchu pielęgniarki. Na plakietce w klapie napisane było „Barbara Leach - pielęgniarka pogotowia”.

- Dzień dobry! - powiedziała rześkim głosem. - Zechce pan pójść ze mną?

Zaprowadziła go do małego boksu i kazała usiąść.

- Z czym mamy problem?

Pokazał jej dłonie.

- Skaleczyłem się, pracując przy samochodzie.



- Jak dawno temu?

Zastanowiwszy się chwilę, powiedział:

- W czwartek po południu.

Dokładnie obejrzała jego dłoń, odwracając ją, porównując z lewą.

- Wygląda na zakażenie - powiedziała. - Czy brał pan ostatnio zastrzyk przeciwtężcowy?

- Nie pamiętam.

Znów przez chwilę uważnie badała dłoń.

- Pracując przy samochodzie? - spytała.

- To stary samochód. Odrestaurowuję go.

- Poproszę doktora, żeby to obejrzał najszybciej, jak się da.

Wrócił na swoje krzesło w poczekalni i skupił się na BlackBerry.

Zalogował się do sieci, następnie kliknął zakładkę Google.

Kiedy się pojawiły, wpisał w okno wyszukiwarki MG TE.

Takim samochodem jeździła Cleo Morey.

Mimo bólu, mimo braku jasności myśli w jego głowie formował się plan. Naprawdę całkiem dobry plan.

- Super, kurwa! - powiedział głośno, nie mogąc opanować podniecenia, po czym natychmiast skurczył się w swojej skorupie.

Trząsł się.

Jak zawsze był to znak, że Pan pochwała.

## Rozdział 65

Niechętnie skracając cenne godziny swojego pobytu w Monachium, Grace zdołał załatwić sobie miejsce na wcześniejszy lot.

Pogoda w Anglii zmieniła się dramatycznie w ciągu dnia i kiedy zaraz po 18.00 szedł po swój samochód zostawiony na wielopoziomowym parkingu krótkoterminowym na Heathrow, niebo było złowrogo szare i wiał zimny wiatr, zacinając deszczem w przednią szybę.

Był to ten rodzaj wiatru, o jakiego istnieniu zapomina się w długie, letnie dni, takie jak ostatnio, dumał Grace. Było to srogie przypomnienie ze strony Matki Natury, że lato już nie potrwa długo. Dni robiły się coraz krótsze. Za niewiele ponad miesiąc nastanie jesień. Potem zima. Kolejny rok.

Zmęczony i sflaczały zastanawiał się, co dziś osiągnął, poza tym że zarobił następny minus w notesie Alison Vosper. Zupełnie nic?

Wsunął bilet parkingowy do automatu i szlaban uniósł się. Nawet pomruk silnika przy dodaniu gazu, którego zwykle lubił słuchać, zdawał się brzmieć dziś fałszywie. Zdecydowanie nie pracował na wszystkich cylindrach. Tak jak i jego właściciel.

*Dojdz ze sobą do ładu w Monachium. Zadzwoń, jak wrócisz.*

Kiedy dojechał do ronda i skręcił w kierunku M25, umieścił telefon w uchwycie i wybrał numer komórki Cleo. Po kilku dzwonekach usłyszał jej głos. Mówiła dość niewyraźnie, a w dodatku zrozumienie utrudniał ochryply jazgot muzyki jazzowej w tle.

- No proszę! Detektyw nadkomisarz Roy Grace! Gdzie jesteś?
- Właśnie wyjechałem z Heathrow. A ty?
- Zalewam się w trupa z moją siostrzyczką. Jesteśmy przy trzeciej Morskiej Bryzie... nie... przepraszam, poprawka! Jesteśmy przy piątej Morskiej Bryzie, pod arkadami. Wieje jak diabli, ale mają świetną kapekę. Chodź, przyłącz się do nas!
- Muszę jechać na miejsce zbrodni. Później?
- Nie sądzę, żebyśmy jeszcze długo były przytomne!
- Więc nie masz dziś dyżuru?
- Dzień wolny!
- Mogę potem wpaść?
- Nie gwarantuję, że będę na nogach. Ale możesz spróbować!

W czasach jego dzieciństwa Church Road w Hove była bezbarwnym, prowincjonalnym zaściankiem, w który przechodziła ruchliwa, tętniąca życiem ulica handlowa Brighton, Western Road, nieco na zachód od supermarketu Waitrose. W ostatnich latach ożywiła się znacznie za sprawą modnych restauracji, delikatesów i sklepów wystawiających towary, które ludzie poniżej dziewięćdziesiątki naprawdę chcą kupować.

Jak w całym mieście, tak i tutaj, przy Church Road, wiele nazw znanych mu z przeszłości, takich jak sklep spożywczy Cullens, drogeria Paris and Greening, domy towarowe Hills of Hove i Plummer Roddis, po prostu znikło. Ostało się zaledwie kilka. Jedną z nich była piekarnia Forfars. Zaraz za nią skręcił w prawo, podjechał jednokierunkową ulicą pod górę, na szczycie skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo, w Newman Villas.

Podobnie jak w większości dzielnic mieszkalnych z niskimi czynszami w tym tranzytowym mieście, ulica obstawiona była tablicami agencji najmu. Numer 17 nie był wyjątkiem. Pod umieszczonym w widocznym miejscu logo A. Rand & Co, znajdowało się ogłoszenie o mieszkaniu z dwiema sypialniami, do wynajęcia. Poniżej stał krzepki policjant w mundurze, trzymając podkładkę do papierów z klipsem. Za nim rozciągnięta była biało-niebieska taśma do oznaczania miejsca zbrodni,

odgradzająca część chodnika. Wzdłuż ulicy zaparkowane były liczne, znajome samochody. Grace dostrzegł bryłę pojazdu będącego ruchomym stanowiskiem pracy sekcji zabójstw, kilka innych samochodów policyjnych parkujących w dwóch rzędach, przez co wąska uliczka stała się jeszcze węższa, oraz grupę reporterów, wśród których zauważył starego znajomego Kevina Spinelle.

Anonimowy w swojej prywatnej alfie minął ich wszystkich i znalazł miejsce do zaparkowania na podwójnej żółtej linii tuż za rogiem, z powrotem na Church Road. Zgasił silnik i przez chwilę siedział bez ruchu.

*Sandy.*

Co ma dalej robić? Czekać, czy Kullen z czymś się zgłosi? Wracać do Monachium i spędzić tam więcej czasu? Należało mu się ponad dwa tygodnie urlopu - zastanawiali się z Cleo nad wspólnym wyjazdem brali pod uwagę, że może pojechałaby z nim na sympozjum policyjne do Nowego Orleanu pod koniec miesiąca. W tej chwili jednak był rozdarty.

Wiedział, że *jeżeli* Sandy jest w Monachium, to mając czas, mógłby ją znaleźć. Dziś był naprawdę głupi. Nigdy nie byłby w stanie niczego dokonać w kilka godzin. Ale przynajmniej ruszył sprawę z miejsca, zrobił, co mógł. Na Marcelu Kullenie można polegać, zrobi dla niego, co w jego mocy. Może wystarczyłoby, gdyby pojechał tam na tydzień. Mógłby spędzić tydzień w Monachium i drugi w Nowym Orleanie z Cleo. To mogłoby się udać - jeżeli zdołałby ją do tego przekonać. Wielkie *jeżeli*.

Przystawiając się z powrotem na zadanie, jakie miał przed sobą teraz, wyjął z bagażnika swoją podręczną torbę i skierował się pod numer 17. Kilku reporterów wołało za nim, podekscytowana dziewczyna wepchnęła mu w twarz obłożony gąbką mikrofon, błyskały flesze.

- Żadnych komentarzy na tym etapie - powiedział zdecydowanie.

Nagle Spinella zastąpił mu drogę.

- Czy to następne, panie nadkomisarzu? - spytał cicho.

- Co następne?

Spinella spojrział na niego porozumiewawczo i jeszcze bardziej zniżył głos:

- Wie pan, o co mi chodzi. To prawda?
- Powiem, jak sam zobaczę.
- Spokojna głowa, panie nadkomisarzu. Jak nie pan, to kto inny. -

Spinella poklepał się po nosie. - Źródła!

Hołubiąc miłą myśl o ciosie między oczy reportera i niemal słysząc trzask miażdżonej kości nosowej, Grace przepchnął się koło niego i podpisał się na trzymanej przez funkcjonariusza podkładce. Posterunkowy skierował go na ostatnie piętro.

Schylając się, przeszedł pod taśmą, wyjął z torby świeże ubranie ochronne z białego papieru i zaczął je wkładać na siebie niezdarnie. Ku swemu zażenowaniu, omal nie przewrócił się na oczach wszystkich mediów Sussex, usiłując wepchnąć obie nogi w jedną nogawkę. Czerwony na twarzy doszedł z tym do ładu, założył ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki i wszedł do środka.

Po wejściu do holu i zamknięciu za sobą drzwi, pociągnął nosem. Zwykły, pleśniowy zapach starej wykładziny i gotowanych warzyw, typowy dla tysiąca nieodnawianych budynków, takich jak ten, w których bywał w swojej karierze. Nie było smrodu rozkładających się zwłok, co oznaczało, że ofiara nie żyje od niedawna - przy letnich upałach nie trzeba wielu dni, żeby zapach trupiego rozkładu zaczął być wyczuwalny. Mała pociecha, pomyślał, zauważając pasek taśmy biegnący w górę po schodach, wyznaczający drogę wejścia i wyjścia. Ucieszył się na jego widok. Przynajmniej przybyły tu zespół policyjny wiedział, co robić, żeby uniknąć zatarcia śladów.

Sam też musiał się do tego zastosować. Nie byłoby mądrze wchodzić na górę, ze względu na pracę brygady kryminalistycznej. Zamiast tego wyjął telefon i zadzwonił do Kim Murphy, żeby ją poinformować, że jest na dole.

Na pierwszym piętrze pojawił się nagle w zasięgu jego wzroku funkcjonariusz brygady kryminalistycznej Eddie Gribble, w białym ubraniu ochronnym i kapturze. Klęczał na podłodze, zdrapując z niej coś. Grace

skinął mu głową z uznaniem. Drugi, identycznie ubrany Tony Monnington omiatał ścianę proszkiem ujawniającym odciski palców.

- Dobry wieczór, Roy! - zawołał radośnie.

Grace podniósł rękę.

- Miła niedziela?

- Przynajmniej nie ma mnie w domu i Belinda może oglądać w telewizji, co chce.

- Wszystko ma swoje dobre strony! - odparł Grace ponuro.

Po chwili pokazały się kolejne dwie postacie w ubraniach ochronnych i kapturach, które zeszyły po schodach w jego kierunku. Jedną z nich była Kim Murphy, z kamerą wideo w ręku. Drugą okazał się detektyw nadinspektor Brendan Duigan, wysoki, postawny, miły oficer o łagodnej, rumianej twarzy i przedwcześnie posiwiałych włosach, które strzygł maszynką na krótko. Duigana jako dyżurnego starszego oficera dochodzeniowego wezwano na miejsce zbrodni wcześniej, jak się dowiedział Grace w drodze tutaj. On z kolei wezwał Kim Murphy, ze względu na podobieństwa z zabójstwem Katie Bishop.

Po krótkiej wymianie grzeczności Murphy odtworzyła Grace'owi wideo nagrane na miejscu zbrodni. Obejrzał je na małym ekranie z tyłu kamery.

Po iluś tam latach tej pracy zaczynasz myśleć, że jesteś uodporniony na okropności, że już wszystko widziałeś, że nic już cię nie zaskoczy ani nie zaszokuje. Jednak materiał, który Grace oglądał teraz, sprawił, że do głębi przeniknęło go ponure zimno.

Patrząc na lekko chwiejny obraz przedstawiający ubrane na biało, zakapturzone postacie kolejnych dwóch funkcjonariuszy brygady kryminalistycznej na czworakach na podłodze, jedną stojącą i Nadiuskę De Sanchez kłęczącą po drugiej stronie łóżka, zobaczył alabastrowe, nagie ciało młodej kobiety z długimi, brązowymi włosami, leżące na łóżku, w masce przeciwigazowej na twarzy.

Była to jak najwierniejsza kopia tego, jak została znaleziona Katie Bishop.

Z tą różnicą, że w przypadku Katie nic nie wskazywało, żeby stoczyła walkę. Zapis wideo pokazywał teraz, że ta młoda kobieta z całą pewnością walczyła. Rozbity talerz na podłodze, a nad nim wyżłobiona w ścianie rysa. Stłuczone lustro toaletki, rozrzucone wszędzie buteleczki perfum i słoiczki kosmetyków do makijażu, smuga krwi na ścianie, tuż nad białym zagłówkiem łóżka. Potem długie ujęcie oprawionej, abstrakcyjnej fotografii przedstawiającej rząd leżaków, leżącej na podłodze, ze strzaskaną szybą.

Brighton przez lata widziało przypadającą na nie działkę morderstw, ale tym, czego mu miłosiernie oszczędzono, było widmo seryjnego zabójcy. Była to nawet dziedzina, w której Grace nie musiał się specjalnie orientować - do tej pory.

Niedaleko zaczął wyc alarm samochodowy. Nie słyszał go, wpatrując się w zatrzymany kadr przedstawiający martwą młodą kobietę. Regularnie uczęszczał na wykłady wygłaszane przez oficerów prowadzących sprawy seryjnych morderstw, na dorocznych sympozjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Oficerów Dochodzeniowych ds. Zabójstw, odbywających się głównie w Stanach Zjednoczonych. Próbował przypomnieć sobie cechy wspólne. Póki co Spinella dotrzymał słowa i żadna wzmianka o masce przeciwigazowej nie ukazała się w prasie, więc niemożliwe, by było to naśladownictwo.

Jedyne, co pamiętał dobrze z wykładu, to dyskusja o strachu, jaki wywołuje w lokalnej społeczności wiadomość o seryjnym mordercy. Z drugiej strony jednak społeczność ma prawo wiedzieć i musi wiedzieć.

Grace zwrócił się do detektywa nadinspektora Duigana:

- Co mamy do tej pory?
- Nadiuska przypuszcza, że dziewczyna nie żyje od około dwóch dni, mniej więcej.
- Jakiś pomysł co do przyczyny śmierci?
- Tak.

Kim Murphy włączyła kamerę i zrobiła zbliżenie szyi młodej kobiety. Ciemnoczerwony ślad ligatury był widoczny, przez chwilę jeszcze

wyraźniejszy w błysku flesza aparatu policyjnego fotografa, który akurat robił zdjęcie.

Grace poczuł olów w żołądku, zanim Kim potwierdziła.

- Identyczna jak w przypadku Katie Bishop - powiedziała.

- Czyli szukamy seryjnego zabójcy, cokolwiek miałyby to określenie znaczyć? - spytał, a właściwie stwierdził Grace.

- Z tego, co widziałem dotychczas, Roy, jest za wcześnie, żeby być w stanie cokolwiek powiedzieć - odparł Duigan. - Ja właściwie nie jestem ekspertem od seryjnych zabójców. Na szczęście nie miałem doświadczenia z żadnym.

- To jest nas dwóch.

Grace zastanawiał się usilnie. Dwie atrakcyjne kobiety zabite, najwyraźniej w ten sam sposób, w odstępie dwudziestu czterech godzin.

- Co o niej wiemy?

- Uważamy, że nazywa się Sophie Harrington - powiedziała Murphy. - Ma dwadzieścia siedem lat i jest zatrudniona w firmie produkcji filmów w Londynie. Wcześniej odebrałam telefon od młodej kobiety, Holly Richardson, która twierdzi, że jest jej najlepszą przyjaciółką. Próbowaliśmy skontaktować się z nią wczoraj przez cały dzień, wieczorem miały iść razem na przyjęcie. Holly po raz ostatni rozmawiała z nią około 17.00 w piątek.

- To już coś - powiedział Grace. - Przynajmniej wiemy, że wtedy żyła. Czy ktoś przesłuchał Holly Richardson?

- Nick teraz pojechał jej poszukać.

- I pani Harrington najwyraźniej stoczyła piekielną walkę - dodał Duigan.

- Mieszkanie wygląda na zdemolowane - powiedział Grace.

- Nadiuska znalazła coś pod paznokciem jej wielkiego palca od nogi.

Małeńki kawałeczek mięsa.

Grace poczuł nagły przypływ adrenaliny.

- Ludzkiego mięsa?

- Tak sądzi Nadiuska.



- Czy mogła zadrapać napastnika podczas walki?
- To możliwe.

Nagle pamięć Grace'a wyostrzyła się jak brzytwa i przypomniał sobie ranę na dłoni Briana Bishopa. I że oddalił się on samowolnie na kilka godzin w piątek wieczorem.

- Chcę mieć test DNA - powiedział. - Na cito.

Mówiąc to, już miał w ręku komórkę.

Linda Buckley, funkcjonariuszka do spraw kontaktów z rodziną, odebrała po drugim dzwonku.

- Gdzie jest Bishop? - spytał.
- Na kolacji z teściami. Wrócili z Alicante - odpowiedziała.

Poprosił o adres, po czym zadzwonił na komórkę Bransona.

- Siemasz stary, co jest?
- Co robisz w tej chwili?
- Jem jakieś obrzydliwie zdrowe, wegetariańskie cannelloni z twojej zamrażarki, słucham twojej tandeciarskiej muzyki i patrzę w twój zabytkowy telewizor. Człowieku, jak to się stało, że nie masz szerokoekranowego jak reszta świata?

- Zostaw wszystkie swoje problemy za sobą. Idziesz do pracy.

Grace podał mu adres.

## Rozdział 66

Ciszę przerywało jedynie podzwanianie łyżeczki, którą Moira Denton mieszała herbatę w swojej delikatnej filiżance z kościanej porcelany. Dla Briana Bishopa dogadywanie się z teściami nigdy nie było łatwe. Wiedział, że częściowo przyczynia się do tego niedogadywanie się tej pary ze sobą nawzajem. Pamiętał cytat, na który natknął się kiedyś, mówiący o ludziach wiodących swój żywot w cichej desperacji. Miał wrażenie, że niestety nic nie oddałoby trafniej charakteru związku Franka i Moiry Dentonów.

Frank był seryjnym przedsiębiorcą - i seryjnym nieudacznikiem. Brian dokonał niewielkiej inwestycji w jego ostatnie przedsięwzięcie, fabrykę w Polsce przerabiającą pszenicę na biopaliwo, bardziej na znak rodzinnej solidarności, niż spodziewając się rzeczywistego zysku. Przedsięwzięcie było tyle warte, że splajtowało, jak wszystko, za co brał się Frank. Frank Denton, wysoki mężczyzna dobiegający siedemdziesiątki, który dopiero ostatnio zaczął wyglądać na swój wiek, był też seryjnym jebaką. Włosy nosił po luzacku przydługie, choć teraz miały brudny odcień pomarańczowy, nadany przez jakiś produkt koloryzujący i miał opadającą powiekę lewego oka, które sprawiało przez to wrażenie wiecznie półprzymkniętego. W przeszłości przypominał Brianowi nieszkodliwego, rozhukanego pirata, ale w tej chwili, milczący, zgarbiony w swoim fotelu, w maleńkim mieszkanku, w którym było gorąco jak w piekle, nieogolony, nieuczesany, ubrany w pogniecioną, białą koszulę wyglądał po prostu na smutnego, zaniedbanego, załamane go starego człowieka. Jego kieliszek z

brandy stał nietknięty obok pękatej butelki Torres 10 Gran Reserva.

Moira siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie rzeźbionego, drewnianego stolika do kawy, na którym leżał wczorajszy „Argus” z ponurym tytułem. W przeciwieństwie do męża zadbała o swój wygląd. W wieku około sześćdziesięciu pięciu lat była ładną kobietą, a wyglądałaby jeszcze lepiej, gdyby nie pozwoliła, aby rozgoryczenie tak bardzo złożyło jej twarz. Jej farbowane na czarno, bujne włosy wijące się nad czołem były starannie ufryzowane, miała na sobie szarą, gładką bluzkę, granatową, plisowaną spódnicę i czarne buty na płaskim obcasie, nałożyła też makijaż.

Na ekranie telewizora z wyciszonym dźwiękiem łos biegł przez łąkę. Ponieważ Dentonowie większość czasu spędzali teraz w Hiszpanii, gdzie mieli mieszkanie, uważali, że w Anglii, nawet w pełni lata, jest nieznośnie zimno. Centralne ogrzewanie w swoim mieszkaniu w Hove, niedaleko nadbrzeża, nastawiali więc na kilka stopni poniżej osiemdziesięciu. I nie otwierali okien.

Siedząc w obitym zielonym welurem fotelu, Brian sływał potem. Sączył swoje trzecie piwo San Miguel, w brzuchu mu burczało, mimo że Moira przed chwilą podała posiłek. Ledwo tknął kurczaka na zimno z sałatką, nie miał ochoty na brzoskwinie z puszki na deser. Zupełnie nie miał apetytu. Nie kwapił się też do rozmowy. Odkąd przyszedł, jakieś dwie godziny temu, większość czasu spędzili we troje w milczeniu. Rozmawiali o tym, czy Katie powinna być pochowana, czy skremowana. Brian nigdy nie omawiał tego z żoną, ale Moira upierała się, że Katie chciałaby, żeby poddano ją kremacji.

Potem omawiali organizację pogrzebu - wstrzymanego do czasu, aż koroner zwolni ciało, które Frank i Moira widzieli poprzedniego dnia w kostnicy. Ten temat doprowadził oboje do płaczu.

To zrozumiałe, że jego teściowie ciężko przyjmowali śmierć Katie. Była dla nich czymś więcej niż tylko jedynym dzieckiem - była czymś jedynym, co miało wartość w ich życiu, spoiwem, które trzymało ich razem. W pewne szczególnie przykre Boże Narodzenie, kiedy Moira wypłała za dużo

sherry, szampana, a potem baileysa, wyznała Brianowi z goryczą, że przyjmowała Franka z powrotem po jego romansach wyłącznie dla dobra Katie.

- Smakuje ci to piwo, co, Brian? - spytał Frank.

Posługiwał się wytworną angielską wymową ludzi z wyższych sfer, której wyuczył się, aby zamaskować robotnicze pochodzenie. Moira również mówiła w sposób afektowany i tylko po pijanemu wracała do rodzimej wymowy z Lancastershire.

- Owszem, smaczne. Dziękuję.

- To ci oferuje Hiszpania, rozumiesz? Jakość! - W chwilowym ożywieniu Frank Denton podniósł rękę. - Bardzo niedoceniany kraj... ich jedzenie, wina, piwa. No i oczywiście ceny. Kraj częściowo rozwinięty, ale wciąż są tam wielkie możliwości, jeżeli wiesz, co robisz.

Mimo że ojciec Katie pogrążony był w żalobie, Brian wyczuł w jego głosie ton, jakim sprzedawca namawia klienta do zakupu.

Nie mylił się.

- Ceny nieruchomości podwajają się tam co pięć lat. Cała sztuka w tym, żeby przewidzieć następne miejsca, na które będzie popyt. Buduje się tanio, a oni są bardzo wydajnymi robotnikami, ci Hiszpanie. Znalazłem absolutnie fantastyczną okazję na drugim końcu Alicante. Mówię ci, Brian, nic prostszego.

W tej chwili ostatnią rzeczą, jakiej chciałby czy potrzebował Brian, były szczegóły kolejnego, brzmiącego przekonująco, ale od początku do końca poronionego pomysłu Franka. Już wołał smętne milczenie, które przynajmniej pozwalało mu zająć się własnymi myślami.

Znów łyknął piwa i spostrzegł, że prawie opróżnił szklanekę. Zdawał sobie sprawę, że powinien się pilnować, skoro miał jeszcze prowadzić, poza tym nie wiedział, jak funkcjonariuszka do kontaktów z rodziną, czekająca na dole w swoim samochodzie jak strażnik, zareaguje na zapach alkoholu.

- Co ci się stało w rękę? - spytała nagle Moira, patrząc na świeży plaster na jego dłoni.

- To nic takiego. Uderzyłem się przy wysiadaniu z samochodu - powiedział lekceważąco.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach.

Dentonowie spojrzeli na siebie, po czym Frank wstał i poczłapał do przedpokoju.

- Nikogo się nie spodziewamy - powiedziała Moira do Briana.

Po chwili Frank wrócił do pokoju.

- Policja - oznajmił, obrzucając zięcia dziwnym spojrzeniem. - Idą tu.

Wciąż patrzył na Briana, tak jakby podczas krótkiej nieobecności w pokoju przyszła mu do głowy jakaś mroczna myśl.

Brian zastanawiał się, czy policjant powiedział coś więcej, czego stary nie przekazał.

## Rozdział 67

W pokoju przesłuchań świadków Glenn Branson włączył aparaturę rejestrującą i siadając, zapowiedział wyraźnie:

- Jest 21.12, niedziela, 6 sierpnia. Przesłuchanie pana Briana Bishopa prowadzą detektyw nadkomisarz Grace i detektyw sierżant Branson.

Kwatera Wydziału Kryminalnego stała się dla Bishopa przygnębiająco znajoma. Droga prowadziła przez schody wejściowe, obok wystawy pałek policyjnych na tablicach pokrytych niebieskim filcem, potem przez otwartą przestrzeń biurową, następnie korytarzami, których kremowe ściany obwieszane były planszami ze schematami, do tego małego pomieszczenia z trzema czerwonymi krzesłami.

- Zaczynam się czuć jak w „Dniu świstaka” - powiedział Bishop.

- Świetny film - skomentował Branson. - Najlepszy, jaki zrobił Bill Murray. Wolę go od „Między słowami”.

Bishop widział „Między słowami” i zaczął wczuwać się w postać graną przez Murraya w tym filmie - pozbawionego snu faceta błąkającego się w obcym świecie. Nie był jednak w nastroju na podejmowanie dyskusji o filmach.

- Czy wasi ludzie już skończyli w moim domu? Kiedy mogę się wprowadzić z powrotem?

- Obawiam się, że dopiero za parę dni. Dziękuję, że zechciał pan się do nas dziś pofatygować. Przepraszam za zakłócenie niedzielnego wieczoru.

- To prawie zabawne - powiedział Bishop sarkastycznie. Mało brakowało, żeby dodał - ale nie dodał - że nie sprawiło mu wielkiego kłopotu

wyrwanie się z ponurej atmosfery panującej u teściów i uwolnienie się od agitacji Franka w sprawie nowego przedsięwzięcia biznesowego. - Jakie wiadomości macie mi do przekazania?

- Obawiam się, że na tym etapie nie mamy do przekazania niczego nowego, ale jutro spodziewamy się wyników testu DNA, które mogą nam coś dać. Tymczasem chcielibyśmy zadać panu kilka pytań wynikających z przebiegu śledztwa. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Proszę pytać.

Grace zauważył wyraźne rozdrażnienie Bishopa. Była to znaczna zmiana w porównaniu ze smutkiem i zagubieniem, jakie prezentował podczas ostatniego przesłuchania. Grace jednak był wystarczająco doświadczony, żeby nie doszukiwać się w tym niczego. Gniew jest jednym z naturalnych etapów przeżywania żałoby i osoba, która straciła kogoś bliskiego, może nagle naskoczyć na kogokolwiek.

- Czy mógłby pan zacząć od wyjaśnienia nam charakteru pańskiej działalności biznesowej?

- Moja firma dostarcza systemy logistyczne. Projektujemy oprogramowanie, instalujemy je i administrujemy nim. Nasza główna działalność to kompleksowe planowanie zadań.

- Kompleksowe planowanie zadań? - Grace zauważył, że Branson również marszczy brwi.

- Dam wam przykład. Powiedzmy, że samolot, który powinien wystartować na przykład z Gatwick, jest opóźniony z jakiegoś powodu - z przyczyn technicznych, warunków atmosferycznych czy czegośkolwiek innego - i będzie mógł wystartować dopiero następnego dnia. Nagle linia lotnicza staje przed problemem znalezienia noclegu dla trzystu pięćdziesięciu pasażerów. Pociąga to też za sobą całą masę innych problemów: korekta rozkładu lotów, zaburzenie grafiku pracy załogi, wydłużenie czasu pracy niektórych załóg poza określone przepisami godziny, posiłki, odszkodowania. Pasażerów trzeba porozmieszczać w innych samolotach, żeby złapali swoje połączenia. Tego rodzaju historie.

- Więc jest pan komputerowcem?
- Jestem biznesmenem. Ale tak, całkiem nieźle orientuję się w informatyce. Ukończyłem kognitywistykę na Uniwersytecie Sussex.
- Firma odnosi sukcesy, jak przypuszczam?
- W zeszłym roku znaleźliśmy się na liście „Sunday Timesa” stu najszybciej rozwijających się firm brytyjskich - powiedział Bishop. W jego głosie przez smutek przebijała duma.
- Mam nadzieję, że to wszystko nie zaszkodzi pańskiej firmie.
- To już nie ma znaczenia, prawda? - powiedział bezbarwnym głosem.
- Wszystko co robiłem, robiłem dla Katie. Ja... - głos mu się załamał. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i ukrył w niej twarz. Potem w przypływie naglej wściekłości krzyknął: - Proszę, złapcie tego skurwysyna. Tego gnoja! Tego pierdolonego... - Wybuchnął płaczem.

Grace odczekał chwilę, po czym zapytał:

- Chciałby pan coś do picia?

Bishop łkając, pokręcił głową.

Grace czekał, aż się uspokoi.

- Przepraszam - powiedział w końcu Bishop, ocierając oczy.
- Nie musi pan przeproszać. - Grace dał mu jeszcze chwilę, zanim zadał następne pytanie: - Jak określiliby pan swój związek z żoną?
- Kochaliśmy się. To dobry związek. Myślę, że się uzupełniamy... - przerwał i poprawił ze smutkiem: - *Uzupełnialiśmy się nawzajem.*
- Czy mieliście państwo ostatnio jakieś nieporozumienia.
- Nie. Szczerze mogę powiedzieć, że nie.
- Czy coś martwiło pańską żonę? Miała jakiś kłopot?
- Poza przekraczaniem limitów swoich kart kredytowych?

Grace i Branson uśmiechnęli się nieznacznie, nie mając pewności, czy była to słaba próba żartu.

- Czy może nam pan powiedzieć, co pan dzisiaj robił? - spytał Grace, zmieniając kurs.

Bishop opuścił chusteczkę.



- Co dzisiaj robiłem?

- Tak.

- Rano usiłowałem załatwić korespondencję e-mailową. Dzwoniłem do mojej sekretarki i przejrzałem z nią listę spotkań, żeby ją poprosić o odwołanie niektórych. W środę miałem lecieć do Stanów na spotkanie z potencjalnym klientem w Huston. Kazałem to odwołać. Potem jadłem lunch z moim przyjacielem i jego żoną... u nich w domu.

- Czy mogą to potwierdzić?

- Jezu, oczywiście!

- Ma pan opatrunek na rękę.

- Żona mojego przyjaciela jest pielęgniarką. Uznała, że trzeba to osłonić. - Pokręcił głową. - Co to jest? Znow hiszpańska Inkwizycja?

Branson uniósł obie ręce.

- Po prostu troszczymy się o pańskie dobro. Ludzie po stracie kogoś bliskiego mogą coś zaniedbać. To wszystko.

Grace miałby ochotę powiedzieć w tym momencie Bishopowi, że taksówkarz, w którego samochodzie jakoby zranił się w dłoń, pamiętał go dokładnie, ale nie przypominał sobie takiego zdarzenia. Chciał jednak zachować tę bombę na później.

- Jeszcze tylko dwa pytania, panie Bishop i możemy kończyć na dziś.

Uśmiechnął się, ale odpowiedziało mu obojętne spojrzenie.

- Czy nazwisko Sophie Harrington coś panu mówi?

- Sophie Harrington?

- Młoda kobieta, która mieszka w Brighton i pracuje w londyńskiej firmie zajmującej się produkcją filmów.

- Sophie Harrington? Nie - zaprzeczył zdecydowanie. - Nic mi to nie mówi.

- Nigdy nie słyszał pan o tej młodej kobiecie? - naciskał Grace.

Obaj z Bransonem zauważyli wahanie Bishopa.

- Nie, nigdy.

Facet kłamał i Grace to wiedział. Zwrócenie oczu w stronę *konstrukcji* było ewidentne. Dwa razy.

- A powinienem ją znać? - spytał, nieporadnie sondując.
- Nie - odparł Grace. - Tak tylko spytałem, na wszelki wypadek.

Ostatnią sprawą, o jakiej chciałem dziś z panem porozmawiać, jest polisa ubezpieczenia na życie, jaką wykupił pan dla pani Bishop.

Bishop kręcił głową, sprawiając wrażenie autentycznie zaskoczonego. Albo dobrze grał.

- Sześć miesięcy temu, proszę pana - ciągnął Grace. - Podpisał pan z bankiem HSBC umowę ubezpieczenia na życie, na nazwisko pańskiej żony, na sumę trzech milionów funtów.

Bishop szczyrzył się głupkowato, energicznie kręcąc głową.

- Nie ma mowy. Przepraszam bardzo, ale nie wierzę w ubezpieczenia na życie. Nigdy w życiu nie kupowałem żadnej polisy!

Grace przyglądał mu się uważnie przez chwilę.

- Czy dobrze pana zrozumiałem? Mówi pan, że nigdy nie kupował pan polisy ubezpieczenia na życie na panią Bishop?

- Absolutnie nie!

- Taka polisa znajduje się w pańskim domu. Sugeruję, żeby przejrzał pan wyciągi bankowe. Opłaca pan za nią miesięczne składki.

Bishop kręcił głową i wydawał się oszołomiony.

Tym razem z ruchów jego gałek ocznych Grace wnioskował, że nie kłamie.

- Myślę, że nie powinienem nic więcej mówić - powiedział Bishop. - Nie bez obecności mojego prawnika.

- To prawdopodobnie dobry pomysł, proszę pana.

## Rozdział 68

Kilka minut później Roy Grace i Glenn Branson stali przed Sussex House i patrzyli, jak tylne światła ciemnoczerwonego bentleya Bishopa znikają w dole, za zakrętem w prawo, obok wielkiego magazynu Brytyjskiej Składnicy Księgarskiej.

- No i co myślisz, stary? - spytał Branson.
- Myślę, że muszę się napić.

Podjechali do pubu Pod Czarnym Lwem w Patcham, weszli i stanęli przy barze. Grace kupił Glennowi kufel guinnessa, dla siebie zamówił dużego glenfiddicha z lodem, po czym usiedli przy stoliku w boksie.

- Nie mogę rozgryźć tego faceta - powiedział Grace. - Jest sprytny. Ma w sobie jakiś chłód. I odnoszę wrażenie, że znał Sophie Harrington.

- Jego oczy?
- Widziałeś to? - spytał Grace zadowolony, że jego protegowany uczy się od niego.
- On ją znalazł.

Grace upił troszkę whisky i nagle zatęsknił za papierosem.

Cholera. Jeszcze rok i palenie w pubach będzie zakazane. Póki co można korzystać z okazji. Podszedł do automatu i kupił sobie paczkę Silk Cut. Oddał celofan, wyjął papierosa i poszedł poprosić młodą barmankę o ogień. Zaciągnął się głęboko, delektując się każdą słodką sekundą odczucia, jakie towarzyszyło wciąganiu dymu.

- Powinieneś rzucić. Te rzeczy są szkodliwe.

- Życie jest szkodliwe - odparł. - Wszystkich nas zabija.

Branson zachmurzył się.

- Nie musisz mi mówić. Ta kula, co? Cał w prawo i rozwaliliby mi kręgosłup. Jeździłbym na wózku do końca życia. - Pokręcił głową, po czym wziął duży łyk piwa. - Przechodzę tę całą cholerną rekonwalescencję, wracam do domu i zamiast kochającej, troskliwej żony, co mam? Pieprzone gówno!

Pochylił się do przodu i ukrył twarz w dłoniach.

- Myślałem, że musisz tylko kupić jej konia - łagodnie próbował wy badać go Grace.

Przyjaciel nie odpowiedział.

- Nie wiem, ile kosztuje sam koń ani jego utrzymanie, ale dostaniesz odszkodowanie za swój uraz, całkiem dużo pieniędzy. Myślę, że więcej niż trzeba na kupno konia.

Dziewczyna zza baru, która wcześniej przypalała mu papierosa, teraz nagle stała nad nimi.

- Życzą sobie panowie coś jeszcze? Niedługo zamykamy.

Grace uśmiechnął się do niej.

- To wszystko. Dziękujemy.

Objął ramieniem Bransona, czując miękką zamsz jego kurtki lotniczej.

- Rozumiesz, co za ironia? - powiedział Branson. - Mówiłem ci, prawda? Wstąpiłem do policji, żeby moje dzieciaki mogły być ze mnie dumne. Teraz nawet nie wolno mi pocałować ich na dobranoc.

Grace napił się whisky i znów zaciągnął się papierosem. Wciąż mu smakował, ale już nie tak wspaniale, jak przedtem.

- Stary, znasz prawo. Ona nie może ci zabronić.

Patrzył na długi, drewniany kontuar baru. Na odwrócone butelki i lustra za nimi, na puste stołki barowe i puste stoliki. To był długi dzień. Trudno uwierzyć, że lunch jadł nad jeziorem w Monachium.

- Ty - odezwał się nagle Glenn Branson - nawet cię nie spytałem, jak poszło. Co się działo?

- Nic - odpowiedział. - Nic.
- Nie zrób tego, co ja, Roy. Nie spieprz wszystkiego. Dobrze ci idzie z Cleo. Dbaj o nią. Ona jest taka urocza.

Cleo była porządnie nawalona, kiedy niedługo po 23.30 dotarł do kutej bramy jej osiedla.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziała przez domofon. - Boże, jestem zalana!

Elektroniczny zamek otworzył się z ostrym szczękiem, jaki towarzyszy repetowaniu broni. Grace wszedł i po kamiennych płytach oświetlonych słabym światłem jarzeniowym podszedł do domu Cleo. Kiedy był już blisko drzwi frontowych, otworzyły się.

Stała w nich Cleo obok czegoś, co wyglądało jak odwrócona skorupa ogromnego, niebieskiego kraba mutanta.

Nadstawiła mu policzek, kiedy próbował pocałować ją w usta, dając mu do zrozumienia, mimo stanu nietrzeźwości, że wciąż jest na niego zła.

- Twardy dach mojego mg. Jakiś skurwysyn przeciął mi dziś płócienny. Możesz mi pomóc to założyć?

Nie pamiętał, żeby w życiu dźwigał coś równie ciężkiego.

- W porządku? - spytał, posapując, kiedy wytarabanili się z tym na ulicę. Był rozczarowany jej chłodem.

- Dużo lżejsze od ciała - odpowiedziała dziarsko, po czym omal nie zwała się na chodnik.

Szli ciemną, cichą ulicą, minęli jego alfa romeo, aż wreszcie dotarli do jej mg i mogli położyć skorupę. Grace obejrzał równe rozcięcie dachu.

- Skurwysyny! - powiedział. - Gdzie to się stało?

- Przed kostnicą po południu. Nie ma sensu tego naprawiać. Zaraz będzie to samo.

Niepewną ręką gmerała przy pilocie, w końcu otworzyła samochód, wsiadła i opuściła dach. Męcząc się, pocąc i klnąc, manewrowali twardym dachem, żeby zamocować go na samochodzie.

Byli całkowicie pochłonięci wykonywaniem tego zadania. Ani Roy Grace, ani Cleo Morey nie zauważyli postaci stojącej w ciemnym zaułku niedaleko od nich i przyglądającej się im z uśmiechem satysfakcji.

## Rozdział 69

Roy Grace zaczął poniedziałkowy rano od spotkania o 7.30 w swoim gabinecie z inspektorem Kim Murphy, nadinspektorem Brendanem Duiganem, kierownikiem brygady kryminalistycznej Joe Tindallem i Glennem Bransonem. Nakładał na przyjaciela jak najwięcej obowiązków, żeby odciągnąć go od problemów domowych. Eleonor, jego siła pomocnicza, także była obecna. Duigan zgodził się, żeby jego poranne i wieczorne odprawy dzieliło pół godziny od odpraw Murphy, tak aby Grace mógł prowadzić jedno i drugie, ale tego ranka postanowili odbyć wspólną odprawę obu zespołów, aby dać wszystkim pełny obraz sytuacji do tej pory.

Tuż przed 8.00 Grace wyszedł po drugą kawę tego ranka. Po powrocie do gabinetu zgrał ze swojego telefonu komórkowego trzy zdjęcia Niemki o blond włosach, zrobione wczoraj w Englisher Garten, po czym wystukał e-maila do Dicka Pope'a, który tego dnia miał być z powrotem w pracy.

*Dick, czy to jest kobieta, którą widzieliście z Lesley w Englisher Garten w zeszłym tygodniu? Roy*

Sprawdził zdjęcia. En face i oba profile. Wszystkie w odpowiednim zbliżeniu. Wysłał je.

Potem wysłał krótkiego e-maila z tymi samymi zdjęciami do Marcela Kullena. Pokazywał mu je już na małym ekranie telefonu, ale na ekranie komputera wyraźniej widać. Po załatwieniu tej sprawy wszedł w policyjną kronikę wypadków i przebiegł wzrokiem hasłowe streszczenia zając z

ostatniej nocy. Niedzielne noce są na ogół spokojne, z wyjątkiem sytuacji na drogach latem, kiedy weekendowi wycieczkowicze, niektórzy nietrzeźwi, wracają do domu. Wśród dziesiątków raportów z zajęć, których nagłówki przeglądał, znalazła się spora liczba drobnych wypadków drogowych, inne wykroczenia drogowe, kilka przestępstw ulicznych, awantura domowa w Patcham, potrącenie przez samochód starszego pieszego, przy czym sprawca zbiegł z miejsca wypadku, włamanie do klubu wędkarskiego i bójka w restauracji. Nic, co na pierwszy rzut oka miałyby związek ze śmiercią Katie Bishop czy Sophie Harrington.

Wysłał jeszcze dwa e-maile, wziął od Eleanor plan odprawy o 8.30 i przeszedł korytarzem do sali konferencyjnej, gdzie zebrały się oba zespoły łącznie w liczbie czterdziestu osób.

Zaczął od powitania i wyjaśnienia, szczególnie na użytek nowego zespołu, struktury śledztwa. Poinformował, że sam jest oficerem nadzorującym oba śledztwa, inspektor Kim Murphy jako starszy oficer dochodzeniowy odpowiedzialna jest za śledztwo w sprawie zabójstwa Katie Bishop, natomiast nadinspektor Duigan pełni tę funkcję w śledztwie w sprawie zabójstwa Sophie Harrington. Następnie zapowiedział, że pokaże wideo z miejsca zbrodni popełnionej na Sophie Harrington, po czym omówi postępy obu śledztw, aby dać wszystkim aktualny obraz sprawy.

Kiedy skończyła się prezentacja wideo, nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Norman Potting siedzący z łokciami na stole, zgarbiony w swoim wygniecionym, kremowym, lnianym garniturze poplamionym jedzeniem.

- Wygląda na to, że polujemy na zbójcę, któremu śmierzdzą nogi, jakby się mnie kto pytał - wycharczał i rozejrzał się z szerokim uśmiechem.

Jedyną osobą, która odpowiedziała uśmiechem, był Alfonso Zafferone. Jednak twarz młodego detektywa nie wyrażała wesołości, był to raczej uśmiech politowania.

- Dziękuję ci, Norman - powiedział Grace zimno, zirytowany Pottingiem, że jest taki prymitywny i bezduszny. Nie chciał odstępować od ustalonego



planu, który leżał przed nim i który starannie przygotował wcześniej razem z Kim Murphy i swoją asystentką, ale postanowił, że znajdzie odpowiedni moment, żeby przywołać Pottinga do porządku. - Może chciałbyś dziś zacząć i zapoznać nas z dowodami na poparcie tego stwierdzenia.

Potting poprawił nieudolny węzeł swojego krawata Klubu Krykietowego Hrabstwa Sussex, równie wystrzępionego jak jego włosy, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- No więc myślę, że uzyskałem pewne wyniki w innym kierunku - powiedział, nadal majstrując przy węźle krawata.
- Zamieniamy się w słuch - powiedział Grace.
- Katie Bishop miała romans - obwieścił triumfalnie stary detektyw sierżant.

Czterdzieści par oczu skupiło się na nim.

- Jak niektórzy z was zapewne pamiętają - mówił dalej Potting, zaglądając do swojego notosu po szczegóły - ustaliłem, że kabriolet bmw zarejestrowany na panią Bishop został odnotowany przez kamerę CCTV. Było to na stacji benzynowej BP przy A27, dwie mile na wschód od Lewes, tuż przed północą w zeszły czwartek, czyli w noc, kiedy została zamordowana - przypomniał wszystkim bez potrzeby. - Następnie zidentyfikowałem panią Bishop w zapisie wideo ze stacji benzynowej. Potem dokonując oględzin rzeczonoego samochodu w rezydencji Bishopów w piątek w godzinach popołudniowych, znalazłem kwit parkingowy z godziny - znów sprawdził w notesie - 17.11 w czwartek wydany przez parkomat przy Southover Road w Lewes.

Przerwał i jeszcze raz sięgnął do węzła krawata. Grace wyjrzał przez okno. Niebo było niebieskie i czyste. Lato wróciło. Tak jakby wczorajsze popołudnie było małą usterką pogodową spowodowaną przez kogoś, kto pociągnął za niewłaściwą dźwignię.

- Poprosiłem o przysługę, jaką był mi winien John Smith z sekcji telekomunikacji tu, w naszym Wydziale Kryminalnym - kontynuował Potting. - Przybył on w dniu wczorajszym, aby zbadać telefon komórkowy

należący do pani Bishop. Na skutek znalezienia wśród numerów szybkiego wybierania numeru w Lewes, byłem w stanie zidentyfikować pana Barty'ego Chancellora, malarza portrecistę o pewnej międzynarodowej renomie, jak rozumiem, zamieszkałego przy Southover Street w Lewes.

Teraz Potting był jeszcze bardziej zadowolony z siebie.

- Udałem się w celu przepytania pana Chancellora o godzinie 16.00 w dniu wczorajszym do jego lokalu, gdzie przyznał, że on i pani Bishop spotykali się od około roku. Był w stanie znacznego zdenerwowania po przeczytaniu wiadomości o śmierci pani Bishop i wydawał się dość zadowolony, jeśli to jest właściwe słowo, że może przed kimś otworzyć serce.

- Czego się od niego dowiedziałeś? - spytał Grace.

- Wygląda na to, że Bishopowie nie byli tą szczęśliwą, złotą parą, za jaką uchodzili w lokalnym świątku. Według Chancellora Bishop miał obsesję na punkcie pracy i nigdy go nie było. Wydawał się nie rozumieć, że jego małżonka czuje się samotna.

- Przepraszam - przerwała gniewnie Bella Moy. - Normanie, to usiłowanie usprawiedliwiania romansu jest typowe dla mężczyzn. *Och, jej mąż za cholereę jej nie rozumie i dlatego wpadła w moje ramiona, taka jest prawda, wysoki sądzie!* - Młoda detektyw sierżant z rumieńcem na twarzy rozejrzała się po zebranych. - Szczerze, ile razy każdy z was to słyszał? Nie zawsze mąż jest winny... dziwek nie brakuje!

- Nie musisz mi mówić - powiedział Potting. - Ożeniłem się z trzema z nich.

- Czy Bishop wiedział? - wtrącił się Glenn Branson.

- Chancellor nie przypuszcza - odparł.

Grace w zamyśleniu zapisał nazwisko.

- Więc teraz mamy drugiego potencjalnego podejrzanego.

- To całkiem dobry malarz. Poważnie, powinien być - powiedział Potting. - Liczy sobie od pięciu do dwudziestu kawałków za obraz. Cholera, można za to kupić samochód! Albo dom tam, skąd jest moja nowa żonka.

- Czy to istotne, Normanie? - spytał Grace.  
- Ci artyści, niektórzy, mogą być trochę zboczeni. Tak sobie myślę. Czytacie, że Picasso wciąż posuwał kobitki, a był po pięćdziesiątce.

- Aha, jest malarzem, więc musi być zboczeńcem. To chciałeś powiedzieć? - Potting wyraźnie działał dziś Belli Moy na nerwy. - Na pewno wsadził Katie Bishop maskę przeciwgazową na głowę i ją uduślił, tak? Po co mamy tracić czas? Idźmy do prokuratury z naszymi dowodami, uzyskajmy nakaz aresztowania Chancellora i kończmy z tym!

- Bella! - powiedział z naciskiem Grace. - Dziękuję, wystarczy.

Piorunowała Pottinga wzrokiem, jej twarz zrobiła się czerwona. Grace zastanawiał się przez chwilę, czy jej wrogość do detektywa sierżanta ma głębsze podłoże. Czy kiedyś byli ze sobą? W to wątpił, patrząc na nich teraz, zestawiając tego starego, wysłużonego i obleśnego weterana z atrakcyjną rozwódką, trzydziestopięcioletnią brunetką o świeżej twarzy. Nie ma mowy.

- Czy odkryłeś w jego mieszkaniu coś, co mogłoby wskazywać na upodobanie do perwersji? - spytała Kim Murphy. - Jakąś maskę przeciwgazową wiszącą na ścianie? A może coś na jego obrazach?

- Ma na ścianach trochę sprośnej golizny. Mówię wam! Takich obrazów nie chcielibyście pokazać swojej starej matce. I wydobyłem z niego coś bardzo interesującego: był z panią Bishop w czwartek w nocy. Prawie do północy.

- Musimy go ściągnąć na przesłuchanie jak najszybciej - powiedział Grace.

- Będzie tu o 10.00.

- To dobrze. Kto będzie z tobą?

- Detektyw Nicholl.

Grace spojrzął na Nicka Nicholla. Młody, świeżo upieczony tatuś tłumił ziewanie i z trudem trzymał oczy otwarte. Najwyraźniej miał za sobą kolejną kiepską noc ze swoim dzidziusiem. Nie chciał, żeby niedospany zombi przesłuchiwał takiego ważnego świadka. Przeniósł wzrok na Zafferone.

Chociaż nie lubił zarozumiałego młodzieniaszka, pomyślał, że właśnie dlatego Zafferone będzie idealny. Jego arogancja wyträciłaby z równowagi każdego, a co dopiero wrażliwego artystę. Często najlepszym sposobem na wydobywanie czegoś ze świadka jest podpuszczenie go, tak żeby stracił panowanie nad sobą.

- Nie - powiedział. - Detektyw Zafferone przesłucha go razem z tobą.

Spojrzał na swój plan, a potem na ogołonego na łyso, trzydziestosiedmioletniego Joe Tindalla z wąskim paskiem zarostu i w niebieskich okularach.

- Proszę bardzo - powiedział oficjalnie. - Wysłuchajmy teraz raportu kierownika brygady kryminalistycznej.

- Przede wszystkim - zaczął Joe Tindall - dziś po południu spodziewam się z Huntingdon wyników testu DNA spermy znalezionej w pochwie pani Bishop. - Zajrzał do notatek. - Dziś wysyłamy do laboratorium kilka próbek pobranych w mieszkaniu pani Harrington. Zalicza się do nich mały kawałek mięsa wyjęty spod paznokcia dużego palca jej prawej stopy oraz maska przeciwgazowa znaleziona na twarzy ofiary, która typem i sposobem wytworzenia przypomina tę z domu pani Bishop. - Napił się wody. - Wysyłamy też włókna tkanin pobrane w mieszkaniu pani Harrington i próbki krwi. Na ścianie nad łóżkiem, na którym znaleziona została ofiara, rozmazana była krew, co nie pasuje do obrażeń na ciele ofiary. Może to być zatem krew sprawcy. - Zerknął w notatki. - Wszystkie odciski palców znalezione na obu miejscach zbrodni zostały wyeliminowane w trakcie naszych badań, co oznaczałoby, że zabójca obu kobiet działał w rękawiczkach, najbardziej prawdopodobne, albo wytarł ślady. Niemniej jednak, stosując substancję chemiczną, znaleźliśmy na posadzce w łazience ślady stóp, które z całą pewnością nie są śladami ofiary. Zanalizujemy je pod kątem typu obuwia.

Następnie ostra, bystrooka detektyw Pamela Buckley złożyła raport ze swoich wywiadów przeprowadzonych we wszystkich oddziałach pogotowia w szpitalach w okolicy - Sussex County, Eastbourne, Worthing

i Haywards Heath - dotyczących osób z ranami dłoni.

- Nasze działania są sprzeczne z zasadą tajemnicy lekarskiej - powiedziała z wyraźną nutą sarkazmu w głosie, po czym odczytała listę - bez nazwisk - typów urazów dłoni, z jakimi spotkano się w każdym szpitalu i udzielono z ich powodu pomocy.

Żaden nie odpowiadał temu, jaki Grace widział na dłoni Briana Bishopa, jak również nikt z personelu nie rozpoznał Briana Bishopa na pokazanym zdjęciu.

Teraz z kolei swój raport złożył detektyw sierżant Guy Batchelor. Wysoki, krzepki policjant wypowiedział się jak zwykle rzeczowym tonem.

- No więc myślę, że mam coś dość ciekawego - powiedział i skinieniem głowy wyraził uznanie Pottingowi. - Norman wykonał dobrą robotę, skłaniając swojego kumpla Johna Smitha z sekcji telekomunikacji, żeby poświęcił niedzielę. John został tu i zbadał telefon komórkowy zabezpieczony w mieszkaniu Sophie Harrington. - Przerwał, napił się kawy z dużego, styropianowego kubka ze Starbucks, po czym podniósł wzrok z uśmiechem. - Ostatnim numerem wybranym przez panią Harrington, według informacji pozyskanej z jej telefonu, był numer - odczytał z notatek - 07985541298. Sprawdziłem, co to za numer. - Z triumfem spojrział prosto w oczy Roya Grace'a. - Jest to numer telefonu komórkowego Briana Bishopa.

## Rozdział 70

*Powiadają, że recepta na sukces w życiu to 1% natchnienia i 99% potu. Tym, o czym nie wspominają, kiedy zaczynasz nowy biznes, jest forsa, którą musisz znaleźć. Potrzebujesz prawnika i księgowych, żeby założyć firmę, agenta patentowego, żeby zarejestrować swoje oprogramowanie i zagwarantować sobie prawa autorskie, agencji reklamowej, żeby zaprojektowała ci logo, wizerunek firmy, opakowanie dla twojego produktu, jeśli masz zamiar zostać graczem na skalę globalną, no i oczywiście stronę internetową. Potrzebujesz biura, mebli, telefonów, faksu i sekretarki. Żadna z tych rzeczy nie jest tania.*

*Po roku od mojego Wielkiego Pomysłu byłem do tyłu na ponad sto tysięcy funtów, a jeszcze nie byłem gotów, żeby ruszyć z przedsięwzięciem. Ale byłem blisko.*

*Wziąłem drugi kredyt hipoteczny na swoje mieszkanie, sprzedałem wszystko, co mogłem sprzedać, a w dodatku menedżer banku, który we mnie wierzył, dał mi pożyczkę większą niż powinien. Jak to mówią Amerykanie, zastawiłem farmę.*

*Czytałem wszystkie strony finansowe w gazetach i zaprenumerowałem czasopisma branżowe każdego biznesu, w którym chciałem szukać potencjalnych klientów. Można więc sobie wyobrazić moją konsternację, kiedy któregoś dnia otworzyłem dodatek do „Financial Timesa” i zobaczyłem artykuł napisany przez dziennikarza o nazwisku Gautam Malkani, na temat mojej firmy.*

*To była wierna kopia wszystkiego tego, co miałem zamiar robić.*

*Już była uruchomiona i działała.*

*A ja patrzyłem ze zdjęcia na różowej stronie.*

*Tyle tylko, że nazwa firmy nie była tą, którą wybrałem.*

*I nazwisko pod moim zdjęciem było nazwiskiem kogoś innego, człowieka, o którym nigdy nie słyszałem.*

## Rozdział 71

Marija Djapic wbiła kod i weszła przez bramę z kutego żelaza. Właśnie minęła 9.00, więc była trochę później niż zwykle, co zawdzięczała swojej córce. Natychmiast zauważyła mężczyznę stojącego pod drzwiami numeru 5. Sprawiał wrażenie, jakby czekał już jakiś czas.

Przeszła przez brukowany kamieniami dziedziniec, sapiąc z wysiłku po pokonaniu na piechotę dalekiej drogi, z ciężką torbą, którą wszędzie ze sobą taszczyła, zawierającą ubiór roboczy, buty, lunch i picie. Pociła się obficie w upale. Była też w złym humorze z powodu kolejnej kłótni z Danicą. Kim jest ten mężczyzna? Czego od niej chce? Czy przysłała go następna firma windykacyjna, której jest winna pieniądze za spłatę karty kredytowej?

Trzydziestopięcioletnia Serbka wszędzie chodziła pieszo, żeby zaoszczędzić na przejazdach autobusem. Do wszystkich swoich pracodawców docierała w niecałą godzinę z mieszkania komunalnego w Whitehawk, które dzieliła ze swoją zbuntowaną, czternastoletnią primadonna. Prawie każdy okupiony potem, ciężko zarobiony pens szedł na kupienie Danicy najlepszego z tego, na co było ją stać w ich nowym życiu tu, w Anglii. Starła się kupować przyzwoite jedzenie, dbała, żeby Danica miała ubrania, jakie chciała - no dobrze, przynajmniej niektóre. Jak również wszystko to, co musiała mieć, żeby nie odstawać od przyjaciółek: komputer, komórkę, a na urodziny dwa tygodnie temu iPoda.



I w nagrodę za to dziewczucha wróciła dziś o 4.10! Z rozmazanym makijażem i rozszerzonymi źrenicami.

A teraz ten goguś stoi pod drzwiami i tylko czeka, żeby jej wydrzeć z ręki forszę zostawioną dla niej na kuchennym stole. Spojrzała na niego podejrzliwie, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy do domu Cleo Morey. Był wysoki, z przylizanymi do tyłu, brązowymi włosami, przystojniak podobny do aktora filmowego, którego nazwiska nie potrafiła skojarzyć. Ubrany był dość porządnie, w białą koszulę z gładkim krawatem, niebieskie spodnie, czarne buty i granatową, bawełnianą kurtkę, która wyglądała na jakiś mundur, z plakietką naszytą na kieszeni na piersi.

Marija rozejrzała się niespokojnie naokoło, czy ktoś jeszcze jest na dziedzińcu i z ulgą dostrzegła młodą kobietę w spodenkach i topie z lycry, wyciągającą rower górski przez drzwi frontowe parę domów dalej. Podniesiona na duchu włożyła klucz w dziurkę i przekreśliła.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, okazując identyfikator ze zdjęciem. Był laminowany i wisiał mu na szyi na dwóch cienkich, białych sznureczkach.

- Przepraszam - powiedział bardzo grzecznie. - Gazownia. Czy nie będzie przeszkadzać, jeśli odczytam licznik?

W tym momencie zauważyła metalową maszynkę z klawiszami, którą trzymał w ręce.

- Umówił się z panną Morey? - spytała ostro, odrobinę agresywnie.

- Nie. Dziś robię odczyty w tym rejonie. To nie zajmie więcej jak dwie minuty, jeśli pokaże mi pani, gdzie są liczniki.

Wahała się. Jak dla niej, to wyglądał normalnie, no i miał identyfikator. Kilka razy zdarzyło się, kiedy pracowała w innych domach, że zjawiali się ludzie, którzy chcieli odczytać liczniki. To zupełnie naturalne. O ile mają identyfikatory. Jednak pouczone ją wyraźnie, że ma nikogo nie wpuszczać do domu. Może powinna zadzwonić do panny Morey i zapytać? Ale czy ma zawracać jej głowę w jej ważnej pracy tylko dlatego, że człowiek przyszedł odczytać licznik?

- Proszę jeszcze raz pokazać identyfikator.

Pokazał. Jej angielski nie był za dobry, ale zobaczyła jego twarz i słowo SEEBOARD\*. To wyglądało poważnie. Oficjalnie.

- Niech będzie - powiedziała.

\* Nieistniejąca od połowy 2006 r, firma energetyczna - przyp. tłum.

Mimo to uważała na niego, wchodząc do środka pierwsza i zostawiając drzwi otwarte. Przeszła zdecydowanym krokiem przez otwartą przestrzeń mieszkalną na dole i po paru schodkach do kuchni, ani na chwilę nie tracąc go z oczu.

Jej pieniądze leżały na kwadratowym, sosnowym stole, przyciśnięte ceramiczną misą z owocami. Obok była odręcznie napisana kartka od Cleo, z instrukcją dotyczącą prac domowych na dzisiaj. Marija chciwie złapała dwa dwudziestofuntowe banknoty i wepchnęła je do portmonetki. Potem wskazała tablicę umieszczoną wysoko na ścianie, na lewo od dużej, srebrnej lodówki.

- Myślę, że licznik tam - powiedziała, po raz pierwszy zauważając bandaż na jego dłoni.

- Ostre kanty! - powiedział mężczyzna, widząc zdziwienie w jej oczach. - Nie uwierzyłaby pani, w jakich miejscach niektórzy ludzie mają liczniki! Pracuję z narażeniem życia. - Uśmiechnął się. - Ma pani coś, na czym mógłbym stanąć, żeby się tam dostać?

Podsunęła mu drewniane krzesło kuchenne, a on podziękował i przykląkł, żeby zdjąć buty. Jego wzrok wcale nie był skierowany na licznik, a na komplet kluczy sprzątaczk, leżący na stole. Kombinował właśnie, jak odwrócić jej uwagę i wywabić ją z kuchni, kiedy nagle zadzwoniła jej komórka.

Patrzył, jak kobieta wyciąga z torebki małą, zieloną nokię, zerka na wyświetlacz i wyraźnie roztrzęsiona odbiera.

- Tak, Danica?

Potem zaczęła wściekle trąkotać w języku, którego nie rozpoznawał. Z minuty na minutę kłótnia z tą jakąś Danicą zdawała się przybierać na sile.

Kobieta krążyła po kuchni, mówiąc coraz bardziej podniesionym głosem, po czym tupiąc, doszła do schodów prowadzących do pokoju, gdzie stanęła. Rozmowa przekształciła się w regularną pyskówkę.

Spuściła go z oczu na niecałą minutę, ale to wystarczyło mu aż nadto, żeby szybko sięgnąć po klucz, odcisnąć go w miękkim wosku w puszcze ukrytej w dłoni i odłożyć z powrotem na stół.

## Rozdział 72

Mailing House, kwatera główna Policji Hrabstwa Sussex, znajdowała się o piętnaście minut jazdy od biura Grace'a. Była to zbieranina budynków usytuowana na przedmieściu Lewes, ośrodka administracyjnego Wschodniego Sussex, skąd kierowano pięcioma tysiącami funkcjonariuszy i pracowników policji.

Dominowały dwa budynki. Jednym była trzypiętrowa, futurystyczna budowla ze szkła i cegły, w której znajdowały się Centrum Kontroli, Rejestracja Przystępstw i Biuro Śledcze, Centrum Dyspozycyjne i Centrum Dowodzenia, jak również większość oprzyrządowania komputerowego. Drugi to imponująca rezydencja z czerwonej cegły, z czasów królowej Anny, niegdyś wspaniały dom mieszkalny, obecnie zabytek klasy I utrzymywany w dobrym stanie, od którego wzięła nazwę kwatera główna. Mimo że otoczony przez zaniedbane parkingi, jednopiętrowe konstrukcje z prefabrykatów, nowoczesne, niskie budynki i jeden ciemny, pozbawiony okien obiekt z wysokim kominem, który zawsze przypominał Grace'owi fabrykę włókienniczą w Yorkshire, Mailing House stał dumny i wyniosły. Wewnątrz mieściły się biura naczelnika policji, wicenaczelnika i zastępców naczelnika, do których zaliczała się Alison Vosper, wraz z ich personelem pomocniczym, tu też pracowali czasowo lub na stałe liczni starsi oficerowie.

Gabinet Vosper znajdował się na parterze, od frontu. Wielkie, otwierane pionowo okno wychodziło na zwirowy podjazd i okrągły trawnik. Idąc w

kierunku biurka, Grace zauważył na trawniku drozda kąpiącego się w wodzie rozpylanej przez spryskiwacz.

Wszystkie pomieszczenia recepcyjne miały porządną stolarkę, ładne stiuki i imponujące sufity starannie odrestaurowane po pożarze, który kilka lat temu omal nie strawił budynku. Dom pierwotnie zaprojektowany został tak, aby zapewnić komfort mieszkańcom i zrobić wrażenie na gościach bogactwem właściciela.

Musi być przyjemnie pracować w takim pokoju, pomyślał, w tej oazie spokoju, z dala od zatłoczonych, paskudnych pomieszczeń Sussex House. Czasami zdawało mu się, że mogłaby mu się spodobać odpowiedzialność i związany z nią posmak władzy, ale zaraz potem zaczynał się zastanawiać, czy poradziłby sobie z dyplomacją. Zwłaszcza z tą cholerną, zdradliwą polityczną poprawnością, przed którą wysokie szarże muszą bić pokłony o wiele bardziej niż zwykli funkcjonariusze. W tym momencie jednak myślał nie tyle o awansie, co o uniknięciu degradacji.

Kilka lat temu, ze względu na zmienność nastrojów, ktoś żartem nazwał Alison Vosper „Nr 27”, od słodko-kwaśnego dania w menu tutejszej chińskiej jadłodajni na wynos i to przezwisko się przyjęło. Zastępca komendanta potrafiła być twoim najlepszym przyjacielem jednego dnia, a następnego najgorszym wrogiem. Grace'owi zdawało się, że dawno minęły czasy, kiedy nie była dla niego tym drugim. Stał przed jej biurkiem przyzwyczajony, że rzadko prosi gości, aby usiedli, ponieważ spotkania mają być krótkie i konkretne.

Zaskoczyło go więc, wzbudzając najgorsze przeczucia, kiedy nie podnosząc wzroku znad dokumentu spiętego zieloną spiralką, wskazała mu jedno z krzeseł z poręczami i prostym oparciem, stojących przy rozległej, lśniącej połaci jej biurka z drewna różanego.

Była niedługo po czterdziestce, jej twarz o twardych rysach, w obramowaniu krótko obciętych w surowym stylu włosów nie była nieatrakcyjna. Ubrana była w sposób znamionujący władzę, w wykrochmaloną, białą bluzkę mimo upału zapiętą pod samą szyję i granatowy kostium z małą, brylantową broszką wpiętą w klapę.

Jak zawsze na biurku rozłożone były poranne gazety krajowe. Grace wyczuwał zapach jej nieco kwaskowatych perfum, tych samych co zawsze, zmieszanych z dużo słodszy z zapachem świeżo skoszonej trawy wpadającym przez otwarte okno wraz z miłym powiewem lekkiego wiatorku.

To było silniejsze od niego. Za każdym razem, ilekroć wchodził do tego gabinetu, opuszczała go pewność siebie jak wtedy, gdy jako dziecko był wzywany do gabinetu dyrektora szkoły. A ponieważ wciąż nie zwracała na niego uwagi zajęta czytaniem, z każdą mijającą sekundą denerwował się coraz bardziej. Słyszał szmer spryskiwacza na trawniku. Potem dwa dzwonki telefonu komórkowego, które stłumione dobiegły z innego pomieszczenia.

Spodziewał się, że Monachium będzie pierwszym punktem ataku przypuszczonego przez Alison Vosper i miał przygotowaną - choć trzeba przyznać, dość słabą - linię obrony. Kiedy jednak wreszcie spojrzała na niego, może nie rozpromieniła się z radości, ale obdarzyła go miłym uśmiechem.

- Przepraszam, Roy - powiedziała. - Czytałam tę cholerną dyrektywę Unii Europejskiej o standaryzacji traktowania osób ubiegających się o azyl, które popełniają przestępstwo. Nie chciałam stracić wątku. Co to za cholerna bzdura! W głowie się nie mieści, ile pieniędzy podatników, twoich i moich, marnuje się na takie rzeczy.

- Oczywiście! - przytaknął Grace, może trochę zbyt gorliwie, czekając z niepokojem, aż zmieni wyraz twarzy i spuści na niego atomówkę, którą trzyma w pogotowiu.

Uniosła w górę pięść.

- Nie uwierzyłbyś, ile czasu muszę tracić na czytanie tego, podczas gdy powinnam wykonywać swoją robotę i dbać o prawo i porządek w Sussex. Zaczynam naprawdę nienawidzić Unii. Interesująca jest statystyka: znasz „Adres gettysburski”?

- Tak. Co więcej, prawdopodobnie umiem zacytować go w całości, uczyłem się go w szkole do pewnego projektu.

Prawie go nie słuchała, wsparła się natomiast rękami na blacie biurka, jakby chciała się zakotwiczyć.

- Kiedy Abraham Lincoln wygłosił tę mowę, doprowadziła ona do wpisania najświętszych zasad ludzkości, wolności i demokracji, w konstytucję amerykańską. - Przerwała i napiła się wody. - Mowa składała się z niecałych trzystu słów. Wiesz, jaka długa jest dyrektywa europejska na temat rozmiaru kapusty?

- Nie wiem.

- Sześćdziesiąt pięć tysięcy słów!

Grace uśmiechnął się, kręcąc głową.

Też się uśmiechnęła do niego. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział u niej tak ciepły uśmiech. Zastanawiał się, czy brała jakąś pigułkę szczęścia. Wtem, zmieniając nagle temat, ale nie tracąc dobrego humoru, zapytała:

- No i jak było w Monachium?

Znów czujny i gotów do obrony, Roy odparł:

- Cóż, właściwie przypominało to norweskiego homara.

Zmarszczyła brwi.

- Słucham? Powiedziałaś *norweskiego homara*?

- Tak mówię, kiedy coś jest poniżej oczekiwania.

Przechyliła głowę, wciąż marszcząc brwi.

- Nie rozumiem.

- Parę lat temu byłem w restauracji, w pubie w Lancing. W karcie było coś, co się nazywało *norweski homar*. Zamówiłem, licząc na sporego homara. Dostałem trzy krewetki wielkości mojego małego palca.

- Reklamowałeś?

- Owszem. I stanąłem twarzą w twarz z Basilem Fawltym w wersji z Sussex. Przyniósł mi starą książkę kucharską, w której było powiedziane, że takie krewetki są czasami nazywane *norwesкими homarami*.

- Wynika stąd, że należałoby unikać tej restauracji.

- Chyba że masz akurat ochotę na rozczarowanie.

- Coś w tym rodzaju. - Znów się uśmiechnęła, już nie aż tak ciepło, jakby zdała sobie sprawę, że ona i ten człowiek, który siedzi naprzeciwko, zawsze będą nadawać na różnych falach. - Rozumiem więc, że nie znalazłeś swojej żony w Monachium?

Ciekaw, skąd ona wie, że z taką misją tam pojechał, pokręcił głową.

- Ile to już czasu?

- Właśnie minęło dziewięć lat.

Sprawiała wrażenie, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego dołała sobie wody do szklanki.

- Chcesz może wody? Herbaty? Kawy?

- Nie, dziękuję. Jak ci minął weekend? - spytał, nie chcąc już mówić o Sandy i wciąż zastanawiając się, po co został tu wezwany.

- Byłam na konferencji dla zastępców naczelników policji w Basingstoke. Na temat poprawy wyników pracy policji, czy raczej publicznej percepcji tych wyników. Kolejna kosmetyczna poprawka Tony'ego Blaira. Banda oślizgłych guru od marketingu pouczała nas, jak podlewarować nasze wyniki i jak strategicznie opracować i wdrożyć tę procedurę. - Wzruszyła ramionami.

- I na czym polega ten sekret? - spytał Grace.

- Najpierw sięgać po te owoce, które wiszą najniżej. - Zadzwoiła jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i odrzuciła połączenie. - Tak czy inaczej, morderstwa są nadal priorytetem. Zrobiliście jakieś postępy? A przy okazji, mam zamiar wziąć udział w dzisiejszej konferencji prasowej.

- Tak? - Grace był przyjemnie zaskoczony i ulżyło mu, że nie wszystko będzie na jego głowie. Przeczynał, że wobec informacji o drugim morderstwie, zwołana na 11.00 konferencja będzie trudna.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy, żebym była na bieżąco? - poprosiła. - Mamy jakiś ochłap, który moglibyśmy im rzucić? Jakichś podejrzanych? I co z tymi zwłokami znalezionymi wczoraj? Masz dość ludzi w zespole, Roy? Potrzebujesz jakiegoś dodatkowego wsparcia?

Odczuł wyraźną ulgę, bo wyglądało na to, że temat Monachium został



zamknięty. Pokróćce streścił zastępcy naczelnika policji aktualny stan śledztwa. Kiedy powiedział jej, że Bentley Briana Bishopa został zarejestrowany przez kamerę w drodze do Brighton o 23.47 w czwartek, a następnie podał szczegóły dotyczące polisy na życie, uniosła rękę, żeby mu przerwać.

- Przecież to wystarczy, Roy.

- Dwóch ludzi dostarczyło mu mocnego alibi. Jego doradca finansowy, z którym jadł kolację, został przesłuchany. Dokładnie pamiętał ramy czasowe, co nam wcale nie pomaga. Jeżeli mówił prawdę, Bishop nie mógł przejeżdżać koło kamery o 23.47. Drugą osobą jest dozorca jego londyńskiego mieszkania, pan Oliver Dowler. W trakcie przesłuchania potwierdził, że był tam wcześniej rano i pomagał Bishopowi załadować do samochodu sprzęt do golfa, około 6.30.

Vosper milczała przez chwilę, zastanawiając się, trawiając to, co usłyszała. Wreszcie powiedziała:

- No to nie da się ukryć, że mamy problem.

Grace uśmiechnęła się niewesoło.

Nagle zadzwonił jej telefon. Przeprosiła gestem i odebrała.

Po chwili zadzwoniła jego komórka. Słowa *numer prywatny* na wyświetlaczu wskazywały, że to prawdopodobnie rozmowa służbowa. Wstał i odszedł od biurka, żeby odebrać.

- Roy Grace.

Dzwonił detektyw sierżant Guy Batchelor.

- Myślę, że mamy coś istotnego, Roy. Właśnie dzwoniła do mnie Sandra Taylor, analityczka z sekcji wywiadowczej, którą przydzielono do tej sprawy. Wiedziałaś, że Brian Bishop jest notowany?

## Rozdział 73

Paul Packer siedział przy stoliku przed barem Ha! Ha! przy Pavilion Parade, naprzeciw bramy Pawilonu Królewskiego, popijając latte i przyglądając się światu z uśmiechem na twarzy. O 10.30 w upalny, słoneczny, sierpniowy poniedziałek można być w dużo gorszych miejscach, pomyślał. W dodatku na służbie! To był taki jego prywatny żart, bo oczywiście był na służbie.

Tylko że ani dla kelnerki, ani dla przechodzących obok ludzi nic na to nie wskazywało. Wszyscy oni widzieli dwudziestoparolatka, niskiego i mocno zbudowanego, z ogoloną głową i kosią bródką, niedbale ubranego w bezkształtny, szary T-shirt, siedzącego nad zeszytem, w którym zdawał się robić jakieś notatki - po prostu jednego z setek studentów wysiadujących po kawiarniach w całym mieście.

Nic nie uchodziło jego uwadze. Zauważał każdego, kto przechodził obok, w jednym czy drugim kierunku.

Ludzie w biurowych strojach, niektórzy z torbami lub teczkami, spieszyli na spotkania, albo, w niektórych przypadkach, szli spóźnieni do pracy. Obserwował turystów - starsza para kręciła się w kółko, usiłując zorientować się na planie miasta, mężczyzna wskazał w jedną stronę, kobieta pokręciła głową i wskazała w przeciwną. Zobaczył parę w średnim wieku, Holendrów, jak się domyślał, maszerujących zdecydowanym krokiem w śmiesznych ubraniach i z ciężkimi plecakami, jakby byli na jakimś safari i musieli taszczyć na plecach całe swoje wyposażenie. Potem

przyglądał się dwóm dzieciakom w workowatych ubraniach, ćwiczącym skoki przez wolno stojącą tablicę informacyjną.

Kilku bezdomnych włóczęgów, których wszystkich znał z widzenia, przewinęło się tędy w ciągu ostatniej pół godziny. Prawdopodobnie szli spędzić dzień na trawnikach przy Pawilonie, zanim przeniosą się na następny próg lub w bramę, taszcząc swój dobytek w reklamówkach, plastikowych tobołkach czy wózkach z supermarketu, zostawiając za sobą smugę smrodu wilgotnych łąchów. Stopniowo wypelzało na powierzchnię podziemie Brighton - dilerzy, szeregowi sprzedawcy uliczni i narkomani. Ćpuny na głodzie zaczynały swoją niestrudzoną, codzienną harówkę poszukiwania na wszelkie możliwe sposoby forsy na następną działkę.

W chwilach, kiedy nic się nie działo, detektyw Packer rzeczywiście robił notatki w swoim zeszycie. Jego ambicją było zostać pisarzem i teraz akurat pracował nad scenariuszem filmu o kosmitach, którzy z powodu awarii systemu nawigacyjnego zmuszeni byli wylądować na Ziemi, w pobliżu Brighton, i szukać tu pomocy. Po zaledwie kilku dniach nie marzyli o niczym innym, jak o opuszczeniu tego miejsca. Dwóch z nich napadnięto, ich statek kosmiczny został zdemolowany, a następnie skonfiskowany, ponieważ nie mieli pieniędzy, żeby zapłacić za odholowanie go z głównej drogi, na której go zaparkowali, w dodatku nie smakowało im jedzenie. Co więcej, nie mogli uzyskać pomocy, jakiej chcieli, bez wypełnienia formularza online, do czego potrzebny był kod pocztowy i numer karty kredytowej, a tego też nie mieli. Czasami Packer zastanawiał się, czy z powodu swojej pracy nie zrobił się zbyt cyniczny.

Wtem gwałtownie wrócił do rzeczywistości. Kątem oka zauważył znajomą, przygarbioną postać wlokącą się ulicą. Już i tak przyjemny poranek stał się nagle jeszcze przyjemniejszy, kiedy tamten przeszedł obok, nie widząc go.

Packer patrzył na wychudzonego chłopaka o mizernej twarzy, w postrzępionym kapturze, roboczych spodniach i brudnych adidasach, z pogardą, niesmakiem i współczuciem w równej proporcji. Imbirowo żółte

włosy chłopaka były ogolone, tak samo jak jego, maszynką nastawioną na najmniejszą długość i miał, jak zwykle, wąski, pionowy pasek zarostu biegnący od środka dolnej wargi do brody. Paul patrzył, jak powoli wchodzi w kadr młodemu mężczyźnie robiącemu zdjęcie swojej dziewczynie czy żonie, nie zważając na nic wokoło. Przcisnął się przez grupę turystów zaganianych przez przewodnika i teraz już detektyw Packer wiedział dokładnie, dokąd zmierza.

Do ściany po przeciwnej stronie placu, gdzie jeden przy drugim umieszczone były bankomaty. I rzeczywiście, chłopak usiadł pod nimi. To miejsce upodobali sobie żebracy. Po chwili miał już cel, młodą kobietę, która wsunęła kartę do bankomatu.

Paul Packer wyczekał odpowiedni moment, podszedł i stanął dokładnie przed chłopakiem w chwili, kiedy tamten odezwał się słabym, schrypniętym głosem:

- Użyczysz drobniaka, słonko?

Na powitanie Packer wyciągnął przed siebie swój skrócony palec wskazujący prawej dłoni.

- Cześć, Skunks - powiedział. - Pamiętasz mnie?

Skunks spojrzał na niego podejrzliwie. Kobieta grzebała w portmonetce.

- Jestem policjantem. Żebzanina jest niezgodna z prawem, ale ten gość i tak zna lepsze sposoby, żeby dostać za swoje, prawda? - powiedział, zwracając się znów do Skunksa. Pogroził mu kikutem odgryzionego palca wskazującego i kilkakrotnie, szybko i głośno zakłapał zębami, przedrzeźniając swojego dawnego napastnika.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Skunks.

- Trzeba ci odświeżyć pamięć? Doba w areszcie pomoże? Trudno będzie tam o narkotyki, co?

- Odpierdol się. Daj mi spokój.

Packer spojrzał na młodą kobietę, która nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić, więc złapawszy pieniądze i kartę, uciekła.

- Jestem czysty - dodał nagle Skunks, nadymając się.

- Wiem, stary. Nie chcę cię zwinąć. Ciekaw tylko jestem, czy zechciałbyś udzielić mi pewnej informacji.

- Co z tego będę miał?
- Co wiesz o Barrym Spikerze?
- Nigdy nie słyszałem.

Wóz strażacki przejechał North Street. Syrena wyla głośniejsze niż okrętowy róg mgłowy. Packer przeczekał, aż się oddali.

- Owszem, słyszałem. Pracujesz dla niego.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Więc ten kabriolet audi, którym sobie zrobiłeś przejażdżkę po nadbrzeżu w piątek wieczorem, to był twój samochód, tak?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Myślę, że wiesz. Za tobą jechał samochód, nieoznakowany samochód policyjny. Ja w nim byłem. Nieźle jeździsz - powiedział z niechętnym podziwem.

- Co ty. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Packer pode tknął kikut palca wskazującego pod nos Skunksa.

- Ja jestem pamiętliwy, Skunks. Zrozum.

- Odsiedziałem za to.

- I wyszedłeś, ale mój palec nie odrósł i wciąż jestem na ciebie wkurwiony, więc chcę z tobą zrobić interes. Albo będziesz mnie miał na karku przez resztę swojego zasranego, nędznego życia, albo mi pomożesz.

Po chwili milczenia Skunks spytał:

- O jaką pomoc chodzi?

- O informację. Masz tylko zadzwonić, to wszystko. Masz tylko zadzwonić, jak następnym razem Spiker zleci ci robotę.

- A potem?

Packer wytłumaczył, co chce, żeby Skunks zrobił. Kiedy skończył, powiedział:

- Wtedy będziemy kwita.
- I aresztujecie mnie, tak?
- Nie, nie ruszymy cię. I odczepię się od ciebie. Jesteśmy umówieni?

- Będę miał z tego jakąś forszę?

Packer spojrział na niego. Był tak żalosną postacią, że detektywowi nagle zrobiło się go żal.

- Odpalimy ci coś po wszystkim jako nagrodę. Umowa stoi?

Skunks niemrawo wzruszył obojętnie ramionami.

- Rozumiem, że tak.

## Rozdział 74

Sobotnia konferencja prasowa już była ciężka, ale ta teraz była jeszcze gorsza. Około pięćdziesięciu osób wtoczyło się do sali konferencyjnej, a o wiele więcej niż w sobotę okupowało korytarz. Pojemny budynek, pomyślał Grace ponuro. Jedynym plusem było to, że miał tego ranka potężne wsparcie.

Ubezpieczali go z obu stron - tak że razem ich troje tworzyło linię na tle wklęsłej tablicy z adresem internetowym Policji Hrabstwa Sussex i spisem osób funkcyjnych - zastępca naczelnika policji Alison Vosper, która od czasu jak opuścił jej gabinet, zdążyła się przebrać i teraz występowała w nienagannym, świeżo odprasowanym mundurze, oraz komendant okręgowy policji Brighton, starszy nadkomisarz Ken Brickhill, wypowiadający się bez ogródek, prostym językiem, policjant starej szkoły, w równie nieskazitelnym mundurze. Bezkompromisowy Brickhill nie miał czasu na bawienie się w polityczną poprawność i najchętniej powywieszałby większość przestępców z Brighton i Hove, gdyby tylko mu pozwolić. Nic dziwnego, że cieszył się szacunkiem niemal wszystkich, którzy kiedykolwiek służyli pod nim.

Część okien była otwarta, a mimo to było duszno i gorąco, słońce przebijało się przez żaluzje. Ktoś rzucił dowcipny komentarz na temat „czarnej dziury z Kalkuty”\*, podczas gdy oficer prasowy, ekstrawagancko, choć trochę niechlujnie ubrany Dennis Ponds, przeciskał się koło stołu, żeby dołączyć do stojącej na przedzie trójki, mamrocząc przeprosiny za spóźnienie.

\* W 1756 r, podczas ataku nababa Bengalu na Kalkutę, ośrodek administracji brytyjskiej, grupa Brytyjczyków została uwięziona w ciasnej wartowni, gdzie większość z nich zmarła nocą na skutek uduszenia.

Ponds zaczął pochyłony za blisko do mikrofonu, więc jego pierwsze słowa zagłuszył pisk sprzężenia.

- Dzień dobry - tym razem w jego głosie wyraźniej zabrzmiał lizusowski, przypochlebny ton. - Obecną konferencję prasową rozpocznie detektyw nadkomisarz Grace, który omówi śledztwa w sprawie śmierci pani Katherine Bishop i panny Sophie Harrington. Następnie zastępca naczelnika Vosper i starszy nadkomisarz Brickhill, komendant okręgowy policji Brighton, mówić będą o lokalnej społeczności i opinii publicznej w ogóle.

Z teatralnym gestem przekazał głos Grace'owi i usunął się na bok.

W błysku fleszy Roy Grace przystąpił do nakreślenia dotychczasowych wyników śledztwa. Oczywiście nie powiedział im wszystkiego, trzymał się faktów dotyczących czasu i zdarzeń, potwierdzając to, co już było wiadome reporterom. Zaapelował o zgłaszanie się świadków w obu sprawach, szczególnie osób, które znały jedną bądź drugą kobietę i widziały je ostatnio. Oświadczył też, że gotów jest rozmawiać z każdym, kto widział coś podejrzanego w pobliżu któregoś z miejsc zbrodni.

Powiedziawszy wszystko o zabójstwach, co chciał powiedzieć na tym etapie, spytał obecnych, czy mają jakieś pytania.

Kobięcy głos należący do osoby znajdującej się gdzieś z tyłu i niewidocznej dla niego, wykrzyczał:

- Rozumiemy, że seryjny zabójca pozostaje na wolności. Czy może nas pan zapewnić, że mieszkańcy Brighton i Hove są bezpieczni, panie nadkomisarzu?

Grace jak zwykle nie wiedział, co zrobić z rękami, zdając sobie doskonale sprawę, że jego mowa ciała jest równie ważna jak to, co mówi słowami. Oparł się pokusie złożenia dłoni przed sobą i z rękami opuszczonymi wzdłuż boków pochylił się do mikrofonu.



- Obecnie nic nie wskazuje, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Jednak mieszkańcy powinni uważać i zachować czujność większą niż zwykle.

- Jak może pan mówić, że to nie jest seryjny zabójca, kiedy dwie kobiety zostały zamordowane w przeciągu dwudziestu czterech godzin? - spytał piskliwym głosem pismak wyrabiający wierszówkę w wielu prowincjonalnych gazetach. - Panie nadkomisarzu Grace, czy może pan zapewnić młode mieszkanki Brighton, że są bezpieczne?

Kropla piekącego potu spłynęła Grace'owi do prawego oka.

- Myślę, że najlepiej na to pytanie odpowiedzą moi koledzy, którzy są tu, aby mówić o kwestiach dotyczących lokalnej społeczności - powiedział, spoglądając na Alison Vosper, a następnie na Kena Brickhilla.

Skinęli głowami, po czym starszy nadkomisarz odezwał się swoim rzeczowym tonem:

- Nikt nie może udzielić tego rodzaju stuprocentowej gwarancji we współczesnym mieście. Niemniej jednak policja i lokalne władze robią wszystko, co mogą, przy wsparciu dodatkowych sił, aby ująć zabójcę... lub zabójców.

- Więc możliwe jest, że to jedna osoba jest odpowiedzialna za oba zabójstwa? - dążył reporter.

Brickhill odpowiedział wymijająco:

- Jeżeli ktoś jest zaniepokojony, powinien skontaktować się z policją. Patrole policyjne zostaną wzmocnione. Każdy, kto zauważy coś podejrzanego, powinien się z nami skontaktować. Nie chcemy paniki. Do tego śledztwa skierowane zostały liczne siły i robimy wszystko, aby zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom Brighton i Hove.

Wtem odezwał się Kevin Spinella stojący w pierwszym rzędzie:

- Nie przyzna pan, panie nadkomisarzu, że w Brighton grasuje szaleniec, seryjny zabójca?

Grace odpowiedział spokojnie, powtarzając to, co mówił wcześniej o obu sprawach. Następnie dodał:

- Nadal jesteśmy na początkowym etapie śledztwa, ale wydaje się, że istnieją pewne podobieństwa między tymi sprawami.

- Panie nadkomisarzu, czy macie głównego podejrzanego? - chciał wiedzieć młody reporter z „Mid-Sussex Times”.

- Śledztwo jest wielowątkowe i codziennie dochodzą nowe informacje. Chcielibyśmy podziękować opinii publicznej za dostarczone do tej pory informacje. W tej chwili nasi ludzie analizują ogromną liczbę zgłoszeń telefonicznych, poza tym czekamy na wyniki ekspertyz kryminalistycznych, które mają nadejść z laboratorium. Nasi detektywi pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, aby ustalić, kto ponosi za to odpowiedzialność, i postawić go przed sądem.

- Mówicie więc - powiedział Spinella głośno i z naciskiem - że ludzie w Brighton i Hove powinni zamknąć się w domach i nie wychodzić, dopóki zabójca nie zostanie złapany.

- Nie, tego nie mówimy - odparł Grace. - Policja nie wie, kim jest zabójca każdej z kobiet, ani gdzie przebywa, więc wszystkie kobiety są zagrożone. Nie znaczy to jednak, że trzeba ulegać panice. - Odwrócił się do swojej szefowej. - Oddam teraz głos zastępcy naczelnika policji, pani Vosper, aby wypowiedziała się bardziej szczegółowo na ten temat.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, uśmiech Vosper rozkroiłby Grace'a i wypatroszył.

Postawna kobieta w typie idealnej matki zawołała z końca sali:

- Pani naczelnik, czy pozwoli pani, żeby detektyw nadkomisarz Grace skonsultował się z medium?

Dały się słyszeć nerwowe chichoty. Kobieta poruszyła drażliwą kwestię. Zachowując kamienną twarz, Grace uśmiechnął się w duchu, widząc, jak Alison Vosper nagle traci pewność siebie. Bardzo mu się to spodobało. Stał pod pręgierzem przy okazji innej sprawy, kilka miesięcy temu, kiedy w sądzie wyszło na jaw, że zabrał but, kluczowy dowód w procesie o morderstwo, i poszedł z nim do medium. Prasa miała używanie. Vosper też się żyła - na nim.

- Takie metody nie wchodzą w zakres typowej praktyki dochodzeniowej stosowanej przez policję - powiedziała ostro. - Słuchamy każdego, kto może dostarczyć nam informacji, następnie oceniamy, czy wnosi ona coś do śledztwa.

- Więc nie wyklucza pani tego? - naciskała reporterka.

- Myślę, że już udzieliłam odpowiedzi. - Rozejrzała się po sali. - Jeszcze jakieś pytania?

Kiedy Grace wychodził po zakończeniu konferencji, Alison Vosper wyłowiła go z tłumu i przeszła z nim do pustego biura.

- Całe miasto na nas patrzy, Roy. Jeżeli planujesz zwrócić się do któregoś z tych swoich mediów, proszę, żebyś najpierw to ze mną omówił.

- Nie planuję, nie na tym etapie.

- Dobrze! - powiedziała takim tonem, jakim się chwali pieska za to, że nasiusił tam, gdzie trzeba. Przez chwilę wydawało mu się, że pogłaszcze go po głowie i da mu herbatniczka.

## Rozdział 75

Pół godziny później Grace stał w ciasnej przebieralni w kostnicy, majstrując przy tasienkach zielonego fartucha. Następnie wsunął stopy w białe kalosze. Kiedy już się z tym uporał, ciężko skacowana, ubrana w fartuch Cleo Morey wetknęła głowę przez drzwi i obrzuciła go spojrzeniem, którego nie potrafił rozszyfrować.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór! - powiedziała. - Nie chciałam paść przy tobie, naprawdę!

Uśmiechnął się.

- Zawsze jesteś taka zmarnowana po wyjściu z siostrą?

- Właśnie ją rzucił ten fiut, jej chłopak, i potrzebowała się nawalić.

Niegrzecznie byłoby jej nie towarzyszyć.

- Owszem. Jak się czujesz?

- Tylko marginalnie lepiej niż Sophie Harrington wygląda. Wcześniej miałam karuzelę w głowie!

- Najlepsza jest na to coca-cola, tylko żadna dietetyczna - powiedział.

- Już wypilałam dwie puszki - znów rzuciła mu to nieodgadnione spojrzenie. - Nie sądzę, żebym spytała cię, jak ci poszło w Niemczech. Znalazłeś swoją żonę? Nastąpiło milutkie pojednanie?

- Pytałaś o to z pięć razy.

Wyglądała na zaskoczoną.

- A ty mi powiedziałaś?

- Może byśmy zjedli razem wieczorem. Zdam ci wtedy pełne sprawozdanie.

Spojrzała na niego surowo i przez chwilę myślała w panice, że pośle go do diabła. Ona jednak zdobyła się na blady uśmiech, choć ciepła w nim nie było.

- Przyjedź do mnie. Przygotuję coś bardzo prostego i bezalkoholowego. Łagodne jedzenie. Myślę, że musimy porozmawiać.

- Przyjadę, jak tylko będę mógł, po wieczornej odprawie.

Zrobił krok w jej stronę i pocałował ją szybko.

W pierwszej chwili odskoczyła.

- Jestem bardzo urażona i bardzo zła na ciebie, Roy.

- Lubię, kiedy jesteś zła - powiedział.

Zmięknęła trochę.

- Drań - powiedziała i uśmiechnęła się.

Kolejny szybki pocałunek przedłużył się. Ich fartuchy zaszeleściły, kiedy przyłgnęli do siebie. Grace nie spuszczał z oka drzwi na wypadek, gdyby ktoś wszedł.

Potem Cleo odsunęła się, spojrzała po sobie i znów się uśmiechnęła.

- Mamy tego nie robić. Wciąż jestem zła na ciebie. Podnieca cię to ubranie, prawda?

- Jeszcze bardziej niż czarna, jedwabna bielizna!

- Lepiej wracaj do roboty, detektywie nadkomisarzu. Rozkładówka w „Argusie” z tobą przyłapanym na pieprzeniu się w przebieralni w kostnicy nie byłaby korzystna dla twojego wizerunku.

Szedł za nią wyłożonym glazurą korytarzem, a w głowie kłębiły mu się myśli o Cleo, o Sandy i o pracy. Prasa dała im popalić tego ranka, ale był w stanie zrozumieć, o co im chodzi. Jedno morderstwo atrakcyjnej, młodej kobiety mogło być odosobnionym incydentem. Dwa mogły wywołać w mieście, albo w całym kraju, panikę. Gdyby prasa przechwyciła informację o masce przeciwigazowej, podgrzałyby to atmosferę do stanu wrzenia.

Nie ujawnił informacji, że Sophie Harrington dzwoniła do Briana Bishopa, głównego podejrzanego o zabójstwo Katie Bishop. Ani że Brian Bishop za szacowną fasadą człowieka sukcesu, szanowanego obywatela

Brighton i Hove, członka zarządu klubu golfowego i hojnego darczyńcy, którego równie powszechnie szanowana małżonka rotarianka miała romans, kryje bardzo nieprzyjemną kartotekę policyjną.

W wieku piętnastu lat - według informacji uzyskanych z policyjnej ogólnokrajowej komputerowej bazy danych - Bishop został skazany na dwuletni pobyt w zakładzie poprawczym za gwałt na czternastoletniej dziewczynie ze swojej szkoły. Następnie, w wieku dwudziestu jeden lat, otrzymał dwa lata nadzoru kuratorskiego za brutalny napad na kobietę i spowodowanie ciężkiego uszkodzenia ciała.

Wyglądało na to, że im głębiej jego zespół grzebie w życiu Bishopa, tym mocniejsze stają się dowody przeciwko niemu. Wcześniej tego dnia Alison Vosper nazwała jego londyńskie alibi problemem, którego nie da się ukryć. W tym momencie był jeszcze drugi tego rodzaju problem, a mianowicie gwałtowne zaprzeczanie Bishopa, żeby wiedział cokolwiek o polisie ubezpieczenia na życie wystawionej na jego żonę. Wydawał się mówić prawdę i to nie dawało Grace'owi spokoju.

Z drugiej strony, równie jasne było, że Bishop jest ostrym graczem. Niewielu ludzi osiąga ten poziom finansowego sukcesu, będąc miłymi facetami. Przyszło to Grace'owi do głowy, kiedy dowiedział się o jego brzydkiej, naznaczonej przemocą przeszłości. Wiedział też, że nie powinien zbyt wielkiej wagi przykładąć do niewiedzy - czy udawanej niewiedzy - na temat polisy ubezpieczeniowej.

Te wszystkie komplikacje drażniły mu mózg. Miał ochotę pójść gdzieś, usiąść w jakimś cichym, ciemnym kącie i poukładać sobie wszystkie elementy obu spraw. Brygada kryminalistyczna będzie w domu Bishopa jeszcze dobre kilka dni. Grace był z tego zadowolony. Chciał, żeby facet czuł się niepewnie poza swoim środowiskiem naturalnym. W pokoju hotelowym, jak zwierzę w klatce, będzie niespokojny i dzięki temu może się udać coś z niego wydobyć.

Zdecydowanie zbierali materiały przeciwko Bishopowi, ale było za wcześnie na jego aresztowanie. Gdyby to zrobili, mogliby przetrzymać go

tylko dwadzieścia cztery godziny - z przedłużeniem o dalsze dwanaście - bez postawienia zarzutów. A na to mieli za mało twardych dowodów i chociaż jego alibi nie było żelazne, pozostawało dość miejsca na wątpliwości. Dwóch niezależnych świadków zeznających, że był w Londynie przed morderstwem i po nim, przeciwko jednej kamerze automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych, wskazującej, że nie był. Zbyt często zdarzało się, że przestępcy posługiwali się skopiowanymi tablicami rejestracyjnymi - zwłaszcza ostatnio, żeby uniknąć mandatu za przekroczenie szybkości, kiedy ich złapie fotoradar. Sprytny obrońca może z łatwością zasiać w umysłach przysięgłych wątpliwość, czy te tablice były prawdziwe, czy fałszywe.

Był też bardzo ciekaw tego artysty, z którym spotykała się Katie Bishop. W tej chwili na pewno był on potencjalnym podejrzanym.

Pogrążony w myślach wszedł do surowej, jasno oświetlonej sali sekcyjnej. Ciało Sophie Harrington zasłaniały mu zgromadzone wokół postacie w zielonych fartuchach, wpatrujące się z uwagą, jak uczniowie w klasie, w coś, co pokazywała Nadiuska de Sancha.

W sali, oprócz patologa, Cleo i Darrena, znajdowali się detektyw nadinspektor Duigan i chudy urzędnik koronera Ronnie Pearson, emerytowany policjant po pięćdziesiątce.

Grace podszedł od strony patologa i doświadczył tego samego nieprzyjemnego zaskoczenia, jakiego doznawał za każdym razem na widok trupa, tu czy gdziekolwiek indziej. Zawsze wydawały się niemal przezroczyste, skóra ofiar rasy białej - z wyjątkiem ciał spalonych albo w stanie daleko posuniętego rozkładu - miała upiorną, alabastrową barwę. Tak jakby proces śmierci ukazywał tych ludzi w czerni i bieli, podczas gdy wszystko wokół nich zachowuje kolory.

Sophie Harrington leżała odwrócona na brzuch. Nadiuska wskazywała palcem w lateksowej rękawiczce dziesiątki drobnych, ciemnopurpurowych dziurek na plecach denatki. Przypominało to tatuaż pokrywający większość powierzchni skóry pleców.

- Czy ktoś z was potrafi odczytać, co tu jest napisane? - spytała Nadiuska.

Przyglądając się bliżej, Grace z początku był w stanie dostrzec jedynie niedający się rozszyfrować wzór.

- Sądząc po równości i strukturze dziur powiedziałabym, że zostały zrobione czymś w rodzaju wiertarki - mówiła dalej patolog.

- Za życia ofiary? - spytał nadinspektor Duigan. - Czy już po śmierci?

- Powiedziałabym, że po śmierci - odparła Nadiuska, pochylając się nad plecami denatki i wpatrując się uważnie w ich fragment. - Dziury są głębokie, a krwi bardzo mało. Serce już nie pracowało, kiedy zostały zrobione.

Drobny akt miłosierdzia wobec nieszczęsnej kobiety, pomyślał Grace. Wtem, jakby nagle zyskał zdolność odczytania pisma ukrytego w tej wizualnej łamigłówce, zobaczył wyraźnie słowa.

**PONIEWAŻ JĄ KOCHASZ.**



## Rozdział 76

Naburmuszona sprzątaczką wyszła z domu Cleo Morey tuż po 12.30. Miliarder Czasu odnotował ten fakt, siedząc za kierownicą swojej toyoty prius. W samą porę, zaledwie kilka minut przed upływem opłaconego czasu parkowania. Kiedy ciężko szła pod górę, gniewnie rozmawiając przez komórkę, zastanawiał się, czy przez ostatnie trzy i pół godziny cały czas gadała przez telefon. Z pewnością Cleo Morey byłaby ciekawa, co dostaje w zamian za pieniądze, które płaci tej kobiecie. Ale oczywiście nie była to jego sprawa.

Wrzucił bieg i na cicho pracującym silniku elektrycznym przemknął koło niej, po czym skomplikowaną siecią uliczek dostał się na Queens Road, minął wieżę zegarową i skręcił w prawo, na nadbrzeże.

Za granicą Hove przejechał koło budowy kompleksu King Alfred, zatrzymał się na światłach u wylotu Hove Street, po czym kilka przecznicy dalej skręcił w prawo, w Westbourne Villas, szeroką ulicę dużych, bliźniaczych domów wiktoriańskich i jeszcze raz w prawo, w uliczkę, przy której stał rząd garaży. Wynajmowane przez niego znajdowały się na końcu i oznaczone były numerami 11 i 12.

Zaparkował przed numerem 11, i wysiadł z samochodu. Otworzył bramę garażową, podsunął ją do góry, wszedł do środka i po zapaleniu światła ściągnął bramę w dół. Zamknęła się z głośnym łomotem, który odbił się echem. Zapadła cisza. Słychać było tylko słaby szmer dwóch nawilżaczy powietrza.

Spokój!

Wciągnął nosem ciepłe powietrze przesycone zapachami, które uwielbiał: olej silnikowy, stara skóra obić, stara blacha karoserii. To był jego dom. Jego *świątynia*! W tym garażu - a czasami w sąsiednim, gdzie trzymał krytą przyczepę - wykorzystywał godziny gromadzone na bankowym koncie. Dziesiątki godzin za każdym razem! Setki godzin każdego miesiąca! Tysiące każdego roku!

Z miłością patrzył na dopasowany pokrowiec, na płynne linie okrytego nim samochodu, lśniącego, perłowobiałego 3,8 Jaguara Mk2 sedan z 1962 roku, który zajmował tyle miejsca, że musiał się koło niego przeciskać.

Ściany obwieszane były jego narzędziami specjalnie ułożonymi we wzory. Wszystkie były nienagannie czyste, jakby dopiero co wyjęte z pudełek, i wszystkie znajdowały się na właściwych miejscach. Młotki tworzyły jedną kompozycję. Klucze oczkowe, klucze francuskie, szczelinomierze, śrubokręty - wszystkie tworzyły osobne dzieła sztuki. Na półkach stały puszk i butelki z pastą do polerowania, środkami do czyszczenia kół, chromu, szyb, skóry, obok leżały gąbki, ściereczki irchowe, szczotki do butelek, czyściki do fajki - wszystko wyglądało na zupełnie nowe.

- Jak się masz, małeństwo! - wyszeptał, pieszcząc okryty pokrowcem dach, wyczuwając dłonią jego krzywiznę. - Jesteś piękna. Jesteś taka piękna.

Przeciskał się obok samochodu, sunąc ręką po pokrowcu, dotykając okien, potem klapy. Znał każdy przewód, każdą część karoserii, każdą śrubę i nakrętkę, każdy cal stali, chromu, skóry, szkła, drewna orzechowego i bakelitu. Była jego dzieckiem. Siedem lat żmudnej rekonstrukcji wraku zamieszkałego przez szczury i myszy w stodole na opuszczonej farmie. Teraz była w lepszym stanie niż czterdzieści lat temu, w dniu, w którym wyjechała z fabryki. Poświadczało to dziesięć przybitych do ściany garażu rozetek za zajęcie pierwszego miejsca w Concourse d'Elégance. Pochodziły z całego kraju. Zdobył też dziesiątki rozetek za

drugie, trzecie, a nawet czwarte miejsce, ale te łądowały natychmiast w koszu na śmieci.

Przypomniał sobie, że jeszcze dziś musi popracować nad wewnętrzną stroną zderzaków, niewidoczną dla zwykłego widza. Sędziowie zagląдают tam czasami, żeby zażyć uczestnika, a pod koniec miesiąca miał się odbyć ważny konkurs Klubu Miłośników Jaguarów.

W tym momencie jednak zaprzętała go ważniejsza sprawa. Było to urządzenie do wyrabiania kluczy, z szerokim zestawem ślepych kluczy - do każdego zamka, jak reklamowano w Internecie - opakowane w brązowy papier z nalepką „Ostrożnie”, stojące obok jego warsztatu, tak jak je dostarczono dwa miesiące temu.

Oto, co się zyskuje, będąc Miliarderem Czasu. Można wszystko z góry zaplanować. Przemyśleć zawczasu. Kiedyś przeczytał w gazecie cytat z jakiegoś Victora Hugo, który powiedział: „Potężniejsza od wszystkich armii świata jest idea, której czas nadszedł”.

Poklepał puszczkę wypełnioną woskiem, z odciskiem klucza do drzwi frontowych Cleo Morey, obciążającą kieszeń kurtki. Potem, z uśmiechem na twarzy, zaczął rozpakowywać urządzenie. Zamówienie go było zdecydowanie dobrym pomysłem. Ideą, której czas nadszedł.

## Rozdział 77

Grace wjechał swoim alfa romeo na parking przed Królewskim Szpitalem Hrabstwa Sussex, gdzie zamierzał odwiedzić ranną policjantkę, i krążył powoli, szukając miejsca. Potem czekał cierpliwie, aż starsza dama otworzy drzwi swojego małego nissana micra, wsiądzie, zapnie pas, włoży kluczyk do stacyjki, pomajstruje przy lusterku, zapali silnik, domyśli się, do czego służy znajdujące się przed nią koło, przypomni sobie, gdzie jest dźwignia biegów, i wreszcie znajdzie wsteczny.

Po tym wszystkim wyjechała tyłem z prędkością torpedy wystrzelonej z wyrzutni, o cal przed jego maską. Zajął opuszczone przez nią miejsce i zgasił silnik.

Dochodziła 14.30 i burczenie w brzuchu przypominało mu, że powinien coś zjeść, jednak nie miał apetytu. Po wizycie w kostnicy rzadko miał ochotę najedzenie, a teraz jeszcze obraz ponurego tatuażu na plecach Sophie Harrington stał mu przed oczami jak żywy, niepokojąc i zastanawiając.

**PONIEWAŻ JĄ KOCHASZ.**

Co to, do diabła, znaczy? Prawdopodobnie JĄ odnosiło się do ofiary, Sophie Harrington. Ale do kogo to było skierowane? Do jej chłopaka?

Zadzwoił jego telefon. Kim Murphy dzwoniła, żeby złożyć mu raport z postępów dokonanych tego dnia. Najważniejszą wiadomością było potwierdzenie przez laboratorium w Huntingdon, że wyniki testu DNA dostarczą jeszcze dziś, późnym popołudniem. Kiedy skończył rozmowę,

telefon zasygnalizował mu połączenie oczekujące. Nadinspektor Duigan chciał z kolei zameldować o postępach w sprawie Sophie Harrington. Jego głos zdradzał zadowolenie.

- Starsza sąsiadka z naprzeciwka jakąś godzinę temu wyszła z domu i rozmawiała z posterunkowym pilnującym miejsca zbrodni. Powiedziała, że zauważyła mężczyznę, który się dziwnie zachowywał na ulicy, przed domem Sophie Harrington, około 20.00 w piątek. Trzymał czerwoną reklamówkę i był w kapturze. Mimo to wydaje się, że dobrze mu się przyjrzała.

- Potrafiła opisać jego twarz?

- Ktoś tam właśnie jedzie, żeby ją przesłuchać. Ale to, co powiedziała do tej pory, pasuje do Bishopa pod względem wzrostu i budowy ciała. Czy dobrze rozumiem z raportu o sekwencji zdarzeń, że on nie ma alibi na ten czas?

- To prawda. Może trzeba urządzić konfrontację i zobaczyć, czy go wskaże?

- Mamy to w planie na pierwszym miejscu.

Grace spytał Duigana, czy udało im się ustalić, czy Sophie Harrington miała chłopaka. Oficer prowadzący śledztwo odparł, że na razie nic o tym nie wiadomo, ale wkrótce ma zostać przesłuchana przyjaciółka, która zgłosiła zaginięcie.

Kiedy kolega skończył, Grace sprawdził e-maile na swoim BlackBerry, ale nie było w nich nic istotnego dla żadnego ze śledztw. Wsunął urządzenie z powrotem do kieszonki przy pasku i zamyślił się. Wieści od Duigana rzeczywiście były potencjalnie dobre. Jeżeli ta kobieta rozpozna Bishopa, będzie to kolejny dowód przeciwko niemu.

Znów zaburzało mu w brzuchu. Ostre słońce paliło przez otwarty szyberdach, więc go zamknął, ciesząc się chwilowym cieniem. Sięgnął po kanapkę z bekonem i jajkiem, którą kupił na stacji benzynowej po drodze, oddał celofan i wyjął kanapkę.

Pierwszy kęs smakował jak tektura o posmaku z grubsza przypominającym bekon. Żując powoli i bez entuzjazmu, wziął do ręki egzemplarz

najnowszego wydania „Argusa” kupiony razem z kanapką i przyjrzał się pierwszej stronie zdziwiony, jak szybko - i często - udaje się im dotrzeć do informacji. Miał zamiar wysledzić kiedyś, kto w policji jest informatorem Spinelli, ale w tej chwili ta sprawa znajdowała się na ostatnim miejscu listy priorytetów.

## DRUGA OFIARA SERYJNEGO MORDERCY Z BRIGHTON.

Zamieszczono szczególnie atrakcyjne zdjęcie portretowe Sophie Harrington w T-shircie i prostych koralikach, z rozwianymi długimi, brązowymi włosami lśnącymi w słońcu. Uśmiechała się radośnie do obiektywu albo do fotografa.

Przeczytał artykuł podpisany *Kevin Spinella*, przechodzący na drugą i trzecią stronę. Był urozmaicony kilkoma zdjęciami Katie Bishop w różnych sytuacjach oraz zwykłymi w takich przypadkach fragmentami wypowiedzi pogrążonych w żałobie rodziców Sophie Harrington i jej najlepszej przyjaciółki, którą spodziewał się wkrótce zobaczyć. Było tam też małe zdjęcie jego samego, które gazeta wykorzystywała przy każdej okazji.

Był to typowy dla Spinelli, sensacyjny reportaż mający na celu wywołanie jak największej paniki w mieście, zwiększenie sprzedaży gazety w ciągu najbliższych dni, jak również podbudowanie CV Spinelli, jako że niewątpliwą ambicją tej oślizgłej kreatury był etat w gazecie ogólnokrajowej. Grace nie miał za złe temu facetowi ani jego redaktorowi tego, co robili - prawdopodobnie na ich miejscu robiłby to samo. Tyle tylko, że celowe przeinaczenia w rodzaju: Komendant okręgowy policji Brighton, starszy nadkomisarz Ken Brickhill doradził wszystkim kobietom w mieście Brighton i Hove, aby zamknęły drzwi - niczemu dobremu nie służyły.

Jednym z celów ostrożnie prowadzonej konferencji prasowej, takiej jak dzisiejsza, było poinformowanie opinii publicznej o popełnionych zbrodniach w nadziei na uzyskanie informacji prowadzących do ujęcia sprawców. Natomiast jedynym efektem tego rodzaju artykułów szerzących panikę było blokowanie policyjnych linii telefonicznych przez setki przerażonych kobiet.

Zjadł tyle kanapki, ile był w stanie, popił letnią colą dietetyczną, po czym wysiadł z samochodu i resztę wraz opakowaniem wyrzucił do śmieci. Posłusznie wykupił w automacie bilet parkingowy, który umieścił za przednią szybą. Potem podszedł do kiosku z kwiatami i wybrał niewielki, gotowy bukiet. Przeszedł wzdłuż ciągnącej się daleko fasady szpitala pomalowanej częściowo na biało, miejscami na kremowo, a jeszcze gdzie indziej na szaro, do wejścia pod dużym zadaszeniem z pleksi, obok którego stała karetką z odwróconym, zielonym napisem na masce.

Roy nie znosił tego miejsca. Był zły i zażenowany, że szpital w mieście tej rangi co Brighton i Hove jest odrażającą, walącą się rudera. Mógł mieć dumną nazwę i imponujący, rozległy kompleks budynków, i z pewnością niektóre jego oddziały, na przykład kardiologia, były na światowym poziomie, ale ogólnie rzecz biorąc, przeciętna prowizoryczna szopa pełniąca funkcję centrum medycznego w Trzecim Świecie mogłaby go zawstydzić.

Czytał kiedyś, że podczas II wojny światowej po raz pierwszy w historii więcej żołnierzy zmarło od samych ran niż na skutek infekcji, jakich się nabawili podczas leczenia tych ran w szpitalach. Połowa mieszkańców Brighton i Hove bała się tu przyjść, ponieważ krążyły pogłoski, że łatwiej umrzeć na coś, co się złapie w szpitalu, niż na to, z czym się do tego szpitala trafiło.

Nie była to wina personelu medycznego złożonego w większości z ludzi o wysokich kwalifikacjach, którzy urabiali sobie ręce po łokcie - sam to widział wystarczająco wiele razy. Winił kierownictwo i winił rząd, którego polityka pozwoliła na tak drastyczne obniżenie standardu opieki medycznej.

Przeszedł obok sklepu z upominkami i tandetnego barku przekąskowego Nuovo Caffè, który byłby bardziej na miejscu na stacji obsługi pojazdów przy autostradzie, i wyminął pacjentkę w szpitalnym szlafroku, z nieobecny wyrazem twarzy wędrującą po pochylej podłodze.

Jego złość na to miejsce jeszcze wzrosła, kiedy podszedł do półokrągłego,

drewnianego kontuaru recepcji, za którym nie było nikogo, i przeczytał na tabliczce leżącej obok gałązki plastikowych kwiatków: „Przepraszamy, recepcja nieczynna”.

Na szczęście Eleanor udało się zawczasu zlokalizować jego młodą podwładną - kilka dni temu została przeniesiona z ortopedii na oddział o nazwie Chichester. Z tablicy informacyjnej na ścianie dowiedział się, że oddział ten mieści się na trzecim piętrze w tym skrzydle.

Wspiął się spiralną klatką schodową ze ścianami pokrytymi wesołym murałem, przeszedł korytarzem wyłożonym niebieskim linoleum, pokonał jeszcze dwa piętra schodami z drewnianą poręczą i stanął w obskurnym, ciemnym korytarzu. Naprzeciwko szła młoda Azjatka, pielęgniarka w niebieskim fartuchu i czarnych spodniach. Czuć było słaby zapach tłuczonych ziemniaków i kapusty jak w szkolnej stołówce.

- Szukam oddziału Chichester - powiedział.

Wskazała mu kierunek.

- Proszę iść prosto.

Minął rząd butli gazowych i przez drzwi z szybą pokrytą ostrzeżeniami wszedł na oddział składający się z jakichś szesnastu łóżek. Zapach szkolnych obiadów był tu silniejszy, zmieszany z kwaśnym odorem moczu i środka dezynfekującego. Na podłodze leżało zniszczone linoleum, ściany były brudne. Otwarte okna wychodziły na inne skrzydło szpitala, gdzie z otworu wentylacyjnego wydobywała się para. Wokół niektórych łóżek częściowo zaciągnięte były koszmarne zasłonki.

Oddział był koedukacyjny i sprawiał wrażenie geriatrici połączonej z psychiatrią. Grace patrzył przez chwilę na drobną staruszkę z kępkami włosów koloru waty, pasującymi do kolorytu cery jej zapadniętych policzków. Mocno spała z szeroko otwartymi, bezzębnymi ustami. Grało kilka telewizorów. Młody mężczyzna leżący w łóżku głośno bełkotał sam do siebie. Inna kobieta, w łóżku na końcu sali wydawała jakieś głośne, nieartykułowane okrzyki, nie kierując ich do nikogo konkretnie. W łóżku zaraz po prawej głęboko spał wysuszony starzec, nieogolony, w rozkopanej pościeli. Nad nim rozstawiona była taca na nóżkach z dwiema pustymi



butelkami po coli. Miał na sobie pasiastą pizamę, ale spodnie były rozpięte, zwisający penis i jądra na widoku.

I w łóżku przy drzwiach, w otoczeniu aparatury sprawiającej wrażenie zakurzonej, zobaczył ku swemu przerażeniu osobę, którą przyszedł odwiedzić. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął telefon komórkowy i jak burza przemknął po oddziale, koło pielęgniarek siedzących w dyżurce, a krew się w nim gotowała.

Jedna z jego podoficerów, dwudziestopięcioletnia detektyw Emma-Jane Boutwood została ciężko ranna przy próbie zatrzymania furgonetki, w tej samej akcji, w której został postrzelony Glenn Branson. Furgonetka przygniotła ją do zaparkowanego samochodu, wskutek czego doznała rozległych urazów wewnętrznych, włącznie z utratą śledziony, jak również wielokrotnych złamań kości. Przez ponad tydzień była w śpiączce, sztucznie podtrzymywano jej funkcje życiowe, a kiedy się wybudziła, lekarze obawiali się, że już nigdy nie będzie chodzić. Jednak w ostatnich tygodniach zrobiła ogromne postępy, mogła stać o własnych siłach i z zapałem mówiła o powrocie do pracy.

Grace naprawdę ją lubił. Była świetnym detektywem i przewidywał, że czeka ją wspaniała przyszłość w policji. Teraz jednak, leżąc tu i uśmiechając się do niego blade, wyglądała jak zagubione, zdezorientowane dziecko. Zawsze szczupła, teraz wydawała się wychudzona w luźnej, szpitalnej koszuli, pomarańczowa opaska prawie zsuwała się jej z ręki. Jej jasne włosy, które straciły połysk i wyglądały jak sucha słoma, były niestarannie spięte, kilka kosmyków wysunęło się i opadało luzem. Na stoliku przy łóżku, w ogromnym nieładzie leżały wizytówki, kwiaty i owoce.

Jej oczy powiedziały mu wszystko, zanim zdążyli zamienić słowo, i coś w nim pękło.

- Jak się czujesz? - spytał, trzymając przed sobą kwiatki.
- Nigdy nie czułam się lepiej! - powiedziała, z wysiłkiem robiąc dla niego dobrą minę. - Wczoraj powiedziałam tacie, że go pokonam w tenisa przed końcem lata. Mówię ci, to nic trudnego. On beznadziejnie gra!

Grace uśmiechnął się, po czym spytał łagodnie:

- Co ty, u diabła, robisz na tym oddziale?

Wzruszyła ramionami.

- Przenieśli mnie jakieś trzy dni temu. Powiedzieli, że potrzebują łóżka na tamtym oddziale.

- Potrzebują, niech ich szlag. Chcesz tu zostać?
- Nieszczególnie.

Grace odsunął się i omiół wzrokiem oddział, poszukując wolnej pielęgniarki, po czym podszedł do młodej Azjatki w pielęgniarskim fartuchu, która akurat wyjmowała komuś basen.

- Przepraszam - powiedział. - Szukam kogokolwiek, kto tu rządzi.

Pielęgniarka odwróciła się i wskazała sprawiającą wrażenie znękaną pielęgniarkę około czterdziestki, z wysoko upiętymi włosami i twarzą mola książkowego za dużymi okularami, wchodzącą właśnie na oddział, z podkładką do papierów w ręce.

Kilkoma szybkimi, zdecydowanymi krokami Grace podszedł i zastąpił jej drogę. Na plakietce przypiętej do niebieskiego fartucha napisane było „Angela Morris, oddziałowa”.

- Przepraszam - zaczął ją. - Czy mogę zamienić z panią słowo?
- Przykro mi - odpowiedziała cierpkim, wyraźnie wrogim i wyniosłym tonem. - Mam problem do rozwiązania.
- No to teraz ma pani i drugi - powiedział, trzęsąc się ze złości i wyciągając swoją legitymację, którą podetknął jej pod twarz.

Wyraźnie się zaniepokoiła.

- Co... o co chodzi? - spytała, spuszczać nagle z tonu.

Grace wskazał Emmę-Jane.

- Ma pani dokładnie pięć minut na zabranie tej młodej kobiety z tej śmierdzącej nory i przeniesienie jej albo na oddział prywatny, albo kobiecy. Rozumie pani?

Odzykując swoją wyniosłość, oddziałowa powiedziała:

- Może powinien pan spróbować zrozumieć pewne problemy, jakie mamy w tym szpitalu, panie nadkomisarzu.

Podnosząc głos prawie do krzyku, Grace poinformował ją:

- Ta młoda kobieta jest bohaterką. Została ranna na służbie, dokonując aktu najwyższej odwagi. Pomogła uchronić to miasto przed bestią, która jest teraz za kratami i czeka na proces, oraz ocaliła życie dwóch ludzi. O mało co nie przypłaciła tego własnym życiem! I w nagrodę umieszcza się ją na mieszanym oddziale geriatrycznym, obok faceta z fiutem na wierzchu. Ona nie spędzi na tym oddziale ani godziny dłużej. Zrozumiano?

Rozglądając się nerwowo na boki, pielęgniarka powiedziała:

- Później zobaczę, co mogę zrobić.

Teraz Grace już wrzeszczał:

- Chyba pani nie dosłyszała. Tu nie ma żadnego później. Zrobi to pani natychmiast. Ponieważ ja będę tu nad panią stał, dopóki ona nie zostanie przeniesiona na oddział, z którego będę zadowolony. - Wyjął telefon i pokazał go kobiecie. - Jeżeli nie chce pani, żebym wysłał te zdjęcia, które właśnie zrobiłem, bohaterki Brighton, detektyw Boutwood odartej z wszelkiej godności przez waszą przerażającą nieudolność, do „Argusa” i każdej cholernej gazety w kraju, zrobi to pani natychmiast.

- Tu nie wolno używać telefonów komórkowych. I nie ma pan prawa robić zdjęć.

- To wy nie macie prawa traktować w ten sposób mojego oficera. Chcę mówić z dyrektorem szpitala. Ale już!

## Rozdział 78

Pół godziny później Emma-Jane Boutwood została przewieziona siecią korytarzy do o wiele nowocześniejszej części szpitala.

Grace poczekał, aż umieszczą ją w słonecznym, prywatnym pokoju z widokiem ponad dachami na kanał La Manche, po czym dał jej kwiatki i wyszedł, uzyskując uprzednio obietnicę szpitalnego waźniaka, przekazaną drogą telefoniczną z jego wieży z kości słoniowej, że Emma-Jane pozostanie w tym pokoju do końca pobytu w szpitalu.

Kierując się udzielonymi mu wskazówkami, jak ma wrócić do głównego wejścia, stanął przed windą i wcisnął guzik. Po przedłużającym się oczekiwaniu chciał już zrezygnować i pójść pieszo, kiedy nagle drzwi windy rozsunęły się. Wszedł do środka i skinął głową młodemu, zmęczonemu Hindusowi pogryzającemu energetyzującego batonika.

Ubrany był w zielony, dwuczęściowy strój lekarza, na szyi zawieszony miał słuchawki, a na jego plakietce napisane było „Dr Raj Singh, pogotowie”. Drzwi zamknęły się i Grace poczuł nagle duszące gorąco. Było jak w piecu. Zauważył, że lekarz przygląda mu się ciekawie.

- Upalny dzień - powiedział Grace grzecznie.
- Owszem, trochę zbyt upalny - odpowiedział lekarz z akcentem człowieka wykształconego, po czym zmarszczył brwi. - Przepraszam, że pytam, ale wydaje mi się pan znajomy. Czy już się spotkaliśmy?

Grace miał zawsze dobrą pamięć do twarzy, czasami wręcz fotograficzną. Tego mężczyzny jednak nie kojarzył.

- Nie wydaje mi się - powiedział.

Winda zatrzymała się i Grace wysiadł. Lekarz wysiadł za nim.

- Czy to pańskie zdjęcie jest w dzisiejszym „Argusie”?

Grace przytaknął.

- To wszystko tłumaczy! Właśnie czytałem, kilka minut temu. Prawdę mówiąc, myślałem o skontaktowaniu się z pańskim zespołem dochodzeniowym.

Grace, chcąc nagle jak najszybciej znaleźć się w biurze, słuchał doktora Singha jednym uchem.

- Tak?

- Proszę posłuchać, to pewno nic takiego, ale w gazecie napisano, że prosicie o zachowanie czujności i zgłaszanie podejrzanych rzeczy, prawda?

- Jak najbardziej.

- No więc... muszę przestrzegać tajemnicy lekarskiej, ale widziałem tu wczoraj mężczyznę, który mnie autentycznie zaniepokoił.

- Czym?

Lekarz rozejrzał się po pustym korytarzu, surowym wzrokiem zmierzył hydrant przeciwpożarowy, obejrzał się za siebie, czy drzwi windy są zamknięte.

- No cóż, jego zachowanie było zdecydowanie nieprawidłowe. Na przykład krzyczał na recepcjonistkę.

Nic w tym nieprawidłowego, pomyślał Grace prywatnie. Był pewien, że na wiele osób krzyczy się tu regularnie i nie bez powodu.

- Kiedy go zobaczyłem - ciągnął dalej lekarz - wydawał się skrajnie pobudzony. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Widuję wiele osób z problemami psychiatrycznymi, ale ten mężczyzna wydawał się być w stanie silnego lęku z jakiegoś powodu.

- Jaki miał uraz?

- Właśnie w tym rzecz. To była zainfekowana rana dłoni.

Grace nagle zaczął go słuchać uważniej.

- Od czego?

- Powiedział, że przytrzasnął drzwiami, ale dla mnie to tak nie wyglądało.

- Przytrzasnął drzwiami? - powtórzył Grace, myśląc usilnie o wyjaśnieniu urazu, jakie podał Brian Bishop, że uderzył się, wsiadając do taksówki.

- Tak.

- A na co to wyglądało dla pana?

- Na ugryzienie. Powiedziałbym, że z dużym prawdopodobieństwem ugryzienie przez człowieka. Widzi pan, ślady były po obu stronach dłoni, na nadgarstku i pod spodem, poniżej kciuka.

- Gdyby przytrzasnął drzwiami albo klapą bagażnika, też byłyby ślady po obu stronach.

- Tak, ale nie zaokrąglone - odparł lekarz. - A te były w kształcie półksiężyca, na wierzchu i pod spodem, odpowiadające szczękom. I były ślady punktowe różnej głębokości, odpowiadające zębom.

- Dlaczego myśli pan, że to były zęby ludzkie? Nie mogły być zwierzęce? Na przykład dużego psa?

Lekarz zarumienił się.

- Mam lekkiego bzika na punkcie kryminalów. Uwielbiam czytać powieści kryminalne z opisami badań kryminalistycznych, jak mam czas... i oglądam w telewizji takie rzeczy jak „Kryminalne zagadki”. - Zabrzęczał jego pager. Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Bo rozumie pan, jest jeszcze coś, co wydedukowałem. - Znów przerwał, zestresowany, żeby odczytać wiadomość na wyświetlaczu. - Wydedukowałem, że gdyby ugryzł go pies, to po co miałby to ukrywać? Jeżeli to było ugryzienie przez człowieka, do którego doszło w trakcie napaści, to oczywiście rozumiem, że to ukrywał. A potem, kiedy zobaczyłem tę straszną wiadomość o zabójstwie młodej kobiety, po prostu dodałem dwa i dwa.

Grace uśmiechnęła się.

- Ma pan zadatki na dobrego detektywa! Ale to wciąż tylko dwa i dwa - powiedział. - Czy może pan opisać tego mężczyznę?

- Tak. Około sześciu stóp wzrostu, bardzo szczupły, z dość długimi, brązowymi włosami, w ciemnych okularach, z dużą brodą. Nie dało się wyraźnie zobaczyć jego twarzy. Ubrany był w białą marynarkę, dzinsy i adidas. Wyglądał trochę niechlujnie.

Emocje Grace'a opadły. To zupełnie nie brzmiało jak opis Briana Bishopa, chyba że zadał sobie trud ucharakteryzowania się, co zawsze było możliwe.

- Rozpoznałby go pan, gdyby go pan znowu zobaczył?

- Oczywiście!

- Czy ten mężczyzna został zarejestrowany przez którąś z kamer CCTV w szpitalu?

- Mamy jedną na pogotowiu. Na pewno go zarejestrowała.

Grace podziękował mu, zapisał jego nazwisko i numery telefonów i poszedł szukać pomieszczenia monitoringu CCTV. Po drodze wyjął BlackBerry i sprawdził pocztę.

Była wiadomość od Dicka Pope'a, w odpowiedzi na e-maila, którego wysłał rano, dołączając zdjęcia zrobione w Monachium.

Wmurowała go w ziemię.

*Roy, to nie jest kobieta, którą widzieliśmy z Lesley w zeszłym tygodniu. Naprawdę jesteśmy przekonani, że widzieliśmy Sandy. Pozdrawiam, Dick.*

## Rozdział 79

Dochodziła 15.30, kiedy Nadiuska De Sancha zakończyła sekcję zwłok i wyszła z kostnicy wraz z nadinspektorem Duiganem i urzędnikiem koronera.

Sądząc po śladach ligatury na szyi Sophie Harrington i krwawych wybroczynach na powierzchni gałek ocznych, patolog Wydziału Spraw Wewnętrznych skłaniała się do wniosku, że nieszczęsna dziewczyna została uduszona przez zadzierzgnięcie.

Musiała jednak poczekać na wynik badania toksykologicznego krwi i wyniki testów treści żołądkowej oraz próbek płynu pobranych z pęcherza, aby móc wyeliminować inne ewentualne przyczyny śmierci. Obecność spermy w pochwie wskazywała na prawdopodobieństwo gwałtu, dokonanego przed śmiercią lub po niej.

Cleo i Darren wciąż mieli przed sobą kilka godzin pracy. Czekala ich sekcja wyrzuconych przez morze zwłok nieznaney kobiety i smutne zadanie dokonania sekcji sześciolletniej dziewczynki, która w sobotę zginęła pod kołami samochodu. Poza tym musieli zająć się jeszcze czterema innymi zwłokami, w tym czterdziestosiedmioletnim, HIV-pozytywnym mężczyzną, którego dla dokonania sekcji umieścili w odizolowanym pomieszczeniu.

Rodzice dziewczynki chcieli ją zobaczyć wczoraj po południu i Darren ich wpuścił. Drugi raz przyszli parę godzin temu. Cleo widziała się z nimi i wciąż była tym poruszona.

Dr Nigel Churchman, miejscowy konsultant patolog, który miał przeprowadzić te rutynowe sekcje, spodziewany był w przeciągu pół godziny. Christopher Ghent, stomatolog sądowy mający pomóc w identyfikacji



nieznanej kobiety, już był na miejscu i pił herbatę, rozdrażniony, że musi czekać.

Cleo z Darrenem wydobyli denatkę z lodówki i odsłonili. Zapach rozkładającego się ciała natychmiast znów wypełnił pomieszczenie. Ghent przystąpił do pracy.

Zasadniczy, wysoki, łysiejący mężczyzna w okularach, w wieku około czterdziestu pięciu lat cieszył się międzynarodową sławą w dwóch dziedzinach. Był autorem uznanej książki o stomatologii sądowej, napisanej z zamiarem prześcignięcia podstawowego przez wiele lat podręcznika „Ślady zębów jako dowód” autorstwa stomatologa z Montrealu Roberta Doriona. Był też znakomitym obserwatorem - albo wabicielem - ptaków i światowym autorytetem od mew.

Oslonięty od stóp do głów szpitalną zielenią Ghent pracował sprawnie, ale skrupulatnie. W tle słychać było, jak Darren przecina żebra i otwiera piłą taśmową czaszki innych zwłok. Panował nastrój szczególnej powagi, bez zwykłego przekomarzania się członków zespołu. Obecność ciała małego dziecka dyscyplinowała wszystkich o wiele bardziej niż widok ofiary morderstwa.

Ghent wykonał szereg zdjęć, zarówno zwykłych, jak i za pomocą przenośnego aparatu rentgenowskiego, następnie wpisał cechy każdego zęba na specjalnym diagramie i na koniec wykonał odciski górnej i dolnej szczęki w miękkiej glinie. Zgodnie z instrukcją koronera miał później rozesłać szczegółowe opisy wszystkim dentystom w promieniu piętnastu mil od Brighton i Hove. Gdyby to nie przyniosło rezultatu, należało stopniowo rozszerzać zasięg poszukiwań, a w razie konieczności dotrzeć do wszystkich zarejestrowanych gabinetów dentystycznych w kraju.

Nie stworzono jeszcze międzynarodowego systemu porównywania danych stomatologicznych. Gdyby żaden z dentystów w kraju nie był w stanie dokonać identyfikacji i gdyby nic nie wynikało z badania odcisków palców i DNA, kobieta skończyłaby w grobie opłaconym przez miasto Brighton i Hove, zapisana dla potomności jako drobny ułamek tragicznej statystyki.



Nigel Churchman obliczył ostatnio, że przez piętnaście lat wykonał w tej kostnicy ponad siedemset sekcji zwłok. Do każdej podchodził z tym samym, niemal chłopięcym entuzjazmem, jakby była pierwszą w życiu. Naprawdę kochał swoją pracę i uważał, że każda osoba poddana jego badaniu zasługuje, by dał z siebie wszystko.

Przystojny, szczupły mężczyzna, którego pasją były samochody wyścigowe, miał młodzieńczą twarz - której większa część teraz, kiedy dokonywał oględzin nieznannej kobiety, ukryta była pod zieloną maską - sprawiającą, że nie wyglądał na swoje czterdzieści dziewięć lat.

Odgonił kilka much mięsnych krążących wokół jej mózgu leżącego na metalowej tacy obok otwartej klatki piersiowej i przystąpił do pracy. Nożem o długim ostrzu ostrożnie przekrawał mózg, sprawdzając, czy nie ma w nim obcego ciała, na przykład kuli, uszkodzeń od noża czy śladu wylewu świadczącego, że śmierć nastąpiła na skutek uderzenia ciężkim narzędziem. Mózg jednak wydawał się prawidłowy i nieuszkodzony.

Jej oczy, niemal całkowicie wyżarte, nie dawały żadnej informacji. Serce wydawało się silne, typowe dla osoby sprawnej fizycznie, bez złożeń w tętnicach. Na tym etapie nie był w stanie dokładnie ocenić jej wieku. Sądząc po stanie i barwie uzębienia, ogólnym stanie fizycznym i stanie piersi, mimo ich częściowego ubytku, szacował, że może mieć od dwudziestu pięciu do niewiele ponad czterdziestu lat.

Darren przeniósł jej serce na wagę i zapisał odczyt w tabeli na ścianie. Churchman skinął głową - było w normie.

Teraz zajął się płucami. Wyciął je i przeniósł w obu dłoniach osłoniętych rękawiczkami na tackę. Kiedy je położył, wyciekł z nich ciemny płyn.

Po dwóch minutach przerwał badanie i zwrócił się do Cleo.

- Interesujące - powiedział. - Ona nie utonęła. W płucach nie ma wody.

- To znaczy? - spytała Cleo.

Było to głupie pytanie, rzucone bez zastanowienia w wyniku zdenerwowania spotkaniem z rodzicami dziewczynki, kaca, przytłoczenia nadmiarem pracy i obawy, że widmo Sandy zaciąży na jej związku z Royem Gracem. Oczywiście znała odpowiedź, dokładnie wiedziała, co to znaczy.

- Była już martwa, kiedy znalazła się w wodzie. Będę musiał przerwać sekcję. Zawiadomcie koronera.

Od tej chwili sekcję powinien przejąć patolog Wydziału Spraw Wewnętrznych, prawdopodobnie znów Nadiuska De Sancha. Nieznana kobieta została podniesiona do rangi „śmierci w niewyjaśnionych okolicznościach”.

## Rozdział 80

Roy Grace odnotował w pamięci, żeby nigdy już nie znaleźć się w małym, zamkniętym pomieszczeniu w upalny dzień, razem z Normanem Pottingiem. Siedzieli obok siebie przed monitorem wideo w pomieszczeniu obserwacyjnym wielkości komórki, sąsiadującym z pokojem przesłuchań świadków. Późno popołudniowe słońce niechętnie przebijało się przez zamknięte żaluzje jedyne okna, klimatyzacja nic nie dawała. Grace ociekał potem. Potting, w białej koszuli z krótkimi rękawami i wielkimi, mokrymi plamami pod pachami, śmierdział jak wnętrze starego kapelusza.

Co więcej, detektyw sierżant zjadł coś z dużą ilością czosnku, którym teraz zionął. Grace sięgnął do kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła i wyjął paczkę miętowej gumy do żucia, proponując ją Pottingowi w nadziei, że zneutralizuje ona jego zabójczy oddech.

- Nie tykam tego, Roy, dzięki - powiedział. - Wyciąga mi plomby.

Wcisnął klawisz szybkiego przewijania do tyłu. Grace zobaczył na ekranie, jak Potting, Zafferone i trzeci mężczyzna tyłem wychodzą z pokoju jeden po drugim, znikając za drzwiami, w przyspieszonym tempie. Potting zatrzymał taśmę, następnie wcisnął start i ci sami trzej mężczyźni pojawili się znowu, tym razem wchodząc przez drzwi.

- Masz już swój profil na MySpace, Roy? - spytał ni z tego, ni z owego.

- MySpace? Chyba jestem trochę za stary na profil na MySpace.  
Potting pokręcił głową.

- Wiek dowolny. Tak czy inaczej, Li ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Zrobiliśmy sobie wspólny profil. *Norma-Li*. Chwytasz? Już ma trzy tajskie przyjaciółki w Anglii, jedną w Brighton. Nieźle, nie sądzisz?

- Genialnie - odparł Grace, bardziej zajęty unikaniem oddechu Pottinga niż rozmową.

- Mówię ci. - Potting zachichotał. - Jest tam trochę ekstra lasek. Ba!

- Zdawało mi się, że jesteś teraz szczęśliwym mężem swojej nowej żony.

Przez chwilę Potting rzeczywiście wyglądał na uszczęśliwionego, jego pomarszczona twarz mopsa przybrała bardzo zadowolony wyraz.

- Ona to jest dopiero coś, mówię ci, Roy! Nauczyła mnie kilku nowych sztuczek. Kurde! Miałeś kiedyś kobietę Wschodu?

Grace pokręcił głową.

- Wierzę ci na słowo.

Próbował skoncentrować się na ekranie. Próbował zepchnąć myśl o Sandy na dalszy plan i skupić się na pracy. Ciężała na nim ogromna odpowiedzialność i to, jak pokieruje sprawą w najbliższych dniach, mogło zaważyć na jego dalszej karierze. Miał świadomość, że ze względu na wymiar tej sprawy ogniskowało się na nim krytyczne spojrzenie nie tylko Alison Vosper.

Na ekranie szczupły, kanciasty mężczyzna zajął właśnie miejsce na jednym z trzech czerwonych krzeseł w pokoju przesłuchań świadków. Miał przyciągającą uwagę twarz, był nie tyle przystojny, co interesujący z potarganymi włosami i brodą holenderskiego osadnika. Ubrany był w luźną, hawajską koszulę, niebieskie dżinsy i sandały. Cerę miał bladą, jakby większość lata spędził w zamkniętym pomieszczeniu.

- To jest kochanek Katie Bishop? - spytał Grace.

- Tak - potwierdził Potting. - Barty Chancellor.

- Pretensjonalne imię - zauważył Grace.

- Pretensjonalny dupek - powiedział Potting, włączając dźwięk.

Grace przyglądał się, jak postępuje przesłuchanie, w trakcie którego

obaj detektywi często robili notatki. Mimo dziwnego wyglądu, Chancellor mówił pewnym, nieco władczym tonem, z akcentem wyniesionym z elitarnej szkoły, jego mowa ciała świadczyła, że jest rozluźniony i pewny siebie, jedyną widoczną od czasu do czasu oznaką zdenerwowania było skręcanie tkanej opaski na nadgarstku.

- Czy zdarzało się, że pani Bishop rozmawiała z panem o swoim mężu, panie Chancellor? - spytał Norman Potting.

- Tak, oczywiście, że rozmawiała.

- Czy to pana kręciło? - chciał wiedzieć Zafferone.

Grace uśmiechnął się. Młody, arogancki detektyw robił dokładnie to, co miał nadzieję, że zrobi - podpuszczał Chancellora.

- Co właściwie pan przez to rozumie? - spytał Chancellor.

Zafferone patrzył mu w oczy.

- Czy podobało się panu, że sypia pan z kobietą, która oszukuje swojego męża?

- Jestem tu, żeby pomóc w śledztwie mającym na celu znalezienie zabójcy mojej najdroższej Katie. Nie sądzę, żeby to pytanie było istotne.

- To my jesteśmy od tego, żeby ocenić, co jest istotne, proszę pana - powiedział zimno Zafferone.

- Przyszedłem tu dobrowolnie - powiedział Chancellor, wyraźnie wściekły, podnosząc głos. - Nie podoba mi się pański ton.

- Rozumiem, że musi być panu bardzo ciężko - włączył się Potting uprzejmym tonem, grając klasycznego *dobrego gline*, w przeciwieństwie do *złego* Zafferone. - Zdaję sobie sprawę, co pan przeżywa. Bardzo by nam pomogło, gdyby zechciał pan powiedzieć coś więcej o charakterze związku pana i pani Bishop.

Przez chwilę Chancellor bawił się swoją opaską.

- Ten człowiek był brutalny - powiedział nagle.

- W jakim sensie? - spytał Potting.

- Czy bił panią Bishop? - dopytywał Zafferone. - Stosował przemoc?

- Nie fizyczną, ale psychiczną. Był wobec niej bardzo krytyczny... co do jej wyglądu, sposobu prowadzenia domu... on ma obsesję. I jest szalenie

zazdrosny... dlatego była nadzwyczaj ostrożna. W dodatku... - zamilkł na moment, jakby wahając się, czy coś dodać. - Cóż... nie wiem, czy to ważne, ale mówiła mi, że on jest dość perwersyjny.

- W jakim sensie? - znów spytał Potting.
- Seksualnym. Lubi wiązać, lubi fetysze.
- Jakie?
- Skóra, guma, takie rzeczy.
- Opowiadała panu o tym? - spytał Zafferone.
- Tak.
- Czy to pana kręciło?
- Co to, do cholery, za pytanie? - ryknął na niego Chancellor.
- Czy podniecało pana, kiedy Katie opowiadała panu o tych sprawach?
- Nie jestem jakimś chorym zбочeńcem, jeśli o to wam chodzi -

odpalił Chancellor.

- Panie Chancellor. - Norman Potting znów odgrywał dobrego glinę. - Nie przypuszczam, żeby pani Bishop wspomniała kiedyś o masce przeciwigazowej, prawda?

- O czym?

- Czy z tego, co pan wie, do fetyszy pana Bishopa zaliczała się maska przeciwigazowa?

Artysta zastanawiał się przez chwilę.

- Ja nie... Nie. Nie przypominam sobie, żeby wspominała o masce przeciwigazowej.

- Jest pan pewien? - spytał Zafferone.

- To nie jest coś, o czym się łatwo zapomina.

- Zdaje się, że o tym, że jest mężatką, zapomniał pan dość łatwo - Zafferone przykręcał śrubę.

- Myślę, że pora, żeby pojawił się tu mój adwokat - powiedział Chancellor. - Pańskie zachowanie jest niestosowne.

- Czy zabił pan panią Bishop? - spokojnie spytał Zafferone.

Chancellor wydawał się bliski wybuchu.

- Co takiego?
- Spytałem, czy zabił pan panią Bishop.
- Kochałem ją... mieliśmy spędzić razem resztę życia... czemu, na Boga, miałbym ją zabić?
- Powiedział pan przed chwilą, że życzy sobie obecności adwokata - Zafferone był nieustępliwy jak rottweiler. - Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie domagają się obecności adwokata, ponieważ są winni.
- Bardzo ją kochałem. Ja... - głos mu się załamał. Nagle pochylił się do przodu, ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać.
- Potting z Zafferone spojrzawszy na siebie, czekali. Wreszcie Barty Chancellor uspokoił się i usiadł prosto.
- Przepraszam.
- Wtedy Zafferone zadał pytanie, na którym Grace'owi zależało najbardziej i miał nadzieję, że któryś z nich je zada.
- Czy pan Bishop wiedział o waszym związku?
- Absolutnie nie.
- Norman Potting wtrącił się znowu:
- Wszystko wskazuje na to, że pan Bishop jest bardzo inteligentnym człowiekiem. Pan i pani Bishop mieliście romans, który trwał od ponad roku. Naprawdę myśli pan, że nie miał o niczym pojęcia?
- Byliśmy bardzo ostrożni... poza tym zawsze przez prawie cały tydzień przebywał w Londynie.
- Może wiedział, ale nic nie powiedział - zasugerował Zafferone.
- Być może - Chancellor zgodził się niechętnie. - Ale nie sądzę... to znaczy, Katie była pewna, że on nic nie wie.
- Zafferone przerzucił kilka kartek notesu.
- Powiedział pan przedtem, że nie ma pan alibi na okres między opuszczeniem przez panią Bishop pańskiego mieszkania a przybliżonym czasem, możliwe, że niecałą godzinę później, kiedy została zamordowana.
- Zgadza się.
- Zasnął pan.



- Była prawie północ. Kochaliśmy się. Może nigdy nie próbował pan seksu? Kiedy pan spróbuje, dowie się pan, że potem chce się spać. - Chancellor patrzył groźnie na Zafferone.

Grace układał sobie wszystko w głowie. Romans trwał od roku. Pół roku temu Brian Bishop ubezpieczył żonę na życie, na trzy miliony funtów. W przeszłości dokonywał aktów przemocy.

A jeżeli dowiedział się o romansie?

Chancellor powiedział, że planowali z Katie spędzić razem resztę życia. To było coś więcej niż skok w bok. Może Bishop nie mógł znieść myśli, że traci żonę.

Wszystko się zgadzało. Facet miał motyw.

Być może planował to starannie przez wiele miesięcy. Doskonale alibi w Londynie, z jednym małym potknięciem, z którego nawet nie zdawał sobie sprawy. Zdjęcie jego samochodu zrobione z ukrytej kamery, w pobliżu lotniska Gatwick.

Grace patrzył na dalszy przebieg przesłuchania. Zafferone coraz bardziej prowokował Chancellora. Z pewnością artysta był ewentualnym podejrzanym. Oczywiście było, że był zakochany do szaleństwa w tej kobiecie. Wystarczająco, żeby ją zabić, gdyby go porzuciła? Być może. Czy był na tyle sprytny, żeby zamordować ją, a potem urządzić wszystko tak, żeby wyglądało, że zrobił to jej mąż? Nie można tego wykluczyć. W tej chwili jednak ciężar dowodów przeciwko Bishopowi zdecydowanie przeważał.

Spojrzał na zegarek. 17.15. Wideo z kamery CCTV Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex, z mężczyzną w poczekalni pogotowia, zaniósł prosto do laboratorium obróbki filmów. Teraz miał chwilę, żeby zejść i zobaczyć, co tam uzyskali, zanim się spotka z Kim Murphy i Brendanem Duiganem, żeby przygotować się do wspólnej odprawy zaplanowanej na 18.30.

Na szpitalnym materiale niskiej rozdzielczości trudno było dostrzec rysy mężczyzny, ponieważ jego twarz osłonięta była długimi włosami, ciemnymi

okularami, wąsami i brodą. Dzięki technologii, jaką dysponowało laboratorium, można było w dużym stopniu wyostrzyć obraz. W chwili, gdy wyszedł na korytarz, zadzwonił jego telefon. Podekscytowana detektyw sierżant Bella Moy mówiła tak, jakby usta miała pełne drażetek Maltesers.

Przyszły wyniki testu DNA do sprawy Katie Bishop.

Kiedy powiedziała mu, co wykazały, walnął pięścią w powietrze z radości.

## Rozdział 81

W biurze Roberta Vernona nie było klimatyzacji. Mieściło się na drugim piętrze ładnego domu z epoki królowej Anny, na Starym Mieście w Brighton, z widokiem na wąską ulicę domów o fasadach licowanych krzemieniem i dalej na nadbrzeże. Przez otwarte okna dobiegał terkot świdra pneumatycznego, pogarszający jeszcze ból głowy, z którym Brian Bishop obudził się tego ranka po kolejnej, prawie bezsennej nocy.

Biuro było przyjemne i przestronne. Większość ścian zajmowały półki pełne tomów literatury prawniczej i segregatorów. Na pastelowo niebieskich ścianach wisiały dwie ryciny przedstawiające stare Brighton - na jednej widoczne było molo łańcuchowe, na drugiej Old Steine. Sterty korespondencji zalegały biurko, leżały też na podłodze.

- Wybacz, proszę, ten bałagan, Brianie - powiedział Vernon, jak zawsze uprzejmy. - Dopiero wróciłem z wakacji dziś rano i nie bardzo wiem, od czego zacząć!

- Często zastanawiam się, czy w ogóle warto wyjeżdżać na wakacje - powiedział Bishop. - Najpierw cała ta papierkowa robota, którą trzeba odwalić przed wyjazdem, i wszystkie te sprawy, które czekają na ciebie, jak wrócisz.

Zamieszał herbatę w filizance z delikatnej porcelany, siedem razy, patrząc na kolorowe zdjęcie żony Vernona stojące w ramce, na parapecie okna za biurkiem. Atrakcyjna, jasnowłosa kobieta w stroju do golfa pozowała przy tee. Obok stała druga srebrna ramka z trzema owalnymi

otworami, z każdego wyglądała uśmiechnięta twarz jednego z małych dzieci Vernonów. Zdjęcia musiały być zrobione wiele lat temu, zorientował się Bishop, ponieważ teraz dzieci były nastolatkami. Vernonowi wszystko się układało, pomyślał nagle z goryczą. Cała jego rodzina była udana. Jego cały świat był udany. Niezależnie od tego, z jakimi problemami przychodzili tu klienci, on badał fakty, udzielał porad, pilnował, żeby wychodząc, zabrali swoje problemy z powrotem, po czym wskakiwał do swojego lexusa i jechał na pole golfowe z promiennym uśmiechem na twarzy.

Ten mężczyzna zbliżający się do sześćdziesiątego piątego roku życia charakteryzował się eleganckim, wytwornym urokiem. Jego srebrzyste włosy zawsze były starannie utrzymane, jego ubrania konserwatywne i nienaganne, całym swoim sposobem bycia roztaczał wokół siebie atmosferę mądrości i zaufania. Wydawało się, jakby był rodzinnym prawnikiem Biotopów od zawsze. To on załatwiał wszystkie formalności po śmierci ojca Bishopa, a potem po śmierci matki. To do Vernona zwrócił się Brian Bishop, kiedy przeglądając papiery w biurku matki w jej sypialni wkrótce po jej śmierci, prawie pięć lat temu, odkrył coś, co trzymano przed nim w tajemnicy przez całe życie. To mianowicie, że został adoptowany.

To Vernon odwiódł go od pomysłu poszukiwania biologicznych rodziców. Miał cudowne dzieciństwo, powiedział mu Vernon. Czujących rodziców adopcyjnych, którzy pobrali się zbyt późno, żeby mieć własne dzieci i świata nie widzieli poza nim i jego siostrą, która pojawiła się dwa lata po nim, ale zmarła tragicznie na zapalenie opon mózgowych w wieku trzynastu lat.

Byli zamożni i wychowywali go w ładnym, wolno stojącym domu, którego okna wychodziły na tereny rekreacyjne Hove, nadwerężając swoje finanse, żeby kształcić go w prywatnej szkole, zabierać na zagraniczne wakacje i kupić mu mały samochód, kiedy tylko zrobił prawo jazdy. Bishop bardzo kochał ich oboje, a także większość członków ich rodziny. Był bardzo przygnębiony po śmierci ojca, ale jeszcze gorzej przyjął śmierć matki. Mimo że był z Katie małżeństwem zaledwie od kilku miesięcy,

nagle poczuł się rozpaczliwie samotny. Bardzo zagubiony.

Potem znalazł ten dokument w biurku matki.

Jednak Vernon go uspokoił. Dowodził, że rodzice trzymali to przed nim w tajemnicy, ponieważ uważali, że tak będzie dla niego najlepiej. Chcieli dać mu samą miłość i bezpieczeństwo, żeby cieszył się teraźniejszością i był silny w przyszłości. Obawiali się, że mówiąc mu prawdę, wywołaliby w jego życiu zamęt, chęć poszukiwania przeszłości, która może już dawno nie istnieć - lub, co gorsza, okazać się zupełnie inna od tej, jakiej by chciał.

Vernon zgadzał się z nim, że to staroświeckie podejście, niemniej jednak miało ono swoją wartość. Brian dobrze sobie radził w życiu, był pewny siebie - przynajmniej na zewnątrz - odnosił sukcesy i powodziło mu się. Z pewnością odnalezienie jednego lub obojga biologicznych rodziców mogłoby przynieść mu dużą korzyść emocjonalną, jednak równie dobrze mogłoby okazać się bardzo bolesnym doświadczeniem. Co by było, gdyby przeraził się tym, jacy to ludzie? Albo gdyby po prostu nie chcieli mieć z nim do czynienia?

Tymczasem dręczące pragnienie poznania swojego pochodzenia stawało się coraz silniejsze. Podsycala je świadomość, że z każdym mijającym rokiem szanse, że jedno czy oboje jego biologicznych rodziców żyją, maleją.

- Tak mi przykro z powodu tego, co się stało, Brianie. Przepraszam, że nie mogłem dziś spotkać się z tobą wcześniej. Musiałem być w sądzie.

- Oczywiście, Robercie. Nic nie szkodzi. Miałem mnóstwo spraw biznesowych do załatwienia. Miałem czym zająć głowę.

- To niewiarygodne, prawda?

- Tak.

Bishop nie wiedział, czy powiedzieć coś o Sophie Harrington.

Rozpaczliwie pragnął otworzyć się przed kimś, ale to nie wydawało się właściwe. Nie teraz, nie w tej chwili.

- I jak się czujesz? Radzisz sobie?

- Mniej więcej. - Bishop uśmiechnął się blado. - Jestem właściwie uziemiony tu, w Brighton. Jeszcze przez kilka dni nie mogę wejść do domu. Policja nie chce, żebym pojechał do Londynu, więc muszę siedzieć tutaj i popychać interesy, jak tylko mogę.

- Jeżeli potrzebujesz noclegu, ja i Trish zapraszamy cię do nas.

- Dziękuję, nie trzeba.

- A oni mają jakąś koncepcję co do tego, co się stało? Kto dopuścił się tego strasznego czynu?

- Z tego, jak mnie traktują, rozumiem, że są przekonani, że ja.

Przez moment patrzyli sobie w oczy.

- Nie specjalizuję się w prawie karnym, Brianie, ale wiem, że członkowie najbliższej rodziny zawsze są podejrzani w większości śledztw dotyczących morderstw, dopóki nie zostaną wyeliminowani.

- Na pewno.

- Zatem nie martw się tym za bardzo. Im szybciej cię wyeliminują, tym szybciej będą mogli dojść, kto to zrobił. Przy okazji, gdzie są teraz dzieci? - zadawszy to pytanie, prawnik podniósł rękę uspokajająco. - Przepraszam. Nie chciałem się wtrącać...

- Ależ oczywiście, rozumiem. Max jest z przyjacielem na południu Francji. Carly u kuzynów w Kanadzie. Rozmawiałem z obojgiem i powiedziałem im, żeby zostali... nie ma powodu, żeby mieli wracać. Z tego, co mówi policja, wynika, że jeszcze z miesiąc potrwa, zanim będę mógł... zanim koroner... - nie umiał dobrać słów, ogarnięty emocjami.

- Obawiam się, że będzie dużo formalności. Biurokracji nie da się ominąć. I to niestety wtedy, kiedy, jak jestem pewien, wolałbyś zostać sam ze swoimi myślami.

Bishop skinął głową i wyciągnął chusteczkę, którą otarł oczy.

- Skoro już przy tym jesteśmy, mamy kilka spraw, które musimy załatwić. Możemy zaczynać?

- Tak.

- Po pierwsze, co z majątkiem Katie. Wiesz, czy sporządziła testament?

- Tu jest coś bardzo dziwnego. Policja pytała mnie o polisę ubezpieczenia na życie, na trzy miliony funtów, którą, jak mówią, wykupiłem dla Katie.

Prawnik, nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon, spojrział na niego.

- A nie wykupiłeś?

Terkot świdra na zewnątrz nagle miłosiernie ucichł.

- Nie. Absolutnie nie... to pamiętam, bo przecież coś takiego pamiętałbym cholernie dobrze.

Vernon zamyślił się na chwilę.

- Czy nie brałeś przypadkiem ostatnio drugiego kredytu hipotecznego na twój dom przy Dyke Road Avenue? Żeby doinwestować firmę?

Bishop przytaknął.

- Tak, wziąłem.

Jego firma w tej chwili radziła sobie dobrze, ale jak na ironię, prawie aż za dobrze i miała problemy z płynnością finansową, jakich doświadcza wiele szybko rozwijających się firm. Na początku było to przedsięwzięcie finansowane przez niego samego i małą grupę bogatych przyjaciół, operujące stosunkowo niewielkim kapitałem. Teraz, żeby przejść na wyższy poziom, musieli dokonać znacznych inwestycji w nowe technologie, większe pomieszczenia i zwiększyć liczbę wykwalifikowanych pracowników z branży komputerowej. Bishop i jego przyjaciele postanowili zgromadzić pieniądze sami, zamiast starać się wprowadzić firmę na giełdę albo próbować innych metod podniesienia kapitału. On dostarczył swoją część dzięki drugiej hipotece.

- Instytucje udzielające kredytów hipotecznych zazwyczaj przy dużych pożyczkach wymagają jakiejś polisy na życie. Może tak było w twoim przypadku.

Prawnik może mieć rację, pomyślał. Kwestia ubezpieczenia na życie chyba faktycznie była poruszana. Tylko że suma coś się nie zgadzała. Nie mógł tego sprawdzić w swoich dokumentach, bo znajdowały się w cholernym domu.

- Może - powiedział powątpiewająco. - I owszem, sporządziła testament... bardzo krótki. Jestem jednym z jego wykonawców, drugim jest David Crouch, mój księgowy. Testament jest w domu.

- Oczywiście, zapomniałem. Miała pewien majątek, prawda? Dostała znaczną sumę przy rozwodzie z poprzednim mężem. Pamiętasz może treść testamentu?

- Pamiętam. Zapisała trochę rodzicom, ale jest jedynaczką i główną część zostawiła mnie.

W głowie Roberta Vernona zadźwięczał nagle dzwonek alarmowy. Zmarszczył lekko brwi. Tak lekko, że Brian Bishop tego nie zauważył.



## Rozdział 82

- Jest 18.30, poniedziałek, 7 sierpnia - odczytał z notatek Roy Grace rzeźkim głosem, będąc dla odmiany w optymistycznym nastroju. - Zaczynamy drugą wspólną odprawę Operacji Kameleon i Operacji Mistral.

Mistral był kryptonimem, który policyjny komputer przydzielił losowo śledztwu w sprawie zabójstwa Sophie Harrington. Sala konferencyjna w Sussex House wypełniona była po brzegi, policjanci i personel pomocniczy siedzieli ciasno przy stole, w równych rzędach krzeseł. Wyczuwało się naelektryzowaną atmosferę oczekiwania. I choć raz klimatyzacja działała jak trzeba.

Grace szybko dokonał streszczenia przebiegu postępowania, po czym zakończył słowami:

- W ciągu dzisiejszego dnia dokonane zostały liczne, istotne postępy, o których z przyjemnością meldujemy. - Spojrzał na tyczkowatego, młodego ojca, detektywa Nicka Nicholla. - Zechciałbyś zacząć?

Nicholl bez marynarki, z rozpiętym górnym guzikiem koszuli i rozluźnionym krawatem odczytał sporządzoną w oficjalnym stylu notatkę:

- W dniu dzisiejszym o 11.00 przesłuchałem pannę Holly Richardson w jej miejscu pracy, w Agencji Regent Public Relations przy Trafalgar Road 71 w Brighton. Stwierdziła, że ona i panna Harrington uczęszczały razem do college'u dla sekretarek i od tego czasu pozostawały w bliskiej przyjaźni. Panna Richardson poinformowała mnie, że Sophie zwierzyła się jej z utrzymywania od około sześciu miesięcy sekretnego związku z

Brianem Bishopem. Sophie opowiadała jej, że ostatnio czasami Bishop zachowywał się wobec niej gwałtownie, czym była przestraszona. Stawiał jej także liczne, coraz bardziej sadystyczne i perwersyjne żądania natury seksualnej. - Nicholl otarł czoło i odwróciwszy kartkę, kontynuował: - Technik z naszej sekcji telekomunikacji John Smith, który badał telefony komórkowe zarówno panny Harrington, jak i Briana Bishopa, poinformował mnie, że w okresie ostatnich sześciu miesięcy osoby te wielokrotnie, codziennie dzwoniły do siebie nawzajem. Ostatnie z tych połączeń, wychodzące z telefonu panny Harrington i odebrane przez pana Bishopa, miało miejsce o 16.51 w piątek, kilka godzin przed przybliżonym czasem jej śmierci.

Grace podziękował mu, po czym poprosił o zabranie głosu postawnego Guya Batchelora.

Detektyw sierżant powiedział zebranym o zbiórce pieniędzy, jaką Brian Bishop zarządził wśród inwestorów swojej firmy, International Rostering Solutions PLC. Zakończył stwierdzeniem:

- Chociaż jego firma wydaje się rozwijać i jest dobrze postrzegana, Bishop tkwi po uszy w długach.

Wszyscy obecni docenili wagę tej informacji. Nie poprzestając na tym, rzucił bombę w postaci kryminalnej przeszłości Bishopa.

Grace przyjrzał się twarzom członków obu zespołów. Wyczuwalne było poczucie dokonanego postępu.

Następnym punktem była prezentacja wideo skrótu przesłuchania Barty'ego Chancellora, prowadzonego przez Normana Pottinga i Alfonso Zafferone. Po jej zakończeniu Potting poinformował zespół o swoich ustaleniach dotyczących producenta i modelu maski przeciwigazowej znalezionej przy obu ofiarach.

Producent został zidentyfikowany i teraz czekano na informację o liczbie wyprodukowanych egzemplarzy wraz z pełną listą punktów sprzedaży na terenie kraju.

Z kolei nadinspektor Duigan przekazał, co mówiła sąsiadka mieszkająca naprzeciwko domu, w którym znajdowało się mieszkanie Sophie Harrington.

Rozpoznała ona Bishopa na zdjęciu w „Argusie” i chętnie zgodziła się uczestniczyć w oficjalnej procedurze identyfikacji.

Zgodnie z regułami dramaturgii, zachowując najlepsze na koniec, Roy Grace poprosił teraz o złożenie raportu Belle Moy.

Detektyw sierżant wyjęła zdjęcie tablicy rejestracyjnej bentleya Briana Bishopa i poinformowała, że zostało zrobione przez kamerę ANPR umieszczoną przy jezdni w kierunku południowym drogi M23, w pobliżu lotniska Gatwick, o 23.47 w czwartek. Podkreśliła, że mimo alibi Bishopa, mówiącego, że znajdował się w tym czasie w Londynie, jego samochód widziany był jako zmierzający w kierunku Brighton, w miejscu położonym o niecałe trzydzieści minut jazdy od miasta, w przedziale czasowym obejmującym przybliżony czas zabójstwa jego żony.

Prywatnie jednak Grace miał tu pewne wątpliwości, jako że zdjęcie zrobione było w nocy. Tablica rejestracyjna była wyraźnie widoczna, ale nie sposób było określić marki samochodu.

Była to pomocna poszlaka, ale nie ostateczny dowód. Nawet niezbyt rozgarnięty obrońca doprowadziłby do jej odrzucenia w ciągu kilku sekund. Warto jednak było trzymać ją w pakiecie. Jeszcze jeden fakt pod rozwagę sądu.

Bella dodała, że zawartość domowego komputera Bishopów jest obecnie analizowana przez Raya Packhama z jednostki do spraw wysokich technologii. Jego raport spodziewany był wkrótce. Po tym wszystkim zadała śmiertelny cios.

- Otrzymaliśmy z laboratorium wyniki analizy DNA, której poddano spermę obecną w pochwie pani Bishop - odczytała z notatek zasadniczym tonem. - W próbkach pobranych przez patologa Wydziału Spraw Wewnętrznych podczas sekcji zwłok wykryto dwa różne rodzaje plemników - ogłosiła. - W opinii patologa, opartej na badaniu ruchliwości plemników obecnych w pochwie pani Bishop, obie ejakulacje nastąpiły w czwartkową noc, 3 sierpnia, w odstępie kilku godzin. Jeden rodzaj spermy nie został jeszcze zidentyfikowany, ale naszym zdaniem test DNA wykaże, że pochodzi ona od kochanka pani Bishop, który przyznał, że odbył z nią

stosunek seksualny w czwartek wieczorem. Druga sperma wykazuje stuprocentową zgodność z DNA Briana Bishopa. - Przerwała na moment. - Oznacza to oczywiście, że wbrew swojemu londyńskiemu alibi, Bishop był w Brighton i odbył stosunek z żoną w czasie zbliżonym do czasu jej śmierci.

Grace czekał cierpliwie, aż informacja dotrze do wszystkich.

Czuł napięcie w sali.

- Wszyscy wykonaliście świetną robotę. Dziś wieczorem aresztujemy Briana Bishopa jako podejrzanego o zabójstwo żony. Nie jestem jednak jeszcze przekonany, że zabił Sophie Harrington. Dlatego nie chcę przeczytać w jutrzejszym „Argusie”, że rozwiązaliśmy sprawę tych zabójstw. Czy to jasne?

Z ciszy, jaka mu odpowiedziała, wynikało, że jest to aż nadto jasne.

## Rozdział 83

Brian Bishop wyszedł spod prysznic w hotelowej łazience, wytarł się, a następnie zaczął grzebać w małej torbie podróżnej, którą Maggie Campbell przyniosła mu do pokoju godzinę temu, zawierającej świeże ubrania z domu.

Włożył ciemnoniebieską koszulkę polo i granatowe spodnie.

Lekka bryza wiewała przez otwarte okno zapach grilla. Był kuszący, choć ze ściśniętym żołądkiem nie miał apetytu. Żałował, że przyjął zaproszenie na obiad u Glenna i Barbary Mishonów, najbliższych przyjaciół jego i Katie. W normalnych okolicznościach bardzo lubił ich towarzystwo i kiedy Barbara zadzwoniła tego dnia rano, dał się namówić.

Wtedy wydawało się to propozycją atrakcyjniejszą niż spędzenie kolejnego samotnego wieczoru w tym pokoju, z własnymi myślami i wózkiem *room service*. Jednak popołudniowe spotkanie z Robertem Vernonem uświadomiło mu dopiero rzeczywistość tego, co się stało, i pozostawiło po sobie nastrój głębokiego przygnębienia. Tak jakby do tej pory to wszystko było jedynie złym snem. Teraz jednak czuł się przygnieciony straszliwym ogromem spraw. Tak wiele miał do przemyślenia, zbyt wiele. Jedyne, czego chciał, to usiąść i pozbierać myśli.

Jego brązowe, zamshowe mokasyny leżały na podłodze. Właściwie było za gorąco, żeby zakładać skarpetki, ale całkiem swobodny strój wyglądałby na brak szacunku wobec Katie. Usiadł więc na łóżku, włożył jasnoniebieskie skarpetki i wsunął stopy w mokasyny. Z zewnątrz, z jednego z ogrodów na

tyłach domów pod jego oknem dobiegał gwar rozmów, krzyki dzieci, muzyka, śmiechy.

Usłyszał pukanie do drzwi.

Prawdopodobnie pokojówka chce pościelić łóżko, pomyślał, otwierając. Zamiast pokojówki zobaczył tych samych dwóch policjantów, którzy przynieśli mu wiadomość o śmierci Katie.

Czarny trzymał w górze swoją legitymację.

- Detektyw sierżant Branson i detektyw Nicholl. Możemy wejść?

Bishopowi nie spodobał się wyraz ich twarzy.

- Tak, oczywiście - powiedział, cofając się i przytrzymując drzwi, żeby mogli wejść. - Macie dla mnie coś nowego?

- Brian Desmond Bishop - zaczął Branson. - W świetle zgromadzonych dowodów aresztuję pana w charakterze podejrzanego o zabójstwo pani Katherine Bishop. Może pan nic nie mówić, ale jeżeli w trakcie przesłuchania zatai pan coś, co później zezna pan przed sądem, będzie to okolicznością obciążającą. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Czy to jasne?

Bishop nie reagował przez chwilę. Potem powiedział:

- To niepoważne.

- Mój kolega, detektyw Nicholl, dokona szybkiej rewizji osobistej.

Niemal mechanicznie Bishop podniósł ręce, pozwalając Nichollowi obszukać się.

- Ja... przepraszam - powiedział Bishop. - Muszę zadzwonić do mojego adwokata.

- Obawiam się, że nie w tej chwili. Będzie pan miał taką możliwość, kiedy znajdziemy się w Centralnym Areszcie.

- Mam prawo...

Branson uniósł swoje wielkie dłonie.

- Proszę pana, my znamy pańskie prawa - powiedział, po czym opuścił ręce i odpiął od paska kajdanki. - Proszę założyć ręce za plecy.

Jeżeli do tej pory twarz Bishopa miała jeszcze jakiś kolor, to teraz znikł on zupełnie.

- Nie skuwajcie mnie, proszę! Nie ucieknę. To jakieś nieporozumienie. To wszystko nie tak. Możemy to wyjaśnić.

- Ręce do tyłu, proszę.

Ogarnięty kompletną paniką Bishop rozglądał się rozbieganym wzrokiem po pokoju.

- Potrzebuję różnych rzeczy. Mojej marynarki... portfela... ja... proszę pozwolić mi włożyć marynarkę.

- Którą, proszę pana?

Bishop wskazał szafę.

- Tę piaskową.

Potem wskazał telefon komórkowy i BlackBerry na stoliku przy łóżku. Nicholl obszukał marynarkę, Branson pozwolił mu ją włożyć i poupychać w kieszeniach portfel, komórkę, BlackBerry i okulary do czytania, po czym jeszcze raz poprosił go o założenie rąk do tyłu.

- Słuchajcie panowie, naprawdę musimy to zrobić? - skamlał Bishop. - To będzie dla mnie takie zenujące. Musimy przejść przez hotel.

- Uzgodniliśmy z kierownikiem, że wyjdziemy bocznym wyjściem ewakuacyjnym. Czy z pańską dłonią wszystko w porządku? - spytał Branson, zatrzaszukując kajdanki.

- Nie byłoby tego cholernego plastra, gdyby wszystko było w porządku - odpalił Bishop. Wciąż rozglądając się po pokoju, w nagłej panice spytał: - Mój laptop?

- Obawiam się, że zostanie zabezpieczony, proszę pana.

Nick Nicholl wziął kluczyki do samochodu Bishopa.

- Ma pan samochód na parkingu, panie Bishop?

- Tak, tak, mam. Mogę prowadzić, możecie pojechać ze mną.

- Obawiam się, że samochód też zostanie zabezpieczony do celów ekspertyzy kryminalistycznej - poinformował go Branson.

- To nie do uwierzenia - powiedział Bishop. - Nie do, kurwa, uwierzenia.

W żadnym z policjantów nie wzbudził współczucia. Ich stosunek do

niego, od momentu, kiedy w zeszły piątek przynieśli mu złą wiadomość, zmienił się kompletnie.

- Muszę szybko zadzwonić do przyjaciół, u których miałem być na obiedzie, i powiedzieć, że nie przyjdę.

- Ktoś z Centralnego Aresztu zadzwoni do nich w pańskim imieniu.

- Tak, ale oni szykują dla mnie obiad. - Wskazał telefon hotelowy. - Proszę, pozwólcie mi zadzwonić. To zajmie pół minuty.

- Przykro mi, proszę pana. Ktoś z Centralnego Aresztu zadzwoni do nich w pańskim imieniu - powtórzył Branson jak automat.

Nagle Briana Bishopa ogarnęło przerażenie.



## Rozdział 84

Bishop siedział obok detektywa Nicholla na tylnym siedzeniu szarej, nieoznakowanej policyjnej wectry. Dopiero minęła 20.00 i za oknami samochodu wciąż był jasny dzień.

Miasto przesuwało się obok jak niemy film wyświetlany na szybach samochodu. Wyglądało inaczej od tego, jakie znał całe życie. Tak jakby mijane ulice, domy, sklepy, drzewa, parki oglądał po raz pierwszy w życiu. Żaden z policjantów nie odzywał się. Ciszę przerywały tylko chwilami trzaski i zniekształcony głos dyspozytora dobiegające z radiotelefonu. Czuł się tak, jakby był tu obcy, jakby patrzył na jakiś świat równoległy, do którego nie należał.

Samochód zwolnił nagle i skręcił w kierunku zielonej, zbrojonej stałą bramy, która zaczęła się rozsuwać. Po prawej był wysoki płot najeżony kolcami, a za nim wysoki, ponury, ceglany budynek.

Zatrzymali się przy niebieskiej tablicy z białym napisem „Centralny Areszt w Brighton” i czekali, aż brama rozsunie się na wystarczającą szerokość. Wjechali stromą rampą, przejechali wzdłuż czegoś, co przypominało fabryczne bramy załadunkowe, na tyłach ceglaneanego budynku i skręcili w lewo, w jedną z nich.

Wewnątrz samochodu natychmiast zrobiło się ciemno. Bishop zobaczył znajdujące się prosto przed nimi zamknięte, zielone drzwi z małym okienkiem.

Detektyw sierżant Branson zgasił silnik i wysiadł. Słabe światło lampki

nie rozproszyło panującego w samochodzie mroku. Branson podszedł do tylnych drzwi i gestem nakazał Bishopowi wysiąść.

Bishop, z rękami skutymi za plecami, niezdarnie przesunął się bokiem do drzwi i spuścił nogi na beton. Branson podtrzymał go, pomagając mu wstać. Po chwili zielone drzwi rozsunęły się i Bishop został wprowadzony do wąskiego, całkowicie pustego pomieszczenia przejściowego, długiego na piętnaście stóp, szerokiego na osiem, na końcu którego znajdowały się drugie zielone drzwi z okienkiem.

Nie było tu żadnych mebli, tylko twarda ławka na całej długości ściany.

- Proszę siadać - powiedział Glenn Branson.
- Wolę postać - odparł buntowniczo Bishop.
- To może chwilę potrwać.

Komórka Bishopa zaczęła dzwonić. Szamotał się przez chwilę, jakby zapominając, że ma skute ręce.

- Czy ktoś mógłby odebrać?
- Obawiam się, że to zabronione, proszę pana - powiedział detektyw Nicholl, wyjmując mu telefon z kieszeni i odrzucając połączenie. Przez chwilę przyglądał się badawczo telefonowi, po czym wyłączył go i zwrócił Bishopowi do kieszeni.

Brian Bishop gapił się na laminowaną informację przyklejoną do ściany czterema paskami skocza. Niebieski napis u góry głosił: Departament Więziennictwa. Poniżej napisane było:

WSZYSCY ZATRZYMANI  
ZOSTANĄ PODDANI PRZESZUKANIU  
PRZEZ FUNKCJONARIUSZA SŁUŻBY WIĘZIENNEJ.  
JEŻELI MASZ PRZY SOBIE PRZEDMIOTY,  
KTÓRYCH POSIADANIE JEST ZABRONIONE,  
ZGŁOŚ TO FUNKCJONARIUSZOM  
SŁUŻBY WIĘZIENNEJ I POLICJANTOM,  
KTÓRZY DOKONALI ARESZTOWANIA.

Następnie przeczytał informację umieszczoną nad drugimi zielonymi drzwiami:

NA TERENIE ARESZTU OBOWIĄZUJE CAŁKOWITY  
ZAKAZ UŻYWANIA TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH.

I trzecią:

JESTEŚ ARESZTOWANY.  
ZA CHWILĘ ZOSTANIESZ PODDANY PROCEDUROM  
POBRANIA ODCISKÓW PALCÓW,  
FOTOGRAFOWANIA I POBRANIA PRÓBKII DNA.

Dwaj detektywi usiedli. Bishop nie. Gotował się ze złości, ale - jak rozumował - miał do czynienia z dwoma robotami. Nic by nie wskórał, tracąc panowanie nad sobą. Na razie trzeba było to jakoś przetrwać.

- Możecie mi powiedzieć, o co tu chodzi? - zwrócił się do nich obu.

W chwili, kiedy mówił, drzwi rozsunęły się. Branson wszedł pierwszy, detektyw Nicholl gestem nakazał Bishopowi iść za nim.

- Tędy proszę.

Bishop znalazł się w dużym, okrągłym pomieszczeniu z podwyższeniem na środku. Przypominało centrum dowodzenia, które mogłoby być scenografią do „Star Treka”, pomyślał, zaskoczony, jak futurystycznie to wygląda. Zbudowane było z lśniącego kompozytu w szare plamki, podobnego do granitowych płyt, które Katie wybrała do ich szaleńczo kosztownej kuchni. Kilkoro mężczyzn i kobiet siedziało przy indywidualnych stanowiskach wokół podwyższenia. Niektórzy byli policjantami, inni funkcjonariuszami służby więziennej, ubranymi w białe koszule mundurowe, z czarnymi epoletami. Pomieszczenie było silnie oświetlone jaskrawym światłem. Wokół znajdowały się ciężkie, zielone drzwi z okienkami wychodzącymi na pomieszczenia przejściowe.

Panowała tu atmosfera spokoju i porządku. Bishop zauważył, że od podwyższenia odchodzą ramiona zapewniające każdemu stanowisku swego rodzaju prywatność. Przy jednym z nich wytatuowany chłopak z ogoloną głową, w luźnym ubraniu stał zniechęcony między dwoma policjantami w mundurach. Wszystko to wydawało się całkowicie surrealistyczne.

Został podprowadzony do centralnej konsoli, wydzielonej przestrzeni z kontuarem na wysokości szyi. Za nim siedział pulchny, ostrzyżony na jeża mężczyzna w zarękawkach. Jego czarny krawat spięty był złotą odznaką Angielskiej Drużyny Rugby, którą jako posiadacz obligacji Twickenham rozpoznał.

Na niebieskim ekranie wideo wbudowanym w ściankę kontuaru nieco poniżej poziomu oczu Bishop przeczytał:

ARESZT ŚLEDZCY W BRIGHTON  
NIE POZWÓL, ŻEBY DOŚCIGNĘŁY CIĘ  
DAWNE PRZESTĘPSTWA. FUNKCJONARIUSZ  
POLICJI BĘDZIE ROZMAWIAŁ Z TOBĄ NA TEMAT  
PRZYZNANIA SIĘ DO INNYCH PRZESTĘPSTW,  
KTÓRE POPEŁNIŁEŚ.

Branson przedstawił funkcjonariuszowi służby więziennej okoliczności aresztowania Bishopa. Mężczyzna w zarękawkach przemówił ze swoich wyżyn bezpośrednio do niego bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem:

- Panie Bishop, jestem oficerem służby więziennej. Słyszał pan, co zostało powiedziane. Uznaję pańskie aresztowanie za zgodne z prawem i konieczne. Zatwierdzam pańskie tymczasowe zatrzymanie w celu zabezpieczenia dowodów, więc może pan zostać przesłuchany na okoliczność oskarżenia.

Bishop skinął głową, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

Funkcjonariusz wręczył mu złożony, żółty arkusz A4 z nagłówkiem „Policja Hrabstwa Sussex, Informacja o przysługujących prawach”.

- To może być dla pana pomocne. Przysługuje panu prawo do przekazania komuś wiadomości o pańskim aresztowaniu oraz do widzenia z adwokatem. Życzy pan sobie obrońcy z urzędu, czy ma pan własnego?

- Czy mógłby pan zadzwonić do pana Glenna Mishona i powiedzieć mu, że nie będę mógł przyjść dziś na obiad?

- Mogę prosić o jego numer?

Bishop podał numer. Potem powiedział:

- Chciałbym rozmawiać z moim adwokatem, Robertem Vernonem z kancelarii „Ellis, Cherril i Ansell”.

- Skontaktuję się z tymi osobami - powiedział funkcjonariusz. - Tymczasem upoważniam oficera, który dokonał aresztowania, detektywa sierżanta Bransona, do przeszukania pana - powiedziałwszy to, wyjął dwie zielone, plastikowe tacki.

Ku swemu przerażeniu Bishop zobaczył, że detektyw sierżant Branson zakłada lateksowe rękawiczki chirurgiczne. Następnie zaczął go oklepywać, poczynając od głowy. Z kieszeni na piersi wyjął mu okulary do czytania i odłożył na jedną z tacek.

- Zaraz! Potrzebuję okularów, nie mogę bez nich czytać! - zaprotestował Bishop.

- Przykro mi, proszę pana - odparł Branson. - Muszę je panu odebrać dla pańskiego własnego dobra.

- Niech pan nie będzie śmieszny!

- Być może na późniejszym etapie służba więzienna zezwoli panu mieć je przy sobie, teraz jednak muszę je oddać do depozytu.

- Nie pieprz głupot! Nie mam zamiaru się zabić! Jak, do cholery, mam przeczytać ten dokument bez okularów? - Zamachał mu przed oczami arkuszem A4.

- Jeżeli ma pan trudności z czytaniem, poproszę kogoś, żeby to panu odczytał na głos.

- Niech pan posłucha, bądźmy rozsądni!

Nie zważając na powtarzane przez Bishopa prośby o zwrot okularów, Branson zabierał mu po kolei klucz do pokoju hotelowego, portfel, telefon komórkowy i BlackBerry, odkładając każdy przedmiot na tackę. Funkcjonariusz służby więziennej spisał je, przeliczył pieniądze w portfelu i osobno zapisał sumę.

Branson zdjął Bishopowi obrączkę ślubną, zegarek od Marca Jacobsa i miedzianą bransoletkę z prawego przegubu i te rzeczy także odłożył na tackę.

Funkcjonariusz podał Bishopowi formularz ze spisem jego rzeczy osobistych i długopis do podpisu.

- Proszę posłuchać - powiedział Bishop, podpisując z wyraźnym ociąganiem. - Chętnie tu jestem, żeby pomóc w śledztwie. Ale to jest śmieszne. Musicie mi zostawić moje narzędzia pracy. Muszę mieć e-mail, telefon i okulary, na litość boską!

Ignorując go, Glenn Branson zwrócił się do oficera:

- Wobec powagi przestępstwa i potencjalnego udziału w nim podejrzanego, wnosimy o zajęcie jego ubrania.

- Tak, zatwierdzam - powiedział officer.

- Co jest, kurwa! - krzyknął Bishop. - Co wy...

Trzymając go z obu stron pod ramiona, Branson i Nicholl wyprowadzili go przez kolejne ciemnozielone drzwi. Szli po pochylni między ciemnymi, kremowymi ścianami z czerwonym paskiem alarmowym, biegnącym wzdłuż ściany po lewej, koło żółtego pachołka z trójkątem ostrzegawczym z czarną sylwetką upadającego człowieka i napisem „Uwaga, sprzątanie”. Potem skręcili za róg, w korytarz, w którym znajdowały się cele.

Na widok rzędu zamkniętych cel Bishop wpadł w panikę.

- Ja... ja mam klaustrofobię... ja...

- Ktoś tu będzie miał pana na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę - powiedział delikatnie Nick Nicholl.

Ustąpili z drogi kobiecie pchającej wózek załadowany książkami w miękkich okładkach, wszystkie z oślimi uszami, i wreszcie zatrzymali się przed celą, której drzwi były uchylone.

Glenn Branson otworzył je szerzej i wszedł do środka.

Nicholl, mocno trzymając Bishopa za ramię, za nim.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Bishopa po wejściu do celi, był agresywny, mdlący zapach środka dezynfekującego. Oszołomiony rozglądał się po małym, podłużnym pomieszczeniu. Patrzył na kremowe ściany, brązową podłogę, taką samą jak w pomieszczeniu przejściowym, twardą ławkę z siedzeniem z takiego samego fałszywego granitu jak podwyższenie, przy którym byli przed chwilą. Leżał na niej cienki, niebieski materac. Patrzył

na zakratowane okno z blinda, niedające żadnego widoku, na lustro obserwacyjne umieszczone poza zasięgiem, na suficie i skierowane na drzwi, na kamerę CCTV, również poza zasięgiem, wycelowaną w niego, jakby był uczestnikiem „Big Brothera”.

Była tam nowocześnie wyglądająca toaleta, też obudowana fałszywym granitem, z deską klozetową i przyciskiem do splukiwania umieszczonym na ścianie oraz zdumiewająco nowocześnie wyglądająca umywalka wykończona tym samym, cętkowanym materiałem. Zauważył kratkę głośnika interkomu z dwoma pokrętłami, otwór wentylacyjny przykryty siatką i szybę w drzwiach.

*Chryste.* Poczul gułę w gardle.

Detektyw Nicholl zaczął rozwijać paczkę, którą przyniósł pod pachą. Bishop zobaczył, że jest to niebieski, papierowy kombinezon. Młody dwudziestoparolatek w białej koszuli z emblematem Służby Więziennej i w czarnych spodniach pojawił się w drzwiach ze stertą brązowych toreb służących do zabezpieczania dowodów. Podał je Bransonowi, który następnie zamknął drzwi celi.

- Panie Bishop - powiedział. - Proszę zdjąć ubranie, łącznie ze skarpetkami i bielizną.

- Żądam mojego adwokata.

- Będzie zawiadomiony. - Wskazał interkom. - Jak tylko oficer służby więziennej dodzwoni się do niego, rozmowa zostanie przełączona tutaj.

Bishop zaczął się rozbierać. Detektyw Nicholl umieszczał każdy fragment garderoby w osobnej torbie, nawet skarpetki dostały każda swoją. Kiedy był już całkiem nagi, Branson podał mu papierowy kombinezon i czarne, wsuwane tenisówki.

Kończył zapinać na sobie kombinezon, kiedy interkom z ostrym trzaskiem ożył i dobiegł z niego spokojny, pewny, ale zatroskany głos Roberta Vernona.

Z mieszaniną ulgi i zażenowania Bishop podszedł bosy do interkomu.

- Robert! Dziękuję, że dzwonicz. Bardzo ci dziękuję.

- Dobrze się czujesz? - spytał prawnik.
  - Nie.
  - Posłuchaj, Brianie, wyobrażam sobie, jakie to dla ciebie nieprzyjemne. Oficer, z którym rozmawiałem, streścił mi pokrótce sprawę, ale oczywiście nie znam wszystkich faktów.
  - Możesz mnie stąd wyciągnąć?
  - Zrobię, co będę mógł, jako twój przyjaciel, ale nie jestem specjalistą w tej dziedzinie prawa, a ty potrzebujesz specjalisty. Nie mamy nikogo takiego w mojej kancelarii. Najlepszy w tych sprawach jest gość, którego znam. Nazywa się Leighton Lloyd. Ma bardzo dobrą opinię.
  - Jak szybko możesz go umówić, Robercie? - Bishop nagle uświadomił sobie, że jest sam w celi, a drzwi są zamknięte.
  - Zaraz spróbuję. Mam nadzieję, że nie jest na wakacjach. Policja chce zacząć cię przesłuchiwać dziś w nocy. Na razie zatrzymali cię do przesłuchania, więc mogą cię trzymać tylko dwadzieścia cztery godziny, z możliwością przedłużenia o dwanaście, jak mi się wydaje. Nie rozmawiaj z nikim, nic nie rób i nie mów, dopóki nie przyjedzie Leighton.
  - A co będzie, jeśli go nie ma? - spytał spanikowany Bishop.
  - Jest paru innych dobrych. Nie martw się.
  - Chcę najlepszego, Robercie. Tylko najlepszego. Pieniądze nieważne. To śmieszne. Nie powinienem tu być. To kompletnie chore. Nie mam pojęcia, o co tu, do cholery, chodzi.
  - Lepiej skończmy, Brianie - powiedział prawnik nieco opryskliwie. - Muszę zadziałać w twojej sprawie.
  - Oczywiście - Bishop podziękował mu i interkom zamilkł.
- Był sam, za zamkniętymi drzwiami.
- W celi panowała zupełna cisza, jakby zamknięty był w kabinie dźwiękoszczelnej.
- Usiadł na niebieskim materacu i wsunął stopy w tenisówki.
- Były za ciasne, piły go w palce. Coś go niepokoiło u Roberta Vernona. Dlaczego nie okazał więcej współczucia? Mówił takim tonem, jakby spodziewał się, że to się stanie.



Dlaczego?

Drzwi otwarły się i zaprowadzono go do pokoju, gdzie go sfotografowano, zdjęto mu odciski palców na elektronicznej podkładce i pobrano wymaz z jamy ustnej do testu DNA. Potem odprowadzono go do celi.

I zostawiono z zamętami w głowie.

## Rozdział 85

Dla niektórych funkcjonariuszy kariera w policji oznacza ciągłe, nie zawsze przewidywalne zmiany. Z dnia na dzień można zostać przeniesionym ze służby mundurowej w rewirze do lokalnej jednostki wsparcia, dokonywać aresztowań i tłumić zamieszki, potem być tajniakiem w brygadzie antynarkotykowej, następnie na lotnisku Gatwick tropić przestępstwa związane z bagażem. Inni znajdują swoją niszę, tak jak wąż jamę albo kałamarnica szczelinę w podwodnej skale, i zostają w niej przez trzydzieści lat do emerytury, złapani na przynętę bardzo przyzwoitej pensji, dziękują bardzo.

Detektyw sierżant Jane Paxton należała do tych, którzy znaleźli swoją niszę i w niej zostali. Była czterdziestoletnią, postawną kobietą o pospolitej twarzy, z prostymi, brązowymi włosami, szorstką i zasadniczą w obejściu. Pracowała jako koordynator przesłuchań.

Kilka lat temu, jak głosiła legenda, zdobyła serca całego żeńskiego personelu Sussex House, kiedy strzeliła Normana Pottinga w pysk. W zależności od tego, kto opowiadał o tym, co zaszło, historia miała z pół tuzina wersji. Według tej, którą słyszał Grace, Potting pod stołem położył jej rękę na udzie podczas spotkania z poprzednim naczelnikiem policji.

Paxton siedziała teraz naprzeciw Grace'a przy okrągłym stole w jego gabinecie. Miała na sobie luźną bluzkę, tak obszerną, że miało się wrażenie, jakby jej głowa wystawała z wierzchołka namiotu. Po obu jej stronach siedzieli Nick Nicholl i Glenn Branson. Paxton piła wodę, trzej

mężczyźni kawę. Była 20.30, poniedziałek i wszyscy czworo wiedzieli, że jeżeli uda im się wyjść z siedziby Wydziału Kryminalnego przed północą, będą się mogli uważać za szczęściarzy.

Podczas gdy Brian Bishop samotnie kontemplował swój pępek w celi aresztu, oczekując przybycia adwokata, zespół opracowywał strategię jego przesłuchania. Branson i Nicholl, którzy przeszli specjalistyczne szkolenie w zakresie technik przesłuchania, mieli przeprowadzić szereg rozmów. Roy Grace i Jane Paxton mieli przyglądać się z pomieszczenia obserwacyjnego.

Podręcznikowa procedura polegała na przeprowadzeniu trzech kolejnych przesłuchań podejrzanego w ciągu dwudziestu czterech godzin dozwolonego tymczasowego zatrzymania. W trakcie pierwszego, jeszcze tego wieczoru, kiedy tylko zjawi się adwokat podejrzanego, mówić będzie głównie Bishop, przedstawiając swoją wersję faktów. Proszony będzie o opowiedzenie swojego życiorysu, opisanie sytuacji rodzinnej i zdanie sprawozdania ze swoich poczynań w ciągu dwudziestu czterech godzin poprzedzających śmierć żony.

Podczas drugiego przesłuchania, następnego dnia rano, zadawane będą konkretne pytania dotyczące tego, co Bishop powiedział na pierwszym przesłuchaniu. Prowadzone będzie w uprzejmym, konstruktywnym tonie, ale przez cały czas przesłuchujący policjanci mają odnotowywać wszelkie niekonsekwencje, jakie wychwycą. Potem dla Bishopa i zespołu nastąpi przerwa, w czasie której zespół będzie miał możliwość dokonać oceny, a po niej, tego samego dnia, trzecie przesłuchanie odbędzie się już bez białych rękawiczek. Jego przedmiotem będzie każda niekonsekwencja czy podejrzenie kłamstwa.

Można było mieć nadzieję, że na koniec tego trzeciego przesłuchania informacje wydobyte od podejrzanego, w połączeniu z wszystkimi zgromadzonymi dowodami - takimi jak w tym przypadku DNA - zostaną uznane przez jednego z prawników Prokuratury Koronnej, mającej siedzibę przy Dyke Road, za wystarczające do ewentualnego skazania, wobec czego podejrzanym zostanie oficjalnie postawiony w stan oskarżenia.

Kluczem do sukcesu każdego przesłuchania jest dobór pytań, które należy zadać i, co bardzo ważne, informacji, które powinno się zataić. Wszyscy byli zgodni co do tego, że wiadomość o zauważeniu bentleya Bishopa, jadącego w kierunku Brighton na krótko przed zabójstwem pani Bishop, trzeba zachować do trzeciego przesłuchania.

Potem dyskutowali przez jakiś czas o tym, kiedy poruszyć kwestię polisy ubezpieczenia na życie. Grace dowodził, że skoro Bishop już był o to pytany i zaprzeczył, żeby cokolwiek wiedział na ten temat, należy wrócić do tej kwestii przy pierwszym przesłuchaniu i zobaczyć, co powie tym razem.

Zgodzono się zaskoczyć go sprawą maski przeciwgazowej w trakcie drugiego przesłuchania. Jane Paxton zasugerowała, żeby włączyć ten wątek w serię konkretnych pytań dotyczących jego pożycia seksualnego z żoną. Pozostali przyznali jej rację.

Grace poprosił Bransona i Nicholla o szczegółową relację na temat zachowania Bishopa w trakcie aresztowania i jego ogólnej postawy.

- Strasznie z niego zimna ryba - powiedział Branson. - Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy przyszliśmy z Nickiem powiedzieć mu, że jego żona nie żyje. - Spojrzał na Nicholla, szukając potwierdzenia. Nicholl skinął głową i Branson mówił dalej: - No dobra, zrobił na początek małą scenę rozpacz, ale wiecie, co powiedział potem? - spojrzał na Grace'a i Paxton. - Powiedział: „To naprawdę nie jest dobry moment, jestem w połowie turnieju golfa”. Macie pojęcie?

- Jak już, to myślę, że ten komentarz działa w drugą stronę - odezwał się Grace.

Wszyscy spojrzeli na nadkomisarza z zainteresowaniem.

- Jak to w drugą stronę? - spytał Branson.

- Z tego, jak go widziałem, Bishop jest za sprytny na taką gruboskórną, potencjalnie obciążającą uwagę - wyjaśnił Grace. - Coś takiego może powiedzieć ktoś kompletnie zdezorientowany. Świadczyłoby to, że autentycznie był w szoku.

- Chcesz powiedzieć, że uważasz, iż jest niewinny? - spytała Jane Paxton.

- Nie. Mówię, że mamy kilka mocnych dowodów przeciwko temu człowiekowi. Póki co, trzymajmy się twardych faktów. Tego rodzaju komentarz może się przydać w trakcie procesu. Oskarżyciel może to wykorzystać, żeby przekonać sąd o winie Bishopa. Nie powinniśmy poruszać tej sprawy przy przesłuchaniach, ponieważ wtedy prawdopodobnie powiedziałby, że źle go zrozumieliście, i stracilibyśmy efekt zaskoczenia.

- Słuszna uwaga - powiedział Nick Nicholl i ziewnął, za co natychmiast przeprosił.

Grace zdawał sobie sprawę, że okrucieństwem jest trzymać tu Nicholla do późna, kiedy w domu ma małe dziecko, ale nie był to jego problem. Nicholl doskonale nadawał się na łagodnego faceta stanowiącego przeciwwagę dla twardego Bransona w trakcie tych trzech przesłuchań.

- Następnym punktem mojej listy jest związek Bishopa z Sophie Harrington - powiedziała Jane Paxton.

- Zdecydowanie trzecie przesłuchanie - stwierdził Grace.

- Nie, myślę, że powinniśmy to poruszyć w drugim - odparł Branson. - Moglibyśmy jeszcze raz zapytać, czy ją znał, a jeżeli tak, to co go z nią łączyło. To, czy będzie nadal zaprzeczał, że ją znał, czy nie, byłoby sprawdzianem jego prawdomówności. Tak?

- Słusznie - powiedział Grace. - Ale on będzie wiedział, że analizowaliśmy jego połączenia telefoniczne, więc musiałby być głupi, żeby zaprzeczać, że ją znał.

- Tak, jednak uważam, że warto go o to zapytać w drugim przesłuchaniu - nalegał Branson. - Myślę sobie tak: mamy świadka naprzeciwko domu Sophie Harrington, który zidentyfikował go tam w czasie zbliżonym do czasu zabójstwa. W zależności od tego, jak odpowie na pytanie o telefon w drugim przesłuchaniu, możemy to wyciągnąć w trzecim.

Grace spojrział na Jane Paxton. Kiwnęła głową, wyrażając zgodę.

- W porządku - powiedział Grace. - Dobry pomysł.

Zadzwoił jego telefon służbowy. Wstał od stołu i podszedł do biurka, żeby odebrać.

- Roy Grace?

Słuchał przez parę chwil, po czym powiedział:

- Świetnie. Dziękuję. Będziemy gotowi.

Odłożywszy słuchawkę, wrócił do stołu.

- Adwokat Bishopa będzie tu o 21.30. - Zerknął na zegarek. - Za czterdzieści pięć minut.

- Kto to jest? - chciała wiedzieć Jane Paxton.

- Leighton Lloyd.

- Jasne. - Branson wzruszył ramionami. - Kto jeszcze?

Skupili się na tym, co dokładnie powiedzieć Lloydowi na tym etapie, a czego mu nie mówić. Potem we czworo wyszli z budynku i skrótem przez krzaki na tyłach szybkim krokiem przeszli do supermarketu ASDA, żeby złapać po kanapce na kolację.

Dziesięć minut później, kiedy już wrócili tą samą drogą, Branson i Nicholl przeszli boczną furtką do bloku aresztanckiego.

Tam zaprowadzono ich do pokoju przesłuchań, gdzie mieli zapoznać adwokata Bishopa z sytuacją i powodem jego aresztowania. Dopiero potem Bishop miał zostać doprowadzony na przesłuchanie.

Jane Paxton i Grace rozeszli się do swoich gabinetów. Grace zamierzał wykorzystać te pół godziny na załatwienie kilku e-maili. Usiadł za biurkiem i zadzwoniwszy do Cleo, dowiedział się, że wciąż jest w pracy, w kostnicy.

- To ty, cześć! - powiedziała, wyraźnie zadowolona, że go słyszy.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Jestem wykończona. Ale miło, że dzwonisz.

- Lubię twój głos, kiedy jesteś zmęczona. Robi się wtedy trochę schrypnięty, jest słodki!

- Nie myślałbyś tak, gdybyś mnie widział. Czuję się, jakbym miała sto lat. A co u ciebie? Co się dzieje?

Streścił jej krótko, mówiąc, że pewno skończy dopiero koło północy, i spytał, czy miałaby ochotę, żeby do niej wtedy przyszedł.

- Bardzo bym chciała się z tobą zobaczyć, kochany, ale jak tylko stąd wyjdę, mam zamiar wziąć kąpiel i paść do łóżka. Co byś powiedział na to, żeby przyjść jutro?

- Brzmi jak bardzo dobra propozycja!

- Czy ty się dobrze odżywasz? - spytała nagle po macierzyńsku. - Jadłeś jakiś obiad?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział wymijająco.

- Gorący kubek z makaronem z ASDA?

- Kanapkę - wyznał.

- To niezdrowe! Co za kanapkę?

- Z wołowiną.

- Boże, Roy. Tłuste mięso i węglowodany!

- W środku był listek sałaty.

- Och, w takim razie wszystko w porządku - powiedziała sarkastycznie. Wtem w jej głosie zabrzmiał niepokój: - Możesz poczekać sekundkę? Ktoś jest przed budynkiem.

- Kto tam z tobą jest?

- Nikt. Jestem sama. Darren i Walter, biedacy, byli tu od 4.00. Jakiś czas temu odesłałam ich do domu. Tylko sprawdzę, dobrze? Oddzwonię do ciebie za chwilę.

Rozłączyła się.

## Rozdział 86

*Dziś rano dostałem list od kogoś, kto podpisał się jako Lawrence Abramson z kancelarii prawniczej „Harbottle i Lewis” w Londynie.*

*Naprawdę bardzo nieprzyjemny list.*

*Ostatnio pisałem do człowieka, który wygląda zupełnie jak ja i który założył tamtą firmę. Zasugerowałem, że ponieważ to był mój pomysł - i mam wszystkie dokumenty od mojego agenta patentowego, pana Christophera Petta z „Frank B. Dehn i Syn”, które tego dowodzą - powinien płacić mi tantiemy od swoich przychodów.*

*Pan Abramson grozi, że uzyska dla mnie sądowy zakaz, jeżeli jeszcze kiedykolwiek będę niepokoić jego klienta.*

*Jestem naprawdę bardzo zły.*



## Rozdział 87

Leighton Lloyd wyglądał tak, jakby miał za sobą ciężki dzień. Roztaczając słabą woń dymu tytoniowego, siedział w tym pozbawionym okien i powietrza, ciasnym pokoju przesłuchań, ubrany w wyglądający na drogi, ale wygnieciony, szary garnitur i kremową koszulę z szykownym, jedwabnym krawatem. Ze znoszonej, skórzanej aktówki stojącej koło niego na podłodze wydobył czarny notes A4 w linie.

Lloyd był chudym, żyłastym mężczyzną z krótko przyciętymi włosami i czujną, drapiezną twarzą. Bransonowi przypominał trochę aktora Roberta Carlyle'a w roli złooczyńcy z filmu o Bondzie „Świat to za mało”. Bransona bawiło porównywanie wszystkich prawników z filmowymi złooczyńcami - okazało się, że pomaga mu to nie dać się im zastraszyć, zwłaszcza w krzyżowym ogniu pytań obrońców, podczas składania zeznań w sądzie.

Wielu policjantów jest w dobrych stosunkach z prawnikami.

Z łatwością sobie z nimi radzą, mówiąc, że to wszystko jest gra, w której czasami są górą, a czasami przegrywają. Dla Bransona jednak było to coś bardziej osobistego. Wiedział, że w sprawach karnych obrońcy z urzędu i adwokaci wykonują tylko swoją pracę i stanowią istotną część systemu wolności narodu brytyjskiego. Tylko że przez niemal dziesięć lat przed wstąpieniem do policji, po kilka nocy w tygodniu pracował w tym mieście jako bramkarz w nocnym klubie. Widział i miał do czynienia z prawie każdym rodzajem szumowin, jakie można sobie wyobrazić; od pijanych awanturników, przez zwykłych gangsterów, po bardzo sprytnych

przestępców. Czuł się w obowiązku starać się, aby dla jego dzieci to miasto stało się lepszym miejscem niż było dla niego, kiedy był dzieckiem. To był jego problem z facetem, którego miał teraz przed sobą - w sztywnym na miarę garniturze i czarnych mokasynach z frędzelkami, z przedłużeniem kutasa w postaci bmw zaparkowanego od frontu i bez wątpienia ze szpanerskim, wolno stojącym domem przy którejś z szykowniejszych ulic Hove, a wszystko zapłacone z grubych honorariów za trzymanie skurwysynów z dala od więzienia, a co za tym idzie, na ulicach.

Nastroju Bransona nie poprawiła wściekła kłótnia z żoną, Ari, prowadzona przez telefon komórkowy w drodze do budynku aresztu. Zadzwonił, żeby powiedzieć dzieciom dobranoc, a ona wytknęła mu jadowicie, że śpią już od jakiegoś czasu. Jego odpowiedź, że to nic zabawnego wciąż być w pracy o 21.00, spotkała się z erupcją sarkazmu. Rozmowa sprowadziła się do pyskówki zakończonej przez Ari rzuceniem słuchawki.

Nick Nicholl zamknął drzwi, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Bransona. Lloyd zasiadł u szczytu stołu, jakby z rozmysłem wybierając układ sceny mający od początku zaznaczyć jego pozycję.

Prawnik zapisał coś długopisem w czarnym notesie.

- A zatem, panowie, jakie macie dla mnie informacje? - energicznie i konkretnie przystąpił do rzeczy, tonem grzecznym, ale pewnym.

Nad ich głowami klimatyzacja zaczęła hałaśliwie tłoczyć zimne powietrze.

Lloyd denerwował Bransona. Detektyw umiałby poradzić sobie z brutalną siłą, to nie stanowiło dla niego problemu, ale podstępni intelektualiści zawsze wytrącali go z równowagi.

W dodatku Lloyd obserwował każdego z nieodgadzionym, niedającym się odczytać wyrazem twarzy. Mówił wolno, artykułując wyraźnie każde słowo, jakby zwracał się do dziecka, zastanawiając się nad doborem następnego.

- W ciągu ostatnich czterech dni rozmawialiśmy z panem Bishopem,

co uzna pan za normalne w tych okolicznościach, aby uzyskać ogólne informacje dotyczące jego i jego żony. Udzielono nam pewnych informacji na temat tego, co robił i gdzie był w przedziale czasowym, w którym dokonano zabójstwa. Poruszmy te kwestie w trakcie przesłuchania.

- W porządku - powiedział Leighton Lloyd z lekkim zniecierpliwieniem, jakby sygnalizując, że nie znalazł się tu, aby wysłuchiwać gładzenia. - Czy możecie mnie wprowadzić w powody, dla których mój klient został aresztowany?

Branson podał mu przygotowany dokument Wstępnego Przedstawienia Dowodów.

- Zechce pan to przeczytać. Odpowiemy na wszelkie pytania, jakie się panu nasuną.

Lloyd sięgnął przez blat, wziął do ręki krótki dokument sporządzony na pojedynczym arkuszu A4 i przeczytał go po cichu.

Potem niektóre fragmenty odczytał na głos:

- Prawdopodobne uduszenie przez zadziergnięcie jest przedmiotem dalszych badań patologicznych... Jesteśmy w posiadaniu pewnego dowodu DNA, ta kwestia będzie przedmiotem części przesłuchania. - Na moment podniósł wzrok na obu policjantów, po czym dalej czytał głośno, teraz pytającym tonem: - Mamy powody uważać, że pan Bishop nie mówił całej prawdy. Z tego powodu zamierzamy zadać mu pewne pytania po udzieleniu pouczenia.

Prawnik odłożył arkusz na stół.

- Może pan rzucić trochę światła na ten dokument? - spytał Branson.

- Ile informacji pan posiada? - odpowiedział pytaniem Branson.

- Bardzo niewiele. Oczywiście śledziłem sprawę zabójstwa pani Bishop w gazetach i w telewizji, ale nie rozmawiałem jeszcze z moim klientem.

Przez następne dwadzieścia minut Lloyd przepytывał policjantów. Zaczął od pytań o sprzątaczkę i szczegóły dotyczące miejsca zbrodni. Glenn Branson udzielił mu absolutnego minimum informacji. Tyle, ile

uznał za niezbędne. Nakreślił okoliczności znalezienia zwłok Katie Bishop, podał oszacowany przez patologa czas śmierci, ale nie ujawnił informacji o masce przeciwgazowej. Zdecydowanie odmówił też wszelkich informacji na temat dowodu DNA.

Na koniec prawnik usiłował sprytnie wydobyć z Bransona, dlaczego uważają, że Brian Bishop nie mówił prawdy. Branson nie dał się na to złapać.

- Czy mój klient przedstawił wam alibi? - spytał.
- Owszem, przedstawił - odparł Branson.
- I prawdopodobnie nie usatysfakcjonowało was ono.

Detektyw zawahał się, po czym powiedział:

- Tym zajmiemy się w procesie przesłuchania.

Lloyd znów coś zapisał długopisem w notatniku. Potem uśmiechnął się do Bransona.

- Czy jest coś jeszcze, co mógłby mi pan powiedzieć na tym etapie?

Branson spojrział na Nicholla i pokręcił głową.

- Dobrze. Chciałbym się teraz zobaczyć z moim klientem.

## Rozdział 88

Na zewnątrz było już prawie zupełnie ciemno. Roy Grace w roztargnieniu przebiegał wzrokiem strona po stronie na ekranie hasłowe streszczenia raportów z dzisiejszych zajęć, szukając czegoś, co mogłoby mieć jakiś związek z jedną lub drugą sprawą. Niczego nie znalazł. Przejrzał zawartość swojej skrzynki e-mailowej, wyrzucił te wiadomości, które już przekopiował, i wysłał kilka szybkich odpowiedzi. Potem spojrzął na zegarek. Minęło piętnaście minut od czasu, kiedy Cleo powiedziała, że zaraz oddzwoni.

Poczuł nagły skurcz niepokoju w żołądku na myśl o tym, jak bardzo mu na niej zależy i że nie zniósłby, gdyby coś jej się stało. Jak przez wiele lat Sandy, tak teraz Cleo zaczynała być skałą, do której przycumowane było jego życie. Dobrą, solidną, piękną, zabawną, kochającą, troskliwą i mądrą skałą. Czasami jednak w cieniu, a nie w słońcu.

*Roy, to nie jest kobieta, którą widzieliśmy z Lesley w zeszłym tygodniu. Naprawdę jesteśmy przekonani, że widzieliśmy Sandy. Pozdrawiam, Dick.*

Boże, pomyślał, o ile prościej byłoby, gdyby Dick odpowiedział, że tak, to właśnie tę kobietę widzieli. Nie byłoby to zamknięcie sprawy, jakiego szukał, ale przynajmniej mógłby zamknąć rozdział Monachium. A tak ciągnęło go, żeby znów tam pojechać. W tej chwili jednak nie był w stanie o tym myśleć. Pamiętał tylko z całą ostrością, że wczoraj jakiś sukinsyn rozciął dach mg Cleo. W biały dzień, przed kostnicą.

To miejsce przyciągało wszelkiego rodzaju dziwadła i świry, których w Brighton było więcej niż wypadaloby ze statystyki. Wciąż trudno mu było zrozumieć, jak ona może lubić swoją pracę. Z pewnością można się przyzwyczaić prawie do wszystkiego. Ale to nie znaczy, że można *polubić* wszystko.

Na ulicach miasta dachy samochodów rozcinają albo ci, którzy chcą się włamać i coś ukraść, albo chcący się popisać chuligani, naćpani czy pijani, którzy późną nocą przechodzili obok. Ludzie nie *przechodzą obok* kostnicy, zwłaszcza nie w upalne, niedzielne popołudnie. Z samochodu niczego nie ukradziono. Był to po prostu paskudny, złośliwy akt wandalizmu, prawdopodobnie dokonany z zazdrości przez jakąś szumowinę.

Tylko czy ten ktoś jest przed kostnicą teraz?

Zadzwoń do mnie. Proszę, zadzwoń.

Otworzył załącznik i próbował przeczytać program tegorocznego sympozjum Międzynarodowego Stowarzyszenia Oficerów Dochodzeniowych ds. Zabójstw, które miało się odbyć w Nowym Orleanie już za kilka tygodni. Nie mógł się skoncentrować.

Wtem zadzwonił jego telefon. Chwytnąjąc go, wykrzyknął z ulgą:

- Cześć!

Ale to dzwoniła Jane Paxton, żeby mu powiedzieć, że Bishop za chwilę spotka się ze swoim adwokatem, a ona idzie do pomieszczenia obserwacyjnego w areszcie. Zasugerowała, żeby zjawił się tam za dziesięć minut.

## Rozdział 89

Brian Bishop, sam w swojej cichej celi, siedział zgarbiony na krawędzi ławki, która była również łóżkiem. Nie pamiętał, żeby w całym swoim życiu kiedykolwiek czuł się tak zgnębiony. Wyglądało na to, że został pozbawiony połowy swojego świata, a druga połowa zwróciła się przeciwko niemu. Nawet delikatny, nieoceniający Robert Vernon brzmiał przez telefon dużo mniej przyjaźnie niż zwykle. Dlaczego? Czy rozeszła się pogłoska, że coś jest z nim nie w porządku i lepiej trzymać się od niego z daleka? Że jest trędowaty?

Czy Glenn i Barbara będą następni? A inna para, z którą on i Katie często się widywali, Ian i Terrina? A reszta osób, które kiedyś uważał za swoich przyjaciół?

Niebieski, papierowy kombinezon uwierał go pod pachami, palcami stóp ledwo mógł ruszać w ciasnych tenisówkach, ale było mu wszystko jedno. To jakiś zły sen, z którego obudzi się już niedługo, Katie, uśmiechnięta, będzie siedzieć przy nim w łóżku, czytając plotkarską rubrykę w „Daily Mail”, od której zawsze zaczynała, z filiżanką herbaty stojącą obok.

W rękach trzymał żółty arkusz, który mu dano, i mrużąc oczy bez okularów, usiłował czytać zamazane słowa.

POLICJA HRABSTWA SUSSEX  
INFORMACJA O PRZYSŁUGUJĄCYCH PRAWACH  
PAMIĘTAJ O SWOICH PRAWACH

Drzwi celi otwały się nagle i stanął w nich mężczyzna około trzydziestki, o ziemistej twarzy, bez szyi, o posturze żelkowego ludzika, który sprawiał wrażenie, jakby kiedyś ćwiczył na siłowni, ale ostatnio pozwolił swoim mięśniom zamienić się w tłuszcz. Ubrany był w mundur służby więziennej, składający się z białej koszuli z emblematem i czarnymi epoletami, czarnego krawata i czarnych spodni, w czym pocił się obficie.

Mówił grzecznie, nieco piskliwym głosem, unikając kontaktu wzrokowego, jakby taka była standardowa praktyka zwracania się do mętów.

- Panie Bishop, jest tu pański adwokat. Zaprowadzę pana do niego. Proszę iść przede mną.

Bishop szedł zgodnie z udzielanymi mu zza pleców wskazówkami przez puste, kremowe korytarze, w których jedyną ulgą dla wzroku był ciągnący się wzdłuż ściany czerwony pasek alarmowy w metalowej oprawie. Doszedł tak do pokoju przesłuchań, który Branson i Nicholl chwilowo opuścili, aby mógł się spotkać w cztery oczy ze swoim adwokatem.

Leighton Lloyd uściśnął mu dłoń i wskazał krzesło. Zanim sam usiadł, sprawdził, czy cała aparatura rejestrująca i monitorująca jest wyłączona.

- Dziękuję, że pan przyjechał - powiedział Bishop.

Prawnik uśmiechnął się do niego współczująco i Bishop poczuł nagły przypływ sympatii do niego, choć zdawał sobie sprawę, że w tej chwili poczułby sympatię do Attyli, wodza Hunów, gdyby ten przybył mu na pomoc.

- To moja praca - powiedział Lloyd. - A zatem, czy był pan dobrze traktowany?

- Nie bardzo mam porównanie - odparł Bishop, siłąc się na dowcip, który prawnik puścił mimo uszu. - Prawdę mówiąc, jedna sprawa mnie złości. Zabrali mi okulary do czytania.

- Obawiam się, że to normalne.

- A to dobre. Więc gdybym miał szkła kontaktowe, mógłbym je zatrzymać, ale ponieważ wolę okulary, nie mogę teraz nic przeczytać.



- Zrobię, co w mojej mocy, żeby zwrócono je panu jak najszybciej. - Zapisał w notesie. - Tak. Panie Bishop, zdaję sobie sprawę, że jest późno i jest pan zmęczony. Policja chce przeprowadzić jedno przesłuchanie jeszcze dziś. Postaramy się, żeby było jak najkrótsze. Kontynuacja jutro rano.

- Jak długo tu będę? Może mnie pan wydostać stąd za kaucją?

- O kaucję mógłbym wystąpić, gdyby był pan oskarżony. Policja ma prawo trzymać pana bez postawienia w stan oskarżenia przez dwadzieścia cztery godziny, a następnie uzyskać przedłużenie na dalsze dwanaście. Potem muszą pana zwolnić, oskarżyć albo zwrócić się do sądu o więcej czasu.

- Więc mogę tu być do środy rano?

- Tak, obawiam się, że tak.

Bishop zamilkł.

Lloyd pokazał mu arkusz papieru.

- Ten dokument nazywa się Wstępne Przedstawienie Dowodów. Jest to streszczenie informacji, jakie policja gotowa jest nam ujawnić na tym etapie. Skoro ma pan problem z czytaniem, życzy pan sobie, żebym to odczytał na głos?

Bishop kiwnął głową. Czuł się chory i tak wyczerpany, że nawet nie chciało mu się mówić.

Prawnik odczytał treść dokumentu, uzupełniając odrobiną dodatkowych informacji, które udało mu się wycisnąć z Bransona.

- Czy to wszystko jest jasne? - spytał, kiedy skończył.

Bishop znów skinął głową. Słowa, które usłyszał, sprawiały, że było jeszcze gorzej. Zapadały mu głęboko w duszę jak czarne kamienie. Jego przygnębienie nasiliło się. Czuł się tak, jakby siedział na dnie najgłębszego na świecie szybu kopalnianego.

Przez następne kilka minut prawnik zapoznał go z pytaniami, jakie prawdopodobnie padną w trakcie pierwszego przesłuchania, i poinstruował go, jak ma na nie odpowiadać. Radził mu być oszczędnym w słowach, okazywać chęć współpracy, ale udzielać krótkich odpowiedzi. Sam miał

wkroczyć, gdyby któryś z nich uznał jakieś pytanie za nieodpowiednie. Spytał też Bishopa o zdrowie, czy jest przygotowany na czekającą go przeprawę, czy nie ma potrzeby zobaczyć się z lekarzem, czy bierze jakieś leki.

Bishop powiedział mu, że czuje się dobrze.

- I ostatnie pytanie, które muszę panu zadać - powiedział Leighton Lloyd. - Czy zamordował pan swoją żonę?

- Nie. Absolutnie nie. To śmieszne. Kochałem ją. Czemu miałbym ją zabijać? Nie, nie zrobiłem tego. Naprawdę nie. Musi mi pan uwierzyć. Zupełnie nie wiem, o co tu chodzi.

Prawnik uśmiechnął się.

- W porządku. To mi wystarczy.

## Rozdział 90

Grace szedł asfaltem dzielącym tylne wyjście Sussex House od aresztu, mijając rząd śmietników na kółkach, a w głowie kłębiły mu się mroczne myśli. Telefon komórkowy trzymał przy uchu, niepokój coraz bardziej ścisnął go za gardło, powodował suchość w ustach. To już dwadzieścia minut. Dlaczego Cleo nie oddzwania? W jej komórce znów od razu odezwała się poczta głosowa, więc wybrał numer kostnicy. Tak jak poprzednio, po czwartym dzwonku zgłosiła się automatyczna sekretarka. Korciło go, żeby wskoczyć do samochodu i jechać tam, to jednak byłoby nieodpowiedzialne. Musiał być tutaj i bacznie obserwować całe przesłuchanie.

Zadzwonił więc do centrum dyspozycyjnego i wyjaśnił dyspozytorowi, kim jest i co go niepokoi. Z ulgą usłyszał, że w tej części miasta znajduje się akurat jednostka patrolowa, która zostanie natychmiast skierowana do kostnicy. Poprosił dyspozytora, żeby do niego oddzwonił, kiedy wóz patrolowy dotrze na miejsce, albo kazał któremuś z policjantów z patrolu zadzwonić bezpośrednio do niego i powiedzieć mu, jaką zastali sytuację.

Miał złe przecucia. Naprawdę złe. Chociaż wiedział, że Cleo zawsze zamyka drzwi kostnicy i że są tam kamery, nie podobało mu się, że jest tam sama w nocy. Zwłaszcza po tym, co się wydarzyło wczoraj.

Przystawiwszy swoją kartę do szarego oka systemu Interflex przy drzwiach, wszedł do budynku aresztu, przeszedł przez centralne pomieszczenie z podwyższeniem, przy którym, jak zwykle, odbywała się procedura przyjmowania jakiegoś męta - tym razem był to chudy chłopak,

rastafarianin w brudnej podkoszulce bez rękawów, spodniach w panterkę i sandałach - i za wewnętrznymi drzwiami otwieranymi za pomocą karty wszedł po schodach na pierwsze piętro.

Jane Paxton już siedziała w małym pomieszczeniu obserwacyjnym przed kolorowym monitorem, który był włączony, ale nie pokazywał obrazu. Rozmowa Briana Bishopa z adwokatem miała charakter poufny, więc kamery i mikrofony były wyłączone do czasu oficjalnego rozpoczęcia przesłuchania. Paxton rozsądnie przyniosła dla siebie i Grace'a po butelce wody. Grace położył swój notes na blacie przed pustym krzesłem i poszedł do małej kuchenki na końcu korytarza, gdzie zrobił sobie kubek mocnej kawy. Tania kawa w dużej puszcze stała tam chyba od jakiegoś czasu, bo zwietrzała. Jakiś dureń zostawił na wierzchu mleko, które skwaśniało, więc Grace musiał się zadowolić czarną kawą.

Kiedy wrócił ze swoim kubkiem do pokoju, zapytał:

- Nie masz ochoty na herbatę czy kawę?
- Nie *używam* - odpowiedziała Paxton sztywno, z lekką przyganą w głosie, jakby właśnie zaproponował jej jakiś twardy narkotyk.

W chwili, gdy stawiał kubek, z głośnika dobiegł trzask, a monitor zamigotał. Teraz pokazywał czterech mężczyzn w pokoju przesłuchań: Bransona, Nicholla, Bishopa i Lloyd'a. Trzech z nich zdjęło marynarki. Obaj detektywi mieli krawaty, ale rękawy koszul podwinęli.

W pomieszczeniu obserwacyjnym były do wyboru dwie kamery i Grace przełączył na tę, która lepiej pokazywała twarz Bishopa.

Zwracając się do Bishopa i zerkając chwilami na jego adwokata, Glenn Branson wygłosił standardową kwestię rozpoczynającą wszystkie przesłuchania podejrzanych:

- To przesłuchanie jest rejestrowane na taśmie magnetofonowej i wideo i może być monitorowane z zewnątrz.

Grace uchwycił w przelocie jego zuchwałe, skierowane w górę spojrzenie.

Branson powtórzył Bishopowi formułę pouczenia, na co tamten skinął głową.

- Jest 22.15, poniedziałek, 7 sierpnia - kontynuował. - Mówi detektyw sierżant Branson. Proszę każdego z obecnych o przedstawienie się dla potrzeb nagrania.

Brian Bishop, Leighton Lloyd i detektyw Nicholl przedstawili się. Kiedy skończyli, Branson mówił dalej:

- Panie Bishop, czy może pan opowiedzieć jak najbardziej szczegółowo, co pan robił w czasie dwudziestu czterech godzin, do momentu, kiedy ja i detektyw Nicholl spotkaliśmy się z panem w Klubie Golfowym w Północnym Brighton w piątek rano?

Grace przyglądał się uważnie, kiedy Brian Bishop składał zeznanie. Na wstępie powiedział, że zazwyczaj jeździ pociągiem do Londynu wcześniej rano w poniedziałek, spędza samotnie tydzień w swoim mieszkaniu przy Notting Hill, pracuje do późna, często ma wieczorami spotkania i wraca do Brighton w piątek wieczorem na weekend. W zeszłym tygodniu, z powodu turnieju golfa rozpoczynającego się w piątek, wcześniej rano i będącego częścią obchodów stulecia klubu, pojechał do Londynu w niedzielę wieczorem samochodem, aby móc nim przyjechać prosto do klubu w piątek rano.

To odstępstwo Bishopa od rutyny Grace odnotował.

Bishop zrelacjonował przebieg swojego dnia pracy w biurze swojej firmy International Rostering Solutions PLC przy Hanover Square aż do wieczora, kiedy to przespacerował się na Piccadilly, żeby się spotkać z doradcą finansowym Philem Taylorem na kolacji w restauracji Wolseley.

Phil Taylor, jak wyjaśnił, sporządził jego osobisty, roczny plan podatkowy. Po kolacji wrócił do swojego mieszkania trochę później, niż zamierzał, wypiłszy trochę więcej alkoholu, niż chciał. Spał źle, co tłumaczył częściowo efektem dwóch dużych espresso i brandy, a częściowo obawą, że zaśni i nazajutrz rano spóźni się do klubu golfowego.

Trzymając się ściśle swojego scenariusza, Branson powtórzył relację Bishopa, zadając gdzieniegdzie szczegółowe pytania, zwłaszcza dotyczące osób, z którymi rozmawiał w ciągu dnia. Spytał, czy pamięta, żeby rozmawiał

z żoną. Bishop potwierdził, mówiąc, że koło 14.00 po południu Katie zadzwoniła do niego, ponieważ chciała omówić zakup pewnych roślin do ogrodu, jako że na początek września planowany był niedzielny lunch w ogrodzie dla kadry kierowniczej jego firmy.

Bishop dodał, że kiedy wrócił do domu po kolacji z Philem Taylorem, zadzwonił do British Telecom i zamówił budzenie na 5.30.

Grace był w połowie zapisywania tej informacji, kiedy zadzwoniła jego komórka. Jakiś, sądząc po głosie, młody policjant przedstawił się jako posterunkowy David Curtis i poinformował go, że patrol znajduje się przed Kostnicą Miejską w Brighton i Hove, że światła są pogaszone i wygląda, że panuje spokój i porządek.

Grace wyszedł z pokoju, po czym zapytał policjanta, czy widzi przed budynkiem niebieskie, sportowe mg. Posterunkowy Curtis oznajmił, że parking jest pusty.

Grace podziękował mu, rozłączył się i natychmiast wybrał domowy numer Cleo. Odebrała po drugim dzwonku.

- Cześć! - powiedziała wesoło. - Jak leci?

- Nic ci nie jest? - spytał, czując niewyobrażalną ulgę na dźwięk jej głosu.

- Mi? Czuję się świetnie! W ręku mam kieliszek wina i zaraz dam nura do wanny! - wymruczała sennie. - A ty jak się masz?

- Odchodziłem od zmysłów z niepokoju.

- Dlaczego?

- Dlaczego?! Jezu! Przecież powiedziałaś, że ktoś się kręci koło kostnicy. Miałaś zaraz do mnie oddzwonić! Byłem... myślałem...

- To tylko jakaś para pijaczków - powiedziała. - Szukali cmentarza Woodvale. Coś tam bełkotali, że chcą złożyć uszanowanie mamusi.

- Nie rób mi tego!

- Czego? - spytała niewinnie.

Pokręcił głową, uśmiechając się z ulgą.

- Muszę wracać.

- Pewnie, że musisz. Jesteś ważnym detektywem i pracujesz nad wielką sprawą.

- A ty teraz grzecznie zrobisz siusiu.

- Już zrobiłam, jak tylko wróciłam do domu. Teraz wezmę kąpiel. Pa, pa, dobranoc!

Z uśmiechem wrócił do pomieszczenia obserwacyjnego, podniecony, ale spokojny.

- Coś straciłem? - spytał Jane Paxton.

Pokręciła głową.

- Branson jest dobry - stwierdziła.

- Powiedz mu to potem. On potrzebuje wsparcia. Jego ego zostało sprowadzone do parteru.

- O co chodzi z wami, mężczyznami i ego? - zapytała.

Grace popatrzył na jej głowę wystającą z namiotu bluzki, na jej podwójny podbródek, przypląszczone włosy, a potem na obrączkę ślubną i pierścionek z pojedynczym kamieniem szlachetnym na jej krótkim, grubym palcu.

- Twój mąż nie ma ego?

- O, nie śmiałyby.

# Rozdział 91

Miliarder Czasu wiedział wszystko o „pigułkach szczęścia”. Nigdy jednak nie wziął ani jednej. Nie potrzebował. No bo kto potrzebuje „pigulek szczęścia”, kiedy wraca do domu w poniedziałek wieczorem i znajduje pod drzwiami dostarczony przez listonosza podręcznik serwisowy do sportowego MG TF z 2005 roku, zamówiony w sobotę?

Ten model wytwarzano w ostatnim roku, zanim MG zaprzestało produkcji i zostało kupione przez chińską firmę. Tym modelem jeździ Cleo Morey. Ciemnoniebieskim. Teraz przykrytym twardym dachem, pomimo palącego upału, ponieważ jakiś wandal rozciął płócienny dach nożem. Co za sukinyń! Co za gnojek! Co za cholerny barbarzyńca!

W dodatku jest wtorek rano! Jeden z tych dni, kiedy głupia, burkliwa sprzątaczką, mająca niewdzięczną córkę, nie przychodzi! Sama mu to powiedziała wczoraj.

A najlepsze jest to, że Brian Bishop został aresztowany. To wiadomość z pierwszej strony porannego wydania „Argusa”. Mówili o tym w lokalnym radiu! Na pewno będzie o tym w wiadomościach w lokalnej telewizji. Może nawet w ogólnokrajowym serwisie informacyjnym! Co za radość! Fortuna kołem się toczy! Jak koła samochodu! Samochodu Cleo Morey!

Cleo Morey ma najlepszy z najlepszych, TF 160 z systemem sterowania fazami rozrządu. Słuchał teraz słodkiego dźwięku jego 1,8-litrowego silnika w chłodnym, wczesnoporannym powietrzu. O 8.00. Wcześniej zaczyna pracę i późno kończy, musiał jej to przyznać.



Właśnie ruszyła ze swojego miejsca parkingowego i jechała ulicą, za długo przetrzymując samochód na pierwszym biegu, ale może podobało jej się dźwięczne parkotanie wydechu.

Dostanie się przez frontową bramę na dziedziniec osiedla, na którym mieszkała Cleo Morey, nie wymagało wysiłku umysłowego. To tylko cztery cyfry kodu. Z łatwością je podpatrzył, obserwując przez lornetkę, z zacisza swojego samochodu, innych mieszkańców wracających do domu.

Dziedziniec był pusty. Gdyby jakiś wścibiśki sąsiad wyglądał zza żaluzji, zobaczyłby tego samego co wczoraj, porządnie ubranego mężczyznę z podkładką do papierów i emblematem firmy energetycznej na kieszeni kurtki i uznałby, że przyszedł ponownie sprawdzić licznik gazu, albo coś w tym rodzaju.

Jego dopiero co dorobiony klucz lekko przekręcił się w zamku. Dzięki Bogu! Wszedł do środka, do dużej, otwartej przestrzeni na dole i zamknął za sobą drzwi. Ciska pachniała politurą do mebli i świeżo mieloną kawą. Słychać było ciche buczenie lodówki.

Rozglądał się wokół, chłonąc wszystko wzrokiem. Wczoraj nie miał na to czasu, przez tę naburmuszoną kobietę siedzącą mu na karku. Widział kremowe ściany obwieszane abstrakcyjnymi obrazami, których nie rozumiał. Nowoczesne dywany rzucone na lśniącą, dębową podłogę. Dwie czerwone sofy, czarne, lakierowane meble, wielki telewizor, drogi sprzęt stereo. Czasopismo „Sussex Life” na podręcznym stoliku. I niezapalone świece. Dziesiątki świec. Dziesiątki i jeszcze dziesiątki cholernych świec na srebrnych świecznikach, w naczyniach z matowego szkła, w wazonach. Ma jakiegoś religijnego fioła? Odprawia czarne msze? Jeszcze jeden powód, dla którego ma jej nie być. Bóg z chęcią się jej pozbędzie!

Na stoliku do kawy zobaczył sześcienne, szklane akwarium ze złotą rybką pływającą wokół czegoś, co wyglądało jak ruiny miniaturowej, greckiej świątyni.

- Trzeba cię uwolnić - powiedział Miliarder Czasu. - Źle jest trzymać zwierzęta w niewoli.

Podszedł do ściany zabudowanej do sufitu półkami pełnymi książek. Zobaczył „W Brighton” Grahama Greene'a. Powieść Jamesa Herberta „Nikt naprawdę”. Kryminał Natashy Cooper.

Kilka książek Iana Rankina i thriller historyczny Edwarda Marstona.

- No, no! - powiedział głośno. - Mamy takie same upodobania literackie! Niestety nigdy nie będziemy mieć okazji porozmawiać o książkach. Wiesz, w innych okolicznościach ty i ja moglibyśmy zostać całkiem dobrymi przyjaciółmi.

Otworzył szufladę w stole. Zawierała bandaż elastyczny, książeczkę bonów parkingowych, popsutego pilota do drzwi garażowych, jedną baterię, koperty. Szperając w tym, nie znalazł tego, czego szukał. Zamknął szufladę. Rozejrzał się, wysunął dwie inne szuflady i zasunął z powrotem, bez powodzenia. Szuflady w kuchni też niczego nie dały.

Dłoń wciąż mu dokuczała. Piekło coraz gorzej, pomimo tabletek. Bolała go też głowa. Pulsowało w niej i czuł, że ma lekką gorączkę, ale nie było to coś, z czym by sobie nie poradził.

Powoli wszedł na górę. Nie spieszył się. Cleo Morey dopiero pojechała do pracy. Miał cały czas świata. Długie godziny, gdyby chciał!

Na pierwszym piętrze znalazł małą łazienkę. Naprzeciwko miała swoją melinę. Wszedł. Pokój był chaotycznie zabałaganiony i też obudowany półkami pełnymi książek. Wyglądało na to, że prawie wszystkie są o filozofii. Biurko ze stertami papierów i laptopem pośród nich stało na wprost okna, przez które widać było dachy Brighton ciągnące się w kierunku morza. Otwierał każdą szufladę biurka, systematycznie przeglądał jej zawartość i starannie zamykał. Potem wysunął i zasunął każdą z czterech szuflad metalowej kartoteki.

Jej sypialnia znajdowała się na następnym piętrze, po drugiej stronie spiralnych schodów, prawdopodobnie prowadzących na dach. Wszedł i powąchał jej łóżko. Potem odsunął fioletową narzutę i weisnął nos w poduszki, wdychając głęboko. Od zapachów stężał w kroczu. Ostrożnie odsunął kołdrę, obwąchując każdy cal prześcieradła. Więcej jej! Coraz

więcej! Żadnych zapachów Grace'a! Żadnych plam jego spermy na prześcieradle! Same jej zapachy! Tylko jej! Zostawione tu dla niego, żeby mógł się nimi delektować.

Starannie zaciągnął z powrotem kołdrę i narzutę. Bardzo starannie. Nikt się nigdy nie dowie, że tu był.

W pokoju stała nowoczesna, czarno lakierowana toaletka. Otworzył jedną szufladę, a tam, między jej kasetkami z biżuterią, spoczywało to! Czarny, skórzany brelok ze złotymi literami MG. Dwa lśniące, nieużywane kluczyki nawleczone na kółko.

Zamknąwszy oczy, zmówił krótką modlitwę dziękczynną do Boga, który go do nich doprowadził. Podniósł kluczyki do warg i pocałował.

- Pięknie!

Zamknął szufladę, schował kluczyki do kieszeni i wrócił schodami na dół, gdzie podszedł prosto do akwarium. Podsunął do góry mankiet kurtki i rękaw koszuli i zanurzył dłoń w letniej wodzie. To było jak łowienie mydła w wannie! W końcu jednak udało mu się chwycić wywijającą się, śliską złotą rybkę i zacisnąć palce wokół głupiego stworzenia.

Rzucił rybkę na podłogę.

Wychodząc frontowymi drzwiami, słyszał, jak się trzepoce.

## Rozdział 92

Poranna wspólna odprawa Operacji Kameleon i Operacji Mistral zakończyła się parę minut po 9.00. Teraz, kiedy podejrzany został zatrzymany, panował nastrój optymizmu. Wzmagał go jeszcze fakt istnienia świadka, starszej pani mieszkającej naprzeciwko Sophie Harrington. Rozpoznała ona Briana Bishopa przed swoim domem w czasie odpowiadającym mniej więcej czasowi popełnienia morderstwa. Grace miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia analiza DNA spermy obecnej w pochwie Sophie Harrington wykaże zgodność z DNA Bishopa. Huntingdon miało wykonać analizę na cito, więc wyników mógł się spodziewać jeszcze tego dnia.

Teraz już raczej nikt nie miał wątpliwości, że oba morderstwa są ze sobą powiązane, ale przemawiających za tym dowodów wciąż nie ujawniano prasie.

Nazwiska i pory podane przez Bishopa podczas pierwszego przesłuchania zostały sprawdzone. Grace'a szczególnie interesowało, czy British Telecom potwierdzi, że Bishop po powrocie do swojego mieszkania w czwartek wieczorem zamawiał budzenie.

Oczywiście równie dobrze mógł to zrobić jego współnik. Przy stawce trzech milionów funtów z polisy ubezpieczeniowej na życie żony możliwość, że Bishop miał współnika - czy wręcz współników - należało dokładnie zbadać.

Grace wyszedł z sali konferencyjnej, chcąc pilnie podyktować Eleanor, swojej sile pomocniczej, dwa pisma. Jedno dotyczyć miało postępowania

przygotowawczego do procesu Carla Vennera, odrażającego typu, który został aresztowany w poprzedniej, prowadzonej przez Grace'a sprawie zabójstwa. Szybkim krokiem przeszedł korytarzami do dużej, pokrytej zieloną wykładziną, częściowo otwartej przestrzeni, gdzie pracowali starsi oficerowie Wydziału Kryminalnego i ich personel pomocniczy.

Zdziwił się, kiedy po wejściu przez otwierane kartą drzwi oddzielające to pomieszczenie od części należącej do Sekcji Zabójstw, zobaczył zgromadzony wokół biurka tłum ludzi, w tym Gary'ego Westona, starszego nadkomisarza z Wydziału Kryminalnego i teoretycznie swojego bezpośredniego przełożonego, choć w praktyce odpowiadał głównie przed Alison Vosper.

Zastanawiał się przez chwilę, czy trafił na loterię fantową, a może czyjeś urodziny. Kiedy jednak podszedł bliżej, zobaczył, że nikt nie jest w radosnym nastroju. Wszyscy wyglądali na głęboko poruszonych, włącznie z Eleanor, która tak wyglądała na ogół.

- Co się dzieje? - spytał ją.
- Nie słyszałeś?
- O czym?
- O Janet McWhirter?
- O naszej Janet od komputerowej bazy danych?

Eleanor skinęła głową, patrząc na niego zza wielkich okularów tak, jakby zachęcała go do rozwiązania szarady.

Janet McWhirter jeszcze cztery miesiące temu zajmowała odpowiedzialne stanowisko w Sussex House, kierując dużym wydziałem do spraw ogólnokrajowej policyjnej bazy danych, w którym pracowało czterdzieści osób. Ich główne zadanie polegało na przygotowywaniu informacji dla detektywów.

Zwykła, samotna dziewczyna po trzydziestce, spokojna, pilna, o nieco staroświeckim wyglądzie, była lubiana, ponieważ zawsze była chętna do pomocy, pracowała do późna, jeśli było trzeba, i nigdy nie przestawała być grzeczna. Zarówno z wyglądu, jak i ze spokojnego, poważnego sposobu bycia przypominała Grace'owi szarą myszkę.

Janet zaskoczyła wszystkich, kiedy w kwietniu złożyła rezygnację, mówiąc, że postanowiła wyjechać w roczną podróż. Potem, w wielkim sekrecie i nie bez oporów, wyjawiała swoim dwóm najbliższym przyjaciółkom z wydziału, że poznała mężczyznę i zakochała się. Już byli zaręczeni, miała wyemigrować z nim do Australii i tam wyjść za niego.

Brian Cook, kierownik oddziału wsparcia naukowego i jeden z przyjaciół Grace'a, zwrócił się do niego:

- Została znaleziona martwa, Roy - powiedział, jak zwykle nie owijając w bawełnę. - Morze wyrzuciło ją na plażę w sobotę wieczorem. Przebywała w wodzie od dłuższego czasu. Zidentyfikowana na podstawie uzębienia. I wygląda na to, że nie żyła już, zanim znalazła się w wodzie.

Grace milczał przez chwilę zaszokowany. Przez lata często miał do czynienia z Janet i naprawdę ją lubił.

- Niech to szlag - powiedział.

Miał wrażenie, jakby ciemna chmura przesłoniła okna, i poczuł w sobie nagle, przejmujące do głębi zimno. Był obeznany ze śmiercią, ale tu instynktownie wyczuwał, że coś jest bardzo nie w porządku.

- Nie wydaje się, żeby dotarła do Australii - dodał Cook sardonicznie.

- Ani do ołtarza?

Cook wzruszył ramionami.

- Czy skontaktowano się z narzeczonym?

- Dowiedzieliśmy się o tym dopiero parę minut temu. On też może nie żyć - odparł Cook, a po chwili dodał: - Może zechciałbyś zajrzeć do jej wydziału i coś powiedzieć ludziom. Wyobrażam sobie, jak okropnie muszą się czuć.

- Zrobię to w pierwszej wolnej chwili. Kto będzie prowadził śledztwo?

- Jeszcze nie wiem.

Grace skinął głową i odciągawszy swoją głęboko wstrząśniętą siłę pomocniczą od grupy, zaprowadził ją do jej biura.

Zostało mu tylko dziesięć minut na podyktowanie pism, potem musiał przejść do aresztu na drugie przesłuchanie Briana Bishopa.

Tymczasem przed oczami miał wciąż obraz szczerzej, drobnej twarzy Janet McWhirter. Była najmiłszą i najbardziej uczynną osobą. Dlaczego ktoś ją zabił? Chodziło o rabunek? O gwałt? O coś, co miało związek z jej pracą?

Zadumał się nad tym, myśląc tak: *Przez piętnaście lat pracuje w policji hrabstwa Sussex, z czego większość w wydziale do spraw komputerowej bazy danych, zakochuje się w mężczyźnie, decyduje się zmienić swoje życie. Wyjeżdża. Potem ginie.*

Żywił silne przekonanie, że zawsze należy przyjrzeć się w pierwszej kolejności temu, co jest najbardziej oczywiste. Gdyby był oficerem prowadzącym śledztwo w jej sprawie, wiedziałby, od czego zacząć. W tej chwili jednak śmierć Janet McWhirter, mimo że wstrząsająca i smutna, nie była jego problemem.

Albo tak mu się zdawało.

## Rozdział 93

- Jezu, człowieku! Wyłącz wreszcie to kurestwo! Brzęczy całe rano! Nie możesz, kurwa, odebrać czy co?

Skunks odemknął jedno oko, czując, jakby dostał w nie młotkiem. Tak samo miała się jego głowa. Miał wrażenie, jakby ktoś kroił mu mózg piłką do sera. Cały kamper zdawał się miotać w górę i w dół, jak mała łódka w sztormie.

*Prip-prip-bzzz-prip-prip-bzzz.* Zorientował się, że to jego telefon ślizga się po podłodze, wibrując, świecąc i dzwoniąc.

- Sam se odbierz, chuju! - wymamrotał do swojego najnowszego, nieproszonego, przypadkowego lokatora, jakiegoś śmiecia spotkanego nad ranem na zadupiu Brighton, który wymusił na nim nocleg. - To nie pierdolony Hilton! Nie mamy tu obsługi przez całą dobę.

- Ja ci go mogę najwyżej wsadzić prosto w dupę, tak głęboko, że będziesz tam sobie grzebał do gardła, żeby go znaleźć.

Skunks odemknął też drugie oko i zaraz zamknął z powrotem, kiedy laserowy promień porannego słońca przeszył mu mózg, przewiercił się przez tył czaszki aż do jądra ziemi, przyszpilając mu głowę do wilgotnej, zbrylonej poduszki jak muchę na szpilce. Zamknął oko i podjął wysiłek, żeby usiąść, nagrodzony walnięciem głową w dach.

- Kurwa!

Taka go spotkała wdzięczność za to, że pozwala pierdolonym, bezużytecznym śmieciom spać w swoim domu! Teraz już przytomny, bliski



wyrzygania się, sięgnął ręką, która sprawiała wrażenie całkiem oddzielonej od reszty ciała, jakby ktoś w nocy przyszył mu ją do ramienia kilkoma nitkami. Zdrętwiałe palce macały po podłodze, aż znalazły telefon.

Podniósł go ręką trzęsącą się tak samo jak jego całe ciało, wcisnął zielony guzik i przyłożył do ucha.

- He? - powiedział.
- Gdzieś ty był, do cholery, gnojku?

Dzwonił Barry Spiker.

Nagle oprzytomniał zupełnie. Do głowy cisnęło mu się stado sprzecznych myśli.

- Jest, kurwa, środek nocy - powiedział obrażonym tonem.
- Może na twojej planecie, pierdoło. Na mojej jest 11.00. Znow nie wzięłeś świętej komunii, co?

W tej chwili do Skunksa dotarło. Paul Packer. Detektyw Paul Packer!

Nagle ranek wydał mu się odrobinę lepszy. Wspomnienie umowy z detektywem Packerem przedarło się przez mgłę w obolałym od głodu narkotykowego mózgu. Obiecał zawiadomić Packera, kiedy Barry Spiker zleci mu następną robotę. Ryzykownie było sprzedać Spikera. Jednak przyjemność, jaką dawała mu ta myśl, przeważyła nad strachem. Spiker wykiwał go na ostatnim interesie. Packer obiecał, że mu zapłaci.

Pieniądze, jakie płaci policja, są gówniane, ale jeżeli będzie naprawdę sprytny, może zrobić interes, wziąć i od Spikera, i od policji. To by było super!

*Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.*

Al, jego chomik, pracował w swoim kołowrotku, kręcąc nim bez przerwy, jak zwykle, mimo że miał łapkę w łupkach. Musi znow iść z Alem do weterynarza. I jest winien forszę Beth. Dwie pieczenie przy jednym ogniu! Spiker i detektyw Packer. Al i Beth! To jest interes!

- Właśnie wróciłem z mszy - powiedział.
- To dobrze. Mam dla ciebie robotę.
- Zamieniam się w słuch.

- Na tym polega twój problem. Słuch, a nie pomyślunek.
- To co masz dla mnie?

Spiker przedstawił mu sprawę.

- Potrzebuję tego na dziś wieczór - zakończył. - Wszystko jedno kiedy.

Będę tam całą noc. Półtorej setki, jeżeli tym razem specyfikacja będzie się zgadzała. Dasz radę?

- Jasne.
- Nie spierdol tego.

Rozłączył się.

Skunks w podnieceniu usiadł. I prawie rozwalił sobie czaszkę o dach.

- Ja pierdolę! - powiedział.
- Pierdol się, Jimmy! - dobiegł głos z głębi kampera.

## Rozdział 94

Glenn Branson zakończył drugie przesłuchanie Briana Bishopa o 12.20. Potem, w przerwie na lunch, zostawiając Bishopa samego z adwokatem w pokoju przesłuchań, zespół zebrał się w gabinecie Grace'a.

Branson trzymał się scenariusza. Tak jak zaplanowali, najważniejsze pytania zostawił na trzecie, popołudniowe przesłuchanie.

Kiedy usiedli przy niewielkim, okrągłym stole w gabinecie Grace'a, nadkomisarz poklepał Bransona po plecach.

- Dobra robota, Glenn, świetnie ci idzie. A teraz, jak ja to widzę - tu użył powiedzenia Alison Vosper, które dość mu się podobało: - nie da się ukryć, że mamy problem.

Wszyscy troje spojrzeli na niego wyczekująco.

- Alibi Bishopa. Jego kolacja w restauracji Wolseley w Londynie z tym Philem Taylorem. To jest nasz problem, którego nie da się ukryć.

- Wyniki DNA całkowicie dyskwalifikują to alibi - zauważył Nicholl.

- Myślę o przysięgłych - powiedział Grace. - Zależy, jak wiarygodny jest ten cały Taylor. Możecie być pewni, że Bishop będzie miał najlepszego obrońcę, który wyduzi z tego alibi wszystko, co się da. Uczciwy obywatel przeciwko naukowym fanaberiom? W dodatku prawdopodobnie z dowodem z British Telecom potwierdzającym, że Bishop zamówił budzenie, a co za tym idzie, wspierającym jego wersję przebiegu zdarzeń w czasie?

- Uważam, że powinniśmy być w stanie złapać Bishopa w trakcie tego trzeciego przesłuchania, Roy - odezwała się Jane Paxton. - Dużo mamy na niego.

Grace skinął głową, zastanawiając się usilnie, wciąż jeszcze nieprzekonany, że mają wszystko, czego im trzeba.

Zaczęli chwilę po 14.00. Siadając na lekko chybottliwym krześle w pomieszczeniu obserwacyjnym, Roy Grace miał świadomość, że zostało im tylko sześć godzin do czasu, kiedy będą musieli wypuścić Briana Bishopa, chyba że wystąpią o przedłużenie albo go oskarżą. Mogli oczywiście wystąpić do sądu o nakaz dalszego zatrzymania, ale Grace nie chciał tego robić, dopóki nie było to absolutnie konieczne.

Alison Vosper już do niego dzwoniła, żeby dowiedzieć się, jak bliscy są oskarżenia Bishopa. Kiedy przedstawił jej aktualną sytuację, sądząc po głosie, była zadowolona. Nadal w trybie *śłodkim*.

Fakt, że aresztowania dokonano tak szybko po zabójstwie Katie Bishop, stawiał policję w dobrym świetle w oczach mediów i był pokrzepiający dla mieszkańców Brighton i Hove. Teraz musieli postawić Bishopa w stan oskarżenia. To oczywiście nie zaszkodziłoby dalszej karierze Grace'a. Z pozytywnym wynikiem testu DNA mieli wystarczające dowody, żeby uzyskać zgodę Prokuratury Koronnej na oskarżenie. Ale to nie oskarżenia potrzebował Grace. On musiał doprowadzić do skazania Bishopa.

Wiedział, że powinien być zachwycony tym, jak wszystko świetnie idzie, a jednak coś go niepokoiło i nie potrafił powiedzieć co.

Nagle zabrzmiał donośny i czysty głos Glenna Bransona i niemal w tej samej chwili na ekranie monitora ukazał się obraz czterech mężczyzn w pokoju przesłuchań. Brian Bishop pił wodę ze szklanki. Wyglądał jak zbity pies.

- Jest 14.03, czwartek, 8 sierpnia - mówił Branson. - Obecni w trakcie trzeciego przesłuchania są: pan Brian Bishop, pan Leighton Lloyd, detektyw Nicholl i ja, detektyw sierżant Branson.

Spojrzał wprost na Bishopa.

- Panie Bishop - zwrócił się do niego - powiedział nam pan, że byliście z żoną szczęśliwym małżeństwem i stanowiliście wspaniałe dobraną parę. Czy był pan świadom, że pani Bishop ma romans? Związek o charakterze seksualnym z innym mężczyzną?

Grace uważnie przyglądał się oczom Bishopa. Zwróciły się w lewo. Pamiętał z ostatniej obserwacji, że u Bishopa był to tryb prawdy.

Bishop zerknął na prawnika, jakby zastanawiając się, czy powinien coś powiedzieć, po czym wrócił wzrokiem do Bransona.

- Nie musi pan odpowiadać - powiedział Lloyd.

Bishop zamyślił się na chwilę. Kiedy się odezwał, słowa z trudem przechodziły mu przez gardło:

- Podejrzewałem, że może mieć. Czy to ten malarz z Lewes?

Branson przytaknął, obdarzając Bishopa współczującym uśmiechem, świadom, że cierpi.

Bishop ukrył twarz w dłoniach i milczał.

- Czy chce pan, żebyśmy zrobili przerwę? - spytał go prawnik.

Bishop pokręcił głową i opuścił dłonie. Płakał.

- Nie, nic mi nie jest. Idźmy dalej z tym wszystkim. Jezu. - Wzruszył ramionami, patrząc się bezradnie w stół i ocierając łzy wierzchem dłoni. - Katie była najmilszą osobą, ale miała w sobie coś, co nią kierowało. Jakby jakiegoś demona, który sprawiał, że nigdy nie była zadowolona. Myślałem, że będę umiał jej dać wszystko, czego chce.

Znów zaczął płakać.

- Myślę, że powinniśmy zrobić przerwę, panowie - powiedział Leighton Lloyd.

Wszyscy wyszli, zostawiając Bishopa samego. Po dziesięciu minutach wznowili przesłuchanie. Nick Nicholl, grając „dobrego glinę”, zadał pierwsze pytanie:

- Panie Bishop, czy mógłby nam pan powiedzieć, co pan czuł, kiedy zaczął pan podejrzewać, że żona nie jest panu wierna?

Bishop spojrzał na detektywa szyderczo.

- Chodzi panu o to, czy chciałem ją zabić?
- To pan to powiedział, nie my - wciął się Branson.

Grace był ciekaw przejawów emocji Bishopa. Być może były to tylko krokodyle łzy, na użytek przesłuchujących.

Łamiącym się głosem Bishop powiedział:

- Kochałem ją. Nigdy nie chciałem jej zabić. Ludzie miewają romanse, tak to jest na świecie. Kiedy poznaliśmy się z Katie, ona miała męża, a ja żonę. Mieliśmy romans. Wydaje mi się, że w głębi duszy wiedziałem, że jeżeli się pobierzemy, prawdopodobnie skończy się na tym, że ona zrobi mi to samo.

- Czy dlatego pan nie był jej wierny?

Bishop nie spieszył się z odpowiedzią.

- Mówi pan o Sophie Harrington?
- Tak.

Jego gałki oczne znów uciekły w lewo.

- Flirtowaliśmy ze sobą. To było miłe dla mojego ego, ale do niczego więcej nie doszło. Nigdy z nią nie spałem, chociaż zdaje się, że ona lubi... lubiła - poprawił się - fantazjować, że to się zdarzyło.

- Nigdy pan nie spał z panną Harrington? Ani razu?

Grace w skupieniu obserwował oczy Bishopa. Znów w lewo.

- Absolutnie nie. Nigdy. - Uśmiechnął się nerwowo. - Nie mówię, że nie miałem ochoty. Ale mam zasady moralne. Byłem głupi, jej zainteresowanie mi pochlebiało, lubiłem jej towarzystwo... ale musicie pamiętać, że już to przerabiałem. Idzie się z kimś do łóżka i jeżeli ma się szczęście, okazuje się to kiepskim doświadczeniem. Jeżeli szczęścia się nie ma, jest to niesamowite, cudowne doświadczenie i człowiek jest zauroczony. Wtedy zaczyna się wielki problem. Tak się stało z Katie i ze mną. Byliśmy sobą zauroczeni.

- Więc nigdy nie poszedł pan do łóżka z Sophie Harrington? - naciskał Glenn Branson.

- Nigdy. Chciałem spróbować naprawić moje małżeństwo.

- Czyli pana zdaniem można to osiągnąć przez perwersyjny seks? - spytał Branson.

- Słucham? Co pan ma na myśli?

Branson zajrzał do swoich notatek.

- Ktoś z naszego zespołu rozmawiał wczoraj z panią Diane Rand. Z tego, co powiedziała, rozumiemy, że była jedną z najlepszych przyjaciółek pańskiej żony. Zgadza się?

- Rozmawiały ze sobą jakieś cztery razy dziennie. Bóg wie, co miały sobie do powiedzenia!

- Dużo, jak mi się wydaje - odparł Branson niewesoło. - Pani Rand powiedziała naszej funkcjonariuszce, że pańska żona wyrażała zaniepokojenie pańskimi coraz bardziej perwersyjnymi żądaniami natury seksualnej. Czy zechciałby pan rozwinąć ten temat?

Leighton Lloyd zareagował szybko i stanowczo:

- Nie. Mój klient odmawia.

- Mam jedno istotne pytanie w tej kwestii - Branson zwrócił się do prawnika.

Lloyd gestem udzielił mu pozwolenia.

- Panie Bishop - zaczął Branson. - Czy posiada pan kopię maski przeciwigazowej z okresu II wojny światowej?

- Jaki związek ze sprawą ma to pytanie? - spytał Lloyd.

- Ogromnie istotny, proszę pana - odparował Branson.

Grace uważnie przyglądał się oczom Bishopa. Strzeły w prawo.

- Tak - powiedział.

- Czy jest to coś, czego pan i pani Bishop używaliście w waszym życiu seksualnym?

- Nie pozwalam mojemu klientowi odpowiadać na to pytanie.

Bishop uniósł dłoń, uspokajając prawnika.

- W porządku. Tak, ja to kupiłem. - Wzruszył ramionami, czerwieniąc się. - My eksperymentowaliśmy. Ja... czytałem książkę o tym, jak utrzymać poziom życia erotycznego... rozumiecie? Po jakimś czasie między dwojgiem ludzi trochę przygasa, kiedy minie pierwsze zauroczenie nowym związkiem. Kupowałem nam te rzeczy, żebyśmy wypróbowali. - Jego twarz miała kolor buraka.

Branson skupił się teraz na kolacji Bishopa z doradcą finansowym Philem Taylorem.

- Panie Bishop, czy potwierdza pan, że jednym z należących do pana samochodów jest bentley continental w kolorze ciemnoczerwonym?

- Czerwień umbryjska, tak.

- Numer rejestracyjny Lima Juliet Zero Four November Whiskey Sierra?

Bishop, nieprzyzwyczajony do literowania za pomocą alfabetu fonetycznego NATO, musiał się chwilę zastanowić, po czym skinął głową.

- O 23.47 w zeszły czwartek ten pojazd został sfotografowany przez kamerę automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych, na jezdni w kierunku południowym autostrady M23, w pobliżu lotniska Gatwick. Czy może pan wyjaśnić, dlaczego tam się znajdował i kto go prowadził?

Bishop spojrzał na swojego adwokata.

- Macie to zdjęcie? - spytał Leighton Lloyd.

- Nie, ale może pan zobaczyć kopię - powiedział Branson.

Lloyd zapisał w notesie.

- To jakaś pomyłka - powiedział Bishop. - To musi być pomyłka.

- Czy pożyczał pan komuś samochodu tamtego wieczoru? - pytał dalej Branson.

- Nigdy go nie pożyczam. Miałem go w Londynie tamtej nocy, ponieważ rano musiałem jechać do klubu golfowego.

- Czy ktoś mógł go sobie pożyczyć bez pańskiego pozwolenia czy wiedzy?

- Nie. To znaczy nie sądzę. To wysoce nieprawdopodobne.

- Kto poza panem ma kluczyki do tego samochodu?

- Nikt. Mieliśmy pewne problemy na parkingu podziemnym... pod moim mieszkaniem. Kilka włamań do samochodów.

- Czy ktoś mógł sobie wziąć samochód, żeby się przejechać? - wtrącił się Leighton Lloyd.

- To możliwe - powiedział Bishop.



- Ci, którzy biorą samochód, żeby się przejechać, zazwyczaj nie odstawiają go potem na miejsce - zauważył Grace. Przyglądał się, jak Lloyd robi notatkę. Będzie miał z tym trochę zachodu.

Następnie Glenn Branson powiedział:

- Panie Bishop, jak już wspomnieliśmy, w trakcie przeszukania pańskiego domu przy Dyke Road Avenue 97 znaleziono polisę ubezpieczenia na życie, wystawioną przez firmę ubezpieczeniową Star Assurance. Jest to polisa na życie pańskiej żony, z sumą ubezpieczenia wynoszącą trzy miliony funtów. Pan jest tam wymieniony jako jedyny uposażony.

Grace przeniósł wzrok z Bishopa na prawnika. Wyraz twarzy Lloyda prawie się nie zmienił, ale jego ramiona nieco opadły. Brian Bishop miotał spojrzenia po całym pokoju, jego opanowanie nagle go opuściło.

- Słuchajcie... mówiłem wam... już mówiłem... nic o tym nie wiem! Absolutnie nic!

- Sądzi pan, że pańska żona sama wykupiła ubezpieczenie, w tajemnicy, z dobroci serca? - przyciskał go Branson.

Słyszając to, Grace uśmiechnęła się, dumny z tego, jak kolega, któremu przez te kilka lat udzielił wielu wskazówek, ponieważ go uwielbiał i wierzył w niego, rzeczywiście się wyrabia.

Bishop uniósł ręce, potem opuścił je na stół. Oczy miał wciąż rozbiegane.

- Proszę mi uwierzyć. Nic o tym nie wiem.

- Wyobrażam sobie, że przy trzech milionach funtów składka musi być spora - powiedział Branson. - Przypuszczalnie tego, jak ubezpieczenie było opłacane, będziemy mogli dowiedzieć się z pańskich albo właściwie pańskiej żony wyciągów bankowych? A może ma pan jakiegoś tajemniczego dobroczyńcę?

Leighton Lloyd pisał teraz bardzo szybko w notatniku, wyraz jego twarzy nadal nic nie zdradzał. Zwrócił się do Bishopa:

- Może pan nie odpowiadać, chyba że pan chce.

- Nic o tym nie wiem - ton Bishopa stał się błagalny. Szczerze. - Naprawdę nie!

- Zdaje się, że zebrało się całkiem sporo rzeczy, o których pan nic nie wie, panie Bishop - kontynuował Glenn Branson. - Nic pan nie wie o tym, że pański samochód jechał w kierunku Brighton na krótko przed zabójstwem pańskiej żony. Nic pan nie wie o polisie ubezpieczenia na życie pańskiej żony, na trzy miliony funtów, sporządzonej sześć miesięcy przed jej zabójstwem. - Przerwał, zajął do notatek, napił się wody. - Zeznając wczoraj wieczorem, powiedział pan, że ostatni raz odbył pan stosunek seksualny z żoną rano, w niedzielę 30 lipca. Zgadza się?

Bishop przytaknął. Wyglądał na lekko zażenowanego.

- Zatem czy może pan wyjaśnić obecność znacznej ilości pańskiej spermy w pochwie pani Bishop, znalezionej w trakcie sekcji zwłok dokonanej rano w piątek 4 sierpnia?

- Nie ma takiej możliwości! - powiedział Bishop. - To absolutnie niemożliwe!

- Mówi pan, że nie odbył pan stosunku seksualnego z panią Bishop w nocy, w czwartek 3 sierpnia?

Gałki oczne Bishopa poruszyły się zdecydowanie w lewo.

- Tak. To właśnie mówię. Byłem w Londynie, na litość boską! - Odwrócił się do swojego adwokata. - To nie jest możliwe! To nie jest możliwe, do cholery!

Przez lata Roy Grace widział wyrazy twarzy wielu prawników, kiedy jeden klient po drugim bezczelnie wmawiali im kolejne kłamstwo. Twarz Leightona Lloyda pozostawała nieodgadniona. Facet byłby świetnym pokerzystą, pomyślał.

O 17.10, po tym jak Glenn Branson skrupulatnie odtworzył zeznanie Bishopa z poprzedniego wieczoru i pytania zadane mu podczas drugiego przesłuchania, tego ranka, podważając w zasadzie każde słowo, jakie Bishop powiedział, ocenił, że uzyskali od niego tyle, ile mieli uzyskać na tym etapie.

Bishop nie ustąpił w żadnej z trzech kluczowych kwestii - swojego

londyńskiego alibi, polisy ubezpieczeniowej i określenia, kiedy po raz ostatni uprawiał seks ze swoją żoną - jednak Branson był zadowolony... i wykończony.

Bishopa odprowadzono do celi, jego prawnik został sam z dwoma policjantami.

Lloyd spojrział wymownie na zegarek i zwrócił się do nich:

- Jak przypuszczam, zdajecie sobie sprawę, że za niecałe trzy godziny będziecie musieli zwolnić mojego klienta, jeśli nie zamierzacie go oskarżyć.

- Gdzie pan będzie? - spytał go Branson.

- Jadę do mojego biura.

- Zadzwonimy do pana.

Powiedziawszy to, detektywi przeszli z powrotem do Sussex House i w gabinecie Roya Grace'a usiedli przy okrągłym stole.

- Dobra robota, Glenn, świetnie to zrobiłeś - jeszcze raz powiedział Grace.

- Doskonale - dodał Nick Nicholl.

Jane Paxton sprawiała wrażenie zamyślonej. Wyrażanie pochwał nie było w jej stylu.

- Teraz musimy się zastanowić nad naszym następnym krokiem.

Wtem otworzyły się drzwi i weszła Eleanor Hodgson, trzymając w ręku kilka spiętych razem kartek. Zwracając się do Grace'a, powiedziała:

- Przepraszam, że przeszkadzam, Roy, ale pomyślałam, że chciałbyś to zobaczyć. Właśnie przyszło z laboratorium w Huntingdon.

Były to wyniki analizy DNA. Jeden dotyczył spermy obecnej w pochwie Sophie Harrington, drugi mikroskopijnej cząstki wyglądającej na ludzkie mięso, którą Nadiuska De Sancha wydobyla spod paznokcia stopy denatki.

Oba wykazywały całkowitą zgodność z DNA Bishopa.

## Rozdział 95

Dochodziła 17.30, kiedy Cleo Morey wyszła z kostnicy razem z Darrenem. Zamknęła drzwi frontowe i stojąc w jaskrawym, ciepłym świetle słonecznym, zapytała:

- Co robisz wieczorem?

- Miałem ją zabrać do kina, ale jest za gorąco - powiedział, spoglądając na swoją szefową zmrużonymi, pełnymi słońca oczami. - Pojedziemy do Mariny na parę drinków. Tam jest jakieś w porządku nowe miejsce i chcę sprawdzić. Rehab.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Dwudziestolatek z czarnymi, nastroszonymi włosami i wesołą twarzą z modną, kilkudniową szczecina, mógł z łatwością, gdyby jego losy potoczyły się inaczej, skończyć jak tylu innych straconych młodych ludzi wystających każdej nocy po chodnikach i w bramach tego miasta, na głodzie, zaćpanych, zajmujących się żebranią i kradzieżą. On jednak urodził się z hartem ducha. Pracował ciężko, był dobrym kolegą, miał przed sobą udane życie.

- Rehab?

- No, bar i restauracja. Klasa. Trochę się na to spluczę, ale raz na jakiś czas można. Powiedziałbym, żebyś z nami poszła, tylko że rozumiesz, sami we dwoje i te rzeczy!

Uśmiechnęła się.

- Bezcelny drań! Poza tym, kto powiedział, że ja nie mam dziś randki?

- Ach tak? - Ucieszył się. - Niech no zgadnę, z kim.

- Nie twój interes!
- Może pracuje w Wydziale Kryminalnym, co?
- Powiedziałam, nie twój interes!
- W takim razie nie powinnaś się z nim migdalić w biurze, prawda? -

Puścił do niej oko.

- Co? - wykrzyknęła.
- Zapomniałaś, że tam jest kamera CCTV, tak?

Z szerokim uśmiechem pomachał jej wesoło i odszedł do swojego samochodu.

- Podglądacz! - zawołała za nim. - Zboczeniec!

Otworzył już drzwi swojego małego, czerwonego nissana, ale jeszcze się odwrócił.

- Prawdę mówiąc, jeżeli chcesz znać moje zdanie, to całkiem ładna z was para!

Pokazała mu środkowy palec. Na dodatek dołożyła:

- Nie pij za dużo. Pamiętaj, że dziś w nocy jesteś na dyżurze.
- Miło się z tobą rozmawia!

Kilka minut później, wciąż uśmiechnięta, minęła światła i wjechała na kryty parking Sainsbury. Teraz zaprzętało ją tylko to, co da oficerowi Wydziału Kryminalnego - z którym *migdaliła się w biurze*, jak to bez ogródek określił Darren - do jedzenia. Ponieważ wieczór zapowiadał się wspaniale, postanowiła zrobić grilla na swoim tarasie na dachu. Roy Grace lubił owoce morza i ryby.

Przed sobą dostrzegła wolne miejsce parkingowe, więc je zajęła. Przede wszystkim skierowała się do stoiska rybnego, żeby kupić trochę świeżych krewetek w skorupkach, gdyby były, i steki z tuńczyka. Do tego dwie kolby kukurydzy. Sałata. I kilka słodkich ziemniaków - pieczone w mundurkach na grillu są pyszne.

No i butelka naprawdę dobrego, różowego wina. No dobra, niekoniecznie jedna butelka.

Czekała na ten wieczór i miała nadzieję, że dziś Grace zdoła uciec od swojego śledztwa o rozsądnej porze. Zdawało się, jakby już bardzo dużo

czasu upłynęło odkąd naprawdę spędzili ze sobą wieczór jak należy, i dobrze byłoby to nadrobić. Uświadomiła sobie, że tęskniła za nim, tęskniła przez cały czas, kiedy nie było go w pobliżu. Ale teraz doszło jeszcze widmo Sandy i jego wyjazd do Monachium - chciała usłyszeć pełne sprawozdanie.

Poprzedni związek nauczył ją, że kiedy już myślisz, że wszystko jest idealnie, los może się odwrócić i pokazać zęby.

## Rozdział 96

- Jego alibi - powiedział Grace, uderzając wnętrzem lewej dłoni w prawą zaciśniętą w pięść. - Musimy się z tym uporać. Jak już mówiłem, to jest problem, którego nie da się ukryć.

Paxton, Branson i Nicholl, siedzący z nim razem wokół stołu w jego gabinecie, wyglądali na pogrążonych w myślach. Jane przelała wodę w kubku, nalewając z butelki.

- Nie wydaje ci się, że mamy już dość dowodów, Roy? - spytała. - Jutro zostanie ci bardzo mało czasu, chyba że wystąpimy do sądu o przedłużenie dziś wieczorem.

Grace rozważał to przez chwilę. Czas aresztowania Bishopa, wczoraj o 20.00, pracował przeciwko nim. Oznaczało to, że muszą go zwolnić dziś o 20.00. Łatwo mogliby uzyskać przedłużenie o dwanaście godzin, ale to dałoby im czas do jutra, do 8.00 rano. Gdyby chcieli zatrzymać go na dłużej, musieliby złożyć w sądzie wnioski o nakaz dalszego zatrzymania. I trzeba by było załatwić to dziś wieczorem, jeżeli chcieli uniknąć telefonów o świcie i zakłócania spokoju ludziom, którzy mieli prawo do snu.

Zerknął na zegarek. Już 17.35. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Kim Murphy.

- Kim, kazałaś komuś z zespołu przesłuchać doradcę finansowego Bishopa, gość nazywa się Phil Taylor. Pilnie potrzebuję numeru tego Taylora. Możesz mi go dać? Albo jeszcze lepiej wydzwonić go i przełączyć do mnie?

W czasie, gdy czekał, omawiali konsekwencje najnowszych dowodów. Grace podtrzymywał swoje stanowisko.

- Ale co z dowodem DNA znalezionym u Sophie Harrington, Roy? - spytał Nick Nicholl. - To z pewnością przesądza sprawę.

Roy poczuł zniecierpliwienie, ale zdołał się opanować.

- Nick, nie rozumiesz tego? Jeżeli alibi Bishopa potwierdza, że był w Londynie w czasie, kiedy dokonano zabójstwa jego żony, to dowód DNA nic nie znaczy. Obrona będzie twierdzić, że został jakoś podrzucony. Jeżeli za szybko połączymy oba morderstwa, doprowadzimy do odrzucenia i tego drugiego dowodu DNA na tej samej podstawie.

Grace nauczył się z gorzkiego doświadczenia, że sprawiedliwość jest ulotna, nieprzewidywalna i tylko czasami rzeczywiście wymierzana. Zbyt wiele jest rzeczy, które w sądzie mogą pójść źle. Sędziowie przysięgli, często ludzie, dla których sąd absolutnie nie jest ich własnym żywiołem, mogą dać sobą manipulować, można im coś wmówić, uwieść ich i otumanić, niejednokrotnie bywają uprzedzeni lub po prostu głupi. Niektórzy przysięgli dawno już przestali się nadawać do pełnienia tej funkcji, inni czasami sprawiają wrażenie, jakby wzięli się z księżycy. Nie wystarczy mieć oczywistą sprawę wspartą druzgocącymi dowodami. Żeby uzyskać skazanie, trzeba mieć jeszcze dużo szczęścia.

- Mamy świadka, który widział Bishopa przed jej domem - zapewniła go Jane Paxton.

- Tak? - Z minuty na minutę był coraz bardziej rozdrażniony. Zastanawiał się, czy to z powodu upału? A może był już za bardzo zmęczony? Może miał już dość swojego cholernego lokatora? Albo sprawa Sandy naciskała na goły nerw?

- No cóż, myślę, że to mocne - powiedział obronnym tonem. - Musimy przeprowadzić formalną procedurę konfrontacji z tym świadkiem i sprawdzić dokładnie następstwo zdarzeń, zanim naprawdę będziemy mogli to przedstawić. W ciągu następnych kilku dni mogą pojawić się jeszcze jakieś inne dowody. Jeżeli Bishop będzie siedział jako oskarżony, chwilowo nie będzie presji czasu w sprawie panny Harrington. No i będziemy mogli rzucić ochłap prasie.



Zadzwoił telefon. Kim powiedziała Grace'owi, że ma na linii Phila Taylora i przełącza. Grace wstał od stołu, żeby odebrać telefon na biurku.

Kiedy skończył, już nie usiadł.

- Zgodził się spotkać się ze mną w Londynie dziś wieczorem. Wygląda na prawdomównego. - Spojrzał na Bransona. - Wystąpimy o dwunastogodzinne przedłużenie zatrzymania Bishopa. Zaraz po odprawie o 18.30 jadę do Londynu. Chciałbym, żebyś pojechał ze mną.

Następnie zadzwonił do Normana Pottinga i poprosił go, żeby skontaktował się z dyżurnym nadkomisarzem i zgodnie z ustawą o policji i dowodach kryminalnych wniósł o dwunastogodzinne przedłużenie aresztu. Potem wrócił do pozostałej w gabinecie trójki.

- No dobra, widzimy się w sali konferencyjnej o 18.30. Bardzo wam wszystkim dziękuję.

Usiadł za biurkiem. Teraz czekało go kolejne zadanie, równie trudne samo w sobie, choć w zupełnie inny sposób. Jak wytłumaczyć Cleo, że tego wieczoru będzie musiał pojechać do Londynu i mimo najlepszych chęci nie jest możliwe, żeby wrócił przed północą.

Ku jego zaskoczeniu przyjęła to z humorem, prawdopodobnie dlatego, że rozumiała, na czym polega praca w policji dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

- To nic - powiedziała. - Stoję właśnie w kolejce do kasy w Sainsbury z mnóstwem świeżych krewetek i małży. Szkoda by było to zmarnować, więc wszystkie będę musiała zjeść sama.

- Cholera. Tak mi przykro.

- Nie szkodzi. Te morderstwa są dużo ważniejsze od kilku krewetek. Ale lepiej się pośpiesz z powrotem!

- Pewno będę najedzony. Złapię coś po drodze.

- Nie mówię o jedzeniu!

Posłał jej całusa.

- Dziesięć razy! - Odpowiedziała.

Rozłączył się uśmiechnięty. Ulżyło mu, bo wyglądało na to, że Cleo - w każdym razie póki co - zapomniała mu wyprawę do Monachium.

Ale czy on zostawił to za sobą?

Wiedział, że to będzie zależało od tego, czy śledztwo Marcela Kullena dostarczy jakichś śladów. I nagle, po raz pierwszy, złapał się na tym, że - prawie - ma nadzieję, że nie.

## Rozdział 97

Inaczej niż zwykle, na ulicy przed bramą domu Cleo nie było wolnych miejsc, więc musiała jechać dalej, żeby jakieś znaleźć. Trzymając się w bezpiecznej odległości, Miliarder Czasu patrzył, jak tył niebieskiego mg znika za rogiem, mrugając prawym kierunkowskazem. Uśmiechnął się.

I wysłał krótką, szybką wiadomość dziękczynną do Boga.

Ta ulica była dużo lepsza! Po prawej wysoka ściana bez okien. Strome urwisko z czerwonej cegły. Po lewej, na całej długości ulicy, niebieski płot budowy z bramami zamkniętymi na kłódki. Nad płotem, wysoka na dziesięć stóp, artystyczna wizja zrealizowanego projektu - wymyślnego kompleksu mieszkalno-handlowego - opatrzona napisem:

L A I N E W E S T  
T O W I Ę C E J N I Ż O S I E D L E  
T O M I E J S K I , P R Z Y J A Z N Y Ś R O D O W I S K U  
S T Y L Ż Y C I A !

Znalazła miejsce i cofała właśnie, żeby w nie wjechać. Co za radość!

Utkwił wzrok w jej światłach stopu. Zdawały się świecić jaśniej, kiedy się w nie wpatrywał. Rozjarzona czerwień to niebezpieczeństwo, czerwień to fart, czerwień to seks! Lubił światła stopu. Mógł się w nie wpatrywać tak, jak niektórzy wpatrują się w ogień w kominku. I wiedział *wszystko* o światłach stopu w samochodzie Cleo Morey. Znał wielkość żarówek, ich moc, wiedział, jak je wymienić, jak są połączone z zespołem przewodów

pojazdu, jak są włączane. O tym samochodzie wiedział wszystko. Przez całą noc czytał podręcznik serwisowy i surfował w Internecie. Dobre w Internecie jest to, że bez względu na porę dnia czy nocy można tam znaleźć jakiegoś smutasa entuzjastę, który potrafi powiedzieć więcej o mechanizmie zamykania drzwi w MG TF 160 z 2005 roku, niż wie o nim sam producent.

Wysiadła z samochodu! Miała na sobie dzinsy kończące się na łydkach. Różowe tenisówki. Białe T-shirt. Wytaszczyła z bagażnika trzy reklamówki z Sainsbury i przewiesiła sobie przez ramię pasek dużej, płóciennej torby.

Przejechał koło niej i skręcił w prawo na końcu ulicy. Potem znów w prawo. Jeszcze raz w prawo i zbliżał się do jej domu. Widział, jak stoi przed bramą, niezręcznie balansując torbami z zakupami i wciskając jednocześnie kod. Potem weszła do środka, a brama zatrzasnęła się za nią ze szczękiem.

Miał nadzieję, że nigdzie się już nie wybiera tego wieczoru. Musiał na to postawić. Ale przecież Bóg mu pomagał.

Zrobił jeszcze jedno pełne kółko, żeby mieć pewność, że niczego nie zapomniała i nie przybiegnie po to. Kobiety robią takie rzeczy. Wiedział o tym.

Po dziesięciu minutach uznał, że jest bezpiecznie. Zaparkował swojego priusa równolegle do zakurzonego volvo pokrytego ptasimi odchodami, które nie wyglądało, jakby miało zaraz gdzieś jechać. W ten sposób zablokował na chwilę ulicę, ale nic akurat nie nadjeżdżało. Otworzył mg, wyprowadził je i też zaparkował równolegle na chwilę, której potrzebował, żeby przesiąść się do priusa i wsunąć go na zwolnione miejsce między volvo a małym renault.

Zadanie wykonane.

Pierwsza część.

Szkoda, że mg ma założony twarde dach, pomyślał, kierując się do swojego garażu. Miło byłoby przejechać się wieczorem z opuszczonym dachem.

## Rozdział 98

Kiedy tylko skończyła się odprawa o 18.30, Grace złapał kluczyki do służbowego samochodu, który Tony Case dla niego zorganizował, i ciągnąc za sobą Glenna Bransona, pognął na parking na tyłach budynku.

- Daj mi poprowadzić, stary!

- Wiesz, że się boję, jak prowadzisz - zaproponował Grace. - Właściwie powiem to inaczej. Twoja jazda przeraża mnie śmiertelnie.

- Co ty powiesz? - powiedział Branson. - Przyganiał kocioł garnkowi. Sam jeździsz beznadziejnie. Jeździsz jak dziewczyna. Nie, nie jak dziewczyna. Jeździsz jak stary dziad, którym jesteś!

- A ty oblałeś test z zaawansowanej jazdy!

- Egzaminator był idiotą. Mój instruktor powiedział, że mam *naturalny talent* do szybkiej jazdy pościgowej. Moja jazda to coś!

- Powinni go zamknąć na mocy ustawy o zdrowiu psychicznym.

- Cienias!

Podeszli do nieoznakowanego mondeo i Grace rzucił Bransonowi kluczyki.

- Tylko nie próbuj mi zaimponować.

- Widziałeś „Szybcy i wściekli” z Vinem Dieslem?

- Ma najgłupsze nazwisko dla aktora.

- Tak? On też nie jest najlepszego zdania o twoim.

Grace nie był pewien, jaka nagła aberracja umysłowa skłoniła go do oddania kluczyków przyjacielowi. Być może nadzieja, że jeśli Glenn skoncentruje się na jeździe, oszczędzi mu kolejnej, niekończącej się

dyskusji - czy, co bardziej prawdopodobne, monologu - na temat wszystkiego, co było złe w jego małżeństwie.

Wytrzymał trzy godziny wywnętrzeń przyjaciela poprzedniego wieczoru, kiedy wrócili do domu po przesłuchaniu Bishopa. Butelka glenfiddicha, którą rozpiłi we dwóch, tylko częściowo uśmierzyła ból. Potem znów musiał słuchać Glenna rano, przy goleniu i ubieraniu, a także nad płatkami śniadaniowymi, z dodatkowym minusem w postaci lekkiego kaca.

Odetchnął, bo Branson jechał rozsądnie, jeśli nie liczyć jednej prostej w dół, w pobliżu Handcross, na której rozpędził samochód do 130 mil na godzinę, specjalnie, żeby następnie móc dać Grace'owi pokaz swoich umiejętności wyrabiania się na zakrętach - dwóch ostrych zakrętach pod górę.

- Chodzi tylko o ustawienie względem drogi i balansowanie gazem, stary - powiedział.

Z pozycji Grace'a, któremu żołądek podszedł do gardła, chodziło raczej o to, żeby nie wpaść na poważne, potężnie wyglądające drzewa rosnące przy obu zakrętach. Potem wyjechali na autostradę M23 i powtarzane przez Grace'a ostrzeżenia przed fotoradarami i glinami z drogowki, którym największą przyjemność sprawia łapanie innych policjantów, odniosły pewien skutek.

Branson zwolnił, ale teraz z kolei próbował zadzwonić do domu przez komórkę z zestawem głośnomówiącym

- Suka! - powiedział. - Nie odbiera. Mam przecież prawo porozmawiać z dziećmi, nie?

- Masz prawo być w swoim domu - przypomniał mu Grace.

- Może ty mógłbyś jej to powiedzieć. No wiesz, przedstawić jej oficjalny, policyjny punkt widzenia.

Grace pokręcił głową.

- Pomogę ci, jak tylko potrafię, ale nie mogę wygrać za ciebie twojej bitwy.

- No tak, masz rację. Nie powinienem cię prosić. Przepraszam.

- A co się stało z koniem?

- A jakże, znów o tym mówiła, kiedy z nią rozmawiałem. Postanowiła, że chce spróbować skoków. To są poważne pieniądze.

Grace prywatnie był zdania, że potrzebny jest jej psycholog.

- Myślę, że powinniście zgłosić się do Relate\* - powiedział.

\* W Wlk. Brytanii organizacja zajmująca się poradnictwem rodzinnym itp. - przyp. tłum.

- Już to mówiłeś.

- Mówiłem?

- Około 2.00 w nocy. I dzień wcześniej też. Powtarzasz się, stary. Pan Alzheimer się kłania.

- Wiesz, jaki jest twój problem? - spytał Grace.

- Poza tym, że jestem czarny? Łysy? Z upośledzonego społecznie środowiska?

- No, poza tym wszystkim.

- Nie, powiedz.

- Brak szacunku dla równych tobie.

Branson oderwał jedną dłoń od kierownicy i podniósł w górę.

- Szacunek! - powiedział z namaszczeniem.

- Tak lepiej.

Chwilę po 21.00 Branson zaparkował mondeo na pojedynczej, żółtej linii na Arlington Street, zaraz za hotelem Ritz i naprzeciwko restauracji Caprice.

- Ładna bryczka - powiedział, kiedy idąc pod górę, minęli zaparkowane ferrari. - Powinieneś sobie taką sprawić. To lepsze niż ta twoja gówniana alfa. Poprawiłaby twój wizerunek.

- Dzieli mnie od niej tylko jakieś drobne sto kawałków - powiedział Grace. - A ponieważ mój zespół obarczony jest tobą, moje szanse na podwyżkę tego rzędu są raczej znikome.

Na końcu ulicy skręcili w Piccadilly. Zaraz po prawej zobaczyli okazały, imponujący budynek w czerni i złocie. Jego wielkie, łukowate okna były jasno oświetlone, wewnątrz tętniło życiem. Elegancka tablica na murze głosiła „The Wolseley”.

Zostali wylewnie powitani przez odźwiernego w liberii i cylindrze.

- Dobry wieczór panom! - powiedział z łagodnym, irlandzkim akcentem.

- To restauracja Wolseley? - upewnił się Grace, czując się tu trochę nie na miejscu.

- Nie inaczej! Miło panów widzieć! - przytrzymał drzwi i gestem zaprosił ich do środka.

Grace z Bransonem weszli. Sporo osób skupionych było wokół recepcji. Obok przebiegł kelner z tacą pełną koktajli, zmierzając do rozległej sali z kopułą i galeriami, utrzymanej w eleganckiej, czarno-białej tonacji i pełnej ludzi. Panował gwar.

Grace rozglądał się przez chwilę. Był tu majestat belle epoque starego świata, a zarazem wyraźnie czuło się nowoczesność. Obsługa ubrana była w szykowną czerń, większość gości wyglądała doskonale. Uznał, że Cleo spodobałoby się to miejsce. Mógłby zabrać ją na noc do Londynu i przyszliby tutaj. Pomyślał jednak, że lepiej będzie, jak najpierw sprawdzi ceny.

Młoda recepcjonistka uśmiechnęła się do nich, następnie przywitał ich wysoki mężczyzna z modnie długimi i rozwichrzonymi, żółtymi włosami:

- Dobry wieczór panom. Czy mógłbym w czymś pomóc?
- Jesteśmy umówieni z panem Taylorem.
- Z panem Philem Taylorem?
- Tak.

Wskazał bar w bocznej sali.

- Jest tam, panowie, przy pierwszym stoliku po prawej! Bardzo proszę!

Wchodząc do baru, Grace zauważył mężczyznę po czterdziestce, w żółtej koszulce polo i niebieskich spodniach z surowej bawełny, który przyglądał mu się wyczekująco.

- Pan Taylor?
- Ano! - Mężczyzna uniósł się z miejsca. - Detektyw nadkomisarz Grace? - mówił z wyraźnym akcentem z Yorkshire.



- Tak. A to detektyw sierżant Branson.

Grace przyjrzał mu się pobieżnie, oceniając pierwsze wrażenie. Był swobodny, wyglądał zdrowo, choć z lekką nadwagą, miał miłą, szczerą twarz, nos przypieczony na słońcu, przeredzone, jasne włosy i czujne, bardzo bystre oczy. Ten nie dałby się oszukać, przyszło Grace'owi na myśl. Kluczyki do samochodu, z emblematem Ferrari na breloku, leżały przed nim na stoliku, obok wysokiej szklanki zawierającej koktajl wyglądający jak woda, z gałązką mięty.

- Miło mi panów poznać. Proszę siadać. Mogę zaproponować panom drinka? Polecam Mojito, jest wyśmienite - gestem przywołał kelnera.

- Ja prowadzę, wezmę dietetyczną colę - powiedział Branson.

- Dla mnie to samo - zamówił Grace, chociaż wobec czekającego go koszmaru jazdy powrotnej z Bransonem mógłby wypić z pół litra whisky. - Dziękujemy, płacimy za siebie. Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że zgodził się pan spotkać się z nami tak szybko - zaczął.

- Żaden problem. W czym mogę pomóc?

- Chciałbym spytać, jak długo zna pan Briana Bishopa? - powiedział Branson, kładąc na stoliku notatnik.

Mężczyzna zastanawiał się, a Grace przyglądał się ruchom jego gałek ocznych.

- Około sześciu lat... tak... prawie dokładnie sześć lat.

Branson zapisał tę informację.

- Czy odpowiadam pod groźbą odpowiedzialności? - spytał Phil Taylor, tylko połowicznie żartem.

- Nie - odparł Branson. - Chodzi nam tylko o to, żeby potwierdził pan określone ramy czasowe.

- Już to mówiłem wczoraj jednemu z waszych funkcjonariuszy. W czym konkretnie jest problem? Czy Brian ma kłopoty?

- Wolelibyśmy nie mówić za wiele w tym momencie - powiedział Grace.

- Jak pan go poznał? - spytał Branson.

- Na spotkaniu PI.

- PI?

- To klub dla miłośników samochodów, który prowadzi Damon Hill, kierowca wyścigowy, były mistrz świata. Płaci się roczną składkę i można korzystać z rozmaitych samochodów sportowych. Poznaliśmy się na koktajlu klubowym.

Spoglądając na brelok przy kluczykach, Branson spytał:

- To pańskie ferrari stoi za rogiem, na Arlington Street?

- 430? Tak, ale to mój własny samochód.

- Przyjemny - pochwalił Branson. - Przyjemny silnik.

- Byłby jeszcze przyjemniejszy, gdyby nie te cholerne fotoradary!

- Czy mógłby pan opowiedzieć nam trochę o sobie, panie Taylor? - spytał Grace, nie dając się sprowokować.

- O mnie? Jestem dyplomowanym księgowym i przez piętnaście lat pracowałem w Urzędzie Skarbowym, głównie w policji podatkowej. Tropiłem oszustwa podatkowe. Tam zobaczyłem, ile zarabiają niezależni doradcy finansowi, i już wiedziałem, co powinienem robić. Założyłem więc Taylor Financial Planning. Nigdy tego nie żałowałem. Niedługo po rozpoczęciu działalności poznałem Briana. Był jednym z moich pierwszych klientów.

- Jak określiliby pan pana Bishopa?

- Jak bym go określił? Jest świetny. Jeden z najlepszych. - Zastanawiał się chwilę. - Absolutnie uczciwy, bystry, rzetelny, sprawny w działaniu.

- Czy kiedykolwiek załatwił pan dla niego ubezpieczenie na życie?

- Wkraczamy w dziedzinę poufnych informacji o kliencie, panowie.

- Rozumiem - powiedział Grace. - Chciałbym zadać tylko jedno pytanie. Może pan nie odpowiadać. Czy kiedykolwiek załatwił pan polisę ubezpieczenia na życie, na nazwisko pani Bishop?

- Na to mogę odpowiedzieć kategorycznym nie.

- Dziękuję. Czy potwierdza pan, panie Taylor - pytał dalej Grace - że był pan tu, w tej restauracji, na kolacji z panem Bishopem w zeszłym tygodniu, w czwartek 3 sierpnia?

- Tak, byliśmy tu - powiedział Taylor, przybierając nieco obronną postawę.

- Czy jest to typowe dla pana miejsce spotkań? - spytał z kolei Branson.

- Tak. Lubię spotykać się tu z klientami.

- Pamięta pan może, o której, mniej więcej, wyszliście z restauracji?

- Mam coś lepszego - powiedział Phil Taylor z odcieniem chętności.

Sięgnął do swojej marynarki leżącej obok na ławce pod ścianą, na której siedział, wydobył portfel i szperając w nim, wyłowił kwit płatności kartą kredytową.

Grace przyjrzał się mu. Bishop nie kłamał, pomyślał, widząc, jaką ilość alkoholu wypili. Dwa koktajle Mojito. Dwie butelki wina. Cztery brandy.

- Wygląda na to, że mieliście, panowie, udany wieczór! - powiedział Grace.

Prywatnie zauważył, że ceny są nie wyższe niż w przyzwoitych restauracjach w Brighton. Mógłby sobie pozwolić na zaproszenie tu Cleo. Byłaby zachwycona.

- Ano mieliśmy.

Grace liczył w pamięci. Przy założeniu, że obaj pili mniej więcej po równo, wychodząc z restauracji Bishop miał w sobie dużo ponad limit dopuszczalny do prowadzenia pojazdu. Czy pod wpływem alkoholu mógł wpaść we wściekłość z powodu zdrady żony? Czy nabrał odwagi, żeby gnać na złamanie karku?

Studiując uważnie rachunek, w prawym górnym rogu znalazł to, czego szukał. *Godzina 22.54.*

- Jak pan odbierał Bishopa w tamten czwartkowy wieczór? - spytał Phila Taylora.

- Był w doskonałym nastroju. Bardzo wesoły. Świetny kompan. Następnego dnia rano miał turniej golfa w Brighton, więc nie chciał siedzieć do późna ani pić za dużo, ale i tak nam się to nie udało! - Zaśmiał się.

- Pamięta pan, jak szybko po zapłaceniu rachunku wyszliście?
- Natychmiast. Widziałem, że Brian chce jak najszybciej wracać do domu. Następnego dnia rano musiał wcześniej wstać.
- Pojechał taksówką?
- Owszem. Odźwierny, John, ją wezwał. Pozwoliłem mu wziąć pierwszą.
- Czyli było to około 23.00.
- Tak, około. Nie potrafię powiedzieć dokładnie. Może parę minut przed.

Grace zapłacił za napoje, podziękowali Taylorowi i wyszli.

Skręcając za róg, w Arlington Street, Grace w milczeniu dokonywał obliczeń. Przy mondeo serdecznie klepnął Bransona w plecy.

- Każdy ma swoje pięć minut!
  - Co to ma niby znaczyć?
  - To, przyjacielu, że nagle nastąpiła kumulacja wszystkich twoich urodzin!
  - Przepraszam, stary, ale nie nadążam.
  - Twoje zdolności kierowcy. Dam ci szansę wykazania się nimi. Najpierw pojedziemy ze stałą, dozwoloną szybkością do mieszkania Bishopa przy Notting Hill. Stamtąd popędzisz, jakby cię wszyscy diabli gonili! Sprawdźmy, jak szybko Brian Bishop mógł pokonać tę drogę.
- Branson się rozpromienił.

## Rozdział 99

O co tu, kurwa, chodzi? Wczoraj w Brighton można było rzucić kamieniem w dowolnym kierunku i trafić w MG TF. Teraz w całym mieście nie było widać ani jednego. Skunks ze złością rozglądał się zza przedniej szyby małego peugeota matki Beth.

- Zrób mi dobrze! - powiedziała Beth.
- Odpierdol się - powiedział. - Znajdź mi pierdolone mg.

Kobiety. Niech to szlag!

Była 22.30. Objechali już wszystkie parkingi. Nic. W każdym razie nic, co odpowiadałoby specyfikacji Barry'ego Spikera, a po ostatnim doświadczeniu z handlarzem samochodami nie chciał powtórzyć błędu i zwinąć nie taki model. MG TF 160. Niebieski. Reszta dowolna. Nie można było jaśniej.

Był nakręcony jak cholera. Koniecznie musiał wziąć browna.

Od dwóch godzin był na zejściu. Detektyw Packer obiecał. Zwinie samochód, odstawi do Spikera. Packer będzie czekał, dopóki nie wyjdzie od Spikera z forszą. Wszystko zorganizowane. Packer zapłaci mu jutro. Dziś wieczorem kupi browna za forśę od Spikera.

I tu zaczynały się schody. Nigdzie nie było niebieskiego MG TF 160. Ani jednego. Tak jakby je zmiotło z powierzchni ziemi.

Jechali Shirley Drive, jedną z głównych i najelegantszych arterii Hove. Widać było, jak płynie nią forsa, a nie krew. Wypasione domy, szpanerskie bryki na podjazdach. Wszystko, co tylko chciałbyś sobie kupić, gdybyś wygrał na loterii. Beemy, merce, porsche, bentleye, ferrari, range rovery,

co tylko chcesz. Błyszczący, kosztowny metal wszędzie w zasięgu wzroku i kart kredytowych.

- Skreć w prawo - rozkazał.
- Przynajmniej paluszkiem!
- Jestem zajęty. Pracuję.
- Nie powinieneś być w biurze tak późno! - skarciła go.
- Ta? Coś ci powiem. Znajdź tę brykę, a będę cię pieprzyć całą noc.

Zorganizuję nam trochę towaru.

Bethany przechyliła się i pocałowała go. Kolczyk w jej wardze polaskotał go w policzek.

- Uwielbiam cię, wiesz?

Skunks spojrzał na nią. Pod pewnymi względami była całkiem ładna, z zadartym nosem i krótkimi, czarnymi włosami.

Gdzieś w głębi coś w nim wezbrało. Coś, czego nigdy nie czuł przez wszystkie lata swojego zasranego dzieciństwa i nie umiał sobie z tym poradzić teraz. Wziął głęboki wdech, powstrzymując łzy.

- Wiesz, Beth, jesteś najmilszą rzeczą, jaka mi się zdarzyła w życiu. - Wzruszył ramionami. - Serio. Chcę, żebyś to wiedziała. A teraz odpierdol się i jedź. Mamy robotę.

Wtem, kiedy skręciła w prawo, gwałtownie pochylił się do przodu, podniecony. Pas szarpnął go w tył.

- Gazu! Szybko!

Bethany zmieniła bieg i peugeot wystrzelił do przodu, mijając wytworne, wolno stojące domy przy Onslow Road, goniąc tylne światła samochodu przed nimi. Dogonili mg czekające na przerwę w ruchu, żeby skręcić w prawo w Dyke Road.

Skunks wpatrywał się przed siebie. W światłach reflektorów wyraźnie widział małe mg. To było TF 160, ciemnoniebieskie, z niebieskim, twardym dachem. Dlaczego kierowca założył twardy dach przy takiej wspaniałej, letniej pogodzie, stanowiło dla niego zagadkę, ale nie problem. Spiker na pewno będzie zadowolony. Twardy dach był dodatkową premią.

Mg ruszyło.

- Jedź za nim! Niech nas nie widzi, ale go nie zgub!
- O co chodzi, Misiu?

Pieszczotliwie mówiła do niego Misiu, ponieważ nie lubiła nazywać go Skunksem.

- Pracuję. Nie zadawaj pytań.

Uśmiechnięta, rozbawiona jego dziwnym zachowaniem, Bethany ruszyła tuż przed nadjeżdżającym samochodem. Błysk świateł. Pisk hamulców i wycie klaksonu.

- Niech cię szlag! - rzucił. - Jeździsz, jakby cię popierdoliło.
- Powiedziałaś, że mam jechać za nim!
- Ale ma nas nie widzieć.

Zwolniła. Mg przyspieszyło na prostej drodze. Potem zatrzymało się na światłach. Bethany stanęła za nim. Skunks widział tył głowy kierowcy. Długie, ciemne włosy. Chyba kobieta.

- Kiedy mi wreszcie powiesz, o co tu chodzi? - chciała wiedzieć Bethany.

- Jedź za nią. Trzymaj się z daleka.

Miliardera Czasu niepokoiły światła samochodu jadącego za nim. Czy ten samochód go śledzi? Samochód policyjny? Światło zmieniło się na zielone, więc pojechał dalej, nie przekraczając dozwolonej prędkości 30 mil na godzinę. Na szczęście tamten samochód został z tyłu, potem ruszył powoli.

Na następnych światłach, na skrzyżowaniu z Old Shoreham Road, znów stanął za nim. Zatrzymał się dokładnie pod latarnią, więc mógł zobaczyć, że jest to byle co - mały, stary Peugeot 206. Zdecydowanie nie policyjny. Jakiś palant z dupą, która prowadziła. Nie ma obawy.

Pięć minut później wjechał w ulicę wzdłuż domu Cleo Morey i zaparkował równolegle do obsranego przez ptaki volvo. Przetawił priusa i wprowadził na jego miejsce mg. Idealnie! Dziwka nie będzie mieć powodu, żeby cokolwiek podejrzewać.

Skunks, stojąc ukryty w cieniu u wylotu ulicy, z zainteresowaniem przyglądał się dziwnym manewrom. Nie miał pojęcia, o co w tym chodzi.

Ani co kobieta tak długo robi w mg, grzebiąc się, podczas gdy zaparkowany równolegle prius blokuje ulicę.

Wreszcie kobieta wysiadła z samochodu i zobaczył, że się mylił - to był brodaty facet. Skunks przyglądał się, jak wsiada do priusa i odjeżdża.

Wrócił do zaparkowanego niedaleko peugeotu i wybrał numer posterunkowego Paula Packera.

- Cześć kolego! - powiedział Packer. - Co jest?

- Znalazłem samochód.

- Dobra. Mam mały problem na jakieś dwie godziny, dostałem wezwanie. Możesz trochę zaczekać?

- Jak długo?

- Maksymalnie dwie godziny.

Skunks spojrzął na zegar w peugeotcie. 22.50.

- Nie dłużej - powiedział. - Dłużej nie mogę czekać.

- Daj mi namiary. Załatwię to.

Skunks powiedział mu, gdzie jest. Potem rozłączył się i zwrócił się do Bethany:

- Ściągaj majtki.

- Nie noszę!



## Rozdział 100

Grace sprawdził czas. 23.07. Zerknął na szybkościomierz. Jechali ze stałą prędkością 135 mil na godzinę. Migwały światła samochodów z przeciwka, potem następowała ciemność. Skupiał się na samochodach jadących przed nimi, żeby uchronić Glenna przed kłopotami. Kiedy doganiali jakiś samochód, próbował zorientować się, czy to nie policja. Nie było to łatwe, ponieważ ten odcinek drogi patrolowało wiele nieoznakowanych wozów, ale wiedział, po czym je rozpoznać: dwie sylwetki w środku, czysty, jeden z nowszych modeli, czteroosobowy, z zewnętrzną anteną - to były najpewniejsze wskazówki. Poza tym wiedział, że o tak późnej porze nie będzie ich dużo - to był czas na samochody oznakowane, na widoczną obecność policji.

Już będzie musiał pociągnąć za sznurki - niełatwe zadanie, kiedy policja jest coraz baczniej obserwowana przez opinię publiczną - żeby oszczędzić Bransonowi mandatu i punktów karnych za cztery kamery Gatso, które podwójnie błysnęły na nich przy wyjeździe z Londynu. Cztery kamery, po trzy punkty każda, może nawet więcej, za prędkość, jaką mieli przy dwóch z nich. Co najmniej dwanaście punktów karnych. Natychmiastowy zakaz.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie protesty przyjaciela.

- Czego się szczerzysz? - spytał Branson, przekrzykując piosenkę rapera Bubby Sparxxxa dobiegającą z radia nastawionego na maksymalną głośność. - Co cię tak bawi?

Grace tolerował ten jazgot, ponieważ Glenn powiedział mu, że potrzebuje

takiej muzyki, *żeby złapać fazę* do szybkiej jazdy.

- Moje życie - powiedział.

Minęło osiem minut. Byli już dobrze za skrzyżowaniem autostrad nr 8 i lada moment mogło pojawić się skrzyżowanie nr 9. Przyglądał się ciemnej drodze przed nimi, wypatrując oznaczenia.

- Twoje życie? Myślałem, że twoje życie jest po prostu smutne. Nie zauważyłem, że to komedia.

- Nie gadaj, tylko jedź! Mam to, no... jak to się nazywa? ...*doświadczenie bliskości śmierci*. Kiedy całe życie przelatuje ci przed oczami. Mam to, odkąd ruszyliśmy z Notting Hill.

Przed nimi z mroku wyłoniła się niebiesko-biała tablica pokazująca zjazd na lotnisko Gatwick i oznaczenie skrzyżowania autostrad nr 9. Minęli je pędem. W niedalekiej odległości przed nimi Grace mógł już dostrzec zarys autostrady przecinającej górą tę, którą jechali.

Trzydzieści sekund później, kiedy przejechali pod nią, przeniósł wzrok z zegarka na szybkościomierz.

- Dobra, teraz możesz zwolnić!

- Nie ma mowy!

Bubba Sparxxx skończył i Grace odetchnął. Pochylił się, żeby ściszyć radio, ale spotkało się to z protestem Bransona.

- No co ty, teraz będzie Mobb Deep. Ty nie masz o tym pojęcia, ale to jest moja muzyka.

- Jeśli nie zwolnisz, poszukam Cliffa Richarda! - zagroził Grace.

Branson zwolnił nieznacznie, kręcąc głową.

Odcinając się chwilowo od Bransona i jego muzyki, Grace skupił się na rachunkach. Od apartamentowca Bishopa przy Westbourne Grove na Notting Hill przejechali ponad dwadzieścia osiem mil, część przez miejski obszar zabudowany, część drogą szybkiego ruchu i autostradą.

Było wiele innych dróg, którymi mógł pojechać Bishop i analiza wszystkich fotoradarów i kamer CCTV może z czasem dać odpowiedź, którą wybrał. Na wyjeździe z Londynu panował dość duży ruch i Grace wiedział, że w różne dni, o różnych porach można mieć szczęście albo nie.

Dzisiaj pokonali tę odległość w trzydzieści sześć minut. Z dozwoloną prędkością zajęłoby to prawie godzinę. Branson naprawdę gnał jak wichur i to cud, że nie zostali nigdzie zatrzymani. Przypuszczalnie przy mniejszym natężeniu ruchu albo jadąc inną drogą, można by odjąć od tego czasu jeszcze pięć do dziesięciu minut. Znaczyło to, że Bishop mógł tu dojechać w dwadzieścia sześć minut.

Należało uwzględnić szereg czynników. Z kwitu Phila Taylora z restauracji wynikało, że rachunek został zapłacony o 22.54 w czwartek. Zegar w czytniku kart kredytowych niekoniecznie musiał być stuprocentowo dokładny - mógł się spieszyć lub spóźnić o kilka minut. Zrobił chwilowe założenie, ostrożnie biorąc pod uwagę domniemanie niewinności Bishopa, że zegar się spóźnił. Jeśli tak, to Bishop wyszedł z restauracji mniej więcej dokładnie o 23.00. Jazda taksówką, przy braku korków, mogłaby zająć piętnaście minut. Do tego trzeba dodać ze dwie minuty na wyprowadzenie samochodu z podziemnego parkingu pod domem.

Bishop mógł ruszyć swoim samochodem z Westbourne Grove nie później, jak o 23.20. Kamera ANPR na wiadukcie na skrzyżowaniu autostrad nr 9 przy Gatwick namierzyła go o 23.47.

Dwadzieścia siedem minut na przejechanie drogi, która im zajęła trzydzieści sześć. W dodatku Bishop miał dużo mocniejszy samochód. Najszybszą limuzynę na świecie.

Zegar kamery ANPR też nie musiał być dokładny. W całej tej chronologii było mnóstwo ruchomych elementów, niemniej jednak teraz był pewien, że było to możliwe.

Wyłączył radio.

- Ej! - zaprotestował Branson.
- I nie puszczaj tego u mnie w domu, bo wylądujesz w kurniku.
- Ty nie masz kurnika.
- Kupię sobie rano.
- Masz dwie lewe ręce. Nigdy go nie złożysz.
- To się módl, żeby nie padało. - Teraz już poważnie, spytał: - Jak oceniasz Phila Taylora jako świadka?

- Jest szczerzy. Poza tym szpaner, z tą swoją bryką i w ogóle. Bardzo pewny siebie.

- Kryje klienta? Ma razem z Bishopem interes w forsie z ubezpieczenia?

Branson pokręcił głową.

- Nie wygląda na takiego. Były detektyw z urzędu skarbowego? Nie mówię, że wszyscy są niewinni, ale on po prostu wydaje mi się uczciwy. Równy gość, był w porządku. Tylko ta jego bryka... sukinsyn! Nienawidzę go za to!

- Ja też uważam, że jest szczerzy. Będzie wiarygodnym świadkiem w sądzie.

- Więc?

- Ty zrobiłeś tę drogę w trzydzieści sześć minut. Według moich obliczeń, Bishop musiałby ją zrobić w dwadzieścia siedem, ale to z marginesem błędu po obu stronach.

- Mógłbym pojechać szybciej.

Grace skrzywił się na tę myśl.

- Pojechałeś dokładnie jak trzeba.

- Więc?

- Oskarżymy go.

Grace wyjął swoją komórkę i wybrał domowy numer prawnika z Prokuratury Koronnej, Chrisa Binnsa, z którym już współpracował w ciągu ostatnich dwóch dni. Jego sankcja była wymagana do oficjalnego postawienia Bishopa w stan oskarżenia.

Poinformował prawnika o swoich najnowszych odkryciach dokonanych tego wieczoru i o ograniczeniach czasowych, jakim podlegają w kwestii zatrzymania Bishopa.

Umówili się, że spotkają się o 6.30 w Sussex House.

## Rozdział 101

Cleo leżała na sofie w pokoju na dole, z prawie pustą butelką różowego wina stojącą na podłodze i zupełnie pustym kieliszkiem stojącym obok. Na ekranie dużego telewizora leciały z DVD „Wyznania gejszy”, ale oczy jej się zamykały.

Wiedziała, że właściwie nie powinna nic pić, bo miała tej nocy dyżur - i esej do napisania na zajęcia z filozofii - jednak kiedy znalazła rybę na podłodze, naprawdę się zdenerwowała. To dziwne, myślała, że całymi dniami ogląda martwych ludzi i jeśli tylko nie są to dzieci, potrafi zachować emocjonalny dystans, a denerwuje się na widok małej ryby leżącej w poprzek szpary między dwiema dębowymi deskami. Żywe kolory wyblakły do poszarzałego brązu, mętne oko patrzyło na nią oskarżycielsko, jakby mówiło: Dlaczego nie wróciłaś do domu i mnie nie uratowałaś?

I jak, u diabła, stworzonko się tu znalazło? Gdyby to było wczoraj, mogłaby winić sprzątaczkę Mariję, bo ta niezdarzna kobieta zawsze coś psuła. Ale ona nie przychodziła we wtorki. Czy mógł tu się dostać kot? Ptak? A może nieszczęsna ryba wypróbowała jakieś nowe, dzikie ćwiczenie?

Sięgnęła ręką, wlała ostatnie krople do kieliszka i wypila. Na ekranie gejszę uczono sztuki zadowalania mężczyzny. Patrzyła uważnie, nagle rozbudzona, jakby złapała drugi oddech. Nastawiła ten film w nadziei, że dowie się z niego paru rzeczy, które mogłaby wypróbować na Royu.

Z tego to powodu pod jedwabnym peniuarem miała na sobie tylko bardzo seksowną i niewiele kryjącą, kremową, koronkową bieliznę kupioną

w sobotę, za skandaliczną cenę, w specjalistycznym sklepie w Brighton. Przez cały wieczór planowała, co zrobi, kiedy on się zjawi. Otworzy drzwi, pocałuje go, a potem cofnie się i pozwoli, żeby peniuar rozsunął się z przodu.

Bardzo chciała zobaczyć jego reakcję! Czytała kiedyś, że mężczyźni podnieca, kiedy kobieta przejmuje inicjatywę. Dla niej podniecające było leżeć tak w tym stroju i myśleć o tym. Zegar na odtwarzaczu pokazywał 00.08. Gdzie jesteś? - zastanawiała się.

Jakby w odpowiedzi zadzwonił jej domowy telefon. Podniosła bezprzewodową słuchawkę do ucha i odebrała. To był Roy.

Dzwonił z komórki, w której słychać było trzaski.

- Cześć - powiedział. - Jak się masz?
- W porządku. Gdzie jesteś, biedaku?
- Pięć minut od biura. Muszę szybko załatwić parę spraw na rano. Mógłbym być u ciebie za pół godziny. Nie będzie za późno na wizytę?
- Nie. Wcale nie będzie za późno! Przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz mógł. Poczekam na ciebie z drinkiem. Jak poszło?
- Dobrze. Bardzo dobrze. Męcząco, ale warto było jechać. Jesteś pewna, że chcesz, żebym przyjechał?
- Zupełnie pewna, mój kochany! Kochać się jest o wiele lepiej w dwie osoby!

Rozłączyła się i usłyszała sygnał oczekującego połączenia. Telefon natychmiast znów zadzwonił.

- Halo?

Jasna cholera! - pomyślała wytrącona z równowagi, słysząc głos w słuchawce. Niech to szlag! Dlaczego teraz?

## Rozdział 102

Telefon Skunksa zapikał. Przyszedł SMS. Wyplątał się z na wpół rozebranej Bethany, rozpaczliwie usiłując się połapać. Rozespany, cały pognieciony, nie umiał znaleźć pieprzonego telefonu. I strasznie nim telepało.

- Au! - powiedziała Beth, kiedy wsadził rękę pod jej udo.
- Chcę znaleźć komórkę.
- Chyba ja wcześniej złamię kręgosłup. - Zachichotała.
- Parszywa suka.

Znalazł telefon na podłodze, przed siedzeniem pasażera. SMS był od detektywa Paula Packera:

*Jestem. Gotów?*

Skunks odpisał:

*Tak.*

Zegar pokazywał godzinę 00.14.

Gramoląc się niezręcznie, przy narzekaniach Bethany, że ją przygniata, Skunks wciągnął z powrotem spodnie od dresu. Adidasy miał na nogach. Szybko cmoknął Bethany w policzek.

- To nara.
- Co robisz? Gdzie idziesz?
- Mam spotkanie w biurze!
- Opowiedz mi!
- Muszę iść.

Z trudem wylazł z samochodu. Wciąż zeszywniały i roztrzęsiony stał w

cieniu, jaki dawał płot budowy, trzymając się jedną ręką samochodu, drugą płotu. Dyszał ciężko, serce mu kołatało i przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Strumyki potu ściekały mu po głowie i ciele. Zobaczył twarz Beth wpatrującej się w niego z niepokojem, widmową w świetle latarni po drugiej stronie ulicy.

Zrobił krok do przodu i zdał sobie sprawę, że kręci mu się w głowie. Zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie przytrzymał się samochodu. Muszę to zrobić, wytrzymać jeszcze trochę, iść do przodu, nie mogę tego spieprzyć, muszę to zrobić, muszę. Muszę!

Naciągnął na głowę kaptur cienkiej kurtki, po czym ruszył do przodu. Powiał wiatr i płot zaklekotał. Po obu stronach ulicy stały w milczeniu zaparkowane samochody. MG było o jakieś pięćdziesiąt jardów przed nim.

Miał świadomość, że idzie chwiejnie. Zdawał sobie też sprawę, że jest obserwowany. Nie wiedział, gdzie oni są, ale wiedział, że gdzieś na tej ulicy. Prawdopodobnie w jednym z samochodów albo furgonetek. Minął czarnego priusa. Citroena 2CV. Zakurzony bus mitsubishi rozmył mu się przed oczami, kiedy do niego doszedł, potem obraz wyostrzył się. Mdłości były teraz jeszcze silniejsze. Poczul, że po lewej ręce lezie mu owad, więc klepnął go dłonią. Rozlazło się po nim więcej owadów, czuł na skórze ich małe, ostre nogi. Oklepał sobie pierś, sięgnął do tyłu i poklepał się po karku. Potem po brzuchu.

- Wynocha! - wrzasnął.

W nagłej panice pomyślał, że zapomniał wytrychów. Wypadły mu w samochodzie? Zostawił je w kamperze?

Sprawdził w kieszeniach, we wszystkich po kolei. Nie! Niech to szlag! Nie!

Jeszcze raz sprawdził. Były. W prawej kieszeni kurtki, zamknięte w twardym, plastikowym pudełku.

Weź się w garść!

Kiedy doszedł do mg, nagle oświetliło go jasne, białe światło.

Usłyszał ryk silnika i odsunął się. Bethany przemknęła obok, cisnąc gaz do dechy na pierwszym biegu. Pomachała mu i zatrąbiła.



Głupia krowa! Uśmiechnął się. Patrzył, jak znikają tylne światła jej samochodu. Potem, poruszając się szybko i nagle czując się trochę lepiej, kiedy już tu dotarł, wyjął z kieszeni komplet wytrychów, wziął ten, którego potrzebował, i wetknął jego koniec w zamek w drzwiach. W kilka sekund był otwarty. Natychmiast włączył się alarm - głośne wycie połączone z błyskaniem świateł.

Zachował spokój. Te samochody nie są łatwe do zwinięcia, mają czujniki wstrząsów i immobilizery. Za to najważniejsze przewody znajdują się tuż pod deską, można je zewrzeć, unieszkodliwiając czujnik wstrząsów i immobilizer, i uruchomić silnik za pomocą jednego mostka.

Wnętrze pachniało przyjemnie nową, skórzaną tapicerką i ledwo wyczuwalnym, kobiecym zapachem. Wsiadł, zostawiając drzwi otwarte, żeby mieć światło, wsadził głowę pod deskę i natychmiast znalazł to, czego szukał. Dwie sekundy i po alarmie.

Wtem usłyszał krzyk. Kobięcy głos pełen furii.

- Ty! To mój cholerny samochód!

Cleo pędziła ulicą, a krew w niej wrzała. Była wystarczająco zirytowana tym, że jej starannie przygotowane plany na wieczór, już pokrzyżowane przez niespodziewany wyjazd Roya do Londynu, teraz całkowicie zrujnowało wezwanie do zwłok pijaka, znalezionych na przystanku autobusowym w Peacehaven. Widząc, że jakiś nędzny poparaniec w kapturze próbuje ukraść jej samochód, gotowa była rozerwać go na strzępy.

Trzasnęły drzwi samochodu. Słyszała uruchomiony silnik. Zapaliły się tylne światła. Straciła nadzieję. Sukinsyn odjeżdżał. Wtem, kiedy właśnie zrównała się z volvo zaparkowanym za jej samochodem, wnętrze mg nagle rozświetlił jasny płomień, jakby zapalono potężną żarówkę.

Nie było wybuchu. Żadnego dźwięku eksplozji. Tylko cichy, buchający ogień zamknięty w kabinie. Jak pokaz efektów świetlnych.

Stanęła i gapiła się, zdrętwiała z wrażenia. Przez moment myślała, że poparaniec w kapturze to zwykły wandal, który specjalnie podłożył ogień. Tyle tylko, że on wcięż był w środku.

Rzuciła się do przodu, dopadła do drzwi kierowcy i zobaczyła w oknie jego przerażoną, wychudzoną twarz. Wydawał się walczyć z klamką od wewnątrz, napierając całym ciężarem na drzwi, jakby były zablokowane, potem zaczął gorączkowo walić w szybę w drzwiach pięścią, patrząc na nią błagalnie. Zobaczyła, że pali się jego kaptur. I jego brwi. Teraz poczuła gorąco. W panice złapała za klamkę od swojej strony i szarpnęła. Bez skutku.

Nagle koło niej pojawiło się dwóch mężczyzn, dwóch policjantów w czarnych kombinezonach i kamizelkach chroniących przed dźgnięciem nożem. Jeden przysadzisty, z ogoloną głową, drugi wyższy, ostrzyżony na jeża.

- Niech się pani odsunie - powiedział ten przysadzisty.

Chwyił obiema rękami za klamkę i pociągnął. Drugi obiegnął samochód, żeby spróbować drzwi z drugiej strony.

Wewnątrz postać w płonącej kurtce szaleńczo kręciła głową, usta wykrzywione i otwarte wyrażały skrajne przerażenie i cierpienie, skóra pokrywała się pęcherzami.

- Odblokuj drzwi! Skunks, na litość boską, odblokuj drzwi! - krzyczał przysadzisty policjant.

Postać w środku odpowiedziała coś bezgłośnie, widać było tylko, jak porusza ustami.

- To mój samochód! - Cleo doskoczyła i włożyła kluczyk do zamka, ale nie przekręcił się.

Policjant próbował jeszcze, ale po chwili zrezygnował i sięgnął po pałkę.

- Proszę się cofnąć - nakazał Cleo. - Do tyłu!

Mocno uderzył w szybę, która popękała. Uderzył drugi raz i poczerniała szyba wgniotła się. Znow uderzył, potem przebił szybę pięściami, obsypując wyjącego intruza drobinami szkła i nie zważając na wydobywające się z okna płomienie, na gęsty, czarny dym śmierdzący spalonym plastikiem, złapał obiema rękami za ramę okna, ciągnąc z całej siły drzwi.

Nie ustąpiły.

Wtedy policjant wziął głęboki wdech, zanurzył się do piekielnego wnętrza, objął chłopaka i jakoś, przy pomocy kolegi, powoli - zbyt powoli dla wyjącego nieszczęśnika, jak się zdawało Cleo - wyciągnął go przez okno i położył na ulicy. Palilo się całe jego ubranie. Widziała płonące sznurowadła adidasów. Wił się, miotał i jęczał w potwornej męce. Nigdy jeszcze nie widziała tak cierpiącego człowieka.

- Przetoczcie go! - krzyknęła, rozpaczliwie chcąc jakoś mu pomóc. - Toczcie go, żeby zdusić ogień!

Obaj policjanci przyklękli, skinęli głowami i zaczęli go przetaczać raz za razem, byle dalej od płonącego samochodu, przy czym ten przysadzisty nie zwracał uwagi lub nie był świadom, że sam ma spalone brwi i poparzoną twarz.

Palący się kaptur częściowo wtopił się w twarz i głowę ofiary, dresowe spodnie ze sztucznego tworzywa stopiły się wokół nóg. Przez smród stopionego plastiku Cleo wyczuła nagle smakowity w pierwszej chwili zapach pieczonej wieprzowiny, zaraz jednak zdjęło ją obrzydzenie, kiedy uświadomiła sobie, co to jest w rzeczywistości.

- Wody! - powiedziała, przypominając sobie kurs pierwszej pomocy, jaki odbyła przed laty. - Trzeba mu dać wody i okryć go, żeby odciąć dostęp powietrza.

Jej wzrok przeskakiwał między leżącym na drodze, cierpiącym człowiekiem a ogniem szalejącym w jej samochodzie. Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, czy w schowku na rękawiczki albo w bagażniku jest coś, czego mogłaby potrzebować, ale i tak nic już nie dałoby się na to poradzić.

- W bagażniku jest koc! - powiedziała. - Koc piknikowy... można go owinąć... trzeba odciąć powietrze...

Jeden z policjantów puścił się biegiem. Cleo spojrzała na zwijającą się, szerniałą postać. Trząśł się, drgał jakby podłączony do prądu. Przestraszyła się, że umiera. Uklękła przy nim. Chciała wziąć go za rękę, ulżyć mu jakoś, ale ręka wyglądała na boleśnie poparzoną.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała łagodnie. - Zobaczysz. Zaraz będzie pomoc. Karetka już jedzie! Wyjdiesz z tego.

Toczył głową z boku na bok, z otwartych ust, spomiędzy pokrytych pęcherzami warg wydobywał się żaloszny, chrapliwy dźwięk.

Był jeszcze dzieciakiem. Chyba nie miał nawet dwudziestu lat.

- Jak ci na imię? - spytała łagodnie.

Ledwo był w stanie skupić na niej wzrok.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz!

Policjant przybiegł z powrotem z dwoma płaszczami.

- Proszę mi pomóc go owinąć.

- Jest cały pokryty stopionym materiałem. Może powinniśmy spróbować to z niego zdjąć? - spytała.

- Nie. Po prostu go owinmy. Najciaśniej, jak się da.

W oddali usłyszała dźwięk syreny, z początku słaby, ale szybko coraz głośniejszy. Potem drugi. I trzeci.

Z ciemnego wnętrza swojego priusa Miliarder Czasu przyglądał się Cleo Morey i dwóm policjantom, klęczącym na ziemi. Słyszał wycie syren. Migające, niebieskie światło przemknęło mu przed oczami. Widział, jak pierwszy przyjechał samochód policyjny. Dwa wozy strażackie, potem trzeci. I karetka. Widział wszystko. Patrzył, bo tej nocy nie było już nic, czemu mógłby poświęcić czas. Wciąż tam był i patrzył, kiedy wstał świt. Przyjechała platforma z dźwigiem. Mg z wypalonym wnętrzem, ale z zewnątrz wyglądające nieźle, jak ocenił, zostało podniesione z miejsca i wywiezione.

Nagle ulica na zewnątrz wydała się cicha i spokojna. Miliarder Czasu natomiast, siedząc w swoim samochodzie, gotował się z wściekłości.

## Rozdział 103

Budzik miał zadzwonić za kilka minut, o 5.30, ale Roy Grace już był zupełnie przytomny i słuchając porannego, ptasiego chóru, rozmyślał. Cleo też nie spała. Słyszał szelest jej rzęs o poduszkę za każdym razem, kiedy mrugnęła.

Leżeli na boku, jak dwie łyżeczki. Mocno trzymał w ramionach jej nagie ciało.

- Kocham cię - wyszeptał.

- Tak bardzo cię kocham - odszepnęła. W jej głosie slychać było lęk.

O 1.00 wciąż był w biurze, przygotowując się do spotkania z prawnikiem z Prokuratury Koronnej, kiedy zadzwoniła do niego. Jej głos brzmiał naprawdę strasznie. Pojechał prosto do jej domu, a potem, w przerwach między uspokajaniem jej, spędził prawie godzinę przy telefonie, tropiąc dwóch policjantów, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce zdarzenia. W końcu dotarł do tajniaka z sekcji przestępstw samochodowych, niejakiego Trevora Sallisa, który wyjaśnił mu, co tam robili. Była to zaplanowana akcja mająca na celu ujęcie herszta gangu.

Według Sallisa, miejscowy męt będący na bakier z prawem współpracował z policją i - przez przypadek, jaki się zdarza w życiu - to samochód Cleo wzięty został na cel. Najwyraźniej coś poszło całkiem źle, kiedy złodziej spróbował spiąć przewody na krótko. MG TF slyną z tego, że trudno je ukraść.

To wyjaśnienie uspokoiło Cleo. Jednak w całym tym zdarzeniu było coś,

co głęboko niepokoiło Grace'a, chociaż nie potrafił wskazać co. Niedoszły złodziej przebywał teraz na oddziale intensywnej opieki medycznej w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex - niech Bóg go ma w opiece w tym miejscu, pomyślał Grace prywatnie - i jeśli przeżyłby następne godziny, miał zostać przeniesiony na oddział oparzeń w East Grinstead. Drugi policjant, Paul Packer, znajdował się w tym samym szpitalu z ciężkimi, ale niezagrażającymi życiu oparzeniami.

Co mogło spowodować zapalenie się samochodu? Czy dureń, nie mając pojęcia, w czym grzebie, przerwał przewód paliwowy?

Takie myśli kłębiły mu się w zmęczonym mózgu, kiedy budzik zaczął dzwonić. Miał dokładnie godzinę, żeby pojechać do domu, wziąć prysznic, włożyć świeżą koszulę - później tego ranka miała się odbyć następna konferencja prasowa - i dotrzeć do biura.

- Weź dzień wolny - powiedział.

- Wezmę.

Pocałował ją na do widzenia.

Chris Binns, prawnik Prokuratury Koronnej przydzielony do sprawy Katie Bishop, w opinii Grace'a - podzielanej przez zdecydowaną większość oficerów policji - zgrywał strasznego waśniaka. W przeszłości spotkali się już niejednokrotnie i nie przepadali za sobą.

Grace rozumiał swoją pracę przede wszystkim jako służbę na rzecz przyzwoitej części społeczeństwa, polegającą na chwytności przestępców i doprowadzaniu ich przed oblicze sprawiedliwości. Dla Binnsa sprawą najwyższej wagi było oszczędzenie Prokuraturze bezzasadnych kosztów postępowania w sprawach, które mogłyby nie zakończyć się wyrokiem skazującym.

Mimo wczesnej pory, Binns wkroczył do gabinetu Grace'a, wyglądając - i pachnąc - świeżo jak róża. Wysoki, około trzydziestopięcioletni mężczyzna w dobrej formie fizycznej nosił fryzurę znacznej objętości, a jego wydatny, orli nos nadawał mu wygląd drapieżnego ptaka. Miał na sobie dobrze skrojony, ciemnoszary garnitur, za ciężki, zdaniem Grace'a,

na tę pogodę, białą koszulę, sztywny krawat, a na nogach czarne oksfordy, które musiał chyba glansować całą noc.

- Miło cię widzieć, Roy - powiedział wyniosłym tonem, obdarzając Grace'a bezwładnym, wilgotnym uściskiem dłoni.

Usiadłszy przy okrągłym stole do rozmów, postawił koło siebie na podłodze pionową, czarną aktówkę z cielejącej skóry i przez moment mierzył ją surowym wzrokiem, jakby była pieskiem, któremu kazał siedzieć. Potem wyjął z niej duży notatnik w twardej oprawie, a z kieszeni na piersi wieczne pióro Montblanc.

- Wdzięczny jestem, że przyjechałeś tak wcześnie - powiedział Grace, tłumiąc ziewnięcie. Oczy mu się zamykały ze zmęczenia. - Masz ochotę na herbatę, kawę, wodę?

- Poproszę herbatę. Z mlekiem, bez cukru.

Grace podniósł słuchawkę i poprosił Eleanor, która na jego polecenie też musiała przyjść wcześniej, żeby przyniosła jedną herbatę i kawę, najmocniejszą, jaką zdoła zrobić.

Binns przez chwilę czytał zapiski w swoim notesie, po czym podniósł wzrok.

- Zatem aresztowaliście Briana Desmonda Bishopa o 20.00 w poniedziałek?

- Zgadza się.

- Możesz mi przedstawić swoje podstawy oskarżenia? Czy jest coś, co nas powinno niepokoić?

Grace podsumował kluczowe dowody: obecność DNA Bishopa w spermie znalezionej w pochwie Katie Bishop, polisa ubezpieczenia na życie na jej nazwisko, sporządzona zaledwie pół roku temu, i jej zdrada małżeńska. Zwrócił także uwagę na dwa poprzednie wyroki Bishopa za akty przemocy wobec kobiet. Poruszył kwestię alibi Bishopa, ale zaraz też pokazał prawnikowi chronologię, którą spisał zeszłej nocy po powrocie z Londynu, wykazując, że Bishop miał wystarczający margines czasu, żeby pojechać do Brighton, zamordować żonę i wrócić do Londynu.

- Wyobrażam sobie, że mógł być trochę zmęczony na polu golfowym

w piątek rano - powiedział Chris Binns sucho.

- Okazuje się, że grał znakomicie - odparł Grace.

Binns uniósł brew i przez moment Grace bał się, że teraz zacznie się czepiać i zażąda zeznań świadków, partnerów Bishopa od golfa. Na szczęście powiedział tylko:

- Mógł mieć wciąż wysoki poziom adrenaliny, być podniecony dokonaniem zabójstwa.

Grace uśmiechnął się. Co za miła odmiana - tym razem ten facet był po jego stronie.

Prawnik Prokuratury Koronnej odsunął mankiet, ukazując złote spinki i marszcząc brwi, spojrzał na zegarek.

- No dobrze, więc co robimy?

Grace pilnował czasu. Była 6.55.

- Tak jak mówiliśmy wczoraj wieczorem, adwokat Bishopa został zawiadomiony. Spotyka się z klientem o 7.00. Detektyw sierżant Branson i detektyw Nicholl przedstawia zarzuty.

O 7.30 Glenn Branson i Nick Nicholl w towarzystwie sierżanta służby więziennej, weszli do pokoju przesłuchań, gdzie już siedział Brian Bishop ze swoim adwokatem.

Bishop, ubrany w papierowy kombinezon, miał ciemne kręgi pod oczami, a jego skóra już przybrała więzienną błądź. Ogolił się, ale w słabym świetle albo w pośpiechu, bo ominął kilka miejsc. Jego włosy nie wyglądały tak porządnie, jak przedtem. Po zaledwie trzydziestu sześciu godzinach już wyglądał staro. Glenn wiedział, że więzienie to właśnie robi z ludźmi. Instytucjonalizuje ich, zanim się obejrzą.

Leighton Lloyd spojrzał na Bransona i Nicholla.

- Dzień dobry panom. Mam nadzieję, że teraz zwolnicie mojego klienta.

- Obawiam się, proszę pana, że na skutek ustaleń poczynionych tej nocy mamy wystarczające dowody, aby postawić pańskiego klienta w stan oskarżenia.



Całe ciało Bishopa oklapło. Otworzył usta i odwrócił się do swojego adwokata zdeorientowany.

Leighton Lloyd zerwał się na nogi.

- Co z alibi mojego klienta?

- Wszystko zostało sprawdzone - powiedział Branson.

- To niedorzeczne! - protestował prawnik. - Mój klient był z wami całkowicie szczerzy. Odpowiedział na wszystkie wasze pytania.

- Sąd weźmie to pod uwagę - oświadczył Branson, po czym, przechodząc do rzeczy, zwrócił się bezpośrednio do Bishopa: - Brianie Desmondzie Bishopie, jest pan oskarżony o to, że 3 lub 4 sierpnia bieżącego roku w Brighton, w hrabstwie Sussex, popełnił pan zbrodnię zabójstwa Katherine Margaret Bishop. Może pan nic nie mówić, ale jeżeli w trakcie przesłuchania zatai pan coś, co później zezna pan przed sądem, będzie to okolicznością obciążającą. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Czy to jasne?

Bishop znów zerknął na prawnika, potem spojrział na Bransona.

- Tak - wyszeptał.

Branson zwrócił się teraz do Lloyda:

- Czynimy przygotowania do postawienia pańskiego klienta przed sądem magistrackim dziś o godzinie 14.00. Wystąpimy o zatrzymanie w areszcie śledczym do czasu procesu.

- Wniesiemy o zwolnienie za kaucją - rezolutnie odparował Lloyd, posyłając Bishopowi uspokajający uśmiech. - Mój klient jest wybitnym członkiem społeczności i filarem społeczeństwa. Jestem pewien, że gotów jest zdeponować paszport i wpłacić znaczną sumę tytułem poręczenia.

- O tym zadecyduje sąd - uciał Branson.

Następnie wraz z Nichollem wrócili do Sussex House, zostawiając Bishopa w rękach adwokata i strażnika.

## Rozdział 104

Po wyjściu prawnika Prokuratury Koronnej Grace połączył się wewnętrzną linią ze swoim przyjacielem i kolegą Brianem Cookiem, kierownikiem oddziału wsparcia naukowego, i spytał go, co wie o spalonym mg przywiezionym na parking policyjny zeszłej nocy.

- Jeszcze nie dałem tego nikomu z kryminalistyki, Roy - powiedział Cook. - Mam tylu ludzi na urlopach, a ci, co są, urabiają sobie ręce po łokcie z tymi dwiema sprawami zabójstw.

Dlaczego pytasz? Myślisz, że to ma związek?

- Nie. Jestem tylko ciekaw, co się stało.

Mimo niedyskrecji Glenna Bransona, jego związek z Cleo Morey nie był jeszcze powszechnie wiadomy i Grace wolałby, żeby tak zostało, obawiając się, że niektórzy ludzie z jakichś powodów mogliby dopatrywać się w tym braku profesjonalizmu.

- Rozumiem, że samochód należał do Cleo Morey z kostnicy - powiedział Cook, a Grace nie był pewien, czy w jego głosie pobrzmiwa aluzja, czy nie. Rozwiewając jego wątpliwości, Cook dodał zdecydowanie aluzyjnie: - To twoja przyjaciółka, prawda?

- Przyjaźnimy się, owszem.

- Tak słyszałem. Tobie to dobrze! Posłuchaj, będę cię informować na bieżąco. Mamy funkcjonariusza w szpitalu, a z tego, co wiem, to jest tam człowiek związany ze sprawą, który walczy o życie, więc będę musiał sporządzić pełny raport. Daj mi tylko dwa razy większy budżet i jeszcze

dziesięciu pracowników kryminalistyki!

Grace podziękował mu, następnie przejrzał przygotowane przez Eleanor notatki dotyczące odprawy. Kiedy skończył, otworzył kalendarz w BlackBerry i zerknął na swój plan dnia. Przynajmniej mieli jakieś dobre wiadomości do przekazania na porannej konferencji prasowej. O 14.00 musiał być obecny w sądzie przy zatwierdzaniu aresztu dla Bishopa, na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś problemy. Potem, o 18.30, odprawa. Może, jeżeli nie wyniknie nic nowego, udałoby mu się skończyć wcześniej. Koniecznie musiał nadrobić braki snu, zanim będzie tak zmęczony, że zacznie popełniać błędy. Czuł, że w tej chwili niebezpiecznie zbliża się do takiego stanu.

Trzech sędziów magistrackich - dwie kobiety i mężczyzna - zasiadło w ławie sędziowskiej sali rozpraw numer 3, w gmachu sądu przy Edward Street. Była to nieduża, zwykła sala z rzędami wysłużonych, drewnianych siedzeń i małym, wydzielonym z boku obszarem dla publiczności i prasy. Poza tarczą herbową z dewizą Dieu et Mon Droit wyeksponowaną uroczyście na ścianie w głębi i świadcząca o groźnej powadze tego miejsca, sala przypominała raczej klasę szkolną, pozbawioną atmosfery bardziej majestatycznych sal sądowych w tej części Sussex.

Brian Bishop, teraz we własnym ubraniu, w piaskowej marynarce, koszulce polo i granatowych spodniach, stał w ławie oskarżonych i wciąż wyglądał jak ostatnie nieszczęście.

Naprzeciw składu sędziowskiego siedzieli: prawnik z Prokuratury Koronnej Chris Binns, prawnik Bishopa Leighton Lloyd oraz Grace i Branson, a w bocznej galerii tłoczyło się ze trzydziestu dziennikarzy.

Ku konsternacji Grace'a, rozprawie przewodniczyła tleniona blondyna Hermione Quentin, ubrana na tę okazję w sukienkę wyglądającą na bardzo drogą. Była jedynym sędzią magistrackim w mieście, którego szczerze nie znosił. Ściął się już z nią w tym roku na temat podejrzanego, którego chciał zatrzymać w areszcie, czego ona, wbrew logice - i jego zdaniem, stwarzając zagrożenie - odmówiła. Czy dziś zrobi to samo?

Rozprawa była krótka. Leighton Lloyd z pasją i przekonująco uzasadnił, dlaczego Bishop powinien zostać zwolniony za kaucją. Chris Binns miażdżącą przemową stał jego wywód w proch. Sędziowie naradzali się tylko chwilę, po czym przemówiła Hermione Quentin:

- Sąd nie wyraża zgody na kaucję - powiedziała wyniośle, artykułując każde słowo z taką precyzją, jakby była nauczycielką dykcji, i zwracając się na przemian do Bishopa i jego adwokata. - Powodem jest waga przestępstwa. Uważamy, że w przypadku pana Bishopa istnieje ryzyko ucieczki. Zgodnie z naszą wiedzą, policja prowadzi dochodzenie w sprawie drugiego poważnego przestępstwa, więc areszt uniemożliwi panu Bishopowi wywieranie wpływu na świadków. W naszym odczuciu istotne jest, aby chronić ogół społeczeństwa. - Tonem, jakby wyświadczała Bishopowi wielką łaskę, dodała: - Ponieważ jest pan miejscowy, uważamy, że ze wszech miar korzystne będzie, żeby do procesu przebywał pan w więzieniu w Lewes. Pozostanie pan w areszcie do przyszłego poniedziałku, kiedy to znów stanie pan przed tym sądem.

Po wygłoszeniu tego orzeczenia wyjęła pióro i przystąpiła do pisania.

Sąd opustoszał. Grace wyszedł ze swojej ławki zadowolony. Kiedy jednak mijał ławę oskarżonych, zaczepił go Bishop.

- Przepraszam, czy mogę mieć do pana słówko, panie nadkomisarzu?

Lloyd wyskoczył ze swojego miejsca i wtrzyił się między nich.

- Odradzałbym - powiedział do swojego klienta.

- Nie bardzo się pan dziś popisał - ze złością odpalił Bishop i zwrócił się do Grace'a: - Proszę pana, ja tego nie zrobiłem. Proszę mi uwierzyć - błagał. - Tam jest ktoś, kto zabił dwie kobiety. Moją najdroższą Katie i moją dobrą przyjaciółkę. Nie przestawajcie go szukać tylko dlatego, że ja jestem zamknięty. Proszę!

- Panie Bishop! - upomniął go Leighton Lloyd. - Proszę już nic nie mówić.

Grace wyszedł z sali sądowej, a w uszach dzwoniły mu słowa Bishopa. Słyszał już tego rodzaju desperackie błagania wypowiedane w ostatniej

chwili przez ludzi, którzy byli winni jak cholera.  
Mimo to nagle ogarnął go głęboki niepokój.

## Rozdział 105

Brendan Duigan uświadomił Grace'owi problem na zebraniu organizacyjnym, przed zwołaną na 18.30, wspólną odprawą Operacji Kameleon i Mistral.

Dlatego też, zaraz po wstępie i krótkim podsumowaniu zdarzeń dnia, Grace poinformował najważniejszych członków obu zespołów dochodzeniowych, stłoczonych w sali konferencyjnej Sussex House, że w związku z ustaleniem następstwa zdarzeń łączącego Briana Bishopa z zabójstwem Sophie Harrington pojawił się pewien kłopot. Poprosił o złożenie raportu detektyw Corbin należąca do zespołu Duigana.

Adrienne Corbin, ubrana w dżinsowe ogrodniczki i pomarańczowy T-shirt, była niska i krzepka, o chłopięcej budowie ciała. Dwudziestoosmioletnia detektyw miała włosy obcięte po męsku, a z twarzy, okrągłej i szczerej, przypominała Grace'owi mopsa. Wyglądała na bardziej agresywną niż była w rzeczywistości i kiedy zabrała głos przed tak licznym audytorium, okazała się, jak zauważył, zaskakująco nerwowym mówcą.

- Ustaliłam ruchy Briana Bishopa po południu i wieczorem, w piątek 4 sierpnia, opierając się na informacjach uzyskanych od funkcjonariuszki do spraw kontaktów z rodziną, posterunkowej Buckley i od kierowcy taksówki należącej do Hove Streamline, pana Marka Tuckwella, a także na zapisach kamer CCTV systemu monitoringu policyjnego oraz cywilnych, bilingu telefonu komórkowego Bishopa i namiarach z masztów telefonii komórkowej dostarczonych przez British Telecom, wskazujących przemieszczanie się telefonu Bishopa.

Przerwała, zaczerwieniona i spocona. Grace'owi było jej żal. Bycie dobrym detektywem wcale nie musi oznaczać, że umie się występować publicznie. Odwróciła do tyłu kartkę w swoim notesie, jakby coś sprawdzając, po czym mówiła dalej:

- Dla Operacji Kameleon interesujące będzie, że nie odnotowano aktywności telefonu komórkowego Bishopa między 23.20 w czwartek 3 sierpnia a 6.36 w piątek 4 sierpnia.

- Czy można wnioskować z tej informacji, że było tak, ponieważ Bishop w tym czasie nie przemieszczał się, a jeżeli, to zostawił telefon albo go wyłączył? - spytał Grace.

- Z tego, co mi wiadomo, jeżeli telefon jest włączony bądź używany, stale wymienia sygnały z najbliższą stacją bazową... można powiedzieć, że rozmawia z nią, informując ją o swoim położeniu. Była seria sygnałów z telefonu Bishopa, otrzymanych przez maszty usytuowane w Londynie, wskazujących, że przemieszczał się z Piccadilly do Notting Hill między około 23.00 a 23.15. Ostatni sygnał odebrał o 23.20 maszt w Bayswater, w zachodnim Londynie, w pobliżu Notting Hill. Wymiana sygnałów została wznowiona o 6.36, z tą samą stacją bazową.

Chociaż zgadzało się to z czasem opuszczenia przez Bishopa restauracji Wolseley podanym przez Phila Taylora, nie by ta to informacja pomocna, jak zauważył Grace. Bishop mógł wyłączyć telefon, a wtedy jego podróż do Brighton i z powrotem w środku nocy nie byłaby odnotowana przez maszty telefoniczne. Mógł też z łatwością stwierdzić, że wyłączył telefon, żeby się spokojnie wyspać. Dopiero to, co detektyw Corbin powiedziała potem, kazało mu usiąść.

- Ruchy telefonu Bishopa w piątek 4 sierpnia do 18.45 odpowiadają temu, co mówił i co wiemy. Z Londynu pojechał prosto do klubu golfowego w Północnym Brighton, a stamtąd do Sussex House. Namiary wskazują też jego jazdę stąd do Hotel du Vin. Potem wygląda na to, że wyłączył telefon na czas od 12.28 do 14.17. Odpowiada to okresowi, w którym posterunkowa Buckley zgłosiła jego zniknięcie z Hotel du Vin.

Przerwała i rozejrzała się po milczącej sali. Wszyscy patrzyli na nią w skupieniu i robili notatki. Grace zachęcił ją uśmiechem, więc podjęła:

- W tym samym przedziale czasowym Bishop zarejestrowały trzy kamery CCTV. Jedna na skrzyżowaniu Dukes Lane i Ship Street, zaraz za Hotel du Vin, druga naprzeciwko kościoła św. Piotra przy London Road i trzecia na Kings Parade, na wprost mola. Swoją nieobecność tłumaczył tym, że wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Jak dla mnie, to trochę dziwnie wygląda, że Bishop w obu przypadkach, kiedy znika, wyłącza telefon - zauważył Norman Potting.

Grace w zamyśleniu skinął głową, po czym dał znak Corbin, żeby mówiła dalej.

- Od 14.17 do 18.47 w piątek 4 sierpnia sygnały są statyczne, co wskazuje, że Bishop nie ruszał się ze swojego pokoju w hotelu. Zgadza się to z raportem posterunkowej Lindy Buckley mówiącym, że Bishop wrócił do hotelu około 14.20 i przebywał w swoim pokoju, co sprawdzała kilkakrotnie za pomocą telefonu hotelowego, po raz ostatni o 18.45. Następnie namiary telefonu Bishopa wskazują, że przemieścił się półtorej mili na zachód. Pokrywa się to z informacją uzyskaną przez detektyw Pamelę Buckley od taksówkarza Marka Tuckwella, który stwierdził, że w tym czasie wiozł Bishopa do hotelu Lansdowne Place. Rozumiem, że korporacja Hove Streamline potwierdziła to na podstawie swoich zapisów.

- Tu spojrzęła na detektyw Pamelę Buckley.

- Tak, zgadza się - powiedziała Pamela.

Corbin odwróciła kartkę.

- Bishop zameldował się w Lansdowne Place o 19.05, ponad trzy godziny po tym, jak personel recepcji odebrał telefon od niezidentyfikowanego mężczyzny, który zarezerwował pokój na kilka nocy, na nazwisko Bishopa

- odczytała.

Grace szybko przerzucił swoje notatki.

- Bishop powiedział, że odebrał telefon od oficera Wydziału Kryminalnego, z informacją, że zostaje przeniesiony do innego hotelu i że



zamówiona taksówka odbierze go sprzed tylnego wyjścia, żeby nie widzieli go reporterzy obstawiający hotel. Podał nazwisko tego oficera: detektyw sierżant Canning. Sprawdziliśmy i w policji Sussex nie ma oficera o nazwisku Canning.

- Adrienne, czy zgadza się, że nie zarejestrowano żadnej rozmowy z telefonu komórkowego Bishopa z hotelem Lansdowne Place? - spytał detektyw nadinspektor Duigan.

- Tak jest - potwierdziła, po czym dodała: - Hotel du Vin również potwierdził, że z ich telefonów nie dzwoniło do Lansdowne Place w czasie, kiedy był tam Bishop.

- Kiedy go nie było! - wtrącił się nagle podekscytowany Norman Potting. - Kiedy wyszedł na spacer w porze lunchu, mógł kupić telefon na kartę, a potem go wyrzucić. Mógł go kupić specjalnie, żeby wykonać te telefony... i inne, o których możemy nie wiedzieć.

- Ciekawa hipoteza - zgodził się Grace. - Słuszna uwaga, Normanie.

- Hotel Lansdowne Place znajduje się bliżej domu Sophie Harrington niż Hotel du Vin - zauważył Duigan. - To może być istotne.

- Chciałbym tu dodać jeszcze jedną hipotezę - powiedział Grace. - Możliwe jest, że Bishop miał współlnika, który pomógł mu uzyskać alibi na noc zabójstwa pani Bishop. Ten sam współlnik mógł maczać palce w tej zamianie hoteli.

- Roy, rozumiemy, że do współudziału w zabójstwie pani Bishop współlnika mogła skusić znaczna suma ubezpieczenia. Jednak czy mamy podstawy, aby sądzić, że Bishop miał współlnika przy zabójstwie Sophie Harrington? - chciał wiedzieć Duigan.

- Nie. Ale jeszcze jest wcześnie.

Duigan skinął głową i coś zanotował.

Adrienne Corbin przedstawiała dalej chronologię zdarzeń:

- Personel hotelu widział, jak Bishop wychodził około 19.30. Namiary z masztu pokazują, że skierował się na zachód. Potwierdza to zapis z kamery CCTV na skrzyżowaniu West Street i Kings Parade, z godziny 19.55.

Grace patrzył na nią zdumiony. Przez chwilę myślał, że się przesłyszał.

- Bishop poszedł z Lansdowne Place z powrotem w kierunku Hotel du Vin? W zupełnie przeciwnym kierunku niż powinien, żeby się dostać do domu Sophie Harrington? - naciskał na Corbin.

- Tak jest, panie nadkomisarzu.

W tym momencie Duigan wstał i włączył monitor wideo.

- Myślę, że wszyscy powinni to zobaczyć - powiedział.

Jako pierwszy pojawił się kolorowy obraz Briana Bishopa na Kings Parade, z kilkoma ludźmi i przejeżdżającym autobusem w tle. Nie sposób było nie rozpoznać jego twarzy. Miał na sobie ubiór, który Grace pamiętała z przesłuchania tamtej nocy - czarny blezer, białą koszulę i niebieskie spodnie. Na prawej dłoni miał przyklejony plaster.

- O której wasz świadek widział Bishopa przed domem Sophie Harrington? - spytał Grace.

- Prawie dokładnie o 20.00 - odparł Duigan. - Wie, bo w telewizji właśnie zaczynał się program, który chciała obejrzeć.

- Czy już go oficjalnie rozpoznała?

- Tak. Dziś po południu przeprowadziliśmy procedurę konfrontacji. Jest absolutnie pewna, że to był on.

- W co, według niej, ubrany był Bishop? - pytał dalej Grace.

- Mówi, że w ciemne ubranie treningowe, jakiś dres z tworzywa.

Grace wpatrywał się w obraz Bishopa na ekranie.

- Co wszyscy myślą? Czy ten czarny blezer i ciemnoniebieskie spodnie z bawełnianej surówki można wziąć za dres?

Odezwał się Alfonso Zafferone:

- Widziała Bishopa o 20.00. Starzy ludzie nie rozróżniają dobrze kolorów w słabym świetle. Wydaje mi się, że o tej porze dnia ten blezer można łatwo pomylić z bluzą od dresu.

- Albo - wtrącił się Guy Batchelor - Bishop nałożył dres na wierzch, żeby osłonić ubranie.

- Jedna i druga uwaga słuszna - powiedział Grace. - Z Kings Parade do pani Harrington mógł dojechać taksówką w dziesięć minut.

Duigan wcisnął guzik pilota i pojawił się inny obraz Bishopa. Teraz znajdował się na samym nadbrzeżu, w tle wyraźnie widać było fragment arkad i stojak z kilkoma kajakami przed jedną z nich.

Detektyw Corbin odczytała z notatek:

- O 20.14 Bishopa znów zarejestrowała kamera CCTV przed arkadami. Namiar z masztu telefonicznego wskazuje, że przez następne czterdzieści pięć minut Bishop nie ruszał się z tego obszaru, a potem udał się w kierunku zachodnim, do hotelu. Dwie osoby z obsługi baru na nadbrzeżu, Pebbles, potwierdziły, że przebywał w barze od około 20.20 do mniej więcej 20.50. Powiedzieli, że wypił piwo i espresso i sprawiał wrażenie bardzo niespokojnego. Kilka razy wstawał, chodził w kółko, potem znów siadał. Bali się, że chce wyjść bez płacenia.

Kiedy detektyw Corbin przerwała, wtrąciła się Bella Moy:

- Roy, to wygląda prawie tak, jakby celowo chciał zwrócić na siebie uwagę.

- Tak - przyznał Grace. - Mogło tak być. Ale jednocześnie jest to typowe zachowanie kogoś, kto znajduje się w stanie silnego pobudzenia.

Duigan znów pstryknął pilotem. Na ekranie zrobiło się teraz ciemniej. Widać było od tyłu mężczyznę bardzo przypominającego Bishopa, w tym samym miejscu, co przedtem, idącego wzdłuż arkad.

- O 20.54 - czytała dalej detektyw Corbin - Bishopa zarejestrowała ta sama kamera CCTV, co o 20.14. Tym razem szedł w przeciwnym kierunku. Z namiarów masztu telefonicznego wiadomo, że kierował się na zachód, w stronę hotelu Lansdowne Place. Recepcjonistka pamięta, że Bishop wrócił do hotelu około 21.25, kiedy to przekazała mu wiadomość zostawioną dla niego przez detektywa nadkomisarza Grace'a. - Spojrzała na Grace'a. - Zadzwoił do pana o 21.30.

- Tak.

- Potem przyjechał do Sussex House, gdzie przesłuchali go detektyw nadkomisarz Grace i detektyw sierżant Branson. Przesłuchanie rozpoczęło się o 22.22. Według namiarów z masztu telefonicznego, Bishop nie opuszczał hotelu do 21.49.

- Jadąc z hotelu tutaj, przejeżdżał prawie pod drzwiami Sophie Harrington - powiedział Glenn Branson.

- Jazda tutaj trwała co najmniej piętnaście minut - stwierdził Grace. - Mieszkam o kilka ulic od Lansdowne. Jeżdżę tą drogą codziennie, o każdej porze dnia i nocy. Zawsze zajmuje mi to od piętnastu do dwudziestu minut. Zatem zostałoby mu osiemnaście minut na zabicie Sophie Harrington. Niemożliwe, biorąc pod uwagę to wszystko, co jej zrobił, te dziury wywiercone w plecach. Nie mógł tego zrobić i doprowadzić się do porządku w tym czasie.

- Też jestem tego zdania - powiedział Duigan.

- To znaczy, że mamy problem - ciągnął Grace. - Albo Bishop nie zabił Sophie Harrington, albo miał współnika. Albo...

Zamilkł.

## Rozdział 106

Prosto z odprawy Grace poszedł, mijając swój gabinet, mijając w większości puste biurka w pokoju detektywów, do gabinetu Briana Cooka i wetknął głowę przez drzwi. Na szczęście kierownik oddziału wsparcia naukowego wciąż był w pracy.

Cook rozmawiał przez telefon w sposób wskazujący, że jest to rozmowa prywatna, ale machnął na Grace'a, żeby wszedł, wesóło powiedział swojemu rozmówcy, że nie wykręci się od tego drinka i rozłączył się.

- Roy, czy John Pringle kontaktował się z tobą w sprawie samochodu Cleo Morey? - spytał.

- Nie.

- Przydzieliłem go do tego dzisiaj. Powiedziałem, że ma meldować tobie.

- Dzięki, Brian - powiedział Grace, po czym zmienił temat: - Powiedz mi, co wiesz o DNA bliźniąt?

- A co chcesz wiedzieć?

- Jak podobne byłoby DNA bliźniąt jednojajowych?

- Byłoby identyczne.

- Całkowicie?

- W stu procentach. Odciski palców byłyby różne, co ciekawe, ale DNA wykazałoby całkowitą zgodność.

Grace podziękował mu i wrócił do swojego gabinetu. Wszedł, zamknął drzwi, a potem przez jakiś czas siedział bez ruchu przy biurku, starannie

planując, co powie, zanim zadzwonił na leżący przed nim numer telefonu komórkowego.

- Leighton Lloyd - głos mężczyzny był szorstki, jakby był gotów do walki, jakby już wiedział, kto dzwoni.

- Mówi detektyw nadkomisarz Grace. Panie Lloyd, czy możemy porozmawiać nieoficjalnie?

W głosie prawnika zabrzmiało zdziwienie:

- Tak, dobrze. Rozmawiamy nieoficjalnie. Macie jakieś nowe informacje?

- Mamy coś, co nas niepokoi - powiedział Grace ostrożnie. Wciąż nie ufał temu człowiekowi. - Wie pan może przypadkiem, czy pański klient ma bliźniaka?

- Nigdy o tym nie wspominał. Zechciałby pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

- Nie na tym etapie. Pomogłoby nam wszystkim, gdybyśmy mogli to potwierdzić lub wykluczyć. Mógłby pan spytać swojego klienta w trybie pilnym?

- Jest już po godzinach widzeń. Może pan polecić więzieniu w Lewes, żeby pozwolili mi porozmawiać z moim klientem przez telefon?

- Tak, zaraz to załatwię.

- Chce pan, żebym oddzwonił do pana wieczorem?

- Będę wdzięczny.

Kiedy Grace rozłączył się, jego telefon prawie natychmiast zadzwonił.

- Roy Grace.

Głos po drugiej stronie brzmiał bardzo poważnie, słowa były dobierane z rozmysłem.

- Panie nadkomisarzu, tu John Pringle z kryminalistyki. Polecono mi zbadać spalone mg, które dostarczono na nasz parking dziś rano. Brian Cook powiedział, że wnioski mam meldować panu.

- Tak, dziękuję. Mówił, że pan zadzwoni.

- Właśnie zakończyłem badanie pojazdu, panie nadkomisarzu. Ogień spowodował rozległe uszkodzenie wnętrza i doprowadził do stopienia się

części przewodów, więc mój meldunek nie będzie tak pełny, jak bym chciał.

- Rozumiem.

- Mogę stwierdzić, panie nadkomisarzu, że pożaru nie wywołał ktoś, kto próbował ukraść samochód, ani że nie był to akt wandalizmu.

Zapadła długa cisza. Grace przycisnął mocniej telefon do ucha i pochylił się nad biurkiem.

- Tak, słucham. Co więc go wywołało?

- Ktoś manipulował przy pojeździe. Celowy sabotaż, co do tego nie ma wątpliwości. Dodano dodatkowe wtryskiwacze paliwa, umieszczone tak, żeby po włączeniu zapłonu benzyna tryskała bezpośrednio pod nogi kierowcy. Wiązkę przewodów połączono z rozrusznikiem w taki sposób, żeby iskra również poszła pod nogi kierowcy. W dodatku, choć trudno mieć pewność ze względu na stopienie przewodów, wygląda mi na to, że przewody centralnego zamka zostały zamienione, tak żeby raz zamkniętych drzwi nie dało się otworzyć.

Grace poczuł, jak zimne ciarki przechodzą mu po plecach.

- To zrobił ktoś bardzo sprytny, ktoś, kto dokładnie wiedział, co robi. Nie chodziło mu o zniszczenie samochodu, panie nadkomisarzu. Uważam, że ten ktoś zamierzał zabić kierowcę.

Grace siedział na jednej z dwóch wielkich, czerwonych sof w pokoju na parterze domu Cleo, z Cleo wtuloną w jego bok, przed stojącym na stole akwarium bez ryby, ale wciąż pełnym wody. Jedną ręką obejmował ją, w drugiej trzymał dużą szklankę glenfiddicha z lodem. Jej włosy były świeżo umyte i pachnące. Była ciepła i żywa, tak intensywnie, pięknie żywa. I taka bezbronna.

Bał się o nią śmiertelnie.

Wieża stereo grała „Poławiaczy pereł” Bizeta. Nadzwyczaj piękna muzyka, ale zbyt przejmująca, zbyt smutna na ten moment. Potrzebował ciszy albo czegoś radosnego, choć sam nie wiedział czego. Nagle poczuł, że nie wie nic. Poza jedną rzeczą. Poza tym, że kocha tę piękną, ciepłą,

dziwną istotę, którą trzyma w ramionach. Kochał ją prawdziwie i głęboko, bardziej niż mógłby sobie wyobrazić, że będzie potrafił pokochać kogoś po Sandy. Musiał jakoś dać sobie spokój z Sandy. Nie chciał, żeby jej cień zniszczył ten związek.

Nie mógł przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby ten nieszczęsny drobny przestępca, który nadal walczył o życie, nie wyprzedził Cleo w drodze do samochodu.

Gdyby nie było tam przyuczajonych policjantów. Nie byłoby nikogo, żeby ją wyciągnąć.

Ta myśl była nie do zniesienia. Jakiś psychopata zaplanował jej zabójstwo i musi za to odpowiedzieć.

Kto?

Dlaczego?

Jeżeli ten ktoś spróbował raz i nie udało mu się, to czy spróbuje znowu?

Przypomniawszy sobie zdarzenie z niedzieli, kiedy ktoś rozciął miękki dach mg. Czy to tylko zbieg okoliczności, czy jedno z drugim ma związek?

Jutro detektyw siądzie z nią i sporządzą listę osób, którym mogła się narazić, wykonując swoją pracę. Wielu krewnych ofiar miało za złe, że ich najbliższych poddano sekcji, i nieodmiennie zwracali swój gniew przeciwko Cleo, a nie koronerowi, który był odpowiedzialny za tę decyzję.

Cleo z początku przyjęła wiadomość z niedowierzaniem, ale w ciągu ostatniej godziny od jego przyjścia zaczęło to do niej docierać, wywołując szok.

Schyliła się po swój kieliszek wina i wypła do dna.

- Tym, czego tu nie rozumiem, jest... - przerwała w pół zdania, jakby uderzyła ją ta myśl. - Jeżeli ktoś kombinował z przewodami w moim samochodzie, żeby się zapalił, to dlaczego nie zrobił tego tak, żeby wyglądało na wypadek? Musiał wiedzieć, że kryminalistyka będzie w tym dokładnie grzebać. To tak, jakby ta osoba chciała, żeby to było oczywiste.

- Masz rację. Cokolwiek to było, co zrobiono, zostało zrobione w sposób bardzo widoczny. Chociaż z drugiej strony wątpię, żeby dało się to łatwo zakamuflować. Nie jestem mechanikiem, ale to było dużo bardziej



skomplikowane niż przełożenie paru przewodów.

To było okrutne, sadystyczne, pomyślał, ale nie powiedział tego. Nie powiedział Cleo jeszcze, że jej samochód jest teraz traktowany jak miejsce zbrodni, a całe zdarzenie zakwalifikowano jako usiłowanie zabójstwa i przydzielono do niego oficera śledczego z całym zespołem dochodzeniowym.

Odwróciła się i spojrzała na niego okrągłymi, niespokojnymi oczami.

- Ja po prostu nie mogę sobie wyobrazić nikogo, kto mógłby to zrobić, Roy.

- A twój były?

- Richard?

- Tak.

Pokręciła głową.

- Nie. On nie posunąłby się tak daleko.

- Nachodził cię miesiącami. W pewnym momencie musiałaś zagrozić mu sądowym zakazem... mówiłaś, że dopiero wtedy dał spokój. Ale niektórzy nie dają za wygraną.

- Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby on to zrobił.

- Nie mówiłaś, że ścigał się samochodami?

- Tak, dopóki Bóg nie zaczął mu zajmować weekendów.

Zadzwoniła komórka Grace'a. Odstawił szklankę i wyplątał się z Cleo, żeby wyjąć telefon z kieszeni marynarki. Spojrzawszy na wyświetlacz, zobaczył, że dzwoni Lloyd.

- Roy Grace.

- No więc rozmawiałem z moim klientem - powiedział prawnik. - Był adoptowany. Nic nie wie o swoich biologicznych rodzicach.

- Czy w ogóle wie cokolwiek o swoim pochodzeniu?

- O adopcji dowiedział się dopiero po śmierci rodziców. Kiedy umarła matka, przeglądał jej dokumenty i znalazł swój oryginalny akt urodzenia. To był dla niego szok. Nic nie wiedział.

- Czy podjął jakąś próbę odszukania swoich biologicznych rodziców?

- Mówi, że od niedawna nosił się z takim zamiarem, ale jeszcze nic nie zrobił w tym kierunku.

Grace zastanawiał się przez chwilę.

- Czy może przypadkiem powiedział panu, gdzie znajduje się ten akt urodzenia?

- Owszem. W szafie na dokumenty w jego gabinecie przy Dyke Road Avenue. Jest tam segregator oznaczony *Osobiste*. Zechciałby pan powiedzieć mi coś więcej?

- Nie na tym etapie - uciął Grace. - Ale dziękuję panu. Dam panu znać, jak się czegoś dowiem.

Zakończył rozmowę i natychmiast wybrał numer centrum operacyjnego Operacji Kameleon.

## Rozdział 107

Mimo rozpaczliwego zmęczenia, Grace spał źle, budził się na najdrobniejszy szmer i zasypiał, dopóki nie miał pewności, że dźwięk dobiegał z zewnątrz, a nie z wnętrza domu Cleo.

W jego umyśle kotłowały się czarne myśli. Płonące mg. Tatuaż. Maski przeciwgazowa. Zwłoki z wysypującymi się z nich krabami, toczone przez falę po plaży w Brighton, Janet McWhirter z uśmiechniętą, radosną twarzą w swojej pracowni komputerowej.

*Patrz pod nogi.*

Słowa jego mentora, starszego nadinspektora Dave'a Gaylora, który ostatnio przeszedł na emeryturę, przetaczały mu się przez głowę jak fala. Kiedy Grace go poznał, Gaylor był detektywem inspektorem. Najmłodszym detektywem inspektorem, jaki kiedykolwiek był w Sussex. Starszy o dwanaście lat Gaylor nauczył Grace'a większości tego, co wiedział on dzisiaj. W pewnym sensie, próbując pomóc Glennowi Bransonowi, starał się przekazać mu tę wiedzę.

*Patrz pod nogi.* To było stare powiedzenie znane w Wydziale Kryminalnym. Gaylor zawsze kładł mu do głowy, jak ważne jest przyjrzenie się temu, co ma się w bezpośredniej bliskości, będąc na miejscu zbrodni. Niepomijanie niczego, choćby w danym momencie wydawało się to zupełnie nieistotne. Powtarzał też Grace'owi, że jeśli coś *wydaje się* nie w porządku, to prawdopodobnie *jest* nie w porządku.

Śmierć Janet McWhirter wydawała mu się nie w porządku.

Jego własna mantra - *przyczyna i skutek* - także chodziła mu po głowie. *Przyczyna i skutek. Przyczyna i skutek.*

Po piętnastu latach w Wydziale Komputerowym policji Janet McWhirter zakochuje się. Chce zmienić pracę, styl życia, planuje przeprowadzkę do Australii. *Czy przyczyną zmiany stylu życia był mężczyzna, którego spotkała? A skutkiem jej śmierć?*

To nie dawało mu spokoju.

Na zewnątrz świeciło. Grace nigdy nie bał się ciemności, nawet jako dziecko, być może dlatego, że wiedział, że jego tata policjant jest obok, w sąsiednim pokoju, żeby go chronić. Teraz jednak, podczas mijających godzin ciemności, niepokoił się. Zastanawiał się, kto mógłby chcieć skrzywdzić Cleo. Jej chorobliwie zazdrosny były narzeczony Richard?

Richard Northrop-Turner.

Mężczyzna, który nachodził Cleo niestrudzenie i coraz bardziej zaciekle, dopóki nie zagroziła mu, że zwróci się do sądu. Wtedy odpuścił, albo tak się zdawało. Richard Northrop-Turner ścigający się samochodami, które sam przygotowywał. Mimo zapewnień Cleo, że nie wierzy, aby jej były posunął się do próby zabicia jej, pierwszą osobą, do której zadzwoni rano po wyjściu stąd, będzie oficer prowadzący śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa, bardzo kompetentny detektyw inspektor Roger Pole. Zasugeruje mu, żeby wzięli pod uwagę Richarda Northrop-Turnera jako głównego podejrzanego.

Cleo poruszyła się, więc pocałował ją lekko w czoło, czując na twarzy jej ciepły, cierpki oddech. Chciał zabrać ją stąd do swojego domu na kilka dni, co stwarzało idealną okazję do pozbycia się lokatora. Przez chwilę, leżąc z otwartymi oczami, zastanawiał się, czy mogliby zrobić zamianę z Cleo. Niech Glenn Branson przeniesie się tu - i pilnuje - podczas gdy ona zamieszka u niego.

Kiedy jednak ubierając się chwilę później, zasugerował jej takie rozwiązanie, nie zapalała entuzjazmem.

- Tu jest bezpiecznie - powiedziała. - Tylko jedna droga wejścia i

wyjścia, przez frontową bramę. Czuję się tu bezpieczna.

- Nie jesteś bezpieczna, kiedy stąd wychodzisz. Ile jeszcze nocy masz dyżur?

- Cały ten tydzień.

- Jeśli znów cię wezwą w środku nocy, pojedę z tobą.

- Kochany jesteś. Dziękuję.

- Na ile bezpieczna jesteś w kostnicy?

- Drzwi są zawsze zamknięte. Darren jest ze mną cały czas, a Walter Horden zazwyczaj.

- Załatwię dodatkowe patrole w tej okolicy w nocy i każę zwracać szczególną uwagę na otoczenie kostnicy. Masz w miarę aktualne zdjęcie Richarda?

- Mnóstwo. Są w moim komputerze.

- Rano przyslij mi jedno e-mailem. Takie, na którym dobrze go widać. Puszczę je w obieg wśród miejscowej policji, na wypadek, gdyby zobaczyli go w pobliżu.

- Dobrze.

- Jak się dziś dostaniesz do pracy?

- Darren mnie zabierze.

- To dobrze.

Grace powiedział Cleo, że wieczorem, kiedy tylko będzie mógł się wyrwać, przyniesie chińszczyznę i butelkę wina. Pocałowała go na do widzenia, chwając za ten pomysł.

Wyszedł od niej o 5.45. Miał w sam raz czasu, żeby wpaść do domu, wziąć prysznic, ogolić się i przebrać. Wszedł najciszej, jak się dało, żeby nie obudzić Glenna Bransona, bardziej z chęci uniknięcia konieczności znoszenia kolejnej porcji porannych wynurzeń przyjaciela niż z troski o zapewnienie mu należnych godzin smacznego snu.

Jak zwykle Glenn zostawił w salonie śmietnik. Płyty CD i DVD powyciągane z pudełek rozrzucone były wszędzie, resztki jakiegoś odgrzewanego gotowego dania w folii - zapiekanki rybnej, sądząc po zapachu - leżały na tacy i naokoło niej na dywanie, razem z dwiema puszkami po

coli i kartonem po lodach.

Grace wyszykował się i zwiął, przystając na chwilę przy stereo w salonie tylko po to, żeby nastawić płytę jakiegoś rapera, o którym nigdy nie słyszał, tak głośno, że obudziłby umarłego.

Tak głośno, że odjeżdżając, nie słyszał wrzasków i przekleństw Glenna Bransona.

## Rozdział 108

Braźowa koperta czekała na biurku Grace'a, kiedy wszedł do swojego gabinetu tuż przed 7.00. Na wierzchu przyklejoną miała kartkę od Belli Moy z wyjaśnieniem, że są to dokumenty Briana Bishopa, o które prosił. Bella zapisała też nazwisko i kontakt do doradcy adopcyjnego, który już poprzednio pomagał policji przebrnąć przez trudności związane z poszukiwaniem informacji o adoptowanych osobach.

Wewnątrz znajdowały się dwa złożone, podłużne dokumenty o długości około sześciu cali i szerokości stopy. Były drukowane na czerwono na żółtawym papierze i wypełnione odręcznym pismem, wiecznym piórem z czarnym atramentem.

Grace rozłożył pierwszy, zatytułowany: **Potwierdzony odpis aktu urodzenia**. Pod spodem znajdował się szereg rubryk.

**Data i miejsce urodzenia:** *Siódmego września 1964, godz. 3.47,  
Królewski Szpital Hrabstwa Sussex, Brighton*

**Imię, jeśli nadane:** *Desmond William*

**Płeć:** *Chłopiec*

**Imię i nazwisko ojca:**

**Imię i nazwisko panięskie matki:** *Eleanor Jones*

Dalej, w ostatnim okienku po prawej, napisane było *Adoptowany*. Pod tym widniał podpis *Albert Hole, starszy inspektor rejestrator*.

Drugi dokument nosił tytuł: **Potwierdzony odpis wpisu do ewidencji**, a na samym dole: **Potwierdzony odpis wpisu do ewidencji dzieci adoptowanych**.

Grace przeczytał treść rubryk.

**Data wpisu:** *Dziewiętnastego września 1964*

**Imię adoptowanego dziecka:** *Brian Desmond*

**Płeć adoptowanego dziecka:** *Męska*

**Imię i nazwisko, adres i zawód osoby lub osób adoptujących:**

*Państwo Rodney i Irene Bishop, 43 Brangwyn Road, Brighton.*

*Dyrektor firmy*

**Data urodzenia dziecka:** *Siódmego września 1964*

**Data wniosku adopcyjnego i nazwa sądu rozpatrującego wniosek:**

*Sąd Okręgowy w Brighton*

**Podpis urzędnika upoważnionego przez naczelnego rejestratora**

**do zatwierdzenia wpisu:** *Albert Hole.*

Jeszcze raz przeczytał uważnie oba dokumenty, chłonąc wszystkie szczegóły. Zerknął na zegarek. Było za wcześnie, żeby dzwonić do doradcy adopcyjnego, więc postanowił zrobić to zaraz po odprawie o 8.30.

- Loretta Leberknight - odezwał się ciepły, chropawy głos.

Grace przedstawił się i krótko wytłumaczył, o co mu chodzi.

- Chce pan ustalić, czy ten Brian Bishop ma bliźniaka?
- Właśnie.
- Dobrze, jakie informacje o nim pan posiada?
- Mam jego akt urodzenia i coś, co wygląda na akt adopcyjny.
- Akt urodzenia jest pełny czy skrócony?

Grace opisał jej dokument.

- Świetnie - powiedziała. - To jest pełny akt. Zawiera więcej informacji. Istnieje jeden, zazwyczaj niezawodny sposób na ustalenie tego, o co pan pyta, pod warunkiem że dana osoba urodziła się w Anglii i Walii. Czy tak jest?



- Tak. Urodził się w Brighton.
- Może mi pan przeczytać, co jest napisane w rubryce *Data i miejsce urodzenia*?

Grace spełnił jej prośbę.

- Siódmego września 1964, godz. 3.47? - upewniła się.
- Tak.
- I podane jest dokładne miejsce urodzenia? - znów się upewniła.
- Brighton, Królewski Szpital Hrabstwa Sussex.
- Ma pan tam tę informację! - oznajmiła, wyraźnie zadowolona.
- No, mam.
- W Anglii i Walii obok daty urodzenia podaje się godzinę tylko w przypadku porodów mnogich. Ta informacja, panie nadkomisarzu, daje panu stuprocentową pewność, że pański Brian Bishop ma bliźniaka.

## Rozdział 109

Kilka minut po 10.00, zaraz po otwarciu, Nick Nicholl wszedł przez elektroniczną bramkę do eleganckiej, pastelowo-niebieskiej sali Czytelni Naukowej w Brighton. Zapach papieru, skóry i drewna przypominał mu szkołę, ale był tak wyczerpany po kolejnej bezsennej nocy, jaką zafundował mu jego synek Ben, że ledwo zwracał uwagę na otoczenie. Podeszedł do stanowiska bibliotekarzy, pokazał swoją legitymację i wyjaśnił, czego potrzebuje.

Pięć minut później młody detektyw siedział pod kopułą ozdobioną stiukową dekoracją, przed jednym z czytników do mikrofilmów, trzymając w ręku prostokąt filmu z czerwonym paskiem wzdłuż górnego brzegu, zawierający rejestr urodzeń w całej Wielkiej Brytanii w trzecim kwartale 1964 roku. Ze trzy razy włożył go w złą stronę, zanim wreszcie opanował urządzenie. Potem manipulując nieposłusznymi pokrętkami, starał się przewijać listy imion pod nagłówkami nazwisk, napisane tak drobnym drukiem, że prawie nieczytelne - w każdym razie dla jego zmęczonych oczu.

Poinstruowany przez uczynną Loretę Leberknight, doradcę adopcyjnego, szukał niezamężnych matek o nazwisku Jones. Wyraźną wskazówką byłoby dziecko noszące panieńskie nazwisko matki. Bibliotekarka ostrzegła go jednak, że przy tak częstym nazwisku jak Jones zdarza się, że pobierają się osoby o takim samym nazwisku.

Mimo napisu „Prosimy o ciszę” wykonanego dużymi, wyraźnymi,

złotymi literami na drewnianej tablicy, jakiś ojciec, gdzieś z tyłu, tłumaczył coś bardzo hałaśliwemu i dociekliwemu chłopcu. Nick odnotował w pamięci, żeby nigdy nie pozwalać synowi zachowywać się tak głośno w czytelnii. Gubił się już wśród tych wszystkich irytujących zachowań, na które miał nie pozwalać synowi, kiedy podrośnie. Uwielbiał go bezgranicznie, ale cała ta sprawa z byciem rodzicem zaczynała wyglądać zniechęcająco. W dodatku nikt go nie ostrzegł, że trzeba to wszystko robić przy permanentnym braku snu. Czy on i Jen mieli jeszcze w ogóle jakiegoś życia seksualnego? Wszystko, co było w ich wspólnym życiu przedtem, teraz wydawało się odległym wspomnieniem.

Obok niego mruczał wiatrak obracający się na nodze, powodując chwilowe trzepotanie kartek, zanim odwrócił się w drugą stronę. Białe nazwiska na ciemnym ekranie szybko przesuwały mu się przed oczami. Wreszcie dotarł do *Jones*.

*Belinda. Bernard. Beverly. Brett. Carl. Caroline.*

Niewprawnie posługując się płaskim, metalowym pokrętkiem, zgubił na chwilę całą listę Jonesów, ale zaraz, bardziej szczęśliwym trafem niż dzięki umiejętności, odzyskał ją.

*Daniella. Daphne. David. Davies. Dean. Delia. Denise. Dennis.*

Doszedł do *Desmonda* i zatrzymał się. *Desmond* był pierwszym imieniem Bishopa z jego aktu urodzenia.

*Desmond. Pannieńskie nazwisko matki Trevors. Urodzony w Romford.*

Nie ten.

*Desmond. Pannieńskie nazwisko matki Jones. Urodzony w Brighton.*

*Desmond Jones. Pannieńskie nazwisko matki Jones.*

Bingo!

I na liście nie było innego Desmonda Jonesa.

Teraz musiał tylko znaleźć kogoś pasującego do imienia i nazwiska pannieńskiego matki. To okazało się większym problemem, niż się spodziewał. Pasowało dwadzieścia siedem osób.

Wszystkie zapisał i w pośpiechu wyszedł z czytelnii, kierując się do

swojego następnego miejsca przeznaczenia. Zaraz za drzwiami zadzwonił do Roya Grace'a.

Uznając, że będzie szybciej, jeśli zostawi samochód na publicznym parkingu, poszedł na piechotę, obok Pawilonu Królewskiego i Królewskiego Teatru, a następnie, skróciwszy sobie drogę wąskimi uliczkami Lawes, przy których mieściły się głównie antykwiariaty z biżuterią, wyszedł naprzeciwko okazałego, szarego budynku ratusza.

Po pięciu minutach znalazł się w poczekalni biura ewidencji. Były tam twarde, szare krzesła, parkiet na podłodze i ogromne akwarium z tropikalnymi rybami. Grace dołączył do niego kilka minut później - doradca adopcyjny poradziła im, że przyda się obecność kogoś wyższego stopniem, jeśli chcą uzyskać informację.

Wysoki, wytworny, ale wyglądający na znękanego, pięćdziesięcioletni mężczyzna w eleganckim garniturze i krawacie, spocony zarówno w skutek upału, jak i pośpiechu, wszedł do poczekalni.

- Tak, panowie? - zwrócił się do nich. - Give Ravensbourne, nadinspektor rejestrator. Panowie chcą się widzieć ze mną, czy z którymś z moich współpracowników?

- Dziękujemy - powiedział Grace. - Jestem wdzięczny, że spotkał się pan z nami tak szybko.

- Wybaczcie panowie, że będę się spieszyć, ale za dziesięć minut muszę udzielić ślubu - zerknął na zegarek. - Dokładnie za dziewięć.

- Wyjaśniłem pańskiej sekretarce, dlaczego chcemy się z panem widzieć. Przekazała panu?

- Tak, tak. Chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa.

Nicholl podał mu listę dwudziestu siedmiu Jonesów.

- Szukamy bliźniaka - powiedział. - Chcielibyśmy, żeby powiedział nam pan, czy któryś z tych chłopców jest bratem bliźniakiem - tu wskazał nazwisko - Desmonda Williama Jonesa.

Rejestrator wyglądał przez chwilę, jakby wpadł w panikę.

- Ile osób jest na tej liście?

- Dwadzieścia siedem. Prosimy, żeby sprawdził pan w ewidencji, czy można kogoś dopasować. Jesteśmy pewni, że jedna z tych osób jest bliźniakiem. Musimy go pilnie odszukać.

Urzędnik znów spojrział na zegarek.

- Ja nie mam... ja... chwileczkę... możemy to załatwić od ręki. - Pokiwał głową, przytakując sam sobie. - Macie akt urodzenia tego Desmonda Williama Jonesa?

- Mamy odpis oryginału i aktu adopcyjnego - powiedział Nicholl.

- Proszę mi dać akt urodzenia. Tam będzie numer ewidencyjny.

Nicholl wyjął dokument z koperty i podał mu.

Urzędnik rozłożył go i szybko przebiegł wzrokiem.

- Tu, widzą panowie. - Wskazał lewy skraj dokumentu. - Proszę zaczekać. Zaraz wracam.

Zniknął w drzwiach, żeby po dwóch minutach pojawić się z powrotem, z wielką, ciemnoczerwoną, oprawną w skórę księgą rejestrową. Wciąż na stojąco otworzył księgę mniej więcej w połowie i szybko przewrócił kilka kartek, po czym trochę się rozluźnił.

- Proszę bardzo! - powiedział. - Desmond William Jones, matka Eleanor Jones, urodzony w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex 7 września 1964 o 3.47. I napisane jest *Adoptowany*, zgadza się? O tego chodzi?

Grace i Nicholl zgodnie skinęli głowami.

- To dobrze. No więc zaraz za nim, na dole strony, mamy Frederick Roger Jones, matka Eleanor Jones, urodzony w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex 7 września 1964 o 4.05. Również następnie adoptowany. - Spojrział na nich z uśmiechem. - Wygląda, że to ten. Urodzony osiemnaście minut później. To jest wasz bliźniak. Frederick Roger Jones.

Grace poczuł, jak ogarnia go podniecenie.

- Dziękuję. Niezmiernie nam pan pomógł. Czy może nam pan udzielić dalszych informacji?

Urzędnik zatrzasnął księgę.

- Obawiam się, że to wszystko, co mogę dla panów zrobić. Dane adopcyjne są pilniej strzeżone niż klejnoty koronne. Teraz będziecie musieli stoczyć batalię ze Służbami Socjalnymi. Życzę powodzenia!

Dziesięć minut później - które w większości spędził w holu ratusza przy telefonie komórkowym, odsyłany z jednego numeru wewnętrznego pod inny - Grace zaczynał rozumieć, co urzędnik miał na myśli. Po kolejnych pięciu minutach oczekiwania, po raz enty wysłuchując tych samych kilku taktów „Greensleeves”, był gotów zabić.

## Rozdział 110

Dwadzieścia minut później, wciąż stojąc w wielkim wejściu ratusza, Grace w końcu uzyskał połączenie z dyrektorem Służb Socjalnych. Powstrzymując się jakoś, żeby nie wyjść z siebie, wyjaśnił okoliczności i powody, dla których potrzebuje dostępu do danych adopcyjnych.

Wysłuchany został ze zrozumieniem.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, panie nadkomisarzu, że byłoby to ogromne odstępstwo od naszej polityki - powiedział dyrektor sztywno. - Musiałbym móc uzasadnić udostępnienie panu tych informacji. I potrzebowałbym gwarancji, że zostaną wykorzystane wyłącznie w celu, jaki pan przedstawił. Niektóre adoptowane osoby nie wiedzą, że są adoptowane. Gdyby się dowiedziały, mogłyby to mieć dla nich bardzo traumatyczne skutki.

- Prawdopodobnie nie tak traumatyczne, jak dla dwóch kobiet, które zostały zamordowane w tym mieście w ubiegłym tygodniu - odparł Grace.  
- Albo dla następnej kobiety z listy tego maniaka.

Zapadło krótkotrwałe milczenie.

- Naprawdę uważa pan, że ten bliźniak może być zabójcą?  
- Jak już panu mówiłem, możliwe jest, że jest za to odpowiedzialny... a jeśli jest, może zabić znowu. Wydaje mi się, że bezpieczeństwo publiczne jest teraz ważniejsze niż zranienie uczuć jednego mężczyzny w średnim wieku.

- Jeżeli udostępniemy panu informacje, które umożliwią odnalezienie go, jakie będą pańskie intencje?

- Moje intencje? Nie mam żadnych innych planów co do tych informacji, poza wykorzystaniem ich do jak najszybszego odszukania tego człowieka, aby go przesłuchać i wyeliminować z naszego śledztwa.

- Albo aresztować go?

- Nie ma sensu spekulować. Ale jeżeli po przesłuchaniu go będziemy mieć powód, żeby uważać, że jest zamieszany w popełnione ze szczególnym okrucieństwem zabójstwa dwóch niewinnych, młodych kobiet, to wtedy tak, jest to niemal pewne.

Znów zapadła cisza. Grace miał poczucie, że jego nerwy są jak agresywny pitbull szarpiący się na smyczy. A smycz była bliska zerwania.

- To dla nas trudna decyzja.

- Mam tego świadomość. Ale jeżeli trzecia osoba zostanie zamordowana i okaże się, że mordercą jest ten bliźniak albo że mógł on doprowadzić nas do mordercy, a pan mógł tej zbrodni zapobiec, jak będzie się pan z tym czuł?

- Muszę zadzwonić i coś sprawdzić w naszym Wydziale Prawnym. Może mi pan dać pięć minut?

- A ja muszę podjąć decyzję, czy mam wracać do biura, czy tu tkwić - odpalił Grace. - Czy to rzeczywiście będzie pięć minut, czy dłużej?

- Zrobię to bardzo szybko, panie nadkomisarzu, zapewniam pana.

Grace wykorzystał ten czas na szybki telefon do Rogera Pole'a, oficera prowadzącego śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa Cleo Morey, żeby dowiedzieć się o postępy. Pole powiedział mu, że rano dwóch funkcjonariuszy pojechało porozmawiać z jej byłym narzeczonym Richardem Northrop-Turnerem w jego kancelarii w Chichester. Wszystko wskazywało na to, że adwokat ma alibi. Zanim skończyli rozmowę, komórka Grace'a zapiszczała, sygnalizując następne połączenie. Podziękował Pole'owi i przełączył się. Dzwonił dyrektor Służb Socjalnych.

- Dobrze, panie nadkomisarzu. Nie musi pan tłumaczyć tego wszystkiego adopcijnemu pracownikowi socjalnemu. Polecę jej przynieść panu akta i umożliwić uzyskanie informacji, której pan żąda. Czy nazwiska



osób, które adoptowały Fredericka Rogera Jonesa, wystarczą do pańskich celów?

- To będzie dobry punkt wyjścia - powiedział Grace. - Dziękuję.

Autobus z warkotem przejechał przed oknem małej, oszczędnie umeblowanej sali konferencyjnej na pierwszym piętrze budynku Rady Miejskiej. Grace wyrzał przez szparę w żaluzji i zobaczył różowy baner reklamowy serialu telewizyjnego „Sugar rush” umieszczony na poziomie górnego pokładu autobusu. Siedział w tym cholernym pokoju razem z Nickiem Nichollem od ponad kwadransa i nikt nie zaproponował im kawy ani chociaż szklanki wody. Ranek mijał, ale przynajmniej posuwali się do przodu. Był na granicy wytrzymałości nerwowej. Usiłował skupić się na własnych sprawach, ale nie mógł przestać myśleć o Cleo i martwić się o nią co sekunda.

- Jak tam twój chłopak? - spytał młodszego detektywa, ziewającego i bladego pomimo wspaniałej, letniej pogody.

- Cudownie! - powiedział Nicholl. - Ben jest fantastyczny. Ale nie sypia za dobrze.

- Umiesz zmieniać pieluszki, co?

- Zaczynam być w tym mistrzem świata.

Ulotka leżąca na stole miała nagłówek Rada Miejska Brighton i Hove Departament ds. Dzieci, Rodziny i Szkolnictwa. Na ścianach wisiały plakaty z uśmiechniętymi, miłutkimi dziećmi różnych ras.

Wreszcie drzwi się otwarły i weszła młoda kobieta, której udało się zrazić Grace'a, jeszcze zanim zdążyła otworzyć usta, samym wyglądem i groźną miną.

Była po trzydziestce, chuda jak szczapa, ze spiczastym nosem, ustami w podkówkę obwiedzionymi czerwoną szminką i włosami ufarbowanymi na jaskrawy kolor fuksji, postawionymi na żel w małe, agresywnie wyglądające szpice. Miała na sobie długą prawie do ziemi sukienkę z drukowanego kretonu, a na nogach coś, co zdaniem Grace'a mogło być

wegańskimi sandałami. Niosła gruby segregator z przyklejoną żółtą karteczką.

- To wy jesteście ci dwaj z policji? - spytała zimno, z akcentem z południowego Londynu; jej oczy za okularami w zielonych oprawkach znalazły pustą przestrzeń między dwoma detektywami.

Grace, a w ślad za nim Nicholl, wstali.

- Detektyw nadkomisarz Grace i detektyw Nicholl z Wydziału Kryminalnego Policji Sussex - powiedział Grace.

Nie przedstawiając się, powiedziała:

- Dyrektor mówił, że chcecie znać nazwisko rodziców adopcyjnych Fredericka Jonesa urodzonego 7 września 1964. - Teraz patrzyła prosto na Grace'a, wciąż manifestując wrogość.

- Tak, zgadza się. Dziękuję pani.

Oderwała od segregatora żółtą karteczkę i podała mu ją. Starannym pismem odręcznym napisane tam było: *Tripwell, Derek i Joan*.

Pokazał karteczkę Nichollowi, a następnie spojrzął na segregator.

- Czy jest jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc?

- Przykro mi, nie jestem upoważniona - powiedziała, znów unikając kontaktu wzrokowego.

- Czy dyrektor nie wyjaśnił pani, że chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa?

- Chodzi też o czyjeś prywatne życie - odparła.

- Potrzebuję tylko adresu adopcyjnych rodziców... Dereka i Joan Tripwellów - powiedział, czytając z żółtej karteczki. - Musi go pani tu mieć.

- Powiedziano mi, że mam podać nazwisko - oświadczyła. - Nie mówiono, żebym dała wam coś więcej.

Grace patrzył na nią zniecierpliwiony.

- Zdaje się, że pani nie rozumie. Życie innych kobiet w tym mieście może być w niebezpieczeństwie.

- Panie nadkomisarzu, pan i pański kolega macie swoją pracę polegającą na chronieniu mieszkańców Brighton i Hove. Ja mam swoją

pracę polegającą na chronieniu adoptowanych dzieci. Czy to jasne?

- Pozwoli pani, że to ja pani coś wyjaśnię - zaczął, zerkając na Nicholla i zaciskając pięści ze wściekłości. - Jeżeli jeszcze ktoś zostanie zamordowany w tym mieście, a pani zataja informacje, które mogłyby temu zapobiec, osobiście panią załatwię.

- Już się boję - powiedziała i wyszła.

## Rozdział 111

Grace wjechał swoją alfą na wzgórze, mijając supermarket ASDA i British Bookstores, i już miał skręcić w bramę Sussex House, kiedy zadzwoniła do niego detektyw Pamela Buckley.

Zatrzymał się.

- Nie jestem pewna, czy to jest dobra wiadomość, czy zła, panie nadkomisarzu - powiedziała. - Sprawdziłam w książce telefonicznej i na liście wyborców. W Brighton i Hove nie ma żadnych Tripwellów. Rozszerzyłam zasięg poszukiwań. Jest jeden w Horsham, dwóch w Southampton, jeden w Dover i jeden w Guildford. Ci z Guildford pasują do pańskich imion, Derek i Joan.

- Podaj mi ich adres.

Zapisał: *18 Spencer Avenue.*

- Możesz sprawdzić, jak tam dojechać?

Zdaniem Grace'a organizację ruchu ulicznego w centrum Guildford zaprojektowała mała odurzona grzybami halucynogennymi, usiłująca odtworzyć w asfalcie labirynt z Hampton Court.

Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Guildford, gubił się, więc zgubił się i teraz, zatrzymując się dwa razy, żeby sprawdzić na planie miasta, i przyrzekając sobie, że przy następnej okazji kupi system nawigacji satelitarnej. Po kilkunastu frustrujących minutach, w ciągu których pogarszał się jego nastrój i sposób jazdy, znalazł wreszcie Spencer Avenue, ślepią uliczkę w pobliżu katedry, i skręcił w nią.

Była to wąska ulica na stromym wzgórzu, po obu stronach obstawiona zaparkowanymi samochodami. Powyżej, po prawej i poniżej, po lewej stały małe domy. Numer 18 dostrzegł na niskim płocie po lewej. Kawałek dalej znalazł wolne miejsce, zaparkował i wrócił.

Zszedł po schodkach do drzwi frontowych malutkiego, dwurodzinnego domu z zadbanym ogródkiem od frontu, o mało co nie przewrócił się o czarno-białego kota, który przebiegł mu drogę, w końcu zadzwonił do drzwi.

Po chwili otworzyła mu drobna, siwowłosa kobieta w koszulce na ramiączkach, obszernych dżinsach, kaloszach i ogrodniczych rękawicach.

- Dzień dobry - powiedziała wesoło i jakby pytająco.

Pokazał jej legitymację.

- Detektyw nadkomisarz Grace z Wydziału Kryminalnego Policji Sussex.

Mina jej zrzedła.

- O Boże, znów Laura?

- Laura?

- Znów narobiła sobie kłopotów?

Miała drobne usta, które przypominały mu dzióbek imbryka.

- Proszę wybaczyć, jeżeli pomyliłem adres - powiedział. - Szukam państwa Dereka i Joan Tripwellów, którzy adoptowali chłopca o nazwisku Frederick Jones we wrześniu 1964 roku.

Jej twarz przybrała nagle wyraz cierpienia, wzrok zaczął błędzić. Po jakimś czasie powiedziała:

- Nie... nie pomylił pan adresu. Zechce pan wejść? - Uniosła ręce. - Przepraszam za mój wygląd, nie spodziewałam się gości.

Wprowadziła go do małego, wąskiego holu, w którym panował stęchły zapach starych ludzi i kotów, a potem do niedużego pokoju będącego zarazem salonem i jadalnią. W części pokoju dominował trzyczęściowy komplet wypoczynkowy i duży telewizor, na którego ekranie toczył się mecz krykieta. Starszy mężczyzna z kocem w szkocką kratę na kolanach, kępką białych włosów i aparatem słuchowym na wpeł leżał w jednym z foteli przed telewizorem i spał, choć sądząc po kolorze jego skóry, równie dobrze mógł nie żyć.

- Derek - zwróciła się do niego. - Mamy gościa. Pan z policji.

Mężczyzna otworzył jedno oko, mruknął: - Aha - po czym zamknął je z powrotem.

- Napije się pan herbaty? - spytała Grace'a.

- Jeżeli nie sprawi to pani kłopotu, z przyjemnością. Dziękuję.

Wskazała mu sofę. Grace przekroczył nogi drzemiącego mężczyzny i usiadł, a ona wyszła z pokoju. Nie zwracając uwagi na krykieta, skupił się na rozglądaniu się po pokoju, szukając zdjęć. Było kilka. Jedno przedstawiało dużo młodszych Joan i Dereka z trójką dzieci, dwoma chłopcami i naburmuszoną dziewczynką. Inne, na serwantce pełnej porcelanowych figurek z Capo Di Monte, oprawione było w srebrną ramkę. Widoczny by na nim nastolatek w garniturze i krawacie, pozujący do zdjęcia raczej niechętnie. Dostrzegł wyraźne podobieństwo do młodego Briana Bishopa.

Z telewizora dobiegł głośny doping, następnie oklaski. Zerknął na ekran i zobaczył, jak odbijający w kasku schodzi z kreski, a środkowy słupek za jego plecami wygina się mocno do tyłu.

- Powinien to tylko zablokować - przemówił mężczyzna, który zdawał się spać. - Głupi idiota próbował przebić się przez obronę. Znasz się pan na krykiecie?

- Niespecjalnie. Mój sport to rugby.

Mężczyzna chrząknął i zamilkł.

Kobieta wróciła do pokoju z pełną tacą. Był tam porcelanowy imbryk, dzbanuszek z mlekiem, cukiernica, filiżanki, spodki i talerz z ciasteczkami. Zdjęła rękawice ogrodnicze i zamieniła kalosze na domowe klapki z pomponami.

- Chcesz herbaty, Derek? - spytała bardzo głośno.

- Wpuściłaś do domu cholernego rugbiarza wszarza - burknął, i jak się zdawało, znów zasnął.

- Z mlekiem i z cukrem? - spytała Grace'a, stawiając tacę.

Łakomie spojrział na talerz z ciasteczkami, uświadamiając sobie, że jest pora lunchu, a on prawie nie jadł śniadania.

- Z mlekiem, bez cukru proszę.

Podsunięła mu talerz. Do wyboru były digestives, pinguiny i pianki. Z wdzięcznością wziął pinguina i rozpakował.

Nalała herbatę, podała mu, a następnie wskazała zdjęcie w srebrnej ramce.

- Nie podobało nam się imię Frederick, co Derek?

Z ust mężczyzny wydobył się krótki jęk dezaprobaty.

- No więc zmieniliśmy mu na Richard - powiedziała.

- Richard - powtórzył mężczyzna z westchnieniem.

- Tak jak Richard Chamberlain, ten aktor. „Doktor Kildare”. Widział pan kiedyś Doktora Kildare'a?

- Jeszcze go nie było na cholernym świecie - wymamrotał jej mąż.

- Mgliście pamiętam - wyznał Grace. - Moja mama go lubiła.

Mieszał herbatę, chcąc wreszcie przejść do powodu swojej wizyty.

- Adoptowaliśmy dwoje dzieci - powiedziała Joan Tripwell. - Potem urodziło się nasze własne. Geoffrey. Dobrze mu się powodzi. Prowadzi badania dla firmy farmaceutycznej Pfizer. Pracuje nad lekiem na raka.

Grace uśmiechnął się.

- To wspaniale.

- Z Laurą mamy problem. Dlatego myślałam, że pan w tej sprawie. Zawsze wpadała w kłopoty. Narkotyki. Czy to nie ironia? Nasz Geoffrey tak dobrze sobie radzi w firmie farmaceutycznej, a Laura co chwila w poprawczaku, ciągle problemy z policją.

- A Richard... jak mu się wiedzie? - spytał Grace.

Zamknęła swoje małe usta, wzrok nagle znów zaczął błądzić po całym pokoju i Grace zdał sobie sprawę, że poruszył drażliwą kwestię. Nalała sobie herbaty, wrzuciła dwie kostki cukru, posługując się srebrnymi szczypczykami.

- Dlaczego właściwie interesuje się pan Richardem? - spytała, w jej głosie nagle zabrzmiała nuta podejrzliwości.

- Miałem nadzieję, że dowiem się od państwa, gdzie mógłbym go znaleźć. Muszę z nim porozmawiać.

- Porozmawiać z nim? - spytała ze zdumieniem.
- Kwatery 437, rząd 12 - odezwał się nagle starzec.
- Derek! - upomniała go.
- No co, przecież tam właśnie jest. Do diabła, co z tobą, kobieto?
- Proszę wybaczyć mężowi - powiedziała, podnosząc wytwornie filizankę za uszko. - Nigdy się z tym nie pogodził. Chyba żadne z nas się nie pogodziło.

- Nie pogodził się z czym? - drążył Grace najdelikatniej, jak umiał.
- Był wcześniakiem, jak jego brat, biedactwo. Urodził się z wrodzoną wadą... płuca były źle wykształcone. Nigdy nie rozwinęły się, jak trzeba. Był słaby w piersiach, wie pan? Jako dziecko ciągle chorował. I miał ciężką astmę.

- Co pani wie o jego bracie? - spytał Grace, teraz zbyt zainteresowany, żeby ugryźć swojego penguina.

- Wiem, że zmarł w inkubatorze, biedna kruszynka. Tak nam powiedzieli.

- A co z ich matką?

Kobieta pokręciła głową.

- Ze Służb Socjalnych w ogóle nie można było wydobyć informacji.

- Nie musi mi pani mówić, coś o tym wiem - przyznał z goryczą Grace.

- Zajęło nam bardzo dużo czasu, żeby dowiedzieć się, że była samotną matką... oczywiście to nie było dobrze widziane w tamtych czasach. Zginęła w wypadku samochodowym, ale nigdy nie poznaliśmy szczegółów.

- Jest pani pewna, że ten brat Fredericka... przepraszam, Richarda - poprawił się - że ten brat Richarda zmarł?

- Nie można być pewnym niczego, co mówią Służby Socjalne, ale tak nam wtedy powiedzieli.

Grace współczująco pokiwał głową. Z telewizora dobiegł kolejny ryk. Grace zerknął na ekran i zobaczył powtórkę chwycenia piłki przez gracza z pola.



- Może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę państwa syna Richarda?
- Już mówiłem, do diabła - burknął starzec. - Kwatera 437, rząd 12.

Ona tam chodzi co roku.

- Mój mąż próbuje panu powiedzieć, że spóźnił się pan o dwadzieścia lat.

- Spóźniłem się? - Grace'a ogarnął zamęt jak najgorszych przeczuć.

- Kiedy Richard miał dwadzieścia jeden lat - mówiła dalej Joan Tripwell - poszedł na prywatkę i zapomniał swojego inhalatora... zawsze musiał mieć przy sobie Ventolin. Dostał wyjątkowo silnego ataku astmy - powiedziała łamiącym się głosem. Pociągnęła nosem i otarła oczy. - Serce nie wytrzymało.

Grace gapił się na nią zdumiony.

Jakby odczytując niepewność na jego twarzy, Joan Tripwell powiedziała z naciskiem:

- Biedactwo, umarł. Nie zdążył sobie pożyć.

## Rozdział 112

Po godzinnej jeździe powrotnej, bardzo przygnębiony Roy Grace przekazał to, czego się dowiedział, zespołowi Operacji Kameleon, zgromadzonemu w MIR-1, po czym usiadł i zaczął przeglądać wszystkie dowody, jakie mieli w sprawie Briana Bishopa.

Był pewien, że Joan Tripwell mówiła prawdę, miał więc do czynienia z szeregiem nieprawidłowości, które nie pasowały do siebie. To było jak próba wbijania młotkiem elementów układanki, z pozoru pasujących, ale nie do końca.

Niepokoili go dane bliźniaka, odczytane przez nadinspektora rejestratora. Grace po raz kolejny przeczytał swoje notatki z ratusza, sprawdził akt urodzenia Bishopa i akt adopcji. Bishop urodził się 7 września o 3.47 - osiemnaście minut wcześniej niż jego brat, Frederick Roger Jones, któremu zmieniono imię na Richard i który zmarł w wieku dwudziestu jeden lat.

Dlaczego Służby Socjalne powiedziały Joan Tripwell, że drugi bliźniak umarł?

Zadzwoił do doradcy adopcyjnego Loretty Leberknight. Powiedziała wesoło, że w tamtych czasach Służby Socjalne spokojnie mogły zrobić coś takiego. Nie chcieli rozdzielać bliźniąt, ale nawet wtedy istniała długa lista oczekujących na adopcję. Jeżeli jedno z dzieci było słabe i musiało przez jakiś czas przebywać w inkubatorze, mogli podjąć decyzję o oddaniu zdrowego do adopcji, a potem, jeśli to drugie przeżyje, skłamać w dobrej wierze i uszczęśliwić inną parę pragnącą dziecka.

Jej też to się zdarzyło, dodała. Była jednym z bliźnięt, ale jej adopcyjni rodzice nigdy nie zostali o tym poinformowani.

Na podstawie swojego wcześniejszego doświadczenia z jędrą ze Służb Socjalnych skłonny był uwierzyć, że są zdolni do wszystkiego.

Grace włożył kasetę z materiałem z kamery CCTV do odtwarzacza i włączył, porównując ze szczegółowym zapisem namiarów telefonu komórkowego przygotowanym przez detektyw Corbin. Mężczyzną na ekranie był Brian Bishop. To było absolutnie pewne, chyba że miał sobowtóra. Jednak potwierdzony namiarami fakt, że opuścił okolicę hotelu Lansdowne Place, a potem do niego wrócił, sprawiał, że znalezienie się przypadkowego sobowtóra w dokładnie tym samym miejscu i czasie byłoby zbyt wielkim zbiegiem okoliczności, aby można było go przyjąć.

Na kartce napisał słowo *współudział*, po którym postawił duży znak zapytania.

Czy ktoś zadał sobie trud poddania się operacji plastycznej, żeby wyglądać jak Brian Bishop? A potem w jakiś sposób zdobył jego świeżą spermę?

Z tych rozmyślań wyrwał go dźwięk swojego imienia. Ktoś go zawołał, więc odwrócił głowę. Zobaczył brodatego George'a Erridge'a z sekcji fotograficznej. Erridge, zawsze wyglądający jak podróżnik, który właśnie wrócił z wyprawy, szedł w jego stronę, wyraźnie podekscytowany. W rękę trzymał coś, co wyglądało na plik papieru fotograficznego.

- Ten zapis z kamery CCTV, który mi dałeś wczoraj, Roy, z Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex, tak? Z brodatym facetem w ciemnych okularach i z długimi włosami, który w niedzielę zrobił awanturę?

Grace prawie o tym zapomniał.

- Tak?

- No, coś mamy! Przepuściłem to przez taki program, który opracowali w Poszukiwaniu Osób Zaginionych. Wiesz? Do wykrywania zmian wyglądu ludzi. Jak mogą wyglądać za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat, wiesz? Z włosami, bez włosów, z brodą, bez brody, takie tam rzeczy.

Próbowałem przekonać Tony'ego Case'a, że musimy zainwestować, żeby mieć taki tutaj.

- Powiesz mi wreszcie? - spytał Grace.

Erridge położył pierwsze zdjęcie. Grace zobaczył mężczyznę z gęstą brodą i wąsami, z długimi, prostymi włosami zakrywającymi czoło, w dużych, ciemnych okularach, ubranego w luźną koszulę założoną na siatkową podkoszulkę, spodnie i sandały.

- Kazaliśmy komputerowi usunąć włosy, brodę i okulary, wiesz?

- I co?

Erridge rzucił Grace'owi na biurko drugie zdjęcie.

- Poznajesz go?

Grace patrzył na Briana Bishopa.

Przez chwilę milczał. Potem powiedział:

- Jasna cholera. Dobra robota, George. Jak, u diabła, wyjęliście oczy zza okularów?

Erridge wyszczerzył się.

- Mieliśmy szczęście. Kamera CCTV jest też w męskiej toalecie. Twój klient zdjął tam okulary, żeby je przetrzeć. Stąd mieliśmy jego oczy!

- Dziękuję - powiedział Grace. - Mistrzostwo świata!

- Powiesz temu skąpemu sukinkotowi Tony'emu Case'owi, co? Musimy mieć ten program tutaj. Mogłeś to dostać już wczoraj, gdybyśmy go mieli na miejscu.

- Powiem - obiecał Grace, wstając i rozglądając się za Adrienne Corbin, młodą detektyw, która pracowała nad namiarami telefonu komórkowego. Nie zwracając się do nikogo konkretnie, rzucił: - Ktoś wie, gdzie jest detektyw Corbin?

- Ma przerwę, Roy - powiedziała Bella Moy.

- Możesz ją złapać i poprosić, żeby szybko wracała?

Usiadł i gapiąc się to na jedno, to na drugie zdjęcie, rozmyślał. Przemiana była nadzwyczajna. Całkowita metamorfoza łagodnego, przystojnego mężczyzny w kogoś, kogo wołaloby się nie spotkać na ulicy.

Niedziela, myślał. Bishop był w szpitalu w niedzielę, późnym przedpołudniem. Czyli wychodził.

To w niedzielę rano rozcięto dach samochodu Cleo Morey.

Przerzucił kartki raportu dotyczącego następstwa zdarzeń. Zgodnie z tym, co powiedział sam Bishop w trakcie pierwszego przesłuchania, ten ranek spędził w swoim pokoju hotelowym, załatwiając zaległą korespondencję e-mailową, a potem pojechał do jakichś przyjaciół na niedzielny lunch. Znalazł notatkę, że skontaktowano się z tymi przyjaciółmi, Robinem i Sue Brownami, którzy potwierdzili, że Bishop przyjechał o 13.30 i został u nich do 16.00 z minutami. Mieszkali w wiosce Glynde, piętnaście do dwudziestu minut jazdy od Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex, jak oszacował Grace.

Godzina zapisu z kamery CCTV widoczna na pierwszym zdjęciu to 12.58. Ciasno, ale możliwe. Bardzo możliwe.

Spojrzał na wcześniejszą chronologię tego ranka. Pełniąca służbę funkcjonariuszka do kontaktów z rodziną Linda Buckley zameldowała, że Bishop przebywał w swoim pokoju do południa, a następnie odjechał swoim bentleyem, mówiąc jej, że jedzie na lunch i wróci później. Odnotowała jego powrót o 16.45.

Grace czuł narastający niepokój. Bishop z łatwością mógł zboczyć z drogi do szpitala i przejechać koło kostnicy. Tylko po co? Jaki, u diabła, miałby powód? Jaki motyw?

Ale przecież, póki co, motyw śmierci Sophie Harrington też nie był znany.

Adrienne Corbin wpadła do pokoju zziębiona i spocona, jej pulchne ciało najwyraźniej nie radziło sobie najlepiej z upałem.

- Chciał mnie pan widzieć, panie nadkomisarzu?

Grace przeprosił za skrócenie jej przerwy i wyjaśnił, czego potrzebuje na podstawie namiarów z masztów telefonicznych i zapisów z kamer CCTV. Chodziło mu o ustalenie ruchów Bishopa od południa w niedzielę, kiedy wyszedł z hotelu, do przybycia do domu Brownów w Glynde.

- Stary? - odezwał się nagle Branson, siedzący do tej pory cicho na swoim stanowisku.

- Co?

- Jeżeli Bishopowi udzielono pomocy na pogotowiu w szpitalu, to musiał się zarejestrować, prawda?

W tym momencie Grace uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony i jak ogłupiająco wpływa to na jego umysł. Jak mógł to przeoczyć, do cholery?

- Wiesz co? - powiedział do Bransona.

- Zamieniam się w słuch.

- Czasami myślę, że jednak masz kawałek mózgu.

## Rozdział 113

Przebrnięcie przez biurokrację w Służbach Socjalnych było drobnostką w porównaniu z maratonem telefonicznym z Funduszem Opieki Zdrowotnej w Brighton, jak się przekonał Grace.

Glenn Branson odsyłany był od jednego urzędnika do drugiego, musiał czekać, aż ludzie powychodzą z zebrań, i wreszcie, po półtorej godziny uzyskał połączenie z jedynym kierownikiem władnym wydać zezwolenie na udostępnienie poufnych informacji o pacjencie. I to dopiero wtedy, kiedy włączył się Grace i przedstawił sprawę.

Następnym problemem było to, że nikt o nazwisku Bishop nie zgłosił się w niedzielę na pogotowie, natomiast pomocy w przypadkach ran dłoni udzielono tego dnia siedemnastu osobom. Na szczęście doktor Raj Singh miał dyżur, więc Grace wysłał Bransona do szpitala ze zdjęciem z kamery CCTV w nadziei, że Singh rozpozna pacjenta.

Chwilę po 16.30 wyszedł z MIR-1 i zadzwonił do Cleo, żeby sprawdzić, jak się ma.

- Spokojny dzień - powiedziała zmęczonym, ale stosunkowo wesołym głosem. - Cały czas miałam tu dwóch detektywów grzebiących w kartotece. Właśnie sprzątamy z Darrenem. Potem podrzuci mnie do domu. A co u ciebie?

Grace streścił jej swoją wcześniejszą rozmowę z inspektorem Pole'em.

- Mówiłam, że to nie Richard - powiedziała tonem, jakby jej ulżyło, co go zirytowało. Wiedział, że to irracjonalne, ale ciepło w jej głosie za każdym

razem, kiedy wspominała o swoim byłym, niepokoiło go. Tak, jakby tamto było skończone, ale niezupełnie. - Będiesz pracować do późna? - spytała.

- Jeszcze nie wiem. O 18.30 mam odprawę, zobaczymy, co się urodzi.
- Co byś sobie życzył na kolację?
- Ciebie.
- A jak mam być przyrządzona?
- Goła, z jednym listkiem sałaty.
- To przyjeżdżaj najszybciej, jak będziesz mógł. Potrzebuję cię.
- Kocham cię - powiedział.
- Ja też cię dość lubię! - odpowiedziała.

Postanawiając skorzystać z pierwszej w ciągu tego dnia wolnej chwili, Grace poszedł do sekcji ogólnokrajowej policyjnej komputerowej bazy danych znajdującej się na drugim końcu budynku, gdzie nieszczęsna Janet McWhirter spędziła większość swojego życia zawodowego.

Duża przestrzeń biurowa, w której dużą część personelu komputerowego stanowili pracownicy cywilni, na ogół tętniła życiem. Tego popołudnia jednak panował tu nastrój przygnębienia. Zapukał do drzwi jednego z wydzielonych pomieszczeń. Przedtem był to pokój Janet McWhirter, obecnie, zgodnie z tabliczką na ścianie, zajmowała go Lorna Baxter, kierownik sekcji bazy danych i rejestru policyjnego. Znał ją, podobnie jak Janet, od dawna i bardzo ją lubił.

Nie czekając na zaproszenie, otworzył drzwi. Trzydziestopięcioletnia Lorna była w zaawansowanej ciąży. Jej brązowe włosy, zazwyczaj długie, były nienajlepiej przycięte na krótko, jakby pod garnek, podkreślając obrzmienie twarzy i chociaż miała na sobie lekką, luźną, kwiecistą sukienkę, upał najwyraźniej dawał się jej we znaki.

Rozmawiała przez telefon, ale wesoło skinęła do niego, żeby wszedł, i wskazała mu krzesło przed biurkiem. Zamknął drzwi i usiadł.

Był to mały, kwadratowy pokój. Jej biurko i krzesło, dwa krzesła dla gości, wysoka, metalowa kartoteka i sarta segregatorów wypełniały go



niemal zupełnie. Komiks z Bartem Simpsonem przypięty był do ściany po prawej kolorowymi pinezkami, obok wisiał arkusz papieru z narysowanym kredkami wielkim sercem i napisem „Kocham cię, Mamusi!”.

Zakończyła rozmowę.

- Cześć, Roy! Miło cię widzieć - powiedziała, po czym się wzdrygnęła.  
- Pechowa historia, co?

Miała silny południowoafrykański akcent, mimo że od ponad dwunastu lat mieszkała w Anglii.

- Janet?

Skrzywiła się.

- Byłyśmy dobrymi przyjaciółkami.

- Jak to właściwie było? Słyszałem, że zakochała się w kimś i przenosiła się z nim do Australii, miała tam wyjść za niego.

- Tak. Była taka szczęśliwa. Wiesz, miała trzydzieści sześć lat i jeszcze nigdy nie miała na poważnie chłopaka. Wydaje mi się, że już sobie prawie odpuściła i pogodziła się z myślą, że do końca życia będzie sama. Potem spotkała tego faceta i najwyraźniej oszalała na jego punkcie. W ciągu kilku tygodni stała się inną osobą.

- W jakim sensie?

- Przeszła całkowitą przemianę. Włosy, ubrania, wszystko. I wyglądała na taką szczęśliwą.

- A potem skończyła zamordowana?

- Na to wygląda.

- Co tobie, albo komukolwiek tutaj, wiadomo o tym mężczyźnie, jej narzeczonym?

- Niewiele. Ona była bardzo skryta. Przypuszczalnie ja znałam ją najlepiej ze wszystkich, ale była bardzo zamknięta. Długo trwało, zanim w ogóle przyznała się, że się z kimś spotyka. Nie mówiła o nim dużo, chociaż dawała do zrozumienia, że jest bardzo bogaty. Duży dom w Brighton, mieszkanie w Londynie. Było tylko jedno spore *ale*, takie mianowicie, że był żonaty. Miał zamiar rzucić żonę.

- Dla Janet?
- Tak jej powiedział.
- A ona mu uwierzyła?
- Całkowicie.
- Masz jakieś pojęcie, czym się zajmował?
- Oprogramowaniem. Coś, co ma związek z kompleksowym planowaniem. Zdaje się, że jego firma odnosiła sukcesy. Otwierał filię w Australii i doszedł do wniosku, że chce tam zacząć nowe życie... z Janet.

Kompleksowe planowanie. Grace wyteęzał umysł. Oprogramowanie do kompleksowego planowania. Branża, w której działał Brian Bishop.

- Czy kiedykolwiek powiedziała ci, jak on się nazywa?
- Nie, nie chciała powiedzieć. Powtarzała, że nie może, bo on jest żonaty i przysięgła zachować ich romans w tajemnicy.
- Raczej nie była typem osoby zdolnej do szantażu - powiedział Grace.

- I nie przypuszczałbym, żeby miała dużo pieniędzy.

- Nie miała. Przyjeżdżała do pracy na starej vespie.
- Więc jaki mógłby mieć motyw, żeby ją zabić... zakładając, że on to zrobił?
- A może oboje zostali zabici? - podsunęła Lorna. - I tylko jej ciało wypłynęło?
- To możliwe. Ktoś miał coś do niego, a ona znalazła się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie? Nie pierwszy taki przypadek. Masz jakieś wieści od zespołu dochodzeniowego?
- Póki co zrobili niewielkie postępy. Jest tylko jeden ciekawy drobiazg.
- Jaki?
- Widziałam się z Rayem Packhamem... tym z jednostki do spraw wysokich technologii, wiesz?
- Tak, znam go. Bystry gość.
- Badał zawartość komputera Janet, tego tutaj, i odzyskał jej elektroniczny dziennik, który skasowała, odchodząc.

Ktoś zapukał do drzwi i wszedł. W młodym mężczyźnie Grace rozpoznał pracownika tutejszego oddziału. Lorna spojrzała na niego.

- Przepraszam, Dermont, czy to coś pilnego?

- Nie, nie ma sprawy. Do jutra.

Wszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Przy czym byłam? - spytała zdezorientowana.

- Dziennik Janet - odpowiedział.

- A, właśnie. Było tam jedno imię, zapisane jakieś dziewięć miesięcy temu, które nikomu z nas nic nie mówi. To był wpis dotyczący wieczoru w grudniu zeszłego roku. Zapisała *Drink, Brian*.

- Brian?

- Tak.

Grace poczuł nagły dreszcz. Brian. Kompleksowe planowanie. Duży dom w Brighton. Mieszkanie w Londynie. Zamordowana kobieta.

Jego umysł pracował teraz na pełnych obrotach, całe zmęczenie odeszło. Czy to dlatego budził się w środku nocy, myśląc o Janet McWhirter? Jego mózg mówił mu, że istnieje tu związek?

- Zdaje się, że coś ci to mówi, Roy.

- Być może - powiedział. - Kto prowadzi śledztwo w sprawie Janet?

- Detektyw inspektor Winter, w MIR-2.

Grace podziękował Lornie, po czym skierował się prosto do centrum operacyjnego urządzonego w MIR-2. Tam wytłumaczył ewentualny związek, o którym się właśnie dowiedział, ze swoim podwójnym śledztwem.

Potem wrócił do MIR-1, zderzając się prawie z Glennem Bransonem, który z triumfalną miną wyłonił się zza rogu z prędkością zbliżoną do sprintu.

- Mam go! - oznajmił Branson, wyciągając z kieszeni kawałek papieru i rozprostowując go. - Mam nazwisko i adres!

Grace wszedł za nim do pokoju.

- Nazywa się Norman Jecks.

Grace spojrział na pogniecioną kartkę w linię, z obszarpanym brzegiem, jakby została wyrwana z kołonotatnika. Napisane było na niej *262B, Sackville Road, Hove*.

Spojrział na Bransona.

- To nie jest adres Bishopa.
- Nie jest. Ale taki podał ten mężczyzna w rejestracji pogotowia w niedzielę rano. Przebrany Brian Bishop. Może on prowadzi podwójne życie?

Grace patrzył na kartkę pełen złych przeczuć. Ciemne chmury kłębiły się w jego wnętrzu. Czy Brian Bishop miał drugi dom?

Tajny dom? Tajne życie?

- Adres jest prawdziwy?
- Bella sprawdziła na liście wyborców. Jest Norman Jecks pod tym adresem.

Spojrział na zegarek. Adrenalina napływała mu do żył. Była 18.10.

- Nie przejmuj się odprawą. Dowiedz się, który sędzia magistracki ma dyżur, i zdobądź nakaz rewizji - polecił. - Potem skontaktuj się z lokalną jednostką wsparcia. Złożymy wizytę Normanowi Jeckowski. Najszybciej, jak się da.

Popędził labiryntem korytarzy z powrotem do sekcji komputerowej bazy danych. Lorna Baxter właśnie wychodziła.

- Lorna - wysapał - masz chwilkę?
- Muszę odebrać moją najstarszą z lekcji pływania - spojrziała na zegarek. - To coś na szybko?
- Tylko kilka minut... to naprawdę ważne... przepraszam, że ci to robię. Czy mam rację, że Janet McWhirter była upoważniona do robienia wpisów do bazy danych?
- Tak. Była tu jedyną osobą, która mogła to zrobić.
- Sama, bez nadzoru?
- Tak.
- Czy mogłabyś sprawdzić coś dla mnie w bazie danych?

Uśmiechnęła się.

- Widzę, że jestem ci potrzebna na dłużej niż tylko kilka minut. Załatwię, żeby ktoś odebrał Claire - powiedziała, wyciągając komórkę z torebki.

Weszli i usiedli w jej biurze. Zalogowała się.

- No dobra - powiedziała. - Strzelaj!

- Chcę, żebyś sprawdziła czyjąś kartotekę. Jakie informacje muszę ci podać?

- Tylko nazwisko, wiek, adres.

Grace podał jej dane Briana Bishopa. Słuchał stukotu klawiszy, kiedy je wprowadzała.

- Brian Desmond Bishop urodzony 7 września 1964?

- To on.

Pochyliła się bliżej ekranu.

- W 1979 skazany przez Sąd dla Nieletnich w Brighton na dwa lata zakładu poprawczego za gwałt na czternastoletniej dziewczynce - przeczytała. - W 1985 Sąd Koronny w Lewes orzekł dwa lata nadzoru kuratorskiego za ciężkie uszkodzenie ciała kobiety. Przyjemniaczek! - skomentowała.

- Czy w tym wpisie jest jakaś nieprawidłowość?

- Nieprawidłowość? W jakim sensie?

- Czy ktoś w nim grzebał?

- No cóż, jest jedna rzecz, ale to nie jest nic aż tak niezwykłego. - Spojrzała na niego. - Normalnie tak starych wpisów nikt nie rusza. Są tu umieszczone na zawsze. Rusza się je, tylko jeżeli wprowadzane są poprawki. Czasami pojawiają się nowe dowody, stare wyroki zostają anulowane albo trzeba poprawić błędy, tego rodzaju rzeczy.

- Możesz powiedzieć, kiedy ktoś tu coś robił?

- Oczywiście! - potwierdziła z naciskiem. - Po każdej zmianie pozostaje elektroniczny ślad. I tu właśnie taki jest.

Grace wyprostował się jak struna.

- Jest?

- Każdy z nas upoważnionych ma indywidualny kod dostępu.

Jeżeli wprowadzamy poprawkę, ślad, jaki zostawiamy, to nasz kod dostępu i data.

- A możesz sprawdzić, czyj kod tam jest?

Uśmiechnęła się do niego.

- Ten kod dostępu znam bez sprawdzania. Należał do Janet. To ona wprowadziła poprawkę do tego wpisu - przyjrzała się bliżej - 7 kwietnia tego roku.

Teraz w żyłach Grace'a płynęła czysta adrenalina.

- Ona to zrobiła?

- A owszem. - Zmarszczyła brwi, postukała w klawiaturę i znów spojrzała na ekran. - To ciekawe - powiedziała. - To był jej ostatni dzień w pracy.

## Rozdział 114

Półtorej godziny później, parę minut przed 20.00, Nick Nicholl za kierownicą oznakowanego, policyjnego vauxhalla vectry jechał powoli Sackville Road. Grace siedzący na przednim siedzeniu miał pod marynarką kamizelkę kuloodporną, Glenn Branson, również w kamizelce, siedział z tyłu. Obaj odliczali w dół numery umieszczone na zaniedbanych, edwardiańskich domach szeregowych. Tuż za nimi jechały dwa oznakowane fordys transyty, w każdym siedziało kilku umundurowanych funkcjonariuszy z Lokalnej Grupy Wsparcia.

- Dwa-pięć-cztery! - odczytał Glenn Branson. - Dwa-pięć-osiem. Dwa-sześć-zero. Dwa-sześć-dwa! To tu!

Nicholl zaparkował równolegle do zakurzonego forda fiesty, pozostałe pojazdy zatrzymały się za nim.

Grace polecił przez radio drugiej z furgonetek skręcić za róg i obstawiać tylne wyjście. Poprosił, żeby dali mu znać, kiedy zajmą pozycję. Dwie minuty później zgłosili gotowość.

Wysiedli z samochodu. Grace nakazał, żeby człowiek z kryminalistyki został na razie w swoim samochodzie, po czym zszedł pierwszy po betonowych schodach, mijając dwa kubły na śmieci i brudne okno wykuszowe z zaciągniętymi firankami. Mimo że teraz światło dzienne szybko robiło się coraz słabsze, wciąż było widno, więc brak światła wewnątrz niekoniecznie oznaczał, że w mieszkaniu nikogo nie ma.

Odrapane, szare drzwi wejściowe z dwiema mlecznymi szybami pilnie potrzebowały malowania, a plastikowy guzik dzwonka miał już za sobą

swoje lepsze czasy. Niemniej jednak nacisnął go. Nie rozległ się żaden dźwięk. Nacisnął znowu. Cisza.

Zastukał energicznie w szybę. Potem zawołał:

- Policja! Otwierać!

Żadnej reakcji.

Zastukał drugi raz, jeszcze głośniejsze.

- Policja! Otwierać!

Teraz posłał Nicholla po zespół wsparcia z taranem.

Po chwili pojawili się dwaj krzepcy funkcjonariusze. Jeden z nich niósł długi, żółty, cylindryczny taran do forsowania drzwi.

- Działać, szefie? - spytał Grace'a.

Grace skinął głową.

Policjant uderzył taranem w jedną z mlecznych szyb. Ku zdumieniu wszystkich, taran odbił się. Uderzył znowu, mocniej, z takim samym skutkiem.

Branson i Nicholl spojrzeli na niego, marszcząc brwi.

- Co ty, nie jadłeś szpinaku, jak byłeś mały? - zażartował kolega funkcjonariusza.

- Co za cholerstwo!

Kolega, jeszcze potężniej zbudowany, przejął narzędzie i uderzył. Za chwilę sam miał głupią minę, kiedy taran znów odskoczył.

- Niech to szlag! - powiedział policjant. - Wstawił szyby pancerne!

Uderzył w zamek. Drzwi ledwo drgnęły. Uderzył jeszcze raz. I jeszcze raz, spływając potem. Spojrzał na Grace'a.

- Chyba nie lubi włamywaczy.

- Na pewno słuchał pogadanki dzielnicowego o zapobieganiu przestępstwom i zastosował się do jego rad - rzucił żartem Nicholl. Taki przejaw poczucia humoru był u niego rzadkością.

Policjant dał im znak, żeby się odsunęli, wziął rozpęd i walnął taranem w środek drzwi. Zrobiło się wgłębienie, posypały się drzazgi.

- Zbrojone - stwierdził ponuro.



Uderzał raz za razem, aż całe drewno rozpadło się, ukazując stalową płytę. Trzeba było jeszcze czterech potężnych ciosów tarana, zanim płyta odgięła się na tyle, żeby ktoś mógł się wczłogać do środka.

Sześciu funkcjonariuszy wsparcia weszło pierwszych w celu ustalenia, czy ktoś jest w mieszkaniu. Po paru minutach jeden z nich otworzył zdemolowane drzwi od środka i wyszedł.

- Mieszkanie jest puste, panie nadkomisarzu.

Grace podziękował zespołowi wsparcia i poprosił ich o opuszczenie lokalu, wyjaśniając, że chce ograniczyć liczbę przebywających w nim osób, aby można było przeprowadzić kryminalistyczne badanie śladów.

Sam wszedł do środka, zakładając lateksowe rękawiczki. Znalazł się w małym, mrocznym pokoju w suterenie, gdzie prawie każdy cal poprzecieranej wykładziny pokrywał rozłożony na części sprzęt komputerowy, sterty czasopism motoryzacyjnych i podręczników warsztatowych. Pachniało wilgocią.

Na drugim końcu pokoju znajdowało się stanowisko pracy, z komputerem i klawiaturą. Ściana przed nim pokryta była niemal zupełnie wycinkami z gazet i czymś, co wyglądało jak rozrysowane drzewa genealogiczne. Po prawej otwarte drzwi prowadziły do ciemnego korytarzyka.

Przeszedł przez pokój, klucząc ostrożnie między rozłożonymi na podłodze rzeczami, aż dotarł do wyglądającego jak zabytek krzesła obrotowego stojącego przed komputerem. Tu zobaczył, co jest przypięte do ściany.

I wmurowało go w ziemię.

- O cholera! - powiedział Glenn Branson, który znalazł się obok niego.

Była to cała kolekcja wiadomości prasowych. W większości wycięte lub wydarte z „Argusa” i gazet ogólnokrajowych, zdawały się śledzić karierę Briana Bishopa. Było kilka jego zdjęć, w tym zdjęcie z jego ślubu z Katie. Obok, na różowej stronie z „Financial Timesa”, artykuł o kosmicznym tempie rozwoju jego firmy, International Rostering Solutions PLC, dotyczący jej zeszłorocznego wejścia na listę „Sunday Timesa” stu

najszybciej rozwijających się brytyjskich firm.

Grace niby zdawał sobie sprawę z obecności Bransona i innych ludzi wkładających gumowe rękawiczki, otwierających i zamykających drzwi i szuflady, ale jego uwagę przykuwał inny artykuł przyklejony taśmą do ściany. Była to pierwsza strona popołudniowego wydania poniedziałkowego „Argusa”, z dużym zdjęciem Briana Bishopa i jego żony, w które włamane było mniejsze zdjęcie, na którym zobaczył siebie. Poniżej, w jednym z łamów, kółko narysowane czerwonym tuszem otaczało wyraz *bestia*.

Przeczytał cały akapit.

*To szczególnie ohydna zbrodnia - powiedział detektyw nadkomisarz Grace prowadzący śledztwo. (...) będziemy pracować nieprzerwanie, aby doprowadzić bestię, która dopuściła się tego czynu, przed oblicze sprawiedliwości.*

Nick Nicholl podsunął mu nagle wiotki papier wyglądający na dokument prawny.

- Właśnie znalazłem tę umowę najmu. On ma garaż! Właściwie dwa... przy Westbourne Villas.

- Zadzwoń do centrum operacyjnego - powiedział Grace. - Niech ktoś wypisze drugi nakaz i idzie z nim do tego samego sędziego, a potem dostarczy tutaj. I powiedz im, żeby się ruszali!

Znów zagapił się w czerwone kółko wokół wyrazu *bestia*, gdy wtem usłyszał, jak Glenn Branson woła go pełnym niepokojem głosem.

- Rany, stary, chodź tu lepiej i zobacz.

Grace przeszedł krótkim korytarzykiem do ciemnej, pozbawionej okien sypialni posiadającej jedynie wąski lufcik do drugiego pomieszczenia, znajdujący się wysoko pod sufitem. Pokój oświetlony był pojedynczą, gołą żarówką o małej mocy, wiszącą nad porządnie zasłanym łóżkiem przykrytym grubą, miękką, bawełnianą narzutą.

Na narzucie leżały: długa, brązowa peruka, wąsy, broda, czarna bejsbolówka i ciemne okulary.

- Jezu! - powiedział.

Glenn Branson nie powiedział nic, tylko wskazał palcem coś znajdującego się za plecami Grace'a. Grace odwrócił się. To, co zobaczył, zmroziło każdą komórkę jego ciała.

Do ściany przyklejone były trzy zdjęcia w powiększeniu, każde, jak przypuszczał na podstawie swojej ograniczonej wiedzy o technice fotograficznej, zrobione teleobiektywem.

Pierwsze przedstawiało Katie Bishop. W kostiumie bikini opierała się o reling na jachcie. Przekreślona była na krzyż czerwonym tuszem. Na drugim zdjęciu była Sophie Harrington. Jej twarz w zbliżeniu, na nieostrych tle przypominającym londyńską ulicę. Ona też była zabazgrana czerwonym przekreśleniem.

Trzecie było zdjęcie Cleo Morey uchwyconej w momencie, jak odwraca się tyłem do drzwi frontowych Kostnicy Miejskiej w Brighton i Hove.

To zdjęcie nie było przekreślone.

Grace wyjął z kieszeni swoją komórkę i wybrał jej domowy numer. Odebrała po trzecim dzwonku.

- Cleo, wszystko w porządku? - spytał.
  - W jak najlepszym - powiedziała. - Czuję się znakomicie.
  - Posłuchaj, teraz mówię poważnie.
  - Słucham cię, detektywie nadkomisarzu Royu Gracie - powiedziała trochę niewyraźnie. - Chłonę każde twoje słowo.
  - Chcę, żebyś zamknęła drzwi frontowe i założyła łańcuch.
  - Zamknęłam drzwi frontowe - powtórzyła. - I założyć łańcuch.
  - Chcę, żebyś to zrobiła natychmiast, dobrze? Kiedy jestem przy telefonie.
  - Czasami strasznie się rządysz, panie nadkomisarzu! Dobra, wstaję z sofy, a teraz podchodzę do drzwi.
  - Proszę, załóż łańcuch.
  - Ższszsz się robi!
- Grace usłyszał szczęk łańcucha.
- Nie otwieraj nikomu. Nikomu, pod żadnym pozorem, dopóki nie przyjadę, dobrze?

- Nie otwierać nikomu, dopóki nie przyjedziesz. Pojęłam.
- A co z drzwiami na taras na dachu? - spytał.
- Są zawsze zamknięte.
- Sprawdzisz?
- Natychmiast - dla zabawy powtórzyła jego instrukcję: - Iść na górę.

Sprawdzić, czy drzwi na taras zamknięte.

- Tam nie ma wyjścia na zewnątrz, co?
- Jak ostatnio patrzyłam, nie było.
- Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.
- Lepiej to zrób! - wymamrotała i rozłączyła się.
- Udzielono ci bardzo dobrej rady - usłyszała zza pleców.

## Rozdział 115

Cleo miała poczucie, jakby jej żyły wypełniła zamarzająca woda. Odwróciła się przerażona.

Wysoka postać stała za nią w odległości kilku cali, trzymając w uniesionej ręce duży młotek z rozdwojonym, zagiętym końcem służącym do wyjmowania gwoździ. Napastnik od stóp do głów osłonięty był oliwkowozielonym ubraniem ochronnym, roztaczającym woń plastiku. Miał lateksowe rękawiczki i maskę przeciwgazową. Jego twarzy nie widziała w ogóle. Gapiała się w dwa okrągłe, przyciemnione szkła osadzone w luźnym, szarym materiale, poniżej których zwisało coś na kształt trąby z czarnym, metalowym filtrem na końcu. Wyglądał jak zmutowany, złośliwy owad.

Przez szkła dostrzegła oczy. To nie były oczy Richarda. To nie były żadne znane jej oczy.

Bosa, czując się całkowicie bezbronna, cofnęła się, raptem kompletnie trzeźwa, trzęsąc się, z krzykiem, który uwiązał jej głęboko w gardle. Zrobiła następny krok w tył, rozpaczliwie starając się myśleć jasno, ale umysł odmawiał jej posłuszeństwa. Plecami napierała na drzwi, zastanawiając się, czy zdąży je otworzyć szarpnięciem i zawołać o pomoc.

Tylko czy nie zamknęła ich na przeklęty łańcuch?

- Nie ruszaj się, a nie zrobię ci krzywdy - powiedział stłumionym głosem brzmiącym jak mowa Daleków.

Jasne, pewnie, że nie, pomyślała. Stoisz w moim domu, trzymasz młotek i nie masz zamiaru zrobić mi krzywdy.

- Kto... kto... kto? - wypluwała z siebie słowa na najwyższym tonie. Jej wzrok omiatał dziko szaleńca, którego miała przed sobą, podłogę i ściany w poszukiwaniu broni.

Wtem zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w rękę swój bezprzewodowy telefon. Miał przycisk połączenia wewnętrznego, który wielokrotnie zdarzało jej się nacisnąć przez pomyłkę, co powodowało dzwonienie telefonu w sypialni. Usiłując rozpaczliwie przypomnieć sobie jego położenie na klawiaturze, ukradkiem nacisnęła guzik. Bez skutku.

- Udało ci się z samochodem, co dziwko? - głęboki, zniekształcony głos brzmiał jadownicie.

- Kto... kto...

Za bardzo się trzęsła, jej nerwy skręcały się w supeł, zaciskając się na gardle za każdym razem, kiedy próbowała się odezwać.

Nacisnęła inny guzik. Natychmiast z góry dobiegł przenikliwy dzwonek telefonu. Na moment zdezorientowany, zwrócił twarz w kierunku sufitu. W tym momencie Cleo rzuciła się w przód i najmocniej, jak umiała, uderzyła go w bok głowy telefonem. Usłyszała trzask. Usłyszała też, jak zaskoczony jęknął z bólu, zobaczyła, jak się zachwiał, i przez chwilę myślała, że się przewróci. Młotek wypadł mu z ręki i stuknął o dębową podłogę.

Trudno jest patrzeć, mając to na sobie, uświadomił sobie Miliarder Czasu, prostując się oszołomiony. To był błąd. Pozbawiony był widzenia peryferycznego. Nie mógł zobaczyć pieprzonego młotka. Widział tylko tę dziwkę, jej uniesioną rękę trzymającą strzaskany telefon. Właśnie schyliła się i wtedy dostrzegł błysk stali młotka na podłodze, przed nią.

O nie, nie zrobisz tego!

Zanurkował do jej prawej nogi, złapał za gołą kostkę wystającą z dżinsów i szarpnął w tył, czując, jak się wrywa, silna, szczupła, walcząca jak wielka ryba. Dostrzegł młotek, ale zaraz znów stracił go z oczu. Nagle stał błysnęła tuż przed jego twarzą i poczuł ostry ból w lewym barku.

Cholera. Ona go uderzyła.

Puścił jej nogę, przetoczył się do przodu, chwycił w garść jej długie blond włosy i mocno szarpnął do siebie. Suka zawyla, zachwiała się i odwróciła, starając się uwolnić. Pociągnął silniej, jej głowa odskoczyła w tył tak mocno, że przez chwilę myślał, że złamał jej kręgosłup szyjny. Wyjąc z bólu i wściekłości, odwróciła się twarzą do niego. Walnął ją głową w skroń. Zobaczył, jak młotek oddala się po podłodze, wirując jak bąk. Szamotał się z nią, wciąż mając ograniczone pole widzenia, gdy wtem poczuł straszliwy ból w lewym nadgarstku. Ta suka wgrzyzała się w niego.

Zamachnął się prawą ręką, trafił ją na oślep, zamachnął się znowu, próbując za wszelką cenę uwolnić rękę spomiędzy jej zębów. Uderzył ją jeszcze raz. I jeszcze raz, sam krzycząc z bólu.

Roy! - myślała rozpaczliwie, wgrzyzając się coraz mocniej, starając się odgryźć mu cholerną rękę. Proszę, przyjeźdź, Roy! O Boże, byłeś przy telefonie. Gdybyś został sekundę dłużej. Jedną sekundę...

Poczuła cios w lewą pierś. Potem z boku, w twarz. Teraz trzymał ją za ucho i wykręcał, wykręcał i wykręcał. Boże, ból nie do zniesienia. Zaraz oderwie jej ucho!

Z krzykiem puściła jego rękę, przetoczyła się najszybciej jak mogła dalej od niego, starając się złapać młotek.

Nagle poczuła uchwyt jak imadło wokół kostki. Została mocno pociągnięta do tyłu, szorując twarzą po podłodze. Kiedy zbierała się, żeby stawić opór, cień padł jej na twarz, poczuła przeszywający, oślepiający, potwornie bolesny chrzęst i padając na plecy w oszołomieniu, patrzyła na przesuwające się nad nią reflektorki w suficie, które widziała jak przez mgłę.

Następnie zobaczyła, że on znów ma młotek, przyklęka na jedno kolano, kuca i dźwiga się na nogi. Nie miała zamiaru pozwolić, żeby ten bydlak ją pokonał, nie miała zamiaru umierać, tu, we własnym domu, nie miała zamiaru dać się zabić szaleńcowi z młotkiem. Nie teraz, zwłaszcza nie teraz, właśnie w tym momencie, kiedy jej życie zaczyna się układać, kiedy jest tak bardzo zakochana...

Broń.

W tym pokoju musi być jakaś broń.

Butelka od wina na podłodze, koło sofy.

Była przy półce z książkami. Wyciągnęła tom w twardej oprawie i cisnęła w niego. Chybiła. Wyciągnęła następny, grube, ciężkie dzieła, wszystkie Conan Doyle'a, i dźwigając się na kolana, jednocześnie rzuciła. Książka trafiła go w pierś, siła uderzenia sprawiła, że zatoczył się parę kroków do tyłu, ale nadal trzymał młotek. I zbliżał się do niej.

Poprzez ból i wściekłość nagle znów poczuła przerażenie. Rozglądając się rozpaczliwie, zobaczyła na stole akwarium bez ryby. Wychyliwszy się do przodu, chwyciła i uniosła w górę, rozchlapując wodę. Było tak cholernie ciężkie, że ledwo mogła je utrzymać. Chlusnęła na niego całą zawartością - kilkoma galonami wody wraz z fragmentami miniaturowej, greckiej architektury. Ciężar wody zaskoczył go, odrzucił o kilka kroków. Wtedy z całej siły rzuciła w niego akwarium. Uderzony w kolana, potoczył się w tył jak zbity kręgiel, ze stłumionym, wściekłym rykiem bólu. Akwarium roztrzaskało się na podłodze.

Wciąż jakimś cudem trzymając młotek, już się zbierał, żeby stanąć na nogi. Cleo rozglądała się gorączkowo, starając się ocenić, jakie ma możliwości. W kuchni są noże. Tylko że musiałyby go wyminąć, żeby się tam dostać.

Na górę, pomyślała. Miała moment przewagi nad nim. Żeby tylko udało się jej dotrzeć na górę i zamknąć drzwi. Tam jest telefon!

Zbierał się z podłogi, nie zważając na straszliwy ból, dźwięk własnego oddechu rozbrzmiewał wokół niego echem, jakby znajdował się w komorze nurkowej, a on patrzył z czystą nienawiścią i pewną dozą satysfakcji na jej gołe kostki i stopy znikające w górze schodów.

Poczuł też dźgnięcie pożądania.

Nic ci z tego nie przyjdzie, kochanie!

Znał każdy cal tego domu. W kieszeni jego spodni pod ubraniem ochronnym pobrzękiwały klucze do wejścia na dach i do zamków we



wszystkich oknach z potrójnymi szybami zespolonymi. Jej telefon komórkowy leżał na sofie, obok otwartego skoroszytu z jakimś projektem, nad którym najwyraźniej pracowała.

Teraz był silnie podniecony. Ona miała ducha walki, tak samo jak Sophie Harrington, a to było wielką podniętą. Uśmiechnął się na myśl o nocach seksu z Sophie Harrington, kiedy ona cały czas brała go za Briana Bishopa.

Jednak teraz doznawał podniety najsilniejszej ze wszystkich.

Wiedział, że za kilka minut będzie uprawiał seks z kobietą detektywa nadkomisarza Grace'a.

Bestia.

Pomyślisz dwa razy, zanim kiedykolwiek znów nazwiesz kogoś BESTIĄ, detektywie nadkomisarzu Grace.

Kulejąc, ruszył do przodu - zwłaszcza lewa goleń bolała go jak diabli - przyklęknął i wyciągnął z gniazdka wtyczkę bazy bezprzewodowego telefonu. Kiedy znów się podniósł, zobaczył na lewej nogawce, tuż pod kolanem, poszarpane rozdarcie, z którego sączyła się krew. Niestety, w tej chwili nic nie mógł na to poradzić. Ostrożnie postawił nogę na pierwszym stopniu schodów.

Nie było to wcale łatwe w masce przeciwgazowej, uniemożliwiającej mu patrzenie pod nogi.

W dodatku jego zmysł równowagi od dwóch dni nie działał najlepiej. Ciągle czuł, że ma gorączkę, i mimo przyjmowanych lekarstw dłoń chyba wcale się nie goiła.

Decyzja o założeniu tego na siebie była świetna. Podobała mu się myśl, że przestraszy tę dziwkę. Ale najbardziej podobała mu się myśl, że kiedy znajdą trzecią ofiarę z maską przeciwgazową, detektyw nadkomisarz Grace wyjdzie na durnia, ponieważ okaże się, że zamknął niewłaściwego człowieka.

Bardzo mu się to podobało.

Rzeczywiście, ta maska przeciwgazowa to majstersztyk! Trzeba podziękować za nią Brianowi - znalazł ją przypadkiem w szafce przy łóżku

Bishopów, szukając zabawek dla Katie.

Była to jedyna rzecz w całym jego życiu, za którą musiał podziękować swojemu bratu.

Cleo zatrzasnęła drzwi sypialni, dysząc ciężko. W ślepej panice złapała drewnianą, wiktoriańską komodę stojącą przy łóżku, przeciągnęła ją i zaparła nią drzwi. Potem rzuciła się do swojego wielkiego łóżka, złapała je za nogę i spróbowała pociągnąć. Ani drgnęło. Spróbowała znowu. Nie ruszyło się.

- Cholera, sukinsynu, rusz się!

Omiatała wzrokiem pokój, szukając czegoś jeszcze, co nadawałoby się na barykadę. Przyciągnęła swoją toaletkę z lakierowanego na czarno drewna, potem krzesło, które wepchnęła w pustą przestrzeń między toaletką a łóżkiem. Nie było to doskonałe, ale przynajmniej powinno wytrzymać wystarczająco długo, żeby zdążyła zadzwonić do Roya i na 999. Tak, najpierw 999, a potem do Roya.

Jednak kiedy wcisnęła guzik, żeby włączyć telefon, wydała z siebie skowyt przerażenia. Telefon był głuchy.

A klamka ze stali nierdzewnej w drzwiach poruszyła się. Powoli. Niewiarygodnie powoli. Jak na taśmie wideo przewijanej w bardzo wolnym tempie.

Rozległo się głośnie walenie, jakby kopał w drzwi albo tłukł w nie młotkiem. Jej żołądek zwinął się z przerażenia. Drzwi uchyliły się odrobinę. Usłyszała pęknięcie drewna i ku swemu przerażeniu spostrzegła, że to komoda i krzesło powoli ulegają dezintegracji.

W rozpaczy podbiegła do okna. Była na drugim piętrze, ale skok był możliwy. Lepszy niż pozostanie tutaj. Na dziedzińcu, nawet połamana, byłaby przynajmniej bezpieczna, myślała.

Wtem wstrząsnął nią dreszcz.

Okno było zamknięte na klucz, a klucza nie było.

Gorączkowo rozglądając się za czymś ciężkim, przebiegła wzrokiem po słoiczkach kosmetyków do makijażu, lakierze do włosów, butach. Czym? Czym? O Boże, proszę, czym?

Na stoliku przy łóżku stała lampa nocna. Chwyliła ją i uderzyła jej okrągłą, metalową podstawą w okno. Na próżno.

Na dole zobaczyła jednego z sąsiadów, chłopaka, z którym czasami wymieniali uprzejmości. Szedł przez dziedziniec, prowadząc rower, zajęty rozmową przez komórkę. Spoglądał w górę, jakby chciał ustalić, skąd dochodzi walenie. Zamachała do niego jak szalona. Odmachał jej wesoło, po czym nie przerywając rozmowy, skierował się z rowerem do bramy frontowej.

Za sobą znów usłyszała walenie.

I trzask drewna.

## Rozdział 116

Pod materacem Normana Jecksa Branson znalazł małą, srebrną nokię na kartę i podał ją Grace'owi, który nerwowo spoglądał na zegarek. Była już prawie 21.00 i coraz bardziej niepokoił się, że Cleo jest sama w domu, co prawda stosunkowo bezpiecznym w ogrodzonym osiedlu.

- Zabezpiecz - powiedział machinalnie, myśląc jednocześnie, że powinien wysiać wóz patrolowy, żeby upewnić się, że u Cleo wszystko w porządku.

Minęły ponad trzy kwadranse, odkąd Nick Nicholl zadzwonił do centrum operacyjnego, prosząc o wypisanie nakazu przeszukania garaży Jecksa i zawiezenie go do tego samego sędziego magistrackiego, który podpisał nakaz przeszukania mieszkania.

Sporządzenie tego cholerstwa powinno zająć najwyżej dziesięć minut, dojechanie do domu sędziego piętnaście, a złożenie przez niego podpisu to dziesięciosekundowa formalność. Do tego piętnaście minut jazdy tutaj. Zdawał sobie sprawę, że niecierpliwiąc się, nie dopuszcza możliwości jakiegokolwiek opóźnienia, chociażby korków ulicznych, ale nic go to nie obchodziło. Bał się o Cleo. Ten ktoś gdzieś tam był. Człowiek, o którym myślał, że już jest unieszkodliwiony w więzieniu w Lewes.

Człowiek, który zrobił kobiecie najpotworniejszą rzecz, jaką Grace kiedykolwiek widział.

**PONIEWAŻ JĄ KOCHASZ.**

W momencie, kiedy Branson zamykał torebkę, Grace nagle przypomniał sobie hipotezy na temat telefonu na kartę.

- A właściwie, to poczekaj, Glenn. Pokaż mi to.

Zgodnie z ostatnio obowiązującymi wytycznymi, wszystkie telefony mające związek ze sprawą powinny być zabezpieczone w stanie takim, w jakim je znaleziono, i przekazane sekcji telekomunikacji w Sussex House. Teraz jednak nie było na to czasu, tak samo jak nie było czasu na przeprowadzenie połowy nowych procedur wydumanych przez idiotów, którzy nigdy w życiu nie mieli nic wspólnego z rzeczywistością.

Wziąwszy telefon dłonią w rękawicze, włączył go i odetchnął z ulgą, ponieważ urządzenie nie zażądało od niego pinu. Próbował rozgryźć sposób nawigacji, ale szybko dał za wygraną i podał telefon Bransonowi.

- Ty masz smykałkę do techniki - powiedział. - Możesz znaleźć listę ostatnich połączeń?

Branson postukał w klawisze i po kilku sekundach pokazał Grace'owi wyświetlacz.

- Dzwonił z niego tylko trzy razy.

- Tylko trzy?

- Yhy. Poznaję jeden z numerów.

- I?

- To korporacja taksówkowa Hove Streamline, 202020.

Grace zapisał dwa pozostałe, po czym zadzwonił do informacji. Jeden numer należał do Hotel du Vin. Drugi do Lansdowne Place. Zamyślony, powiedział:

- Wychodzi na to, że Bishop mógł mówić prawdę.

Nagle zawołał go technik z kryminalistyki, który towarzyszył im w przeszukaniu mieszkania.

- Panie nadkomisarzu, myślę, że powinien pan to zobaczyć.

Chodziło o schowek na szczotki tuż przy wejściu do kuchni.

Tylko że najwyraźniej od dawna nie trzymano tu żadnych szczotek. Grace rozglądał się zdumiony. Było to miniaturowe centrum sterowania. Dziesięć małych monitorów telewizyjnych na ścianach, wszystkie wyłączone,

konsoleta, przed którą stało obrotowe krzesło, i coś, co wyglądało na aparaturę rejestrującą.

- Co to jest, do cholery? Część jego systemu ochrony? - spytał Grace.

- Ma tu trzy wejścia. Nie rozumiem, po co mu dziesięć monitorów, panie nadkomisarzu - powiedział technik. - W dodatku w środku i na zewnątrz nie ma żadnych kamer. Sprawdziłem.

W tym momencie wszedł Alfonso Zafferone z podpisanym nakazem przeszukania garaży Jecksa.

Dziesięć minut później, zostawiwszy Nicka Nicholla i technika z kryminalistyki, aby prowadzili dalej przeszukanie mieszkania, Grace i Branson stanęli przed dawnymi stajniami przy uliczce na tyłach szerokiej, obsadzonej drzewami ulicy mieszkalnej, przy której znajdowały się okazałe, wolno stojące i dwurodzinne wiktoriańskie wille. W stajniach miało siedzibę kilka małych firm - dwa warsztaty samochodowe, studio projektowe i firma komputerowa - ze względu na późną porę wszystkie były zamknięte.

Dalej ciągnął się rząd garaży. Zgodnie z dokumentem, który znaleźli, Norman Jecks wynajmował numery 11 i 12. Pomalowane na niebiesko, drewniane drzwi obu garaży zamknięte były na potężne kłódki.

Goryl z miejscowego oddziału wsparcia, który wyłamał drzwi do mieszkania, i czterej jego koledzy czekali w gotowości. Było już prawie ciemno, w stajniach panowała groźna cisza. Grace poinstruował ich wszystkich, że kiedy drzwi zostaną otwarte i okaże się, że w pomieszczeniu nikogo nie ma, żaden z nich ma nie wchodzić, aby nie zatrzeć śladów.

Po chwili żółty taran uderzył w drzwi pośrodku. Drewno, do którego zamocowana była kłódka, poszło w drzazgi i całe zamknięcie razem z odszczepionym kawałem deski spadło na ziemię. Kilka latarek rozbłysło równocześnie, w tym jedna Grace'a.

Wnętrze, zajęte w większości przez samochód przykryty pokrowcem, było ciche i puste. Pachniało olejem silnikowym i starą skórzaną tapicerką. W głębi garażu przy podłodze błysnęły dwa czerwone światelka wielkości

łebków od szpilki i zaraz zgasły. Pewno mysz albo szczur, pomyślał Grace, dając wszystkim znak, żeby zaczekali, po czym sam wszedł do środka. Poszukał włącznika światła, znalazł go i pod sufitem zapaliły się dwie zaskakująco silne żarówki.

Na drugim końcu pomieszczenia znajdował się warsztat, na którym stało urządzenie przypominające te, jakie widywał w punktach usługowych dorabiania kluczy. Do ściany za warsztatem przymocowane były w przemyślanym układzie różnego rodzaju ślepe klucze. Na pozostałych ścianach wisiały narzędzia, też bardzo porządnie pogrupowane. Całe pomieszczenie było nienagannie czyste. Za czyste. Sprawiało wrażenie stoiska wystawowego z narzędziami, a nie garażu.

Na podłodze stała niewielka, bardzo wysłużona walizka. Grace wcisnęła zamki, które odskoczyły. Walizka pełna była starych, pożółkłych skoroszytów, dokumentów firmowych, listów, a prawie na samym dnie znalazł niebieski kalendarz uczniowski na 1976 rok. Zamknął walizkę - zespół starannie przejrzy zawartość później.

Następnie, przy pomocy Bransona, zdjął pokrowiec z samochodu. Ukazała się lśniąca, biała limuzyna Jaguar Mk2 3.8 z 1962 roku. Była w tak idealnym stanie, że wyglądała na zupełnie nową, pomimo wieku. Tak jakby dotarła tu prosto z fabryki, nawet nie dotykając drogi.

- Cacko! - powiedział Branson z podziwem. - Powinieneś sobie takiego sprawić, stary. Wyglądałbyś jak ten detektyw dziwak z telewizji, inspektor Morse.

- Dzięki - rzucił Grace, otwierając bagażnik. Był pusty i tak samo jak karoseria wyglądał na całkiem nowy. Zamknął go, po czym przeszedł w głąb garażu i zapatrzył się na urządzenie do dorabiania kluczy. - Na co komuś coś takiego?

- Żeby dorabiać klucze? - zasugerował niezbyt odkrywczo Branson.
- Czyje klucze?
- Klucze do wszystkiego, gdzie chcesz wejść.

Następnie Grace poprosił lokalnych funkcjonariuszy o zajęcie się drzwiami do sąsiedniego garażu.

Kiedy drzwi się rozpadły, pierwszą rzeczą, na jaką padł snop światła z latarki, była para tablic rejestracyjnych opartych o ścianę. Grace podszedł do nich i przykląkł. Na obu widniało LJ04NWS.

Numery bentleya Briana Bishopa.

Prawdopodobnie sfotografowane przez kamerę ANPR w pobliżu Gatwick w czwartkową noc.

Włączył światło. Ten garaż był w każdym calu równie dziewiczy jak sąsiedni. Pośrodku znajdował się podnośnik hydrauliczny zdolny unieść cały samochód. Inne narzędzia porozmieszczane były starannie na ścianach. Kiedy podszedł do warsztatu w głębi i zobaczył, co na nim leży, wmurowało go w ziemię. Był to podręcznik warsztatowy do MG TF 160. Do samochodu Cleo.

- Myślę, że właśnie trafiliśmy w punkt - powiedział ponuro do Bransona.

Wyciągnął swoją komórkę i wybrał domowy numer Cleo. Spodziewał się, że odbierze po dwóch dzwonekach, jak zawsze. Tymczasem telefon dzwonił dalej - cztery dzwonek, sześć, osiem. Dziesięć.

Było to dziwne, jako że jej automatyczna sekretarka włączała się po szóstym. Dlaczego się nie włączyła? Wybrał jej numer komórkowy. Po ósmym dzwonku usłyszał powitanie jej poczty głosowej.

Coś tu było nie w porządku. Postanowił, że da jej parę minut, na wypadek, gdyby była w ubikacji albo w wannie, i spróbuje znowu. Skupił się z powrotem na podręczniku warsztatowym.

Kilka stron było zaznaczonych żółtymi karteczkami samoprzylepnymi. Na jednej zaczynał się rozdział o centralnym zamku. Na innej rozdział o wtrysku paliwa. Jeszcze raz wybrał domowy numer Cleo. Telefon dzwonił bez końca. Komórka - poczta głosowa po ósmym dzwonku. Zostawił wiadomość z prośbą, żeby natychmiast oddzwoniła. Jego niepokój narastał z każdą sekundą.

- Myślisz to samo, co ja? - spytał Branson.
- Co?



- Że być może zapuszkowaliśmy niewłaściwego faceta?
- Zaczyna na to wyglądać.
- Nic z tego nie rozumiem. Przecież widziałeś rodziców bliźniaka Bishopa. Mówiłeś, że to prawdomówni ludzie, tak?
- Para smutnych staruszków. Tak, wydawali się prawdomówni.
- I ten ich adoptowany syn, bliźniak Bishopa... powiedzieli ci, że nie żyje, tak?
- Tak.
- Dali ci numer kwatery na cmentarzu?

Grace przytaknął.

- To jak to możliwe, że nie żyje, a jest? Mamy do czynienia z duchem czy co? Chodzi mi o to, że to raczej twoja działka, te nadprzyrodzone sprawy, co? Myślisz, że to duch? Błąkająca się dusza?

- Nigdy nie słyszałem, żeby duch miał ejakulację - odparł Grace. - Albo żeby prowadził samochód czy tatuował ludzi wiertarką. Ani żeby się zgłosił na pogotowie z urazem dłoni.

- Martwi też tego nie robią - zauważył Branson. - Czy robią?
- Z tego, co wiem, to nie.
- Więc jak to jest, że mamy takiego, co to robi?

Po dłuższej chwili Grace odpowiedział:

- Ponieważ on jest nie dość martwy.

## Rozdział 117

Jakimś cudem barykada wciąż się trzymała, ale nie na długo mogło to jeszcze starczyć. Z każdym uderzeniem wstrząsającym drzwiami, uchylały one się coraz bardziej. Krzesło już rozpadło się zupełnie, więc zastąpiła je własnym ciałem. Plecami napierając na łóżko, przy czym rama wbijała się jej boleśnie w kręgosłup, nogami zapała się o szuflady toaletki.

Toaletka była meblem dość delikatnym. Trzeszczała, jej złącza powoli puszczały. W każdej chwili mogła się rozpaść tak samo jak krzesło. Kiedy tak się stanie, szalenciec będzie mógł pchnąć drzwi o dobre osiemnaście cali.

Roy! Gdzie ty jesteś, do cholery? Roy! Roy! Roy!

Z dołu dobiegł słaby dźwięk dzwonka jej komórki. Osiem dzwonek i cisza.

Walenie w drzwi.

Stłumione pikanie z dołu. To jej komórka informowała ją, na próżno, że dostała wiadomość.

Walenie.

Od drzwi odszczepił się kawałek drewna. Poczowała, jak zwija się w sobie w nowym przypływie przerażenia.

Walenie.

Coraz więcej drzazg, młotek przebił się już na wylot.

Starła się zapanować nad spanikowanym oddechem, żeby nie dopuścić do hiperwentylacji. Cojamamrobić? ProszęBożecorobić?

Jeśli puści, mógłby pchnąć i za kilka sekund otworzyłby drzwi. Jeśli zostanie, w ciągu kilku minut wyrąbałby dziurę na tyle dużą, żeby włożyć przez nią ramiona. Albo nawet przeleźć.

Roy! ProszęRoygdziesięśoBożeproszęRoy!

Kolejny głośny łomot, coraz więcej potraskanego drewna i dziura szeroka na trzy czy cztery cale. Widziała przyciśnięty do niej okular. Niewyraźny zarys mrugającego zza niego oka.

Przez chwilę zdawało jej się, że zwymiotuje. W myślach migały jej przed oczami różne osoby. Jej siostra, Charlie, matka, ojciec, Roy, osoby, których może już nigdy nie zobaczyć.

Nie mam zamiaru tu umierać.

Wtem rozległ się ostry trzask przypominający wystrzał. Już myślała, że ten człowiek strzelił do niej, ale zorientowała się, co to było. Z przerażeniem spostrzegła, że dolna, prawa szuflada toaletki pękła pod naporem jej bosej stopy, która wpadła do środka. Wyjęła stopę i zaparła się nią o następną szufladę. Przez chwilę zdawało się, że jest to mocne oparcie. Potem cały mebel zaczął się rozpadać.

Ależ on miał frajdę! To było jak otwieranie szczególnie odpornej puszkki sardynek. Takiej, w której już podważyłeś odrobinę wieczko i już widzisz leżące pod nim sardynki - są takie kuszące, a jeszcze nie możesz ich dotknąć ani skosztować, ale wiesz, że za chwilę będą twoje!

A ona była waleczna! Patrzył na nią teraz, na jej zaczerwienioną twarz, oczy wychodzące z orbit, potargane, zlepione potem włosy. Wspaniale nadawała się do miłości! Ale oczywiście najpierw trzeba ją będzie uspokoić albo trochę ujarzmić. Tylko nie za bardzo.

Cofnął się o dwa kroki, po czym walnął podeszwą buta - ciężkiego, roboczego buta podkutego na palcach i piętach - w drzwi. Trzy razy. Ustąpiły o dobry cal! Najwięcej jak do tej pory przy jednej próbie! Cały buzował! Wieczko się uchylało! Parę minut i będzie w jego ramionach!

Oblizwał wargi. Już czuł jej smak.

Nie zwracając sobie więcej głowy młotkiem, cofnął się jeszcze bardziej i kopnął.

Wtem usłyszał przeszywający dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych. Zauważył, jak zmienia się wyraz twarzy tej dziwki.

Nie martw się. Nie otworzę! Nie chcemy, żeby ktoś nam przeszkadzał w naszym miłosnym gniazdku, prawda?

Posłał jej całusa. Tylko że oczywiście, ona nie mogła tego widzieć.

## Rozdział 118

Po obu stronach frontowych drzwi Cleo znajdowały się okienka, ale oba miały starannie dopasowane żaluzje wertykalne, przez które mogła wyrzeć na zewnątrz, ale nikt nie mógł zajrzeć do środka. Stojąc przed drzwiami, pełen niepokoju Grace po raz trzeci nacisnął dzwonek. Potem długo stukał w szybę.

Dlaczego ona nie otwiera?

Jeszcze raz wybrał numer jej komórki. Po kilku sekundach usłyszał, jak dzwoni gdzieś za drzwiami. Na dole.

Wyszła i zostawiła telefon? Wskoczyła po jedzenie albo alkohol? Zerknął na zegarek. 21.30. Cofnął się, próbując wypatrzeć jakiś ruch w którymś z okien na górze. Może jest na dachu, przygotowuje grilla i nie słyszy dzwonka? Po kolejnych dwóch krokach w tył zderzył się z ogolonym na łyso chłopakiem w szortach i koszulce z lycry, prowadzącym rower górski.

- Przepraszam! - powiedział Grace.

- Nie ma sprawy.

Chyba znał tego chłopaka z widzenia.

- Mieszkasz tu, prawda? - spytał.

- No tak. - Pokazał jeden z dalszych domów. - Też cię tu widziałem kilka razy. Jesteś przyjacielem Cleo, tak?

- Tak. Może przypadkiem widziałeś ją dziś wieczorem? Spodziewa się mnie, ale zdaje się, że nie ma jej w domu.

Chłopak skinął głową.

- Rzeczywiście ją widziałem... jakiś czas temu. Machała do mnie z okna na górze.

- Machała do ciebie?

- No... Usłyszałem hałas i spojrzałem w górę, żeby zobaczyć, co to. I wtedy zobaczyłem ją w oknie. Pomachała, tak po sąsiedzku.

- Co to był za hałas?

- Taki tam, jak strzał.

Grace zeszywniał.

- *Strzał?*

- Tak mi się zdawało w pierwszej chwili, ale oczywiście to nie był żaden strzał.

W ciele Grace'a rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe.

- Nie masz przypadkiem klucza, co?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie. Mam do dziewczątki, ale obawiam się, że do Cleo nie. - Spojrzał na zegarek. - Spieszę się.

Grace podziękował mu. Kiedy młodzieniec oddalał się ze swoim rowerem wydającym równomierny dźwięk obracających się kół, z góry dobiegł odgłos kilku wyraźnych, choć stłumionych uderzeń. Jego niepokój natychmiast przekształcił się w ślełą panikę.

Rozglądając się za czymś ciężkim, dostrzegł na drugim końcu dziedzińca stertę cegieł przykrytą niebieską folią.

Rzucił się pędem w tamtą stronę, złapał jedną, pędząc z powrotem, ściągnął z siebie marynarkę, owinął nią rękę z cegłą i rozbił szybę z lewej strony drzwi Cleo. Nie najlepiej, jeżeli wszystko było w porządku, a ona tylko wyskoczyła na zakupy.

Lepsze to niż ryzykować, pomyślał, tłukąc szybę. Potem drugą ręką rozchylił żaluzję wertykalną.

Z przerażeniem patrzył na panujący w środku nieład - rozlana woda, potłuczone akwarium, przewrócony stolik do kawy, rozrzucone książki.

- CLEO! - wrzasnął najgłośniejszym głosem, jak mógł. - CLEEEEEOOOO!

Odwrócił głowę i zobaczył młodego człowieka z rowerem, który zamarł,

otwierając bramę, i gapił się na niego zdumiony.

- Wezwij policję! - krzyknął.

Nie zważając na odłamki szkła sterczące z framugi, dźwignął się na parapet, po czym zanurkował do środka, spadł na ręce, przetoczył się, pozbierał się jak najszybciej i rozejrzał się dziko naokoło. Dostrzegł strużkę krwi prowadzącą w kierunku schodów.

Chory z lęku o Cleo rzucił się tam. Na podeście pierwszego piętra zajrzał przez otwarte drzwi jej gabinetu i znów ją zawołał.

Z góry bezpośrednio nad nim dobiegł jej głos, stłumiony i pelen napięcia:

- ROY, UWAZAJ! ON TU JEST!

Natychmiast spojrział w górę, na podest drugiego piętra. Sypialnia Cleo po prawej, pokój gościnny po lewej. I wąskie schody na taras na dachu. Przynajmniej żyje, chwała Bogu. Wstrzymał oddech.

Żadnych oznak ruchu. Żadnego dźwięku poza waleniem jego własnego serca.

Powinien zadzwonić po wsparcie, ale wolał słuchać, słyszeć każdy dźwięk w tym domu. Powoli, kawałek po kawałku, najciszej jak mógł, w butach na gumowych podszwach posuwał się w górę po schodach na drugie piętro. Zanim dotarł do podestu, zatrzymał się, wyjął komórkę i wybrał 999.

- Detektyw nadkomisarz Grace. Potrzebuję natychmiastowego wsparcia. Adres...

Zobaczył tylko cień. Miał wrażenie, jakby potrafiła go ciężarówka. W następnym momencie leciał w powietrzu. Toczył się po schodach w dół. Po chwili, która wydawała się wiecznością, leżał na podeście z nogami na schodach i ostrym bólem w piersi - stłuczone albo połamane żebra, naszła go mętna myśl, kiedy tak patrzył w twarz Briana Bishopa.

Bishop w zielonym kombinezonie ochronnym schodził ze schodów, z młotkiem w jednej ręce, a maską przeciwigazową w drugiej. Tylko że to nie był Bishop. To nie może być Bishop, pomyślał jego otepiały mózg. Bishop siedzi. W więzieniu w Lewes.

To była twarz Briana Bishopa. Jego włosy. Ale takiego wyrazu twarzy nigdy nie widział u Briana Bishopa. Ta twarz była wykrzywiona, wręcz zniekształcona nienawiścią. Norman Jecks, pomyślał Grace. To musi być Norman Jecks. Ci dwaj są absolutnie identyczni.

Jecks zszedł o stopień niżej. Jego oczy płonęły.

- Nazwałeś mnie *bestią* - powiedział. - Nie masz prawa nazywać mnie *bestią*. Musisz uważać, co mówisz o ludziach, detektywie nadkomisarzu Grace. Nie możesz tak ubliżać ludziom.

Grace patrzył na niego, zastanawiając się, czy jego komórka jest wciąż włączona i czy nadal ma połączenie z centrum alarmowym. Mając nadzieję, że tak jest, krzyknął jak najgłośniej:

- Gardener's Yard 5, Brighton!

Zauważył, jak tamten nerwowo strzelił oczami.

Wtem z góry dobiegł odgłos tarcia drewna o drewno.

Norman Jecks na moment odwrócił głowę i niespokojnie spojrzał za siebie przez ramię.

Grace wykorzystał ten moment. Oparł się na łokciach i najsilniej jak mógł, kopnął Jecksa prawą stopą dokładnie między nogi.

Jecks stęknął, zwinął się w pół z bólu i wypuścił z ręki młotek, który łomocząc o schody, poleciał w dół, tuż koło głowy Grace'a.

Grace wierzgnął jeszcze raz, starając się wymierzyć drugiego kopniaka, ale Jecks, pomimo bólu, zdołał złapać go za nogę i wykręcić ją z wściekłością. Grace, z kostką bolącą jak diabli, obrócił się zgodnie z kierunkiem skrętu, żeby zapobiec złamaniu nogi, a drugą kopnął na oślep. Uderzył w coś twardego i usłyszał krzyk bólu.

Dostrzegł młotek! Wyciągnął się w jego kierunku, ale zanim go dosięgnął, Jecks wylądował na nim, przyciskając mu nadgarstek do podłogi. Używając całej siły swojego ciała, Grace uderzył do tyłu łokciem, wyrwał się i przetoczył. Tamten przetoczył się z nim razem, wymierzył mu cios w policzek, potem drugi w kark. Grace leżał twarzą na podłodze, wdychając zapach lakierowanego drewna, przygnieciony potwornym ciężarem, z gardłem ściśniętym uchwytem zaciskającym się z każdą



sekundą coraz bardziej.

Zamachnął się łokciem do tyłu, ale Jecks wzmocnił uchwyt, dusząc go. Nie mógł już złapać tchu.

Nagle uchwyt osłabł. Ułamek sekundy później przygniatający go ciężar zelżał. Wtedy zobaczył dłaczego.

Dwaj policjanci gramolili się przez okno.

Usłyszał tupot stóp biegnących w górę po schodach.

- W porządku, panie nadkomisarzu? - zawołał jeden z funkcjonariuszy.

Grace skinął głową, pozbierał się i choć ból przeszywał mu prawą nogę i pierś, rzucił się po schodach na górę. Na podeście natrafił na maskę przeciwgazową. Ani śladu Jecksa. Dotarłszy na drugie piętro, ujrzał twarz Cleo, posiniaczoną i z krwawiącą raną na czole. Wyglądała niespokojnie zza na wpół rozwalonych drzwi sypialni.

- Nic ci nie jest? - wydyszał.

Przytaknęła. Sprawiała wrażenie, jakby była w kompletnym szoku.

Z góry dobiegł łomot. Nie zważając na ból, Grace pobiegł dalej i zobaczył klapę od wejścia na taras na dachu kołyszącą się przy ścianie. Kulejąc, wy dostał się na pokryty deskami taras. Na drugim końcu tarasu, w słabym świetle mignęła mu oliwkowa zieleń znikająca na prowadzących w dół schodach przeciwpożarowych.

Puścił się biegiem, wymijając grilla, stoły, krzesła i rośliny w donicach, po czym rzucił się w dół po metalowych stopniach. Jecks był już w połowie dziedzińca, kierując się do bramy.

Kiedy Grace dopadł do bramy, akurat zatrzasnęła mu się przed nosem. Weisnął czerwony guzik i nie zważając na nic, szarpnięciem otworzył ciężką bramę. Nie czekając na biegnących za nim dwóch funkcjonariuszy, bez tchu wypadł na ulicę.

Jecks był dobre sto jardów przed nim. Chociaż kulał, gnał przed siebie, mijając ciąg zamkniętych sklepów z antykami, pub, z którego sączyła się muzyka jazzowa, ludzi pijących na zewnątrz, stłoczonych na chodniku i częściowo na jezdni.

Grace biegł za nim, zdecydowany dopaść skurwysyna. Był absolutnie zdeterminowany, w tej chwili nie obchodziło go nic innego.

Jecks skręcił w lewo, w York Place. Skurwysyn był szybki. Chryste, naprawdę szybki. Grace pędził za nim. W piersi czuł żywy ogień, płuca miał jakby miażdżone między kamieniami.

Nie doganiał Jecksa, ale przynajmniej utrzymywał ten sam dystans. Po prawej minął kościół Św. Piotra. Bar z chińszczyzną na wynos, niekończący się ciąg sklepów po lewej, wszystko z wyjątkiem fast-foodów zamknięte, same okna wystawowe z neonami. Obok przejeżdżały autobusy, furgonetki, taksówki, samochody. Ominął grupę młodzieży, cały czas nie tracąc z oczu tego oliwkowozielonego ubrania coraz bardziej wtapiającego się w zapadającą ciemność, tam, gdzie York Place przechodziło w London Road.

Jecks dobiegł do skrzyżowania z Preston Circus. Miał akurat czerwone światło, przejeżdżał przed nim sznur samochodów. Mimo to przebiegł przez jezdnię i pobiegł prosto London Road. Grace'a zatrzymała przejeżdżająca ciężarówka i jadące jeden za drugim samochody. *Dalej, no już!* Zerknął przez ramię i w pewnej odległości zobaczył dwóch nadbiegających policjantów. Nie czekając dłużej, bez namysłu przebiegł przez jezdnię przed migającym światłami i trąbiącym wściekle autobusem.

Był w formie, jako że regularnie biegał, ale nie był pewien, ile jeszcze wytrzyma.

Jecks, teraz około dwustu jardów przed nim, zwolnił, obejrzał się i widząc Grace'a, znów przyspieszył.

Dokąd, u diabła, on biegnie?

Po prawej stronie ulicy był park. Po lewej domy przerobione na biura i bloki mieszkalne. Nie uszła jego uwadze ironia sytuacji, że biegł teraz koło Departamentu Rady Miejskiej Brighton i Hove ds. Dzieci, Rodziny i Szkolnictwa, który już tego dnia odwiedził.

Zaraz się zmęczysz, Jecks. Nie uciekniesz. Nie ujdzie ci to, że skrzywdziłeś moją Cleo.

Jecks biegł dalej, koło garażu, przez następne skrzyżowanie, wzdłuż kolejnego ciągu sklepów.

Wreszcie Grace usłyszał dobiegające z tyłu wycie syreny. W samą porę, pomyślał. Po chwili wóz patrolowy zwolnił koło niego, szyba od strony pasażera została opuszczona i usłyszał dobiegające z radia trzaski i głos dyspozytora.

Ledwo mogąc mówić, Grace wysapał do młodego policjanta:

- Przede mną. Ten facet w zielonym ubraniu. Zatrzymajcie go!

Samochód z rykiem silnika, migając niebieskim światłem na dachu, wjechał na krawężnik tuż za Jecksem, drzwi pasażera otwarły się, zanim samochód się zatrzymał.

Jecks zawrócił, przebiegł kilka jardów w stronę Grace'a, po czym skoczył w prawo, w kierunku dworca kolejowego Preston Park.

Grace usłyszał zbliżające się wycie drugiej syreny. Więcej wsparcia. Dobrze.

Bez wytchnienia pędził za Jecksem w górę stromego zbocza, ulicą z domami po obu stronach. Przed sobą miał wysoki, ceglany mur z przejściem na perony i ulicą na drugim końcu tunelu.

Stały tam dwie taksówki.

Przed samym dworcem czekało parę taksówek. W prawo biegła zaniedbana ulica mieszkalna, ciągnąca się kilkaset jardów wzdłuż torów.

Jecks skręcił w nią.

Pierwszy samochód policyjny przemknął obok Grace'a i pojechał za Jecksem. Ten nagle zawrócił, wbiegł do tunelu i po schodach na peron w kierunku południowym, wymijając dziewczynę z walizką i mężczyznę w garniturze.

Grace goniąc go, wyminął kolejnych pasażerów, po czym zobaczył, jak Jecks biegnie wzdłuż peronu. Ostatnie drzwi pociągu były otwarte, stał w nich kolejarz i dawał latarką znak do odjazdu. Pociąg ruszył.

Jecks zeskokczył z peronu i znikł Grace'owi z oczu. Skoczył na tory?

Pociąg nabierał prędkości, Grace widział kolejarza stojącego w drzwiach, potem czerwone, tylne światła wagonu. I Jecksa trzymającego się uchwyty na końcu wagonu, balansującego niebezpiecznie na buforze.

- Policja! Zatrzymać pociąg! Masz z tyłu człowieka! - krzyknął do kolejarza.

Chudy jak patyk, młody kolejarz w źle leżącym mundurze gapił się tylko na niego zdumiony, gdy tymczasem pociąg jechał coraz prędzej.

- Policja! Jestem oficerem policji! Zatrzymaj! - wrzeszczał Grace.

Kolejarz był teraz kilkanaście jardów przed nim, jeszcze w zasięgu słuchu. Cofnął się do środka. Grace usłyszał przenikliwy dzwonek i pociąg zaczął zwalniać ze zgrzytem hamulców. Rozległ się syk sprężonego powietrza, po czym pociąg zatrzymał się gwałtownie pięćdziesiąt jardów za końcem peronu.

Grace zbiegł po pochyłym końcu peronu na tory i trzymając się z dala od szyny pod napięciem, kuśtykał po poprzerastanym chwastami żwirze i podkładach kolejowych.

Kolejarz zeskoczył z wagonu i biegł w stronę Grace'a, machając latarką.

- Gdzie on jest?

Grace pokazał palcem. Jeckspoglądając z lękiem w dół, na szynę pod napięciem, przesunął się na prawy bufor i skoczył, ale nie dość daleko. Prawą stopą zawadził o drugą szynę przewodzącą. Niebieski błysk, trzask, kłęb dymu i krzyk Jecksa. Spadł na żwir pomiędzy szynami toru w kierunku północnym, z głuchym odgłosem uderzając głową o dalszą szynę. Leżał nieruchomo.

W świetle latarki kolejarza Grace widział jego lewą nogę sterczącą pod dziwnym kątem i przez chwilę myślał, że nie żyje.

W powietrzu czuć było gryzący zapach spalenizny.

- Ej! Pociąg nadjeżdża - krzyknął kolejarz w panice. - Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt!

Grace słyszał sygnały kolejowe przypominające dźwięk kamertonu.

- To szybko! Victoria! Ekspres! O Jezu!

Kolejarz trząsł się tak bardzo, że ledwo mógł utrzymać światło skierowane na Jecksa, który uchwyciwszy się szyny obiema rękami, próbował podciągnąć się do przodu.

Grace przełożył nogę przez szynę pod napięciem i postawił na luźnym zwirze po drugiej stronie. Chciał, żeby ten skurwysyn żył.

Nagle Jecks spróbował wstać, ale natychmiast upadł do przodu, wyjąc z bólu. Krew ciekła mu po twarzy.

- Nie! - krzyknął kolejarz. - Nie może pan przejść... nie tam!

Grace słyszał nadjeżdżający pociąg. Nie zważając na ostrzeżenia kolejarza, przełożył drugą nogę i stanąwszy pomiędzy dwoma torami, spojrział w lewo. W światła ekspresu rozdzierające ciemność tuż przed nim. O sekundy przed nim.

Przestrzeń między torami ocenił jako wystarczającą. Podjął natychmiastową decyzję i przeskoczył przez drugą szynę pod napięciem. Chwycił częściowo stopiony, ciężki but na złamanej nodze Jecksa, która była najbliższą częścią jego ciała, i pociągnął z całej siły. Światła zbliżały się niebezpiecznie. Wrzask bólu Jecksa zagłuszył trąbienie pociągu. Czuł, jak ziemia drży, słyszał ogłuszająco wysoki ton śpiewu szyn. Czuł pęd powietrza. Znów pociągnął, nie zwracając uwagi na wycie bólu, na krzyki kolejarza, na ryk pociągu. Zatoczył się do tyłu, przeciągając najmocniej i najszybciej jak mógł potworny ciężar przez drugą szynę, na twardą ziemię.

Stracił równowagę i upadł wzdłuż torów, z twarzą o kilka cali od szyny. Usłyszał przerażający, ludzki wrzask.

Pociąg pędził koło niego, wir powietrza szarpał mu ubranie i włosy, stukot kół ogłuszał go.

Ostatni podmuch powietrza. Potem cisza.

Coś ciepłego i lepkiego bryzgało mu w twarz.

## Rozdział 119

Cisza zdawała się trwać całą wieczność. Grace chwycił powietrze, oślepiiony na chwilę światłem latarki. Ciepły, lepki płyn chlustał mu w twarz. Promień światła przesunął się, przestał go oślepiać i teraz mógł dostrzec coś, co wyglądało jak kawałek szarego węża plującego na niego czerwoną farbą.

Potem zdał sobie sprawę, że to nie jest czerwona farba. To była krew. I to nie był wąż, a prawa ręka Normana Jecksa. Jego dłoń została odcięta.

Grace dźwignął się na kolana. Jecks leżał, trzęsąc się i jęcząc w szoku. Wiedział, że musi zatrzymać krwawienie, zatamować je natychmiast, inaczej Jecks wykrwawi się na śmierć w ciągu kilku minut.

Obok stał kolejarz.

- Jezu - powiedział. - Jezu. O Jezu.

Dołączyło do nich dwóch policjantów.

- Wezwijcie karetkę! - polecił Grace. W oknach zatrzymanego pociągu widział przyciśnięte do szyby twarze. - Sprawdźcie, może w pociągu jest lekarz!

Kolejarz wgapił się w Jecksa, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

- Niech ktoś wezwie przez radio karetkę! - wrzasnął Grace do policjantów.

Kolejarz popędził do telefonu w budce dróżnika.

- Już zrobione - powiedział jeden z funkcjonariuszy. - Nic panu nie jest?

Grace przytaknął, wciąż ciężko dysząc, skupiony na znalezieniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako opaska uciskowa.

- Dopilnujcie, żeby ktoś pomógł Cleo Morey, Gardener's Yard numer 5 - powiedział.

Sięgnął do marynarki, ale uświadomił sobie, że jego marynarka leży na podłodze, gdzieś w domu Cleo.

- Dawaj mundur! - krzyknął do kolejarza.

Zbyt zaskoczony, żeby dyskutować, kolejarz podbiegł i pozwolił Grace'owi ściągnąć z siebie kurtkę od munduru. Potem znów gdzieś pobiegł. Grace wstał i trzymając kurtkę za rękawy, oddał ją. Jednym owinął jak najciaśniej rękę Jecksa tuż nad miejscem przecięcia, drugi zwinął i zatkał nim krwawiącą ranę.

Kolejarz wrócił zdyszany.

- Poprosiłem ich, żeby wyłączyli zasilanie. To powinno potrwać kilka sekund - powiedział.

Nagle noc rozbrzmiała kakofonią jazgotów. Brzmiało to tak, jakby wszystkie syreny alarmowe w całym mieście Brighton i Hove zostały włączone jednocześnie.

Pięć minut później Grace, na swoje kategoryczne żądanie, jechał z tyłu karetki z Jecksem, zdecydowany dopilnować, żeby skurwysyn został umieszczony w szpitalu pod strażą, bez szans na ucieczkę.

Co prawda w tej chwili takie niebezpieczeństwo raczej nie istniało. Jecks był rozebrany do naga, z wenflonem i ledwo przytomny. Ratownik medyczny monitorujący jego stan powiedział Grace'owi, że mimo znacznej utraty krwi, nie ma bezpośredniego zagrożenia życia. Karetka pędziła na sygnale, jazda była nierówna i niewygodna. Grace nie chciał ryzykować - jechali z policyjną eskortą przed karetką i z tyłu.

Grace pożyczył od ratownika komórkę i zadzwonił na oba numery Cleo, ale nikt nie odbierał. Ratownik połączył go przez radio z dyspozytorką. Kobieta poinformowała Grace'a, że karetka jest na Gardener's Yard. Dwaj

ratownicy opatrzyli powierzchowne rany Cleo Morey, która nie wyraziła zgody na przewiezienie jej do szpitala i wołała zostać w domu.

Grace połączył się z wozem patrolowym znajdującym się przed domem Cleo i polecił dwóm funkcjonariuszom pozostać tam do jego powrotu, jak również wezwać szklarza, żeby jak najszybciej wstawił szybę w okno.

Akurat kończył udzielać instrukcji, kiedy karetka skręciła ostro w lewo, pod górę i zajęła pod szpital od strony pogotowia.

Grace wysiadł, nie spuszczać ani na chwilę z oka Jecksa, chociaż ten wydawał się teraz zupełnie nieprzytomny. Samochód policyjny z wyjąca syreną zatrzymał się za karetką. Wysiadł z niego młody policjant zielony na twarzy, bliski wymiotów i szybko podszedł do Grace'a, trzymając coś w zakrwawionej chustce do nosa.

- Panie nadkomisarzu - zwrócił się do Grace'a.
- Co tam masz?
- Jego prawą dłoń. Będą umieli mu ją przyszyć. Ale brakuje kilku palców. Musiała się dostać pod koła nie raz. Nie mogliśmy znaleźć palców.

Grace musiał się powstrzymać, żeby nie powiedzieć, że kiedy skończy z Normanem Jecksem, palce prawdopodobnie nie będą mu już szczególnie potrzebne. Zamiast tego powiedział ponuro:

- Dobrze pomyślane.

Parę minut po północy Jecks wyjechał z sali operacyjnej. Szpital nie mógł skontaktować się z miejscowym chirurgiem ortopedą, który miał pewne sukcesy w przyszywaniu odciętych kończyn, a pełniący dyżur chirurg ogólny, który właśnie skończył zszywać motocyklistę, uznał, że dłoń nie kwalifikuje się do zabiegu.

To była dłoń ze szpitalnym opatrunkiem, jak zauważył Grace, więc polecił, aby trzymać ją w lodówce, żeby można ją było przynajmniej poddać ekspertyzie kryminalistycznej. Potem dopilnował, żeby Jecksa



umieszczono w izolatce na czwartym piętrze, z małym oknem i bez schodów przeciwpożarowych, a także zorganizował straż w postaci dwóch funkcjonariuszy, którzy mieli pilnować go przez okrągłą dobę.

Wreszcie, bez śladu wyczerpania, całkowicie przytomny, nakręcony, z poczuciem ulgi i w świetnym humorze pojechał do domu Cleo. Kostka bolała go jak diabli, za każdym razem, kiedy odpuszczał sprzęgło. Z przyjemnością zobaczył pusty samochód policyjny stojący na ulicy przed domem i świeżo wstawioną szybę w oknie. Kiedy dokuśtykał do drzwi frontowych, usłyszał ryk odkurzacza. Nacisnął dzwonek.

Otworzyła Cleo. Miała plaster na czole, pod okiem siniec i opuchliznę. Dwaj funkcjonariusze siedzieli na sofie, popijając kawę, odkurzacz leżał na boku na podłodze.

Uśmiechnęła się słabo, po czym przyjrzała mu się wstrząśnięta.

- Roy, kochany, ty jesteś ranny.

Spostrzegł, że wciąż jest cały we krwi Jecksa.

- To nic... nie jestem ranny. Muszę tylko zdjąć ubranie.

Obaj policjanci wyszczerzyli się za jej plecami. Na chwilę zapominając o nich, wpatrywał się w nią, bezgranicznie wdzięczny, że nic jej nie jest. Potem wziął ją w ramiona, pocałował w usta i mocno przytulił. Tak mocno, jakby nigdy już nie miał zamiaru jej puścić.

- Boże, jak ja cię kocham - wyszeptał.

- Ja też cię kocham - powiedziała schrypniętym, słabym głosem, który brzmiał jak dziecinny.

- Tak się bałem. Bałem się, że coś...

- Dopadłeś go?

- Większość.

## Rozdział 120

Norman Jecks spojrział ponuro na Grace'a. Leżał w łóżku, w małym pokoju, prawą rękę miał zabandażowaną od łokcia do opatrunku na kikutie w miejscu, w którym powinna się znajdować odcięta dłoń. Pomarańczowa, szpitalna opaska identyfikacyjna zapięta była na jego lewym nadgarstku. Jego blada twarz była posiniaczona i podrapana.

Za Gracem stał Glenn Branson, dwaj funkcjonariusze siedzieli w korytarzu, pod drzwiami.

- Norman Jecks? - spytał Grace.

Dziwnie się czuł, zwracając się do tego mężczyzny, który był kompletnym klonem Briana Bishopa, łącznie z uczesaniem. Tak jakby Bishop robił mu jakiś kawał i rzeczywiście był w dwóch miejscach naraz.

- Tak - potwierdził.

- Czy to pana pełne imię i nazwisko?

- Nazywam się Norman John Jecks.

Grace zapisał to w notesie.

- Normanie Johnnie Jecks, jestem detektyw nadkomisarz Grace, a to jest detektyw sierżant Branson. W świetle zgromadzonych dowodów aresztuję pana w charakterze podejrzanego o zabójstwo pani Katherine Bishop. Może pan nic nie mówić, ale jeżeli w trakcie przesłuchania zatai pan coś, co później zezna pan przed sądem, będzie to okolicznością obciążającą. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Czy to jasne?

Jecks uniósł lewą rękę i z niewesołym uśmiechem powiedział:

- Będzie pan miał problem z założeniem mi kajdanek, prawda detektywie nadkomisarzu Grace?

Zaskoczony jego buntowniczą postawą, Grace odparował:

- Słuszna uwaga. Ale przynajmniej teraz będziemy umieli odróżnić pana od pańskiego brata.

- Cały świat zawsze umiał odróżnić mnie od mojego brata - powiedział Norman Jecks z goryczą. - Na czym polega wasz szczególny problem?

- Jest pan gotów porozmawiać z nami, czy życzy pan sobie obecności adwokata? - spytał Grace.

Jecks uśmiechnął się.

- Porozmawiam z wami. Czemu nie? Mam cały czas, jaki jest na świecie. Ile go chcecie?

- Tyle, ile może nam pan poświęcić.

Jecks pokręcił głową.

- Nie, panie nadkomisarzu Grace. Nie sądzę, żeby tego pan chciał. Nie chce pan tego czasu, który mam odłożony, proszę mi wierzyć, naprawdę pan nie chce.

Grace utykając, podszedł do stojącego przy łóżku krzesła i usiadł.

- Co pan miał na myśli, kiedy powiedział pan przed chwilą, że cały świat zawsze umiał odróżnić pana od pańskiego brata?

Jecks posłał mu taki sam zimny, krzywy uśmiech, z jakim zeszłej nocy schodził ze schodów w domu Cleo, żeby rzucić się na niego.

- Ponieważ on urodził się ze srebrną łyżką w ustach, a ja... wie pan, z czym ja się urodziłem? Z plastikową rurką do oddychania w gardle.

- Jak dzięki temu można odróżnić was z wyglądu?

- Brian miał wszystko od samego początku, prawda? Zdrowie, zamożnych rodziców, edukację w prywatnej szkole. A ja? Ja miałem niewykształcone płuca i pierwsze miesiące życia spędziłem w inkubatorze, tu, w tym szpitalu! Czy to nie ironia? Przez lata miałem problemy z piersiami.

I miałem gówno wartych rodziców. Wie pan, o czym mówię?

- Właśnie nie wiem - powiedział Grace. - Mnie się wydawali dość miłymi ludźmi.

Jecks spojrział na niego surowo.

- Ach tak? A co pan o nich wie?

- Widziałem się z nimi dzisiaj.

Jecks znów się uśmiechnął.

- Nie sądzę, panie nadkomisarzu. Czy to jakaś sztuczka? Mój ojciec zmarł w 1988 roku, niech się smaży w piekle, a moja matka umarła dwa lata później.

Grace milczał przez chwilę.

- Przepraszam, ale czegoś tu nie rozumiem.

- Czego tu można nie rozumieć? - odpalił Jecks. - Bishop miał piękny dom, dobre wykształcenie, najlepszy start życiowy, jaki można mieć, a w zeszłym roku jego firma... *pomysł, który mi ukradł...* weszła na listę „Sunday Timesa” stu najszybciej rozwijających się firm brytyjskich. On jest wielkim człowiekiem! Bogatym człowiekiem! Pan jest detektywem i nie umie pan zobaczyć różnicy?

- Jaki pomysł panu ukradł?

Jecks pokręcił głową.

- To nieważne.

- Czyżby? To dlaczego mi się wydaje, że jest to ważne?

Jecks opadł nagle na poduszki i zamknął oczy.

- Chyba nie chcę nic więcej powiedzieć. Nie teraz, nie bez mojego adwokata. Widzi pan, jest jeszcze jedna różnica. Brian ma cwane obrońcę, najlepszego, jakiego można sobie kupić, jak się ma pieniądze! A ja skończę z jakimś drugorzędnym papugą z łaski Pomocy Prawnej. Prawda?

- Jest kilku bardzo dobrych obrońców, którzy są dostępni bez ponoszenia przez pana kosztów.

- A pewnie, trele-morele - odparł Jecks, nie otwierając oczu. - Nie martw

się o mnie, detektywie nadkomisarzu, nikt się nigdy nie martwił. Nawet Bóg. Udawał, że mnie kocha, ale cały czas kochał Briana. Idź i pilnuj swojej Cleo Morey - jego głos stał się nagle zimny jak lód, otworzył oczy i mrugnął do Grace'a. - Ponieważ ją kochasz.

Przed piątkową poranną odprawą w wypełnionej po brzegi sali konferencyjnej panował nastrój oczekiwania.

Roy Grace mając pod ręką swoje notatki, zaczął:

- Podsumuję teraz najważniejsze fakty, jakie zostały ujawnione w ciągu wczorajszego dnia, po aresztowaniu Normana Jecksa. - Zerknął w notatki i ciągnął dalej: - Zasadniczym elementem naszego śledztwa w sprawie zabójstwa Katie Bishop jest ostateczny dowód dostarczony przez stomatologa sądowego Christophera Ghenta

, który stwierdził, że ślady ludzkich zębów na odciętej prawej dłoni Normana Jecksa pochodzą od Katie.

Przerwał, aby znaczenie tej informacji dotarło do wszystkich, po czym podjął:

- Detektyw sierżant Batchelor ustalił, że przez dwa lata, do marca tego roku, Norman Jecks, zidentyfikowany na podstawie rysopisu, pracował w dziale komputerowym firmy ubezpieczeniowej Southern Star jako programista. Czas jest tu istotny, jako że odszedł około czterech tygodni po tym, jak Bishop jakoby podpisał z tą firmą umowę ubezpieczenia na życie na nazwisko swojej żony, z sumą ubezpieczenia wynoszącą trzy miliony funtów. Sprawdzamy teraz wszystkie wyciągi bankowe Bishopa, aby sprawdzić, czy rzeczywiście jakaś składka została zapłacona. Podejrzewam, że może się okazać, że faktycznie nic o tym nie wiedział. - Przerwał i napił się kawy. - Pamela i Alfonso badali przeszłość kryminalną Bishopa. Nie znaleźli żadnej wzmianki w prasie lokalnej i krajowej o żadnym z tych przestępstw w czasie, kiedy jakoby zostały popełnione, ani w czasie, kiedy wydano wyroki. - Odwrócił kartkę. - Wczoraj wieczorem, podczas przeszukania garaży wynajmowanych przez Jecksa, znaleźliśmy duplikaty tablic rejestracyjnych identyczne z tablicami bentleya Briana

Bishopa. Podczas prowadzonego równolegle przeszukania mieszkania przy Sackville Road w Hove, odkryliśmy dowody chorobliwej obsesji, jaką miał Jecks, czy raczej zdaje się mieć, na punkcie swojego brata, Briana Bishopa. Zalicza się do nich system monitoringu wideo, połączony przez Internet z ukrytymi kamerami szpiegowskimi w domu Bishopów w Brighton i w ich mieszkaniu w Londynie. Jecks przyznał się do nienawiści do brata w rozmowie, jaką dziś rano przeprowadziłem z nim w obecności Glenna Bransona, pod groźbą odpowiedzialności.

Grace mówił dalej, wyliczając, co znaleziono w mieszkaniu Jecksa, chociaż nie ujawnił informacji o trzech połączeniach z telefonu na kartę, które rozszyfrowali z Bransonem, ponieważ nie byli uprawnieni do badania telefonu. Komórka została przekazana sekcji telekomunikacji.

Kiedy skończył odczytywać z notatek, Norman Potting podniósł rękę.

- Roy - powiedział. - Wiem, że to nie jest ściśle nasza sprawa, ale dziś po południu obdzwoniłem biura podróży w Brighton i Hove. Chciałem sprawdzić, czy mają odnotowane, że Janet McWhirter pytała w kwietniu o loty do Australii. Jest taka agencja turystyczna, nazywa się Aossa Travel. Pracuje tam niejaka Lena, która znalazła formularz z nazwiskiem Janet McWhirter. Jako swojego towarzysza podróży wpisała Normana Jecksa.

Po skończonej odprawie Grace przeszedł do swojego gabinetu. Najpierw zadzwonił do oficera prowadzącego śledztwo w sprawie Janet McWhirter i przekazał mu, czego dowiedział się Potting. Następnie połączył się z Chrisem Binnssem, prawnikiem z Prokuratury Koronnej przydzielonym do sprawy Katie Bishop, i poinformował go o najnowszych ustaleniach.

Chociaż dowody coraz bardziej wskazywały nie na Bishopa, a na jego brata, wciąż było wczesnie i nierozsądnie byłoby spieszyć się ze zwolnieniem podejrzanego. Bishop miał stanąć przed sądem w poniedziałek, na następne przesłuchanie wstępne.

Ustalili strategię. Chris Binns porozmawia z adwokatem Bishopa i poinformuje go, że w świetle nowych dowodów Prokuratura może mieć problem z oskarżeniem. Nie będzie zgłaszać obiekcji do zwolnienia

Bishopa za kaucją, pod warunkiem że zgodzi się on informować policję o swoich poczynaniach i zdeponuje paszport.

Roy Grace zakończył rozmowę, po czym długo siedział w milczeniu. Wciąż brakowało jednej części układanki. Bardzo dużej części. Z jednego z piętrzących się na biurku segregatorów wyjął akty urodzenia i adopcji Briana Bishopa i jego brata.

Drzwi otwały się i zajął Glenn Branson.

- Wychodzę, stary - powiedział.
- A coś ty taki zadowolony? - chciał wiedzieć Grace.
- Pozwoliła mi położyć dzieci do łóżek dziś wieczorem!
- No, no. Postęp! Czy to znaczy, że niedługo odzyskam mój dom?
- Nie ma pojęcia. Jedna jaskółka nie czyni wiosny.

Grace wrócił do dokumentów adopcyjnych. Branson miał rację. Jedna jaskółka rzeczywiście nie czyni wiosny. Wygląda na to, że i dwóch ludzi w areszcie nie daje rozwiązania zagadki.

Norman Jecks powiedział rano, że pierwsze miesiące życia spędził w inkubatorze. I że jego rodzice nie żyją. A według jego rodziców to on nie żył.

Dlaczego kłamali o sobie nawzajem?

## Rozdział 121

Po raz pierwszy w tym bardzo długim tygodniu Grace położył się przed północą. Spał jednak czujnie, starając się jak najmniej ruszać, i leżał z otwartymi oczami, żeby nie przeszkadzać Cleo, która naga i ciepła spała w jego ramionach jak dziecko.

Może gdyby Norman Jecks był za kratami, mógłby się odprężyć. Tymczasem przebywał on w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex, skąd człowiek o jego zdolnościach mógł z łatwością uciec, pomimo policyjnej warty. Każdy nieznany dźwięk słyszany nocą mógł być odgłosem kroków Normana Jecksa.

Wiertarka Black&Decker, którą Cleo znalazła w swoim schowku na szczotki, martwiła go - i ją - najbardziej. Nigdy w życiu nie miała elektrycznej wiertarki, a ostatnio w domu nie pracowali żadni robotnicy. To było tak, jakby Jecks zostawił pamiątkę swojej wizyty, mały symbol, przypomnienie.

**PONIEWAŻ JĄ KOCHASZ.**

Wiertarka zabezpieczona jako dowód zamknięta była teraz w magazynie sekcji zabójstw. Ale obraz tego, co reprezentowała, i te słowa, którymi pożegnał go Jecks tego ranka ze swojego szpitalnego łóżka, miały go prześladować przez długi czas.

Wrócił myślami do Sandy. Do absolutnej pewności Dicka Pope'a, że on i Lesley widzieli ją w Monachium.

Jeżeli to prawda, a ona uciekła przed nimi, co to znaczyło? Że zaczęła nowe życie i nie chciała mieć nic wspólnego z dawnym? Przecież to nie



miało sensu. Byli razem tacy szczęśliwi... albo tak mu się wydawało. Może przeszła jakieś załamanie? W tym przypadku sugestia Kullena, żeby szukać u lekarzy, w szpitalach i w klinikach w Monachium i okolicy mogłaby przynieść rezultat. Tylko co wtedy?

Czy starałby się odbudować swoje życie z nią, wiedząc, że kiedyś go zostawiła i może to zrobić znowu? I zniszczyć tym samym to, co było między nim a Cleo?

Istniała oczywiście możliwość, że Pope'owie się pomylili, że była tam jeszcze jedna kobieta podobna do Sandy tak samo jak ta, którą gonił przez Englischer Garten. To już dziewięć lat. Ludzie się zmieniają. Czasami nawet on sam nie mógł sobie przypomnieć twarzy Sandy.

Prawda jego serca była taka, że teraz to Cleo liczyła się najbardziej w jego życiu.

Ten jeden dzień w Monachium o mało co nie spowodował pęknięcia w ich związku. Zaangażowanie się w poszukiwania na wielką skalę w mieście i poświęcenie na to niezbędnego czasu byłoby ogromnym przedsięwzięciem, które kto wie, jakie miałyby reperkusje. Przez dziewięć lat na próżno uganiał się za cieniem. Może pora z tym skończyć. Pora zostawić przeszłość za sobą.

Zasnął z postanowieniem, że przynajmniej spróbuje.

I roztrzęsiony obudził się po dwóch godzinach z koszmarne snu nawiedzającego go co kilka miesięcy. Głos Sandy krzyczący z ciemności. Wołający o pomoc.

Minęła prawie godzina, zanim zasnął znowu.

O 6.00 pojechał do domu, przebrał się w strój do biegania i poszedł na nadbrzeże. Bolał go prawie każdy mięsień ciała, skręcona kostka uniemożliwiała bieganie, więc tylko dokuśtykał do promenady i z powrotem, świeże poranne powietrze pomagało mu uporządkować myśli.

Potem, kiedy wyszedł spod prysznic i zaczął się wycierać, usłyszał, jak otwierają się drzwi do sypialni Bransona. Usłyszał podnoszenie deski sedesowej, a po chwili, kiedy namydlał twarz, usłyszał odgłos sikania

przyjaciela przypominający opróżnianie zbiorników tankowca.

Potem szcęk spłuczki i odgłos spłukiwania. Wreszcie Branson zawołał:

- Kawa czy herbata?
- Czy ja dobrze słyszę? - niedowierzał Grace.
- Owszem. Postanowiłem, że będę twoją uroczą żonką.
- Zrób mi tylko herbaty. Wstrzymaj się z zaślubinami, dobra?
- Zaraz będzie herbatka!

Branson nucąc wesoło, zlął na dół, a Grace zastanawiał się, co za pigułki wziął tego ranka. Następnie wrócił do golenia i do problemu, którego nadal nie potrafił rozwiązać. Chociaż w pewnym momencie, nad ranem, uświadomił sobie, od czego powinien zacząć.

Parę minut po 10.00 znów był w małej, pudełkowej poczekalni biura ewidencji w ratuszu w Brighton, trzymając segregator z dokumentami.

Po zaledwie dwóch minutach pojawił się wysoki, wytworny Clive Ravensbourne, nadinspektor rejestrator. Ucisnął rękę Grace'a. Wydawał się dużo swobodniejszy niż przy pierwszym spotkaniu przed dwoma dniami, aczkolwiek trochę zdziwiony.

- Miło znów pana widzieć, panie nadkomisarzu. W czym mogę pomóc?

- Dziękuję, że fatygował się pan w sobotę. Jestem bardzo wdzięczny.
- Nie ma sprawy, dla mnie to dzień roboczy.

- Przychodzę w związku z tym samym śledztwem w sprawie zabójstwa, o którym rozmawialiśmy w czwartek - wyjaśnił Grace. - Był pan uprzejmy udzielić mi informacji o bliźniaku. Miałbym prośbę, żeby potwierdził pan dane, to bardzo pilne i ważne dla mojego śledztwa. Pewne rzeczy się tu po prostu nie zgadzają.

- Oczywiście - zapewnił Ravensbourne. - Postaram się zrobić co w mojej mocy.

Grace otworzył segregator i pokazał akt urodzenia Briana Bishopa.

- Podałem panu nazwisko tego gościa, Desmonda Jonesa, i poprosiłem, żeby pan ustalił, czy miał bliźniaka i jak ten bliźniak się nazywał. Było

dwadzieścioro siedmioro dzieci o tym samym nazwisku. Zasugerował pan, że można uniknąć konieczności sprawdzania wszystkich po kolei, biorąc po prostu numer ewidencyjny z aktu urodzenia.

Ravensbourne skwapliwie pokiwał głową.

- Tak, zgadza się.
- Czy mógłbym prosić, żeby sprawdził pan jeszcze raz?
- Oczywiście.

Ravensbourne wziął akt urodzenia i wyszedł z pokoju. Wrócił po paru minutach z wielką księgą rejestrową oprawną w ciemnoczerwonej skórze. Położył ją obok aktu urodzenia i niecierpliwie przerzucał kartki. Po chwili zatrzymał się i jeszcze raz porównał z aktem urodzenia.

- Desmond William Jones, matka Eleanor Jones, urodzony w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex 7 września 1964 roku o 3.37. Jest też adnotacja *adoptowany*. Tak? To ten gość?

- Tak, ten się zgadza. Chodzi o tego, którego dane podał mi pan jako jego bliźniaka. Ten nie pasuje.

Rejestrator zajął do księgi.

- Frederick Roger Jones? - odczytał. - Matka Eleanor Jones, urodzony w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex 7 września 1964 roku o 4.05. Również następnie adoptowany. - Podniósł wzrok. - To jest pański bliźniak. Frederick Roger Jones.

- Jest pan pewien? Nie mógł się pan pomylić?

Rejestrator odwrócił księgę, żeby Grace mógł sam zobaczyć.

Na stronie było pięć wpisów.

- Akt urodzenia, który pan ma, to właściwie kopia... oryginałem jest wpis w księdze. Rozumie pan?

- Owszem - odparł Grace.

- To jest dokładna kopia. A to jest oryginalny wpis. Pięć wpisów na stronie... widzi pan... u dołu strony są ci, o których panu chodzi, Desmond William Jones i Frederick Roger Jones.

Jakby chcąc zademonstrować, że mówi prawdę, Ravensbourne odwrócił kartkę.

- Widzi pan, następne pięć na tej... - urwał w pół zdania, odwrócił kartkę z powrotem, potem znów do przodu, w końcu powiedział: - O. Ojej. O mój Boże. Nigdy mi się to nie zdarzyło! Spieszyłem się wtedy, kiedy pan do mnie przyszedł, pamiętam. Zobaczyłem bliźniaka... pan szukał bliźniaka. Nigdy mi się to nie zdarzyło...

Na następnej stronie, pierwszy od góry widniał wpis wykonany czarnym atramentem, starannym, pochyłym, odręcznym pismem: Norman John Jones, matka Eleanor Jones, urodzony w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex 7 września 1964 roku o 4.06.

Grace spojrział na rejestratora.

- Czy to znaczy to, co myślę, że znaczy?

Rejestrator gwałtownie kiwał głową, po części z zażenowania, po części z emocji.

- Ależ tak. Urodzony minutę później. Ta sama matka. Jak najbardziej!

## Rozdział 122

Jeden za drugim stare numery „Argusa” przesuwają się przed oczami Grace'a. Siedział zgarbiony przed czytnikiem mikrofilmów w Bibliotece Naukowej Brighton i Hove, przewijając fiszki z rocznikiem 1964, zwalniając chwilami, żeby sprawdzić daty. Kwiecień... czerwiec... lipiec... sierpień... wrzesień.

Zatrzymał na stronach z 4 września 1964 roku, następnie powoli jechał do przodu. Znowu zatrzymał, kiedy dotarł do pierwszej strony numeru z 7 września. Czytał każdą następną kolumnę wiadomości, ale wciąż nic nie znalazł.

Tematem z pierwszej strony 8 września był miejscowy skandal związany z planowaniem. Dwie strony dalej rzuciło mu się w oczy zdjęcie.

Przedstawiało trzy śpiące, małe niemowlaki leżące rzędem pod szklaną pokrywą inkubatora. Obok włamane było zdjęcie małego, rozbitego samochodu. Nagłówek głosił: CUDOWNE OCALENIE DZIECI Z HORRORU ŚMIERTELNEGO WYPADKU. I jeszcze jedno zdjęcie - atrakcyjnej, ciemnowłosej kobiety w wieku około dwudziestu pięciu lat. Grace przeczytał cały artykuł słowo po słowie, dwa razy. Wrócił wzrokiem do zdjęcia dzieci w inkubatorze, do twarzy kobiety, do samochodu.

Znowu przeczytał tekst, pomijając sensacyjne przymiotniki, wyławiając same fakty.

Policja bada, dlaczego Ford Anglia w silnej ulewie wczesnym wieczorem 6 września zjechał na A23 prosto pod ciężarówkę... Eleanor

Jones, samotna matka, nauczycielka przedmiotów ścisłych... myślała, że będzie mieć bliźniaki... leczona na depresję... połowa dziewiątego miesiąca ciąży... w ciężkim stanie na oddziale intensywnej opieki... urodziła przedwcześnie przez cesarskie cięcie... matka zmarła w trakcie operacji.

Wyłączył urządzenie, wyjął mikrofiszę, umieścił ją w pudełku i oddał bibliotekarce. Potem prawie pobiegł do wyjścia.

Grace ledwo panował nad podnieceniem, jadąc do Sussex House. Nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć miny wszystkich na wieczornej odprawie, ale jeszcze bardziej nie mógł się doczekać, kiedy powie Cleo. Powie jej, że złapali właściwego człowieka.

Na pewno.

Przedtem jednak chciał porozmawiać z uczynnym doradcą adopcyjnym Loretta Leberknight i zadać jej jedno pytanie, żeby się upewnić. Właśnie wybierał jej numer, kiedy telefon zadzwonił.

Dzwonił Roger Pole, oficer prowadzący śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa Cleo, żeby mu podziękować za informację o podręczniku warsztatowym do MG TF znalezionym w garażu Normana Jecksa. Dzięki temu uznali Jecksa za głównego podejrzanego.

- Nie musicie szukać dalej - powiedział mu Grace, zatrzymując samochód. - A przy okazji, jak się ma ten nieszczęśnik, który próbował ukraść samochód?

- Wciąż jest na intensywnej terapii w East Grinstead. Ma poparzone 55% powierzchni ciała, ale spodziewają się, że będzie żył.

- Może powinienem mu posłać kwiaty za uratowanie życia Cleo.

- Z tego co słyszałem, bardziej doceniłby działkę czy dwie heroiny.

Grace uśmiechnął się.

- A jak tam funkcjonariusz z sekcji przestępstw samochodowych?

- Posterunkowy Packer? W porządku. Wypisali go ze szpitala, ale ma poważne oparzenia twarzy i rąk.

Grace podziękował mu za informacje i zadzwonił do Loretty Leberknight. Kiedy powiedział jej, co się stało, roześmiała się sympatycznie.

- Można się było spodziewać - powiedziała.
- Jest jednak coś, co mnie niepokoi - powiedział Grace. - Jego dwa imiona, Norman John. Kiedy rozmawialiśmy za pierwszym razem, powiedziała mi pani, że rodzice adopcyjni zmieniają dzieciom imiona albo pierwsze zostawiają jako drugie. W tym przypadku ma te same dwa imiona. Czy to ma jakieś znaczenie?
- Żadnego - stwierdziła. - Większość rodziców zmienia, ale niektórzy nie. Czasami, jeśli dziecko nie idzie do adopcji od razu, trafia pod opiekę rodziny zastępczej. Wtedy najprawdopodobniej zostaje z imionami nadanymi przy urodzeniu.

W drodze do swojego gabinetu Grace wpadł na Glenna Bransona.

- Coś ty taki zadowolony, stary? - spytał Branson.
- Mam dobre wiadomości. Ty też jesteś dziś wesoły jak szczygiełek - zauważył Grace.

- No. Ja też mam dobre wiadomości.
- Mów.
- Ty pierwszy.

Grace wzruszył ramionami.

- Pamiętasz tę paskudną pracownicę socjalną od adopcji?
- Tę z różowymi włosami i w zielonych okularach? Z twarzą jak ofiara wypadku drogowego?

- Tę samą.
- Umówiłeś się z nią na randkę? Nada się, pod warunkiem że włożysz jej papierową torbę na łeb.
- Tak, umówiłem się z nią na randkę. I z jej szefem. Dziś o 15.00. Pamiętasz, powiedziałem jej, że jeżeli zataja informacje, które mogłyby nam pomóc, osobiście ją załatwię.

Branson skinął głową.

- Pamiętam.
- No więc to właśnie mam zamiar zrobić. Mam zamiar załatwić tę sukę.

- Nie można powiedzieć, żebyś należał do mściwych.
- Ja? Mściwy? Skąd! - Grace spojrział na zegarek. - Ciekawie spędziłem czas w ratuszu i w bibliotece. Spodoba ci się. Myślę, że mamy gem, set i mecz z Normanem Jecksem. Masz ochotę na kufelek w porze lunchu, to ci wszystko opowiem?

- Chciałbym, ale muszę się zerwać na chwilę.

- To jaka jest ta twoja dobra wiadomość?

Glenn rozpromienił się.

- Właściwie to wiesz co? Prawdopodobnie dla ciebie też to jest dobra wiadomość.

- Ta niepewność mnie zabije.

Na już i tak promiennej twarzy Bransona pojawił się najszczęśliwszy uśmiech, jakiego Grace nie widział u niego od wielu miesięcy.

- Mam iść się spotkać z jednym gościem w sprawie konia.



# Podziękowania

Akcja mojego cyklu powieściowego, którego bohaterem jest Roy Grace, toczy się w środowisku policji hrabstwa Sussex. Jestem dłużnikiem wielu funkcjonariuszy i personelu pomocniczego, którzy przyjęli mnie ciepło i służyli mi pomocą. Na pierwszym miejscu listy tych osób znajduje się naczelnik Joe Edwards, który był uprzejmy zaaprobować moje działania. Niezastąpiony okazał się mój mądry przyjaciel, emerytowany starszy nadkomisarz Dave Gaylor, który przez wiele lat był moim przewodnikiem w świecie policji hrabstwa Sussex i pierwowzorem postaci Roya Grace'a. Jest on moim głównym źródłem informacji oraz skarbnicą twórczych pomysłów i z anielską cierpliwością pomagał mi na różne sposoby w pracy nad tą książką, która bez jego wkładu byłaby o wiele słabsza.

Chciałbym szczególnie wymienić kilka innych nazwisk - i proszę o wybaczenie tych, których pominąłem. Niesłychanie pomocny był starszy nadkomisarz Kevin Moore. Oficer śledczy z Jednostki ds. Wysokich Technologii Ray Packham i jego żona Jen okazali mi ogromną pomoc i podsunęli wiele nowatorskich pomysłów.

Wyjątkową pomoc w zrozumieniu obecnego stanu przestępczości w Brighton i jej ścigania okazał mi posterunkowy Paul Grzegorzek z Lokalnego Zespołu Wsparcia. Sierżantowi Julianowi Clappowi, dzięki któremu uczestniczyłem w procedurze aresztowania, zawdzięczam niejedną dreszcz emocji, podobnie jak inspektorowi Markowi Powlesowi z Jednostki ds. Identyfikacji Policji Sussex.

Chcę podziękować detektywowi inspektorowi Royowi Appsovi, detektywowi inspektorowi Paulowi Furnellowi, posterunkowemu Mattowi Websterowi, inspektorowi Andy'emu Parrowi, sierżantowi Markowi Bakerowi, starszemu nadkomisarzowi Peterowi Collowi, sierżantowi Philowi Taylorowi - szefowi Jednostki ds. Przestępstw w Zakresie Wysokich Technologii, Johnowi Shaw - dawniej z tej samej jednostki, obecnie z Grupy Kontroli Ryzyk, Julie Page z Zespołu Negocjatorów Policyjnych, detektywowi sierżantowi Keithowi Halletowi z Zespołu Obsługi Bazy Danych Policji Sussex, Brianowi Cookowi - kierownikowi zespołu ekspertów kryminalistycznych, detektywowi inspektorowi Williamowi Warnerowi, starszemu funkcjonariuszowi śledczemu z Zespołu ds. Dochodzenia na Miejscu Zbrodni Stuartowi Leonardowi, starszemu analitykowi Suzy Straughan, detektywowi sierżantowi Jasonowi Tingleyowi, funkcjonariuszom ds. kontaktów z rodzinami - detektywowi Amandzie Strout i detektywowi sierżantowi Louise Pye. Szczególnie dziękuję starszemu oficerowi pomocniczemu Tony'emu Case'owi z Kwatery Głównej Wydziału Kryminalnego, który nie szczędził swojego czasu, pomocy i entuzjazmu.

Wielkie dzięki należą się także moim niezrównanym pomocnikom z Monachium: głównemu komisarzowi ds. kryminalnych Walterowi Dufferowi, Ludwigowi Waldingerowi i Detlefowi „Tedowi” Pucheltowi z Krajowego Urzędu Kryminalnego Bawarii, Franzowi-Josephowi Wilfingowi - nadradcy kryminalnemu w Dyrekcji Policji Kryminalnej w Monachium, Andy'emu i Sabine z Festiwalu Kryminalnego w Monachium, Anette Lippert za rozpracowanie dla mnie geografii miasta i oczywiście Największemu z Żyjących Aktorów Niemieckich, Hansowi Jurgenowi Stockerei za cierpliwe, co najmniej dziesięciokrotne obwożenie mnie po wszystkich charakterystycznych punktach miasta w poszukiwaniu miejsc akcji.

Ogromną pomoc uzyskałem od koronera hrabstwa Essex dr. Petera Deana, konsultanta patologa dr. Nigela Kirkhama i patologa Wydziału Spraw Wewnętrznych dr Vesny Djurovic. Pomógł mi także dr Robert Dorion

- dyrektor ds. stomatologii sądowej w Laboratorium Kryminalistycznym i Medycyny Sądowej w Montrealu, autor podręcznika „Bitemark Evidence” (*Ślady zębów jako dowód*). Ogromne podziękowania winien jestem moim cudownym przyjaciółom z kostnicy miasta Brighton i Hove, Elsie Sweetman, Victorowi Sindenowi i Seanowi Didcottowi, za nieskończoną cierpliwość, jaką mi okazali, uprzejmość i troskę.

Dziękuję także Brianowi Ellisowi, dr. Andrew Daveyowi, dr.

Jonathanowi Pashowi, Tomowi Farrerowi - technikowi sekcijnemu, i Robertowi Frankisowi - jednemu z niewielu ludzi, którym udało się zagiąć mnie na wiedzy o samochodach... Dzięki dla Petera Baileya za jego encyklopedyczną wiedzę o dniu dzisiejszym i przeszłości Brighton oraz o połączeniach kolejowych.

Specjalne podziękowania kieruję do doradcy ds. adopcyjnych Chrissie Franklin, która z energią i entuzjazmem pomagała mi poruszać się po bardzo trudnym terenie.

Jak zawsze dziękuję Chrisowi Webbowi, dzięki któremu mój komputer działa, a zasoby jego pamięci są bezpieczne. Ogromne dzięki składam moim nieoficjalnym redaktorkom - Imogen Lloyd-Weber, Anna-Lisa Lindeblad i Sue Ansell czytały tekst na różnych etapach, a ich uwagi były wprost nieocenione. Dziękuję też za ciężką pracę zespołu Midas Public Relations w składzie: Tony Mulliken, Margot Véale i Amelia Rowland.

Uważam za błogosławieństwo fakt, że reprezentuje mnie bajeczna agentka literacka Carole Blake - i jestem dumny, że pomogłem jej wzbogacić o kilka par kolekcję designerskiego obuwia! - oraz agent filmowy Julian Friedmann. Poczytuję sobie za zaszczyt, że moim wydawcą jest Macmillan. Aby wymienić kilka nazwisk, dziękuję Richardowi Charkinowi, Davidowi Northowi, Geoffowi Duffieldowi, Annie Stockbridge, Vivienne Nelson, Marie Slocombe, Michelle Taylor, Caitronie Row, Claire Byrne, Ali Muirden, Richardowi Evansowi, Chloe Brighton, Liz Cowen, mojej redaktorce Lesley Levene i wreszcie osobie najważniejszej ze wszystkich, którą jest Stef Bierwerth - jesteście coraz wspanialsii! Przez kanał jeszcze raz przesyłam ogromne *Danke!* zespołowi

mojego niemieckiego wydawcy Scherza za niewyobrażalne wprost wsparcie. Zwłaszcza chcę tu wymienić Petera Lohmanna, Julię Schade, Andreę Engen, Cordelię Borchardt, Brunona Backa, Indrę Heinza i niesamowitą Andreę Diederichs, Największego z Żyjących Niemieckich Redaktorów!

Moje wierne psy Bertie, Sooty i Phoebe jak zawsze zasługują na wdzięczność, ponieważ przypominają mi, że za drzwiami mojej pracowni toczy się życie.

Przedostatnie, ale największe podziękowania dla mojej kochanej Helen, która wierzy, że potrafię to robić, i nie pozwala mi nawet pomyśleć, że mógłbym robić coś innego.

I wreszcie jeszcze raz bardzo dziękuję Wam, wszystkim Czytelnikom moich książek. Dziękuję za e-maile i wszystkie miłe słowa. Ogromnie wiele dla mnie znaczą.

Peter James  
Sussex, Anglia  
[www.peterjames.com](http://www.peterjames.com)